

ŚWIATOWY BESTSELLER

LEIGH BARDUGO

AUTORKA TRYLOGII GRISZA

SZÓSTKA WROŃ

SZEŚCIORO
NIEBEZPIECZNYCH
WYRZUTKÓW.
JEDEN
NIETYKONALNY
SKOK.

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Griszowie

Mapy

Część pierwsza. Szemrany interes

1 Joost

2 Inej

3 Kaz

4 Inej

5 Kaz

6 Nina

Część druga. Sługa i środek nacisku

7 Matthias

8 Jesper

9 Kaz

10 Inej

11 Jesper

12 Inej

13 Kaz

14 Nina

15 Matthias

Część trzecia. Melancholia

16 Inej

17 Jesper

18 Kaz

19 Matthias

20 Nina

Część czwarta. Sztuka spadania

21 Inej

22 Kaz

23 Jesper

24 Nina

25 Inej

26 Kaz

Część piąta. Lód nie wybacza

27 Jesper

28 Inej

29 Matthias

30 Jesper

31 Nina

32 Jesper

33 Inej

34 Nina

35 Matthias

36 Jesper

37 Nina

38 Kaz

Część szósta. Prawdziwi złodzieje

39 Inej

40 Nina

41 Matthias

42 Inej

43 Nina

44 Jesper

45 Kaz

46 Pekka

Podziękowania

LEIGH BARDUGO

SZÓSTKA

WRON

PRZEŁOŻYLI
MAŁGORZATA STRZELEC
I WOJCIECH SZYPUŁA

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2016

Tytuł oryginału: *Six of Crows*

Copyright © 2015 by Leigh Bardugo

Copyright for the Polish translation © 2016 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja

Ilustracja na okładce: Rich Deas

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Mapy: Keith Thompson

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-708-1

Wydanie II

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228 134 743

e-mail: kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Firma Księgarska Olesiejuk

spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 213 000

www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej

pan@drewnianyrower.com

*Kayte –
tajnej broni, nieoczekiwanemu przyjacielowi.*



GRISZOWIE

ŻOŁNIERZE DRUGIEJ ARMII
MISTRZOWIE MAŁEJ NAUKI

SOMATYCY
(Zakon Żywych i Umartych)

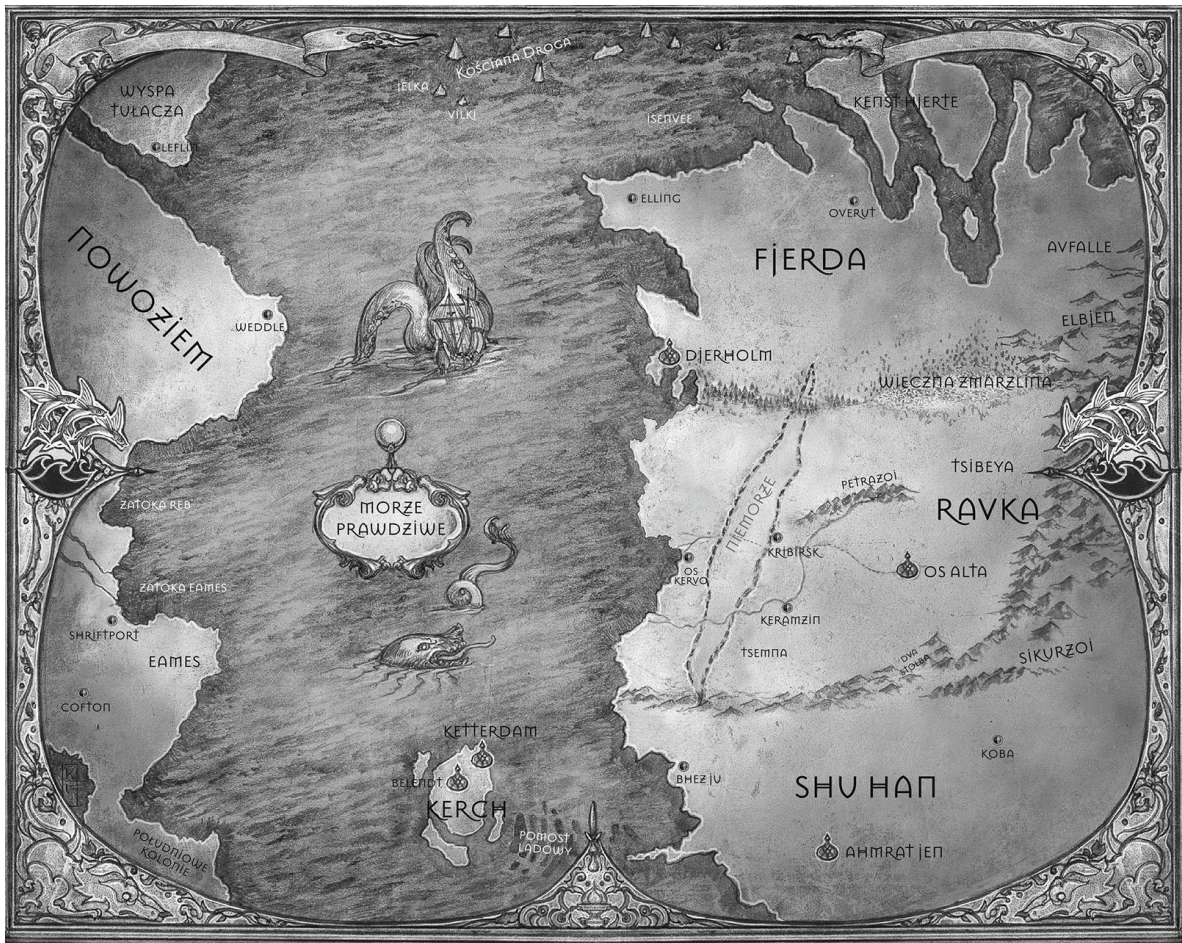
Ciałobójcy
Uzdrowiciele

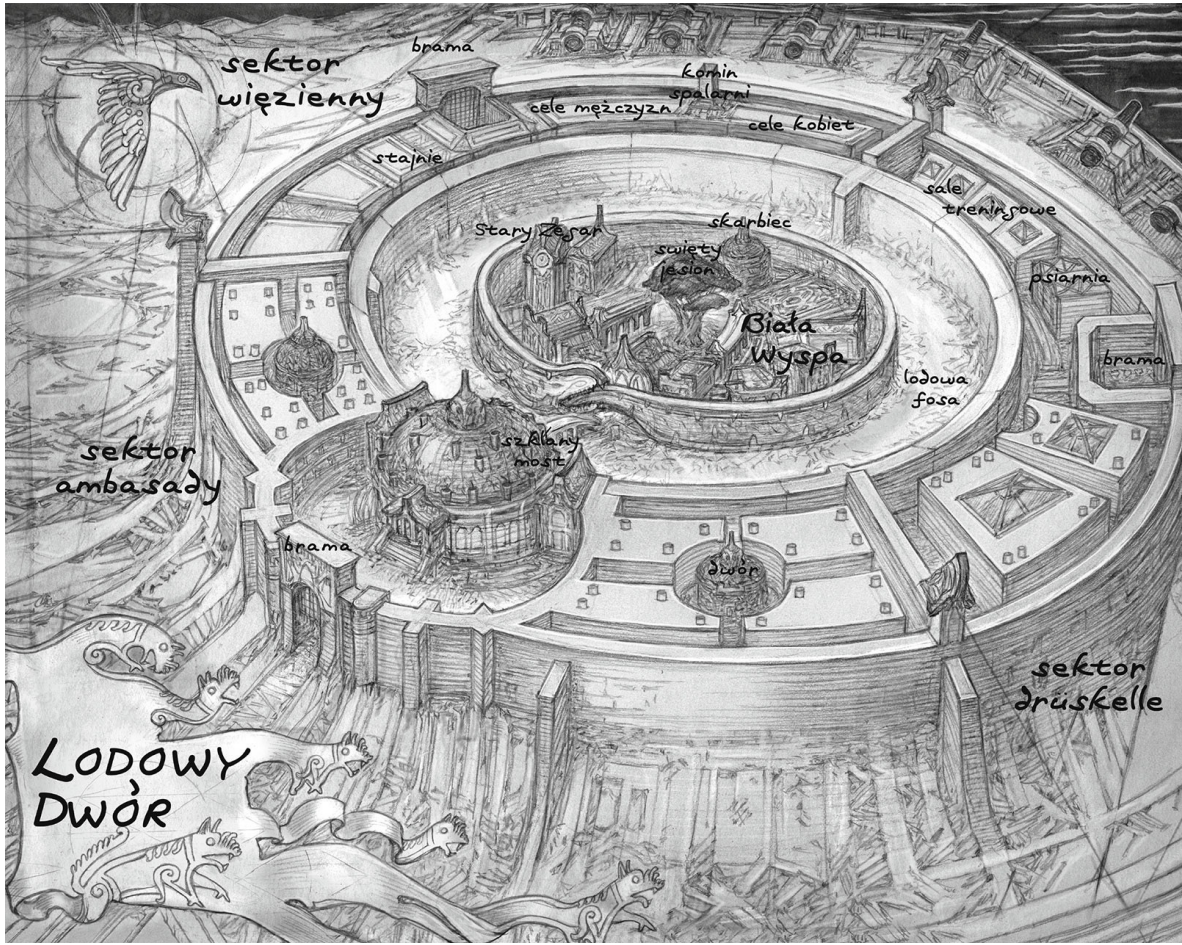
ETERYCY
(Zakon Przywoływaczy)

Szkwałnicy
Piekielnicy
Akwatycy

MATERIALNICY
(Zakon Fabrykatorów)

Substantycy
Alchemiści







CZEŚĆ PIERWSZA

SZEMRANY INTERES



Joost miał dwa kłopoty: z księżycem i wąsami.

Powinien robić obchód wokół domu Hoede'a, ale przez ostatni kwadrans krążył pod południowo-wschodnim murem ogrodów, próbując wymyślić coś błyskotliwego i romantycznego, co mógłby powiedzieć Anyi.

Gdyby tylko miała oczy niebieskie jak morze albo zielone jak szmaragdy. Ale nie: jej oczy były brązowe, cudne, rozmarzone... Brązowe jak stopiona czekolada? Brązowe jak królicze futerko?

– Po prostu powiedz jej, że ma skórę jak blask księżyca – poradził mu jego przyjaciel Pieter. – Dziewczyny to uwielbiają.

Idealne rozwiązanie, ale pogoda w Ketterdamie nie współpracowała. Tego dnia nie było bryzy znad portu, gęsta jak mleko szara mgła spowiła miejskie kanały i kręte zaułki wilgocią. Nawet tu, wśród rezydencji przy Geldstraat, powietrze było gęste od smrodu ryb i wody zęzowej, a dym z rafinerii na zewnętrznych wyspach miasta brudził nocne niebo mętnymi oparami. Księżyc w pełni mniej przypominał klejnot, a bardziej żółtawy wrzód, który prosi się o nacięcie.

Może mógłby skomplementować śmiech Anyi? Tyle że nigdy

nie słyszał, żeby się śmiała. Nie był dobry w opowiadaniu dowcipów.

Joost zerknął na swoje odbicie w jednej z szybek wstawionych w dwuskrzydłowe drzwi, które prowadziły z domu do bocznego ogrodu. Jego matka miała rację. Nawet w nowym mundurze nadal wyglądał jak dzieciak. Delikatnie potarł palcem skórę nad górną wargą. Gdyby tylko wreszcie sypnął mu się wąs. Miał wrażenie, że zarost jest gęstszy w dotyku niż wczoraj.

Pracował w *stadwachcie* niecałe sześć tygodni i okazało się, że to zajęcie nie jest nawet w przybliżeniu tak ekscytujące, jak miał nadzieję. Myślał, że będzie gonił złodziei po Baryłce albo patrolował porty i pierwszy oglądał towary wylądowywane na nabrzeże. Jednakże od czasu zabójstwa ambasadora w ratuszu Rada Kupiecka narzekała na brak bezpieczeństwa, gdzie więc wylądował? Tutaj – chodził w kółko wokół domu kupca, któremu się poszczęściło. Chociaż nie byle jakiego kupca. Radny Hoede zajmował tak wysoką pozycję we władzach Ketterdamu, jak to tylko możliwe. Taki człowiek może zapewnić dobry start w karierze zawodowej.

Joost poprawił płaszcz i karabin, a potem poklepał ciężką pałkę wiszącą przy biodrze. Może Hoede go polubi. „Baczny i sprawnie macha pałką” – tak o nim powie. „Ten chłopak zasługuje na awans”.

– Sierżant Joost Van Poel – szepnął, rozkoszując się brzmieniem tych słów. – Kapitan Joost Van Poel.

– Przestań się gapić na siebie.

Joost obrócił się gwałtownie i zarumienił, kiedy Henk i Rutger weszli energicznym krokiem do bocznego ogrodu. Obaj byli starsi, więksi i szersi w ramionach od Joosta i należeli do straży domowej, prywatnej służby radnego Hoede. To znaczyło, że nosili jego bladozieloną liberię, wymyślne nowoziemskie karabiny i nigdy nie pozwalali Joostowi zapomnieć, że jest tylko nędznym trepem ze straży miejskiej.

– Pieszczenie tej odrobiny meszku nie sprawi, że zaczniesz szybciej rosnać – dodał Rutger z głośnym śmiechem.

Joost starał się odzyskać nieco godności.

– Muszę skończyć obchód.

Rutger szturchnął Henka łokciem.

– To znaczy, że idzie zapuścić żurawia do pracowni griszów, żeby popatrzeć na swoją dziewczynę.

– Och, Anya, nie posłużyłabyś się swoją mocą griszy, żeby wąsy mi urosły? – przedrzeźniał Joosta Henk.

Młokos obrócił się na pięcie z płonącymi policzkami i odszedł wzdłuż wschodniej ściany domu. Droczyli się z nim, odkąd się tu pojawił. Gdyby nie Anya, pewnie poprosiłby kapitana o zmianę przydziału. Zamieniał z Anyą raptem po kilka słów podczas obchodów, ale spotkanie z nią zawsze było najmiłą chwilą nocy.

Poza tym musiał przyznać, że podobał mu się też dom radnego – a w każdym razie tyle, ile udało mu się dostrzec, kiedy zerkał do środka przez okna. Hoede zajmował jedną z najwspanialszych rezydencji przy Geldstraat – posadzki ułożono z lśniących kwadratów czarnego i białego kamienia, błyszczące ciemne boazerie na ścianach były oświetlone przez zyrandole z dmuchanego szkła, które falowały niczym meduzy pod kasetonowymi sufitami. Czasem Joost udawał, że to jego dom, że jest bogatym kupcem, który tylko przechadza się po swoim wspaniałym ogrodzie.

Zanim wyszedł z za rogu, wziął głęboki wdech. „Anya, twoje oczy są brązowe jak... kora drzewa?”. Coś wymyśli. Zresztą lepiej mu wychodziły spontaniczne uwagi.

Zdziwił się, widząc, że przeszklone drzwi do pracowni griszów stoją otworem. Ta pracownia, bardziej nawet niż ręcznie malowane niebieskie kafelki w kuchni czy kominki zastawione tulipanami w doniczkach, świadczyła o zamożności Hoede'a. Kontrakty z griszami nie były tanie, a Hoede dysponował aż trzema kontraktowcami.

Jednakże Jurij nie pracował przy długim stole roboczym, a Anyi nigdzie nie było widać. Tylko Retvenko siedział w pracowni, rozwalony na krześle, w ciemnoniebieskich

szatach, z zamkniętymi oczami i otwartą książką na piersi.

Joost zawahał się przy drzwiach. Odchrząknął.

– W nocy te drzwi powinny być solidnie zamknięte na klucz.

– W tym domu jest jak w piecu – rzucił przeciągle Retvenko, nie otwierając oczu. Mówił z silnym, wibrującym akcentem z Ravki. – Powiedz Hoede’owi, że jak przestanę się pocić, to zamknę drzwi.

Szpakowaty Retvenko był szkwalnikiem i najstarszym z griszów kontraktowych. Krążyły plotki, że walczył w wojnie domowej w Ravce i po przegranej uciekł do Kerchu.

– Z radością przekażę pańską skargę radnemu Hoede’owi – skłamał Joost. W domu zawsze było za gorąco, jakby Hoede czuł się zobowiązany do spalania węgla, ale Joost nie zamierzał być tym, który mu o tym wspomni. – A do tego czasu...

– Masz wiadomości od Yurija? – przerwał mu Retvenko, wreszcie unosząc opadające powieki.

Joost zerknął niespokojnie na misy z czerwonymi winogronami i sterty bordowego aksamitu leżące na stole. Yurij pracował nad przeniesieniem koloru owoców na zasłony dla pani Hoede, ale poważnie rozchorował się kilka dni temu i od tego czasu Joost go nie widział. Aksamit zaczął się pokrywać kurzem, a winogrona się psuły.

– Nic nie słyszałem.

– Oczywiście, że niczego nie słyszałeś. Za bardzo jesteś zajęty dumnym kroczeniem w tym durnym fioletowym mundurze.

Co było nie tak z jego mundurem? I co właściwie Retvenko robił w pracowni? Był osobistym szkwalnikiem Hoede’a i często podróżował z najcenniejszymi towarami kupca, gwarantując pomyślne wiatry, które szybko i bezpiecznie doprowadzały statki do portu. Dlaczego nie mógł być właśnie na morzu?

– Myślę, że Yurij został objęty kwarantanną.

– Bardzo to pomocne – zaszydził Retvenko. – Możesz przestać wyciągać szyję jak gęś wypatrująca żarcia – dodał. – Anyi tu nie ma.

Joostowi znowu zapłonęły policzki.

– A gdzie jest? – zapytał, siląc się na stanowczy ton. – Powinna przebywać w pracowni po zmierzchu.

– Godzinę temu przyszedł po nią Hoede. Tak samo jak tej nocy, kiedy przyszedł po Yurija.

– Co masz na myśli, mówiąc, że przyszedł po Yurija? Yurij zachorował.

– Hoede przychodzi po Yurija, a Yurij wraca chory. Dwa dni później Yurij znika na dobre. A teraz Anya.

Na dobre?

– Może to jakaś nagła sprawa. Może trzeba kogoś wyleczyć...

– Najpierw Yurij, teraz Anya. Ja będę następny i nikt niczego nie zauważy, oprócz biednego małego funkcjonariusza Joosta. Odejdź już.

– Jeśli radny Hoede...

Retvenko podniósł rękę i podmuch wiatru odepchnął Joosta. Chłopak zatoczył się i złapał za futrynę, żeby się nie przewrócić.

– Powiedziałem już!

Retvenko wyrysował koło w powietrzu i drzwi się zatrzasnęły. Joost puścił się futryny w samą porę, żeby drzwi nie zmiażdżyły mu palców, i wylądował w bocznym ogrodzie.

Poderwał się najszybciej, jak zdołał, i otrzepał mundur z błota. Żołądek zaciskał mu się ze wstydu. Jedna z szybka w drzwiach pękła na skutek siły uderzenia. Widział przez nią krzywy uśmiešek szkwalnika.

– Dopiszą ci to do twojego kontraktu – powiedział Joost, wskazując pękniętą szybę.

Nie cierpiał tego, jak słabo i małostkowo zabrzmiał jego głos.

Retvenko machnął ręką i drzwi zadygotały na zawiasach. Joost bezwiednie zrobił krok w tył.

– Wracaj na swój obchód, piesku łańcuchowy! – krzyknął Retvenko.

– Świetnie ci poszło – zaszydził Rutger, który opierał się o ogrodowy mur.

Jak długo tam stał?

– Nie masz niczego lepszego do roboty niż łożenie za mną? –

zapytał Joost.

– Wszystkie straże mają zgłosić się do hangaru na łodzie. Nawet ty. Chyba że jesteś za bardzo zajęty zdobywaniem przyjaciół...

– Prosiłem tylko, żeby zamknął drzwi.

Rutger pokręcił głową.

– Nie prosź. Rozkazuj. To służba, a nie goście honorowi.

Joost ruszył razem z nim, nadal gotując się z upokorzenia. Najgorsze było to, że Rutger miał rację. Retvenko nie miał prawa zwracać się do niego w taki sposób. Ale co Joost mógł zrobić? Nawet gdyby miał dość odwagi, żeby wdać się w kłótnię ze szkwalnikiem, to byłoby tak, jakby awanturował się z kosztowną wazą. Griszowie nie są tylko służbą; to cenna własność Hoede'a.

Poza tym, co Retvenko miał na myśli, mówiąc o tym, że zabrano Yurija i Anyę? Krył Anyę z powodu jej nieobecności? Nie bez powodu griszów-kontraktowców trzymano blisko domu. Chodząc po ulicach bez ochrony, ryzykujesz, że dopadnie cię handlarz niewolników i będzie po tobie. Może Anya się z kimś spotyka? – pomyślał żałośnie Joost.

Blask światła i ruch przy hangarze nad kanałem przerwały jego rozmyślenia. Po drugiej stronie wody widział inne wspaniałe domy kupieckie, wysokie i smukłe, schludne szczyty dwuspadowych dachów rysowały się ciemnymi sylwetkami na tle nocnego nieba, a ich ogrody i hangary na łodzie były oświetlone latarniami.

Kilka tygodni temu Joostowi powiedziano, że hangar będzie remontowany, więc niech skreśli go z trasy obchodów. Jednakże, gdy wszedł do środka z Rutgerem, nie zobaczył farby ani rusztowań. Już zebrała się tam pozostała straż domowa w liberii w odcieniu morskiej zieleni. Joost rozpoznał dwóch strażników ze *stadwacht*y w fioletach. Większość wnętrza zajmowało ogromne pudło, swoista wolno stojąca cela, która wyglądała na wykonaną ze wzmacnianej, gęsto nitowanej stali. W jednej ze ścian umieszczono wielgachne okno. Szkło było pofalowane.

Joost widział przez nie dziewczynę siedzącą przy stole. Owijała się ciasno czerwonym jedwabiem. Za nią stał na baczność strażnik ze *stadwachtu*.

Anya, zdał sobie sprawę zaskoczony Joost. Jej brązowe oczy były wielkie i przestraszone, skóra blada. Mały chłopiec, który siedział naprzeciwko niej, robił wrażenie jeszcze bardziej przestraszonego. Włosy miał rozczochrane od snu, nogi zwisały mu z krzesła, nie sięgając podłogi. Chłopiec wymachiwał nimi nerwowo.

– Po co tyłu strażników? – zapytał Joost.

Musiało się ich tłoczyć w hangarze z dziesięciu. Radny Hoede też tam był, w towarzystwie kupca, którego Joost nie znał. Obaj nosili kupiecką czerń. Joost wyprostował się, kiedy zobaczył, że rozmawiają z kapitanem *stadwachty*. Miał nadzieję, że strzepnął całe błoto z munduru.

– Co to jest?

Rutger wzruszył ramionami.

– A kogo to obchodzi? Odmiana w rutynie.

Joost znowu zerknął przez szybę. Anya wpatrywała się w niego niewidzącym wzrokiem. W dniu, kiedy zjawił się w domu Hoede'a, wyleczyła siniak na jego policzku. To nic wielkiego, żółto-zielona pamiątka po uderzeniu w twarz podczas szkolenia, ale najwyraźniej Hoede to zauważył i nie podobało mu się, że jego strażnicy wyglądają jak opryszki. Joosta wysłano do pracowni griszów, a Anya posadziła go w jasnym kwadracie światła zimowego słońca. Przesunęła chłodnymi palcami po jego skórze i chociaż potwornie to swędziało, kilka sekund później po siniaku nie został najmniejszy ślad.

Kiedy jej podziękował, uśmiechnęła się – i wtedy Joost przepadł. Wiedział, że nie ma dla niego nadziei. Nawet gdyby była nim zainteresowana, jego nigdy nie byłoby stać na odkupienie jej kontraktu od Hoede'a, a ona nie mogła wyjść za mąż bez pozwolenia radnego. To jednak nie powstrzymało go przed zaglądaniem do pracowni, żeby się przywitać, albo od przynoszenia jej drobnych upominków. Najbardziej spodobała

jej się mapa Kerchu, figlarny rysunek ich wyspiarskiego kraju otoczony przez syreny pływające w Morzu Prawdziwym i statki popychane przez wiatry przedstawione w postaci mężczyzn o wydętych policzkach. To była tania pamiątka, w rodzaju tych, jakie turyści kupują przy Wschodniej Klepce, ale Anyi najwyraźniej sprawiła przyjemność.

Teraz odważył się unieść rękę na powitanie. Anya nie zareagowała.

– Ona cię nie widzi, kretynie – rzucił ze śmiechem Rutger. – Po jej stronie na szkle jest lustro.

Joostowi policzki się zaróżowiły.

– A skąd miałem to wiedzieć?

– Otwórz oczy i chociaż raz uważaj.

Najpierw Yurijs, teraz Anya.

– Po co im uzdrowicielka? Temu chłopcu coś jest?

– Jak dla mnie wygląda na zdrowego.

Kapitan i Hoede najwyraźniej porozumieli się w jakiejś kwestii.

Joost widział przez szybę, jak Hoede wchodzi do celi i poklepuje chłopca pokrzepiającym gestem. W celi musiały być jakieś otwory wentylacyjne, bo Joost usłyszał, jak Hoede mówi:

– Bądź dzielnym chłopcem. Zarobisz na tym kilka *kruge*.

Potem ujął podbródek Anyi pokrytą plamami starczymi dłońią. Dziewczyna zamarła, a Joostowi zacisnął się żołądek. Hoede potrząsnął lekko głową Anyi.

– Rób, co ci każą, a zaraz będzie po wszystkim, *ja*?

Posłała mu słaby, powściągliwy uśmiech.

– Oczywiście, Onkle.

Hoede szepnął kilka słów do strażnika stojącego za Anyą i wyszedł. Drzwi zatrzasnęły się z głośnym brzękiem, a Hoede przesunął ciężki rygiel.

Razem z drugim kupcem stanął niemal dokładnie przed Joostem i Rutgerem.

Kupiec, którego Joost nie znał, powiedział:

– Jesteś pewien, że to rozsądne? Ta dziewczyna to somatyczka.

Po tym, co się stało z twoim fabrykatorem...

– Gdyby to był Retvenko, martwiłbym się, ale Anya ma słodkie usposobienie. Jest uzdrowicielką. Nie jest skłonna do agresji.

– A ty zmniejszyłeś dawkę?

– Tak, ale uzgodniliśmy, że jeśli skutki będą takie same jak w przypadku fabrykatora, to rada wypłaci mi rekompensatę, zgadza się? Nie mogą oczekiwać, że sam poniosę takie koszty.

Kiedy kupiec skinął głową, Hoede dał znak kapitanowi.

– Proszę zaczynać.

Takie same skutki jak w przypadku fabrykatora. Retvenko twierdził, że Yurij przepadł. To właśnie miał na myśli?

– Sierzancie – odezwał się kapitan – jest pan gotowy?

Strażnik w celi odpowiedział:

– Tak jest, sir.

Wyciągnął nóż.

Joost z trudem przełknął ślinę.

– Pierwsza próba – powiedział kapitan.

Strażnik pochylił się i kazał chłopcu podwinąć rękaw. Chłopak wykonał polecenie i wyciągnął rękę, wkładając kciuk drugiej ręki do ust. Jest już na to za duży, pomyślał Joost. Chłopiec musiał być bardzo wystraszony. Joost spał ze swoim skarpetkowym misiem do czternastego roku życia, co jego starsi bracia bezlitośnie wykpiwali.

– Trochę zapieczę – uprzedził strażnik.

Chłopiec pokiwał głową, nadal trzymając kciuk w ustach, i patrzył okrągłymi oczami.

– To naprawdę nie jest konieczne... – powiedziała Anya.

– Proszę o ciszę – odezwał się Hoede.

Strażnik poklepał chłopca, a potem rozciął mu przedramię, znacząc je jasnoczerwoną linią. Chłopiec natychmiast się rozplakał.

Anya próbowała wstać z krzesła, ale strażnik surowym gestem położył rękę na jej ramieniu.

– W porządku, sierzancie, proszę pozwolić jej wyleczyć chłopaka.

Anya pochyliła się, ujmując delikatnie rękę chłopca.

– Ciii – powiedziała cicho. – Pozwól, że ci pomogę.

– Będzie boleć? – zapytał dzieciak, przełykając łzy.

Uśmiechnęła się.

– Nic a nic. Tylko trochę zaswędzi. Postaraj się nie ruszać, dobrze?

Joost złapał się na tym, że pochyła się bardziej. Nigdy tak naprawdę nie widział, jak Anya kogoś leczy.

Uzdrowicielka wyjęła chusteczkę z rękawa i otarła nadmiar krwi. Potem delikatnie musnęła palcami ranę. Joost patrzył ze zdumieniem, jak skóra powoli odtwarza się i zrasta.

Kilka minut później chłopiec uśmiechał się szeroko, wyciągając przed siebie rękę. Była nieco zaczerwieniona, ale poza tym gładka, bez śladu rozcięcia.

– To była magia?

Anya popukała go w nos.

– Poniekąd. Ta sama magia, którą posługuje się twoje własne ciało, gdy dać mu czas i kawałek bandaża.

Chłopiec sprawiał wrażenie niemal rozczarowanego.

– Dobrze, dobrze – rzucił niecierpliwie Hoede. – A teraz *parem*.

Joost zmarszczył brwi. Nigdy nie słyszał tego słowa.

Kapitan dał znać sierżantowi:

– Druga część próby.

– Wyciągnij rękę – znowu polecił chłopcu strażnik.

Dzieciak pokręcił głową.

– Nie lubię tej części.

– Ręka.

Dolna warga chłopca zadrżała, ale wyciągnął rękę. Strażnik znowu ją rozciął. Potem położył na stole przed Anyą małą kopertę z woskowanego papieru.

– Przełknij zawartość paczuszki – polecił jej Hoede.

– Co to jest? – zapytała drżącym głosem.

– To nie twoje zmartwienie.

– Co to jest? – powtórzyła.

– Nie zabije cię. Poprosimy, żebyś wykonała to samo proste

zadanie, abyśmy ocenili wpływ substancji. Sierżant ma zadbać, żebyś zrobiła tylko to, co ci kazano, i nic więcej, jasne?

Zacisnęła zęby, ale skinęła głową.

– Nikt cię nie skrzywdzi – zapewnił ją Hoede – ale pamiętaj, jeśli zranisz sierżanta, nie wyjdiesz z tej celi. Drzwi są zamknięte od zewnątrz.

– Co jej dają? – szepnął Joost.

– Nie wiem – odpowiedział Rutger.

– A co ty w ogóle wiesz?

– Dość, żeby nie kłapać dziobem.

Joost się skrzywił.

Drżącymi rękami Anya podniosła małą kopertę i ją otworzyła.

– Śmiało – ponaglił ją Hoede.

Odchyliła głowę i przełknęła proszek. Przez chwilę siedziała i czekała z zaciśniętymi ustami.

– To po prostu *jurda*? – zapytała z nadzieją.

Joost też złapał się na tym, że ma taką nadzieję. *Jurda* to nic strasznego, zwykły środek pobudzający, który żuli wszyscy w *stadwachcie*, żeby nie przysypiać na nocnych wartach.

– A jak smakuje? – zapytał Hoede.

– Jak *jurda*, tyle że słodsza...

Anya wzięła gwałtowny wdech. Zacisnęła ręce na stole, a źrenice tak jej się rozszerzyły, że oczy wydawały się praktycznie czarne.

– Ooooch – westchnęła.

Zabrzmiało to niemal jak pomruk.

Strażnik zacisnął rękę na jej ramieniu.

– Jak się czujesz?

Spojrzała w lustro z uśmiechem. Między jej białymi zębami mignął język z rdzawymi plamami. Joostowi nagle zrobiło się zimno.

– Zupełnie tak samo było z fabrykatorem – mruknął kupiec.

– Ulecz chłopca – rozkazał Hoede.

Machnęła ręką niemalże lekceważąco i rozcięcie na rękę dzieciaka natychmiast się zasklepiło. Krew z jego skóry uniosła

się na chwilę w postaci czerwonych kropelek, a potem zniknęła. Skóra była idealnie gładka, wszelkie ślady krwi czy zaczerwienienia zniknęły. Chłopiec się rozpromienił.

– To zdecydowanie była magia.

– Też tak to czuję – powiedziała Anya z tym samym upiornym uśmiechem.

– Nawet go nie dotknęła – zdumiał się kapitan.

– Anya – odezwał się Hoede – posłuchaj uważnie. Każemy teraz strażnikowi przeprowadzić następną próbę.

– Mmm – mruknęła melodyjnie Anya.

– Sierzancie – powiedział Hoede – proszę odciąć chłopcu kciuk.

Chłopak zawył i znowu zaczął płakać. Schował dłonie pod uda, żeby je ochronić.

Powinienem to przerwać, pomyślał Joost. Powinienem wymyślić sposób, żeby ją ochronić, żeby ochronić ich oboje. Tylko co wtedy? Był nikim – nowy w *stadwachcie*, nowy w tym domu. Poza tym – odkrył z nagłym wstydem – nie chciał stracić pracy.

Anya tylko uśmiechnęła się i odchyliła głowę, żeby spojrzeć na sierżanta.

– Strzel w szybę.

– Co ona powiedziała? – zapytał kupiec.

– Sierzancie! – warknął kapitan.

– Strzel w szybę – powtórzyła Anya.

Twarz sierżanta zwiotczała. Przechylił głowę, jakby wychwycił odległą melodię, a potem zdjął karabin z ramienia i wymierzył w okno obserwacyjne.

– Padnij! – krzyknął ktoś.

Joost rzucił się na ziemię, zasłaniając głowę, kiedy gwałtowny huk wystrzałów wypełnił mu uszy, a okruchy szkła posypały się na jego dłonie i plecy. W jego myślach zapanował paniczny zgiełk. Umysł próbował temu zaprzeczyć, ale wiedział, co przed chwilą zobaczył. Anya rozkazała sierżantowi strzelić w szybę. Zmusiła go do tego. Tylko że to było niemożliwe. Somatycy specjalizowali się w ludzkim ciele. Potrafili zatrzymać serce

człowieka, spowolnić mu oddech, połamać kości. Nie mogli wejść do cudzej głowy.

Na chwilę zapadła cisza. Potem Joost zerwał się na równe nogi razem z pozostałymi i sięgnął po karabin. Hoede i kapitan krzyczeli jednocześnie.

– Unieruchomić ją!

– Zastrzelić ją!

– Wiesz, ile pieniędzy ona jest warta? – sprzeciwił się Hoede. – Niech ktoś ją zwiąże! Nie strzelać!

Anya uniosła ręce, a czerwone rękawy rozłożyły się szeroko.

– Czekaście – powiedziała.

Panika Joosta zniknęła. Wiedział, że przed chwilą był przerażony, ale ten strach stał się czymś odległym. Wypełniło go wyczekiwanie. Nie był pewien, co nadejdzie ani kiedy, ale wiedział, że to się stanie, i kluczowe było to, żeby był gotowy na to spotkanie. To może być coś dobrego lub złego. Tak naprawdę to nie było istotne. Jego serce uwolniło się od trosk i pragnień. Nie tęsknił za niczym, nie pragnął niczego, jego umysł ucichł, oddech się wyrównał. Musiał tylko poczekać.

Widział, jak Anya podnosi małego chłopca. Słyszał, jak grucha do niego czule, nucąc jakąś kołysankę z Ravki.

– Otwórz drzwi i wejdź tu, Hoede – powiedziała.

Joost usłyszał te słowa, zrozumiał je i zaraz je zapomniał.

Hoede podszedł do drzwi i odsunął zasuwę. Wszedł do stalowej celi.

– Rób, co ci każą, a zaraz będzie po wszystkim, *ja?* – mruknęła do niego z uśmiechem Anya.

Jej oczy były czarnymi bezdennymi czeluściami. Jej skóra pałała, jarzyła się, jaśniała. Pewna myśl pojawiła się w umyśle Joosta: piękna jak księżyc.

Anya poprawiła sobie ciężar chłopca, którego trzymała na rękach.

– Nie patrz. – Przytuliła twarz do jego włosów. – A teraz – powiedziała do Hoede'a – podnieś nóż.



Kaz Brekker nie potrzebował powodu. Tak szeptano na ulicach Ketterdamu, w karczmach i kawiarniach, w ciemnych i krwawiących zaułkach dzielnicy rozkoszy znanej jako Baryłka. Chłopak, którego nazywano Brudnorękim, nie potrzebował powodu, tak samo jak nie potrzebował pozwolenia – żeby złamać nogę, zerwać sojusz albo jedną kartą odmienić czyjś los.

Oczywiście mylili się, rozmyślała Inej, przechodząc mostem nad czarnymi wodami Beurscanal na opustoszały główny rynek przed Giełdą. Każdy akt przemocy był rozmyślny, a każda przysługa wiązała lepiej od sznura. Kaz zawsze miał powód – tyle że Inej nie była nigdy przekonana, czy to na pewno dobre powody. Zwłaszcza tej nocy.

Sprawdziła noże, cicho recytując ich imiona, jak zawsze, kiedy spodziewała się kłopotów. To był praktyczny nawyk, ale też źródło otuchy. Noże były jej kompanami. Lubiła wiedzieć, że są gotowe na to, co może przynieść noc.

Zobaczyła Kaza i pozostałych zebranych w pobliżu wielkiego kamiennego łuku, który znaczył wschodnie wejście na Giełdę. Trzy słowa wyryto w kamieniu nad nimi: *Enjent, Voorhent, Almhent*. Pracowitość, Uczciwość, Dobrobyt.

Trzymała się blisko pozamykanych okiennicami frontów sklepowych przy rynku, unikając plam migotliwego światła gazowego rzucanego przez uliczne latarnie. Idąc, taksowała wzrokiem ekipę, którą Kaz przyprowadził ze sobą: Dirix, Rotty, Muzzen i Keeg, Anika i Pim oraz wybrani przez niego sekundanci na nocne pertraktacje: Jesper i Duży Bolliger. Przepychali się i potracali ze śmiechem, przytupywali z powodu chłodu ostatnich dni zimy poprzedzających nadejście wiosny na dobre. Same osiłki i awanturnicy wybrani spośród młodszych członków Szumowin, ludzi, którym Kaz najbardziej ufał. Inej zauważyła błysk noży wsuniętych za paski, ołowiane rurki, obciążone łańcuchy, styliska siekier nabijane zardzewiałymi gwoździami, tu i ówdzie oleisty przebłysk lufy. Wsunęła się bezszelestnie między szeregi zebranych, przyglądając się ceniom w pobliżu Giełdy i wypatrując szpiegów Czarnych Palców.

– Trzy statki! – mówił Jesper. – Z Shu Hanu. Zacumowały w Pierwszej Przystani, z działami w gotowości, pod czerwonymi banderami, wypchane po żagle złotem.

Duży Bolliger zagwizdał cicho.

– Chciałbym to zobaczyć.

– A ja chciałbym to ukraść – odparł Jesper. – Połowa Rady Kupieckiej kręciła się tam, wymachując rękami i trajkocząc. Próbowali wymyślić, co teraz zrobić.

– Nie chcą, żeby Shu spłacili dług? – zapytał Duży Bolliger.

Kaz pokręcił głową, a jego ciemne włosy zabłysły w świetle latarni. Stanowił zbiór ostrych linii i precyzyjnych krawędzi – mocna linia zuchwy, smukła sylwetka, wełniany płaszcz dopasowany w ramionach.

– I tak, i nie – powiedział głosem chropawym jak sól kamienna. – Zawsze to dobrze, gdy jakiś kraj jest twoim dłużnikiem. Dzięki temu negocjacje są przyjaźniejsze.

– Może Shu mają już dość bycia przyjaznymi – odrzekł Jesper. – Nie musieli przysyłać całego skarbu naraz. Myślisz, że to oni załatwili tego ambasadora handlowego?

Kaz nieomylnie wypatrzył Inej w tłumie. W Ketterdamie od tygodni wrzało z powodu śmierci ambasadora, która niemal zniszczyła stosunki między Kerchem i Nowoziemem i pogrążyła Radę Kupiecką w chaosie. Nowoziemcy obwiniali Kerch. Kerch podejrzewał Shu Han. Kaza nie obchodziło, kto odpowiadał za zamach; morderstwo go fascynowało, ponieważ nie potrafił rozgryźć, jak je popełniono. W jednym z najruchliwszych korytarzy ratusza, na oczach ponad tuzina rządowych urzędników nowoziemski ambasador wszedł do toalety. Nikt inny nie wszedł tam ani stamtąd nie wyszedł, ale kiedy kilka minut później jego współpracownik zapukał do drzwi, nikt nie odpowiedział. Gdy je wyłamano, znaleziono ambasadora leżącego twarzą na białych kafelkach z nożem wbitym w plecy. Woda nadal lała się do umywalki.

Kaz wysłał Inej, żeby zbadała teren po godzinach urzędowania. Do toalety nie prowadziło inne wejście, nie było tam żadnych okien czy przewodów wentylacyjnych, a nawet Inej nie opanowała jeszcze sztuki przeciskania się rurami kanalizacyjnymi. Mimo to nowoziemski ambasador nie żył. Kaz nienawidził zagadek, których nie potrafił rozwiązać. Razem z Inej wymyślili setki teorii na temat morderstwa, ale żadna nie brzmiała satysfakcjonująco. Tej nocy mieli jednak na głowie pilniejsze sprawy.

Zauważyła, że dał znak Jesperowi i Dużemu Bolligerowi, żeby oddali broń. Prawo ulicy mówiło, że podczas tego typu pertraktacji przybocznemu towarzyszy tylko dwóch żołnierzy. Nieuzbrojonych. Pertraktacje. To słowo brzmiało jak podstęp, było dziwnie wymuskane, staroświeckie. Niezależnie od tego, co głosiło prawo ulicy, ta noc pachniała przemocą.

– No już, oddawaj broń – powiedział do Jespera Dirix.

Z ciężkim westchnieniem Jesper odpiął z bioder pas z rewolwerami. Inej musiała przyznać, że bez nich nie wyglądał jak prawdziwy Jesper. Nowoziemski snajper miał smukłe, długie członki, brunatną skórę i był nieustannie w ruchu. Przycisnął usta do perłowych kolb cennych rewolwerów, składając na

każdej tęskny pocałunek.

– Opiekuj się dobrze moimi maleństwami – powiedziała, wręczając je Diriksowi. – Jeśli zobaczę na nich choćby jedną ryskę albo karb, to wypiszę ci kulami na piersi słowa „przepraszam najmocniej”.

– Nie zmarnowałybyś tyle amunicji.

– Padłby trupem w połowie „przepraszam” – powiedział Duży Bolliger, upuszczając w wyciągnięte wyczekująco ręce Rotty’ego siekiere, nóż sprężynowy i swoją ulubioną broń: gruby łańcuch z ciężką kłódką.

Jesper przewrócił oczami.

– Chodzi o przesłanie. Jaki sens ma trup z napisanym na piersi „przepra”?

– Proponuję kompromis – odezwał się Kaz. – „Wybacz” też się sprawdzi, a wymaga mniejszej liczby kul.

Dirix się roześmiał, ale Inej zauważyła, że bardzo ostrożnie trzyma rewolwery Jespera.

– A co z tym? – zapytał Jesper, wskazując na laskę Kaza.

Kaz zaśmiał się cicho i niewesoło.

– Kto odmówi laski biednemu kalece?

– Jeśli kaleką będziesz ty, to każdy rozsądny człowiek.

– W takim razie to dobrze, że spotykamy się z Geelsem. – Kaz wyjął zegarek z kieszonki kamizelki. – Już prawie północ.

Inej spojrzała na Giełdę. Na pozór zwyczajny prostokątny dziedziniec otoczony magazynami i biurami spedycyjnymi był za dnia sercem Ketterdamu, w którym roiło się od zamożnych kupców kupujących i sprzedających udziały w wyprawach handlowych przechodzących przez porty miasta. Teraz zbliżała się dwunasta i Giełda opustoszała, jeżeli nie liczyć strażników, którzy patrolowali teren i kręcili się po dachu. Przekupiono ich, żeby podczas pertraktacji tej nocy patrzyli w inną stronę.

Giełda była jednym z nielicznych miejsc w mieście, które nie zostały zajęte podczas nieustannych potyczek między rywalizującymi gangami Ketterdamu. To miał być neutralny teren, ale Inej nie odbierała go w ten sposób. Panowała tam cisza

jak w lesie, zanim wnyki zacisną się mocno i zając zaczną krzyczeć. Czuła się tam jak w pułapce.

– To błąd – powiedziała.

Duży Bolliger prawie podskoczył; nie wiedział, że Inej stoi obok niego. Słyszała, jakim imieniem lubią nazywać ją między sobą Szumowiny: Zjawa.

– Geels coś kombinuje.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział Kaz.

Jego głos miał szorstkie, zdarte brzmienie, jak kamień pocierany o kamień. Inej zawsze się zastanawiała, czy tak samo mówił jako mały chłopiec. O ile kiedykolwiek był małym chłopcem.

– To po co przychodzić tu dziś w nocy?

– Bo tak chce to załatwić Per Haskell.

Stary człowiek, stare metody, pomyślała Inej, ale nie powiedziała tego na głos. Podejrzewała jednak, że inne Szumowiny myślą to samo.

– Przez niego wszyscy zginiemy – powiedziała.

Jesper wyciągnął długie ręce nad głową i uśmiechnął się szeroko; białe zęby zaśniły na tle ciemnej skóry. Musiał jeszcze oddać karabin, a na razie przez zarys broni na plecach przypominał niezdarnego, długonogiego ptaka.

– Statystycznie rzecz ujmując, przez niego zginie pewnie tylko część z nas.

– To nie jest temat do żartów – odpowiedziała.

Kaz posłał jej rozbawione spojrzenie. Wiedziała, jak zabrzmiały jej słowa – mówiła jak surowa i pedantyczna starucha, która rzuca złowieszcze ostrzeżenia z ganku. To jej się nie podobało, ale wiedziała też, że ma rację. Poza tym stare kobiety muszą coś wiedzieć, bo inaczej nie dorobiłyby się zmarszczek i nie dożyły chwili, kiedy mogą wrzeszczeć ze swoich frontowych werand.

– Jesper nie żartuje – powiedział jej Kaz. – On tylko wylicza szanse.

Duży Bolliger strzelił potężnymi kostkami dłoni.

– Cóż, na mnie czeka piwko z patelnią jajek w „Koooperomie”, więc nie mogę umrzeć dzisiejszej nocy.

– A założymy się? – zapytał Jesper.

– Nie będę obstawiał własnej śmierci.

Kaz włożył kapelusz na głowę i przesunął po rondzie palcami w rękawiczce w geście szybkiego salut.

– Czemu nie, Bolliger? My codziennie to robimy.

Miał rację. Dług, jaki Inej miała wobec Pera Haskella, oznaczał, że ryzykowała życie za każdym razem, gdy przyjmowała nowe zadanie, za każdym razem, gdy opuszczała swój pokój w Listewce. Dzisiejsza noc niczym się nie różniła od pozostałych.

Kaz uderzył laską o bruk, kiedy zaczęły rozbrzmiewać dzwony w Kościele Handlu. Wszyscy ucichli. Skończył się czas na pogaduszki.

– Geels nie jest sprytny, ale ma dość oleju w głowie, żeby narobić kłopotów – oznajmił Kaz. – Niezależnie od tego, co usłyszycie, nie dołączajcie do bójki, dopóki nie wydam rozkazu. Bądźcie czujni. – Skinął krótko głową do Inej. – A ty się nie pokazuj.

– Żadnych żałobników – powiedział Jesper, rzucając karabin Rotty’emu.

– Żadnych pogrzebów – mruknęły w odpowiedzi pozostałe Szumowiny.

Pośród nich te słowa znaczyły „powodzenia”.

Zanim Inej zdążyła zniknąć w cieniach, Kaz postukał ją w ramię gałką laski w kształcie wroniej głowy.

– Pilnuj strażników na dachu. Geels mógł ich kupić.

– W takim razie... – zaczęła Inej, ale Kaz już odszedł.

Sfrustrowana Inej uniosła ręce. Miała setkę pytań, ale jak zwykle Kaz trzymał wszystkie odpowiedzi przy sobie w morderczym uścisku.

Pobiegła w stronę wychodzącej na kanał ściany Giełdy. Tylko przyboczni i ich sekundanci mogli brać udział w pertraktacjach, ale na wypadek gdyby Czarne Palce wpadły na jakiś pomysł, pozostałe Szumowiny miały czekać tuż za wschodnim łukiem

z bronią w pogotowiu. Wiedziała, że Geels zgromadzi ekipę ciężko uzbrojonych Czarnych Palców przy zachodnim wejściu.

Inej znajdzie sobie własne wejście. Zasady uczciwej gry wśród gangów obowiązywały w czasach Pera Haskella. Poza tym była Zjawą i jedyne prawo, jakie ją obowiązywało, to prawo grawitacji, a bywały dni, kiedy nawet i je łamała.

Niższy poziom Giełdy zajmowały pozbawione okien magazyny, więc Inej znalazła sobie rynnę, żeby się po niej wdrapać. Coś sprawiło, że zawahała się, zanim złapała się rynny ręką. Wyciągnęła z kieszeni kościane światełko i potrzasnęła nim, rzucając bladozieloną poświatę na rynnę. Była śliska od oleju. Inej ruszyła wzdłuż ściany, szukając innej możliwości, i natrafiła na kamienny gzyms z posągami trzech kercheńskich latających ryb w zasięgu ręki. Wspięła się na palce i ostrożnie pomacała wierzch gzymsu. Obsypano go tłuczonym szkłem. Spodziewają się mnie, pomyślała z ponurą satysfakcją.

Dołączyła do Szumowin niecałe dwa lata temu, kilka dni po piętnastych urodzinach. To była kwestia przetrwania, ale dawała jej satysfakcję świadomość, że w tak krótkim czasie stała się kimś, przed kim się zabezpieczano. Jeśli Czarne Palce uważały, że tego typu sztuczki powstrzymają Zjawę przed osiągnięciem celu, to poważnie się myliły.

Z kieszeni pikowanej kamizelki wyjęła dwa haki wspinaczkowe i wbiła najpierw jeden, a potem drugi między cegły, podciągając się i wyszukując stopami najdrobniejsze stopnie i krawędzie. Kiedy jako dziecko uczyła się chodzenia po linie, ćwiczyła bosą, ale ulice Ketterdamu były na to za zimne i za wilgotne. Po kilku fatalnych upadkach zapłaciła fabrykatorowi, który pracował potajemnie przy sklepie z alkoholem na Wijnstraat, żeby zrobił dla niej skórzane pantofle z guzowatymi gumowymi podeszwami. Idealnie pasowały na jej stopy i pewnie opierały się na każdej powierzchni.

Gdy dotarła na drugą kondygnację Giełdy, podciągnęła się na parapet okienny w sam raz szeroki, żeby na nim przysiąść.

Kaz robił, co w jego mocy, żeby ją tego nauczyć, ale nie

opanovała sztuki włamywania się tak dobrze jak on. Musiała spróbować kilka razy, zanim poradziła sobie z zamkiem. Wreszcie usłyszała satysfakcjonujący szcęk i okno otworzyło się na opustoszałe biuro o ścianach obwieszonych mapami, na których zaznaczono szlaki handlowe, i tablicami, na których kredą wypisano wysokości udziałów i nazwy statków. Wskoczyła chyłkiem do środka, zamknęła z powrotem zasuwkę i przeszła obok pustych biurów ze schludnymi stosami zamówień i rejestrów.

Podeszła do wąskich drzwi i wyszła na balkon w widokiem na centralny dziedziniec Giełdy. Każde biuro spedycyjne miało balkon. Stąd urzędnicy obwieszczali przybycie towarów i ogłaszali nowe wyprawy lub wywieszali czarną flagę sygnalizującą, że statek zaginął na morzu wraz z całym ładunkiem. Parter Giełdy ożywał wówczas transakcjami handlowymi, gońcy roznosili wieści po całym mieście, a ceny towarów, kontraktów terminowych i udziałów w ruszających wyprawach rosły lub spadały. Jednak dziś w nocy wszędzie panowała cisza.

Wiatr nadleciał znad portu, przynosząc zapach morza i targając zabłąkane pasemka włosów, które wymknęły się ze zwiniętego na karku Inej warkocza. Na dziedzińcu widziała kołyszącą się plamę światła i słyszała stukot laski na bruku – to Kaz nadchodził z sekundantami. Po drugiej stronie dostrzegła kilka zbliżających się do nich latarni. Zjawiły się Czarne Palce.

Naciągnęła kaptur. Wspięła się na poręcz i przeskoczyła bezgłośnie na sąsiedni balkon, a potem na następny, podążając za Kazem i jego towarzyszami przemierzającymi dziedziniec. Starła się trzymać jak najbliżej nich. Ciemny płaszcz Kaza powiewał na słonej bryzie. Brekker utykał dzisiaj bardziej niż zwykle, jak zawsze, kiedy się ochładzało. Słyszała, jak Jesper mówi z ożywieniem, a Duży Bolliger śmieje się basowo.

Kiedy zbliżyła się do drugiej strony dziedzińca, dostrzegła, że Geels zdecydował się przyprowadzić ze sobą Elzingerą i Oomeną – dokładnie tak, jak przewidziała. Znała silne i słabe strony

każdego członka Czarnych Palców, nie wspominając o Psach Harleya, Pokrywkarzach, Brzytwomewach, Lwach za Dychę i wszystkich innych gangach działających na ulicach Ketterdamu. Jej zadaniem było wiedzieć, że Geels ufa Elzingerowi, ponieważ razem awansowali w szeregach Czarnych Palców i ponieważ Elzinger wygląda jak zbudowany z gładów – miał prawie siedem stóp wzrostu, składał się z samych mięśni i miał szeroką, płaską twarz osadzoną nisko na szyi grubej jak słup nośny.

Nagle ucieszyła się, że Duży Bolliger towarzyszy Brekkerowi. To, że Kaz wybrał na jednego ze swoich sekundantów Jespera, nie było żadną niespodzianką. Nawet jeśli Jesper był nerwusem, to z rewolwerami czy bez doskonale radził sobie w walce i Inej wiedziała, że zrobiłby wszystko dla Kaza. Mniej przekonana była, kiedy Kaz uparł się przy Dużym Bolligerze. Bol był wykidajką w Klubie Wron, doskonale nadawał się do wyrzucania pijaków i awanturników, ale był zbyt ociężały, żeby szczególnie przydać się przy prawdziwej bójce. Za to przynajmniej był dość wysoki, żeby spojrzeć Elzingerowi w oczy.

Nie chciała za dużo myśleć o drugim sekundancie Geelsa. Oomen ją niepokoił. Nie prezentował się tak przerażająco jak Elzinger. Właściwie to przypominał stracha na wróble, ale nie z powodu chudości. Jego ciało pod ubraniem wyglądało jak poskładane pod niewłaściwymi kątami. Krążyły plotki, że zmiażdżył raz komuś czaszkę gołymi rękami, a potem otarł dłonie o przód koszuli i wrócił do kieliszka.

Inej próbowała uspokoić wzbierający w niej niepokój, słuchając, jak Geels i Kaz gawędzą na dziedzińcu, podczas gdy ich sekundanci oklepują się nawzajem, sprawdzając, czy żaden nie ukrył broni.

– Niegrzeczny – powiedział Jesper, wyjmując maleńki nożyk z rękawa Elzingera i rzucając go na bruk.

– Czysty – oznajmił Duży Bolliger, kiedy sprawdził Geelsa i podszedł do Oomena.

Kaz i Geels rozmawiali o pogodzie i dzielili się podejrzeniami,

że w „Koooperomie” podają rozwodnione drinki, odkąd podniesiono czynsz. Krążyli wokół powodu, dla którego spotkali się tej nocy. Teoretycznie powinni porozmawiać, wymienić się przeprosinami, wyrazić zgodę na respektowanie granicy w Piątej Przystani, a potem pójść na kielicha. W każdym razie przy tym scenariuszu obstawał Per Haskell.

Tylko co Per Haskell wie? – pomyślała Inej, rozglądając się za strażnikami, którzy patrolowali dach Giełdy i próbując wypatrzeć ich sylwetki w ciemności. Haskell kierował Szumowinami, ale ostatnimi czasy wolał siedzieć w ciepłym swoim pokoju, popijać letnie piwo, budować modele statków i opowiadać każdemu chętnemu słuchaczowi długie historie o swoich wyczynach. Najwyraźniej uważał, że spory terytorialne można rozstrzygnąć tak, jak załatwiało się to kiedyś: krótką przepychanką i przyjacielskim uściskiem dłoni. Jednak każdy zmysł Inej mówił jej, że to spotkanie rozegra się inaczej. Ojciec powiedziałaby, że tej nocy cienie załatwiają swoje sprawy. Miało się tu wydarzyć coś złego.

Kaz stał z obiema dłońmi opartymi na wroniej główce laski. Sprawiał wrażenie całkowicie swobodnego. Rondo kapelusza zasłaniało jego wąską twarz. Większość członków gangów w Baryłce uwielbiała blichtr – jarmarczne kamizelki, zegarki kieszonkowe wysadzane sztucznymi kamieniami, spodnie w każdym wyobrażalnym deseni. Kaz stanowił wyjątek, był ucieleśnieniem powściągliwości. Jego ciemne kamizelki i spodnie miały prosty, surowy krój. Początkowo myślała, że to kwestia gustu, ale z czasem zrozumiała, że to żart skierowany przeciwko szlachetnym kupcom. Uwielbiał wyglądać jak jeden z nich.

– Jestem biznesmenem – powiedział jej kiedyś. – Ni mniej, ni więcej.

– Jesteś złodziejem.

– Przecież to właśnie powiedziałem, prawda?

Teraz wyglądał jak kaznodzieja, który przyszedł nauczać grupkę cyrkowców. Młody kaznodzieja, pomyślała z kolejnym

ukłuciem niepokoju. Kaz mówił, że Geels jest stary i skończony, ale tej nocy z pewnością nie wyglądał na takiego. Przyboczny Czarnych Palców może i miał zmarszczki w kącikach oczu, może i policzki zaczynały mu obwisać koło bokobrodów, ale robił wrażenie pewnego siebie i doświadczonego. Kaz przy nim wyglądał na... Cóż, na siedemnastolatka.

– Bądźmy sprawiedliwi, *ja?* Chcemy tylko trochę więcej szmału – powiedział Geels, stukając w lustrzane guziki limonowej kamizelki. – To nie w porządku, że zgarniecie każdego rozrzutnego turystę, jaki zejdzie ze statku wycieczkowego w Piątej Przystani.

– Piąta Przystań jest nasza – odpowiedział Kaz. – Szumowiny pierwsze przetrzepują frajerów, którzy przy płynęli, żeby się trochę zabawić.

Geels pokręcił głową.

– Jesteś młody, Brekker – rzucił z pobłażliwym śmiechem. – Może nie rozumiesz, jak to działa. Porty należą do miasta i mamy do nich takie samo prawo jak inni. Wszyscy musimy zarabiać na życie.

Teoretycznie miał rację. Tyle że Piąta Przystań stała bezużyteczna i całkiem porzucona przez miasto, kiedy przejął ją Kaz. Kazał ją dragować, a potem wybudował nabrzeże; musiał obciążyć hipotekę Klubu Wron, żeby tego dokonać. Per Haskell pomstował na niego, nazwał go głupcem z powodu tych wydatków, ale ostatecznie ustąpił. Według Kaza staruszek wyraził się dokładnie tymi słowami:

– A weź ten port i się w nim utop.

Jednakże inwestycja zwróciła się w niecały rok. Teraz Piąta Przystań oferowała miejsca kupieckim statkom oraz łodziom przywożącym z całego świata turystów i żołnierzy, którzy wrywali się, żeby zobaczyć nowe widoki i zakosztować rozkoszy Ketterdamu. Szumowiny pierwsze ich dopadały, wykierowywały razem z portfelami do burdeli, karczm i jaskiń hazardu będących własnością gangu. Piąta Przystań ogromnie wzbogaciła staruszka i umocniła pozycję Szumowin jako

poważnych graczy w Baryłce w sposób, jakiego nie zapewnił im nawet Klub Wron. Niestety zyski przyciągnęły niepożądaną uwagę. Geels i Czarne Palce przysparzali Szumowinom kłopotów przez cały rok, zapuszczając się do Piątej Przystani i zgarniając frajerów, do których nie mieli żadnego prawa.

– Piąta Przystań jest nasza – powtórzył Kaz. – To nie podlega negocjacjom. Wcinasz się w nasze interesy w przystani i przechwyciłeś transport *jurdy*, który powinien dotrzeć do nas dwie noce temu.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Wiem, że to ci przychodzi z wielką łatwością, ale nie próbuj różnąć przede mną głupa.

Geels zrobił krok naprzód. Jesper i Duży Bolliger zeszywnieli.

– Nie cwaniakuj, chłopcze – powiedział. – Wszyscy wiemy, że staruszek nie ma jaj i nie stanie do prawdziwej walki.

Suchy śmiech Kaza zabrzmiał jak szelest martwych liści.

– Tyle że to ja siedzę przy twoim stole, a nie przyszedłem tu posmakować dań. Jeśli chcesz wojny, to dopilnuję, żebyś objadł się po uszy.

– A jeśli ciebie nie będzie pod ręką, Brekker? Wszyscy wiedzą, że to ty jesteś kręgosłupem operacji Haskella. Wystarczy ten kręgosłup złamać, a Szumowiny się posypią.

Jesper parsknął.

– Jaja, kręgosłup. Co teraz będzie, śledziona?

– Przymknij się – warknął Oomen.

Zasady pertraktacji głośiły, że tylko przyboczni mówią, kiedy już zaczną się rozmowy. Jesper poruszył bezgłośnie ustami, mówiąc „przepraszam”, i teatralnym gestem zasznurował sobie usta.

– Jestem przekonany, że mi grozisz, Geels – powiedział Kaz – ale chcę mieć pewność, zanim zdecyduję, co z tym zrobić.

– Jesteś pewny siebie, co?

– Siebie i tylko siebie.

Geels wybuchnął śmiechem i szturchnął łokciem Oomena.

– Posłuchaj tego małego zadufanego wypierdka. Brekker, te

ulice nie należą do ciebie. Dzieciaki takie jak ty to pchły. Co parę lat pojawia się nowy rzut gotowy denerwować lepszych od siebie, ale tylko do chwili, kiedy duże psisko zdecyduje się podrapać. I coś ci powiem, zaczyna mnie drażnić to swędzenie. – Skrzyżował ręce na piersi, dosłownie promieniejąc butą i samozadowoleniem. – A gdybym ci tak powiedział, że dwóch strażników z wydanymi przez miasto karabinami mierzy właśnie w ciebie i twoich chłopców?

Inej zacisnął się żołądek. To właśnie Kaz miał na myśli, mówiąc, że Geels mógł kupić strażników?

Kaz zerknął na dach.

– Wynajęcie strażników, żeby za was mordowali? Powiedziałbym, że to drogie rozwiązanie jak na gang w rodzaju Czarnych Palców. Chyba nie bardzo wierzę, że wasza szkatuła wam na to pozwala.

Inej wspięła się na poręcz i opuściła bezpieczny balkon, kierując się na dach. Jeśli przeżyją tę noc, zabije Kaza.

Na dachu Giełdy zawsze było dwóch strażników ze *stadwacht*y. Parę *kruge* od Szumowin i Czarnych Palców wystarczyło, żeby nie wtrącali się do pertraktacji. To zwykła rzecz. Geels jednakże zasugerował coś całkiem innego. Naprawdę zdołał przekupić miejskich strażników, żeby zabawili się dla niego w snajperów? Jeśli tak, to szanse przetrwania tej nocy przez Szumowiny zmalowały właśnie do rozmiarów czubka noża.

Podobnie jak większość budynków w Ketterdamie Giełda miała bardzo spadzisty dach, który chronił ją przed ulewnymi deszczami, więc strażnicy patrolowali go z małego pomostu biegnącego nad dziedzińcem. Inej go zignorowała. Łatwiej byłoby przejść po pomoście, ale byłaby wtedy za bardzo odsłonięta. Zamiast tego wspięła się więc do połowy dachowej połaci po śliskich dachówkach i zaczęła się czołgać pod dość niebezpiecznym kątem. Poruszała się jak pająk, nie odrywając wzroku od chodnika dla strażników i jednym uchem nasłuchując rozmowy na dole. Może Geels blefował. A może dwóch strażników właśnie garbiło się nad poręczą, mając na

celownika Kaza, Jespera albo Dużego Bolligera.

– Wymagało to nieco zachodu – przyznał Geels. – Nie prowadzimy teraz wielkich interesów, a straż miejska nie jest tania, ale nagroda jest warta tej ceny.

– Znaczy ja?

– Znaczy ty.

– Pochlebiasz mi.

– Szumowiny nie przetrwają bez ciebie nawet tygodnia.

– Daję im miesiąc dzięki sile rozpędu.

Pewna myśl zadzwoniła hałaśliwie w głowie Inej: czy zostałam, gdyby Kaza zabrakło? Czy raczej uciekłabym, nie spłaciwszy długu? Zaryzykowałabym, że dopadną mnie ludzie Pera Haskella?

Jeśli nie będzie działać szybciej, to może wkrótce się przekona.

– Szczwany szczurek z rynsztoka – rzucił ze śmiechem Geels. – Nie mogę się doczekać, kiedy zmażę z twojej twarzy ten uśmieszek.

– Wzajemnie – odrzekł Kaz.

Inej zaryzykowała i zerknęła w dół. Głos Kaza się zmienił, zniknęła z niego cała wesołość.

– Mam kazać im strzelić w twoją zdrową nogę, Brekker?

Gdzie są strażnicy? – zastanawiała się Inej, przyśpieszając.

Przebiegła po stromej połaci dachu. Giełda ciągnęła się niemal przez całą długość miejskiego kwartału. Za duży teren, żeby go upilnować.

– Przestań gadać, Geels. Każ im strzelić.

– Kaz... – odezwał się nerwowo Jesper.

– No już. Pokaż, że masz jaja, i wydaj rozkaz.

W co Kaz pogrywał? Spodziewał się tego? Czy po prostu zakładał, że Inej dotrze na czas do strażników?

Znowu zerknęła w dół. Było widać, że Geels na coś się szykuje. Wziął głęboki wdech, wypiął pierś. Zachwiała się i omal nie zjechała z dachu. On to zrobi, pomyślała. A ja będę patrzeć, jak Kaz umiera.

– Ognia! – krzyknął Geels.

Wystrzał przeszył powietrze. Duży Bolliger krzyknął i padł na ziemię.

– Do diabła! – wrzasnął Jesper, opadając na kolano obok pojękującego Bolligera i przyciskając dłoń do rany postrzałowej.
– Ty gruby złamasie! – wydarł się na Geelsa. – Pogwałciłeś neutralne terytorium!

– Nie ma dowodów, że nie strzeliliście pierwsi – odpowiedział Geels. – I kto się dowie? Żaden z was nie wyjdzie stąd żywy.

Głos Geelsa był zbyt piskliwy. Starał się zachować panowanie nad sobą, ale Inej wychwytywała panikę pulsującą w jego słowach, przerażone trzepotanie skrzydeł przestraszonego ptaka. Dlaczego? Jeszcze chwilę temu się chełpił.

Wtedy Inej zobaczyła, że Kaz nawet nie drgnął.

– Nie wyglądasz dobrze, Geels.

– Nic mi nie jest – odrzekł Geels, ale kłamał. Był błydy i roztrzęsiony. Zerkał szybko na boki, jakby szukał ocienionego chodnika przy dachu.

– Naprawdę? – zapytał nonszalancko Kaz. – Sprawy nie potoczyły się tak, jak zaplanowałeś, co?

– Kaz – odezwał się Jesper – Bolliger mocno krwawi...

– I dobrze – uciął Kaz.

– Potrzebuje medykusa!

Kaz ledwie raczył zerknąć na rannego.

– Powiem ci, czego nie potrzebuje: dłużej biadolić. I niech się cieszy, że nie kazałem Holstowi zdjąć go strzałem w głowę.

Nawet z wysoka Inej widziała, że Geels się wzdrygnął.

– Tak się nazywa ten strażnik, co? – zapytał Kaz. – Willem Holst i Bert Van Daal, dwaj strażnicy miejscy, którzy mają dzisiaj służbę. Ci, dla których łapówki wydrenowały szkatułę Czarnych Palców?

Geels nie odezwał się słowem.

– Willem Holst – powiedział głośno Kaz, a jego głos wzleciał na poziom dachu – lubi hazard prawie tak bardzo jak Jesper, więc twoje pieniądze bardzo go kusiły. Niestety Holst ma poważniejsze kłopoty, nazwijmy je... popędami. Nie będę

wchodził w szczegóły. Sekret to nie samo co pieniądz. Wydany nie zachowuje wartości. Musisz mi po prostu zaufać, kiedy powiem, że ten konkretny sekret sprawiłby, że nawet tobie wszystko wywróciłoby się w żołądku. Prawda, Holst?

W odpowiedzi padł kolejny strzał. Uderzył w bruk obok stóp Geelsa, który wrzasnął przestraszony i odskoczył do tyłu.

Tym razem Inej miała większą szansę wytropić, skąd padł strzał – gdzieś z zachodniej strony budynku. Jeśli tam był Holst, to znaczyło, że drugi strażnik, Bert Van Daal, będzie po wschodniej. Czy Kaz zneutralizował i jego? Czy może w tej kwestii liczył na nią? Pomknęła przez dach.

– Po prostu zastrzel go, Holst! – ryknął Geels głosem łamiącym się z rozpaczy. – Strzel mu w głowę!

Kaz prychnął zdeglustowany.

– Naprawdę myślisz, że sekret umrze razem ze mną? Śmiało, Holst! – zawołał. – Poślij kulkę w moją czaszkę. Gońcy popędzą do drzwi twojej żony i kapitana straży, zanim uderzę o ziemię.

Nie padł żaden strzał.

– Jak? – zapytał z goryczą Geels. – Skąd w ogóle wiedziałeś, kto będzie dziś na służbie? Musiałem zapłacić jak za zboże, żeby dorwać harmonogram służby. Nie mogłeś mnie przelicytować.

– Powiedzmy tylko, że moja waluta ma większą siłę przebicia.

– Pieniądz to pieniądz.

– Ja handluję informacją, Geels, a rzeczy, których ludzie się dopuszczają, kiedy myślą, że nikt nie patrzy... Wstyd ma większą wartość niż jakikolwiek pieniądz.

Inej wiedziała, że Kaz gra pod publiczność, żeby dać jej czas, kiedy skakała po łupkowych dachówkach.

– Martwisz się drugim strażnikiem? Starym dobrym Bertem Van Daalem? – zapytał Kaz. – Może stoi tam właśnie na górze i zastanawia się, co powinien zrobić. Zastrzelić mnie? Zastrzelić Holsta? A może jego też przekabaciłem i teraz właśnie szykuje się, żeby zafundować ci dziurę w piersi? – Pochylił się, jakby dzielił się z Geelsem wielkim sekretem. – Może wydasz Van Daalowi rozkaz i wtedy się przekonamy?

Geels otworzył i zamknął usta jak karp, a potem ryknął:

– Van Daal!

Kiedy strażnik otworzył usta, żeby odpowiedzieć, Inej ześlizgnęła się za niego i przyłożyła mu nóż do gardła. Ledwie zdążyła wypatrzeć jego cień i zsunąć się po dachu. Na wszystkich świętych, Kaz lubił igrać z ogniem.

– Cii – szepnęła do ucha Van Daalowi.

Dźgnęła go lekko w bok, żeby poczuł czubek drugiego sztyletu, który docisnęła mu do nerki.

– Proszę – jęknął – ja tylko...

– Lubię, kiedy mężczyźni mnie błagają, ale teraz nie mam na to czasu.

W dole widziała, jak pierś Geelsa faluje w panicznych oddechach.

– Van Daal! – wrzasnął znowu. Na jego twarzy malowała się wściekłość, gdy odwrócił się do Kaza. – Zawsze wyprzedzasz wszystkich o jeden krok, co?

– Geels, jeśli chodzi o ciebie, powiedziałbym, że masz przewagę na starcie.

Geels tylko się uśmiechnął. To był drobny uśmiezek, cierpki i pełen satysfakcji. Uśmiech zwycięzcy, zdała sobie sprawę Inej i na nowo się przeraziła.

– Wyścig jeszcze się nie skończył. – Geels sięgnął za pazuchę marynarki i wyciągnął ciężki czarny pistolet.

– Nareszcie – powiedział Kaz. – Wielkie objawienie. A teraz Jesper możesz przestać lamentować nad Bolligerem jak stara płaczka.

Jesper spojrzał na broń zaszokowanym, wściekłym wzrokiem.

– Duży Bol go przeszukał. Przecież... Och, Bolliger, ty idioto – jęknął.

Inej nie mogła uwierzyć własnym oczom. Strażnik w jej rękach pisnął cicho. Z gniewu i zaskoczenia bezwiednie zacisnęła chwyt.

– Spokojnie – powiedziała, zwalniając nieco uścisk.

Na wszystkich świętych, naprawdę miała ochotę wbić w coś

nóż. To Duży Bolliger sprawdzał Geelsa. Za nic w świecie nie mógł przegapić pistoletu. Zdradził ich.

To dlatego Kaz tak nalegał, żeby zabrać ze sobą Dużego Bolligera? Chciał otrzymać oficjalne potwierdzenie faktu, że osiłek przeszedł na stronę Czarnych Palców? Z pewnością dlatego pozwolił Holstowi posłać kulkę prosto w brzuch Bolligera. Tylko co z tego? Teraz wszyscy wiedzieli, że Duży Bolliger jest zdrajcą, ale Kaz znalazł się na muszce.

Geels uśmiechnął się z wyższością.

– Kaz Brekker, wielki specjalista od ucieczek. Jak teraz wyślizgasz się z tej pułapki?

– Wyjdę tak samo, jak wszedłem. – Kaz nie zważał na pistolet, skupiając się na dużym mężczyźnie leżącym na ziemi. – Wiesz, na czym polega twój problem, Bolliger? – Szturchnął Dużego Bola w ranę końcem laski. – To nie było pytanie retoryczne. Wiesz, na czym polega twój największy problem?

Bolliger zakwilił.

– Nnnieeee...

– Spróbuj zgadnąć – syknął Kaz.

Duży Bol nic nie powiedział, tylko znowu zakwilił słabo.

– W porządku, podpowiem ci. Jesteś leniwy. Ja to wiem. Wszyscy to wiedzą. Dlatego musiałem zadać sobie pytanie, dlaczego mój najleniwszy wykidajło dwa razy w tygodniu wstaje wcześniej i przemierza dwie dodatkowe mile do „Smażalni Cilla”, żeby zjeść śniadanie, zwłaszcza kiedy o wiele lepsze jajka podają w „Kooperomie”. Duży Bol stał się rannym ptaszkiem, a Czarne Palce zaczynają się panoszyć przy Piątej Przystani i przechwytyują nasz największy ładunek *jurdy*. Nietrudno było to powiązać. – Westchnął i zwrócił się do Geelsa – Oto do czego dochodzi, kiedy głupi ludzie zaczynają snuć wielkie plany, *ja*?

– Teraz to już nie ma dużego znaczenia, prawda? – odparł Geels. – Będzie paskudnie, bo strzelę z małej odległości. Może twój strażnik dopadnie mnie albo moich ludzi, ale ty za żadne skarby nie uciekniesz przed kulką.

Kaz podszedł do lufy, aż dotknęła jego piersi.

– Za żadne skarby, Geels.

– Myślisz, że tego nie zrobię?

– Och, myślę, że zrobiłbyś to z radością, z pieśnią w swoim czarnym sercu, ale nie zrobisz tego. Nie dziś.

Palec Geelsa drgnął na cynglu.

– Kaz – odezwał się Jesper – to twoje „strzel do mnie” zaczyna mnie niepokoić.

Oomen tym razem nie zawracał sobie głowy uwagami, że Jesper powinien milczeć. Jeden człowiek padł. Naruszono neutralność terenu. Ostry zapach prochu nadal wisiał w powietrzu, a wraz z nim niewypowiedziane w ciszy pytanie, jakby sama Kostucha czekała na odpowiedź: ile jeszcze krwi zostanie przelane tej nocy?

W oddali zawyła syrena.

– Numer dziewiętnasty przy Burstraat – wyjaśnił Kaz.

Geels, który do tej pory jeszcze przestępował lekko z nogi na nogę, teraz całkowicie zamarł.

– To adres twojej dziewczyny, co, Geels?

Mężczyzna przełknął ślinę.

– Nie mam dziewczyny.

– Ależ masz. I to ładną. W każdym razie jak na takiego draba jak ty. Sprawia wrażenie milutkiej. Kochasz ją, co? – Nawet z dachu Inej widziała błysk warstewki potu na woskowej twarzy Geelsa. – No pewnie, że tak. Żadna tak ładna dziewczyna nie spojrzalaby dwa razy na taką mendę z Baryłki jak ty, ale ona jest inna. Uważa, że jesteś czarujący. Moim zdaniem to pewna oznaka szaleństwa, ale miłość bywa dziwna. Czy ona lubi opierać swoją śliczną główkę na twoim ramieniu? Słuchać, gdy opowiadasz, jak ci minął dzień?

Geels popatrzył teraz na Kaza, jakby zobaczył go pierwszy raz w życiu. Chłopak, do którego mówił, był pewny siebie, zuchwały, skory do rozbawienia, ale w gruncie rzeczy nie był przerażający. Teraz stał przed nim nieulękły potwór o martwych oczach. Kaz Brekker zniknął i zjawił się Brudnoręki, żeby

dopilnować wykonania parszywej roboty.

– Mieszka pod numerem dziewiętnastym przy Burstraat – ciągnął Kaz swym zgrzytliwym głosem. – Drugie piętro, pelargonie w skrzynkach za oknem. Przed jej drzwiami czekają właśnie dwie Szumowiny i jeśli nie wyjdę stąd cały i przekonany, że sprawiedliwości stało się zadość, podpalą dom od parteru po dach. Zapali się błyskawicznie z obu końców, z biedną Elise uwięzioną w środku. Jej włosy w kolorze blond zajmą się pierwsze. Jak knot świecy.

– Blefujesz – powiedział Geels, ale jego dłoń z pistoletem drżała. Kaz uniósł głowę i odetchnął głęboko.

– Robi się późno. Słyszałeś syrenę. Czuję zapach portu na wietrze, morza i soli... i czy możliwe, że...? Czyżbym wyczuwał też dym?

W jego głosie pobrzmiwało zadowolenie.

Och, na wszystkich świętych, Kaz, pomyślała żałośnie Inej. Coś ty tym razem zrobił?

Znowu palec Geelsa drgnął na spuście i Inej zeszywniała.

– Wiem, Geels, wiem – powiedział współczująco Kaz. – Tyle planowania, knucia i łapówek poszło na marne. To sobie właśnie myślisz. Jak fatalnie będziesz się czuł, wracając do domu ze świadomością, że przegrałeś. Jak wściekły będzie twój szef, kiedy przyjdiesz z pustymi rękami i na dodatek znacznie biedniejszy. Jak satysfakcjonujące byłoby wpakowanie mi kulki w serce. Możesz to zrobić. Pociągnij za spust. Wszyscy możemy zginąć. Zabiorą nasze ciała na Krypę Kostuchy, żeby je tam spalić, tak jak to się robi ze wszystkimi nędzarzami. Albo możesz przyjąć ten cios wymierzony w twoją dumę, wrócić na Burstraat, położyć głowę na kolanach dziewczyny i zasnąć, żeby śnić o zemście. I nadal żyć. To zależy od ciebie, Geels. Wrócimy dzisiaj do domów?

Geels wpatrywał się w oczy Kaza i cokolwiek tam zobaczył, sprawiło, że ramiona mu opadły. Inej była zaskoczona, gdy nagle znalazła w sobie isierkę współczucia dla niego. Wszedł tu niesiony brawurą, jak prawdziwy twardziel, jak pan Baryłki.

A odejdzie jako kolejna ofiara Kaza Brekera.

– Kiedyś dostaniesz to, na co zasługujesz, Breker.

– Tak – odpowiedział Kaz – jeśli jest jakaś sprawiedliwość na tym świecie. A wszyscy wiemy, jakie to prawdopodobne.

Geels opuścił rękę. Pistolet zwisał bezużytecznie przy jego boku.

Kaz cofnął się, otrzepując koszulę w miejscu, gdzie dotykała jej lufa.

– Idź i powiedz swojemu generałowi, żeby trzymał Czarne Palce z dala od Piątej Przystani i że oczekujemy odszkodowania za utracony transport *jurdy*, plus pięć procent za atak na terenie neutralnym i kolejne pięć procent za to, że zachowaliście się jak wyjątkowa banda złamasów.

I wtedy nagle Kaz zamachnął się laską, kreśląc nią ostry łuk.

Geels wrzasnął, kiedy cios strzaskał mu kości nadgarstka. Broń zaklekotała na bruku.

– Ustąpiłem! – krzyczał Geels, trzymając się za rękę. – Przecież ustąpiłem!

– Jeśli raz jeszcze podniesiesz na mnie rękę, to złamię ci oba nadgarstki i będziesz musiał wynająć kogoś, kto pomoże ci się odlać. – Kaz uchylił rondo kapelusza gałką laski. – A może namówisz cudną Elise, żeby ci pottrzymała.

Przykucnął obok Bolligera. Duży mężczyzna załkał.

– Spójrz na mnie, Bolliger. O ile nie wykrwawisz się tej nocy na śmierć, masz czas do jutrzejszego zachodu słońca, żeby wynieść się z Ketterdamu. Jeśli usłyszę, że pojawiłeś się gdziekolwiek w obrębie miasta, to znajdą cię potem upchanego w antałku w „Smażalni Cilla”. – Spojrzał na Geelsa. – Jeśli pomożesz Bolligerowi albo jeżeli dowiem się, że pracuje dla Czarnych Palców, to nie myśl, że po ciebie nie przyjdę.

– Kaz, błagam – jęknął Bolliger.

– Miałeś dom i przywaliłeś we frontowe drzwi kulą do rozbiórek. Nie oczekuj ode mnie współczucia. – Kaz podniósł się i sprawdził czas na kieszonkowym zegarku. – Nie spodziewałem się, że to potrwa tak długo. Lepiej już pójdę, bo biednej Elise robi

się ciut za ciepło.

Geels pokręcił głową.

– Z tobą jest coś nie tak. Nie wiem, czym jesteś, ale źle cię poskładano do kupy.

Kaz przechylił głowę.

– Jesteś z przedmieść, zgadza się? Przybyłeś do miasta, żeby spróbować szczęścia? – Wygładził klapę dłonią w rękawiczce. – Ja należę do tego gatunku bękartów, jakich potrafi spłodzić tylko Baryłka.

Mimo leżącej u stóp Czarnego Palca załadowanej broni Kaz odwrócił się do niego plecami i pokuśtykał w kierunku wschodniego łuku. Jesper przykucnął obok Bolligera i poklepał go delikatnie po policzku.

– Idiota – powiedział ze smutkiem i wyszedł za Kazem z Giełdy.

Inej nadal obserwowała z dachu Oomena, który podniósł i schował do kabury pistolet Geelsa, a potem Czarne Palce po cichu wymieniły między sobą kilka słów.

– Nie odchodźcie – błagał Duży Bolliger. – Nie zostawiajcie mnie.

Próbował złapać się nogawki spodni Geelsa.

Tamten stracił jego rękę. Zostawili go zwiniętego na boku, wykrwawiającego się na bruk.

Inej wyjęła broń z rąk Van Daala, a potem go puściła.

– Wracaj do domu – powiedziała mu.

Rzucił jedno przerażone spojrzenie przez ramię i odbiegł pomostem. Daleko w dole Duży Bol zaczął się czołgać przez dziedziniec Giełdy. Mógł być dość głupi, żeby zadrzeć z Kazem Brekkerem, ale sporo przeżył w Baryłce, a to wymaga siły woli. Możliwe, że uda mu się ujść z życiem.

„Pomóż mu”, odezwał się głos w jej głowie. Jeszcze kilka minut temu był jej towarzyszem broni. Zostawienie go wydawało się złe. Mogła zejść do niego, zaproponować, że go szybko dobije, potrzymać za rękę, kiedy będzie umierał. Mogłaby przyprowadzić medykusa, żeby go uratował.

Zamiast tego zmówiła szybką modlitwę w języku jej świętych

i zaczęła strome zejście po zewnętrznym murze. Żal jej było chłopaka, który mógł albo umrzeć samotnie, bez nikogo, kto by go pocieszył w ostatnich godzinach życia, albo przeżyć i spędzić resztę życia na wygnaniu. Jednak praca tej nocy jeszcze nie dobiegła końca i Zjawa nie miała czasu dla zdrajców.



Wiwaty powitały Kaza, gdy wyszedł przez wschodni łuk. Jesper włókł się za nim i – na ile Kaz był w stanie to ocenić – już zaczynał się dąsać.

Dirix, Rotty i pozostali podbiegli do nich, pokrzykując i piejąc z radości, trzymając w górze rewolwery Jespera. Prawie nic nie widzieli ze spotkania z Geelsem, ale większość słyszeli. Teraz skandowali:

- Burstraat się pali! Szumowiny nie mają wody!
- Powiedz nam, co miałeś na strażnika – prosił Dirix.
- To nie może być nic zwyczajnego.
- Słyszałem o jednym gościu w Sloken, który lubił wytarzać się w syropie jabłkowym, a potem wziąć dwie...
- Nic nie powiem – odparł Kaz. – Holst może się jeszcze kiedyś przydać.

Atmosfera była napięta, a nerwowy śmiech to wybuchał, to gasł, jak to bywa, gdy ludzie otrą się o katastrofę. Niektórzy spodziewali się walki i nadal ich nosiło. Kaz wiedział jednak, że chodzi o coś więcej, i nie przegapił faktu, że nikt nie wspomniał imienia Dużego Bolligera. Jego zdrada mocno nimi wstrząsnęła, zarówno jej wykrzycie, jak i sposób, w jaki Kaz wymierzył karę.

Pod przepychankami i pokrzykiwaniem krył się strach. I dobrze. Kaz bazował na fakcie, że Szumowiny to mordercy, złodzieje i kłamcy. Musiał tylko zadbać o to, żeby nie nabrali zwyczaju okłamywania jego.

Odesłał dwóch ludzi, żeby mieli na oku Dużego Bola i dopilnowali, by – jeśli przeżyje – wyniósł się z miasta. Pozostali mogli wracać do Listewki i Klubu Wron, żeby zapisać niepokój, narozrabiać, rozpuścić wieści na temat wydarzeń z dzisiejszej nocy. Opowiedzą, co widzieli, a resztę podkoloryzują i z każdą kolejną wersją opowieści Brudnoręki będzie wydawał się coraz bardziej szalony i bezwzględny. Kaz miał jednak sprawę do załatwienia i najpierw musiał zajrzeć do Piątej Przystani.

Jesper zastąpił mu drogę.

– Powinieneś był powiedzieć mi o Dużym Bolligerze – rzucił gniewnym szeptem.

– Nie mów mi, co mam robić.

– Myślisz, że ja też skrewiłem?

– Gdybym tak myślał, to leżałbyś na dziedzińcu Giełdy jak Duży Bol i trzymałbyś się za bebechy, więc przymknij jadaczkę.

Jesper pokręcił głową i oparł ręce na rewolwerach, które odebrał od Diriksa. Zawsze gdy robił się marudny, lubił kłaść ręce na broni, jak dziecko, które znajduje pociechę w ulubionej lalce.

Łatwo byłoby się pogodzić. Kaz mógłby powiedzieć Jesperowi, że wie, że nie pogrywa nieczysto, przypomnieć, że zaufał mu na tyle, by wziąć go jako jedyne prawdziwego sekundanta na spotkanie, które mogło źle się skończyć. Zamiast tego warknął tylko:

– Daj spokój, Jesper. Masz praktycznie nielimitowany kredyt w Klubie Wron. Graj do rana albo aż ci szczęście przestanie sprzyjać, cokolwiek stanie się wcześniej.

Jesper się skrzywił, ale nie był w stanie zgasić zachłannego błysku w oku.

– Kolejna łapówka?

– Mam swoje nawyki.

– Na szczęście dla ciebie ja także. – Jesper wahał się na tyle długo, żeby jeszcze zaproponować: – Nie chcesz, żebyśmy z tobą poszli? Chłopaki Geelsa będą wściekli.

– Niech spróbują – odpowiedział Kaz i bez dalszych słów skręcił w Nemstraat.

Gdyby nie mógł chodzić samotnie po Ketterdamie po zmierzchu, to równie dobrze mógłby powiesić sobie na szyi tabliczkę z napisem „mięczak” i położyć się na ziemi w oczekiwaniu na manto.

Czuł spojrzenia Szumowin na plecach, kiedy szedł mostem. Nie musiał słyszeć ich szeptów, żeby wiedzieć, co mówią. Chcieli się z nim napić, usłyszeć, jak wyjaśnia, skąd wiedział, że Duży Bolliger przeszedł na stronę Czarnych Palców, posłuchać opowieści o tym, jak spojrzał w oczy Geelsowi, gdy tamten opuścił pistolet. Jednak nigdy nie dostaną tego od Kaza, a jeśli to im się nie podoba, to mogą poszukać sobie innego gangu.

Bez względu na to, co pomyślał na jego temat, tej nocy będą nosili głowy nieco wyżej. Dlatego właśnie zostawali, to zapewniało mu z ich strony najpełniejsze przybliżenie lojalności, na jakie było ich stać. Kiedy oficjalnie został członkiem Szumowin, miał dwanaście lat, a gang był pośmiewiskiem – mali ulicznicy, skończone darmozjady urządzające grę w trzy muszelki, drobni oszuści w podupadłej melinie w najgorszej części Baryłki. Nie potrzebował jednak wspaniałego gangu, ale takiego, który mógłby uczynić wielkim. Gangu, który potrzebował jego.

Teraz mieli własne terytorium, własne kasyno, a tamta podupadła melina stała się Listewką, suchym i ciepłym miejscem, gdzie można zjeść gorący posiłek albo zaszyć się, kiedy jest się rannym. Teraz Szumowin się bano. Kaz im to zapewnił. Nie był im winny niczego więcej, na przykład pogaduszek.

Poza tym Jesper wszystko wygładzi. Kilka kielichów i parę rozdań, a powróci wesółą naturą snajpera. Był równie dobry w zachowywaniu urazy, jak w picciu, i miał talent do

przedstawiania zwycięstw Kaza w taki sposób, jakby były zasługą wszystkich.

Kiedy Kaz ruszył wzdłuż jednego z małych kanałów koło Piątej Przystani, zdał sobie sprawę, że ma... Na wszystkich świętych, można by rzec, że ma nadzieję! Może powinien odwiedzić medykusa. Ci z Czarnych Palców podgryzali go w pięty od tygodni, a on teraz zmusił ich do odkrycia kart. Noga go nawet nie bolała aż tak bardzo, mimo zimowego chłodu. Zawsze go pobolewała, ale dzisiaj to było tylko tępe rwanie. Nadal jednak zastanawiał się, czy pertraktacje były swoistą próbą wyznaczoną dla niego przez Pera Haskella. Haskell potrafił doskonale wmówić sobie, że sam jest geniuszem, dzięki któremu Szumowiny świetnie prosperują, zwłaszcza gdy szeptał mu do ucha któryś z jego fagasów. Ta myśl trochę go niepokoiła, ale jutro będzie martwił się Perem Haskellem. Na razie musi dopilnować, żeby wszystko przebiegało w porcie zgodnie z planem, a potem wróci do domu w Listewce, by wreszcie odespać swoje.

Wiedział, że Inej go śledzi. Towarzyszyła mu przez całą drogę z Giełdy. Nie zawołał jej. I tak nie pokazałaby się podczas pracy. Zwykle lubił ciszę; właściwie to z radością zaszyłby usta większości ludzi, jednak kiedy Inej chciała, potrafiła dać człowiekowi odczuć swoje milczenie. Grało mu wtedy na nerwach.

Znosił to przez całą drogę wzdłuż żelaznych balustrad Zentzbridge, krat pokrytych kawałkami lin zawiązanych w wyrafinowane węzły – modlitwy żeglarzy o bezpieczny powrót z morza. Przesądne brednie. Wreszcie się poddał i powiedział:

- Powiedz to wreszcie, Zjawo.
- Nie wysłałeś nikogo na Burstraat – rozległ się głos w ciemnościach.
- A po co miałbym wysłać?
- Jeśli Geels nie dotrze tam na czas...
- Nikt nie podpalił domu pod numerem dziewiętnaście przy

Burstraat.

– Słyszałam syrenę...

– Szczęśliwy zbieg okoliczności. Szukam inspiracji wszędzie, gdzie się nadarzy.

– Czyli blefowałeś! Nic jej nie groziło.

Kaz wzruszył ramionami, nie mając ochoty udzielać odpowiedzi. Inej zawsze próbowała wycisnąć z niego okruchy przyzwoitości.

– Kiedy wszyscy wiedzą, że jesteś potworem, nie musisz marnować czasu na popełnianie każdej potworności.

– Dlaczego w ogóle zgodziłeś się na spotkanie, skoro wiedziałeś, że to pułapka?

Znajdowała się gdzieś na prawo od niego i poruszała się bezszelestnie. Słyszał, jak inni członkowie mówią, że Inej porusza się jak kot, ale podejrzewał, że gdyby dać kotom szansę, siedziałyby u jej stóp i z uwagą uczyłyby się jej metod.

– Moim zdaniem ta noc okazała się sukcesem. A twoim nie?

– Omal nie zginąłeś. Tak samo jak Jesper.

– Geels opróżnił szkatułę Czarnych Palców na bezużyteczne łąpówki. My pozbyliśmy się zdrajcy, umocniliśmy naszą pozycję w Piątej Przystani, a ja nie mam nawet jednego zadrapania. To była dobra noc.

– Od jak dawna wiedziałeś o Dużym Bolligerze?

– Od tygodni. Zabraknie nam ludzi. A skoro o tym mowa, trzeba pożegnać się z Rojakkem.

– Dlaczego? Nie ma drugiej takiej osoby przy stole jak on.

– Mnóstwo sukinkotów radzi sobie z talią kart. Rojake jest trochę za szybki. Podkrada.

– To dobry krupier i ma rodzinę na utrzymaniu. Możesz dać mu ostrzeżenie, odciąć palec.

– Wtedy już nie będzie takim dobrym krupierem, co?

Kiedy krupiera przyłapywano na okradaniu domu gry, szef odcinał mu mały palec. To jedna z tych idiotycznych kar, które z jakichś powodów stały się prawem w gangach. Odcięcie palca pozbawiało człowieka równowagi, zmuszało do ponownej

nauki tasowania i zdradzało każdemu przyszłemu pracodawcy, że trzeba mieć na gościa oko. Sprawiało to także, że był gorszy przy stole. To znaczyło, że musiał skupiać się na prostych rzeczach, takich jak mechanizm rozdawania, zamiast obserwować graczy.

Kaz nie widział twarzy Inej w ciemnościach, ale wyczuwał jej dezaprobatę.

– Chciwość jest twoim bogiem, Kaz.

Na te słowa prawie się roześmiał.

– Nie, Inej, to chciwość kłania się przede mną. To mój sługa i środek nacisku.

– A jakiemu bogu ty służysz?

– Każdemu, który zapewni mi dobry los.

– Niestety bogowie tak nie działają.

– Niestety mam to w nosie.

Westchnęła rozdrażniona. Mimo wszystkiego, co przeszła, nadal wierzyła, że jej sulijscy święci nad nią czuwają. Kaz o tym wiedział i z jakiegoś powodu uwielbiał ją drażnić. Żałował, że nie może czytać teraz z jej twarzy. Zawsze znajdował coś nadzwyczaj satysfakcjonującego w drobnej zmarszczce między jej czarnymi brwiami.

– Skąd wiedziałeś, że dopadnę Van Daala na czas?

– Bo zawsze zdążasz.

– Powinieneś być wcześniej mnie ostrzec.

– Myślałem, że twoi święci docenią wielkość wyzwania.

Przez chwilę nic nie mówiła, a potem usłyszał ją gdzieś za plecami.

– Ludzie kpią z bogów, dopóki ich nie potrzebują.

Nie widział, jak odchodzi, ale wyczuł jej nieobecność.

Pokręcił z irytacją głową. Gdyby powiedział, że ufa Inej, przesadziłby, ale mógł przyznać się przed sobą, że nauczył się na niej polegać. Instynkt podpowiedział mu, żeby wykupić jej kontrakt z Menażerią. Szumowiny słono za to zapłaciły. Pera Haskella trzeba było długo przekonywać, ale Inej była jedną z najlepszych inwestycji Kaza. Dzięki temu, że doskonale radziła

sobie z pozostawieniem niewidoczną, była doskonałym złodziejem sekretów, najlepszym w Baryłce. Jednakże fakt, że potrafiła zwyczajnie zniknąć, budził jego niepokój. Ona nawet nie pachniała. Każdy człowiek pachniał, a te zapachy wiele mówiły: zapaszek fenolu na palcach kobiety albo palonego drewna we włosach, woń wilgotnej wełny na męskim garniturze albo odrobiny prochu strzelniczego, który został na mankietach koszuli. Jednak nie Inej. Jakimś cudem opanowała niewidzialność. Była cennym nabytkiem. Dlaczego nie mogła robić swojego i oszczędzić mu humorów?

Nagle Kaz zorientował się, że nie jest sam. Zatrzymał się, nasłuchując. Przeciął wąski zaułek podzielony mętym kanałkiem. Latarnie uliczne nie świeciły tutaj, a ruch pieszy był mały; tylko jasny księżyc i łódki szarpiące się na cumach. Stracił czujność, pozwolił sobie, żeby myśli rozproszyły jego uwagę.

Ciemna sylwetka mężczyzny pojawiła się u wylotu zaułka.

– Czego chcesz? – zapytał Kaz.

Postać rzuciła się na niego. Kaz zamachnął się nisko laską. Powinien trafić bezpośrednio w nogi napastnika, ale przeciął pustą przestrzeń. Zatoczył się i niesiony impetem zamachu stracił równowagę.

A wtedy jakimś cudem mężczyzna stanął dokładnie przed nim. Pięść trafiła Kaza w szczękę. Otrząsnął się z gwiazd, które zabłyśły mu głowie. Obrócił się do tyłu i znowu wziął zamach. Jednak nikogo już tam nie było. Ciężka główka laski Kaza przecięła ze świstem pustkę i uderzyła z trzaskiem w mur.

Poczuł, że ktoś na prawo od niego wyrывa mu laskę z rąk. Było ich więcej?

I wtedy postać wyszła wprost ze ściany. Umysł Kaza zaciął się i zawahał, próbując pojąć, w jaki sposób to, co było obłokiem mgły, zamienia się w płaszcz, buty i blady przebłysk twarzy.

Duchy, pomyślał Kaz. Dziecięcy lęk, ale tak właśnie stwierdził z całkowitym przekonaniem. Jordie wrócił, żeby wreszcie się zemścić. „Czas spłacić długi, Kaz. Niczego nie dostaje się za darmo”.

Taka myśl przebiegła przez jego umysł wraz z upokarzającą, bełkotliwą falą paniki, a potem duch dopadł go i Kaz poczuł ostre ukłucie igły w szyję. Duch ze strzykawką?

Ty głupcze, zbeształ się w myślach. A potem ogarnęła go ciemność.



Obudził go przenikliwy smród amoniaku. Szarpnął głową do tyłu, odzyskując pełną świadomość.

Stary mężczyzna przed nim nosił szaty uniwersyteckiego medykusa. Trzymał w ręku buteleczkę soli trzeźwiących, którą przesuwał pod nosem Kaza. Smród był niemal nie do zniesienia.

– Odsuń się ode mnie – wychrypiał Kaz.

Medykus przyjrzał mu się beznamiętnie i schował sole trzeźwiące do skórzanej sakiewki. Kaz poruszył palcami rąk, ale tylko tyle mógł zrobić. Przykuto go do krzesła z rękami wykręconymi do tyłu. Cokolwiek mu wstrzyknięto, nadal czuł się po tym nieco zamroczony.

Medykus odsunął się na bok, a Kaz zamrugał dwa razy, starając się przejrzeć na oczy i objąć umysłem absurdalny luksus otoczenia. Spodziewał się, że obudzi się w melinie Czarnych Palców albo jakiegoś innego gangu. To jednak nie była tania dziupla w Baryłce. Na takie wyposażenie mieszkania potrzebne były prawdziwe pieniądze – mahoniowa boazeria gęsto rzeźbiona w spienione fale i latające ryby, regały zastawione książkami, okna z szybkami w ołowianych ramkach i coś, co zdaniem Kaza było prawdziwym DeKappelem. Był to jeden z tych skromnych obrazów olejnych przedstawiających damę z otwartą książką na kolanach i z jagnięciem leżącym u jej stóp. Mężczyzna obserwujący go zza szerokiego biurka wyglądał na zamożnego kupca. Jeżeli jednak to był jego dom, to dlaczego drzwi strzegli uzbrojeni członkowie *stadwachty*?

Niech to licho, pomyślał Kaz, czyżby mnie aresztowano? Jeśli

tak, to ten kupiec dopiero się zdziwi. Dzięki Inej Kaz miał haka na każdego sędziego, oficjalistę i radnego w Kerchu. Wyjdzie z celi przed wschodem słońca. Tyle że nie znajdował się w celi, ale siedział przykuty do krzesła, więc co tu, do diabła, było grane?

Mężczyzna miał około czterdziestki, wymizerowaną, ale przystojną twarz, i zakola, które zdecydowanie sięgały coraz dalej od czoła. Kiedy Kaz napotkał jego spojrzenie, mężczyzna odchrząknął i złożył razem palce.

– Panie Brekker, mam nadzieję, że w miarę dobrze się pan czuje.

– Zabierz ode mnie tę starą zarazę. Czuję się dobrze.

Kupiec skinął głową na medykusa.

– Może pan odejść. Proszę przysłać mi rachunek. I oczywiście będę wdzięczny za zachowanie dyskrecji w tej sprawie.

Medykus zamknął torbę i wyszedł z pokoju, a wtedy kupiec wstał i wziął plik papierzyk z biurka. Nosił idealnie skrojony surdut i kamizelkę typową dla wszystkich kupców z Kerchu – ciemną, wytworną, rozmyślnie stateczną. Jednakże zegarek kieszonkowy i szpilka do krawata powiedziały Kazowi wszystko, co potrzebował wiedzieć: dewizkę wykonano z grubych ogniw w kształcie listków laurowych, a w szpilce osadzono masywny, idealny rubin.

Wyważę ten grubaśny klejnot z oprawy i wbiję ci tę szpilkę prosto w twoją kupiecką szyję za to, że przykułeś mnie do krzesła, pomyślał Kaz. Na głos powiedział jednak tylko:

– Van Eck.

Mężczyzna skinął głową. Nie uklonił się, rzecz jasna. Kupcy nie kłaniają się łachmytom z Baryłki.

– Zatem zna mnie pan?

Kaz znał symbole i klejnoty wszystkich rodów kupieckich w Kerchu. Herbem Van Ecków był czerwony laur. Nie trzeba było profesora, żeby powiązać fakty.

– Znam cię. Jesteś jednym z kupców-bojowników, którzy wiecznie próbują zrobić porządek w Baryłce.

Van Eck znowu skinął lekko głową.

- Staram się znaleźć ludziom uczciwą pracę.
Kaz się roześmiał.
- Czym różnią się zakłady w Klubie Wron od spekulowania na dziedzińcu Giełdy?
 - Jedno to złodziejstwo, a drugie to handel.
 - Kiedy człowiek traci pieniądze, może mieć kłopot z odróżnieniem tych dwóch rzeczy.
 - Baryłka to siedlisko brudu, grzechu, przemocy...
 - Ile statków, które wysyłasz z portów Ketterdamu, nigdy nie wraca?
 - To nie ma...
 - Jeden na pięć, Van Eck. Jeden z każdej piątki statków, które wysyłasz w poszukiwaniu kawy, *jurdy* i bel jedwabiu tonie i ląduje na dnie morza, rozbija się na skałach albo pada łupem piratów. Jeden na pięciu członków załogi umiera, a ciała ofiar przepadają w obcych morzach, zamieniają się w karmę dla ryb z morskich głębin. Nie mówmy więc o przemocy.
 - Nie będę dyskutował o etyce z młokosem z Baryłki.
- Kaz nie spodziewał się innej reakcji. Grał na czas, sprawdzając, jak ciasne są kajdanki na jego nadgarstkach. Przesuwał palcami wzdłuż krzesła najdalej, jak zdołał, nadal zastanawiając się, dokąd kazał go sprowadzić Van Eck. Chociaż Kaz nigdy nie poznał osobiście tego człowieka, miał powód, żeby poznać na wylot rozkład pomieszczeń w jego domu. Gdziekolwiek się znajdowali, nie była to rezydencja Van Ecka.
 - Skoro nie sprowadziłeś mnie tutaj na pogaduszki filozoficzne, to w czym rzecz?
 - To było pytanie, jakie padało na początku każdego poważnego spotkania. Rozmawiał jak równy z równym, nie prosił jak więzień.
 - Mam dla pana propozycję. A raczej Rada ma propozycję.
Kaz ukrył zaskoczenie.
 - Rada Kupiecka każde negocjacje zaczyna od pobicia?
 - Proszę uznać to za ostrzeżenie. I demonstrację.
- Kaz przypomniał sobie postać z zaułka, która pojawiała się

i znikąca niczym duch. Jordie, pomyślał.

Zbeształ się w myślach. To nie Jordie, tępaku. Skup się.

Zgarnęli go, bo był nakręcony zwycięstwem i rozkojarzony. To jego kara. Więcej tego błędu nie popełni. To jednak nie tłumaczy widma, pomyślał, ale na razie odsunął tę myśl na bok.

– A do czego mogłaby potrzebować mnie Rada Kupiecka?

Van Eck przekartkował kciukiem trzymane w ręku papiery.

– Po raz pierwszy aresztowano pana, kiedy miał pan dziesięć lat – powiedział, przeglądając stronę.

– Każdy pamięta swój pierwszy raz.

– Później jeszcze dwa razy w tym samym roku i dwa razy w następnym. Potem *stadwachta* zgarnęła pana, gdy miał pan czternaście lat, podczas nalotu na dom gry, ale od tego czasu ani razu pan nie siedział.

To była prawda. Nikt nie zdołał przyskrzynić Kaza od trzech lat.

– Wyszedłem na prostą. Znalazłem uczciwą robotę, żyję życiem człowieka pracowitego i pobożnego.

– Proszę nie bluźnić – odparł łagodnie Van Eck, ale w jego oczach zabłysł przelotnie gniew.

Człowiek wiary, zauważył Kaz i w myślach zaczął przeglądać wszelkie informacje, jakie miał na temat Van Ecka – zamożny, pobożny, wdowiec, który niedawno ponownie się ożenił z kobietą niewiele starszą od Kaza. I oczywiście istniała jeszcze tajemnica dotycząca syna Van Ecka.

Kupiec dalej kartkował papiery.

– Prowadzi pan księgi rachunkowe walk zawodowych bokserów, wyścigów konnych i własnych gier hazardowych. Jest pan szefem w Klubie Wron od ponad dwóch lat i najmłodszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek prowadził punkt przyjmowania zakładów. Za swojej kadencji podwoił pan zarobki punktu. Jest pan szantażystą...

– Pośredniczę w handlu informacjami.

– ...oszustem...

– Tworzę okazje.

- ...rajfurem i mordercą...
- Nie zajmuję się dziwkami, a zabijam tylko dla sprawy.
- A jaka to sprawa?
- Taka sama jak twoja, kupcze: zyski.
- Jak zdobywa pan informacje, panie Brekker?
- Możesz uznać, że jestem włamywaczem.
- Musi być pan nad wyraz uzdolnionym włamywaczem.
- W rzeczy samej. – Kaz odchylił się lekko. – Widzisz, każdy człowiek jest sejfem, skarbcem sekretów i pragnień. Są tacy, którzy wybierają brutalną metodę, ale ja wolę łagodniejsze podejście: odpowiedni nacisk przyłożony w odpowiedniej chwili w odpowiednim miejscu. To kwestia nadzwyczajnego wyczucia.
- Zawsze posługuje się pan metaforami, panie Brekker?

Kaz się uśmiechnął.

- To nie jest metafora.

Zerwał się z krzesła, zanim jeszcze kajdanki uderzyły o podłogę. Skoczył do biurka, porwał nóż do listów w jedną rękę, a drugą złapał Van Ecka za przód koszuli. Delikatny materiał zmarszczył się, kiedy Kaz docisnął ostrze do gardła kupca. Kręciło mu się w głowie, chwiał się na zdrętwiałych nogach po unieruchomieniu na krześle, ale cały świat pojaśniał, kiedy w jego dłoni znalazła się broń.

Strażnicy Van Ecka wyciągnęli ostrza i wycelowali do Kaza z broni palnej. Czuł, jak kupcowi serce wali pod wełną surduta.

- Chyba nie muszę marnować oddechu na groźby – powiedział. – Mów, jak trafić do wyjścia, bo inaczej wyskoczę razem z tobą przez okno.

- Myślę, że mogę sprawić, że zmieni pan zdanie.

Kaz potrząsnął nim lekko.

- Nie obchodzi mnie, kim jesteś ani jak wielki jest twój rubin. Nie będziesz mnie zgarniał z moich własnych ulic. I nie próbuj negocjować ze mną, kiedy siedzę przykuty do krzesła.

- Mikka! – zawołał Van Eck.

I wtedy to znowu się stało. Chłopiec przeszedł przez ścianę biblioteki. Był blady jak trup i nosił haftowany niebieski płaszcz

akwatyka, z czerwono-złotą wstążeczką w klapie wskazującą jego związek z domem Van Ecka. Tyle że nawet grisza nie potrafi po prostu przejść przez ścianę.

Narkotyk, pomyślał Kaz, starając się nie panikować. Coś mi podali. A może to była jakaś iluzja, w rodzaju tych, jakie pokazywano w teatrach niedaleko Wschodniej Klepki – dziewczyna przecięta na pół, gołąbki wylatujące z imbryka.

– Co jest, do licha? – warknął.

– Proszę mnie puścić, a wszystko wyjaśnię.

– Możesz wyjaśnić z tego miejsca.

Van Eck odetchnął płytko, wypuszczając z drzeniem powietrze.

– To, co pan widzi, to skutki działania *jurdy parem*.

– *Jurda* to zwykły środek pobudzający.

Te drobne suszone kwiatki rosły w Nowoziemiu i sprzedawano je we wszystkich sklepach w Ketterdamie. Kiedy Kaz zaczynał w Szumowinach, żuł je, żeby nie tracić czujności w trakcie obserwacji. Na wiele dni barwiły mu zęby na pomarańczowo.

– Jest nieszkodliwy – dodał.

– *Jurda parem* to coś zupełnie innego i zdecydowanie nie jest to nieszkodliwy środek.

– Czyli otrułeś mnie.

– Nie pana, panie Brekker. Mikkę.

Kaz widział chorobliwą bladość twarzy griszy. Chłopiec miał ciemne worki pod oczami i kruchą budowę ciała, jak ktoś, kto przegapił kilka posiłków i nawet tego nie zauważył.

– *Jurda parem* to kuzynka zwykłej *jurdy* – mówił dalej Van Eck.

– Pochodzi z tej samej rośliny. Nie znamy dokładnie procesu, w jakim wytwarza się tę substancję, ale jej próbki przysłał Radzie Kupieckiej Kerchu pewien naukowiec nazwiskiem Bo Yul-Bayur.

– Shu?

– Tak. Chciał zbiec z kraju, więc przysłał nam próbkę, żeby przekonać nas, że jego twierdzenia o nadzwyczajnych skutkach używki są prawdziwe. Bardzo pana proszę, panie Brekker, to nad

wyraz niewygodna pozycja. Jeśli pan woli, dam panu pistolet, a wtedy będziemy mogli usiąść i porozmawiać jak cywilizowani ludzie.

– Pistolet i moją laskę.

Van Eck machnął na jednego ze strażników, który wyszedł z pokoju i wrócił chwilę potem z laską. Kaza niezmiernie uradował fakt, że skorzystał z drzwi jak człowiek.

– Najpierw pistolet – powiedział Kaz. – Tylko powoli.

Strażnik wyjął broń z kabury i oddał mu ją rękojeścią do przodu. Kaz chwycił pistolet i odciągnął kurek jednym szybkim ruchem, a potem puścił Van Ecka, rzucił nożyk do listów na biurko i wyrwał laskę z ręki strażnika. Pistolet był bardziej użyteczny, ale laska dodawała mu tak dużej otuchy, że Kaz nie zamierzał tego nawet szacować.

Van Eck odsunął się kilka kroków, oddalając się od naładowanej broni Kaza. Nie rwał się do siadania. Podobnie jak Kaz, który trzymał się blisko okna, w każdej chwili gotowy uciec przez nie, gdyby zaszła taka konieczność.

Kupiec odetchnął głęboko i spróbował doprowadzić do ładu swój strój.

– Ta laska to porządny sprzęt, panie Brekker. Robota fabrykatora?

Rzeczywiście było to dzieło griszy, laska dociążona ołowiem, idealnie wyważona do łamania kości.

– Nie twoja sprawa. Gadaj, Van Eck.

Kupiec odchrząknął.

– Kiedy Bo Yul-Bayur przysłał nam próbkę *jurdy parem*, podaliśmy substancję trójce griszów, po jednym z każdego Zakonu.

– Szczęśliwi ochotnicy?

– Kontraktowcy – przyznał Van Eck. – Pierwsza dwójka to byli fabrykator i uzdrowicielka pracujący dla radnego Hoede'a. Mikka to akwatyk. Jest mój. Widział pan, co potrafi dzięki tej substancji.

Hoede. To nazwisko z czymś mu się kojarzyło, ale z czym?

– Nie wiem, co widziałem – odrzekł Kaz, zerkając na Mikkę.

Chłopiec wpatrywał się bacznie w Van Ecka, jakby czekał na kolejny rozkaz. Albo następną dawkę.

– Zwykli akwatycy potrafią kontrolować prądy wodne, przywołać wodę albo wilgoć z powietrza lub niedalekiego źródła. Zawiadują pływami w naszym porcie. Jednakże pod wpływem *jurdy parem* akwatyk może zamienić własny stan skupienia ze stałego w ciekły lub gazowy i z powrotem, a także to samo uczynić z innymi obiektami. Nawet ze ścianą.

Kaza kusilo, żeby temu zaprzeczyć, ale nie potrafił inaczej wyjaśnić tego, co właśnie widział.

– Jak?

– Trudno powiedzieć. Wie pan o amplifikatorach, jakie stosują niektórzy griszowie?

– Widziałem je. – Zwierzęce kości, zęby, łuski. – Słyszałem, że trudno je zdobyć.

– Bardzo. One jednak tylko zwiększają moc grisy. *Jurda parem* zmienia jego percepcję.

– No i?

– Griszowie manipulują materią na najbardziej fundamentalnych poziomach. Nazywają to Małą Nauką. Pod wpływem *parem* są w stanie manipulować szybciej i znacznie precyzyjniej. Teoretycznie *jurda parem* to używka pobudzająca tak samo jak jej kuzynka. Jednak wydaje się, że wyostrza zmysły griszów. Dzięki temu działają z nadzwyczajną szybkością. Stają się dla nich realne rzeczy, które zwyczajnie nie powinny być możliwe.

– A jak to działa na takich nędznych sukinsynów jak ty czy ja?

Van Eck najeżył się nieco, kiedy trafił do jednego wora z Kazem, ale odpowiedział:

– Zabija. Zwykły umysł nie jest w stanie znieść *parem* nawet w najmniejszych dawkach.

– Powiedziałeś, że podaliście ją trzem griszom. Jak wpłynęła na pozostałych?

– Proszę – powiedział Van Eck, sięgając do szuflady biurka.

Kaz uniósł pistolet.

– Spokojnie.

Z przesadną powolnością Van Eck włożył rękę do szuflady i wyjął grudkę złota.

– To był kiedyś ołów.

– Nie wstawiaj mi głodnych kawałków.

Van Eck wzruszył ramionami.

– Mogę tylko powiedzieć to, co widziałem. Fabrykator wziął do ręki kawałek ołowiu i kilka chwil później mieliśmy to.

– Skąd wiecie, że to prawdziwe złoto?

– Ma taką samą temperaturę topnienia jak złoto, taki sam ciężar i kowalność. Jeśli nie jest identyczne pod każdym względem ze zwykłym złotem, to różnice nam umykają. Proszę to wziąć i zbadać, jeśli pan chce.

Kaz wsunął łaskę pod pachę i wziął ciężką grudkę z dłoni Van Ecka. Wsunął ją do kieszeni. Bez względu na to, czy to było prawdziwe złoto, czy przekonująca imitacja, za taki kawał żółtego metalu mógł kupić wiele ulic w Baryłce.

– Mogłeś to wziąć skądkolwiek – zauważył.

– Przeprowadziłbym samego fabrykatora Hoede'a, ale nie czuje się najlepiej.

Kaz zerknął na chorobliwie bladą twarz Mikki i wilgotne czoło. Narkotyk najwyraźniej miał swoją cenę.

– Powiedzmy, że to wszystko prawda, a nie jakieś tanie sztuczki ze znikającą monetą. Co to ma wspólnego ze mną?

– Może słyszał pan o tym, że Shu Han spłacił swój cały dług wobec Kerchu dzięki niespodziewanemu przyływowi złota? Albo o zabójstwie ambasadora handlowego z Nowoziemia? O kradzieży dokumentów z bazy wojskowej w Ravce?

Zatem to taka tajemnica stała za śmiercią ambasadora w toalecie. A złoto na trzech statkach z Shu Hanu musiało być robotą fabrykatorów. Kaz nie słyszał nic o dokumentach z Ravki, ale mimo to skinął głową.

– Wierzymy, że to wszystko jest robotą griszów kontrolowanych przez rząd Shu Hanu i będących pod wpływem

jurdy parem. – Van Eck podrapał się po szczęce. – Panie Brekker, proszę, żeby zastanowił się pan chwilę nad tym, co panu mówię. Ludzie, którzy mogą przechodzić przez ściany. Żaden skarbiec i forteca nie będą już bezpieczne. Ludzie, którzy potrafią tworzyć złoto z ołowiu czy dowolnej innej rzeczy, skoro już o tym mowa. Ludzie, którzy mogą zmienić tworzywo samego świata. Rynek światowy pogrąży się w chaosie. Cała ekonomia się załamie.

– Bardzo to ekscytujące. Czego chcesz ode mnie, Van Eck? Mam ukraść ładunek *jurdy parem*? Recepturę?

– Nie, chcę, żeby ukradł pan człowieka.

– Mam porwać Bo Yul-Bayura?

– Uratować go. Miesiąc temu otrzymaliśmy od niego wiadomość, w której błagał o udzielenie mu azylu. Martwił się z powodu planów swojego rządu wobec *jurdy parem*, a my zgodziliśmy się pomóc mu w ucieczce. Ustaliliśmy miejsce spotkania, ale w umówionym miejscu doszło do potyczki.

– Z Shu?

– Nie, z Fjerdanami.

Kaz zmarszczył brwi. Fjerdanie musieli mieć szpiegów głęboko w Shu Hanie albo Kerchu, skoro tak szybko dowiedzieli się o narkotyku i planach Bo Yul-Bayura.

– No to wyślijcie tam swoich ludzi.

– Sytuacja dyplomatyczna jest cokolwiek delikatna. Nasz rząd w żadnym razie nie może zostać powiązany z Yul-Bayurem.

– Musicie wiedzieć, że najpewniej nie żyje. Fjerdanie nienawidzą griszów. Za żadne skarby nie pozwolą, żeby wiedza o narkotyku wydostała się na świat.

– Nasze źródła twierdzą, że jak najbardziej żyje i czeka na proces. – Van Eck odchrząknął. – W Lodowym Dworze.

Kaz wpatrywał się w Van Ecka przez długą minutę, a potem wybuchnął gromkim śmiechem.

– Cóż, przyjemnie mi było zostać ogłuszonym i porwanym przez ciebie, Van Eck. Możesz być pewien, że przy pierwszej nadarzającej się okazji odwdzięczę ci się za twoją gościnność. A teraz niech któryś z twoich sługusów wskaże mi wyjście.

– Jesteśmy gotowi zaproponować panu pięć milionów *kruge*.

Kaz schował pistolet do kieszeni. Nie obawiał się teraz o swoje życie, irytował go tylko fakt, że ten łachudra zmarnował jego czas.

– To może cię zaskoczyć, Van Eck, ale my, szczury ze slumsów, cenimy swoje życie równie wysoko jak ty swoje.

– Dziesięć milionów.

– Nie ma korzyści z fortuny, kiedy człowiek nie pożyje, żeby ją wydać. Gdzie jest mój kapelusz... Twój akwatyk zostawił go w zaułku?

– Dwadzieścia.

Kaz zamarł. Miał upiorne wrażenie, że wyrzeźbione ryby na ścianach zamarły w skoku, żeby posłuchać.

– Dwadzieścia milionów *kruge*?

Van Eck skinął głową. Nie sprawiał wrażenie szczęśliwego.

– Musiałbym przekonać grupę ludzi, żeby podjęła się misji samobójczej. To nie będzie tanie.

To nie była do końca prawda. Wbrew temu, co powiedział Van Eckowi, mnóstwo ludzi w Baryłce nie miało po co żyć.

– Dwadzieścia milionów *kruge* to wysoka cena – warknął Van Eck.

– Nigdy nie włamano się do Lodowego Dworu.

– Dlatego potrzebujemy pana, panie Brekker. Możliwe, że Bo Yul-Bayur już nie żyje albo że wydał sekret Fjerdanom, ale myślimy, że mamy przynajmniej trochę czasu, zanim w planie gry trzeba będzie uwzględnić ujawnienie sekretu *jurdy parem*.

– Jeśli Shu znają recepturę...

– Yul-Bayur twierdził, że zdołał zwieść zwierchników i zachować w tajemnicy szczegóły receptury. Uważamy, że działają, korzystając z ograniczonego zapasu, jaki zostawił po sobie Yul-Bayur.

„To chciwość kłania się przede mną”, powiedział wcześniej Kaz. Może okazał się trochę zbyt zuchwały w tym temacie, bo teraz chciwość wypełniała rozkazy Van Ecka. Odpowiednio umieszczona dźwignia przewyższała opór Kaza i pomału

przesuwała go we właściwe miejsce.

Dwadzieścia milionów *kruge*. Co to będzie za zadanie? Kaz nie miał najmniejszego pojęcia na temat szpiegostwa czy zatargów między rządami, ale dlaczego wykradzenie Bo Yul-Bayura z Lodowego Dworu miałyby różnić się od buchnięcia czegoś cennego z sejfu kupca? Z najlepiej chronionego sejfu na całym świecie, upomniał się w myślach. Potrzebowałyby bardzo wyspecjalizowanego i zdesperowanego zespołu ludzi, którzy nie będą się wzdragać na myśl o realnym ryzyku, o tym, że nigdy nie wrócą z tej roboty. Kaz nie będzie w stanie wziąć ludzi po prostu z Szumowin. Nie dysponował potrzebnymi talentami w gangu. A to znaczyło, że powinien pilnować się bardziej niż zwykle.

Gdyby jednak mu się udało, to nawet po oddaniu działki Perowi Haskellowi udział Kaza byłby wystarczający, żeby wszystko się zmieniło, żeby wreszcie mógł zrealizować marzenie, które miał, odkąd wyczołgał się z zimnego portu z pragnieniem zemsty wypalającym mu dziurę w sercu. Nareszcie spłaciłby dług wobec Jordiego.

Istniały też inne korzyści. Rada Kerchu miałaby u niego dług, już nie wspominając o tym, jak ten konkretny skok wpłynąłby na jego reputację. Przeniknąć do niezdobytego Lodowego Dworu i wyrwać zdobycz z bastionu wojskowej i arystokratycznej potęgi Fjerdan? Mając na swoim koncie taką robotę i dysponując taką kasą, nie potrzebowałyby już Pera Haskell. Mógłby zacząć działać na własną rękę.

Tyle że coś mu tu śmierdziało.

– Dlaczego ja? Dlaczego Szumowiny? Są bardziej doświadczeni ludzie.

Mikka zaczął kaszleć i Kaz zauważył krew na jego rękawie.

– Usiądź – polecił łagodnie Van Eck, pomagając chłopcu usadowić się na krześle, a potem podał mu chusteczkę. Dał znać strażnikowi. – Trochę wody.

– Zatem? – dopytywał się Kaz.

– Ile ma pan lat, panie Brekker?

– Siedemnaście.

– Nie został pan aresztowany od czternastego roku życia, a ponieważ wiem, że nie jest pan uczciwym mężczyzną, tak jak nie był pan uczciwym chłopcem, mogę tylko domyślać się, że posiadał pan cechę, której najbardziej potrzebuję w przestępcy: nie daje się pan złapać. – Van Eck uśmiechnął się. – No i dochodzi jeszcze kwestia mojego DeKappela.

– Nie bardzo wiem, co ma pan na myśli.

– Sześć miesięcy temu zniknął z mojego domu obraz olejny DeKappela wart prawie sto tysięcy *krug*.

– Co za strata.

– Owszem, zwłaszcza że zapewniano mnie, że do mojej galerii nie można się włamać, a zamki na drzwiach są niezawodne.

– Chyba rzeczywiście przypominam sobie, że gdzieś o tym czytałem.

– Tak – przyznał Van, Eck wzdychając – duma to ryzykowna rzecz. Ochoczo popisywałem się moim nabytkiem i tym, ile trudu zadałem sobie, żeby go ochronić. A jednak mimo wszystkich strażników, mimo psów, alarmów i najbardziej lojalnej służby w całym Ketterdamie mój obraz przepadł.

– Najszczęsze wyrazy współczucia.

– Obraz jeszcze nie pojawił się na rynku.

– Może złodziej miał już umówionego kupca.

– Bez wątpienia istnieje taka możliwość, ale skłonny jestem wierzyć, że złodziej zabrał go z innych powodów.

– A mianowicie?

– Żeby udowodnić, że jest w stanie to zrobić.

– Moim zdaniem to głupie i ryzykowne.

– Cóż, kto odgadnie motywę złodziei?

– Z pewnością nie ja.

– Z mojej wiedzy na temat Lodowego Dworu wynika, że ktokolwiek ukradł mojego DeKappela, jest tą właśnie osobą, której potrzebuję do tego zadania.

– W takim razie lepiej byłoby, gdyby go pan zatrudnił. Albo ją.

– W rzeczy samej. Zadowolę się jednak panem.

Van Eck spojrział Kazowi w oczy, jakby spodziewał się znaleźć

wypisane w nich wyznanie winy. W końcu zapytał:

– Umowa stoi?

– Nie tak szybko. A co z uzdrowicielką?

Van Eck spojrział zbity z tropu.

– Z kim?

– Powiedziałeś, że podaliście narkotyk griszom z każdego zakonu. Mikka to akwatyk, twój eteryk. Substantyk, który zrobił złoto, był materialnikiem. A co się stało z somatykiem? Z uzdrowicielką?

Van Eck skrzywił się lekko, ale powiedział po prostu:

– Pozwoli pan ze mną, panie Brekker?

Ostrożnie, mając na oku Mikkę i strażników, Kaz wyszedł z Van Eckiem z biblioteki i poszedł korytarzem. Dom ociekał kupieckim bogactwem – ściany wyłożono ciemnym drewnem, podłogi schludnymi czarnymi i białymi kaflami, każda rzecz w dobrym guście, wszystko doskonale powściągliwe i nienagannie wykonane. Jednak panowała tam cmentarna atmosfera. Pokoje stały opuszczone, zasłony zaciągnięto, meble przykryto białymi pokrowcami, więc każda cienista komnata, jaką mijali, wyglądała jak zapomniany krajobraz zagracony górami lodowymi.

Hoede. Wreszcie skojarzył to nazwisko. W zeszłym tygodniu doszło do jakiegoś incydentu w rezydencji Hoede'a przy Geldstraat. Całe miejsce otoczono kordonem i wszędzie roiło się od funkcjonariuszy *stadwachty*. Kaz słyszał plotki, że wybuchła tam zaraza ognistej ospy, ale nawet Inej nie zdołała dowiedzieć się niczego więcej.

– To jest dom radnego Hoede'a – powiedział Kaz. Przeszedł go dreszcz. Nie chciał mieć nic wspólnego z zarazą, ale kupiec i strażnicy nie sprawiali wrażenia w najmniejszym stopniu przejętych. – Myślałem, że ten dom objęto kwarantanną.

– To, co wydarzyło się tutaj, nie stanowi dla nas zagrożenia. A jeśli wykona pan swoje zadanie, to nigdy nie będzie stanowiło.

Van Eck wypuścił go drzwiami do wypielegnowanego ogrodu, w którym aż gęsto było od miodowego zapachu

pierwszych krokusów. Zapach ten uderzył Kaza jak cios w szczękę. Wspomnienia Jordiego już odnowiły się w jego umyśle i przez chwilę Kaz nie szedł przed ogród bogatego kupca nad kanałem, ale brodził w wiosennej trawie wysokiej po kolana, gorące słońce prażyło mu policzki, a głos brata wzywał go do domu.

Kaz się otrząsnął. Muszę wypić kubek najciemniejszej, najbardziej gorzkiej kawy, jaką znajdę, pomyślał. Albo może naprawdę ktoś powinien przyłożyć mi w szczękę.

Van Eck zaprowadził go do hangaru na łodzie nad kanałem. Światła migoczące za zamkniętymi okiennicami rzucały jasne wzory na ogrodową ścieżkę. Jeden strażnik miejski stał na baczność przy drzwiach, kiedy Van Eck wyjął klucz z kieszeni i wsunął do potężnej kłódki. Kaz przysunął rękaw do ust, gdy doleciał go smród z zamkniętego pomieszczenia – odór uryny, ekskrementów. To tyle, jeśli idzie o wiosenne krokusy.

Dwie szklane latarnie powieszony na ścianach oświetlały pomieszczenie. Grupa strażników stała twarzą do wielkiego żelaznego pudła, strzaskane szkło zaśmiecało podłogę u ich stóp. Niektórzy nosili fioletowe mundury *stadwachtu*, inni turkusową liberię domu Hoede'a. Przez otwór, który – jak zrozumiał teraz Kaz – był oknem obserwacyjnym, zobaczył jeszcze jednego strażnika miejskiego, stojącego przed pustym stołem i dwoma przewróconymi krzesłami. Tak jak pozostali zamarł z rękami opuszczonymi do boków, pustą twarzą, wpatrzony w dal. Van Eck podkręcił światło jednej z latarni i Kaz zobaczył ciało w fioletowym mundurze, leżące bezwładnie na podłodze i z zamkniętymi oczami.

Van Eck westchnął i przykucnął nad ciałem.

– Straciliśmy kolejnego – powiedział.

Chłopak był młody, nad górną wargą wąs dopiero zaczynał mu się sypać.

Van Eck wydał rozkaz strażnikowi, który ich wpuścił, i z pomocą jednego z członków świty kupca dwaj mężczyźni wynieśli z pomieszczenia nieboszczyka. Pozostali strażnicy nie

zareagowali, tylko nadal wpatrywali się przed siebie.

Kaz rozpoznał jednego z nich – Henrik Dahlman, kapitan *stadwacht*.

– Dahlman? – zapytał, ale mężczyzna nie odpowiedział.

Kaz pomachał mu ręką przed twarzą, a potem strzelił go mocno w ucho. Dahlman tylko powoli, beznamiętnie zamrugał. Kaz uniósł pistolet i wycelował prosto w czoło kapitana. Odciągnął kurek. Kapitan nie wzdrygnął się, nie zareagował. Żrenice mu się nie zwężyły.

– Na dobrą sprawę już jest martwy – powiedział Van Eck. – Niech pan strzela. Roztrzaska mu mózg. Nie zaprotestuje, a pozostali nie zareagują.

Kaz opuścił broń. Przeszedł go dreszcz aż do szpiku kości.

– Co to jest? Co się z nimi stało?

– Grisza była somatykiem na kontrakcie w domu radnego Hoede'a. Myślał, że ponieważ jest uzdrowicielką, a nie ciałobójczynią, bezpieczniej będzie na niej wypróbować *parem*.

To rzeczywiście brzmiało całkiem rozsądnie. Kaz widział ciałobójców w akcji. Potrafili sprawić, że komórki pękały w ciele człowieka, wybuchало serce w piersi; wykradali oddech z płuc albo spowalniali tętno tak bardzo, że człowiek zapadał w śpiączkę, a przy tym wszystkim nie musieli nawet tknąć go palcem. Jeśli choćby część tego, co powiedział Van Eck, była prawdą, pomysł, żeby podać komuś takiemu *jurde parem*, był cokolwiek zniechęcający. Dlatego kupcy wypróbowali narkotyk na uzdrowicielce. Najwyraźniej jednak sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem.

– Podaliście jej narkotyk, a ona zabiła swojego pana?

– Nie całkiem – odpowiedział Van Eck i odchrząknął. – Zamknięto ją w celi obserwacyjnej. Po kilku sekundach od spożycia *parem* przejęła kontrolę nad strażnikiem w celi...

– Jak?

– Nie wiemy dokładnie. Jednakże jakąkolwiek metodą się posłużyła, metoda ta pozwoliła jej także zapanować nad tymi strażnikami.

– To niemożliwe.

– Doprawdy? Mózg to tylko kolejny organ, zlepek komórek i impulsów. Dlaczego grisza pod wpływem *jurdy parem* miałyby nie móc manipulować tymi impulsami?

Niedowierzenie Kaza musiało wyraźnie malować się na jego twarzy.

– Proszę spojrzeć na tych ludzi – obstawał przy swoim Van Eck. – Kazała im czekać. I to właśnie od tej pory robią. Tylko to robią od tej pory.

Kaz przyjrzał się uważniej grupie ludzi. Ich spojrzenia nie były puste ani martwe, ich ciała nie były całkowicie znieruchomiałe. Oni wyczekiwali. Powstrzymał dreszcz. Widział dziwaczne rzeczy, nadzwyczajne rzeczy, ale nic, co by równało się temu, co ujrzał tej nocy.

– Co się stało z Hoedem?

– Rozkazała mu otworzyć drzwi, a kiedy to zrobił, kazała mu odciąć sobie kciuk. Wiemy, jak do tego doszło tylko dzięki temu, że obecny przy tym był też chłopak pracujący w kuchni. Grisza zostawiła go nietkniętego. Dzieciak twierdzi, że Hoede odciął sobie kciuk z uśmiechem na ustach.

Kazowi nie podobała się myśl, że jakiś grisza mógłby poprzestawiać mu rzeczy w głowie. Nie zdziwiłby się jednak, gdyby okazało się, że Hoede zasłużył sobie na to, co mu się przytrafiło. W czasie wojny domowej w Ravce mnóstwo griszów uciekło od walk i kupiło sobie azyl w Kerchu, zawierając kontrakty. Nie zdawali sobie sprawy, że właściwie sprzedają się do niewoli.

– Kupiec nie żyje?

– Radny Hoede stracił bardzo dużo krwi, ale znajduje się w tym samym stanie, co ci ludzie. Przewieziono go na wieś wraz z rodziną i służbą z tego domu.

– Uzdrowicielka wróciła do Ravki? – spytał Kaz.

Van Eck dał mu znać, żeby wyszli z upiornego hangaru, i zamknął drzwi.

– Możliwe, że próbowała – mówił, kiedy wracali przez ogród

i szli wzdłuż domu. – Wiemy, że wynajęła małą łódź, i podejrzewamy, że popłynęła do Ravki, ale znaleźliśmy jej ciało. Fale wyrzuciły je dwa dni temu w okolicy Trzeciej Przystani. Myślimy, że utonęła, kiedy próbowała wrócić do miasta.

– Dlaczego miałyby tu wracać?

– Po kolejną dawkę *jurdy parem*.

Kaz pomyślał o błyszczących oczach Mikki i woskowej skórze.

– Jest aż tak uzależniająca?

– Wydaje się, że wystarczy już jedna dawka. Kiedy narkotyk przestaje działać, ciało griszy jest wycieńczone, a pragnienie się nasila. Substancja dość poważnie osłabia.

„Poważnie osłabia” to było chyba lekkie niedopowiedzenie. Rada Pływów kontrolowała wejście do portów Ketterdamu. Jeśli uzdrowicielka pod wpływem narkotyku próbowała wrócić tu nocą w małej łodzi, to nie miała dużych szans w walce z prądami. Kaz pomyślał o wychudłej twarzy Mikki, o tym, jak ubranie zwisało z jego ciała. To narkotyk doprowadził go do takiego stanu. Jeszcze znajdował się pod wpływem *jurdy parem*, a już chciał dostać następną dawkę. Wyglądał też, jakby w każdej chwili mógł zemdleć. Jak długo grisza mógł coś takiego wytrzymać?

To było ciekawe pytanie, ale bez związku z aktualną sprawą. Doszli do frontowej bramy. Nadszedł czas zawrzeć umowę.

– Trzydzieści milionów *kruge* – powiedział Kaz.

– Mówiliśmy o dwudziestu – wykrztusił Van Eck.

– Ty mówiłeś o dwudziestu. Widać, że jesteście zdesperowani.

– Kaz zerknął w stronę hangaru na łodzi, pomieszczenia pełnego ludzi czekających na śmierć. – I teraz rozumiem dlaczego.

– Rada urwie mi głowę.

– Będzie wyśpiwywać peany na twoją część, gdy już bezpiecznie ukryjecie Bo Yul-Bayura, gdziekolwiek postanowicie go trzymać.

– W Nowoziemiu.

Kaz wzruszył ramionami.

– Możecie schować go w dzbanku do kawy, jeśli o mnie chodzi.
Van Eck spojrzał mu w oczy.

– Widział pan, do czego może doprowadzić ten narkotyk. Zapewniam pana, że to dopiero początek. Jeśli *jurda parem* wydobędzie się na świat, wojna będzie nieunikniona. Nasze szlaki handlowe zostaną zniszczone, nasze rynki się zawalą. Kerch tego nie przetrwa. Wszystkie nasze nadzieje spoczywają w pana rękach, panie Brekker. Jeśli pan zawiedzie, świat zapłaci za to ogromnym cierpieniem.

– Och, będzie jeszcze gorzej, Van Eck. Jeśli zawiodę, nie dostanę wypłaty.

Wyraz niesmaku na twarzy kupca zasługiwał, żeby uwiecznił go sam DeKappel.

– Nie rób takiej rozczarowanej miny. Pomyśl tylko, jaki byłbyś nieszczęśliwy, gdybyś odkrył, że ten łachudra znad kanałów ma w sobie coś z patrioty. Może musiałbyś wtedy przestać się krzywić i potraktować mnie z czymś graniczącym z szacunkiem.

– Dziękuję, że oszczędził mi pan tej niedogodności – odparł z pogardą Van Eck. Otworzył furtkę i zawahał się. – Zastanawiam się jednak, czego mógłby dokonać chłopak z pańską inteligencją w innych okolicznościach.

Zapytaj Jordiego, pomyślał z goryczą Kaz i tylko wzruszył ramionami.

– Okradałbym lepszych frajerów. Trzydzieści milionów *kruge*.
Van Eck skinął głową.

– Trzydzieści. Umowa stoi.

– Umowa stoi – powtórzył Kaz.

Uścisnęli sobie dłonie.

Kiedy wypielegnowana dłoń Van Ecka zacisnęła się na odzianej w skórę ręce Kaza, kupiec zmrużył oczy.

– Dlaczego nosi pan rękawiczki, panie Brekker?

Kaz uniósł brew.

– Na pewno słyszałeś różne historie.

– Jedna bardziej groteskowa od drugiej.

Kaz też je słyszał. Że dłonie Brekkera są trwale splamione krwią. Że są pokryte bliznami. Że ma szpony zamiast palców, bo jest w połowie demonem. Bo dotyk Brekkera parzy jak siarka, wystarczy otrzeć się o jego nagą skórę, żeby ciało człowieka zwiędło i obumarło.

– Wybierz sobie jedną – odrzekł Kaz, znikając w ciemności, a myślami już krążąc wokół trzydziestu milionów *krug* i ekipy, która pomoże mu je zdobyć. – Wszystkie są w równym stopniu prawdziwe.



Inej zorientowała się, że Kaz wrócił, gdy tylko wszedł do Listewki. Jego obecność niemal namacalnie wibrowała w ciasnych pokojach i krętych korytarzykach, sprawiając, że każdy opryszek, złodziej, szuler, oszust i naganiacz stawał się bardziej ożywiony. Ulubiony przyboczny Pera Haskella wrócił do domu.

Listewka to nie było nic specjalnego, po prostu kolejny dom w najgorszej części Baryłki, trzy kondygnacje ustawione ciasno jedna na drugiej, ukoronowane poddaszem i spadzistym dachem. Większość domów w tej części miasta zbudowano bez fundamentów, wiele na bagnistej ziemi, gdzie kanały wykopano na chybił trafił. Opierały się o siebie jak wstawieni przyjaciele w knajpie, pochylały się pod różnymi kątami jak zaspane. Inej odwiedziła wiele z nich, wykonując zadania dla Szumowin, i w środku nie prezentowały się wiele lepiej – zimne i wilgotne, tynk obłaził ze ścian, szpary w oknach były dostatecznie szerokie, żeby do środka wpadał deszcz i śnieg. Kaz jednak wyłożył własne pieniądze, żeby skończyć z przeciągami w Listewce i ocieplić ściany. Budynek był brzydki, koślawy i zatłoczony, ale cudownie suchy.

Pokój Inej znajdował się na drugim piętrze – mizerny skrawek przestrzeni, ledwie dostatecznie duży, żeby zmieścić pryczę i kufer, ale z oknem, które wychodziło na spadziste dachy i gmatwaninę kominów w Baryłce. Kiedy powiało i wiatr przegnał węglowy dym wiszący nad miastem, widziała nawet niebieską kieszonkę portu.

Chociaż do świtu brakowało już tylko kilku godzin, w Listewce nikt nie spał. W domu było naprawdę cicho tylko podczas leniwych godzin popołudnia, a tej nocy wszyscy ekscytowali się wieściami o starciu na Giełdzie, losie Dużego Bolligera, a teraz o odprawie biednego Rojakke’a.

Inej od razu po rozmowie z Kazem odszukała krupiera w Klubie Wron. Pracował właśnie przy stole, gdzie rozdawał karty do trójkolca Jesperowi i dwójce turystów z Ravki. Kiedy skończył rozdanie, Inej zasugerowała, by porozmawiali w jednym z prywatnych saloników gry, chcąc oszczędzić mu wstydu, jakim byłoby zwolnienie go przy wszystkich przyjaciołach, ale Rojakke się nie zgodził.

– To niesprawiedliwe! – ryknął, kiedy przekazała mu rozkazy Kaza. – Nie oszukuję!

– Pogadaj o tym z Kazem – odpowiedziała cicho Inej.

– I przestań się wydzierać – dodał Jesper, zerkając na turystów i żeglarzy siedzących przy sąsiednich stolikach.

Bójki często wybuchwały w Baryłce, ale nie w Klubie Wron. Problemy rozwiązywało się na zewnątrz, gdzie nie istniało ryzyko, że się zakłóci święty rytuał oskubywania frajerów ze szmału.

– Gdzie jest Brekker? – warknął Rojakke.

– Nie wiem.

– Zawsze wiesz wszystko o wszystkim – zadrwił Rojakke, pochylając się. Śmierdziało mu z ust piwem i cebulą. – Nie za to płaci ci Brudnoręki?

– Nie wiem, gdzie jest ani kiedy wróci. Wiem jednak, że wolisz, żeby cię tu nie było, kiedy wróci.

– Daj mi mój czek. Wisicie mi za ostatnią zmianę.

– Brekker nie jest ci nic winien.

– Nie spojrzysz mi nawet w twarz? Przysyła dziewczynkę, żeby mnie wylała? Może po prostu z ciebie wytrząsnę trochę grosza.

Wyciągnął rękę, żeby złapać Inej za kołnierz koszuli, ale ona z łatwością zrobiła unik. Znowu po nią sięgnął.

Kątem oka Inej zobaczyła, że Jesper wstał, ale zbyła go machnięciem ręki i wsunęła palce w kastet, który nosiła w prawej kieszeni na biodrze. Wymierzyła szybki cios w lewy policzek Rojakke'a.

Poderwał rękę do twarzy.

– Ej! – zaprotestował. – Nie zrobiłem ci żadnej krzywdy. Tak tylko gadałem.

Ludzie patrzyli teraz, więc uderzyła go znowu. Niezależnie od zasad panujących w Klubie Wron to było ważniejsze. Kiedy Kaz sprowadził Inej do Listewki, ostrzegł ją, że nie będzie w stanie jej chronić, więc musi sama sobie radzić, i tak właśnie robiła. Łatwo byłoby odwrócić się, kiedy obrzucano ją wyzwiskami, albo podejść do kogoś i poprosić o przytulenie, ale w następnej kolejności ktoś wpakowałby łapę pod jej bluzkę albo przyparłby ją do ściany, żeby spróbować z nią szczęścia. Dlatego nie puszczała mimo uszu żadnych zniewag ani insynuacji. Zawsze uderzała pierwsza i uderzała mocno. Czasem potrafiła nawet poturbować gościa. To było nużące, ale w Kerchu nie znano żadnej świętości poza handlem, więc postarała się, żeby ryzyko było większe niż nagroda, kiedy w grę wchodziło znieważenie jej osoby.

Rojakke dotknął palcami brzydkiego siniaka, który pojawiał się na jego policzku. Sprawiał wrażenie zaskoczonego i trochę zdradzonego.

– Myślałem, że się kumplujemy – zaprotestował.

Najsmutniejsze było to, że rzeczywiście się przyjaźnili. Inej naprawdę lubiła Rojakke'a. Jednak w tej chwili był tylko przestraszonym mężczyzną, który chciał się na kimś wyżyć.

– Rojakke – powiedziała – widziałam, jak pracujesz z talią kart. Dostaniesz pracę w prawie każdym domu gry. Wracaj do siebie

i ciesz się, że Kaz nie odbił sobie na tobie tego, co jesteś mu winien, jasne?

Wyszedł, nieco chwiejnie, nadal ściskając policzek jak oszołomiony dzieciak. Jesper podszedł do niej powolnym krokiem.

– On ma rację. Kaz nie powinien cię przysyłać, żebyś odwalą jego brudną robotę.

– Tu każda robota jest brudna.

– A mimo to ją odwalamy – odpowiedział z westchnieniem Jesper.

– Wyglądasz na wykończonego. Prześpisz się trochę tej nocy?

Jesper mrugnął do niej.

– Nie, póki karty są gorące. Zostań i pograj chwilę. Kaz zapłaci za ciebie.

– Serio, Jesper? – odrzekła, naciągając kaptur. – Gdy będę chciała popatrzeć, jak ktoś kopie sobie dołek, to poszukam cmentarza.

– Daj spokój! – zawołał za nią, kiedy wychodziła przez duże dwuskrzydłowe drzwi na ulicę. – Przynosisz szczęście!

Na świętych, pomyślała, jeśli on w to wierzy, to naprawdę musi być zdesperowany.

Szczęście zostawiła za sobą w obozie Suli na wybrzeżu Zachodniej Ravki. Wątpiła, żeby jeszcze kiedyś zobaczyła to miejsce.

Teraz wyszła ze swojego małego pokoiku w Listewce i zjechała po poręczy schodów. Nie miała powodów kryć się tutaj, ale z przyzwyczajenia zachowywała ciszę, a schody zwykle piszczały jak parzące się myszy. Kiedy dotarła na pierwsze piętro, zobaczyła tłum kłębiący się na parterze i została na górze.

Kaz zniknął na dłużej, niż się spodziewano, i kiedy tylko wszedł do mrocznego holu, zatrzymali go ludzie, którzy chcieli mu pogratulować rozgromienia Geelsa i zapytać o nowiny na temat Czarnych Palców.

– Wieść niesie, że Geels już zbiera ludzi, żeby nas zaatakować – powiedziała Anika.

– Niech zbiera! – zadudnił Dirix. – Mam stylisko od siekiery z wypisanym jego imieniem.

– Geels wstrzyma się z działaniami przez jakiś czas – powiedział Kaz, idąc korytarzem. – Nie ma dość ludzi, żeby stawić nam czoło na ulicy, a szkatułę już opróżnił, więc nie wynajmie dodatkowych sił. Nie powinniście właśnie iść do Klubu Wron?

Uniesienie brwi wystarczyło, żeby Anika czmychnęła, a w ślad za nią Dirix. Podeszli inni, żeby mu pogratulować albo rzucić kilka pogróżek pod adresem Czarnych Palców. Nikt jednak nie zapędził się tak daleko, żeby poklepać Kaza po plecach – to był dobry sposób, żeby stracić rękę.

Inej wiedziała, że Kaz zajrzy do Pera Haskella, żeby z nim pogadać, więc zamiast zejść ostatnim ciągiem schodów, ruszyła korytarzem. Znajdował się tam schowek pełen drobiazgów, starych krzeseł z połamanymi oparciami, obryzganych farbą pokrowców z płótna. Inej odsunęła na bok wiadro ze środkami czystości, które ustawiła dokładnie tam, bo wiedziała, że nikt inny w Listewce nigdy go nie tknie. Przez kratę pod wiadrem miała doskonały widok na gabinet Pera Haskella. Dręczyły ją trochę wyrzuty sumienia z powodu podsłuchiwanie Kaza, ale to on ją zamienił w szpiega. Nie można wyszkolić sokoła i spodziewać się, że nie będzie polował.

Przez kratę słyszała pukanie Kaza do drzwi Pera Haskella i słowa powitania.

– Wróciłeś i nadal dychasz? – zapytał stary mężczyzna.

Widziała, że siedzi w ulubionym fotelu, majstrując przy modelu statku, który budował przez większość roku, jak zawsze z kuflem piwa w zasięgu ręki.

– Nie będziemy mieć więcej problemów w Piątej Przystani.

Haskell mruknął i wrócił do modelu.

– Zamknij drzwi.

Inej usłyszała trzask i dobiegające z korytarza hałasy przycichły. Widziała czubek głowy Kaza. Jego czarne włosy były wilgotne. Musiało zacząć padać.

– Powinieneś dostać pozwolenie ode mnie, żeby rozprawić się z Bolligerem – powiedział Haskell.

– Gdybym najpierw porozmawiał z tobą, wieść mogłaby się roznieść...

– Myślisz, że pozwoliłbym na to?

Kaz wzruszył ramionami.

– To miejsce jest jak każde inne w Ketterdamie. Przecieka.

Inej mogłaby przysiąc, że spojrział prosto w wylot przewodu wentylacyjnego przy tych słowach.

– To mi się nie podoba, chłopcze. Duży Bolliger był moim żołnierzem, nie twoim.

– Oczywiście – odpowiedział Kaz, ale obaj wiedzieli, że to kłamstwo.

Szumowiny Haskella to stara gwardia, oszuści i kanciarze z innych czasów. Bolliger był jednym z ludzi Kaza, świeża krew, młody i nieulekły chłopak. Może zbyt nieulekły.

– Jesteś bystry, Brekker, ale musisz nauczyć się cierpliwości.

– Tak, szefie.

Stary mężczyzna parsknął śmiechem.

– Tak szefie, nie szefie – zakpił. – Wiem, że coś kombinujesz, kiedy robisz się uprzejmy. Co tam knujesz?

– Mam robotę – powiedział Kaz. – Mogę zniknąć na pewien czas.

– Duża kasa?

– Bardzo.

– Duże ryzyko?

– Też. Ale dostaniesz swoje dwadzieścia procent.

– Żadnych poważnych ruchów bez mojego pozwolenia, jasne?

– Kaz musiał skinąć głową, ponieważ Per Haskell odchylił się w fotelu i wypił łyk piwa. – Będziemy bardzo bogaci?

– Jak święci w koronach ze złota.

Starzec prychnął.

– Pod warunkiem, że nie będę musiał żyć jak jeden z nich.

– Pogadam z Pimem – powiedział Kaz. – Może zająć się interesami podczas mojej nieobecności.

Inej zmarszczyła brwi. Dokąd Kaz się wybierał? Nie wspomniał jej o dużej robocie. I dlaczego Pim? Ta myśl trochę ją zawstydziła. Niemalże słyszała głos ojca: „Tak ci się śpieszy, żeby zostać królową złodziei?”. Wykonywać swoją robotę, i wykonywać ją dobrze, to jedna rzecz, a pragnąć sukcesu to coś całkiem innego. Nie chciała na stałe zostać w Szumowinach. Chciała spłacić dług i na zawsze uwolnić się od Ketterdamu, więc dlaczego przejmowała się, że Kaz wybrał Pima na zastępcę na czas swojej nieobecności? Bo jestem bystrzejsza od Pima. Bo Kaz bardziej ufa mnie. Może jednak nie wierzył, że gang będzie słuchał się takiej dziewczyny jak ona, która raptem dwa lata temu wyrwała się z burdelu i nie skończyła nawet siedemnastu lat. Nosila długie rękawy, a pochwa od noża prawie zasłaniała bliznę po wewnętrznej stronie lewego przedramienia, gdzie kiedyś znajdował się tatuaż Menażerii, ale wszyscy wiedzieli, że tam był.

Kaz wyszedł z pokoju Haskella, a Inej wymknęła się z kryjówki, żeby poczekać na niego, aż wespnie się, kuśtykając po schodach.

– Rojakke? – zapytał, mijając ją i wchodząc na drugi ciąg schodów.

– Odszedł – powiedziała, ruszając za nim.

– Bardzo się stawiał?

– Nie tak, żebym sobie nie poradziła.

– Nie o to pytałem.

– Był wściekły. Może wrócić, żeby narobić kłopotów.

– Tego nigdy tu nie brakuje – odpowiedział Kaz, kiedy doszli na ostatnie piętro.

Poddasze przerobiono na jego biuro i sypialnię. Wiedziała, że tyle schodów męczyło jego chorą nogę, ale najwyraźniej odpowiadało mu to, że ma dla siebie całe piętro.

Wszedł do gabinetu i nie odwracając się do niej, powiedział:

– Zamknij drzwi.

Większość pokoju zajmowało zavalone papierzyskami prowizoryczne biurko – stare drzwi z magazynu oparte na

skrzynkach po owocach. Niektórzy z szefów domów gry zaczęli korzystać z maszyn rachujących, brzękliwych ustrojstw z mnóstwem zacinających się mosiężnych guzików i szpul papieru, ale Kaz miał całą rachunkowość Klubu Wron w głowie. Prowadził też księgi, ale tylko przez wzgląd na staruszkę i żeby móc wskazać liczby, gdy oskarżał kogoś o oszustwo lub kiedy szukał nowego inwestora.

To była jedna z wielkich zmian, jakie Kaz zaprowadził w gangu. Dał szansę zwykłym sklepikarzom i uczciwym biznesmenom wykupić udziały w Klubie Wron. Początkowo byli sceptyczni, przekonani, że to jakiś szwindel, ale przekonał ich małąkimi udziałami i zdołał uzbierać dość kapitału, żeby wykupić zniszczony budynek, ogarnąć go trochę i rozkręcić interes. To się ogromnie opłaciło tym pierwszym inwestorom. A przynajmniej tak niosła wieść gminna. Inej nigdy nie była pewna, które historie o Kazie są prawdziwe, a które to tylko plotki, jakie sam rozsiewał dla własnych celów. Na ile się orientowała, równie dobrze mógłby wyłudzić od jakiegoś biednego uczciwego handlarza oszczędności całego życia, żeby rozkręcić Klub Wron.

– Mam dla ciebie robotę – powiedział Kaz, przeglądając rachunki z minionego dnia. Wystarczyło, żeby raz zerknął, i każdy dokument zapisywał się w jego pamięci. – Co powiesz na cztery miliony *kruge*?

– Takie pieniądze to bardziej przekleństwo niż dar.

– Moja mała sulijska idealistka. Tobie wystarczy tylko pełny żołądek i szeroka droga, co? – powiedział, nie kryjąc kpiny w głosie.

– I spokojne serce, Kaz.

W tym kryła się cała trudność.

Teraz roześmiał się w głos. Przeszedł drzwiami do małej sypialni.

– Na to nie ma szansy. Wolę gotówkę. Chcesz te pieniądze czy nie?

– Nie zajmujesz się rozdawaniem prezentów. Co to za robota?

– Niewykonalna. To niemal pewna śmierć, szanse są prawie żadne, ale powinniśmy dać sobie radę... – Zamarł z palcami na guzikach kamizelki, zapatrzony w dal, niemal rozmarzony.

Rzadko słyszała takie podniecenie w jego chropawym głosie.

– Powinniśmy dać sobie radę? – ciągnęła go za język.

Wyszczrzył do niej zęby. Jego uśmiech był nagły i szarpał nerwy jak grzmot. Oczy miał niemal czarne, jak gorzka kawa.

– Będziemy królami i królowymi, Inej. Królami i królowymi.

– Hmm – mruknęła niezobowiązująco, udając, że ogląda jeden z noży.

Postanowiła sobie, że zignoruje ten szeroki uśmiech. Kaz nie był roztrzepanym chłopakiem, który się uśmiecha i snuje z nią plany na przyszłość. Był niebezpiecznym graczem, który zawsze realizował jakiś cel. Zawsze, upomniała się stanowczo w myślach. Odwracała wzrok, układając plik papierów w stos na biurku, kiedy Kaz zdjął kamizelkę i koszulę. Nie bardzo wiedziała, czy powinno jej pochlebiać, czy ją obrażać, że nie zawahał się ani chwili z powodu jej obecności.

– Jak długo nas nie będzie? – zapytała, rzucając mu spojrzenie przez otwarte drzwi.

Składał się z samych mięśni i blizn, ale miał tylko dwa tatuaże: na przedramieniu wronę Szumowin z kielichem oraz czarną literę R wyżej, na bicepsie.

Nigdy nie zapytała go, co to R znaczy.

To jego dłonie zwróciły uwagę Inej, kiedy zrzucił skórzane rękawiczki i zanurzył myjkę w miednicy. Zdejmował je tylko w tych pokojach i, na ile się orientowała, tylko przy niej. Jakikolwiek schorzenie ukrywał, ona nie dostrzegała żadnych objawów, tylko smukłe palce włamywacza i lśniąca linię blizny po jakiejś dawnej ulicznej walce.

– Kilka tygodni, może miesiąc – odpowiedział, przesuwając myjką pod pachami i po twardych płaszczyznach piersi; woda spływała po jego skórze.

Na wszystkich świętych, pomyślała Inej, gdy policzki jej zapłonęły. Straciła większość skromności w czasie pobytu

w Menażerii, ale doprawdy, istniały pewne granice. Co powiedziałyby Kaz, gdyby ona nagle się rozebrała i zaczęła się myć na jego oczach? Pewnie powiedziałyby mi, żebym nie zachlapała biurka, pomyślała z grymasem.

– Miesiąc? Jesteś pewien, że powinieneś wyjeżdżać, kiedy Czarne Palce się tak wściekły?

– To rzeczywiście ryzykowne. A skoro mowa o ryzyku, zgarnij Jespera i Muzzena. Chcę, żeby przyszli tu przed świtem. I Wylan ma czekać na mnie w Klubie Wron jutro wieczorem.

– Wylan? Jeśli chodzi o tę dużą robotę...

– Po prostu zrób, co mówię.

Inej skrzyżowała ręce. W jednej chwili rumieniła się przez niego, a w drugiej miała ochotę go zabić.

– Zamierzasz cokolwiek wyjaśnić?

– Kiedy wszyscy się zbierzemy. – Włożył świeżą koszulę, a potem zawahał się, wiążąc krawat. – To nie jest zadanie. To robota, której możesz się podjąć albo nie, twój wybór.

Alarmowy dzwonek odezwał się w jej głowie. Codziennie narażała życie na ulicach Baryłki. Mordowała dla Szumowin, kradła, załatwiała ludzi dobrych i złych, a Kaz nigdy nie zasugerował, że choćby jedno z tych zadań to mniej niż rozkaz, który musi wypełnić. Na taką cenę zgodziła się, kiedy Per Haskell wykupił jej kontrakt i uwolnił ją z Menażerii. Czym zatem różniła się ta robota od innych?

Kaz skończył zapinać guziki, włożył grafitową kamizelkę i rzucił coś Inej. Drobiazg zabłysł w powietrzu. Złapała przedmiot jedną ręką. Kiedy otworzyła dłoń, zobaczyła szpilkę do krawata z dużym rubinem, oplecioną laurowymi listkami.

– Upłynnij – powiedział Kaz.

– Czyje to?

– Teraz nasze.

– A czyje było?

Kaz milczał. Wziął płaszcz i szczotką oczyścił go z błota.

– Kogoś, kto powinien dwa razy się zastanowić, zanim na mnie napadnie.

- Napadnie?!
- Słyszałaś.
- Ktoś cię załatwił?

Spojrzał na nią i skinął głową. Ogarnął ją niepokój, skreślił jej wnętrze w szeleszczący, nerwowy zwój. Nikt nigdy nie przechytrzył Kaza. Był najtwardszą, najbardziej przerażającą istotą, jaka przemierzała zaułki Baryłki. Inej polegała na tej prawdzie. On także.

- To się więcej nie powtórzy – zapewnił ją.

Włożył czyste rękawiczki, podniósł laskę i ruszył do wyjścia.

– Wrócę za kilka godzin. Przenieś DeKappela, którego zwinęliśmy z domu Van Ecka, do skarbcza. Chyba leży zwinięty pod moim łóżkiem. Aha, i zamów dla mnie nowy kapelusz.

- Proszę.

Kaz westchnął ciężko, szykując się na trzy bolesne piętra schodów. Obejrzał się przez ramię i powiedział:

– Proszę, moja najdroższa Inej, klejnocie mego serca, czy uczynisz mi ten zaszczyt i nabędziesz dla mnie nowy kapelusz?

Inej rzuciła znaczące spojrzenie na jego laskę.

– Długiej podróży na dół – powiedziała, a potem wskoczyła na poręcz i ześlizgnęła się piętro po piętrze gładko jak kawałek masła na patelni.



Kaz poszedł wzdłuż Wschodniej Klepki w kierunku portu, przez skraj dzielnicy hazardowej Baryłki. Nieszłowna plątanina wąskich uliczek i mniejszych kanałów znana jako Baryłka znajdowała się pomiędzy dwoma głównymi kanałami – Wschodnią i Zachodnią Klepką, z których każdy obsługiwał specyficzną klientelę. Budynki w Baryłce różniły się od pozostałych budowli Ketterdamu: były większe, szersze, pomalowane na wszelkie jaskrawe kolory, domagały się uwagi przechodniów – Skrzynia Skarbów, Złote Zakole, Szkuta Weddella. Najlepsze domy gry znajdowały się dalej na północ, na najatrakcyjniejszych terenach Pokrywki, w okolicy położonej najbliżej portu, gdzie łatwo było przyciągnąć turystów i żeglarzy.

Nie to co Klub Wron, pomyślał Kaz, patrząc na szkarłatno-czarną fasadę. Potrzeba było sporego wysiłku, żeby zwabić turystów i pragnących ryzyka kupców tak daleko na południe w poszukiwaniu rozrywki. Dochodziła czwarta, ale w klubie tłum nadal był gęsty. Kaz patrzył na falę ludzi przepływającą obok czarnych kolumn portyku, pod uważnym spojrzeniem utlenionej srebrnej wrony, która rozłożyła skrzydła nad

wejściem. Błogosławieni niech będą frajerzy, pomyślał. Błogosławiony niech będzie ten dobry i hojny ludek, który gotowy jest opróżnić portfele do szkatuły Szumowin i nazywa to dobrą zabawą.

Widział naganiaczy przed wejściem, wykrzykujących do potencjalnych klientów, proponujących darmowe drinki, kubki gorącej kawy i najuczciwsze ceny w całym Ketterdamie. Pozdrowił ich skinieniem głowy i ruszył dalej na północ.

Jeszcze tylko jeden dom gry przy Klepce liczył się dla niego: Szmaragdowy Pałac, duma i radość Pekki Rollinsa. Budynek pomalowano paskudnym odcieniem zieleni i udekorowano sztucznymi drzewami, które uginały się pod ciężarem monet z fałszywego złota i srebra. Całość stanowiła swoisty hołd dla kaelskiego pochodzenia Rollinsa i jego gangu, Lwów za Dychę. Nawet dziewczyny pracujące przy wymianie żetonów i przy stołach do gry nosiły skrzące się zielone obcisłe sukienki z jedwabiu i miały włosy ufarbowane na ciemną, nienaturalną czerwień, żeby udawać dziewczęta z Wyspy Tułaczej. Kiedy Kaz mijał Szmaragd, spojrzął na monety z fałszywego złota i ogarnął go gniew. Potrzebował go dzisiaj, żeby przypominał mu, co stracił i co może zyskać. Potrzebował go, żeby przygotować się do niebezpiecznego przedsięwzięcia.

– Cegła po cegle – mruknął.

To były jedyne słowa, dzięki którym panował nad wściekłością. One powstrzymały go przed wejściem przez krzykliwe złoto-zielone drzwi Szmaragdu i zażądaniem spotkania na osobności z Rollinsem, żeby poderżnąć mu gardło. „Cegła po cegle”. To była obietnica, która pozwalała mu spać nocami, napędzała go każdego dnia, trzymała na dystans ducha Jordiego. Ponieważ szybka śmierć była za dobra dla Pekki Rollinsa.

Kaz patrzył na klientów przelewających się falami w obie strony przez drzwi Szmaragdu i dostrzegł własnych naciągaczy – mężczyzn i kobiety, których wynajęto, żeby wabili klientów Pekki na południe obietnicą lepszych cen, większych wygranych

i ładniejszych dziewczyn.

– Skąd wracasz taki zarumieniony? – zapytał jeden drugiego zdecydowanie głośniejszym głosem, niż to było konieczne.

– Właśnie wracam z Klubu Wron. W dwie godziny zgarnąłem od domu gry sto *kruge*.

– Nie mów!

– Serio! Przyszedłem tutaj, żeby wypić piwko i spotkać się z kumplem. Może wybierzesz się razem z nami?

– Do Klubu Wron! Kto by pomyślał?

– Chodź, postawię ci kielicha. Postawię każdemu kielicha!

I odeszli razem ze śmiechem, zostawiając za sobą klientów, którzy zastanawiali się, czy rzeczywiście nie przejść się kilka mostów dalej wzdłuż kanału i nie przekonać się, czy los nie jest tam życzliwszy. Chciwość – sługa Kaza – wabiła ich na południe jak grajek z fujarką w ręce.

Pilnował, żeby naciągacze się zmieniali, żeby ciągle pojawiały się nowe twarze, dzięki czemu ludzie Pekki nie orientowali się, co jest grane. W ten sposób odbierał Szmaragdowi klienta za klientem. To był jeden z nieskończenie licznych drobnych sposobów, jakie obmyślił, żeby umacniać się kosztem Pekki – przechwytyjąc jego dostawy *jurdy*, pobierając od niego opłaty za dostęp do Piątej Przystani, proponując u siebie zaniżone czynsze, żeby w kamienicach Pekki brakowało lokatorów i powoli, powolutku rozplatając tkaninę jego życia.

Mimo kłamstw, które rozgłaszał, i słów, które wypowiedział tej nocy do Geelsa, Kaz nie był bękartem. Nie pochodził nawet z Ketterdamu. Miał dziewięć lat, a Jordie trzymał go, kiedy pierwszy raz zjawili się w mieście z czekiem ze sprzedaży farmy ich ojca zaszytym bezpiecznie w wewnętrznej kieszeni starego płaszcza Jordiego. Kaz widział siebie, kiedy szedł wtedy wzdłuż Klepki z zachwytem w oczach, trzymając Jordiego za rękę, żeby nie porwał go tłum. Nienawidził chłopców, jakimi wtedy byli, dwoma durnymi frajerami, którzy tylko czekali na oszukanie. Jednak ci chłopcy przepadli dawno temu i został tylko Pekka Rollins do ukarania.

Pewnego dnia Rollins przyjdzie do Kaza na kolanach, błagając o pomoc. A jeśli Kaz wykona robotę dla Van Ecka, ten dzień nadejdzie znacznie szybciej, niż dotąd zakładał.

Zniszczę cię cegła po cegle.

Żeby jednak zyskać jakąkolwiek nadzieję na dostanie się do Lodowego Dworu, musiał zgromadzić odpowiednią ekipę, a następna godzina pracy powinna zbliżyć go do zwerbowania dwóch kluczowych fragmentów tej układanki.

Skreślił na chodnik przy jednym z mniejszych kanałów. Turyści i kupcy lubili trzymać się dobrze oświetlonych ulic, więc tutaj ruch pieszy był mniejszy i Kaz mógł iść szybciej. Wkrótce dostrzegł światła i usłyszał muzykę Zachodniej Klepki. Kanał był zapchany szukającymi rozrywki ludźmi ze wszystkich klas społecznych i z każdego kraju.

Muzyka dolatywała z salonów, do których drzwi stały otwarte na oścież i w których mężczyźni i kobiety wyciągali się na kanapach, mając na sobie zaledwie skrawki jedwabiu i jarmarczne błyskotki. Akrobaci zwieszali się ze sznurów nad kanałem, a ich gibkie ciała odziane były jedynie w brokat, podczas gdy uliczni grajkowie wygrywali na skrzypcach, mając nadzieję na monetę albo dwie od przechodniów. Uliczni sprzedawcy pokrzykiwali na smukłe prywatne *gondole* zamożnych kupców na kanale oraz większe łodzie, które przewoziły z Pokrywki na ląd turystów i żeglarzy.

Mnóstwo turystów nigdy nie wchodziło do burdeli przy Zachodniej Klepce. Przychodzili tylko popatrzeć na tłumy, które same w sobie stanowiły widowisko. Wielu ludzi odwiedzało Baryłkę w przebraniu – w woalkach, maseczkach i pelerynach, zatem widoczny był tylko błysk ich oczu. Kupowali sobie kostiumy w jednym ze specjalistycznych sklepów przy głównych kanałach i czasem znikali swoim towarzyszom na dzień, tydzień albo na tak długo, jak pozwalały im fundusze. Ubierali się jak Pan Szkarłat albo Zaginiona Oblubienica lub nosili groteskowe maski Szaleńca z wytrzeszczonymi oczami – wszystko to były postaci z Dzikiej Komedyi. I oczywiście były też

Szakale – grupki hałaśliwych mężczyzn i chłopców, którzy hasali po Baryłce w czerwonych lakierowanych maskach sulijskich wróżbitów.

Kaz pamiętał, kiedy Inej pierwszy raz zobaczyła maski szakala na wystawie sklepowej. Nie była w stanie ukryć pogardy.

– Prawdziwi sulijscy wróżbici to rzadkość. To święci ludzie. Te maski, które tu się rozdaje jak drobne upominki na przyjęciu, to święte symbole.

– Widziałem sulijskich wróżbitów uprawiających swój zawód w wozach i na statkach wycieczkowych. Nie sprawiali wrażenia szczególnie świętych.

– To oszuści. Robią z siebie błaznów dla was i wam podobnych.

– Nam podobnych? – Kaz się roześmiał.

Inej machnęła ręką z obrzydzeniem.

– *Shevrati* – powiedziała. – Ignoranci. Śmieją się z was za tymi maskami.

– Nie ze mnie, Inej. Nigdy nie dałbym prawdziwej monety komuś, żeby przepowiedział mi przyszłość, czy byłby to oszust, czy święty mąż.

– Los ma plany wobec nas wszystkich.

– To los odebrał cię rodzinie i ulokował w domu rozkoszy w Ketterdamie? Czy to tylko był ogromny pech?

– Jeszcze nie jestem pewna – odpowiedziała zimno.

W takich chwilach jak tamta myślał, że Inej może go nienawidzić.

Kaz lawirował w tłumie niczym cień wśród feerii barw. Każdy z głównych domów rozkoszy miał jakąś specjalność, niektóre bardziej oczywistą niż inne. Minał Niebieskiego Irysa, Kocura, brodaczy patrzących gniewnie z Kuźni, Obscurę, Wierzbową Witkę, dziewczęce blondynki z Domu Śniegu i, rzecz jasna, Menażerię, znaną także jako Dom Egzotyczny, gdzie Inej zmuszano do noszenia sztucznych sulijskich jedwabi. Dostrzegł Tante Heleen w pawich piórach i słynnym brylantowym kanaku brylującą w swoim złoconym salonie. Prowadziła Menażerię,

zdobywała dziewczęta, pilnowała, żeby zachowywały się należycie. Kiedy zobaczyła Kaza, zacisnęła usta w skwaszoną linię i uniosła kieliszek w geście, który był bardziej groźbą niż toastem. Zignorowała ją i poszedł dalej.

Dom Białej Róży był jednym z najbardziej luksusowych lokali przy Zachodniej Klepce. Miał własną przystań, a lśniąca fasada z białego kamienia bardziej przypominała rezydencję kupca niż zamtuż. Ze skrzynek pod oknami zawsze wyrastały krzewy białych pnących róż, a ich zapach wisiał gęstą i słodką chmurą nad tą częścią kanału.

W salonie pachniało jeszcze mocniej, a w ogromnych alabastrowych wazonach stało jeszcze więcej białych róż. Mężczyźni i kobiety – niektórzy w maskach i woalkach, inni z odsłoniętymi twarzami – czekali na kanapach w kolorze kości słoniowej, sącząc niemal bezbarwne wino i skubiąc małe waniliowe ciasteczka nasączone likierem migdałowym.

Chłopiec za biurkiem był ubrany w kremowy aksamitny garnitur, a w butonierce nosił białą różę. Miał białe włosy i oczy w kolorze ugotowanych jajek. Nie licząc oczu, wyglądał jak albinos, ale tak się składało, że Kaz wiedział, że uformowała go, dopasowując do wystroju wnętrza, pewna zatrudniona przez Dom grisza.

– Panie Brekker – powiedział chłopiec – Nina ma klienta.

Kaz skinął głową i przemknął korytarzem za rosnący w donicy różany krzew, powstrzymując chęć schowania nosa za kołnierzem koszuli. Onkle Felix, rajfur, który prowadził Białą Różę, lubił mawiać, że jego dziewczęta są równie słodkie jak jego kwiaty. Był to jednak żart z klientów. Ten konkretny gatunek białych róż – jedyny, który był dość wytrzymały, żeby przetrwać w wilgotnym klimacie Ketterdamu – nie miał naturalnego zapachu. Wszystkie kwiaty perfumowano ręcznie.

Kaz przesunął palcami po panelach za krzewem i wcisnął kciuk w karb na ścianie. Panel odsunął się i Kaz wszedł po krętych schodach, z których korzystał tylko personel.

Pokój Niny znajdował się na drugim piętrze. Drzwi do

sąsiedniej sypialni były otwarte, a sam pokój pusty, więc Kaz zakradł się do środka, odsunął na bok martwą naturę i przycisnął twarz do ściany. Wizjery znajdowały się w ścianach wszystkich burdeli. W ten sposób dbano o uczciwość i bezpieczeństwo pracownic i zapewniano dreszczyk emocji tym, którzy lubili obserwować, jak inni odnajdują rozkosz. Kaz widział zbyt wielu mieszkańców slumsów szukających zaspokożenia w ciemnych zaułkach i kątach, więc takie widoki straciły dla niego urok. Poza tym wiedział, że każdy, kto zerknąłby właśnie przez tę dziurkę i miał nadzieję na podniecenie, gorzko by się rozczarował.

Drobny, łysy mężczyzna siedział całkiem ubrany przy okrągłym stoliku przykrytym białawym sukniem. Dłonie trzymał schludnie złożone obok nietkniętej srebrnej tacy z kawą. Nina Zenik stała za nim, ubrana w czerwoną jedwabną *keftę*, która informowała o jej statusie ciałobójczyni. Jedną dłoń dociskała do jego czoła, a drugą trzymała na jego karku. Była wysoka i zbudowana jak wyrzeźbiony hojną ręką galion. Milczeli, jakby skamienieli przy stoliku. W pokoju nie było nawet łóżka, a jedynie wąziutka kanapa, na której Nina kuliła się co noc.

Kiedy Kaz zapytał ją kiedyś o powody, odpowiedziała zwyczajnie:

- Nie chcę, żeby któremuś strzeliło coś głupiego do głowy.
- Mężczyzna nie potrzebuje łóżka, żeby mu coś strzeliło do głowy.

Nina zatrzepotała rzesami.

- A co ty wiesz na ten temat? Zdejmij rękawiczki, to zobaczymy, jaki pomysł przyjdzie ci do głowy.

Kaz patrzył spokojnie jej w oczy, aż w końcu spuściła wzrok. Nie miał zamiaru flirtować z Niną Zenik i dobrze wiedział, że ona też nie jest w najmniejszym stopniu nim zainteresowana. Po prostu lubiła flirtować ze wszystkim. Widział raz, jak robiła słodkie oczy do pary butów, które spodobały jej się na wystawie.

Nina i łysy mężczyzna trwali bez ruchu i bez słowa, podczas

gdy minuty upływały. Kiedy zegar wybił godzinę, mężczyzna wstał i pocałował ją w rękę.

– Idź – powiedziała z powagą. – Zachowaj spokój ducha.

Łysy mężczyzna znowu pocałował ją w rękę. Miał łyzy w oczach.

– Dziękuję.

Kiedy tylko klient Niny wyszedł na korytarz, Kaz wyszedł z sypialni i zapukał do jej drzwi.

Otworzyła je ostrożnie, nie zdejmując łańcuszka.

– O – powiedziała na widok Kaza. – To ty.

Nie sprawiała wrażenia szczególnie uradowanej jego wizytą. To żadne zaskoczenie. Kaz Brekker u drzwi rzadko zwiastował coś dobrego. Zdjęła łańcuszek, zrzucając jednocześnie czerwoną *keftę* i odsłaniając tak skąpy pasek satyny, że trudno było go uznać za strój.

– Święci, nie cierpię tego łacha – powiedziała, odrzucając kopniakiem *keftę* i wyjmując z szuflady wytarty szlafrok.

– A co z nim nie tak? – zapytał Kaz.

– Jest źle uszyty. I gryzie.

Keftę uszyto w Kerchu, nie w Ravce; to był kostium, a nie szata griszy. Kaz wiedział, że Nina nigdy go nie wkłada, wychodząc na ulicę; to było zwyczajnie zbyt ryzykowne dla griszy. Jej przynależność do Szumowin oznaczała, że każdy, kto by ją zaatakował, ryzykował karę ze strony gangu, ale zemsta Szumowin nie miałaby wielkiego znaczenia dla Niny, która znalazłaby się na statku niewolniczym zmierzającym nie wiadomo dokąd.

Nina padła na krzesło przy stole i wysunęła stopy z wyszywanych klejnotami pantofli, zanurzając palce w gęstym białym dywanie.

– Ach – westchnęła z zadowoleniem – o niebo lepiej.

Wsunęła ciasteczko z tacy do ust i wymamrotała:

– Czego chcesz, Kaz?

– Masz okruszki na dekolcie.

– Mam to w nosie – odpowiedziała i odgryzła następny

kawałek ciasteczka. – Strasznie zgłodniałam.

Kaz pokręcił głową rozbawiony; był pod wrażeniem tego, jak szybko Nina przestała odgrywać mądrą kapłankę-griszę. Jej prawdziwym powołaniem była scena.

– To był Van Aakster? Kupiec?

– Tak.

– Jego żona zmarła miesiąc temu i od tego czasu interesy mu się sypią. Teraz odwiedza ciebie i spodziewa się poprawy?

Nina nie potrzebowała łożka, ponieważ specjalizowała się w emocjach. Zajmowała się radością, spokojem i pewnością siebie. Większość somatyków skupiała się na ciele – zabijaniu lub leczeniu go – ale Nina potrzebowała zajęcia, dzięki któremu utrzymałaby się w Ketterdamie i nie narobiła sobie kłopotów. Zamiast więc ryzykować życie i zarabiać duże pieniądze jako najemniczka, spowalniała bicie serc, uspokajała oddechy, rozluźniała mięśnie. Prowadziła też intratny interes na boku jako formatorka, zajmując się zmarszczkami i obwisłymi policzkami bogatych mieszkańców Kerchu, ale jej głównym źródłem zarobków było poprawianie humoru. Przychodzili do niej ludzie samotni, w żałobie, smutni bez powodu, a wychodzili podniesieni na duchu, spokojniejsi. Efekt ten nie trwał zbyt długo, czasem jednak iluzja szczęścia wystarczała, żeby jej klienci czuli, że zdołają stawić czoło następnemu dniu. Nina twierdziła, że to ma coś wspólnego z gruczołami, ale Kaza nie obchodziły szczegóły, dopóki pojawiała się, kiedy jej potrzebował, i płaciła na czas Perowi Haskellowi jego procent.

– Spodziewam się, że zauważysz różnicę – powiedziała Nina. Dojadła ostatnie ciasteczko, oblizała z lubością palce, wystawiła tacę za drzwi i zadzwoniła po pokojówkę. – Van Aakster zaczął przychodzić pod koniec zeszłego tygodnia i od tej pory zjawia się codziennie.

– Doskonale.

Kaz zakonotował sobie, żeby kupić trochę tanich akcji przedsiębiorstwa Van Aakstera. Nawet jeśli zmiana samopoczucia była wynikiem pracy Niny, interesy odżyją.

Zawahał się, a potem powiedział:

– Sprawiasz, że czuje się lepiej, koisz jego smutek i tak dalej... ale czy mogłabyś skłonić go do czegoś? Na przykład sprawić, że zapomniałby o żonie?

– Odmienić ścieżki w jego umyśle? Nie wygłupiaj się.

– Mózg to tylko kolejny organ – powiedział Kaz, cytując Van Ecka.

– Tak, ale niewiarygodnie skomplikowany. Kontrolowanie lub zmienianie cudzych myśli... To nie to samo, co spowolnienie tętna albo uwolnienie związków chemicznych dla poprawy czyjegoś humoru. Zbyt wiele zmiennych. Żaden grisha nie jest do tego zdolny.

Na razie, poprawił ją w myślach Kaz.

– Zatem zajmujesz się objawem, nie przyczyną.

Wzruszyła ramionami.

– On ucieka przed żalobą, nie leczy jej. Jeśli ja jestem jego rozwiązaniem, to nigdy nie przeboleje śmierci żony.

– Czyli w końcu go odeślesz? Poradzisz, żeby znalazł sobie nową żonę i przestał wystawać na twoim progu?

Przesunęła szczotką po jasnobrązowych włosach i zerknęła na niego w lustrze.

– Czy Per Haskell zamierza umorzyć mój dług?

– W żadnym razie.

– Zatem trzeba pozwolić Van Aaksterowi radzić sobie z żalobą na jego sposób. Mam następnego klienta umówionego za pół godziny. Jaką masz sprawę?

– Twój klient może poczekać. Co wiesz o *jurdzie parem*?

Nina wzruszyła ramionami.

– Krząją plotki, ale brzmią dla mnie absurdalnie.

Z wyjątkiem Rady Pływów, niewielu griszów pracujących w Ketterdamie znało się i chętnie wymieniało informacjami. Większość przed czymś uciekała i starała się nie zwracać na siebie uwagi łowców niewolników ani rządu Ravki.

– To nie są tylko plotki.

– Szkwalnicy, którzy latają? Akwatycy, którzy zmieniają się

we mgłę?

– Fabrykatorzy, który zmieniają ołów w złoto. – Sięgnął do kieszeni i rzucił jej żółtą grudkę. – To prawda.

– Fabrykatorzy tworzą tkaniny. Parają się metalami i tekstyliami. Nie potrafią zamienić jednej rzeczy w drugą. – Podniosła grudkę do światła. – Mogłeś to wziąć skądkolwiek – powiedziała dokładnie to samo, co on Van Eckowi kilka godzin wcześniej.

Nie czekając na zaproszenie, Kaz usiadł na pluszowej kozetce i wyprostował chorą nogę.

– *Jurda parem* istnieje naprawdę i jeśli nadal jesteś dobrym żołnierzkiem, za jakiego cię uważam, to będziesz chciała usłyszeć, co robi z takimi ludźmi jak ty.

Nina obróciła grudkę złota w dłoniach, a potem owinęła się ciaśniej szlafrokiem i przysiadła na drugim końcu kozetki. Znowu Kaz był pod wrażeniem jej przemiany. W tych pokojach odgrywała rolę, jakiej oczekiwali klienci – potężnej griszy, pogodnej w swej mądrości. Kiedy jednak siedziała ze zmarszczonym czołem i podkulonymi nogami, wyglądała na dziewczynę, którą była naprawdę: siedemnastolatkę wychowaną pod kloszem wśród luksusów Małego Pałacu, która znalazła się z dala od domu i z trudem radziła sobie dzień po dniu.

– No to mów – powiedziała.

Kaz opowiedział. Nie zdradził szczegółów propozycji Van Ecka, ale opowiedział o Bo Yul-Bayurze, *jurdzie parem* i uzależniających właściwościach narkotyku, kładąc szczególny nacisk na niedawne zniknięcie ravkańskich dokumentów wojskowych.

– Jeśli to wszystko prawda, Bo Yul-Bayura należy usunąć.

– Nie na tym polega nasze zadanie, Nino.

– Nie chodzi o pieniądze.

Zawsze chodziło o pieniądze, ale Kaz wiedział, że trzeba zastosować inny rodzaj nacisku. Nina kochała swój kraj i swój lud. Nadal wierzyła w przyszłość Ravki i Drugiej Armii,

wojskowej elity griszów, którą niemal wybito podczas wojny domowej. Przyjaciele Niny w Ravce uznali ją za zmarłą, uważali, że padła ofiarą fjerdańskich łowców czarownic i Nina na razie chciała, żeby tak zostało. Kaz wiedział jednak, że miała nadzieję pewnego dnia wrócić do domu.

– Nino, wyciągniemy Bo Yul-Bayura, a ja potrzebuję do tego somatyka. Chcę cię mieć w swoim zespole.

– Gdziekolwiek się chowa, gdy go znajdziesz i nie zabijesz, okażesz najbardziej skandaliczny brak odpowiedzialności. Moja odpowiedź brzmi: nie.

– On się nie ukrywa. Fjerdanie trzymają go w Lodowym Dworze.

Nina zamarła.

– Czyli możesz uznać, że już nie żyje.

– Rada Kupiecka ma inne zdanie. Nie zadawaliby sobie tyle trudu i nie oferowaliby tak wielkiej nagrody, gdyby uważali, że został zneutralizowany. Van Eck się martwi. Widziałem to.

– Ten kupiec, z którym rozmawiałeś?

– Tak. Twierdzi, że ich informacje są pewne. Jeśli nie... Cóż, jakoś to przełknę. Jeżeli jednak Bo Yul-Bayur żyje, to ktoś spróbuje go wydostać z Lodowego Dworu. Dlaczego nie my?

– Lodowy Dwór – powtórzyła Nina, a Kaz wiedział, że już składa kawałki układanki w całość. – Nie potrzebujesz wyłącznie somatyka, prawda?

– Tak. Potrzebuję kogoś, kto zna Dwór na wylot.

Zerwała się na równe nogi i zaczęła energicznie krążyć po pokoju z rękami na biodrach, aż łopotąły poły szlafroka.

– Prawdziwa gnida z ciebie, wiesz? Ile razy przychodziłam do ciebie i błagałam, żebyś pomógł Matthiasowi? A teraz, kiedy ty czegoś chcesz...

– Per Haskell nie zajmuje się działalnością charytatywną.

– Nie zwalaj tego na staruszkę – warknęła. – Wiesz, że mógłbyś mi pomóc, gdybyś chciał.

– A dlaczego miałbym to zrobić?

Odwróciła się do niego gwałtownie.

– Bo... bo...
– Kiedy zrobiłem coś za darmo?
Otworzyła usta i zaraz je zamknęła.
– Wiesz, o ile przysług musiałbym się upomnieć? Wiesz, ile łapówek musiałbym wypłacić, żeby wyciągnąć Matthiasa Helvara z więzienia? Cena była zbyt wysoka.
– A teraz? – wykrztusiła z oczami płonącymi gniewem.
– Teraz wolność Helvara jest coś warta.
– Zawsze była...
Uciszył ją gestem.
– Teraz jest coś warta dla mnie.
Nina przycisnęła palce do skroni.
– Nawet gdybyś zdołał go wyciągnąć, Matthias nigdy się nie zgodzi ci pomóc.
– To kwestia zastosowania odpowiedniego nacisku.
– Nie znasz go.
– Tak? Jak każdy inny jest człowiekiem, którym kierują chciwość, duma i ból. Powinnaś to rozumieć lepiej niż ktokolwiek inny.
– Helvar kieruje się honorem i tylko honorem. Nie możesz go przekupić ani zastraszyć.
– Kiedyś to mogła być prawda, ale minął bardzo długi rok. Helvar bardzo się zmienił.
– Widziałeś się z nim?
Jej szeroko otwarte zielone oczy rozbłysły.
Proszę, pomyślał Kaz, Baryłka jeszcze nie pozbawiła cię całkiem nadziei.
– Tak.
Nina odetchnęła głęboko i z drżeniem.
– On pragnie zemsty, Kaz.
– To coś, czego pragnie, a nie czego potrzebuje – odparł Kaz. – Umiejętność wywierania nacisku sprowadza się do zrozumienia tej różnicy.



Mdłości, które męczyły Ninę, nie miały nic wspólnego z kołysaniem łodzi. Starła się oddychać głęboko, skupić się na znikających w oddali światłach portu w Ketterdamie, na miarowym plusku wiosła w wodzie. Obok niej Kaz poprawił maskę i pelerynę, podczas gdy Muzzen wiosłował zaciekle, przybliżając ich do Terrenjelu, jednej z maleńkich zewnętrznych wysepek Kerchu, do Wrót Piekieł i Matthiasa.

Mgła wisiała nisko nad wodą, wilgotna i skłębiona. Niosła zapach smoły i maszyn ze stoczni na wyspie Imperjum, oraz czegoś jeszcze – słodki smród płonących zwłok z Kropy Kostuchy, gdzie Ketterdam pozbywał się ciał zmarłych, których nie było stać na pochówek na cmentarzach za miastem. Obrzydliwość, pomyślała Nina, owijając się ciasniej peleryną. Nie pojmowała, dlaczego ktokolwiek chciałby mieszkać w takim mieście.

Muzzen nucił coś wesoło, wiosłując. Nina знаła go tylko przelotnie – wykidajło i osiłek jak nieszczęsny Duży Bolliger. Unikała Listewki i Klubu Wron, jak tylko się dało. Kaz uważał ją z tego powodu za snobkę, ale ona nie przejmowała się tym, co Kaz Brekker myśli na temat jej gustu. Obejrzała się na szerokie

barki Muzzena. Zastanawiała się, czy Kaz wziął go tylko do wiosłowania, czy też spodziewał się tej nocy kłopotów.

Oczywiście, że będą kłopoty, pomyślała. Włamywali się do więzienia. To nie będzie zabawa taneczna. Tylko dlaczego ubraliśmy się jak na zabawę?

O północy spotkała się z Kazem i Muzzenem w Piątej Przystani, a kiedy wsiadła do małej łódki wiosłowej, Kaz wręczył jej niebieską pelerynę z jedwabiu i woalkę do kompletu – atrybuty Zagubionej Oblubienicy, jeden z kostiumów, jaki lubili przywdziewać poszukiwacze przyjemności, kiedy chcieli zakosztować ekscesów Baryłki. Sam włożył obszerną pomarańczową pelerynę, a na czubku głowy miał maskę Szaleńca. Muzzen nosił taki sam strój. Potrzebowali tylko sceny i mogliby odegrać jedną z tych mrocznych, bestialskich scen z Dzikiej Komedii, które w Kerchu uważano za takie zabawne.

Teraz Kaz ją szturchnął.

– Spuść woalkę.

Zsunął maskę na twarz. Długi nos i wybałuszone oczy wyglądały jeszcze bardziej monstrualnie.

Już miała się poddać i zapytać, do czego są potrzebne te kostiumy, gdy zdała sobie sprawę, że nie są sami. W kłębiącej się mgle dostrzegła inne łodzie na wodzie, z postaciami innych Szaleńców, Oblubienic, Pana Szkarłata, Królowej Skarabeuszy. Po co ci ludzie wybierali się do Wrót Piekieł?

Kaz odmówił odpowiedzi, gdy zapytała o szczegóły planu, a kiedy nalegała, odparł po prostu:

– Wsiadaj do łódki.

Cały Kaz. Wiedział, że nie musi jej niczego mówić, bo pokusa, jaką była perspektywa uwolnienia Matthiasa, już przezwyciężyła w niej najdrobniejszą krztynę zdrowego rozsądku. Próbowwała namówić Kaza na wyciągnięcie Matthiasa z więzienia przez większą część roku. Teraz mógł zaproponować Matthiasowi więcej niż wolność, ale cena będzie też znacznie wyższa, niż Nina się spodziewała.

Było widać raptem kilka świateł, gdy dopłynęli do kamienistej

ławicy Terrenjelu. Poza tym towarzyszyły im tylko rozbijające się fale i ciemność.

– Nie mogłeś po prostu przekupić naczelnika więzienia? – mruknęła do Kaza.

– Wolę, żeby nie wiedział, że ma coś, czego chcę.

Kiedy kadłub łodzi zazgrzytał na piasku, dwóch mężczyzn podbiegło, żeby wyciągnąć ją dalej na ląd. Inne łodzie, które dostrzegła, wpływały do tej samej zatoczki i były wywlekane na brzeg przez innych postępujących i przeklinających mężczyzn. Słabo widziała ich twarze przez woalkę, ale zauważyła tatuaże na ich przedramionach: zwinięty w kłębek dziki kot i korona – symbol Lwów za Dychę.

– Pieniądze – powiedział jeden z nich, kiedy wygramolili się z łodzi.

Kaz wręczył mu zwitek *kruge*, a gdy banknoty przeliczono, Lew dał znać, że mogą iść dalej.

Ruszyli wzdłuż rzędu pochodni, nierówną ścieżką po zawietrznej stronie więzienia. Nina odchyliła głowę, żeby spojrzeć na wysokie czarne wieże fortecy znanej jako Wrota Piekieł, ciemną pięść z kamienia wystającą z morza. Widziała ją już kiedyś z daleka, kiedy zapłaciła rybakowi, żeby zabrał ją na tę wyspę. Gdy jednak poprosiła, żeby podpłynął bliżej, odmówił.

– Rekiny są tam naprawdę wredne – odrzekł. – Brzuchy mają pełne krwi skazańców.

Zadrżała na to wspomnienie.

Drzwi podparto, żeby się nie zamknęły, i kolejny członek Lwów zaprowadził Ninę i pozostałych do środka. Weszli do ciemnej, zaskakująco czystej kuchni. Pod ścianami stały kadzie, które bardziej pasowały do pralni niż do kuchni. W pomieszczeniu dziwnie pachniało – octem i szałwią. Jak w kuchni kupca, pomyślała Nina. W Kerchu wierzą, że praca jest pokrewna modlitwie. Może żony kupców przyplęwały tu szorować podłogi, ściany i okna, żeby mydłem, wodą i otarciami na rękach uczcić Ghezena, boga pracowitości i handlu. Niny omal nie zemdliło. Mogły sobie szorować, ile zechcą. Pod

domowym zapachem krył się niemożliwy do usunięcia smród stęchlizny, uryny i niemytych ciał. Żeby go usunąć, potrzebny byłby prawdziwy cud.

Przeszli wilgotnym korytarzem wejściowym i kiedy Nina pomyślała, że wespną się do cel, zamiast tego przeszli przez kolejne drzwi i wyszli na wysoki kamienny chodnik, który łączył główne więzienie z czymś, co wyglądało jak jeszcze jedna wieża.

– Dokąd idziemy? – szepnęła.

Kaz nie odpowiedział. Wiatr przybrał na sile, unosząc jej woalkę i uderzając w policzki słoną mgiełką wodną.

Kiedy weszli do drugiej wieży, z cieni wyłoniła się postać. Nina z trudem zdławiła krzyk.

– Inej – powiedziała drżącym głosem.

Sulijka miała rogi i tunikę ze stójką Szarego Diablika, ale mimo to Nina ją poznała. Nikt inny nie poruszał się w taki sposób – jakby świat był z dymu, a ona tylko przez niego przechodziła.

– Jak się tu dostałaś? – zapytała ją szeptem Nina.

– Przy płynęłam wcześniej na barce z zaopatrzeniem.

Nina zazgrzytała zębami.

– Czy ludzie przyplývają do Wrót Piekieł dla zabawy?

– Raz w tygodniu owszem – odpowiedziała Inej, a jej małe diabelskie rogi zakołysały się, gdy pokiwała głową.

– Co masz na myśli, mówiąc raz...

– Ciszej – warknął Kaz.

– Nie uciszaj mnie, Brekker – szepnęła z wściekłością Nina. – Skoro tak łatwo można dostać się do Wrót Piekieł...

– Problemem nie jest dostanie się, ale wydostanie. A teraz przymknij się i zachowaj czujność.

Nina przełknęła gniew. Musiała zaufać Kazowi, że wie, co robi. W każdym razie zadbał o to, żeby nie miała innego wyjścia.

Znaleźli się w wąskim przejściu. Ta wieża różniła się od pierwszej, była starsza, grubo ociosane kamienne ściany poczerniały od dymu pochodni. Ich przewodnik z Lwów za Dychę pchnął ciężkie żelazne drzwi i wskazał gestem, żeby

weszli za nim na strome schody. Tutaj smród ciał i odpadków nasilił się uwięziony przez osadzającą się słoną wilgoć.

Zeszli krętymi schodami niżej, w trzewia skały. Nina przytrzymała się ściany. Nie było poręczy i chociaż nie widziała dna klatki schodowej, wątpiła, żeby upadek był miły. Nie zeszli daleko, ale zanim dotarli na miejsce, cała drżała, a mięśnie miała napięte nie tyle z wysiłku, ile z powodu świadomości, że Matthias znajduje się gdzieś w tym potwornym miejscu. On tu jest, myślała. Pod tym dachem.

– Gdzie jesteście? – zapytała szeptem, kiedy ze schylonymi głowami przeszli ciasnymi korytarzami, mijając ciemne jaskinie ze wstawionymi żelaznymi prętami.

– To stare więzienie – powiedział Kaz. – Kiedy wybudowali nową wieżę, tę zostawili.

Usłyszała jęki dobiegające z jednej z cel.

– Nadal trzymają tu więźniów?

– Tylko najgorszych.

Zerknęła przez pręty do pustej celi. Do ściany umocowano kajdany ciemne od rdzy i czegoś, co mogło być krwią.

Pewien dźwięk dotarł do uszu Niny przez ściany – miarowy łomot. Początkowo myślała, że to morze, ale potem zrozumiała, że to skandowanie. Weszli do zakręcającego korytarza. Po prawej ciągnęły się kolejne stare cele, ale światło wlewało się do tunelu przez umieszczone w nierównych odstępach łuki po lewej stronie. Przez nie dostrzegła ryczący, hałaśliwy tłum.

Lew zaprowadził ich tunelem do trzeciego łuku, gdzie stał strażnik więzienny ubrany w niebiesko-szary mundur, z karabinem przewieszonym przez plecy.

– Jeszcze czworo dla ciebie – poinformował strażnika Lew, przekrzykując wrzawę. Potem odwrócił się do Kaza. – Jeśli będziecie chcieli wyjść, strażnik was odprowadzi. Nikt nigdzie się nie szwenda bez przewodnika, jasne?

– Oczywiście, oczywiście, nawet nie przyszłoby mi to do głowy – odpowiedział Kaz z za swojej idiotycznej maski.

– Miłej zabawy – powiedział Lew za Dychę z paskudnym

uśmieszkiem.

Strażnik więzienny ich przepuścił.

Nina przeszła pod łukiem i miała wrażenie, że wpadła do jakiegoś przedziwnego koszmaru. Znaleźli się na kamiennej półce wystającej nad płytkim, topornie wyciętym amfiteatrem. Wieżę całkowicie ogołociono, żeby stworzyć arenę. Pozostały tylko czarne ściany starego więzienia. Dach dawno temu załamał się albo został zniszczony, więc w górze było widać nocne niebo, gęste od chmur i pozbawione gwiazd. Zupełnie jakby stanęła w pustym pniu potężnego drzewa, od dawna martwego i dudniącego echem.

Wokół niej mężczyźni i kobiety w maskach i woalkach tłoczyli się na kolejnych półkach, przytupując, podczas gdy w dole rozgrywał się spektakl. Na murach otaczających arenę płonęły pochodnie, a piasek był czerwony i wilgotny od krwi.

Przed czarnym wylotem jaskini wychudły brodacze w kajdanach stał obok wielkiego drewnianego koła oznaczonego czymś, co wyglądało jak rysunki małych zwierząt. Widać było, że kiedyś był silny, ale teraz skóra zwisała mu luźnymi fałdami, a mięśnie osłabły. Obok niego stał młodszy mężczyzna w wyliniałej pelerynie z lwiej skóry, a jego twarz obrębiał pysk wielkiego kota. Między uszami lwa umocowano jarmarczną lwią koronę, a oczy zastąpiono błyszczącymi srebrnymi dziesiątakami.

– Zakręć kołem! – rozkazał młody mężczyzna.

Więzień uniósł ręce w kajdanach i z całej siły zakręcił kołem. Czerwona igła zaterkotała wesoło, uderzając o krawędź, a potem powoli koło się zatrzymało. Nina nie całkiem widziała symbol, ale tłum ryknął, a ramiona mężczyzny oklapły, kiedy strażnik podszedł, żeby zdjąć mu kajdany.

Więzień odrzucił je na piach i sekundę później Nina coś usłyszała – ryk, który był nawet głośniejszy od podekscytowanego wycia tłumu. Mężczyzna w lwiej pelerynie i strażnik więzienny weszli pośpiesznie na drabinkę sznurową i zostali wyciągnięci z jamy na bezpieczny występ skalny,

podczas gdy więzień porwał lichego nóż ze stosu zakrwawionej broni leżącej na piasku. Wycofał się jak najdalej od wylotu tunelu.

Nina nigdy nie widziała takiego stworzenia jak to, które wypełzło z tunelu. To był jakiś gad – grube cielsko pokrywały szarozielone łuski, łeb był szeroki i płaski, żółte oczy jak szparki. Stwór poruszał się powolnymi, falistymi ruchami; nisko zawieszona cielsko przesunęło się leniwie po ziemi. Nad szerokim półksiężycem paszczy zaschła biała skorupa, a kiedy stworzenie rozwarło szczękę, żeby znowu ryknąć, coś wilgotnego, białego i pianistego skapywało z jego ostrych zębów.

– Co to jest? – spytała Nina.

– *Rinca moten* – odpowiedziała Inej. – Pustynny jaszczur. Jego jad jest zabójczy.

– Sprawia wrażenie dość powolnego.

– Tak. Sprawia takie wrażenie.

Więzień rzucił się do przodu z nożem. Wielka jaszczurka odskoczyła tak szybko, że Nina ledwie nadążyła za tym ruchem. W jednej chwili więzień atakował jaszczurę, a w następnej jaszczur znalazł się na drugim końcu areny. Ledwie parę sekund później uderzył w więźnia, przyszpilając go do ziemi. Mężczyzna krzyczał, a trucizna skapywała na jego twarz, zostawiając dymiące ślady wszędzie tam, gdzie dotknęła skóry.

Jaszczur przygniótł więźnia całym ciężarem. Rozległ się przyprawiający o mdłości trzask, a potem potwór zaczął rozszarpać bark unieruchomionego, wrzeszczącego mężczyzny.

Tłum gwizdał niezadowolony.

Nina odwróciła wzrok. Nie mogła na to patrzeć.

– Co to jest?

– Witaj na Piekielnym Widowisku – odpowiedział Kaz. – Pekka Rollins wpadł na ten pomysł parę lat temu i przedstawił go właściwemu członkowi Rady.

– Rada Kupiecka o tym wie?

– Oczywiście, że wie. Tutaj można sporo zarobić.

Nina wbiła paznokcie w dłonie. Ten protekcyjny ton sprawiał, że miała ochotę spoliczkować Kaza.

Dobrze знаła nazwisko Pekki Rollinsa. Był królem Baryłki, właścicielem nie jednego, ale dwóch domów gry – jednego luksusowego, drugiego obsługującego żeglarzy, którzy nie mieli zbyt wypchanych kieszeni – oraz kilku lepszych burdeli. Kiedy Nina zjawiała się rok temu w Ketterdamie, nie miała przyjaciół, grosza przy duszy i była daleko od domu. Pierwszy tydzień spędziła w kercheńskich sądach w związku z oskarżeniami wobec Matthiasa. Kiedy jednak złożyła pełne zeznania, bezceremonialnie wyrzucono ją do Pierwszej Przystani z sumą, która wystarczyłaby na zarezerwowanie rejsu powrotnego do Ravki. Chociaż rozpaczliwie pragnęła wrócić do kraju, wiedziała, że nie może zostawić Matthiasa, żeby zgnił we Wrotach Piekieł.

Nie miała pojęcia, co robić, jednak najwyraźniej plotki o nowej somatyczce rozeszły się już po Ketterdamie. Ludzie Pekki Rollinsa czekali na nią na przystani z obietnicą bezpieczeństwa i miejsca, w którym mogłaby się zatrzymać. Zabrali ją do Szmaragdowego Pałacu, gdzie Pekka osobiście na nią naciskał, żeby dołączyła do Lwów, i zaproponował, że pomoże jej rozkręcić interes w Cukierence. Niewiele brakowało, żeby się zgodziła, bo rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy i bała się handlarzy niewolników patrolujących ulice – lecz tamtej nocy Inej wczołgała się do niej przez okno na ostatnim piętrze Szmaragdowego Pałacu z propozycją od Kaza w ręku.

Nina nigdy nie odkryła, jak Inej zdołała w środku nocy pokonać wysoką na sześć kondygnacji i śliską od deszczu kamienną ścianę, ale warunki Szumowin były o wiele korzystniejsze od zaproponowanych przez Pekkę i Lwy. Był to kontrakt, który rzeczywiście byłaby w stanie spłacić w rok albo dwa, jeśli rozsądnie gospodarowałaby pieniędzmi. A Kaz wysłał właściwą osobę, żeby przedstawiła jego propozycję – Sulijkę raptem kilka miesięcy młodszą od Niny, która także dorastała w Ravce i spędziła bardzo przykry rok na kontrakcie

w Menażerii.

– Co możesz mi powiedzieć o Perze Haskellu? – zapytała tamtej nocy Nina.

– Niewiele – przyznała Inej. – Nie jest lepszy ani gorszy od większości szefów w Baryłce.

– A o Kazie Brekkerze?

– To kłamca i złodziej całkowicie pozbawiony sumienia, ale dotrzyma umowy, którą z nim zawrzesz.

Nina usłyszała przekonanie w jej głosie.

– Uwolnił cię z Menażerii?

– Nie ma wolności w Baryłce, jedynie dobre warunki. Dziewczyny Tante Heleen nigdy nie są w stanie wykupić swoich kontraktów. Już ona o to dba. Ona... – Inej urwała wtedy, a Nina wyczuła pulsujący w niej żywy gniew. – Kaz przekonał Pera Haskell, żeby spłacił mój kontrakt. Umarłabym w Menażerii.

– Nadal możesz umrzeć w Szumowinach.

Ciemne oczy Inej zabłyśły.

– Mogę, ale umrę na stojąco, z nożem w ręce.

Następnego ranka Inej pomogła Ninie wymknąć się ze Szmaragdowego Pałacu. Spotkały się z Kazem Brekkerem i mimo jego chłodu w obejściu i dziwnych skórzanych rękawiczek Nina zgodziła się dołączyć do Szumowin i pracować w Białej Róży. Niecałe dwa dni później pewna dziewczyna zginęła w Cukierence uduszona w łóżku przez klienta przebranego za Pana Szkarłata, którego nigdy nie odnaleziono.

Nina zaufała Inej i nie żałowała tego, chociaż w tej chwili była wściekła na wszystkich. Patrzyła, jak grupa Lwów za Dychę poszturchuje jaszczura długimi włóczniami. Najwyraźniej potwór nasycił się posiłkiem z więźnia i dał się zapędzić do tunelu. Odpełzł, wyginając ciężkie cielsko jak wąż i kołysząc się na boki.

Tłum nadal wyrażał dezaprobatę, kiedy strażnicy weszli na scenę i usunęli szczątki więźnia, z których nadal były smużki dymu.

– Co im się nie podoba? – zapytała ze złością Nina. – Nie po to

tu przyszli?

– Chcieli zobaczyć walkę – odpowiedział Kaz. – Spodziewali się, że potrwa dłużej.

– To obrzydliwe.

Kaz wzruszył ramionami.

– Jediną obrzydliwą rzeczą jest fakt, że nie wpadłem na to pierwszy.

– To nie są niewolnicy, Kaz, to więźniowie.

– To mordercy i gwałciciele.

– I złodzieje oraz oszuści. Twoi ludzie.

– Nina, słoneczko ty moje, nikt ich nie zmusza do walki. Sami ustawiają się w kolejce, żeby mieć szansę. Zarabiają w ten sposób na lepsze jedzenie, prywatne cele, alkohol, *jurde*, spotkania z dziewczynami znad Zachodniej Klepki.

Muzzen strzelił kostkami dłoni.

– Mają lepiej niż my w Listewce.

Nina spojrzała na krzyczących i wrzeszczących ludzi, na naganiaczy chodzących w tłumie i przyjmujących zakłady. Więźniowie może i ustawiali się w kolejce do walki, ale to Pekka Rollins zarabiał tu prawdziwe pieniądze.

– Helvar nie... Helvar nie walczy na arenie, prawda?

– Nie przyszliśmy tu rozkoszować się atmosferą – odpowiedział Kaz.

Prosił się o więcej niż policzek.

– Masz świadomość, że mogłabym poruszyć palcami i sprawić, że zmoczysz spodnie?

– Spokojnie, ciałobójczyni. Lubię te spodnie. Jeśli zaczniesz zabawiać się moimi organami, Matthias Helvar nigdy więcej nie zobaczy światła słonecznego.

Nina odetchnęła głęboko i skupiła się na piorunowaniu wzrokiem pustki.

– Nina... – mruknęła Inej.

– Nie zaczynaj.

– Uda się. Daj Kazowi robić to, co potrafi najlepiej.

– Jest okropny.

– Ale skuteczny. Wściekanie się na Kaza, bo jest bezwzględny, to jak wściekanie się na piec, bo jest gorący. Wiesz, czym jest.

Nina skrzyżowała ręce.

– Na ciebie też jestem zła.

– Na mnie? Dlaczego?

– Jeszcze nie wiem. Po prostu jestem.

Inej uścisnęła przelotnie jej dłoń i po chwili Nina odwzajemniła ten gest. Przesiedziała następną walkę jak ogłuszona, a potem następną. Powiedziała sobie, że jest na to gotowa – jest gotowa ponownie go zobaczyć, ujrzeć go w tym brutalnym miejscu. W końcu była griszą i żołnierzem Drugiej Armii. Widziała gorsze rzeczy.

Kiedy Matthias wyłonił się z jaskini w dole, zrozumiała, że się myliła. Natychmiast go rozpoznała. Przez miniony rok co noc zasypiała, mając przed oczami jego twarz. Nie dało się z niczym pomylić pozłacanych brwi, ostro zarysowanych kości policzkowych. Kaz nie kłamał: Matthias bardzo się zmienił. Nie znała tego chłopca, który patrzył na tłum z furią w oczach.

Nina pamiętała pierwszy raz, kiedy zobaczyła Matthiasa w oświetlonych księżycem kaelskich lasach. Jego uroda wydała jej się niesprawiedliwa. W innym życiu mogłaby uwierzyć, że przybył jej na ratunek, lśniący zbawca o złotych włosach i oczach bladoniebieskich jak północne lodowce. Poznała jednak prawdę na jego temat, gdy usłyszała język, w jakim mówił, widziała odrazę na twarzy za każdym razem, gdy padł na nią jego wzrok. Matthias Helvar był *drüskelle*, jednym z fjerdańskich łowców czarownic, których zadaniem było tropienie griszów, doprowadzanie ich przed sąd i na egzekucję. Mimo to jej zawsze przypominał namalowanego złotem świętego wojownika.

Teraz jego wygląd zdradzał to, kim był naprawdę: zabójcą. Nagi tors wyglądał jak wyciosany ze stali i chociaż wiedziała, że to niemożliwe, Matthias robił wrażenie większego, jakby zmieniała się sama struktura jego ciała. Jego skóra miała kiedyś odcień ozłoczonego miodu, teraz pod warstwą brudu była biała jak brzuch ryby. A włosy... Miał takie piękne, gęste i złote włosy,

długie, bo fjerdańscy żołnierze ich nie ścinali. Teraz, tak jak pozostali więźniowie, miał ogoloną głowę, pewnie po to, żeby zapobiec wszawicy. Strażnik, który się tym zajął, fatalnie się sprawił. Nawet z odległości widziała nacięcia i zadraśnięcia na skórze, paski blond szczeciny w miejscach, które brzytwa ominęła. A mimo to nadal był piękny.

Spiorunował tłum wzrokiem i zakręcił potężnie kołem, omal nie zrzucając go z podstawy.

Tyk, tyk, tyk, tyk. Węże. Tygrys. Niedźwiedź. Dzik. Koło tykało, wesoło wirując, a potem zwolniło i wreszcie się zatrzymało.

– Nie – powiedziała Nina, kiedy zobaczyła, co wskazuje igła.

– Mogło być gorzej – odrzekł Muzzen. – Mógł znowu wypaść pustynny jaszczur.

Nina złapała Kaza za rękę przez pelerynę i poczuła, że napiął mięśnie.

– Nie możesz do tego dopuścić.

– Zabierz rękę, Nino. – Jego chropawy jak żwir głos był cichy, ale wyczuła w nim prawdziwą groźbę.

Cofnęła rękę.

– Proszę, nie rozumiesz, on...

– Jeśli przeżyje, zabiorę go stąd jeszcze tej nocy, ale ta część wieczoru zależy od niego.

Sfrustrowana Nina pokręciła głową.

– Nic nie rozumiesz.

Strażnik rozpiął kajdany Matthiasa i kiedy tylko łańcuchy opadły na piach, wskoczył na drabinkę razem z zapowiadaczem, żeby wyciągnięto ich w bezpieczne miejsce. Tłum wrzeszczał i tupał. Matthias jednak stał milczący i nieruchomy, nawet kiedy brama się otworzyła i wilki wybiegły z tunelu. Wszystkie trzy warczały, kłapały zębiskami i kotłowały się między sobą, bo każdy chciał być pierwszym, który dopadnie człowieka.

W ostatniej sekundzie Matthias ukucnął, obalając pierwszego wilka na ziemię, a potem przeturlał się na prawo, żeby podnieść zakrwawiony nóż, który poprzedni więzień zostawił na piasku.

Zerwał się na równe nogi, trzymając ostrze przed sobą, ale Nina wyczuwała jego niechęć. Przechylił głowę i patrzył prosząco, jakby próbował wciągnąć podchodzące do niego dwa wilki w negocjacje bez słów. Jakkolwiek brzmiała jego prośba, nie została wysłuchana. Wilk po prawej skoczył. Matthias przykucnął i obrócił się, wbijając nóż w brzuch wilka. Zwierzę zaskowyczało żałośnie, a Matthias wzdrygnął się na ten dźwięk. To go kosztowało kilka cennych sekund. Trzeci wilk już go dopadł i obalił na piach. Zatopił zęby w ramieniu. Matthias przeturlał się razem z wilkiem. Zwierzę kłapnęło zębami, a Matthias złapał je za szczęki. Rozchylił je, napinając mięśnie rąk. Twarz miał ponurą. Nina zacisnęła powieki. Rozległ się przyprawiający o mdłości trzask. Tłum ryknął.

Matthias ukląkł nad wilkiem, który miał złamaną szczękę i dygotał z bólu. Sięgnął po kamień i uderzył z całej siły w czaszkę biednego zwierzęcia. Wilk znieruchomiał, a Matthias się przygarbił. Ludzie wyli i tupali. Tylko Nina wiedziała, ile to go kosztowało. Był *drüskelle*. Wilki były święte dla jego ludzi, hodowano je do walki tak samo jak ogromne konie. To byli przyjaciele i towarzysze; wilki walczyły u boku swoich panów *drüskelle*.

Pierwszy wilk otrząsnął się i zaczął krążyć wokół Matthiasa. Rusz się, Matthias, zaklinała go w myślach Nina. Wstał, ale poruszał się powoli, ze znużeniem. Nie wkładał serca w walkę. Jego przeciwnikami były szare wilki, smukłe i dzikie, ale to byli kuzyni białych wilków z fjerdańskiej północy. Matthias nie miał noża w ręku, tylko zakrwawiony kamień, a ostatni wilk krążył po arenie między nim a stosem broni. Zwierzę opuściło łeb i obnażyło kły.

Matthias dał nura w lewo. Wilk rzucił się i zatopił zęby w jego boku. Matthias stęknął i padł na ziemię. Przez chwilę Nina myślała, że zwyczajnie podda się i pozwoli, żeby wilk odebrał mu życie. Potem jednak wyciągnął rękę, macając piasek, szukając czegoś. Jego palce zacisnęły się na kajdanach, które krępowały mu wcześniej nadgarstki.

Złapał je i owinął łańcuch wokół szyi wilka, pociągnął, aż żyły wystąpiły mu na szyi. Docisnął zakrwawioną twarz do sierści na karku wilka, zaciskając powieki i poruszając ustami. Co mówił? Modlitwę *drüskelle*? Słowa pożegnania?

Tylne łapy wilka skrobały piach. Oczy uciekły mu w głąb czaszki, ukazały się przerażone białka, jasne na tle zmierzwionej sierści. Przenikliwe wycie wyrwało się z jego piersi. I potem było już po wszystkim. Ciało zwierzęcia znieruchomiało. Obaj wojownicy leżeli nieruchomo na piasku. Matthias nie otwierał oczu, chowając twarz w sierści wilka.

Tłum rykiem wyraził aprobatę. Opuszczono drabinkę i zapowiadacz zeskoczył na arenę. Pociągnął Matthiasa, żeby wstał, złapał go za nadgarstek i uniósł jego rękę w geście zwycięstwa. Szturchnął go lekko i Matthias podniósł głowę. Ninie zaparło dech w piersi.

Po twarzy Matthiasa płynęły łzy. Wściekłość zniknęła i jakby wraz z nią zgasł jakiś płomień. Jego oczy niczym północne morze były zimne jak nigdy dotąd, puste, ograbione z emocji, pozbawione wszystkiego, co ludzkie. Oto co zrobiły z nim Wrota Piekieł. I to była jej wina.

Strażnik złapał Matthiasa. Zdjął kajdany z gardła wilka i zamknął je z powrotem na nadgarstkach więźnia. Kiedy Matthiasa odprowadzano, tłum skandował z aprobatą, wykrzykując:

- Jeszcze! Jeszcze!
- Dokąd go zabierają? – zapytała Nina drżącym głosem.
- Do celi, żeby odespał walkę.
- Kto opatrzy mu rany?
- Mają medykusów. Poczekamy chwilę, żeby na pewno był sam.

Ja mogłabym go wyleczyć, pomyślała. Jednak zaraz odezwał się w niej mroczniejszy, przesycony szyderstwem głos. „Nawet ty nie możesz być tak głupia, Nino. Żaden uzdrowiciel nie uleczy tego chłopca. Już ty o to zadbałaś”.

Miała wrażenie, że wyskoczy ze skóry, kiedy minuty upływały

powoli. Pozostali oglądali następną walkę – Muzzen z zapałem, poruszając palcami i rozważając wynik, Inej milcząca i nieruchoma jak posąg, Kaz nieprzenikniony jak zawsze, knując za ohydną maską. Nina pogłębiła oddech, spowolniła puls, próbowała się uspokoić, ale w żaden sposób nie mogła uciszyć chaosu w głowie.

Wreszcie Kaz ją szturchnął.

– Gotowa? Najpierw strażnik.

Rzuciła spojrzenie na strażnika więziennego stojącego obok łuku.

– Jak bardzo?

To było wyrażenie z Baryłki: „Jak poważnie mam go uszkodzić?”.

– Ululaj go.

„Ogłusz go, ale nie rób mu żadnej krzywdy”.

Podeszli za Kazem do łuku, przez który weszli. Reszta widzów prawie nie zwróciła na nich uwagi, wszyscy wpatrywali się w arenę.

– Potrzebujecie eskorty? – zapytał strażnik.

– Mam pytanie – odrzekł Kaz.

Pod peleryną Nina uniosła rękę, wyczuwając przepływ krwi w naczyniach strażnika, tkankę jego płuc.

– Na temat twojej matki. Czy te plotki to prawda?

Nina poczuła, jak tętno strażnika skoczyło, i westchnęła.

– Nigdy niczego nie ułatwisz, co, Kaz?

Strażnik zrobił krok naprzód, unosząc broń.

– Coś ty powiedział? Co... – Opadły mu powieki. – Nie...

Nina obniżyła mu puls i strażnik poleciał do przodu.

Muzzen złapał go, zanim mógłby upaść na ziemię, a Inej owinęła go w pelerynę, którą chwilę temu miał na sobie Kaz. Nina była tylko trochę zdziwiona, kiedy zobaczyła, że Kaz nosi pod nią mundur strażnika więziennego.

– Nie mogłeś po prostu zapytać go o godzinę albo coś w tym guście? – spytała. – I skąd wytrzasnąłeś ten mundur?

Inej nałożyła maskę Szaleńca na twarz strażnika, a Muzzen

objął go i przytrzymał, jakby strażnik za dużo wypił. Usadzili go na jednej z ławek pod ścianą w głębi.

Kaz obciągnął rękawy munduru.

– Nino, ludzie uwielbiają podporządkowywać się mężczyznom w ładnych strojach. Mam mundury *stadwachten*, policji portowej i liberie ze wszystkich rezydencji kupieckich przy Geldstraat. Chodźmy.

Ruszyli przejściem.

Zamiast wrócić tą samą drogą, którą przyszedli, obeszlą starą wieżę w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Mur wokół areny wibrował głosami i tupaniem po ich lewej stronie. Strażnicy ustawieni przy każdym łuku nie zwracali na nich specjalnej uwagi, chociaż paru skinęło głową do Kaza, który szedł szybkim krokiem, z twarzą schowaną w kołnierzu.

Nina była tak zamyślona, że prawie przegapiła chwilę, kiedy Kaz uniósł rękę, dając znać, że mają zwolnić. Wyszli z za zakrętu między dwoma łukami i znaleźli się w głębokim cieniu. Przed nimi medykus wychodził z celi w towarzystwie strażników. Jeden z nich niósł latarnię.

– Prześpi całą noc – powiedział medykus. – Dopilnujcie, żeby napił się czegoś rano, i sprawdźcie mu źrenice. Musiałem mu podać bardzo silną miksturę nasenną.

Kiedy mężczyźni ruszyli w przeciwnym kierunku, Kaz dał znać swojej grupie, żeby wyszła z cienia. Drzwi wstawione w skałę wykonano z litego żelaza. Była tam tylko szpara, przez którą podawano więźniowi posiłek. Kaz pochylił się nad zamkiem.

Nina obrzuciła spojrzeniem toporne drzwi.

– To miejsce jest potworne.

– Większość lepszych wojowników śpi w starej wieży – powiedział Kaz. – Z dała od reszty więźniów.

Nina zerknęła na lewo i prawo, gdzie jasne światło wlewało się z wejść na arenę. Stali tam strażnicy. Może i byli skupieni na walkach, ale wystarczyło, żeby jeden odwrócił głowę. Gdyby ich tu złapano, czy strażnicy zawracaliby sobie głowę przekazaniem

ich *stadwachcie*, żeby sąd wymierzył im karę, czy po prostu zmusiliby ich do walki na arenie, gdzie pożarłby ich tygrys? Może nawet coś mniej dostojnego, pomyślała posepnie. Może wypuściliby na nich stado wściekłych nornic.

Kaz potrzebował kilku krótkich chwil, żeby otworzyć zamek. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i wślizgnęli się do celi.

Było ciemno choć oko wykol. Minęła jednak chwila i zimna zielona poświata kościanego światełka zabłysła obok Niny. Inej uniosła małą szklaną kulę. Substancję w środku pozyskano z wysuszonych i skruszonych ciał świecących ryb z głębin morskich. Często korzystali z takiego światła cwaniacy z Baryłki, którzy nie chcieli wylądować w ciemnym zaułku, ale nie zamierzali taszczyć ze sobą latarni.

Przynajmniej jest tu czysto, pomyślała Nina, kiedy jej oczy przywykły do mroku. Pusto i lodowato zimno, ale względnie czysto. Zobaczyła pryczę z końskimi derkami i dwa wiadra pod ścianą. Z jednego wystawała zakrwawiona szmatka.

O to właśnie rywalizowali mężczyźni z Wrót Piekieł: o prywatną celę, koc, czystą wodę, wiadro na nieczystości.

Matthias spał plecami do ściany. Nawet w słabym blasku kościanego światełka widziała, że twarz zaczyna mu puchnąć. Nałożono jakąś maść na rany. Z nagietka. Rozpoznała po zapachu.

Chciała podejść do niego, ale Kaz powstrzymał ją, kładąc dłoń na jej ręce.

– Niech Inej oceni szkody.

– Sama mogę... – zaczęła Nina.

– Musisz popracować nad Muzzenem.

Inej rzuciła Kazowi laskę z wronią główką, którą musiała chować pod kostiumem Szarego Diablaka, i przyklękła nad ciałem Matthiasa z kościanym światełkiem. Muzzen podszedł. Zdjął pelerynę, koszulę i maskę Szaleńca. Miał ogoloną głowę i nosił więzienne spodnie.

Nina spojrzała na Matthiasa, a potem na Muzzena, pojmując, co Kaz miał na myśli. Obaj byli podobnego wzrostu, podobnej

budowy, ale na tym kończyły się podobieństwa.

– Nie możesz chyba spodziewać się, że Muzzen zajmie miejsce Matthiasa.

– Nie towarzyszy nam dla błyskotliwej konwersacji – odparł Kaz. – Musisz odtworzyć obrażenia Helvara. Inej, jak to wygląda?

– Posiniaczone knykcie, wyszczerbiony ząb, dwa złamane żebra. Trzecie i czwarte po lewej stronie.

– Jego lewej czy twojej? – zapytał Kaz.

– Jego.

– To się nie uda – protestowała sfrustrowana Nina. – Mogę odtworzyć obrażenia Helvara, ale nie jestem na tyle dobrą formatorką, żeby upodobnić do niego Muzzena.

– Zaufaj mi, Nino.

– Nie powierzyłabym ci nawet zawiązania butów, bo zwędziłbyś mi sznurowadła. – Zerknęła na twarz Muzzena. – Nawet kiedy zafunduję mu opuchliznę, nikt się nie nabierze.

– Tej nocy Matthias Helvar, a raczej nasz drogi Muzzen, zarazi się ognistą ospą, psią odmianą, roznoszoną przez wilki, psy i im podobne. Jutro rano, kiedy strażnicy odkryją go tak zasypanego krostami, że będzie nie do rozpoznania, zostanie poddany miesięcznej kwarantannie, żeby się przekonać, czy przetrwa gorączkę i zarazę. W tym czasie Matthias dotrzyma towarzystwa nam. Jasne?

– Mam sprawić, żeby Muzzen wyglądał jak zarażony ognistą ospą?

– Tak. I załatw to szybko, bo za jakieś dziesięć minut zrobi się tu naprawdę gorąco.

Nina spojrzała na niego. Co Kaz planuje?

– Cokolwiek z nim zrobię, to nie wytrzyma miesiąca. Nie zafunduję mu trwałej gorączki.

– Mój człowiek w infirmerii zadba o to, żeby pozostał chory. My musimy załatwić mu tylko diagnozę. A teraz bierz się do roboty.

Nina obrzuciła Muzzena spojrzeniem od stóp do głów.

– To będzie bolało równie mocno, jakbyś sam brał udział

w walce – ostrzegła.

Skrzywił się, szykując się na ból.

– Dam radę.

Przewróciła oczami, a potem uniosła rękę i się skupiła. Oстрым ruchem prawej ręki w lewo złamała Muzzenowi żebra.

Stęknął i złożył się wpół.

– Dobry chłopak – powiedział Kaz. – Przyjął to jak bohater. Potem kostki, na końcu twarz.

Nina rozrzuciła sińce i rozcięcia na kostkach dłoni i rękach Muzzena, zgodnie z opisem ran przedstawionym przez Inej.

– Nigdy nie widziałam ognistej ospy z bliska – przyznała.

Znała tylko ilustracje z książek, jakimi posługiwali się podczas nauki anatomii w Małym Pałacu.

– Uważaj się za szczęściarę – odparł ponuro Kaz. – Pośpiesz się.

Pracowała z pamięci, tworząc opuchliznę i pęknięcia na skórze twarzy i piersi Muzzena, wywołując pęcherze, aż wszystkie zmiany sprawiły, że naprawdę nie dało się go poznać. Mężczyzna jęknął.

– Dlaczego się na to zgodziłeś? – mruknęła Nina.

Opuchnięte ciało na twarzy Muzzena drgnęło, a Nina pomyślała, że może próbował się uśmiechnąć.

– Zapłata była niezła – odpowiedział niewyraźnie.

Westchnęła. Z jakich innych powodów ktokolwiek robił coś w Baryłce?

– Tak dobra, że warto dać się zamknąć we Wrotach Piekieł?

Kaz popukał laską w podłogę celi.

– Przestań mieszać, Nino. Jeśli Helvar będzie współpracował, on i Muzzen odzyskają wolność, kiedy tylko zadanie zostanie wykonane.

– A jeśli nie?

– To wtedy Helvar wróci do celi, a Muzzen i tak dostanie swoją zapłatę. I zabiorę go na śniadanie do „Kooperomu”.

– A dostanę gofra? – wymamrotał Muzzen.

– Wszyscy weźmiemy gofry. I whisky. Jeśli ta robota nie wypali, nikt nie będzie chciał przebywać w moim towarzystwie

na trzeźwo. Skończyłaś?

Nina skinęła głową. Inej zajęła jej miejsce, bandażując Muzzena, żeby wyglądał jak Matthias.

– W porządku – powiedział Kaz. – Zajmij się Helvarem.

Nina przykucnęła obok Matthiasa, a Kaz stanął nad nią z kościanym światełkiem. Nawet we śnie Matthias miał udręczoną twarz, marszczył blade czoło. Przesunęła dłońmi po jego posiniaczonej żuchwie, zwalczając pokusę, żeby zatrzymać je tam na dłużej.

– Nie twarz, Nina. Ma się ruszać, a nie ładnie wyglądać. Ulecz go szybko i tylko na tyle, żeby chodził. Nie chcę, żeby był aż tak dziarski, by stwarzać problemy.

Nina odsunęła koc i zaczęła pracować. To tylko jeszcze jedno ciało, wmawiała sobie. Wiecznie dostawała wezwania od Kaza w środku nocy, żeby leczyć rannych członków Szumowin, do których nie chciał sprowadzać prawdziwego medykusa – do dziewczyn z ranami kłutymi, chłopców z połamanymi nogami albo kulami w ciele, ofiar potyczek ze *stadwachtą* albo z innym gangiem. Udawaj, że to Muzzen, powtarzała sobie. Albo Duży Bolliger. Albo jakiś inny dureń. Nie znasz tego chłopca. I to była prawda. Chłopiec, którego znała, może stanowił rusztowanie, ale zbudowano wokół niego coś całkiem nowego.

Dotknęła delikatnie jego ramienia.

– Helvar – powiedziała. Nie poruszył się. – Matthias.

Gula narastała jej w gardle. Nina czuła, że zaraz łzy napłyną jej do oczu. Pocałowała go w skroń. Wiedziała, że Kaz i pozostali patrzą, jak robi z siebie idiotkę, ale po tak długim czasie Matthias wreszcie znalazł się przed nią i był taki zmasakrowany!

– Matthias – powtórzyła.

– Nina?

Głos miał zdarty, ale równie piękny, jak zapamiętała.

– Och, na wszystkich świętych, Matthias – szepnęła. – Obudź się, proszę.

Otworzył oczy; były półprzytomne i bardzo bladobłękitne.

– Nina – powiedział cicho.

Musnął kostkami dłoni jej policzek. Szorstką ręką ujął delikatnie jej twarz. Nie wierzył własnym oczom.

– Nina?

Oczy napęłniły jej się łzami.

– Ciii. Przyszliśmy cię stąd wyciągnąć.

Zanim zdążyła zamrużyć, złapał ją za ramiona i przyszpilił do ziemi.

– Nina – warknął.

I zacisnął dłonie na jej gardle.



CZEŚĆ DRUGA.

SŁUGA I ŚRODEK NACISKU



Matthias znowu śnił. O niej.

We wszystkich snach polował na nią, czasem na świeżo zazielenionych wiosennych łąkach, ale zwykle na lodowych polach, nieomylnie omijając głązy i lodowe szczeliny. Zawsze ją ścigał i zawsze ją łapał. W dobrych snach ciskał nią o ziemię i z sercem pełnym pragnienia zemsty dusił ją, patrząc, jak życie ucieka z jej oczu – nareszcie, nareszcie! W złych snach ją całował.

W tych snach nie walczyła z nim. Śmiała się, jakby pościg był tylko zabawą, jakby wiedziała, że ją złapie, jakby tego chciała i nigdzie tak bardzo nie pragnęła się znaleźć jak właśnie pod nim. Była zachęcająca i doskonała w jego objęciach. Całował ją, chował twarz w słodkim zagłębieniu szyi. Jej loki ocierały się o jego policzki i czuł, że gdyby tylko mógł ją potrzymać odrobinę dłużej, każda rana, każdy ból, każda zła rzecz zniknęłaby bez śladu.

– Matthias – szeptała, a jego imię brzmiało czule na jej ustach.

To były najgorsze sny, a kiedy się budził, nienawidził siebie prawie tak bardzo, jak nienawidził jej. Wiedza, że mógłby zdradzić siebie, znowu zdradzić swój kraj, choćby we śnie, świadomość, że po tym wszystkim co zrobiła, jakaś chora

cząstka jego osoby nadal jej pragnęła... to było zbyt wiele.

Tej nocy sen był zły, bardzo zły. Nina miała na sobie niebieski jedwab, strój o wiele bardziej luksusowy od wszystkiego, w czym ją do tej pory widział. Jakiś zwiewny welon zaplątał jej się we włosy, światło odbijało się od niego jak od kropel deszczu. Na Djela, jak pięknie pachniała! Nadal czuł omszałą wilgoć, ale także perfumy. Nina uwielbiała luksusy i to były drogie perfumy – pachniały różami i czymś jeszcze, czego jego nos nędzarza nie rozpoznał. Przycisnęła miękkie usta do jego skroni i mógłby przysiąc, że płakała.

– Matthias.

– Nina – zdołał wykrztusić.

– Och, na wszystkich świętych, Matthias – szepnęła. – Obudź się, proszę.

I wtedy się obudził. I wiedział, że oszalał, bo ona tam była, w jego celi, klęcząca obok niego, opierając delikatnie rękę na jego piersi.

– Matthias, proszę.

Dźwięk jej głosu, gdy go prosiła. Często o tym śnił. Czasem błagała o litość. Czasem błagała o coś innego.

Wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy. Miała najdelikatniejszą skórę. Kiedyś śmiał się z niej z tego powodu. „Żaden prawdziwy żołnierz nie ma takiej skóry”, powiedział jej, „tak wypielegnowanej, tak rozpieszczonej”. Wysztychał bujność jej ciała zawstydzony własną reakcją na nią. Ujął miękkie łokieć jej policzka, poczuł delikatny dotyk jej włosów. Taka cudna, taka prawdziwa. To nie było w porządku.

A potem zauważył zakrwawione bandaże na rękach. Ogarnął go ból, gdy w pełni oprzytomniał – połamane żebra, zdarte knykcie. Ukruszył sobie ząb. Nie był pewien kiedy, ale w którymś momencie rozciął sobie przez to język. Nadal czuł w ustach miedziany posmak krwi. Wilki. Kazali mu mordować wilki.

Obudził się.

– Nina?

W jej pięknych zielonych oczach stały łzy. Ogarnęła go

wściekłość. Nie miała prawa do łez, nie miała prawa do litości.

– Ciii. Przyszliśmy cię stąd wyciągnąć.

Co to za gra? Co to za nowe okrucieństwo? Właśnie nauczył się, jak przetrwać w tym potwornym miejscu, a teraz przyszła, żeby zadać mu jakieś nowe tortury.

Rzucił się do przodu, obalając ją na ziemię, zacisnął ręce na jej szyi, siadając na niej tak, żeby kolanami przyspilić ręce Niny do podłogi. Doskonale wiedział, że ze swoimi rękami była śmiertelnie niebezpieczna.

– Nina – wychrypiał. Drapała jego ręce. – Czarownica – syknął, pochylając się nad nią. Widział, jak wytrzeszcza oczy, a jej twarz czerwienieje. – Błagaj – powiedział. – Błagaj o życie.

Usłyszał szcęk i chropawy głos oznajmił:

– Puść ją, Helvar.

Ktoś stał za nim i przyciskał mu broń do szyi. Matthias nawet się nie obejrzał.

– Śmiało, strzelaj – powiedział.

Mocniej zacisnął palce na szyi Niny. Nic mu tego nie odbierze. Nic.

Zdrajczyńni, czarownica, plugastwo. Wszystkie te słowa przysły do niego, ale pojawiły się także inne: piękna, zaczarowana. *Röed fetla*, tak ją nazywał, czerwona ptaszyna, od koloru jej Zakonu griszów. Koloru, który kochała. Ścisnął mocniej, uciszając w sobie pozbawioną siły woli cząstkę.

– Jeśli naprawdę zwariowałaś, to będzie dużo trudniej niż myślałem – powiedział ktoś chropawym głosem.

Usłyszał świst – jak wtedy, gdy coś przecina powietrze – i rozdzierający ból przeszył jego lewe ramię. Miał wrażenie, że zdzieliła go maleńka piąstka, ale cała ręka mu zdrętwiała. Jęknął i poleciał do przodu, nadal zaciskając jedną rękę na gardle Niny. Padłby prosto na nią, ale ktoś szarpnął go do tyłu za kołnierz koszuli.

Stał nad nim chłopiec w mundurze strażnika. Jego ciemne oczy błyszczały. W jednym ręku trzymał pistolet, w drugim laskę. Gałkę laski wyrzeźbiono na kształt wroniej głowy

z okrutnie szpiczastym dziobem.

– Opanuj się, Helvar. Zamierzamy cię stąd wydostać. Mogę zrobić z twoimi nogami to samo, co z ręką, i wtedy cię stąd wywlecemy, albo możesz wyjść jak człowiek, na dwóch nogach.

– Nikt nie wychodzi z Wrót Piekieł – powiedział Matthias.

– Dzisiaj jest inaczej.

Matthias usiadł, starając zorientować się w otoczeniu i ściskając pozbawioną czucia rękę.

– Nie możecie tak po prostu wyjść stąd ze mną. Strażnicy mnie rozpoznają – warknął. – Nie zamierzam stracić przywilejów za zwycięskie walki i dać się wywieźć Djel jeden wie dokąd.

– Będziesz miał maskę.

– Jeśli strażnicy sprawdzą...

– Będą zbyt zajęci, żeby sprawdzać – odpowiedział nieznajomy blady chłopak.

I wtedy rozległy się krzyki.

Matthias poderwał głowę. Usłyszał tupot stóp oddalających się od areny, narastający jak fala, kiedy ludzie rzucili się do przejścia przed jego celą. Usłyszał krzyki strażników, a potem ryk wielkiego kota i trąbienie słonia.

– Otworzyłeś klatki.

Ninie głos drżał z niedowierzania, chociaż, kto wie, co w jej przypadku było prawdą, a co przedstawieniem. Nie chciał nawet spojrzeć w jej stronę. Gdyby to zrobił, straciłby poczucie rzeczywistości. A i tak już ledwie się trzymał.

– Jesper miał poczekać do trzeciej – mruknął blady chłopak.

– Już jest trzecia – odpowiedziała stojąca w kącie drobna dziewczyna z ciemnymi włosami i ciemnobrązową skórą Sulijki. Opierała się o nią postać w bandażach i z sińcami na ciele.

– Od kiedy to Jesper jest punktualny? – zachnął się chłopak, zerkając na zegarek. – Wstawaj, Helvar.

Podał mu dłoń w rękawiczce. Matthias popatrzył na nią. To sen, pomyślał. To najdziwniejszy sen, jaki kiedykolwiek miałem, ale zdecydowanie sen. A może zabijanie wilków w końcu doprowadziło go do prawdziwego szaleństwa? Zamordował dziś

rodzinę. Żadne wyszeptane modlitwy za ich dzikie dusze nie naprawią tego zła.

Podniósł wzrok na jasnoskórego demona w czarnych rękawiczkach. Kaz, tak go nazwała. Czy wyprowadzi Matthiasa z tego koszmaru, czy tylko wciągnie go w innego rodzaju piekło? Wybieraj, Helvar.

Matthias złapał dłoń chłopaka. Jeśli to dzieje się naprawdę i nie jest iluzją, to wyrwie się z każdej pułapki, jaką na niego zastawili. Słyszał, jak Nina wypuściła długo wstrzymywane powietrze. Ulżyło jej? Była poirytowana? Pokręcił głową. Później będzie się zastanawiał. Drobna brązowoskóra dziewczyna zarzuciła na jego ramiona pelerynę i nałożyła mu na głowę brzydką maskę z haczykowatym nosem.

W korytarzu przed celą panował chaos. Tłum przebranych mężczyzn i kobiet napierał z krzykiem, przepychając się, usiłując uciec od areny. Strażnicy wyciągnęli broń i słychać było wystrzały. W głowie mu się kręciło i potwornie bolał go bok. Lewą rękę nadal miał bezwładną.

Kaz wskazał łuk daleko po prawej, sugerując, że powinni kierować się pod prąd w stronę areny. Matthiasowi było to obojętne. Zamiast tego mógł dać nura w tłum, przepchnąć się schodami i uciec na łódź. A potem co? Nieważne. Nie było czasu na planowanie.

Wszedł w tłum, ale natychmiast odciągnięto go do tyłu.

– Chłopcy tacy jak ty nie powinni kombinować – powiedział Kaz. – Te schody prowadzą do przewężenia. Myślisz, że strażnicy nie zerkną pod maskę, zanim cię przepuszczą?

Matthias się skrzywił i ruszył za pozostałymi, pod prąd, z ręką Kaza na plecach.

O ile w przejściu panował chaos, to na arenie panowało kompletne szaleństwo. Matthias zerknął na hieny przeskakujące nad skalnymi półkami. Jedna żerowała na ciele w szkarłatnej pelerynie. Słoń szarżował na ścianę areny, wzbijając chmury kurzu i rycząc z frustracji. Matthias zobaczył białego niedźwiedzia i jednego z tych wielkich jaguarów

z Południowych Kolonii, który przykucnął na okapie i szczyrzył kły. Wiedział, że w klatkach były także węże. Miał tylko nadzieję, że wspomniany wcześniej Jesper nie był na tyle głupi, żeby je także uwolnić.

Rzucili się przez piaski areny, na których Matthias przez ostatnie sześć miesięcy walczył o przywileje, ale kiedy skierowali się do tunelu, wyskoczył na nich pustynny jaszczur z pianą białego jadu na pysku, uderzając grubym ogonem o ziemię. Zanim Matthias pomyślał, żeby się ruszyć, brązowoskóra dziewczyna przeskoczyła nad jaszczurem i go zabiła, wbijając dwa sztylety pod zbroję z łusek. Jaszczur stęknął i padł na bok. Matthiasowi zrobiło się smutno. To było groteskowe zwierzę i nigdy nie widział wojownika, który przetrwałby jego atak, ale mimo wszystko było to żywe stworzenie. Nigdy dotąd nie widziałem wojownika, który przetrwałby jego atak, poprawił się w myślach. Brązowoskorą dziewczynę ze sztyletami warto było zobaczyć w akcji.

Domyślał się, że przejdą przez arenę i wrócą na górę, na miejsca dla widowni, żeby ominąć zapychające się przejście i chyba wbiec po schodach, w nadziei, że ominą strażników, którzy musieli już czekać na górze. Ale Kaz poprowadził ich tunelem obok klatek. To były stare cele, oddawane tym stworzeniom, które akurat wpadły w ręce panom Piekielnego Widowiska w danym tygodniu – starym zwierzętom cyrkowym, w razie konieczności nawet chorym zwierzętom hodowlanym, stworom złapanym w lasach albo na prowincji. Kiedy przebiegali obok otwartych drzwi klatek, Matthias dostrzegł parę żółtych oczu piorunujących ich z cieni, ale zaraz pobiegł dalej. Przeklinał bezwładną rękę i brak broni. Był praktycznie bezbronny. Dokąd nas prowadzi ten Kaz? – zastanawiał się. Minęli dzika, który pożerał strażnika, i cętkowanego kota, który syknął na nich i prychnął, ale się nie zbliżył.

A potem mimo zapachu piżma i smrodu zwierzęcych odchodów Matthias poczuł cierpki aromat słonej wody. Usłyszał

szum fal. Poślizgnął się i odkrył, że kamienie pod jego stopami są wilgotne. Nigdy dotąd nie pozwolono mu zapuścić się tak daleko do tunelu. Prowadził do morza. Cokolwiek Nina i jej ludzie zamierzali, naprawdę wyciągali go z wnętrzości Wrót Piekieł.

W zielonym świetle kul, które nieśli Kaz i brązowoskóra dziewczyna, dostrzegł małą łódkę przycumowaną przed nimi. Wyglądało na to, że siedzi w niej strażnik, jednak mężczyzna uniósł rękę i pomachał do nich.

– Zjawiłeś się za wcześnie, Jesper – powiedział Kaz, popychając Matthiasa w stronę łodzi.

– Byłem punktualnie.

– W twoim przypadku to znaczy za wcześnie. Następnym razem, kiedy postanowisz mi zaimponować, ostrzeż mnie wcześniej.

– Wypuściłem zwierzęta i znalazłem wam łódź. To jest ten moment, w którym podziękowania byłyby nie od rzeczy.

– Dziękuję ci, Jesper – powiedziała Nina.

– Bardzo proszę, ślicznotko. Widzisz, Kaz? Tak to załatwiają cywilizowani ludzie.

Matthias słuchał ich tylko jednym uchem. Palce lewej ręki zaczynały go mrowić – wracało w nich czucie. Nie mógł walczyć ze wszystkimi, nie w takim stanie, zwłaszcza że byli uzbrojeni. Wyglądało jednak na to, że tylko Kaz i chłopak w łodzi, Jesper, mieli broń palną.

Odcumuj łódź, rozbrój Jespera.

Miałby wtedy broń i łódź.

Tyle że Nina może zatrzymać twoje serce, nim złapiesz za wiosła, przypomniał sobie. Zatem ją pierwszą zastrzel. Wpakuj kulkę w jej serce. Zostań na dość długo, żeby zobaczyć, jak upada, a potem zwijaj się stąd.

Mógł to zrobić. Wiedział, że może. Musiał tylko odwrócić ich uwagę.

Dziewczyna o skórze jak z brązu stała po jego prawej stronie. Ledwie sięgała mu ramienia. Nawet ranny mógł cisnąć ją do wody, nie tracąc równowagi i nie robiąc jej prawdziwej

krzywdy.

Rzuć dziewczyną. Odcumuj łódź. Załatw snajpera. Zabij Ninę. Zabij Ninę. Zabij Ninę.

Wziął głęboki wdech i całym ciężarem ciała uderzył w brązowskórą dziewczynę.

Odsunęła się w bok, jakby z góry wiedziała, co on zamierza, i nieśpiesznie zaczepiła stopą o jego kostkę.

Matthias stęknął ciężko, kiedy wyłożył się jak długi na kamienie.

– Matthias... – powiedziała Nina, robiąc krok w jego kierunku.

Odsunął się rozpaczliwie, omal nie lądując się przy tym w wodzie. Jeśli ona go dotknie, on straci rozum. Nina przystanąła, na jej twarzy wyraźnie malowała się uraza. Nie miała prawa.

– Niezgrabiasz – rzuciła beznamiętnie brązowskóra dziewczyna.

– Uśpij go, Nino – rozkazał Kaz.

– Nie! – zaprotestował Matthias z rosnącą paniką.

– Jesteś dość tępy, żeby wywrócić łódź.

– Trzymaj się ode mnie z dala, wiédźmo – warknął Matthias, patrząc na Ninę.

Skinęła głową.

– Z przyjemnością.

Uniosła ręce, a Matthias poczuł, że powieki robią mu się ciężkie, kiedy pozbawiała go przytomności.

– Zabiję cię – wymamrotał.

– Miłych snów.

Jej głos był jak wilk depczący mu po piętach. Wilk, który pogonił za nim w ciemność.



W spowitym w czerń i szkarłat pokoju bez okien Matthias słuchał w milczeniu dziwnych słów padających z ust

dziwaczego, bladego chłopaka. Znał potwory i wystarczyło, że raz zerknął na Kaza Brekkera, żeby wiedzieć, że to jest stworzenie, które za dużo czasu spędziło w ciemności i kiedy wypęzło na światło, wywlekło coś ze sobą. Matthias wyczuwał to wokół niego. Wiedział, że inni wyśmiewają fjerdańskie przesady, ale on ufał instynktowi. A przynajmniej do czasu Niny. To był jeden z najgorszych skutków jej zdrady – zmusiła go do zwątpienia w siebie. To zwątpienie omal nie okazało się jego zgubą we Wrotach Piekieł, gdzie instynkt był wszystkim.

Słyszał w więzieniu nazwisko Brekkera i słowa z nim skojarzone: cudowne dziecko świata przestępczego, człowiek bezwzględny, amoralny. Nazywali go Brudnorękim, bo nie było grzechu, którego nie popełniłby za odpowiednią cenę. A teraz ten demon mówił o włamaniu się do Lodowego Dworu i zmuszeniu Matthiasa do popełnienia zdrady. Znowu, poprawił się w myślach Matthias, znowu dopuściłbym się zdrady.

Nie odrywał wzroku od Brekkera. Doskonale wiedział, że Nina obserwuje go z drugiego końca pokoju. Nadal czuł jej różane perfumy w nosie, a nawet w ustach. Ostry kwietny zapach przylgnał do jego języka, jakby smakował Ninę.

Matthias obudził się skrepowany i przywiązany do krzesła, w miejscu wyglądającym jak salon gry. Nina musiała go wybudzić z zamroczenia, w które go wprowadziła. Znajdowała się w pokoju razem z brązowoskórą dziewczyną. Jesper, smukły chłopak z łódki, siedział w kącie z podciągniętymi do piersi kościstymi kolanami, a chłopak o rudawozłoty lokach gryzmolił coś bez celu na kawałku papieru przy okrągłym stoliku do gry w karty, przygryzając czasem kciuk. Stolik przykryto szkarłatną tkaniną we wzór z wron; koło podobne do tego, które ustawiono na arenie podczas Piekielnego Widowiska, ale z innymi oznaczeniami, opierało się o polakierowaną na czarno ścianę. Matthias miał wrażenie, że ktoś, pewnie Nina, zajął się jego obrażeniami, kiedy był nieprzytomny. Na tę myśl zrobiło mu się niedobrze. Lepszy czysty ból niż plugastwo griszy.

Potem Brekker zaczął mówić – o narkotyku zwanym *jurda parem*, o niemożliwie wysokiej nagrodzie, o absurdalnym pomysle ataku na Lodowy Dwór. Matthias nie był pewien, co może być prawdą, a co fikcją, ale to miało niewielkie znaczenie. Kiedy Brekker wreszcie skończył, Matthias powiedział po prostu:

– Nie.

– Uwierz mi, kiedy to powiem, Helvar: wiem, że ogłuszenie i przebudzenie się w dziwnym otoczeniu nie jest najprzyjaźniejszym sposobem na rozpoczęcie współpracy, ale nie dałeś nam dużego wyboru, postaraj się więc otworzyć umysł na różne możliwości.

– Mógłbyś przyjść do mnie na klęczkach, a moja odpowiedź brzmiałaby tak samo.

– Rozumiesz, że mogę w ciągu kilku godzin zabrać cię z powrotem do Wrót Piekieł? Kiedy już biedny Muzzen znajdzie się w infirmerii, podmiana będzie prosta.

– Śmiało. Nie mogę się doczekać, żeby opowiedzieć naczelnikowi więzienia o twoich idiotycznych planach.

– A skąd przypuszczenie, że wrócisz tam z językiem?

– Kaz... – zaprotestowała Nina.

– Rób, co chcesz – powiedział Matthias.

Nie zamierzał znowu zdradzić kraju.

– A nie mówiłam? – odezwała się Nina.

– Nie udawaj, że mnie znasz, czarownico – warknął Matthias, nie odrywając oczu od Brekkera.

Nie chciał na nią spojrzeć. Odmawiał tego.

Jesper wyprostował się w kącie. Teraz, kiedy opuścili mroki Wrót Piekieł, Matthias widział, że chłopak ma ciemnobrązową skórę Nowoziemca i osobliwie szare oczy. Był zbudowany jak bocian.

– Bez niego nie ma roboty – powiedział Jesper. – Nie możemy włamać się do Lodowego Dworu na oślep.

Matthias miał ochotę się roześmiać.

– W ogóle nie możecie włamać się do Lodowego Dworu.

Lodowy Dwór nie był zwyczajnym budynkiem. To był cały

kompleks, starożytna fjerdańska twierdza, siedziba nieprzerwanej dynastii królów i królowych, skarbnica największych skarbów i najświętszych relikwii. Miejsce nie do zdobycia.

– Daj spokój, Helvar – powiedział demon. – Na pewno jest coś, czego pragniesz. Sprawa jest dostatecznie słuszna dla takiego zeloty jak ty. Fjerdanie mogą myśleć, że złapali smoka za ogon, ale nie zdołają go utrzymać. Gdy już Bo Yul-Bayur odtworzy recepturę, *jurda parem* wejdzie na rynek i będzie tylko kwestią czasu, kiedy inni także nauczą się wytwarzać narkotyk.

– Nigdy do tego nie dojdzie. Yul-Bayur stanie przed sądem i jeśli zostanie uznany za winnego, czeka go śmierć.

– Winnego czego? – zapytała cicho Nina.

– Zbrodni przeciwko ludziom.

– Jakim ludziom?

Słyszał ledwie powściągnięty gniew w jej głosie.

– Normalnym ludziom – odpowiedział. – Ludziom, którzy żyją w harmonii z prawami tego świata, zamiast zniekształcać je dla własnych korzyści.

Nina parsknęła poirytowana. Pozostali sprawiali wrażenie rozbawionych, uśmiechali się kpiąco do biednego, zacofanego Fjerdanina. Brum ostrzegał Matthiasa, że świat jest pełen kłamców, sybarytów, pozbawionych wiary pogan. I wydawało się, że w tym pokoju zebrało się ich szczególnie dużo.

– Przejawiasz pewną krótkowzroczność w tym temacie, Helvar – powiedział Brekker. – Inny zespół może pierwszy dotrzeć do Yul-Bayura. Shu. Może Ravkańczycy. Wszyscy z jakimiś zamiarami. Spory graniczne i dawne zatargi nie mają znaczenia w Kerchu. Radzie Kupieckiej zależy tylko na handlu i chce dopilnować, żeby *jurda parem* pozostała plotką i niczym więcej.

– Zatem wprowadzenie przestępców do serca Fjerdy, żeby wykradli więźnia, będzie aktem patriotyzmu – rzucił z pogardą Matthias.

– Zatem obietnica czterech milionów *kruge* raczej nie wpłynie

na twoje postanowienie?

Matthias splunął.

– Możesz zatrzymać sobie pieniądze. Udław się nimi.

A potem naszła go myśl – nikczemna, barbarzyńska, ale ta jedna rzecz mogła sprawić, że wróciłyby do Wrót Piekieł ze spokojem w sercu, nawet jeśli straciłby język w ustach. Odchylił się do tyłu najdalej, jak pozwalały mu więzy, i skupił się całkowicie na Brekkerze.

– Zawrę z tobą umowę.

– Słucham.

– Nie popłynę z wami, ale dam wam plan Dworu. Dzięki temu powinniście ominąć chociaż pierwszy posterunek.

– A ile będzie mnie kosztować ta cenna informacja?

– Nie chcę twoich pieniędzy. Dam ci plany za darmo. – Te słowa zawstydzaly Matthiasa, ale mimo to je wypowiedział: – O ile ty dasz mi zabić Ninę Zenik.

Drobna dziewczyna o skórze jak z brązu prychnęła zdegustowana, nie kryjąc pogardy dla niego, a chłopiec przy stole przestał bazgrać i rozdziawił usta. Kaz jednak nie robił wrażenia zaskoczonych. Jeśli już, to wyglądał na zadowolonego. Matthias miał nieprzyjemnie przeczucie, że demon już wcześniej wiedział, jak to się rozegra.

– Mogę ci dać coś lepszego.

Co może być lepsze od zemsty?

– Nie chcę niczego innego.

– Mogę sprawić, że znowu będziesz *drüskelle*.

– Zatem jesteś magikiem? Duszkiem *wej*, który spełnia życzenia? Jestem przesądny, ale nie głupi.

– Wiesz, możesz być i przesądny, i głupi, ale nie w tym rzecz. – Kaz wsunął rękę do kieszeni ciemnego płaszcza. – Proszę – powiedział i podał kartkę papieru brązowoskórej dziewczynie.

Kolejny demon. Poruszała się bezszelestnie, jakby przybyła z innego świata i nikt nie miał dość rozsądku, żeby ją odesłać z powrotem. Przytrzymała dokument przed jego twarzą, żeby mógł go przeczytać. Sporządzono go po kercheńsku i po

fjerdańsku. Nie potrafił czytać po kercheńsku, podłapał tylko trochę języka w więzieniu, ale fjerdański tekst był dostatecznie jasny i w miarę jak jego wzrok przesuwiał się po stronie, serce biło mu coraz mocniej.

W świetle nowych dowodów Matthias Benedik Helvar otrzymuje całkowite i natychmiastowe ułaskawienie i zostaje oczyszczony z wszelkich oskarżeń o handel niewolnikami. Zostanie zwolniony dnia _____ z najszczęśliwymi przeprosinami sądu oraz rządu Kerchu i jak najspieszniej przewieziony do ojczyzny lub w inne wskazane przez niego miejsce.

– Jakich dowodów?

Kaz rozparł się w krześle.

– Najwyraźniej Nina Zenik odwołała swoje zeznania. Zostanie oskarżona o krzywoprzysięstwo.

Teraz Matthias spojrział na nią. Nie mógł się powstrzymać. Zostawił siniaki na jej pięknej szyi. Wmówił sobie, że to go cieszy.

– Krzywoprzysięstwo? Ile za to odsiedzisz, Zenik?

– Dwa miesiące – odpowiedziała cicho.

– Dwa miesiące?

Teraz się roześmiał, głośno i ostro. Zadygotał, jakby to była trucizna powodująca skurcze mięśni.

Inni przyglądali mu się z pewną troską.

– Właściwie jak bardzo mu odbiło? – zapytał Jesper, dotykając perłowych rękojeści rewolwerów.

Brekker wzruszył ramionami.

– Nie nazwałbym go spolegliwym, ale mamy tylko jego.

Dwa miesiące. Pewnie w jakimś przytulnym więzieniu, gdzie oczaruje każdego strażnika, żeby przynosił jej świeży chleb i poprawiał poduszki. A może po prostu przekona sąd, że zapłaci grzywnę, którą uiszczą za nią jej bogaci opiekunowie z Ravki.

– Wiedz, że jej nie można ufać – powiedział do Brekкера. –

Jakiegokolwiek sekrety masz nadzieję wyciągnąć od Bo Yul-Bayura, ona przekaże je Ravce.

– Pozwól, że to już będzie moje zmartwienie. Ty zrób swoje, a sekrety Yul-Bayura i *jurdy parem* pozostaną w rękach tych, którzy są najlepiej wykwalifikowani, aby dopilnować, że pozostaną jedynie plotkami.

Dwa miesiące. Nina odsiedzi swoje i wróci do Ravki o cztery miliony *kruge* bogatsza, nigdy więcej nie poświęcając mu nawet jednej myśli. Jeśli jednak ułaskawienie jest prawdziwe, on też będzie mógł wrócić do domu.

Dom. Wiele razy wyobrażał sobie ucieczkę z Wrót Piekieł, ale nigdy tak naprawdę nie przywiązywał się do tej myśli. Jakie życie czekałoby go poza więzieniem, kiedy ciążyły na nim oskarżenia o handel niewolnikami? Nigdy nie mógłby wrócić do Fjerdy. Nawet gdyby potrafił żyć w hańbie, każdego dnia budziłby się jako uciekinier skazany przez rząd Kerchu, człowiek napiętnowany. Wiedział, że mógłby przeżyć, z trudem wiążąc koniec z końcem gdzieś w Nowoziemiu, ale jaki sens miało takie życie?

A to było coś innego. Jeśli ten demon Brekker mówił prawdę, Matthias mógłby wrócić do domu. Tęsknota za powrotem ścisnęła mu pierś. Usłyszałby, jak ludzie mówią w jego języku, znowu zobaczył przyjaciół, zjadł *semle* ze słodką migdałową masą, poczuł chłód północnego wiatru wyjącego nad lodem. Wrócił do domu bez ciężaru hańby i został powitany. Z oczyszczonym nazwiskiem mógłby wrócić do życia w roli *drüskelle*. Za cenę zdrady.

– A jeśli Bo Yul-Bayur nie żyje? – spytał Brekkera.

– Van Eck obstaje przy tym, że żyje.

Jak kupiec, o którym mówił Kaz, mógł naprawdę rozumieć fjerdańskie zwyczaje? Jeśli nawet nie doszło jeszcze do procesu Yul-Bayura, w końcu się on odbędzie, a Matthias z łatwością przewidywał wyrok. Jego ludzie nigdy nie wypuściliby człowieka, który posiadał tak potworną wiedzę.

– A jeżeli jednak nie żyje?

– Nadal otrzymasz ułaskawienie.

Nawet jeśli ich zwierzyna już obróciła się w popiół na stosie, Matthias i tak odzyska wolność. Tylko za jaką cenę? Popemniał już wcześniej błędy. Był na tyle głupi, żeby zaufać Ninie. Był słaby i będzie dźwigał ten wstyd przez resztę życia. Zapłacił jednak za swoją głupotę krwią, niedolą i smrodem we Wrotach Piekieł. A jego zbrodnie były mizerne – uczynki naiwnego chłopaka. Teraz to było coś dużo gorszego. Zdradzić sekrety Lodowego Dworu, zobaczyć ojczyznę raz jeszcze, wiedząc, że każdy krok na jej ziemi to zdrada – czy mógł coś takiego uczynić?

Brum roześmiałyby się im w twarze, porwałyby ułaskawienie na strzępy. Tyle że Kaz Brekker był sprytny. Najwyraźniej dysponował różnymi zasobami. A gdyby Matthias odmówił, a Brekker i jego zespół mimo niewielkich szans dostaliby się do Lodowego Dworu i wykradli naukowca? A jeśli Brekker miał rację i uprzedziłby ich inny kraj? Wydawało się, że *jurda parem* jest zbyt uzależniającą substancją, żeby okazała się użyteczna dla griszów, ale gdyby receptura wpadła w ręce Ravkańczyków, a oni zdołaliby ją jakoś przekształcić? Gdyby w ten sposób griszowie Ravki, Druga Armia, stali się jeszcze silniejsi? Gdyby on wziął udział w wyprawie, dopilnowałby, żeby Bo Yul-Bayur nawet raz nie odetchnął poza murami Lodowego Dworu, albo mógłby zaaranżować jakiś wypadek w drodze powrotnej do Kerchu.

Przed Niną, przed Wrotami Piekieł, nigdy nawet nie rozważyłby takiej propozycji. Teraz odkrył, że mógłby zawrzeć taką umowę ze sobą. Dołączyłby do zespołu demona, zapracował na ułaskawienie, a kiedy znowu zostałyby *drüskelle*, Nina Zenik stałaby się jego pierwszym celem. Ściagałby ją w Kerchu, w Ravce, w każdej dziurze czy zakątku świata, jaki uznałaby za bezpieczny. Dopadłby Ninę Zenik i kazał jej zapłacić na wszelkie możliwe sposoby. Śmierć byłaby za dobra. Wrzuciłby ją do najniebezpieczniejszej celi w Lodowym Dworze, gdzie nigdy więcej nie byłoby jej ciepło. Bawiłby się nią, jak ona bawiła się nim. Zaproponowałby jej ocalenie, a potem go odmówił. Okazywałby

jej sympatię i odrobinę życzliwości, a potem by jej to odebrał. Rozkoszowałby się każdą łzą, jaką by uroniła, i zastąpił ten słodki kwietny zapach na języku solą jej smutku.

Mimo to słowa smakowały gorzko w jego ustach, kiedy je wypowiedział:

– Zgadzam się.

Brekker mrugnął do Niny, a Matthias zapragnął wybić mu zęby.

Kiedy już zafunduję Ninie należną jej porcję niedoli, zajmę się tobą, pomyślał.

Łapał czarownice; czy zabicie demona to tak duża różnica?

Brązowoskóra dziewczyna złożyła dokument i wręczyła go Brekkerowi, który schował go w kieszeni na piersi. Matthias czuł się tak, jakby patrzył na starego przyjaciela, o którym myślał, że już go nigdy więcej nie ujrzy, jak znika w tłumie, a on nie może za nim zawołać.

– Rozwiążemy cię teraz – powiedział Brekker. – Mam nadzieję, że więzienie nie pozbawiło cię dobrych manier ani rozsądku.

Matthias skinął głową, a dziewczyna przyłożyła nóż do sznurów za jego plecami.

– Ninę chyba już znasz – mówił Brekker. – Urocza dziewczyna, która cię uwalnia, to Inej, nasza złodziejka sekretów, najlepsza w tym fachu. Jesper Fahey to nasz snajper, a to Wylan, najlepszy ekspert od materiałów wybuchowych w Baryłce.

– Raske jest lepszy – powiedziała Inej.

Chłopak podniósł głowę i odezwał się po raz pierwszy; rudawozłote włosy opadły mu na oczy:

– Nie jest lepszy. Jest lekkomyślny.

– Zna się na robocie.

– Tak jak ja.

– Wątpię – odezwał się Jesper.

– Wylan jest nowy w środowisku – przyznał Brekker.

– Pewnie, że jest nowy, wygląda na dwunastolatka – odrzekł Matthias.

– Mam szesnaście lat – zaoponował z urazą Wylan.

Matthias w to wątpił. Wylan miał co najwyżej piętnaście lat. Chyba nawet jeszcze nie zaczął się golić. Właściwie to jako osiemnastolatek Matthias podejrzewał, że jest najstarszy z tej grupy. Oczy Brekkera były bardzo stare, ale nie mógł być starszy od Matthiasa.

Po raz pierwszy naprawdę przyjrzał się otaczającym go ludziom. Co to za zespół do tak niebezpiecznego zadania? – pomyślał. Zdrada nie będzie problemem, jeśli wszyscy zginą. A tylko on wiedział dokładnie, jak zdradzieckie może okazać się ich zadanie.

– Powinniśmy wziąć Raskego – powiedział Jesper. – Sprawdza się w trudnych warunkach.

– Mnie też się to nie podoba – przytaknęła mu Inej.

– Nie pytałem was o zdanie – uciął Kaz. – Poza tym Wylan nie tylko dobrze radzi sobie z krzesiwem i lontem. To nasze ubezpieczenie.

– Na wypadek czego? – zapytała Nina.

– Poznajcie Wylana Van Ecka – powiedział Kaz Brekker, a policzki chłopaka pokryły się szkarłatem. – Syna Jana Van Ecka i naszą gwarancję otrzymania trzydziestu milionów *kruge*.



Jesper spojrzał na Wylana.

– No jasne, że jesteś dzieciakiem radnego. – Wybuchnął śmiechem. – To wszystko wyjaśnia.

Wiedział, że powinien być wściekły na Kaza za ukrywanie kolejnej kluczowej informacji, ale w tej chwili rozkoszował się widokiem, kiedy zrozumienie implikacji prawdziwej tożsamości Wylana Van Ecka pędziło przez pokój, jakby to był narowisty źrebak wzbijający kurz kopytami.

Wylan poczerwieniał ze wstydu. Nina była zaszokowana i poirytowana. Fjerdanin robił wrażenie zdezorientowanego. Kaza aż rozpierało samozadowolenie. A Inej, rzecz jasna, nie robiła wrażenia nawet odrobinę zaskoczonych. To ona zbierała sekrety dla Kaza i dobrze je ukrywała. Jesper próbował zignorować ukłucie zazdrości, które poczuł przy tej myśli.

Wylan otworzył usta i zaraz je zamknął. Gardło mu się zaciskało.

– Wiedziałeś? – zapytał żałośnie Kaza.

Kaz odchylił się w krześle. Jedną nogę zgiął, drugą, kaleką, miał wyprostowaną.

– A jak myślisz, dlaczego trzymałem cię pod ręką?

– Bo jestem dobry w wybuchach.

– Znośny. Za to jesteś doskonałym zakładnikiem.

To były okrutne słowa, ale to cały Kaz. A Baryłka była surowszym nauczycielem niż on.

To przynajmniej wyjaśniało, dlaczego Kaz rozpieszczał Wylan i podsuwał mu robótki.

– To nie ma znaczenia – powiedział Jesper. – Mimo to powinniśmy wziąć Raskego i zostawić to kupieckie dziecię zamknięte w Ketterdamie.

– Nie ufam Raskemu.

– A ufasz Wylanowi Van Eckowi? – zapytał z niedowierzaniem Jesper.

– Wylan nie zna dość ludzi, żeby narobić nam prawdziwych kłopotów.

– A ja nie mam tu nic do powiedzenia? – zachnął się Wylan. – Przecież ja tu siedzę.

Kaz uniósł brew.

– Okradł cię kiedyś kieszonkowiec?

– Nie... Nic mi o tym nie wiadomo.

– Napadnięto na ciebie w zaułku?

– Nie.

– Zwieszono z mostu tak, żebyś wylądował głową w kanale?

Wylan zamrugał zaskoczony.

– Nie, ale...

– Pobito cię kiedyś tak, żebyś nie mógł chodzić?

– Nie.

– A jak myślisz, dlaczego?

– E...

– Minęły trzy miesiące, odkąd opuściłeś rezydencję tatusia przy Geldstraat. Jak myślisz, dlaczego twój pobyt w Baryłce był tak miły?

– Miałem szczęście? – zasugerował bez przekonania Wylan.

Jesper parsknął śmiechem.

– Kaz to twoje szczęście, kupczyku. Kazał Szumowinom cię chronić, chociaż jesteś tak beużyteczny, że aż do tej minuty nikt

z nas nie miał pojęcia, dlaczego to robi.

– To było zdumiewające – przyznała Nina.

– Kaz zawsze ma swoje powody – mruknęła Inej.

– A dlaczego właściwie wyniosłeś się z domu ojca? – zapytał Jesper.

– Nadszedł czas – odparł powściągliwie Wylan.

– Idealista? Romantyk? Rewolucjonista?

– Idiota? – zasugerowała Nina. – Nikt nie wybiera życia w Baryłce, jeśli ma inną możliwość.

– Nie jestem bezużyteczny – bronił się Wylan.

– Raske lepiej radzi sobie z materiałami wy... – zaczęła Inej.

– Byłem w Lodowym Dworze. Z ojcem. Zaproszono nas na kolację do ambasady. Mogę pomóc w rysowaniu planów.

– Widzicie? Ukryte głębie. – Kaz popukał palcami w rękawicze we wronią główkę laski. – I nie chcę, żeby nasz jedyny środek nacisku na Van Ecka czekał bez końca w Ketterdamie, kiedy my wybierzemy się na północ. Wylan płynie z nami. Dostatecznie dobrze radzi sobie z materiałami wybuchowymi i ma zręczną rękę do rysunków, dzięki tym wszystkim drogim prywatnym nauczycielom.

Wylan mocniej się zaczerwienił, a Jesper pokręcił głową.

– I pewnie grasz też na fortepianie?

– Na flecie – odpowiedział obronnym tonem Wylan.

– Cudownie.

– A skoro Wylan widział Lodowy Dwór na własne oczy – ciągnął Kaz – pomoże ci zachować uczciwość, Helvarze.

Fjerdanin skrzywił się ze złością, a Wylan wyglądał, jakby zrobiło mu się niedobrze.

– Nie martw się – pocieszyła go Nina. – Nie zabija wzrokiem.

Jesper zauważył, jak ramiona Matthiasa napinają się za każdym razem, gdy odzywa się Nina. Nie wiedział, jaka historia ich łączy, ale najpewniej pozabijają się, zanim dotrą do Fjerdy.

Potarł oczy. Mało spał i był wyczerpany po rozgorączkowaniu towarzyszącemu ucieczce z więzienia, a teraz jego myśli krążyły pracowicie wokół szansy na trzydzieści milionów *kruge*. Nawet

kiedy Per Haskell weźmie swoje dwadzieścia procent, zostanie po cztery miliony na każdego. Co zrobi z taką kupą forsy? Jesper wyobrażał sobie, jak jego ojciec mówi: „Władujesz się w dwa razy większą kupę gnoju”. Na wszystkich świętych, naprawdę za nim tęsknił.

Kaz popukał laską w wypolerowaną drewnianą podłogę.

– Wylan, weź pióro i porządny kawałek papieru. Niech Helvar bierze się do roboty.

Wylan sięgnął do torby na ramię leżącej obok jego stóp i wyciągnął wąski zwój papieru pakowego oraz metalowe pudełko, w którym znajdował się drogi przyborek pisarski.

– Jak miło – zauważył Jesper. – Stalówka na każdą okazję.

– Opowiadaj – polecił Kaz Fjerdaninowi. – Czas zapłacić czynsz.

Matthias skierował wściekłe spojrzenie na Kaza. Bez wątpienia był dobry w piorunowaniu wzrokiem. To było niemal zabawne, gdy próbował zmierzyć się z rekinim spojrzeniem Kaza.

Wreszcie Fjerdanin zamknął oczy, wziął głęboki wdech i powiedział:

– Lodowy Dwór wznosi się na urwisku nad portem w Djerholmie. Zbudowano go w formie koncentrycznych kręgów, jak słoje w pniu drzewa. – Słowa padały powoli, jakby wypowiedzenie każdego sprawiało mu ból. – Pierwszy jest pierścień murów, potem zewnętrzny krąg podzielony na trzy sektory. Dalej znajduje się lodowa fosa, a w samym środku Biała Wyspa.

Wylan zaczął szkicować. Jesper zerknął mu przez ramię.

– To nie wygląda jak drzewo, tylko jak tort.

– Bo to jest swego rodzaju tort – bronił się Wylan. – Całość wybudowano na wzniesieniu.

Kaz dał znać, żeby Matthias mówił dalej.

– Wspinaczka klifami jest niemożliwa, więc jedyny sposób, żeby dostać się do Dworu i z niego wydostać, to północna droga. Będziecie musieli przejść przez strzeżony posterunek, zanim w ogóle dotrzecie do zewnętrznego pierścienia murów.

– Dwa posterunki – skorygował Wylan. – Byłem tam, i są dwa

posterunki.

– Proszę – powiedział Kaz do Jespera. – Poszukiwane umiejętności. Wylan cię pilnuje, Helvarze.

– Po co dwa posterunki? – zapytała Inej.

Matthias spojrzał na czarne klepki orzechowego parkietu i odparł:

– Trudniej przekupić dwa zespoły strażników. Wszystkie zabezpieczenia Dworu zwielokrotniono, żeby były niezawodne. Jeśli dotrzecie tak daleko...

– My, Helvar. Jeśli dotrzemy tak daleko – poprawił go Kaz.

Fjerdanin ledwie zauważalnie wzruszył ramionami.

– Jeśli dotrzemy tak daleko, to zewnętrzny krąg Dworu jest podzielony na trzy sektory: więzienie, koszary *drüskelle* i ambasadę. Każdy ma własną bramę w pierścieniu murów. Brama więzienna zawsze działa, ale znajduje się także pod nieustannym uzbrojonym nadzorem. Z pozostałych tylko jedna działa w danym momencie.

– Co decyduje o tym, której bramy się używa? – zapytał Jesper.

– Harmonogram zmienia się co tydzień, a strażnicy poznają swój przydział dzień wcześniej, wieczorem.

– Może to dobrze – odezwał się Jesper. – Brama, która nie działa, nie będzie obsadzona ludźmi ani strzeżona, jeśli więc zorientujemy się...

– Zawsze przynajmniej czterech strażników jest na służbie, nawet jeśli bramy się nie używa.

– Jestem pewien, że damy sobie radę z czterema strażnikami.

Matthias pokręcił głową.

– Bramy ważą tysiące funtów i można je obsługiwać tylko z wartowni. Nawet jeśli zdołacie podnieść jedną z nich, otwarcie bramy, która nie powinna być używana, uruchomi Czarny Protokół. Cały Dwór zostanie zamknięty, a wy zdradzicie swoją pozycję.

Niepokój ogarnął wszystkich w pomieszczeniu. Jesper poruszył się niepewnie. Jeśli miny pozostałych stanowiły jakąś podpowiedź, to wszyscy pomyśleli to samo: W co właściwie się

pakujemy? Tylko Kaz sprawiał wrażenie nieporuszonego.

– Wyrysujcie to wszystko – powiedziała, pukając w papier. – Helvar, oczekuję, że opiszesz później Wylanowi mechanizm systemu alarmowego.

Matthias zmarszczył brwi.

– Właściwie nie wiem, jak działa. To jakiś ciąg drutów i dzwonów.

– Powiedz mu wszystko, co wiesz. Gdzie będą trzymać Bo Yul-Bayura?

Matthias powoli wstał i podszedł do planów nabierających kształtu pod piórem Wylana. Jego ruchy były niechętne i tak ostrożne, jakby Kaz kazał mu pogłaskać grzechotnika.

– Prawdopodobnie tutaj – powiedział Fjerdanin, kładąc palec na papierze. – W części więziennej. Najpilniej strzeżone cele znajdują się na najwyższym piętrze. Tam właśnie trzymają najbardziej niebezpiecznych przestępców. Zabójców, terrorystów...

– Griszów? – zapytała Nina.

– Właśnie – przytaknął ponuro.

– Wasza dwójka już dopilnuje, żebyśmy się dobrze bawili, co? – zapytał Jesper. – Zwykle ludzie zaczynają się nienawidzić po tygodniu wspólnej roboty, ale wy macie wyraźną przewagę.

Obydwoje spiorunowali go wzrokiem, a Jesper się rozpromienił. Kaz jednak całkowicie skupił się na planach.

– Bo Yul-Bayur nie jest niebezpieczny – powiedział z namysłem. – W każdym razie nie w taki sposób. Wątpię, żeby go trzymali razem z hałastrą.

– Myślę, że ulokują go w grobie – odparł Matthias.

– Działaj na podstawie założenia, że Yul-Bayur żyje. To cenny więzień i nie chcieliby, żeby wpadł w niewłaściwe ręce przed procesem. Gdzie by go ulokowali?

Matthias spojrzął na plan.

– Budynki zewnętrznego kręgu otaczają lodową fosę, a pośrodku znajduje się Biała Wyspa, gdzie wznosi się skarbiec i Pałac Królewski. To najlepiej zabezpieczone miejsce

w Lodowym Dworze.

– W takim razie właśnie tam będzie się znajdował Bo Yul-Bayur – orzekł Kaz.

Matthias się uśmiechnął. Właściwie nie tyle uśmiechnął, ile odsłonił zęby. Nauczył się tego grymasu we Wrotach Piekieł, pomyślał Jesper.

– W takim razie twoja misja jest bezsensowna – powiedział Matthias. – Nie ma sposobu, żeby grupa cudzoziemców dostała się na Białą Wyspę.

– Nie miej takiej zadowolonej miny. Jeśli nie dostaniemy się do środka, ty nie dostaniesz ułaskawienia.

Matthias wzruszył ramionami.

– Nie mogę zmienić faktów. Lodowa fosa jest obserwowana z licznych wieżyczek strażniczych na Białej Wyspie i przez obserwatora na szczycie wieży zegarowej. Można ją przekroczyć tylko w jeden sposób: szklanym mostem, a nie wejdziesz na szklany most bez zezwolenia.

– Zbliża się Hringkälla – odezwała się Nina.

– Zamilcz – warknął na nią Matthias.

– Przeciwnie, mów, proszę – zachęcił ją Kaz.

– Hringkälla. To Dzień Słuchania, kiedy nowi *drüskelle* przechodzą inicjację na Białej Wyspie.

Knykcie Matthiasa pobieleły.

– Nie masz prawa mówić o czymś takim. To świętość.

– To fakty. Fjerdańscy władcy urządzają ogromne przyjęcie dla gości z całego świata i mnóstwo artystów przybywa z Ketterdamu.

– Artystów? – spytał Kaz.

– Aktorzy, tancerki, trupy teatralne Dzikiej Komedii, największe talenty z domów rozkoszy przy Zachodniej Klepce.

– Myślałem, że Fjerdan nie pociągają tego typu sprawy – powiedział Jesper.

Inej wykrzywiła usta.

– Nigdy nie widziałeś fjerdańskich żołnierzy nad Klepkami?

– Znaczy, kiedy są w domu – poprawił się Jesper.

– To jedyny dzień w roku, kiedy wszyscy przestają zachowywać się jak ponuracy i pozwalają sobie na dobrą zabawę – wyjaśniła Nina. – Poza tym tylko *drüskelle* żyją jak mnisi.

– Dobra zabawa nie musi oznaczać wina i... ciała – wyrzucił z siebie Matthias.

Nina zatrzepotała rzęsami, patrząc na niego.

– Nie poznałbyś dobrej zabawy, nawet gdyby podeszła do ciebie i wsadziła ci lizaka do ust. – Spojrzała z powrotem na plany. – Brama ambasady musi być otwarta. Może nie powinniśmy martwić się włamaniem do Lodowego Dworu. Może po prostu wejdziemy z artystami.

– To nie są Wrota Piekieł – zauważył Kaz. – To nie będzie takie łatwe.

– Goście są weryfikowani na wiele tygodni przed przybyciem do Lodowego Dworu – powiedział Matthias. – Dokumenty każdego, kto wchodzi do ambasady, będą dokładnie sprawdzane. Więcej niż raz. Fjerdanie nie są głupcami.

Nina uniosła brew.

– W każdym razie nie wszyscy.

– Nie drażnij niedźwiedzia – przestrzegł ją Kaz. – Potrzebujemy, żeby był przyjazny. Kiedy odbywa się to przyjęcie?

– W równonoc wiosenną – powiedziała Nina.

– Za dwa tygodnie od dzisiaj – zauważyła Inej.

Kaz przekrzywił głowę i zapatrzył się w dal.

– Mina kombinatora – szepnął do Inej Jesper.

Pokiwała głową.

– Bez dwóch zdań.

– Czy Biała Róża wysyła delegację? – zapytał Kaz.

Nina pokręciła głową.

– Nic o tym nie słyszałam.

– Nawet jeśli udamy się prosto do Djerholmu – powiedziała Inej – będziemy potrzebować prawie tygodnia na podróż. Nie mamy czasu, żeby załatwić dokumenty albo stworzyć przykrywkę, która wytrzyma dokładną kontrolę.

– Nie wejdziemy przez ambasadę – rzekł Kaz. – Zawsze uderzamy tam, gdzie jelenie nie patrzy.

– Czekać, jaki jelenie? – zdumiał się Wylan.

Jesper ryknął śmiechem.

– O, święci, ale z ciebie numer. Jelenie, klient, frajer, głupek, którego zamierzasz oskubać.

Wylan się wyprostował.

– Może i nie mam... twojego wykształcenia, ale na pewno znam mnóstwo słów, których ty nie znasz.

– A także należyty sposób składania serwetki i kroki menueta. Ach, i potrafisz grać na flecie. Poszukiwane umiejętności, kupczyku. Naprawdę poszukiwane.

– Już nikt nie tańczy menueta – burknął Wylan.

Kaz odchylił się w krzesło.

– W jaki sposób najłatwiej ukraść człowiekowi portfel?

– Przyłożyć mu nóż do gardła? – zapytała Inej.

– Pistolet do głowy? – powiedział Jesper.

– Wrzucić mu truciznę do kubka? – zaproponowała Nina.

– Wszyscy jesteście okropni – obruszył się Matthias.

Kaz przewrócił oczami.

– Najłatwiej ukraść człowiekowi portfel, mówiąc mu, że zamierzacie ukraść mu zegarek. Należy skierować jego uwagę tam, gdzie wy chcecie, żeby się skierowała. Hringkälla załatwi to za nas. Lodowy Dwór będzie musiał podzielić swoje zasoby, żeby monitorować gości i chronić rodzinę królewską. Nie mogą patrzeć we wszystkie strony naraz. To doskonała okazja, żeby wykraść Bo Yul-Bayura. – Kaz wskazał bramę więzienną w pierścieniu murów. – Pamiętasz, co ci powiedziałem we Wrotach Piekieł, Nino?

– Trudno spamiętać wszystkie twoje mądrości.

– W więzieniu nikogo nie obchodzi, kto wchodzi, tylko kto próbuje się wydostać. – Jego palec w rękawiczce przesunął się na sąsiedni sektor. – A w ambasadzie nie będzie ich obchodzić, kto wychodzi, bo skupią się na wchodzących. Wejdziemy przez więzienie, a wyjdziemy przez ambasadę. Helvar, czy Stary Zegar

nadal działa?

Matthias skinął głową.

– Dzwoni co kwadrans. A także sygnalizuje poszczególne protokoły alarmowe.

– Jest punktualny?

– Oczywiście.

– Jakość fjerdańskiej myśli inżynierskiej – mruknęła kwaśno Nina.

Kaz udał, że jej nie słyszy.

– W takim razie posłużymy się Starym Zegarem, żeby koordynować nasze ruchy.

– Wejdziemy przebrani za strażników? – zapytał Wylan.

Jesper nie był w stanie ukryć pogardy w głosie:

– Tylko Nina i Matthias mówią po fjerdańsku.

– Ja też mówię po fjerdańsku – zaprotestował Wylan.

– To szkolny fjerdański, zgadza się? Założę się, że mówisz po fjerdańsku równie dobrze, jak ja po łosiowemu.

– Łosiowy to pewnie twój ojczysty język – wymamrotał Wylan.

– Wejdziemy jako my – powiedział Kaz. – Jako kryminaliści. Więzienie to nasze frontowe drzwi.

– Pozwól, że coś wyjaśnię – odezwał się Jesper. – Chcesz, żeby Fjerdanie zamknęli nas w więzieniu. Czy nie tego zawsze staraliśmy się uniknąć?

– Tożsamość przestępców to śliska sprawa. To jedna z zalet przynależności do klasy awanturników. Będą liczyć głowy przy bramie więziennej, patrzeć na nazwiska i przestępstwa, a nie sprawdzać paszporty i badać pieczęcie ambasady.

– Bo nikt się nie pcha do więzienia – powiedział Jesper.

Nina roztarła ramiona.

– Nie chcę wylądować w fjerdańskiej celi.

Kaz strzepnął rękawem i między jego palcami pojawiły się dwa smukłe metalowe pręty. Zatańczyły na kostkach i zaraz zniknęły.

– Wytrychy? – zapytała Nina.

- Pozwól, że ja się zajmę celami – powiedział Kaz.
- Uderzaj, gdzie jeleń nie patrzy – rzuciła w zadumie Inej.
- Właśnie. A Lodowy Dwór to cel jak każdy inny, wielki tłusty jeleń, który tylko czeka, żeby go oskubać.
- Czy Yul-Bayur pójdzie z nami z własnej woli? – zapytała Inej.
- Van Eck powiedział, że Rada przekazała mu hasło, kiedy pierwszy raz próbowali go wyciągnąć z Shu Hanu, więc będzie wiedział, komu ufać: *Sesh-uyeh*. Po tym zorientuje się, że przysłał nas Kerch.

– *Sesh-uyeh* – powtórzył Wylan, niezgrabnie przymierzając się do sylab. – Co to znaczy?

Nina wbiła wzrok w podłogę i odpowiedziała:

- Melancholia.
- To się da zrobić – powiedział Kaz – a my jesteśmy tymi, którzy tego dokonają.

Jesper wyczuł, jak zmienia się nastrój w pokoju, kiedy ta możliwość zaczęła przemawiać zebranym do wyobraźni. To była subtelna zmiana, ale nauczył się wypatrywać jej przy karcianych stolikach – ta chwila, kiedy gracz zdaje sobie sprawę, że może ma karty, z którymi wygra. Pochwycił go nastrój wyczekiwania, musująca mieszanka strachu i podniecenia, przez którą trudno mu było usiedzieć w miejscu.

Może Matthias też to wyczuł, bo skrzyżował potężne ramiona na piersi i powiedział:

- Nie macie pojęcia, na co się porywacie.
- Za to ty masz. Masz nieustannie pracować nad planem Lodowego Dworu, do chwili kiedy pożeglujemy. Żaden szczegół nie jest zbyt mały albo nieznaczący. Będę regularnie do ciebie zaglądał.

Inej przesunęła palcem po wstępnym szkicu Wylana, serii koncentrycznych kręgów.

- To rzeczywiście wygląda jak słoje w pniu drzewa.
- Nie – powiedział Kaz – to wygląda jak tarcza strzelnicza.



– Skończyliśmy robotę tutaj – oznajmił pozostałym Kaz. – Przyślę wiadomość każdemu z was, gdy już znajdę statek, ale bądźcie gotowi pozełgować przed jutrzejszym wieczorem.

– Tak szybko? – zapytała Inej.

– Nie wiemy, na jaką pogodę natrafimy, a czeka nas długa podróż. Hringkälla to nasza największa szansa na dorwanie Bo Yul-Bayura. Nie zamierzam ryzykować, że na nią nie zdążymy.

Potrzebował czasu, żeby przemyśleć plan, który formował się w jego umyśle. Rozwiązał już podstawowe kwestie: którądy wejdą, jak wyjdą. Jednakże plan, który tworzył, oznaczał, że nie będą mogli zbyt wiele wnieść ze sobą. Będą operowali bez swojego zwykłego sprzętu. To oznaczało kolejne zmienne i znacznie większe ryzyko, że coś pójdzie nie tak.

Trzymanie przy sobie Wylana Van Ecka znaczyło przynajmniej, że miał szansę dopilnować, że dostaną nagrodę, ale zadanie nie będzie proste. Jeszcze nie opuścili Ketterdamu, a Wylan już sprawiał wrażenie, że traci grunt pod nogami. Nie był dużo młodszy od Kaza, lecz z jakiegoś powodu wyglądał jak dziecko – miał gładką cerę i wielkie oczy, jak szczeniak o jedwabistych uszach w pokoju pełnym walczących psów.

– Pilnuj, żeby Wylan nie wpakował się w żadne kłopoty – przykazał Kaz Jesperowi, kiedy odprawiał wszystkich.

– Dlaczego ja?

– Bo masz tego pecha, że znalazłeś się na linii mojego wzroku, a ja nie chcę nagłego pojednania ojca i syna przed naszym rejssem.

– Nie musisz się o to martwić – powiedział Wylan.

– Martwię się wszystkim, kupczyku. To dlatego nadal żyję. A ty możesz mieć na oku Jespera.

– Mnie?! – oburzył się Jesper.

Kaz odsunął na bok panel z czarnego drewna i otworzył znajdujący się za nim sejf.

– Tak, ciebie. – Odliczył cztery szczuplutkie stosiki *kruge* i wręczył jeden Jesperowi. – To pieniądze na kule, nie na zakłady. Wylan, dopilnuj, żeby jego nogi w jakiś tajemniczy sposób nie poniosły go do domu gry po drodze na zakup amunicji, jasne?

– Nie potrzebuję niańki – warknął Jesper.

– To raczej przyzwoitka, ale jeśli chcesz, żeby prał ci pieluszki i opatulał do snu, to twoja sprawa.

Kaz udał, że nie widzi urażonego spojrzenia Jespera, i wydzielił pieniądze Wylanowi na materiały wybuchowe oraz Ninie na rzeczy potrzebne do jej przybornika formatorki.

– Zaopatrzcie się tylko na podróż – dodał. – Jeśli uda nam się to załatwić zgodnie z moim planem, to będziemy musieli wejść do Lodowego Dworu z pustymi rękami.

Zauważył, że cień przemknął przez twarz Inej. Nie lubiła pracować bez swoich noży, tak jak on nie lubił obywać się bez laski.

– Załatw nam sprzęt zimowy – powiedział do niej. – Na Wijnstraat jest sklep, który zaopatruje traperów. Zaczynij tam.

– Zamierzasz podejść od północy? – zapytał Helvar.

Kaz pokiwał głową.

– W porcie w Djerholmie roi się od celników, a założę się, że zaostrożą kontrole na czas waszej wielkiej zabawy.

– To nie jest zabawa.

– A brzmi jak zabawa – powiedział Jesper.
– To nie powinna być zabawa – poprawił się ponuro Helvar.
– Co z nim zrobimy? – zapytała Nina, kiwając głową w stronę Matthiasa.

Powiedziała to obojętnie, ale nikt poza Helvarem nie dał się zwieść. Wszyscy widzieli jej łzy we Wrotach Piekieł.

– Chwilowo zostanie tutaj, w Klubie Wron. Chcę, żebyś poszukał w pamięci szczegółów, Helvar. Później dołączą do ciebie Wylan i Jesper. Będziemy trzymać ten salon zamknięty. Jeśli któryś z graczy w głównej sali zapyta, to toczy się tutaj prywatna gra.

– Musimy tu spać? – zapytał Jesper. – Muszę zająć się pewnymi sprawami w Listewce.

– Dasz sobie radę – odparł Kaz, chociaż wiedział, że prośba, by Jesper spędził noc w kasynie, w którym nie będzie grał, była szczególnie okrutna. Zwrócił się do pozostałych: – Nikomu ani słowa. Nikomu nie wolno wiedzieć, że opuszczacie Kerch. Pracujecie ze mną przy zadaniu w jednym z domów na prowincji. To wszystko.

– Powiesz nam coś więcej na temat swojego cudownego planu? – zapytała Nina.

– Na statku. Im mniej wiecie, tym mniej będziecie mówić.

– Nie skujesz Helvara?

– Będziesz zachowywał się przyzwoicie? – zapytał Fjerdanina Kaz.

Matthias mógłby go zabić wzrokiem, ale skinął głową.

– Zamkniemy ten pokój na cztery spusty i postawimy strażnika.

Inej przyjrzała się ogromnemu Fjerdaninowi.

– Może dwóch.

– Postaw Diriksa i Rotty'ego, ale nie mów im za wiele. Popłyną z nami i później ich wprowadzę w temat. Wylan, pogawędzimy chwilę. Chcę wiedzieć wszystko na temat kompanii handlowej twojego ojca.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nic nie wiem na ten temat. Nie włączał mnie do tych rozmów.

– Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie myszkowałeś po jego biurze? Nigdy nie zaglądałeś do dokumentów?

– Nie – odpowiedział Wylan, unosząc podbródek.

Kaz był zdziwiony, gdy zorientował się, że wierzy chłopakowi.

– A nie mówiłem? – odezwał się wesoło Jesper, idąc do drzwi. – Bezużyteczny.

Pozostali ruszyli za nim, a Kaz zamknął sejf, obracając pokrętko.

– Chciałbym zamienić z tobą słówko, Brekker – odezwał się Helvar. – Na osobności.

Inej rzuciła Kazowi ostrzegawcze spojrzenie, które Kaz zignorował. Uważała, że nie dałby sobie rady z taką prostacką górą mięśni jak Matthias Helvar? Przesunął panel i potrząsnął nogą. Znowu bolała – za wiele zarwanych nocy i za długo ją obciążał.

– No już, Zjawo – powiedział – zamknij za sobą drzwi.

Kiedy tylko drzwi się zamknęły, Matthias rzucił się na niego, a Kaz na to pozwolił. Spodziewał się tego.

Matthias zacisnął brudną rękę na ustach Kaza. Dotyk cudzej skóry wzbudził w Kazie gwałtowną odrazę, ale ponieważ spodziewał się ataku, zdołał zapanować nad mdłościami, które go ogarnęły. Drugą ręką Matthias pogrzebał w kieszeniach płaszcza Kaza, najpierw w jednej, potem w drugiej.

– *Fer esje?* – warknął ze złością po fjerdańsku. – Gdzie to jest? – dodał po kercheńsku.

Kaz dał Helvarowi jeszcze chwilę na gorączkowe poszukiwania, a potem opuścił łokieć i dźgnął nim w górę, zmuszając Helvara do poluzowania chwytu. Kaz z łatwością się wyslizgnął. Od tyłu uderzył Helvara laską w prawą nogę. Wielki Fjerdanin padł. Kiedy spróbował się podnieść, Kaz go kopnął.

– Leż, ty żalosna gnido.

Helvar znowu spróbował wstać. Był szybki, a więzienie uczyniło go silnym. Kaz przyłożył mu mocno w szczękę, a potem

czubkiem laski błyskawicznie uderzył w dwa punkty uciskowe na szerokich barkach Helvara. Fjerdanin jęknął, kiedy nagle jego ręce stały się bezwładne i bezużyteczne.

Kaz obrócił laskę w rękę i przycisnął wyrzeźbioną wronią głowę do gardła Helvara.

– Rusz się jeszcze raz, a rozbiję ci szczękę tak mocno, że przez resztę życia będziesz przyjmował posiłki w płynie.

Fjerdanin znieruchomiał. Jego niebieskie oczy płonęły nienawiścią.

– Gdzie ułaskawienie? – warknął. – Widziałem, jak chowałeś je do kieszeni.

Kaz przykucnął obok niego i wyjął złożony dokument z kieszeni, która jeszcze chwilę temu wydawała się pusta.

– O to pytasz?

Fjerdaninowi opadły bezwładnie ręce, a potem warknął basowo jak zwierzę, gdy Kaz sprawił, że ułaskawienie zniknęło, jakby się rozpułyło w powietrzu. Zaraz znowu pojawiło się między jego palcami. Obrócił je raz, błyskając tekstem, a potem przesunął dłonią i pokazał Helvarowi stronę, która wyglądała na pustą.

– *Demjin* – mruknął Helvar.

Kaz nie mówił po fjerdańsku, ale to słowo znał. Demon.

Daleko mu było do tego. Nauczył się takich sztuczek od szulerów i innych hazardowych karciarzy przy Wschodniej Klepce i całymi godzinami ćwiczył przed mętnym lustrem, które kupił sobie za pierwszą tygodniową wypłatę.

Stuknął delikatnie Helvara w szczękę.

– Zawsze gdy widzisz jedną moją sztuczkę, pamiętaj, że znam tysiąc innych. Myślisz, że po roku we Wrotach Piekieł stałeś się twardzielem? Że to cię nauczyło walczyć? Wrota Piekieł byłyby dla mnie rajem w dzieciństwie. Poruszasz się jak wół, przetrwałbyś jakieś dwa dni na ulicach, na których dorastałem. To była twoja jedna wpadka, do której dałem ci prawo, Helvar. Nie poddawaj mnie więcej próbie. Pokiwaj głową, żebym wiedział, że zrozumiałeś.

Helvar zacisnął usta i raz skinął głową.

– Dobrze. Myślę, że skujemy ci nogi na noc.

Kaz podniósł się, wziął nowy kapelusz z biurka i na dokładkę kopnął Fjerdanina raz jeszcze w nerki. Czasem ci duzi nie wiedzieli, kiedy nie należy się podnosić.



Następnego dnia Inej zauważyła, że Kaz zaczął przesuwać fragmenty układanki na ich właściwe pozycje. Była wtajemniczona we wszystkie jego rozmowy z członkami zespołu, ale wiedziała, że widzi tylko fragmenty planu. To była gra, w którą Kaz zawsze grał.

Jeśli miał jakieś wątpliwości odnośnie do ich zadania, to tego nie okazywał, ale Inej żałowała, że nie podziela jego wiary. Lodowy Dwór zbudowano tak, żeby przetrwał szturm wojska, zabójców, griszów i szpiegów. Kiedy powiedziała to Kazowi, odparł po prostu:

– Ale nie, żeby powstrzymać nas.

Jego pewność siebie wyprowadzała ją z równowagi.

– Dlaczego myślisz, że damy radę? Będą tam inne zespoły, wyszkoleni żołnierze i szpiegzy, ludzie mający wieloletnie doświadczenie.

– To nie jest zadanie dla wyszkolonych żołnierzy i szpiegów. To zadanie dla złodziei i łotrów. Van Eck to wie i dlatego nas wynajął.

– Nie można wydać pieniędzy po śmierci.

– Nabiorę kosztownych nawyków w zaświatach.

- Istnieje różnica między pewnością siebie a arogancją. Odwrócił się wtedy do niej plecami i szarpnął rękawiczki.
- Kiedy będę potrzebował kazania na ten temat, wiem, do kogo się zwrócić. Jeśli chcesz się wycofać, po prostu powiedz. Wyprostowała się, wykorzystując dumę jak tarczę.
- Matthias nie jest jedynym niezastąpionym członkiem zespołu. Potrzebujesz mnie.
- Potrzebuję twoich umiejętności, a to nie to samo, Inej. Może i jesteś najlepszym pajakiem wspinającym się po Baryłce, ale nie jedynym. Lepiej o tym pamiętaj, jeśli chcesz dostać swoją część nagrody.

Nie odpowiedziała, nie chciała zdradzić, jak bardzo ją rozgniewał, wyszła tylko z biura i więcej nie odezwała się do niego.

Teraz szła w stronę portu i zastanawiała się, dlaczego została na tej ścieżce.

Mogła opuścić Kerch w dowolnej chwili. Mogła się ukryć jako pasażer na gapę na statku płynącym do Nowoziemia. Mogła wrócić do Ravki i poszukać rodziny. Miała nadzieję, że jej krewni przebywali bezpiecznie na zachodzie, gdy wybuchła wojna domowa, albo może schronili się w Shu Hanie. Sulijskie karawany od lat przemierzały te same wydeptane drogi, a ona potrafiła ukraść wszystko, czego potrzebowała, żeby przetrwać do chwili odnalezienia bliskich.

To by oznaczało odejście od Szumowin bez spłacenia długu. Per Haskell obwiniłby Kaza. Brekker musiałby ponieść koszty jej kontraktu i byłby narażony na atak bez swojej Zjawy, która gromadziła dla niego różne sekrety. Tyle że powiedział jej przecież, że łatwo ją zastąpić, prawda? Jeśli zdołają wykonać robotę i wrócą bezpiecznie do Kerchu z Bo Yul-Bayurem, jej część łupu z górką wystarczy na wykupienie kontraktu od Szumowin. Nie będzie nic winna Kazowi i nie będzie miała powodu, żeby tu zostać.

Do wschodu słońca brakowało tylko godziny, ale na ulicach panował już tłok, kiedy szła od Wschodniej Klepki nad

Zachodnią. Istniało takie sulijskie powiedzenie: „Serce to strzała. Pragnie trafić w cel”. Ojciec lubił to mówić, kiedy ćwiczyła na linie albo trapezie. „Bądź zdecydowana”, mawiał. „Musisz wiedzieć, dokąd zmierzasz, zanim tam dotrzesz”. Jej matka śmiała się wtedy. „Nie o to chodzi w tym powiedzeniu”, mówiła. „Wszystko pozbawiasz romantyzmu”. To jednak nie była prawda. Ojciec uwielbiał matkę. Inej pamiętała, jak wszędzie zostawiał bukietki bodziszka dla matki – w kredensach, w obozowych garnkach, w rękawach jej kostiumów.

– Zdradzić ci sekret prawdziwej miłości? – zapytał ją raz ojciec. – Pewien mój przyjaciel lubił mi mówić, że kobiety kochają kwiaty. Często flirtował, ale nigdy nie znalazł żony. Wiesz, dlaczego? Bo kobiety może i kochają kwiaty, ale tylko jedna kobieta uwielbia zapach gardenii późnym latem, bo przypominają jej ganek jej babci. Tylko jedna kobieta uwielbia kwiat jabłoni w niebieskim kubeczku. Tylko jednak kobieta uwielbia bodziszki.

– Mama! – wykrzyknęła wtedy Inej.

– Tak, mama uwielbia bodziszka, bo żaden inny kwiat nie ma takiego koloru, i przysięga, że kiedy złamie łądyżkę i włoży ją za ucho, to cały świat pachnie latem. Wielu chłopców będzie przynosić ci kwiaty, ale pewnego dnia spotkasz tego, który pozna twój ulubiony kwiat, twoją ulubioną piosenkę, twoje ulubione słodycze. Nawet jeśli będzie za biedny, żeby dać ci któreś z nich, to nie będzie miało znaczenia, bo poświęci czas, żeby poznać cię jak nikt inny. Tylko ten chłopiec zasłuży na twoje serce.

Miała wrażenie, że to wydarzyło się sto lat temu. Ojciec się mylił. Nie było chłopców, którzy przynosili jej kwiaty, tylko mężczyźni z plikami *kruge* i sakiewkami wypchanymi monetami. Czy jeszcze kiedyś zobaczy ojca? Usłyszy śpiew matki, posłucha niemądrych historyjek wuja?

Nie wiem, czy jeszcze mam serce, które mogłabym oddać, tato.

Kłopot w tym, że nie wiedziała już, jaki jest jej cel. Kiedy była

mała, to było łatwe – uśmiech ojca, lina podniesiona o kolejną stopę, ciasteczka pomarańczowe zawinięte w biały papier. Potem uwolnienie się od Tante Heleen i Menażerii, a później przetrwanie każdego kolejnego dnia, stawanie się silniejszą z każdym rankiem. Teraz już nie wiedziała, czego chce.

W tej chwili wystarczyłyby mi przeprosiny, uznała. I nie wsiądę na statek, dopóki ich nie usłyszę. Nawet jeśli Kazowi nie jest przykro, może udawać. Niech raz odegra istotę ludzką najlepiej jak potrafi. Chociaż tyle jest mi winien.

Gdyby nie brak czasu, obeszłaby Zachodnią Klepkę albo po prostu pokonała trasę dachami – taki Ketterdam kochała, pusty i cichy, wysoko ponad tłumami, oświetlone księżycem górskie pasmo mansard i koślawych kominów. Jednak tego wieczoru miała mało czasu. Kaz w ostatniej chwili wysłał ją do sklepów po dwie grudki parafiny. Nie powiedział jej nawet, po co mu one i dlaczego są niezbędne. I gogle śnieżne? Musiała zajrzeć do trzech różnych sklepów, żeby je kupić. Była tak zmęczona, że nie miała pewności, czy poradzi sobie na stromych dachach, nie po dwóch nocach bez snu i całym dniu targowania się przy gromadzeniu zapasów na ich wyprawę do Lodowego Dworu.

Ponadto podejrzewała, że poniekąd rzuciła sobie wyzwanie.

Nigdy nie chodziła sama po okolicach Zachodniej Klepki. Mając Szumowiny u boku, mogła przejść obok Menażerii, nie zerkając nawet w stronę złotych krat w oknach. Jednakże tego wieczoru serce jej waliło jak młotem i słyszała ryk krwi w uszach, kiedy ujrzała przed sobą złoconą fasadę. Menażerię wybudowano tak, żeby przypominała wielopoziomą klatkę – pierwsze dwie kondygnacje były otwarte, jeśli nie liczyć szeroko rozstawionych złotych prętów. Znana była także jako Egzotyczny Dom. Jeśli ktoś miał smaczek na dziewczynę z Shu Hanu albo fjerdańską olbrzymkę, rudowłosą dziewczkę z Wyspy Tułaczey lub ciemnoskórą Nowoziemkę, to jego celem była Menażeria. Każda dziewczyna występowała tam pod zwierzęcym imieniem: pantera, klacz, lisica, kruk, gronostaj, łania, żmija. Sulijscy wróżbici nosili maski szakali, kiedy

zajmowali się swoim fachem i spoglądali w przyszłość klientów. Tylko jaki mężczyzna poszedłby do łóżka z szakalem? Dlatego Sulijka – a w Menażerii zawsze była jakaś Sulijka – była znana jako kotka. Klienci nie szukali konkretnych dziewczyn, a jedynie brunatnej sulijskiej skóry, ognistych włosów Kaelki, skośnych złocistych oczu Shu. Zwierzęce imiona nie zmieniały się, a dziewczyny przychodziły i odchodziły.

Inej dostrzegła pawie pióra w salonie i serce jej zamarło. To była tylko dekoracja, część wystawnej kompozycji z kwiatów, ale panika w jej duszy na to nie zważała: narastała i pozbawiała ją oddechu. Wokół tłoczyli się ludzie, mężczyźni w maskach, kobiety w woalkach – a może to byli mężczyźni w woalkach i kobiety w maskach? Nie sposób orzec. Rogi Diabliska. Wybałuszone oczy Szaleńca, smutna twarz Królowej Skarabeuszy oddana w czerni i złocie. Artyści uwielbiali malować scenki znad Zachodniej Klepki, chłopców i dziewczęta pracujących w burdelach, przebranych za postaci z Dzikiej Komedii klientów szukających przyjemności. Tu jednak nie było żadnego piękna, żadnej prawdziwej wesołości czy radości, tylko transakcje, ludzie szukający ucieczki albo barwnego zapomnienia, snu o dekadencji, z którego mogli obudzić się w dowolnej chwili.

Inej zmusiła się do spojrzenia na mijaną Menażerię.

To tylko miejsce, powiedziała sobie. Jeszcze jeden budynek. W jaki sposób Kaz patrzył na ten dom? Sprawdzał, gdzie znajdują się wejścia i wyjścia? Jak działają zamki? W których oknach nie ma krat? Ilu strażników stoi na służbie? Którzy wyglądają na czujnych? To tylko dom pełen zamków do otworzenia wytrychem, sejfów do okradzenia, frajerów do oskubania. Teraz to ona była drapieźnikiem, a nie Heleen w jej pawich piórach, nie mężczyźni na ulicach.

Kiedy tylko Menażeria zniknęła jej z oczu, napięcie w piersi i gardle zaczęło słabnąć. Udało jej się. Przeszła samotnie nad Zachodnią Klepką, dokładnie przed Egzotycznym Domem. Cokolwiek czekało na nią w Fjerdzie, mogła stawić temu czoło.

Czyjaś dłoń złapała ją za przedramię i szarpnęła, prawie ją przewracając.

Inej szybko odzyskała równowagę. Błyskawicznie obróciła się na pięcie i chciała się wyrwać, ale ręka mocno ją trzymała.

– Witaj, koteczko.

Inej z sykiem wciągnęła powietrze i wyrwała rękę. Tante Heleen. Dziewczęta wiedziały, że tak mają nazywać Heleen Van Houden, bo inaczej mogły dostać w twarz. Dla reszty Baryłki była Pawiem, chociaż Inej zawsze uważała, że mniej przypomina ptaka, a bardziej wymuskaną kotkę. Włosy miała gęste i ponętnie złote, oczy piwne i nieco kocie. Jej wysoka i kształtna postać była obleczona w jaskrawoniebieskie jedwabie, opalizujące pióra podkreślały głęboki dekolt i muskały charakterystyczny brylantowy kanak lśniący na jej szyi.

Inej odwróciła się do ucieczki, ale drogę zastąpił jej potężny osiłek. Płaszcz z niebieskiego aksamitu opinał mu szerokie ramiona. Cobbet, ulubiony mięśniak Heleen.

– O nie, koteczko.

Oczy Inej zaszyły mgłą. W pułapce. W pułapce. Znowu była w pułapce.

– Nie tak się nazywam – zdołała wykrztusić.

– Uparte stworzenie.

Heleen złapała Inej za tunikę.

„Rusz się!”, krzyczał jej umysł, ale nie mogła się poruszyć. Mięśnie były jak porażone. Przenikliwe wycie grozy wypełniło jej umysł.

Heleen przesunęła pomalowanym paznokciem po jej policzku.

– Kotka to twoje jedyne imię – zagruchała. – Nadal jesteś dostatecznie ładna, żeby dostać za siebie dobrą cenę. Ale twoje spojrzenie staje się zbyt nieprzejednane, za dużo czasu spędzasz z tym łobuziakiem Brekkerem.

Upokarzający odgłos dobył się z gardła Inej, zdławiony świst.

– Wiem, czym jesteś, koteczko. Wiem, ile jesteś warta, co do grosza. Cobbet, może powinniśmy od razu zabrać ją do domu.

Inej zrobiło się ciemno przed oczami.

– Nie ośmieliłabyś się. Szumowiny...

– Mogę poczekać na właściwą chwilę, koteczko. Znowu będziesz nosić moje jedwabie, już ja ci to obiecuję. – Heleen puściła Inej. – Miłego wieczoru – powiedziała z uśmiechem, a potem z trzaskiem rozłożyła niebieski wachlarz i obróciła się, żeby zniknąć w tłumie. Cobbet odszedł w ślad za nią.

Inej stała jak zmrożona. Potem dała nura w tłum, żeby jak najszybciej zniknąć. Chciała uciec biegiem, ale szła spokojnym krokiem, przepychając się w stronę portu. Idąc, uruchomiła spusty w pochwach na przedramionach i rękojeści sztyletów wsunęły jej się do rąk. Sankt Petyr, znany ze swojej odwagi, w prawej ręce; smukłe ostrze o kościanej rękojeści, które nazwała Sankta Alina – w lewej. Wyrecytowała imiona pozostałych noży. Sankta Marya i Sankta Anastasia przypięte do ud. Sankt Vladimir schowany w bucie, przypięta do pasa Sankta Lizabeta o ostrzu, na którym wytrawiono róże. Chronście mnie, chronście mnie. Musiała wierzyć, że jej święci widzieli i rozumieli rzeczy, które zrobiła, żeby przetrwać.

Co z nią było nie tak? Była Zjawą. Nie musiała się już niczego bać ze strony Tante Heleen. Per Haskell wykupił jej kontrakt. Uwolnił ją. Nie była niewolnicą; była cennym członkiem Szumowin, złodziejem sekretów, najlepszym w Baryłce.

Pośpiesznie zostawiła za sobą światła i muzykę Pokrywki i wreszcie ujrzała porty Ketterdamu; widoki i dźwięki Baryłki znikwały, w miarę jak zbliżała się do wody. Tutaj nie potraçał jej tłum, nie atakowały przesłodzone perfumy ani dzikie maski. Wzięła długi, głęboki wdech. Ze swojego miejsca widziała szczyt jednej z wież obsadzonych przez akwatyków, gdzie zawsze płonęły światła. Gruby obelisk z czarnego kamienia był dzień i noc obsługiwany przez wyselekcjonowaną grupę griszów, którzy utrzymywali permanentny stan przyływu, żeby wody zalewały przesmyk, który w przeciwnym wypadku łączyłby ziemie Kerchu i Shu Hanu. Nawet Kaz nigdy nie zdołał poznać tożsamości członków Rady Pływów; nie wiedział, gdzie mieszkali ani jak zagwarantowano ich wierność wobec Kerchu.

Obserwowali także porty i jeśli nadchodził sygnał od kapitana portu albo dokera, zmieniali pływy i uniemożliwiali wszystkim wypłynięcie w morze. Jednakże tej nocy nie będzie sygnału. Odpowiednie łapówki trafiły do odpowiednich urzędników i statek powinien być gotowy do wypłynięcia.

Inej zaczęła biec, kierując się do nabrzeża załadunkowego w Piątej Przystani. Była bardzo spóźniona. Nie miała ochoty zobaczyć niezadowolonego grymasu u Kaza, kiedy wreszcie dotrze na nabrzeże.

Cieszyła się, że na przystani panuje spokój, ale miała wrażenie, że jest tu wręcz za cicho po zgiełku i chaosie Baryłki. Po obu jej stronach wznosiły się stosy skrzynek i kontenerów z towarami, ustawione w stosy po trzy, czasem po cztery. Z ich powodu ta część przystani przypominała labirynt. Zimny pot perlił się Inej u podstawy kręgosłupa. Po utarczce z Tante Heleen była roztrzęsiona i sztylety w dłoniach nie wystarczyły, żeby ukoić jej skołatane nerwy. Wiedziała, że powinna przyzwycząć się do noszenia pistoletu, ale ciężar broni zaburzał jej równowagę, a w dodatku pistolet mógł się zaciąć w najmniej właściwym momencie. Koteczka. Na ostrzach zawsze mogła polegać. Z nimi miała wrażenie, że urodziła się z prawdziwymi pazurami.

Lekka mgiełka unosiła się nad wodą i poprzez nią Inej zobaczyła Kaza i pozostałych. Czekali na nią na pomoście. Wszyscy nosili nijakie ubrania żeglarzy – spodnie z grubego płótna, wysokie buty, grube wełniane płaszcze i kapelusze. Nawet Kaz porzucił nieskazitelnie skrojony garnitur na rzecz niezgrabnego wełnianego płaszcza. Gęstą grzywę ciemnych włosów szesał do tyłu, boki miał jak zawsze krótko przycięte. Wyglądał jak doker albo chłopak wyruszający na swój pierwszy rejs, pierwszą przygodę. Prawie jakby patrzyła przez lunetę na jakąś inną, przyjemniejszą rzeczywistość.

Za nimi widziała mały szkuner, który Kaz dla nich skombinował. Na burcie wypisano śmiałymi litrami nazwę *Ferolind*. Popłynie pod banderą z fioletowymi rybami Kerchu i barwną flagą Kompanii Zatoki Haanraadt. Dla każdego

w Fjerdzie albo na Morzu Prawdziwym będą wyglądali jak zwykli traperzy z Kerchu, którzy ruszyli na północ po skóry i futra.

Inej przyśpieszyła. Gdyby się nie spóźniła, pewnie już byliby na pokładzie albo nawet wypływaliby z portu.

Zostawią sobie minimalną załogę, byłych żeglarzy, którzy trafili w szeregi Szumowin z powodu takiego czy innego nieszczęścia. Mimo mgły szybko policzyła zebranych. Liczba się nie zgadzała. Dobrali sobie jeszcze czwórkę Szumowin do pomocy przy żegludze, ponieważ nikt z nich tak naprawdę nie miał pojęcia o olinowaniu i żaglach, ale w tej chwili nie widziała żadnego z nich. Może są już na pokładzie? Kiedy jednak zastanawiała się nad tym, natrafiła butem na coś miękkiego i się potknęła.

Spojrzała pod nogi. W słabym świetle portowych latarni gazowych zobaczyła Diriksa, jednego z członków Szumowin, którzy mieli z nimi popłynąć. Miał nóż wbity w brzuch i szkliste oczy.

– Kaz! – krzyknęła.

Za późno. Szkuner eksplodował. Wybuch przewrócił Inej i zalał nabrzeże ogniem.



Jesper zawsze czuł się lepiej, kiedy ludzie do niego strzelali. Nie chodziło o to, że podobała mu się myśl o śmierci (właściwie to ten potencjalny skutek był zdecydowanym minusem sytuacji), ale kiedy martwił się o przeżycie, nie mógł myśleć o niczym innym. Ten dźwięk – szybki, wstrząsający huk broni palnej – nakazywał porzucanej, wybuchowej, nieustannie poszukującej części jego umysłu naprawdę się skupić. To było lepsze niż siedzenie przy stoliku i czekanie na klapę, lepsze niż stanie przy Kole Makker'a i patrzenie, jak wypada jego numer. Odkrył to podczas pierwszej walki na nowoziemskim pograniczu. Jego ojciec pocił się, trząsł i ledwie był w stanie naładować rewolwer, za to Jesper odnalazł swoje powołanie.

Teraz oparł ręce na szczycie skrzynki, za którą się schował, i strzelał z obu luf. Miał nowoziemskiej roboty rewolwery, które mogły wystrzelić sześć razy w krótkim odstępie czasu i w Ketterdamie nic nie mogło im dorównać. Czuł, jak nagrzewają się w jego dłoniach.

Kaz ostrzegł ich, że powinni spodziewać się konkurencji, innych ekip, które postanowią zdobyć nagrodę za wszelką cenę, ale było jeszcze za wcześnie, żeby rywalizacja przybrała aż takie

rozmiary. Byli otoczeni, stracili przynajmniej jednego człowieka, a za ich plecami płonął statek. Utracili środek transportu do Fjerdy, a jeśli strzały skierowane w ich kierunku stanowiły jakąś wskazówkę, to przeciwnik miał zdecydowaną przewagę liczebną. Jesper podejrzewał, że mogło być gorzej. Mogli znajdować się na statku, kiedy eksplodował.

Przykucnął, żeby przeładować broń, i nie mógł uwierzyć własnym oczom – Wylan Van Eck dosłownie zwinął się na pomoście, zasłaniając głowę delikatnymi rękami kupca. Jesper westchnął ciężko, strzelił kilka razy, żeby zapewnić sobie osłonę, i porzuciwszy słodkie bezpieczeństwo, wyskoczył zza skrzynki. Złapał Wylana za kołnierz koszuli i szarpnął w stronę kryjówki.

Potrząsnął nim.

– Weź się w garść, dzieciaku.

– Nie jestem dzieciakiem – wymamrotał Wylan, odpychając rękę Jespera.

– Dobrze, jesteś starszawym mężem stanu. Umiesz strzelać?

Wylan pokiwał powoli głową.

– Do rzutków.

Jesper przewrócił oczami. Zerwał karabin z pleców i wcisnął go Wylanowi w pierś.

– Świetnie. To zupełnie jak strzelanie do glinianych gołąbków, tylko trafieni wydają nieco inny odgłos.

Odwrócił się gwałtownie z uniesionymi rewolwerami, kiedy kątem oka dostrzegł jakiś kształt, ale to był Kaz.

– Biegnijcie na wschód na sąsiednie nabrzeże, wskakujcie na pokład przy stanowisku numer dwadzieścia dwa.

– Co cumuje przy dwudziestce dwójce?

– Prawdziwy *Ferolind*.

– Ale...

– Statek, który wybuchł, to była przynęta.

– Wiedziałeś?

– Nie, ale zabezpieczyłem się. Tym się właśnie zajmuję, Jesper.

– Mogłeś nam powiedzieć...

– To by zaprzeczyło idei przynęty. Zbierajcie się.

Kaz zerknął na Wylana, który stał, tuląc karabin do piersi jak noworodka.

– I dopilnuj, żeby Wylan dotarł na statek w jednym kawałku.

Jesper patrzył, jak Kaz znika w cieniach z laską w jednej ręce i pistoletem w drugiej. Nawet z jedną zdrową nogą był niesamowicie zwawy.

Potem znowu trącił Wylana.

– Chodźmy.

– Mamy iść?

– Nie słyszałeś, co mówił Kaz? Musimy dotrzeć do stanowiska numer dwadzieścia dwa.

Wylan w osłupieniu skinął głową. Spojrzenie miał oszołomione, a oczy okrągłe jak spodki.

– Po prostu trzymaj się mnie i staraj nie dać się zabić. Gotowy?

Wylan pokręcił głową.

– To zapomnij, że pytałem. – Położył dłoń Wylana na rękojeści karabinu. – Chodź.

Posłał kolejną serię strzałów pod różnymi kątami, mając nadzieję, że w ten sposób ukryje ich położenie. Z jednym rewolwerem pustym wyskoczył zza skrzynki w cienie. Po części spodziewał się, że Wylan nie ruszy za nim, ale słyszał za sobą kupczyka, dyszącego ciężko, aż mu poświstywało w płucach, gdy gnali z tupotem ku następnemu stosowi beczek.

Jesper syknął, kiedy kula świsnęła mu koło policzka, dość blisko, żeby poparzyć mu skórę.

Rzucili się za beczki. Z tego miejsca widział Ninę wciśniętą między dwa stosy skrzynek. Trzymała uniesione ręce i kiedy jeden z przeciwników pojawił się, zacisnęła pięść. Chłopak padł na ziemię, trzymając się za pierś. Niestety labirynt skrzynek nie dawał Ninie przewagi. Ciałobójcy musieli widzieć cel, żeby móc go zdjąć.

Helvar stał obok niej ze związanymi rękami, dociskając plecy do skrzyni. Rozsądne zabezpieczenie, ale Fjerdanin był cenny i Jesper miał tylko chwilę, żeby zastanowić się, dlaczego Kaz zostawił go w takich tarapatach, kiedy zobaczył, jak Nina

wyjmuje nóż z rękawa i rozcina Helvarowi więzy. Wcisnęła mu pistolet w dłoń.

– Broń się – warknęła i ponownie skupiła się na walce.

Niezbyt to mądre, pomyślał Jesper. Nie odwracasz się plecami do rozgniewanego Fjerdanina. Helvar miał minę, jakby całkiem poważnie rozważał, czy jej nie zastrzelić. Jesper uniósł rewolwer gotowy załatwić olbrzyma. I wtedy Helvar stanął obok Niny, celując w labirynt skrzyń przed nimi. I nagle, tak po prostu, walczyli razem po jednej stronie. Czy Kaz specjalnie zostawił Matthiasa z Niną? Jesper nigdy nie zdołał ocenić, ile spraw udawało się Kazowi dzięki sprytowi i planowaniu, a ile dzięki zwykłemu tępemu fartowi.

Gwizdnął przenikliwie. Nina zerknęła przez ramię i napotkała jego spojrzenie. Pokazał jej dwa razy dwa palce. Skinęła krótko głową. Wiedziała, że stanowisko numer dwadzieścia dwa to ich prawdziwy cel? A Inej? Kaz znowu pogrywał informacjami, każąc jednemu z nich albo wszystkim działać na oślep i zgadywać. Jesper tego nie cierpiał, ale nie mógł spierać się z faktem, że nadal mieli kawał drogi do Fjerdy. O ile dotrą żywi na pokład drugiego szkunera.

Dał znak Wylanowi i pobiegli dalej obok łodzi i statków przycumowanych do pomostu, starając się trzymać głowy jak najniżej.

– Tam! – krzyknął ktoś gdzieś za nimi.

Zauważono ich.

– Do diabła – rzucił. – Biegiem!

Pognali nabrzeżem, tupiąc głośno. Przy stanowisku dwudziestym drugim stał schludny szkuner z napisem *Ferolind* na burcie. To, jak bardzo przypominał poprzedni statek, było niemal upiorne. Żadne latarnie nie płonęły na pokładzie, ale kiedy Jesper wbiegł z Wylanem po trapie, pojawiło się dwóch żeglarzy.

– Przybiegliście pierwsi – powiedział Rotty.

– Miejmy nadzieję, że nie ostatni. Jesteście uzbrojeni?

Marynarze pokiwali głowami.

– Brekker powiedział nam, żebyśmy się nie pokazywali, dopóki...

– Dopóki jest właśnie teraz. – Jesper wskazał mężczyzn pędzących za nimi nabrzeżem i wziął karabin od Wylana. – Muszę znaleźć się gdzieś wyżej. Odwracajcie ich uwagę tak długo, jak zdołacie.

– Jesper... – zaczął Wylan.

– Nikt nie może przejść obok ciebie. Jeśli zatopią ten szkuner, już po nas.

Mężczyźni, którzy próbowali ich dopaść, chcieli nie tylko uniemożliwić Szumowinom wypłynięcie z portu. Chcieli ich zabić.

Jesper strzelił do dwóch biegnących na przedzie. Jeden padł, a drugi przeturlał się w lewo i schował się za bukszprytem kutra rybackiego. Jesper wystrzelił jeszcze trzy razy, a potem popędził na maszt.

W dole słyszał kolejne wystrzały. Dziesięć stóp w górę, dwadzieścia, zaczepiał butami o takielunek. Powinien był zatrzymać się, żeby je zdjąć. Dzieliły go dwie stopy od bocianiego gniazda, kiedy poczuł gorące ostrze bólu przeszywające mu udo. Stopa mu się ześlizgnęła i przez chwilę wisiał nad odległym pokładem, trzymając się tylko spoconymi dłońmi lin. Zmusił nogi do pracy i znalazł oparcie pod czubkami butów. Jego zraniona prawa noga była niemal bezużyteczna, musiał więc pokonać ostatni odcinek dzięki sile drżących rąk i z łomotem serca w uszach. Każdy zmysł w nim płonął. To było zdecydowanie lepsze niż seria wygranych przy stoliku.

Nie tracił czasu na odpoczynek. Nie zważając na ból, zaczepił się chorą nogą o olinowanie, zerknął przez celownik i zaczął zdejmować wszystkich w zasięgu karabinu.

„Cztery miliony *kruge*”, powtarzał w myślach, kiedy przeładowywał i znajdował kolejnych wrogów w celowniku. Z powodu mgły widoczność była słaba, ale to dzięki umiejętności strzelania zachował miejsce w Szumowinach, nawet kiedy jego długi rosły i stało się jasne, że kocha karty

bardziej, niż fortuna kocha jego. Cztery miliony *kruge* skasowałyby jego dług i zapewniły mu dostatek na bardzo długi czas.

Dostrzegł Ninę i Matthiasa próbujących dotrzeć na nabrzeże, ale na ich drodze stało przynajmniej dziesięciu ludzi. Kaz nadbiegł z przeciwnego kierunku, a Inej nigdzie nie było widać, chociaż w przypadku Zjawy niewiele to znaczyło. Mogłaby zwieszać się z żagli dwie stopy od niego, a on pewnie by o tym nie wiedział.

– Jesper!

Krzyk rozległ się daleko w dole i Jesper potrzebował chwili, żeby zdać sobie sprawę, że to Wylan. Próbował go zignorować, znowu celując.

– Jesper!

Zabiję tego małego kretyna!

– Czego chcesz?! – odkrzyknął.

– Zamknij oczy!

– Pocałuj mnie w cztery litery, Wylan.

– Zrób to!

– Lepiej, żebym tego nie pożałował! – Jesper zamknął oczy.

– Zamknąłeś?

– Do diabła, Wylan, tak, za...

Rozległo się przenikliwe piskliwe wycie, a potem jasność rozkwitła za powiekami Jespera. Kiedy osłabła, otworzył oczy.

Zobaczył w dole potykających się ludzi, oślepionych bombą rozbłyskową odpaloną przez Wylana. On sam widział doskonale.

Nieźle jak na kupieckiego dzieciaka, pomyślał i otworzył ogień.



Zanim Inej postawiła stopę na wysoko rozpiętej linie czy choćby sznurze do ćwiczeń, ojciec nauczył ją upadania – jak osłaniać głowę i minimalizować siłę uderzenia, nie walcząc z własnym rozpędem. Kiedy tylko wybuch w przystani powalił ją, ona już się zwinęła, żeby przekoziółkować. Uderzyła mocno o ziemię, ale kilka sekund później stała, przyciskając się do skrzyni. Dzwoniło jej w uszach, w nosie kręciło ją od ostrego zapachu prochu strzelniczego.

Rzuciła jedno spojrzenie Kazowi i pozostałym, a potem zrobiła to, co robiła najlepiej: zniknęła. Rzuciła się na skrzynie załadunkowe, wspięła się po nich zwinnie jak owad, z łatwością znajdując oparcie dla stóp w butach z gumowymi podeszwami.

Widok w dole był niepokojący. Przeciwnicy mieli przewagę liczebną i zbliżali się z prawej i lewej flanki. Kaz miał rację, zatajając przed wszystkimi położenie statku, którym naprawdę mieli odpłynąć. Ktoś się wygadał. Inej starała się pilnować członków zespołu, ale ktoś inny z gangu mógł węszyć. Kaz sam to powiedział: wszystko w Ketterdamie przecieka, łącznie z Listewką i Klubem Wron.

Ktoś strzelał z masztów drugiego *Ferolinda*. Miała nadzieję, że

to oznacza, że Jesper dotarł na pokład. Musiała więc tylko kupić pozostałym trochę czasu, żeby też dobiegli do szkunera.

Przebiegła lekko po skrzyniach, szukając w dole celów. To było całkiem łatwe. Nikt nie spodziewał się ataku z góry. Ześlizgnęła się na ziemię za dwoma mężczyznami strzelającymi do Niny i modliła się bezgłośnie, podrzynając gardło najpierw jednemu, a potem drugiemu. Kiedy drugi padł, przykucnęła obok niego i podwinęła mu prawy rękaw – tatuaż dłoni z obciętymi przy knykciach palcami wskazującym i środkowym. Czarne Palce. To zemsta za rozgrywkę Kaza z Geelsem czy coś więcej? Nie powinni być w stanie zebrać tak wielu ludzi.

Ruszyła do następnego przejścia między skrzyniami, trzymając się mapy z pozycjami przeciwników, którą stworzyła w głowie. Najpierw załatwiła dziewczynę z masywnym, nieporęcznym karabinem, a potem dźgnęła mężczyznę, który powinien osłaniać ją z flanki. Jego tatuaż przedstawiał pięć ptaków tworzących klucz – Brzytwomewy. Właściwie z iloma gangami walczyli?

Następnego zakrętu nie miała jak sprawdzić. Powinna wspiąć się na skrzynie i ustalić swoją pozycję czy zaryzykować? Za zakrętem ktoś mógł na nią czekać. Wzięła głęboki wdech, pochyliła się nisko i wypadła gwałtownie zza rogu. Tego wieczoru święci byli jej życzliwi – dwóch mężczyzn ostrzeliwało przystań, stojąc plecami do niej. Załatwiła ich szybkimi ciosami ostrzy. Sześć ciał, sześć śmierci. Będzie musiała sporo odpokutować, ale pomogła trochę wyrównać szanse Szumowin. Teraz musi dotrzeć do szkunera.

Otarła noże o skórzane spodnie i wsunęła je z powrotem do pochew, a potem cofnęła się i wzięła rozbieg, żeby wskoczyć na najbliższy kontener. Kiedy chwyciła się palcami krawędzi, poczuła przenikliwy ból pod ręką. Odwróciła się w samą porę, żeby zobaczyć brzydką twarz Oomena skrzywioną w zdeterminowanym grymasie. Wszystkie informacje, jakie zebrała na temat Czarnych Palców, powróciły do niej z przyprawiającą o mdłości szybkością: Oomen, powłóczący

nogami ochroniarz Geelsa, który potrafił miażdżyć czaszki gołymi rękami.

Ściągnął ją szarpnięciem i złapał za przód kamizelki, ostro obracając nóż, który w nią wbił. Inej walczyła, żeby nie stracić przytomności. Kiedy jej kaptur opadł, krzyknął:

– Ghezenie! Dorwałem Zjawę Brekkera!

– Trzeba było celować... wyżej – wystękała Inej. – Nie trafiłeś w serce.

– Nie chcę cię zabijać, Zjawo. Jesteś niezłym łupem. Nie mogę się doczekać, kiedy usłyszę wszystkie plotki, jakie zebrałaś dla Brudnorękiego, a także wszystkie jego sekrety. Uwielbiam ciekawe historie.

– Powiem ci, jak ta się kończy – odpowiedziała, z trudem oddychając. – Ale tobie się to nie spodoba.

– Doprawdy?

Rąbnął nią o skrzynię i zalał ją potworny ból. Ledwie muskała palcami stóp ziemię, krew tryskała z jej boku. Oomen przyszpilił przedramieniem barki Inej, unieruchamiając jej ręce.

– Znasz sekret walki ze skorpionem? – spytała.

Roześmiał się.

– Bredzisz, Zjawo? Nie umieraj za szybko. Muszę kazać cię opatrzyć.

Skrzyżowała nogi w kostkach i usłyszała uspokajający szczeł. Nosila ochraniacze na kolanach z myślą o czołganiu się i wspinaczce, ale także z innego powodu – a mianowicie dwóch małych ostrzy, które były w nich ukryte.

– Sekret polega na tym – wydyszała – żeby nigdy nie odrywać oczu od ogona skorpiona.

Uniosła kolano i wbiła ostrze między nogi Oomena.

Mężczyzna wrzasnął i wypuścił ją, łapiąc się za krwawiącą pachwinę.

Inej zatoczyła się, cofając się między rzędy skrzynek. Słyszała mężczyzn pokrzykujących między sobą, strzały rozlegające się teraz z rzadka i z przerwami. Kto wygrywał? Czy inni dotarli do szkunera? Przewaliła się przez nią fala mdłości.

Kiedy dotknęła palcami rany w boku, poczuła wilgoć. Za dużo krwi. Kroki. Ktoś nadchodził. Nie mogła się wspinać z taką raną i straciwszy tyle krwi. Przypomniało jej się, jak ojciec pierwszy raz postawił ją na sznurowej drabince.

Wspinaj się, Inej.

Ustawione tu kontenery tworzyły piramidę. Mogła wspiąć się tylko na jeden i schować się na wyższym poziomie. Tylko jeden. Mogła się wspiąć albo stać tam i umrzeć.

Zmusiła umysł do odzyskania jasności i podskoczyła, łapiąc się palcami krawędzi skrzyni. Wspinaj się, Inej. Podciągnęła się na blaszany dach kontenera.

Miło się leżało, ale wiedziała, że zostawiła za sobą krwawy ślad. Jeszcze jeden, powiedziała sobie. Jeszcze jeden i będziesz bezpieczna. Zmusiła się do uklęknienia i sięgnięcia ku następnej skrzyni.

Powierzchnia pod nią zaczęła się kołysać. Usłyszała śmiech w dole.

– Wyjdź, wyjdź, Zjawo! Mamy wiele sekretów do opowiedzenia!

Sięgnęła rozpaczliwie do krawędzi następnej skrzyni, złapała się, walcząc z bólem, kiedy kontener pod nią się przewrócił. Nie zaczęli strzelać. Chcieli dopaść ją żywą.

– Zejdź, Zjawo!

Nie wiedziała, skąd znalazła siły, ale zdołała się podciągnąć. Leżała na skrzyni, dysząc.

Jeszcze tylko jeden. Ale nie mogła. Nie była w stanie podnieść się na kolana, sięgnąć, nawet przeturlać się na bok. Za bardzo bolało.

Wspinaj się, Inej.

– Nie mogę, tatku – szepnęła.

Nawet teraz nie mogła znieść myśli, że go rozczarowuje.

Rusz się, powiedziała sobie. To durne miejsce, żeby umrzeć. A jednak głos w jej głowie powiedział, że są gorsze. Umrze tutaj, na wolności, pod jutrzeńką. Umrze po godnej walce, a nie dlatego, że jakiś mężczyzna się nią znudził albo wymagał od niej

więcej, niż była w stanie dać. Lepiej umrzeć tutaj z własnej ręki niż z pomalowaną twarzą i ciałem odzianym w sztuczne jedwabie.

Dłoń chwyciła ją za kostkę. Wspinali się po skrzyniach. Dlaczego ich nie słyszała? Aż tak było z nią źle? Dopadli ją. Ktoś obrócił ją na plecy.

Wysunęła sztylet z pochwy na nadgarstku. W Baryłce tak ostrą klingę nazywano życzliwą stałą. Oznaczała szybką śmierć. Lepsze to niż być zdaną na łaskę torturujących ją Czarnych Palców albo Brzytwomew.

Niech święci mnie przyjmą.

Przycisnęła czubek ostrza do piersi, między żebra: strzała w serce. I wtedy czyjaś dłoń złapała ją brutalnie za nadgarstek, zmuszając do wypuszczenia ostrza.

– Jeszcze nie teraz, Inej.

Chrobot kamienia o kamień. Otworzyła oczy. Kaz.

Wziął ją na ręce i zeskoczył ze skrzyń, lądując niezgrabnie, gdy ugięła się pod nim chora noga.

Jęknęła, gdy uderzyli o ziemię.

– Wygraliśmy?

– Przecież jestem tutaj, nie?

Musiał biec. Jej ciało podskakiwało boleśnie przy jego piersi z każdym chwiejnym krokiem. Potrzebował laski.

– Nie chcę umrzeć.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby zaplanować dla ciebie coś innego.

Zamknęła oczy.

– Mów do mnie, Zjawo. Nie wymykaj mi się.

– Ale w tym jestem najlepsza.

Przycisnął ją mocnej.

– Wytrzymaj tylko do szkunera. Do diabła, otwórz oczy, Inej.

Spróbowała. Obraz jej się rozmazywał, ale widziała bladą, błyszczącą bliznę na szyi Kaza tuż pod żuchwą. Przypomniała sobie pierwszy raz, kiedy zobaczyła go w Menażerii. Płacił Tante Heleen za informacje – wskazówki dotyczące akcji, polityczne

zwierzenia w łóżku, wszystko, o czym paplali klienci Menażerii po pijanemu albo oszołomieni rozkoszą. Nigdy nie odwiedzał dziewczyn, chociaż mnóstwo z nich z radością przyjęłoby go w swoich pokojach. Twierdziły, że przyprawia je o dreszcz, że jego dłonie pod czarnymi rękawiczkami są trwale splamione krwią, ale rozpoznawała zapał w ich głosach i widziała, jak wodziły za nim wzrokiem.

Pewnej nocy, kiedy mijał ją w salonie, zrobiła coś głupiego i lekkomyślnego.

– Mogę ci pomóc – szepnęła.

Zerknął na nią, a potem poszedł dalej, jakby nic nie powiedziała. Następnego ranka została wezwana do salonu Tante Heleen. Była pewna, że czeka ją kolejne lanie albo coś gorszego, ale zamiast tego stał tam Kaz Brekker, opierając się na lasce z wronią główką, i czekał, żeby odmienić jej życie.

– Mogę ci pomóc – powiedziała teraz.

– W czym?

Nie mogła sobie przypomnieć. Powinna była coś mu powiedzieć. To już nie miało znaczenia.

– Mów do mnie, Zjawo.

– Wróciłeś po mnie.

– Chronię swoje inwestycje.

Inwestycje.

– Cieszę się, że wykrwawiam się na twoją koszulę.

– Dopiszę to do twojego rachunku.

Teraz sobie przypominała. Był jej winien przeprosiny.

– Powiedz, że przepraszasz.

– Za co?

– Powiedz.

Nie usłyszała odpowiedzi. Świat naprawdę bardzo pociemniał.



– Zabierzcie nas stąd! – krzyknął Kaz, kiedy, kuśtykając, wpadł na pokład szkunera z Inej na rękach.

Żagle już strymowano i lada chwila mieli opuścić port, chociaż nie tak szybko, jak by tego chciał. Wiedział, że powinien być załatwić im jakiegoś szkwalnika na podróż, ale szkwalnicy byli piekielnie trudni do zdobycia.

Na pokładzie panował chaos, ludzie krzyczeli i starali się jak najszybciej wyprowadzić szkuner na otwarte morze.

– Specht! – wrzasnął na mężczyznę, którego wybrał na kapitana, żeglarza, który był też utalentowanym nożownikiem. Popadł w tarapaty finansowe i wylądował w Szumowinach, nisko w hierarchii gangu. – Zapanuj nad załogą, zanim zacznę rozbijać czaszki.

Specht zasalutował i zaraz się złapał na odruchowej omyłce. Nie służył już we flocie, a Kaz nie był jego dowódcą.

Ból w nodze był potworny, najgorszy od czasów, kiedy pierwszy raz ją złamał, skacząc z dachu banku w okolicy Geldstraat. Możliwe, że kość znowu pękła. Ciężar Inej nie pomagał, ale kiedy Jesper stanął mu na drodze, oferując pomoc, Kaz odepchnął go i pokuśtykał dalej.

– Gdzie Nina? – warknął.

– Zajmuje się rannymi pod pokładem. Mną się już zajęła. – Kaz jak przez mgłę zauważył zaschniętą krew na udzie Jespera. – Wylan trochę oberwał w trakcie walk. Czeka, pomogę ci...

– Zejdź mi z drogi – powiedział Kaz i dał nura na trap, który prowadził pod pokład.

Zastał Ninę w wąskiej kajucie, przy Wylanie. Poruszała dłońmi nad jego ręką, spajając skórę po ranie od kuli. To było ledwie zadraśnięcie.

– Przesuń się – rozkazał Kaz i Wylan praktycznie zeskoczył ze stołu.

– Nie skończyłam... – zaczęła Nina, ale wtedy zobaczyła Inej. – Wszyscy święci! Co się stało?

– Rana od noża.

Ciasną kajutę oświetlało kilka jasnych latarni. Stos czystych bandaży wyłożono na półce obok butelki z kamforą. Kaz delikatnie położył Inej na stole, który przyśrubowano do podłogi.

– Mnóstwo krwi – mruknęła Nina.

– Pomóż jej.

– Kaz, jestem ciałobójczynią, nie uzdrowicielką.

– Będzie martwa, zanim znajdziemy uzdrowiciela. Bierz się do roboty.

– Zasłaniasz mi światło.

Cofnął się na korytarz. Inej leżała nieruchomo na stole, jej błyszcząca brunatna skóra wydawała się matowa w świetle kołyszących się lamp.

Zawdzięczał jej życie. Tak jak oni wszyscy. Nie zdołaliby się wyrwać, gdyby Inej nie uniemożliwiła przeciwnikom otoczenia ich. Kaz znał śmierć. Wyczuwał teraz jej obecność na statku, majaczyła nad nimi, gotowa zabrać mu Zjawę, której krwią był cały umazany.

– Odejdź, chyba że potrafisz pomóc – powiedziała Nina, nie podnosząc na niego wzroku. – Przez ciebie się denerwuję.

Zawahał się, a potem wypadł tą samą drogą, którą przyszedł,

zatrzymując się, żeby skraść czystą koszulę z innej kajuty. Nie powinien być tak wstrząśnięty burdą w porcie, nawet strzelaniną, a jednak był. Jakaś jego cząstka czuła się stargana i odarta z osłony. To samo czuł jako chłopiec w tych pierwszych rozpaczliwych dniach po śmierci Jordiego.

„Powiedz, że przepraszasz”. To były ostatnie słowa, jakie Inej wypowiedziała. Za co miał ją przeprosić? Istniało tyle możliwości. Tysiące przewin. Tysiące głupich kpin.

Na pokładzie odetchnął głęboko morskim powietrzem, patrząc, jak port i Ketterdam znikają za horyzontem.

– Do diabła, co tu się właśnie wydarzyło? – zapytał Jesper.

Opierał się o reling z karabinem u boku. Włosy miał potargane, źrenice rozszerzone. Robił wrażenie wręcz pijanego – albo jakby właśnie wyturlał się z czyjegoś łóżka. Zawsze tak wyglądał po walce. Helvar zwieszał się nad relingiem i wymiotował. Najwyraźniej nie był żeglarzem. W którymś momencie znowu będą musieli skuć mu nogi.

– Wpadliśmy w zasadzkę – powiedział Wylan, który siedział wyżej na dziobówce.

Miał podwinięty rękaw i przesuwiał palcami po zaczerwienionym śladzie po ranie, którą wyleczyła Nina.

Jesper rzucił mu miażdżące spojrzenie.

– Prywatni nauczyciele z uniwersytetu i tylko na tyle stać tego dzieciaka? „Wpadliśmy w zasadzkę”?!
Wylan poczerwieniał.

– Przestań nazywać mnie dzieciakiem. Jesteśmy praktycznie rówieśnikami.

– Nie spodobają ci się inne przezwiska, które dla ciebie wymyślę. Wiem, że wpadliśmy w zasadzkę. To nie wyjaśnia, skąd wiedzieli, że tu będziemy. Może Duży Bolliger nie był jedynym, który szpiegował Szumowiny dla Czarnych Palców.

– Geels nie ma dość rozumu ani zasobów, żeby samemu odgryźć się tak szybko i tak mocno.

– Na pewno? Bo mam wrażenie, że ugryzł nas całkiem mocno.

– Popytajmy. – Kaz pokuśtykał do miejsca, gdzie Rotty pomógł

mu ukryć Oomena.

– Dźgnąłem twoją Zjawę – powiedział, chichocząc, Oomen, kiedy Kaz zobaczył go zwiniętego na ziemi. – Załatwiłem ją.

Kaz zerknął na krew na udzie Oomena i powiedział:

– Wygląda na to, że ona ciebie też.

Ale nie trafiła najlepiej, bo inaczej Oomen z nikim by już nie rozmawiał. Kaz ogłuszył osiłka, a Rotty zabrał go na pokład, gdy on poszedł szukać Inej.

Teraz Helvar i Jesper zaciągnęli Oomena ze związanymi rękami do relingu.

– Postawcie go.

Wielgachną ręką Helvar pociągnął Oomena, zmuszając go do stanięcia na nogi.

Oomen wyszczerzył zęby, strzecha białych włosów przykleiła mu się do szerokiego czoła.

– Może mi powiesz, co sprowadziło do portu aż tyle Czarnych Palców? – zapytał Kaz.

– Byliśmy ci to winni.

– Publiczna bójka i trzydziestu ludzi z bronią? Wątpię.

Oomen zarżał.

– Geels nie lubi, kiedy ktoś go przechytrza.

– Zmieściłbym mózg Geelsa w palcach buta, a Duży Bolliger był jego jedynym człowiekiem w Szumowinach.

– Może...

Kaz wszedł mu w słowo.

– Chcę, żebyś naprawdę dobrze się zastanowił, Oomen. Geels pewnie myśli, że nie żyjesz, więc nie obowiązują nas reguły wymiany. Mogę zrobić z tobą, co zechcę.

Oomen plunął mu w twarz.

Kaz wyjął chusteczkę z kieszeni płaszcza i ostrożnie otarł twarz. Pomyślał o Inej, która leżała nieruchomo na stole, o jej niewielkim ciężarze, gdy niósł ją na rękach.

– Przytrzymajcie go – polecił Jesperowi i Fjerdaninowi.

Strzepnął rękawem płaszcza i w jego dłoni pojawił się nóż do otwierania ostryg. Zawsze miał w ubraniu schowane

przynajmniej dwa noże. Tego to nawet nie liczył – zgrabnego, wrednego nożyka.

Ciął Oomena schludnie przez oko, od czoła po kość policzkową. Zanim Oomen zdążył choćby nabrać powietrza do krzyku, Kaz ciął drugi raz w przeciwnym kierunku, rysując niemal doskonale „X”. Teraz Oomen już wrzeszczał.

Kaz otarł nóż i schował go w rękawie, a potem wsadził palce w rękawicze do oczodołu Oomena. Mężczyzna wrzeszczał i szarpał się, kiedy Kaz wyrywał mu gałkę oczną; ciągnął się za nią zakrwawiony korzeń. Trysnęła krew.

Kaz usłyszał, że Wylan wymiotuje. Wyrzucił oko za burtę i wbił mokrą od śliny chusteczkę do pustego oczodołu Oomena. Potem złapał go za szczękę, zostawiając krwawe ślady na podbródku. Jego ruchy były zręczne, precyzyjne, jakby rozdawał karty w Klubie Wron albo otwierał wytrychem prosty zamek, ale czuł gniew: gorący, szaleńczy i nieznajomy. Coś się w nim wyrwało na wolność.

– Posłuchaj mnie – syknął, przysuwając twarz na kilka cali od twarzy Oomena. – Masz dwie możliwości. Powiesz mi, co chcę wiedzieć, a my wyrzucimy cię w najbliższym porcie z kieszeniami dostatecznie wypchanymi, żeby ktoś cię opatrzył i żebyś miał za co wrócić do Kerchu, albo wyrwę ci drugie oko i powtórzę te słowa niewidomemu.

– To była zwykła robota – wymamrotał Oomen. – Geels dostał pięć tysięcy *kruge*, żeby przyprowadzić wszystkie Czarne Palce. Wciągnęliśmy też parę Brzytwomew.

– To czemu nie wzięliście jeszcze więcej ludzi? Czemu nie zwiększyć swoich szans?

– Mieliście być na pokładzie, kiedy statek wybuchnie! Mieliśmy tylko zająć się maruderami.

– Kto was wynajął?

Oomen zawahał się, zagryzając usta. Smarki wisały mu z nosa.

– Nie zmuszaj mnie do powtórzenia pytania – powiedziała cicho Kaz. – Ktokolwiek to był, nie może ci teraz pomóc.

– On mnie zabije.
– A ja sprawię, że zapragniesz śmierci, więc musisz przemyśleć sobie obie możliwości.
– Pekka Rollins – wyszłochał Oomen. – To był Pekka Rollins!
Chociaż Kaz sam był wstrząśnięty, zauważył, jakie wrażenie zrobiło to nazwisko na Jesperze i Wylanie. Helvar wiedział za mało, żeby się przerazić.
– Na wszystkich świętych – jęknął Jesper. – Mamy przerąbane.
– Rollins osobiście dowodzi ekipą? – zapytał Oomena Kaz.
– Jaką ekipą?
– Wybierającą się do Fjerdy.
– Nic nie wiem o żadnej ekipie. Mieliśmy uniemożliwić wam opuszczenie portu.
– Rozumiem.
– Potrzebuję medykusa. Możesz mnie zabrać teraz do medykusa?
– Oczywiście. W tej chwili.
Kaz złapał Oomena za klapy i podniósł go, opierając o reling.
– Powiedziałem ci wszystko, co chciałeś! – krzyczał Oomen, szamocząc się. – Zrobiłem, co mi kazałeś!
Mimo tyczkowatej budowy Oomen był zaskakująco silny. Silny jak farmer, jak Jesper. Pewnie wychowywał się na wsi.
Kaz pochylił się, żeby nikt inny nie usłyszał tego, co mu powie:
– Moja Zjawa radziłaby mi, żebym się nad tobą zlitował, ale dzięki tobie nie ma jej tutaj, żeby się za tobą wstawiła.
Bez żadnego słowa więcej wypchnął Oomena za burtę.
– Nie! – wykrzyknął Wylan, wychylając się za reling z bladą twarzą.
Oszołomionym wzrokiem śledził Oomena w wodzie. Nadal słyhać było błagania osiłka, kiedy jego okaleczona twarz znikwała w oddali.
– Powiedziałeś... Powiedziałeś, że jeśli ci pomoże...
– Też chcesz wylądować za burtą? – zapytał Kaz.
Wylan odetchnął głęboko, jakby wciągał do płuc odwagę, i wyrzucił z siebie:

– Nie wyrzucisz mnie za burtę. Potrzebujesz mnie.

Dlaczego ludzie ciągle to powtarzają?

– Może tak – powiedział Kaz – ale nie jestem teraz w nastroju do rozsądnych decyzji.

Jesper położył rękę na ramieniu Wylana.

– Odpuść sobie.

– To nie w porządku...

– Wylan – powiedział Jesper, potrząsając nim lekko. – Może twoi nauczyciele nie omówili tego tematu, ale nie należy spierać się z uwalanym we krwi mężczyzną z nożem w rękawie.

Wylan zacisnął usta. Kaz nie wiedział, czy dzieciak jest przerażony, czy rozgniewany, ale niespecjalnie go to interesowało. Helvar stał jak milczący wartownik i wszystko obserwował. Pod jasną brodą był zielony z powodu choroby morskiej.

Kaz odwrócił się do Jespera:

– Znajdź Helvarowi jakieś łańcuchy, żeby zachowywał się należycie – powiedział, idąc pod pokład. – I przynieś mi czyste ubrania i słodką wodę.

– Od kiedy jestem twoim służącym?

– Mężczyzna z nożem, zapomniałeś?! – krzyknął Kaz przez ramię.

– Mężczyzna z bronią! – zawołał za nim Jesper.

Dla zaoszczędzenia czasu Kaz odpowiedział gestem, który sprowadzał się głównie do środkowego palca, a potem zniknął pod pokładem. Chciał się wykapać i wypić butelkę brandy, ale na razie wystarczy mu chwila samotności i pozbycie się smrodu krwi.

Pekka Rollins. To imię kołatało mu się w głowie jak echo wystrzałów. To zawsze sprowadzało się do Pekki Rollinsa, człowieka, który odebrał mu wszystko. Człowieka, który stał teraz między nim i największym łupem, jaki kiedykolwiek próbowano zwinąć. Czy Rollins wysłałby zastępcę, czy sam poprowadziłby zespół, żeby osobiście porwać Bo Yul-Bayura?

W mrokach ciasnej kajuty Kaz szepnął do siebie:

– Cegła po cegle.

Zawsze kusiło go, żeby zabić Pekkę Rollinsa, ale to by nie wystarczyło. Chciał go poniżyć. Chciał, żeby Pekka cierpiał, tak jak cierpiał on sam. Tak jak cierpiał Jordie. A buchnięcie trzydziestu milionów *krug* sprzed brudnych łapsk Pekki Rollinsa byłoby bardzo dobrym początkiem. Może Inej miała rację. Może jednak los miał plany wobec takich ludzi jak on.



W ciasnym lazarecie Nina próbowała poskładać ciało Inej, ale nie tego ją uczono.

Przez pierwsze dwa lata nauki w stolicy Ravki wszyscy somatycy studiowali razem, chodzili na te same zajęcia, przeprowadzali te same sekcje zwłok. Potem jednak ich szkolenie zaczynało się różnić. Uzdrowiciele zgłębiali skomplikowaną sztukę leczenia ran, a ciałobójcy zostawali żołnierzami, ekspertami w zadawaniu obrażeń, a nie ich leczeniu; chodziło o inny sposób myślenia o tym, co zasadniczo było tym samym rodzajem mocy. Tyle że żywi oczekiwali od griszy więcej niż martwi. Zabójczy cios wymagał decyzji, wyrazistej intencji. Uzdrawianie było powolne, rozmyślne: miarowy wysiłek, który wymagał wnikliwych przemyśleń nad każdą drobną decyzją. Zadania, które wykonywała dla Kaza przez ostatni rok, pomagały jej teraz. Na swój sposób pomagały jej także doświadczenia zdobyte przy precyzyjnym zmienianiu nastrojów i formowaniu twarzy w Białej Róży.

Patrząc na Inej, żałowała, że jej nauka w szkole trwała tak krótko. Wojna domowa w Ravce wybuchła, kiedy Nina jeszcze studiowała w Małym Pałacu. Ona i inni studenci musieli się

ukryć. Gdy walki się zakończyły i opadł kurz, królowi Nikolaiowi śpieszno było wyszkolić i wysłać do walki pozostałych przy życiu żołnierzy-griszów, więc Nina spędziła tylko sześć miesięcy na zaawansowanych kursach, zanim wysłano ją z pierwszą misją. Wtedy była zachwycona. Teraz byłaby wdzięczna za choćby jeden tydzień nauki więcej.

Inej była gibka, zbudowana jak akrobatka – składała się z samych mięśni i delikatnych kości. Nóż został wbity tuż pod lewym ramieniem. Niewiele brakowało. Odrobinę głębiej, a ostrze przebiłoby koniuszek serca.

Nina wiedziała, że jeśli po prostu zasklepi skórę, jak to zrobiła w przypadku Wylana, dziewczyna będzie krwawić wewnątrz, próbowała więc zatamować krwawienie, zaczynając od wnętrza. Uznała, że poradziła sobie dostatecznie dobrze, ale Inej straciła mnóstwo krwi i Nina nie miała pojęcia, co w związku z tym zrobić. Słyszała, że niektórzy uzdrowiciele potrafią dopasować krew jednej osoby do drugiej, ale w razie pomyłki właściwie równie dobrze mogliby otruć pacjenta. Ta procedura całkowicie ją przerastała.

Skończyła zamykać ranę, a potem przykryła Inej lekkim wełnianym kocem. Na razie mogła tylko czuwać nad jej pulsem i oddechem. Kiedy układała jej ręce pod kocem, zauważyła pobliznioną skórę na wewnętrznej stronie przedramienia. Przesunęła delikatnie kciukiem po zmarszczkach i wybrzuszeniach. To musiało być pawie pióro, tatuaż noszony przez pracowników Menażerii, Egzotycznego Domu. Ktokolwiek go usunął, fatalnie to zrobił.

Zaciekawiona, podwinęła drugi rękaw Inej. Skóra była gładka i czysta. Inej nie miała wrony i kielicha – tatuażu każdego pełnoprawnego członka Szumowin. Alianse nieustannie zmieniały się w Baryłce, ale gang był twoją rodziną, jedyną ochroną, która się liczyła. Nina sama nosiła dwa tatuaże. Na lewym przedramieniu tatuaż Domu Białej Róży. Ale liczył się ten na prawej ręce: wrona próbująca napić się z niemal pustego kielicha. Ten tatuaż mówił światu, że należy do Szumowin; że

zadzierając z nią, każdy ryzykuje zemstę ze strony gangu.

Inej należała do gangu dłużej niż Nina, a jednak nie nosiła tatuażu. Dziwne. Była jednym z najcenniejszych członków i było jasne, że Kaz jej ufał – w każdym razie w takim stopniu, w jakim Kaz był w stanie komukolwiek zaufać. Nina pomyślała o wyrazie jego twarzy, kiedy kładł Inej na stole. To był ten sam Kaz co zawsze – zimny, chamski, nieznośny – ale pod gniewem dostrzegła coś jeszcze. A może była romantyczką.

Zaśmiała się z siebie. Nikomu nie życzyłaby miłości. To gość, którego chętnie witasz, a potem nie możesz się go pozbyć.

Odgarnęła proste czarne włosy z twarzy Inej.

– Wyzdrowiej, proszę – szepnęła.

Nie mogła znieść słabego drżenia w swoim głosie, gdy odezwała się w kajucie. Nie brzmiała jak żołnierz-grisza albo twardy członek Szumowin. Brzmiała jak mała dziewczynka, która nie wie, co robi. I właśnie tak się czuła. Jej szkolenie rzeczywiście było za krótkie. Za wcześnie wysłano ją na pierwszą misję. Zoya właśnie to wtedy powiedziała, ale Nina błagała, żeby ją puściła, a że potrzebowano Niny, starsza grisza ustąpiła.

Zoya Nazyalensky, potężna szkwalniczka, olśniewająca do granic absurdu, która jednym uniesieniem brwi potrafiła obrócić całą pewność siebie Niny w popiół. Nina ją uwielbiała.

„Lekkomyślna, niemądra, łatwo się rozprasza”. To właśnie powiedziała Zoya na jej temat. To i wiele gorszych rzeczy.

– Miałaś rację, Zoya. Cieszysz się?

– Kręci mi się w głowie – powiedział Jesper, stając w progu.

Zaskoczona Nina podniosła głowę i zobaczyła, że Jesper kołysze się na nogach.

– Kto to jest Zoya? – zapytał.

Nina zgarbiła się na krześle.

– Nikt. Członkini Triumwiratu Griszów.

– Nieźle. To ci, którzy dowodzą Drugą Armią?

– Tym, co z niej zostało.

Żołnierze-griszowie z Ravki zostali zdziesiątkowani w czasie wojny. Niektórzy uciekli. Większość zginęła.

Nina potarła zmęczone oczy.

– Wiesz, jak najłatwiej znaleźć griszę, który nie chce zostać odnaleziony?

Jesper podrapał się po karku, dotknął kolb rewolwerów i znowu potarł kark. Wydawało się, że nieustannie jest w ruchu.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Trzeba szukać cudów i słuchać bajek na dobranoc.

Iść tropem opowieści o czarownicach i goblinach, niewyjaśnionych wydarzeń. Czasem to tylko przesady. Często jednak w sercu lokalnych legend kryła się prawda – ludzie urodzeni z darem, którego ich kraj nie rozumie. Nina stała się specjalistką w wietrzeniu takich historii.

– Wydaje mi się, że skoro nie chcą być odnalezieni, to powinno zostawić się ich w spokoju.

Nina posłała mu mroczne spojrzenie.

– *Drüskelle* nie zostawią ich w spokoju. Wszędzie polują na griszów.

– Wszyscy są tacy czarujący jak Matthias?

– Albo gorsi.

– Muszę znaleźć mu łańcuchy na nogi. Kaz przydziela mi najzabawniejsze zadania.

– Chcesz się zamienić? – zapytała zmęczonym głosem Nina.

Nerwowa energia w tykawatym ciele Jespera jakby przygasała. Nina jeszcze nie widziała, żeby aż tak znieruchomiał. Jego wzrok po raz pierwszy, odkąd wszedł do małej kajuty, skupił się na Inej. Starał się na nią nie patrzeć, zdała sobie sprawę Nina. Nie chciał na nią spojrzeć. Koc poruszał się słabo od jej płytkich oddechów. Kiedy Jesper się odezwał, głos miał napięty jak struny zbyt ostro nastrojonego instrumentu:

– Ona nie może umrzeć. Nie w taki sposób.

Nina zerknęła na niego zdumiona.

– Nie w jaki sposób?

– Nie może umrzeć – powtórzył.

Ninę ogarnęła frustracja. Była rozdarta między chęcią przytulenia mocno Jespera i nawrzeszczenia na niego, by

zrozumiał, że się starała.

– Na wszystkich świętych, Jesper, robię, co mogę.

Poruszył się i jego ciało znowu ożyło.

– Przepraszam – odpowiedział trochę zakłopotany. Poklepał ją niezręcznie po ramieniu. – Świetnie się spisujesz.

Nina westchnęła.

– Nie bardzo to przekonujące. Może pójdziesz skuć blond olbrzyma?

Jesper zasalutował i wymknął się z kajuty.

Chociaż był denerwujący, Ninę kusilo, żeby zawołać go z powrotem. Kiedy wyszedł, został tylko głos Zoi w jej głowie i przypomnienie, że nawet jej najlepsze starania nie wystarczą.

Skóra Inej wydawała się za zimna w dotyku. Nina położyła dłoń na jednym i drugim ramieniu dziewczyny, próbując poprawić przepływ krwi, odrobinę podnieść temperaturę ciała.

Nie była całkiem szczerą z Jesperem. Triumwirat nie chciał jedynie uratować griszów przed fjerdańskimi łowcami czarownic. Wysyłali misje na Wyspę Tułaczą i do Nowoziemia, ponieważ Ravka potrzebowała żołnierzy. Wynajdywali griszów, którzy żyli w ukryciu, i próbowali ich przekonać, żeby zamieszkali w Ravce i służyli koronie.

Nina była za młoda, żeby walczyć w wojnie domowej w Ravce, a desperacko chciała się przyczynić do odbudowy Drugiej Armii. To jej talent do języków – znała język shu, kaelski, sulijski, fjerdański i nawet trochę nowoziemski – ostatecznie przeważał zastrzeżenia Zoi. Zgodziła się, żeby Nina towarzyszyła jej zespołowi Egzaminatorów w wyprawie na Wyspę Tułaczą, gdzie mimo złych przeczuć Zoi Nina odniosła sukces. Przebrana za podróżnika zakradała się do karczm i powozowni, żeby podsłuchiwać rozmowy i gawędzić z miejscowymi, a potem przekazywała zasłyszane informacje:

– Jeśli wybierasz się do Maroch Glen, to koniecznie jedź za dnia. Udręczone duchy wędrują po tych ziemiach, burze wybuchają ni stąd, ni zowąd.

Albo:

– Wiedźma ze Wzgórz jest jak najbardziej prawdziwa. Mój kuzyn drugiego stopnia poszedł do niej, kiedy nagle dostał *tsifilu*, i teraz przysięga, że nigdy nie był zdrowszy. Co masz na myśli, mówiąc, że ma nie po kolei w głowie? Ma więcej oleju w głowie, niż ty będziesz mieć kiedykolwiek!

Znaleźli dwie rodziny griszów ukrywające się w rzekomo zaczarowanych jaskiniach Istamere, oraz ocalili matkę, ojca i dwóch chłopców – piekielników, którzy potrafili kontrolować ogień – przed motłochem w Fenfordzie. Napadli nawet na statek niewolniczy w pobliżu portu w Leflinie. Kiedy już posortowano uchodźców, tym pozbawionym mocy zaproponowano bezpieczną podróż z powrotem do domu, a tym, których moce zostały potwierdzone przez Egzaminatora, zaproponowano azyl w Ravce. Tylko ciałobójczyni znana jako Wiedźma ze Wzgórz wolała zostać w domu.

– Jeśli chcą mojej krwi, to niech po mnie przyjdą – powiedziała ze śmiechem. – Utoczę w zamian trochę ich własnej.

Nina mówiła po kaelsku jak tubylec i uwielbiała wyzwanie, jakim było przyjmowanie nowej tożsamości w każdym mieście. Jednak pomimo ich wszystkich triumfów, Zoya nie była zadowolona.

– Biegłość w językach obcych nie wystarczy – zbeształa ją. – Musisz się nauczyć być... mniej widoczną. Jesteś za głośna, za wylewna, zbyt łatwo cię zapamiętać. Podejmujesz zbyt duże ryzyko.

– Zoya – odezwał się Egzaminator, który z nimi podróżował. – Opuść jej trochę.

Był żywym amplifikatorem. Po śmierci jego kości będą wzmacniały moc zupełnie tak samo, jak rekinie zęby albo niedźwiedzie pazury noszone przez innych griszów. Jednakże żywy był nieoceniony dla ich misji, bo nauczono go korzystać ze swojego daru amplifikacji tak, żeby dotykiem wyczuwał moce griszy.

Przez większość czasu Zoya go chroniła, ale teraz zmrużyła ciemnoniebieskie oczy w szparki.

– Moi nauczyciele nie traktowali mnie łagodnie. Jeśli skończy w lesie goniona przez motłoch, to też powiesz tym wieśniakom, żeby jej odpuścili?

Nina odeszła wściekła, ze zranioną dumą, zawstydzona swoimi łzami w oczach. Zoya krzyczała na nią, żeby nie przekraczała grani wzgórza, ale Nina ją zignorowała, chciała jak najbardziej oddalić się od szkwalniczki. I weszła prosto do obozu *drüskelle*. Sześciu blondynów rozmawiających po fjerdańsku siedziało w gromadce na urwisku nad brzegiem. Nie rozpalili ognia i ubrali się jak kaelscy chłopci, ale od razu zorientowała się, kim są.

Wpatrywali się w nią – oświetloną tylko blaskiem księżyca – przez długą chwilę.

– Och, co za szczęście – powiedziała w śpiewnym kaelskim. – Podróżuję z rodziną i zgubiłam się w lesie. Wskażecie mi, którądy dojdę do drogi?

– Chyba się zgubiła – jeden z nich przetłumaczył pozostałym na fjerdański.

Inny Fjerdanin wstał z latarnią w ręku. Był wyższy od pozostałych. Wszystkie instynkty Niny krzyczały, żeby uciekać, kiedy podszedł.

Nie wiedząc, czym jesteś, upominała się w myślach. Jesteś tylko miłą kaelską dziewczyną, która zgubiła się w lesie. Nie rób niczego głupiego. Odciągnij go od pozostałych, a potem go załatw.

Uniósł latarnię, oświetlając twarze ich obojga. Włosy miał długie i lśniące złote, jego jasne niebieskie oczy błyszczały jak lód w zimowym słońcu.

Wygląda jak obraz, pomyślała. Jak święty namalowany na ścianie kościoła i ozdobiony płatkami złota, urodzony, żeby dzierżyć płonący miecz.

– Co tu robisz? – zapytał po fjerdańsku.

Udała zakłopotanie.

– Przepraszam – powiedziała po kaelsku. – Nie rozumiem. Zgubiłam się.

Rzucił się na nią. Nawet się nie namyślała, ale odruchowo zareagowała, unosząc ręce do ataku. Był za szybki. Bez wahania upuścił latarnię i złapał Ninę za nadgarstki, składając jej dłonie razem i uniemożliwiając jej skorzystanie ze swoich mocy.

– *Drüsje* – powiedział z zadowoleniem.

Czarownica. Szczerzył zęby w uśmiechu jak wilk.

Atak był próbą. Dziewczyna zgubiona w lesie skuliłaby się ze strachu, sięgnęła po nóż albo pistolet. Nie próbowałaby posłużyć się rękami, żeby zatrzymać jego serce.

„Lekkomyślna. Impulsywna”.

To dlatego Zoya nie chciała jej zabrać ze sobą. Właściwie wyszkolona grisza nie popełniłaby takiego błędu. Nina okazała się głupia, ale nie musiała być zdrajczynią. Błagała ich o litość po kaelsku, nie po ravkańsku, nie wzywała pomocy, kiedy związali jej ręce, grozili jej, wrzucili ją do łodzi wiosłowej jak worek prosa. Chciała krzyczeć ze strachu, przywołać Zoyę, błagać kogoś, żeby ją uratował, ale nie mogła narażać pozostałych. *Drüskelle* zabrali ją na statek zakotwiczony kawałek od wybrzeża i wrzucili do klatki pod pokładem pełnej pojmanych griszów. Wtedy zaczęła się prawdziwa groza.

Noce zlewały się z dniami w wilgotnym brzuchu statku. Ręce uwięzionych griszów były mocno związane, żeby nie mogli posługiwać się swoimi mocami. Karmiono ich chlebem, w którym roiło się od wołków zbożowych – dostawali tylko tyle, żeby nie pomarli. Musiano racjonować im słodką wodę, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy znowu na nią natrafią. Więźniowie nie mieli miejsca, w którym mogliby się załatwiać. Smród ciała i gorszych rzeczy był niemal nie do zniesienia.

Czasem statek zrzucał kotwicę i *drüskelle* wracali z następnym więźniem. Fjerdanie stawali przed ich klatką, jedząc i pijąc, kpiąc z ich brudnych ubrań i smrodu. Chociaż było strasznie, strach przed tym, co ich czeka, był jeszcze gorszy – inkwizytorzy Lodowego Dworu, tortury, nieuchronna śmierć. Nina śniła, że płonie żywcem na stosie, i budziła się z krzykiem. Koszmary, strach, majaki z głodu pomieszały się tak, że przestała mieć

pewność, co jest prawdziwe, a co nie.

Pewnego dnia *drüskelle* stłoczyli się w ładowni ubrani w świeżo wyprasowane czarno-srebrne mundury z białymi łbami wilków na rękawach. Stanęli w uporządkowanych szeregach na baczność, kiedy wszedł ich dowódca. Tak jak oni wszyscy, był wysoki, ale nosił schludną brodę, a jego długie blond włosy posiwiały na skroniach. Przeszedł wzdłuż ładowni, a potem przystanął przed więźniami.

– Ilu? – zapytał.

– Piętnastu – odpowiedział chłopak o błyszczących złotych włosach, który ją złapał.

Pierwszy raz widziała go w ładowni.

Dowódca odchrząknął i splótł dłonie za plecami.

– Jestem Jarl Brum.

Ninę przeszedł dreszcz grozy i poczuła, że rozszedł się echem w klatce griszów – ostrzeżenie, na które żaden z więźniów nie mógł zareagować.

W szkole Nina miała obsesję na punkcie *drüskelle*. To były stwory z jej koszmarów – z białymi wilkami, okrutnymi nożami i koźmi, które hodowano z myślą o walce z griszami. To dlatego pracowała nad udoskonaleniem swojego fjerdańskiego i pogłębieniem wiedzy o ich kulturze. W ten sposób przygotowywała się na nich, na nadchodzącą walkę. Jarl Brum był z nich najgorszy.

Był legendą, potworem czającym się w ciemności. *Drüskelle* istnieli od setek lat, ale pod dowództwem Bruma ich siły podwoiły się i stały się nieskończenie bardziej zabójcze. Zmienił ich sposób szkolenia, wprowadził techniki wykorzeniania griszów w Fjerdzie, przenikania przez granice Ravki, zaczął ścigać samotnych griszów w innych krajach, a nawet polować na statki niewolnicze i „uwalniać” griszów, mając na celu jedynie zakucie ich w łańcuchy i odesłanie do Fjerdy na proces i egzekucję. Wyobrażała sobie, że pewnego dnia stawi czoło Brumowi jako mściwa wojowniczką albo sprytny szpieg. Nie wyobrażała sobie siebie w klatce, gdzie ubrana w łachmany i ze

związanymi rękami przymiera głodem.

Brum musiał wiedzieć, jakie wrażenie zrobiło jego nazwisko. Odczekał długą chwilę, zanim powiedział w doskonałym kaelskim:

– Przed wami stoi następne pokolenie *drüskelle*, świętego zakonu, którego zadaniem jest chronienie niezawisłego państwa Fjerdy przez wyplenienie waszego rodzaju. Zabiorą was do Fjerdy na proces, żeby zdobyć rangę oficera. Są najsilniejsi i najlepsi z naszego rodzaju.

Oprawcy, pomyślała Nina.

– Kiedy dotrzemy do Fjerdy, zostaniecie przesłuchani i osądzeni za swoje zbrodnie.

– Łaski – odezwał się jeden z więźniów – ja nic nie zrobiłem. Jestem farmerem. Nie zrobiłem wam krzywdy.

– Jesteś obrazą dla Djela – odpowiedział Brum. – Plagą na ziemi. Ty mówisz o pokoju, ale co z twoimi dziećmi, którym możesz przekazać swoją demoniczną moc? Co z ich dziećmi? Oszczędzam litość dla bezradnych mężczyzn i kobiet wykoszonych przez plugastwo, jakim są griszowie.

Spojrzał na *drüskelle*.

– Świetne robota, chłopcy – pochwalił ich po fjerdańsku. – Natychmiast płyniemy do Djerholmu.

Drüskelle pękali z dumy. Kiedy tylko Brum wyszedł z ładowni, zaczęli poszturchiwać się przyjaźnie, śmiejąc się z ulgi i zadowolenia.

– Rzeczywiście dobra robota – powiedział jeden po fjerdańsku.

– Piętnastu griszów, których dostarczymy do Lodowego Dworu!

– Jeśli dzięki temu nie zdobędziemy zębów...

– Pewnie, że zdobędziemy.

– To dobrze, bo mam dość golenia się każdego ranka.

– Zapuszczę sobie brodę aż do pępka.

Wtedy jeden z nich sięgnął przez pręty klatki i złapał Ninę za włosy.

– Ta mi się podoba, nadal ładna i krągła. Może powinniśmy otworzyć klatkę i umyć ją wodą z węża.

Chłopak o złotych włosach dzielił towarzysza w rękę.

– Co z tobą? – odezwał się pierwszy raz od wyjścia Bruma. Przelotna wdzięczność, jaką do niego poczuła, zniknęła, gdy usłyszała jego dalsze słowa: – Z psem też byś cudzołożył?

– A jak ten pies wygląda?

Pozostali ryknęli śmiechem i zaczęli wychodzić z ładowni. Złotowłosy, który porównał ją do zwierzęcia, szedł ostatni, i kiedy już miał zniknąć w przejściu, Nina odezwała się czystym, perfekcyjnym fjerdańskim:

– Jakie zbrodnie?

Zamarł, a kiedy odwrócił się do niej, jego niebieskie oczy płonęły nienawiścią. Nawet się nie wzdrygnęła.

– Jakim cudem mówisz w moim języku? Służyłaś na północnej granicy Ravki?

– Jestem Kaelką – skłamała – i potrafię mówić w każdym języku.

– Czary.

– Jeśli za czary uznasz tajemną sztukę czytania. Twój dowódca powiedział, że będziemy sądzeni za nasze zbrodnie. Chcę, żebyś mi powiedział, jakie zbrodnie popełniłam.

– Będziesz sądzona za szpiegostwo i zbrodnie przeciwko ludziom.

– Nie jesteśmy przestępcami – wtrącił łamanym fjerdańskim fabrykator ze swojego miejsca na podłodze. Siedział w klatce najdłużej i był za słaby, żeby wstać. – Jesteśmy zwykłymi ludźmi, farmerami, nauczycielami.

Nie ja, pomyślała ponuro Nina. Ja jestem żołnierzem.

– Odbędzie się proces – odpowiedział *drüskelle*. – Zostaniecie potraktowani sprawliwiej, niż wasz rodzaj na to zasługuje.

– Ilu griszów uznaliście za niewinnych? – zapytała Nina.

Fabrykator jęknął.

– Nie prowokuj go. Nie zachwiejesz jego umysłem.

Ona jednak złapała się pretów związanymi rękami i powiedziała:

– Ilu? Ilu wysłałeś na stos?

Odwrócił się do niej plecami.

– Czekaaj!

Udał, że jej nie słyszy.

– Czekaaj! Błagam! Trochę... trochę wody do picia. Potraktowałbyś tak własnego psa?

Przystanął z ręką na drzwiach.

– Nie powinienem był tak mówić. Psy są przynajmniej wierne. Wierne wobec stada. Porównanie cię do psa to obraza dla niego.

Rzucę cię na pożarcie stada wygłodniałych psów, pomyślała Nina. Powiedziała jednak tylko:

– Wody. Proszę.

Zniknął w przejściu. Usłyszała, że wchodzi po drabinie, a potem luk zamknął się z hukiem.

– Nie marnuj na niego oddechu – poradził jej fabrykator. – Nie okaże ci żadnej dobroci.

A jednak jakiś czas później *drüskelle* wrócił z cynowym kubeczkiem i wiadrem czystej wody. Postawił je w celi i bez słowa zatrzasnął z powrotem klatkę. Nina pomogła fabrykatorowi napić się, a potem sama wypila łąpczywie kubek wody. Ręce tak bardzo jej się trzęsły, że połowę wylała sobie na bluzkę. Fjerdanin odwrócił się i Nina z przyjemnością zauważyła, że wprawiała go w zakłopotanie.

– Zabiłabym za kąpiel – zaszydziła z niego. – Mógłbyś mnie umyć.

– Nie odzywaj się do mnie – warknął, już idąc do drzwi.

Nie wrócił i musieli obyć się bez wody pitnej przez następne trzy dni. Kiedy jednak rozpętał się sztorm, cynowy kubek uratował jej życie.



Głowa opadła Ninie na pierś. Gwałtownie się obudziła. Czyżby przysnęła?

Matthias stał w przejściu przed kajutą. Wypełniał cały otwór

drzwiowy; był zdecydowanie za wysoki, żeby dobrze czuć się pod pokładem. Jak długo ją obserwował? Szybko sprawdziła puls i oddech Inej i z ulgą uznała, że jej stan wydaje się na razie stabilny.

– Spałam? – spytała.

– Zdrzemnęłaś się.

Przeciągnęła się i zamrugła, próbując otrząsnąć się ze zmęczenia.

– Ale nie chrapałam?

Nic nie powiedział, tylko patrzył na nią oczami jak odłamki lodu.

– Dali ci brzytwę?

Podniósł skute ręce do świeżo ogolonej szczęki.

– Jesper to zrobił.

Jesper musiał też zająć się włosami Matthiasa. Kępki włosów, które odrastały nierówno, schludnie przycięto. Nadal były za krótkie – ledwie złoty meszek na skórze poznaczonej rozcięciami i siniakami po ostatniej walce we Wrotach Piekieł.

Musi jednak cieszyć się, że uwolniono go od brody, pomyślała Nina. Dopóki *drüskelle* nie przeprowadzi samodzielnej misji i nie zyska statusu oficera, musi się golić na gładko. Gdyby Matthias sprowadził Ninę na proces w Lodowym Dworze, otrzymałby pozwolenie na zapuszczenie brody. Nosiłby też srebrny wilczy łeb oznaczający oficera *drüskelle*. Robiło jej się niedobrze na samą myśl. Gratulacje z okazji awansu na wyższego rangą mordercę – ta myśl pomogła jej przypomnieć sobie, z kim ma do czynienia. Wprostowała się na krześle i uniosła podbródek.

– *Hje marden*, Matthias? – zapytała.

– Przestań.

– Wolisz, jak mówię po kercheńsku?

– Nie chcę słyszeć ojczystego języka z twoich warg.

Jego wzrok padł na jej usta, a ją oblał niechciany rumieniec.

Z mściwą satysfakcją powiedziała po fjerdańsku:

– Ale zawsze podobało ci się, jak mówię w twoim języku. Mawiałeś, że brzmi czysto.

To była prawda. Uwielbiał jej akcent, samogłoski księżniczki, które zawdzięczała nauczycielom z Małego Pałacu.

– Nie drażnij mnie – powiedział. Kercheński w wykonaniu Matthiasa był brzydki; mówił z brutalnym, gardłowym akcentem złodziei i morderców, których poznał w więzieniu. – To ułaskawienie to sen, którego trudno się trzymać. O wiele łatwiej mi przywołać wspomnienie twojego pulsu słabnącego pod moimi palcami.

– Spróbuj – powiedziała z gniewem. Miała dość jego grózb. – Moje ręce nie są teraz związane.

Zakrzywiła palce i Matthias wciągnął gwałtownie powietrze, kiedy serce zaczęło mu bić jak szalone.

– Czarownica! – Splunął, łapiąc się za pierś.

– Na pewno stać cię na więcej. Musiałeś do tej pory wymyślić setkę wyzwisk dla mnie.

– Tysiąc – burknął, kiedy pot zlał mu czoło.

Rozluźniła palce nagle zakłopotana. Co ona wyprawia? Karze go? Bawi się nim? Miał wszelkie prawo nienawidzić jej.

– Odejdź. Muszę się zająć pacjentką.

Skupiła się na sprawdzaniu temperatury ciała Inej.

– Przeżyje?

– A co cię to obchodzi?

– Po prostu obchodzi mnie. To istota ludzka.

Usłyszała niewypowiedziane zakończenie tego zdania. Jest istotą ludzką w przeciwieństwie do ciebie. Fjerdanie nie wierzyli, że griszowie to ludzie. Nie dorównywali nawet zwierzętom, byli czymś niskim i demonicznym, zarazą, plugastwem.

Wzruszyła ramionami.

– Naprawdę nie wiem. Zrobiłam, co w mojej mocy, ale mój dar polega na czymś innym.

– Kaz zapytał cię, czy Biała Róża wyśle delegację na Hringkälle.

– Znasz Białą Różę?

– Zachodnia Klepka to ulubiony temat rozmów we Wrotach Piekieł.

Nina się zawahała. A potem bez słowa podwinęła rękaw koszuli. Dwie splecione róże po wewnętrznej stronie przedramienia. Mogłaby wyjaśnić, co tam robiła, że nigdy nie zarabiała na leżeniu na plecach, ale to nie jego sprawa, co robiła, a czego nie. Niech wierzy w to, co zechce.

– Zdecydowałaś się tam pracować?

– „Zdecydowałam” to trochę za dużo powiedziane.

– Dlaczego? Po co zostałam w Kerchu?

Potarła oczy.

– Nie mogłam zostawić cię we Wrotach Piekieł.

– To ty mnie tam wsadziłaś!

– To był błąd.

Wściekłość zapłonęła w jego oczach, pozór spokoju prysnął w jednej chwili.

– Błąd?! Ocaliłem ci życie, a ty oskarżyłaś mnie o handel niewolnikami.

– Tak. I przez większość minionego roku próbowałam znaleźć sposób, żeby to naprawić.

– Czy prawdziwe słowo kiedykolwiek opuściło twoje usta?

Zgarbiła się zmęczona w krzesło.

– Nigdy cię nie okłamałam. I nigdy nie okłamię.

– Pierwsze słowa, jakie do mnie powiedziałaś, były kłamstwem. Wypowiedzianym po kaelsku, o ile dobrze pamiętam.

– Wypowiedziałam je tuż przed tym, jak mnie złapałeś i wsadziłeś do klatki. Czy to był dobry moment na mówienie prawdy?

– Nie powinienem cię winić. Nic na to nie możesz poradzić. Przemilczenia leżą w twojej naturze. – Zerknął na jej szyję. – Siniaki zniknęły.

– Usunęłam je. To ci przeszkadza?

Matthias nic nie powiedział, ale dostrzegła błysk wstydu na jego twarzy. Zawsze walczył z własną przyzwoitością. Żeby stać się *drüskelle*, musiał zabić w sobie dobro. Jednak chłopiec, którym powinien być, zawsze gdzieś tam się krył, i zaczęła

dostrzegać prawdę na jego temat w dniach, które spędzili razem po katastrofie morskiej. Chciała wierzyć, że ten chłopiec nadal tam tkwi, zamknięty, mimo jej zdrady i tego, co przeżył we Wrotach Piekieł.

Kiedy teraz patrzyła na niego, nie była już taka pewna. Może taka właśnie była prawda na jego temat; może obraz, którego trzymała się przez ostatni rok, był złudzeniem.

– Muszę zająć się Inej – powiedziała, chcąc, żeby sobie poszedł.

Nie wyszedł. Zamiast tego zapytał:

– Myślałaś w ogóle o mnie? Miałaś kłopoty ze spaniem?

Wzruszyła ramionami.

– Somatyk może spać, kiedy zechce.

Chociaż nie może kontrolować swoich snów.

– Sen to luksus we Wrotach Piekieł. To rzecz niebezpieczna. Ale kiedy spałem, śniłem o tobie.

Poderwała głowę.

– Zgadza się. Za każdym razem, gdy zamykałem oczy.

– Co się działo w tych snach? – zapytała, pragnąc poznać odpowiedź i zarazem bojąc się jej.

– Straszne rzeczy, najgorsze tortury. Topiłaś mnie powoli. Spalałaś mi serce w piersi. Oślepiłaś mnie.

– Byłam potworem.

– Potworem, dziewczęciem, lodową sylfidą. Całowałaś mnie, szeptałaś mi opowieści do ucha. Śpiewałaś mi i tuliłaś mnie, gdy spałem. Twój śmiech ścigał mnie jeszcze na jawie.

– Nienawidziłeś mojego śmiechu.

– Uwielbiałem twój śmiech. I zacięte serce wojowniczkki. Może cię nawet kiedyś kochałem.

Kiedys. Dawniej. Zanim go zdradziła. Te słowa wywołały ból w jej piersi.

Wiedziała, że nie powinna się odzywać, ale nie mogła się powstrzymać.

– A co ty robiłeś? Co robiłeś ze mną w tych snach?

Statek przechylił się delikatnie. Latarnie się zakołysały. Oczy Matthiasa przywodziły na myśl błękitny ogień.

– Wszystko – odpowiedział, odwracając się do wyjścia. –
Wszystko.



Kiedy wyszedł na pokład, musiał od razu podejść do relingu. Te wszystkie szczury kanałowe i kanale ze slumsów z łatwością przywykły do kołysania po całym życiu skakania z łodzi na łódź na kanałach Ketterdamu. Tylko mięczak Wylan męczył się na morzu. Wyglądał równie marnie, jak Matthias się czuł.

Na świeżym powietrzu, gdzie mógł wpatrywać się w horyzont, poczuł się lepiej. Dawał sobie radę podczas rejsów jako *drüskelle*, ale zawsze lepiej czuł się na lądzie, na lodzie. Upokarzające było wymiotowanie na oczach tych wszystkich cudzoziemców po raz trzeci w ciągu trzech godzin.

Przynajmniej Nina nie widziała jego wstydu. Cały czas myślał o niej, jak siedziała w kajucie, pielęgnując brązowoskórą dziewczynę. O jej trosce i dobroci. I zmęczeniu. Wyglądała na wycieńczoną. „To był błąd”, powiedziała. Napiętnowanie go jako handlarza niewolnikami, wrzucenie na kercheński statek i potem do więzienia? Twierdziła, że próbowała to naprawić. Jeśli nawet to była prawda, jakie miało to znaczenie? Jej rodzaj nie wiedział, co to honor. Sama to udowodniła.

Ktoś zaparzył kawę i Matthias zobaczył, że załoga pije z miedzianych kubków z ceramicznymi przykrywkami.

Przyszło mu na myśl, żeby zanieść kubek Ninie, ale zaraz zdławił ten pomysł. Nie musiał się nią opiekować ani mówić Brekkerowi, że przydałby się jej odpoczynek. Zacisnął palce, patrząc na strupy na kostkach. Zasiała w nim tak wielką słabość!

Brekker przywołał go gestem na dziobówkę, gdzie z Jesperem i Wylanem oglądali plany Lodowego Dworu z dala od oczu i uszu załogi. Widok tych rysunków był jak nóż wbity w serce. Mury, bramy, straże. To powinno zniechęcić tych głupców, ale najwyraźniej był równie głupi jak oni.

– Dlaczego niczego nie opisano? – zapytał Brekker, wskazując plany.

– Nie znam fjerdańskiego, a wszystkie szczegóły muszą się zgadzać – powiedział Wylan. – Helvar powinien się tym zająć. – Cofnął się na widok miny Matthiasa. – Ja tylko robię swoje. Przestań piorunować mnie wzrokiem.

– Nie – warknął Matthias.

– Trzymaj – powiedział Kaz, rzucając mu maleńki przezroczysty dysk, który zamigotał w słońcu.

Demon rozsiadł się na beczce i oparł plecami o maszt, a chorą nogę położył wyżej na zwoju lin. Przeklętą laskę trzymał na kolanach. Matthias lubił sobie wyobrazać, jak łamie ją na drzazgi i karmi nimi Brekkera.

– Co to jest?

– Jeden z nowych wynalazków Raskego.

Wylan podniósł głowę.

– Myślałem, że zajmuje się materiałami wybuchowymi.

– On robi wszystko – odparł Jesper.

– Wsuńcie to między zęby trzonowe – powiedział Kaz, podając każdemu po dysku. – Ale nie zagryzajcie...

Wylan zaczął charczeć i kaszleć, drapiąc twarz. Przezroczysta warstewka pokrywała mu usta; wybrzuszyła się jak żabi przelyk, kiedy próbował oddychać. Spanikowany zezował na boki.

Jesper zaczął się śmiać, a Kaz tylko pokręcił głową.

– Mówiłem, nie zagryzać, Wylan. Oddychaj przez nos.

Chłopak wziął kilka głębokich wdechów, wydymając nozdrza.

– Spokojnie – powiedział Jesper – bo zaraz zemdlejesz.
– Co to jest? – zapytał Matthias, nadal trzymając małeńki dysk na dłoni.

Kaz włożył swój głębooko do ust i wsunął między zęby.

– *Baleen*. Zamierzałem je zachować na później, ale po zasadzce nie wiem, na jakie kłopoty możemy natknąć się na otwartym morzu. Jeśli wypadniecie za burtę i nie będziecie mogli wypłynąć, żeby nabrać powietrza, wyjmijcie go spomiędzy zębów i zgryźcie. To wam da jakieś dziesięć minut oddychania. Mniej, jeśli będziecie panikować – powiedział, rzucając znaczące spojrzenie Wylanowi. Podał mu drugi *baleen*. – Uważaj z tym.

A potem popukał w plany Lodowego Dworu.

– Nazwy, Helvar. Wszystkie.

Matthias niechętnie wziął pióro i atrament, które Wylan wyłożył, i zaczął zapisywać nazwy budynków i dróg w okolicy. Jakimś cudem, kiedy sam to robił, czuł się jeszcze bardziej zdrajcą. Pewna częśćka jego osoby zastanawiała się, czy zdołałby oddzielić się od grupy na miejscu, zdradzić ich położenie, i w ten sposób wkupić się z powrotem w łaski rządu. Czy ktokolwiek w Lodowym Dworze choćby go rozpozna? Pewnie uznano go za zmarłego, założono, że utonął w katastrofie morskiej, która zabiła jego najbliższych przyjaciół i dowódcę, Bruma. Nie miał żadnego dowodu, który potwierdziłby jego prawdziwą tożsamość. Będzie obcym, który nie ma powodu zjawiać się w Lodowym Dworze, i zanim ktokolwiek go wysłucha...

– Coś ukrywasz – powiedział Brekker, wbijając w niego spojrzenie ciemnych oczu.

Matthias zignorował dreszcz, który go przeszedł. Czasem miał wrażenie, że ten demon potrafi czytać w myślach.

– Mówię, co wiem.

– Sumienie zakłóca działanie twojej pamięci. Przypomnij sobie warunki naszej umowy.

– W porządku – powiedział Matthias, gdy wezbrał w nim gniew. – Chcesz poznać moją opinię? Twój plan nie wypali.

– Nawet nie znasz mojego planu.

- Wejść przez więzienie, wyjść przez ambasadę?
- To początek.
- Tego się nie da zrobić. Sektor więzienny jest całkowicie odcięty od reszty Lodowego Dworu. Nie łączy się z ambasadą. Nie dotrzecie do niej z więzień.
- Jest tam dach, prawda?
- Nie dostaniecie się na dach – odparł z satysfakcją Matthias. – W ramach szkolenia *drüskelle* przez trzy miesiące pracują z uwięzionymi griszami i strażnikami. Byłem w więzieniu i nie można wyjść stamtąd na dach. Właśnie z tego powodu, że nie chcemy, żeby ktoś, kto wydostał się z celi, biegał po całym Lodowym Dworze. Więzienie jest całkowicie odcięte od pozostałych sektorów w zewnętrznym pierścieniu. Jak już wejdziecie, to tam zostanieie.
- Zawsze jest jakieś wyjście. – Kaz wyjął plan więzienia ze stosu papierów. – Pięć kondygnacji, tak? Poziom z aresztem i cztery poziomy cel. Zatem co jest tutaj? W piwnicy?
- Nic. Pralnia i spalarnia.
- Spalarnia.
- Tam spalamy ubrania skazańców po ich przybyciu. Chcemy zapobiec zarazie, ale... – Kiedy tylko Matthias to powiedział, zrozumiał, co Brekker ma na myśli. – Słodki Djelu, chcesz, żebyśmy wspięli się sześć poziomów kominem spalarni?
- Kiedy piec działa?
- O ile dobrze pamiętam, wczesnym rankiem, ale nawet po zgaszeniu...
- On nie oczekuje, że my się tamtędy wespniemy – powiedziała Nina, wychodząc spod pokładu.
- Kaz usiadł prosto.
- Kto pilnuje Inej?
- Rotty. Wracam do niej za minutę. Musiałam odetchnąć świeżym powietrzem. I nie udawaj, że troszczysz się o nią, skoro zamierzasz kazać jej wspiać się sześć kondygnacji kominem, dając jej tylko linę i modlitwę.
- Zjawa da sobie radę.

– Ta Zjawa to szesnastoletnia dziewczyna, która leży nieprzytomna na stole. Może nawet nie przeżyć tej nocy.

– Przeżyje – powiedział Kaz i coś dzikiego zabłysło w jego oczach.

Matthias podejrzewał, że Brekker przywłókłby ją z powrotem z samych piekieł, gdyby musiał.

Jesper podniósł karabin i zaczął przecierać go miękką szmatką.

– Dlaczego rozmawiamy o wspinaczce kominami, kiedy mamy poważniejszy problem?

– A mianowicie? – zapytał Kaz, chociaż Matthias miał nieodparte wrażenie, że zna odpowiedź.

– Nie ma sensu szukać Bo Yul-Bayura, kiedy Pekka Rollins bierze udział w tej sprawie.

– Kim jest Pekka Rollins? – zapytał Matthias, obracając te idiotyczne sylaby w ustach.

Dla niego kercheńskie nazwiska nie miały w sobie żadnej godności. Wiedział, że ten człowiek jest przywódcą gangu i że wypycha sobie kieszenie zyskami z Piekielnego Widowiska. Już to było złe, ale Matthias wyczuwał, że chodzi o coś więcej.

Wylan zadygotał, ciągnąc za gumowatą substancję na ustach.

– Największy i najgorszy z szefów gangów działających w Ketterdamie. Ma pieniądze, których nam brakuje, powiązania, jakich my nie mamy, i pewnie wcześniej zaczął.

Jesper skinął głową.

– Chociaż raz Wylan mówi do rzeczy. Jeśli jakimś cudem pierwsi zdołamy uwolnić Bo Yul-Bayura, to gdy Rollins się dowie, że to my go pokonaliśmy, będziemy trupami.

– Pekka Rollins to szef gangu z Baryłki – powiedział Kaz. – Ni mniej, ni więcej. Przestańcie robić z niego jakiegoś nieśmiertelnego.

Tu chodzi o coś więcej, pomyślał Matthias. Brekker nie rwał się już tak do przemocy jak wcześniej, kiedy zamordował Oomena, jednak nadal w jego słowach kryła się jakaś uporczywa intensywność. Matthias był pewien, że Kaz Brekker nienawidzi

Pekki Rollinsa, i to nie tylko z powodu wysadzenia statku czy wynajęcia zbirów, którzy do nich strzelali. W tym wyczuwało się stare rany i złą krew.

Jesper odchylił się i powiedział:

– Myślisz, że Per Haskell poprze cię, kiedy się dowie, że zadarłeś z Pekką Rollinsem? Myślisz, że staruszek chce zacząć z nim wojnę?

Kaz pokręcił głową, a Matthias dostrzegł w tym prawdziwą frustrację.

– Pekka Rollins nie przyszedł na ten świat odziany w aksamit, tarzając się w *kruge*. Nadal myślicie na małą skalę. Jak Per Haskell. Ludzie tacy jak Rollins chcą, żebyście myśleli w taki sposób. Wykonamy to zadanie, podzielimy się nagrodą i staniemy się legendą Baryłki. Będziemy zespołem, który pokonał Pekkę Rollinsa.

– Może powinniśmy darować sobie podejście od północy – powiedział Wylan. – Jeśli zespół Pekki wyruszył wcześniej, to powinniśmy płynąć prosto do Djerholmu.

– W porcie będzie pełno straży – odrzekł Kaz. – Nie wspominając już o celnikach i prawnikach.

– Od południa? Przez Ravkę?

– Ta granica jest pilnie strzeżona – powiedziała Nina.

– To długa granica – zauważył Matthias.

– Ale nie sposób ocenić, gdzie najłatwiej ją przekroczyć – odpowiedziała. – Chyba że dysponujesz jakąś magiczną wiedzą na temat wież strażniczych i aktywnych posterunków. Poza tym, jeśli wejdziemy od strony Ravki, będziemy mieli na karku nie tylko Fjerdan, ale i Ravkańczyków.

Mówiła sensownie, ale Matthiasa to denerwowało. W Fjerdzie kobiety nie mówiły w taki sposób, nie rozprawiły o sprawach wojskowych ani strategii. Tyle że Nina zawsze taka była.

– Wejdziemy od północy, zgodnie z planem – powiedział Kaz.

Jesper uderzył głową o burzę i wzniósł oczy ku niebu.

– Dobrze, ale jeśli Pekka Rollins pozabija nas wszystkich, zmuszę ducha Wylana, żeby nauczył mnie grać na flecie, żebym

mógł wkurzać twojego ducha.

Brekkerowi zadrgały usta.

– A ja zatrudnię ducha Matthiasa, żeby skopał twojemu duchowi tyłek.

– Mój duch nie będzie się zadawał z twoim duchem – odparł sztywno Matthias, a potem zaczął się zastanawiać, czy morskie powietrze rzuciło mu się na mózg.

The background of the page is a dark, monochromatic composition. The upper portion features a starry sky with numerous small, bright points of light. Below the sky, there are faint, ethereal shapes that suggest a landscape or perhaps a celestial map. The overall texture is grainy and atmospheric, with subtle variations in grey and black tones.

CZEŚĆ TRZECIA

MELANCHOLIA



Wszystko ją bolało. I dlaczego pokój się ruszał?

Inej budziła się powoli, w głowie jej się mieszało. Przypomniała sobie cios nożem zadany przez Oomena, wspinaczkę po skrzyniach, ludzi krzyczących, kiedy wisiała na czubkach palców. „Zejdź, Zjawo”. Ale Kaz wrócił po nią, uratował swoją inwestycję. Musieli dotrzeć na *Ferolinda*.

Próbowała przeturlać się na bok, ból jednak był zbyt silny, więc obróciła tylko głowę. Nina drzemała na stołku przy stole, trzymając słabo jej rękę.

– Nina – wychrypiała.

Miała wrażenie, że jej gardło jest wyłożone węgą.

Nina obudziła się gwałtownie.

– Nie śpię! – wymamrotała, a potem zerknęła nieprzytomnie na Inej. – Obudziłaś się. – Usiadła prosto. – Och, na wszystkich świętych, obudziłaś się!

I Nina wybuchnęła płaczem.

Inej próbowała usiąść, ale ledwie mogła unieść głowę.

– Nie, nie – zaprotestowała Nina. – Nie próbuj się ruszać, tylko odpoczywaj.

– Nic ci nie jest?

Nina zaczęła śmiać się przez łzy.

– Nic mi nie jest. To ciebie dźgnięto nożem. Nie wiem, co ze mną nie tak. O wiele łatwiej zabijać ludzi niż się nimi opiekować.

Inej popatrzyła na nią zdumiona, a potem obie zaczęły się śmiać.

– Auuuć – jęknęła Inej. – Nie rozśmieszaj mnie. Okropnie boli. Nina się skrzywiła.

– A jak naprawdę się czujesz?

– Obolała, ale nic straszego. Pić mi się chce.

Nina podała jej cynowy kubek pełen zimnej wody.

– Świeża. Wczoraj padało.

Inej napiła się ostrożnie, a Nina przytrzymała jej głowę.

– Jak długo byłam nieprzytomna?

– Trzy dni, prawie cztery. Jesper doprowadzał nas wszystkich do szaleństwa. Wątpię, żebym widziała, jak siedzi nieruchomo przez więcej niż dwie minuty. – Wstała nagle. – Muszę powiedzieć Kazowi, że odzyskałaś przytomność! Myśleliśmy...

– Poczekaj – powiedziała Inej, łapiąc ją za rękę. – Możesz... nie mówić mu od razu?

Nina usiadła skonsternowana.

– Pewnie, ale...

– Tylko dziś wieczór. – Inej się zawahała. – To wieczór?

– Tak. Właściwie minęła już północ.

– Wiemy, kto nas zaatakował w porcie?

– Pekka Rollins. Wynajął Czarne Palce i Brzytwomewy, żeby nie dać nam wypłynąć z Piątej Przystani.

– Jak się dowiedział, skąd wypływamy?

– Nie jesteśmy jeszcze pewni.

– Widziałam Oomena...

– Oomen nie żyje. Kaz go zabił.

– Tak?

– Zabił mnóstwo ludzi. Rotty widział, jak zaatakował Czarne Palce, które dopadły cię na skrzyniach. O ile dobrze pamiętał, wyraził to dokładnie takimi słowami: „Było tam tyle krwi, że można by stodołę pomalować na czerwono”.

Inej zamknęła oczy.

– Tyle śmierci.

Otaczała ich w Baryłce, ale Inej nigdy dotąd nie zetknęła się z nią równie mocno.

– Bał się o ciebie.

– Kaz niczego się nie boi.

– Szkoda, że nie widziałaś jego twarzy, kiedy cię do mnie przyniósł.

– Jestem bardzo cenną inwestycją.

Nina rozdziawiła usta.

– Powiedz, że to nie są jego słowa.

– Oczywiście, że są. Z pominięciem słowa „cenna”.

– Idiota.

– Jak się ma Matthias?

– Też idiota. Myślisz, że dasz radę coś zjeść?

Inej pokręciła głową. Nadal nie czuła się głodna.

– Spróbuj – nalegała Nina. – Od początku nie było cię za dużo.

– Chcę teraz tylko odpocząć.

– Oczywiście. Zgaszę latarnię.

Inej znowu złapała ją za rękę.

– Nie gaś. Nie chcę jeszcze zasypiać.

– Mogłabym ci poczytać, gdybym miała coś do czytania.

W Małym Pałacu jest ciałobójca, który potrafi godzinami recytować poezję epicką. Wtedy pożałowałabyś, że nie umarłaś.

Inej zaśmiała się i skrzywiła.

– Po prostu zostań.

– W porządku. Skoro chcesz pogadać, powiedz mi, dlaczego nie masz kielicha i wrony na ręce.

– Zaczynasz od prostych pytań?

Nina skrzyżowała nogi i oparła podbródek na dłoniach.

– Czeka.

Inej milczała przez chwilę.

– Widziałaś moje blizny – zaczęła. Nina skinęła głową. – Kiedy Kaz przekonał Pera Haskella, żeby spłacił mój kontrakt w Menażerii, pierwsze, co zrobiłam, to kazałam usunąć tatuaż

z pawim piórem.

– Ktokolwiek się tym zajął, zdecydowanie to spartaczył.

– To nie był somatyk ani nawet medykus.

Tylko jeden z niedouczonej rzeźników, którzy uprawiali swój fach wśród desperatów w Baryłce. Zaproponował jej łyk whisky, a potem po prostu wyrąbał kawał skóry, zostawiając pomarszczoną plamę ran na przedramieniu. Nie przejęła się tym. Ból był wyzwoleniem. W Egzotycznym Domu ciągle rozprawiano o jej skórze. Że jest jak kawa ze słodkim mlekiem. Jak złocisty karmel. Jak satyna. Witaa z radością każde cięcie noża i blizny, jakie po tym zostawały.

– Kaz powiedział mi, że nie muszę nic robić, mam się tylko przydać gangowi.

Nauczył ją włamywać się do sejfów, kraść jak kieszonkowiec, trzymać nóż. Podarował jej pierwsze ostrze, które nazwała Sankt Petyr – nie tak ładne jak bukiet bodziszków, ale uznała, że bardziej praktyczne.

– Może wykorzystam je przeciwko tobie – powiedziała wtedy. Westchnął.

– Gdybyś tylko była aż tak żądna krwi – odparł.

Nie potrafiła orzec, czy żartował.

Teraz poruszyła się lekko na stole. Czuła ból, ale nie było bardzo źle. Zważywszy na to, jak głęboko wszedł nóż, święci musieli kierować ręką Niny.

– Kaz powiedział, że jeśli się wykażę, będę mogła dołączyć do Szumowin, kiedy będę gotowa. I tak się stało. Ale nie zrobiłam sobie tatuażu.

Nina uniosła brwi.

– Nie wiedziałam, że jest taki wybór.

– Właściwie to nie ma. Wiem, że niektórzy by nie zrozumieli, ale Kaz powiedział mi... Powiedział mi, że to mój wybór i że on nie będzie tym, kto znowu mnie napiętnuje.

Tyle że wbrew intencjom wycisnęła swoje piętno. Żywienie jakichś uczuć do Kaza Brekera było najgorszą głupotą. Wiedziała o tym. Jednak to on ją uratował, dostrzegł jej

potencjał. Postawił na nią i to coś znaczyło, nawet jeśli zrobił to z egoistycznych powodów. Nazwał ją nawet Zjawą.

– Nie podoba mi się to imię – powiedziała wtedy. – Przez nie będę kojarzyła się z trupem.

– Z duchem – poprawił ją.

– Nie mówiłeś, że będę twoim pająkiem? Dlaczego nie zostaniemy przy tym?

– Bo w Baryłce jest mnóstwo pająków. Poza tym chcesz, żeby wrogowie się ciebie bali, a nie żeby myśleli, że mogą cię zmiażdżyć czubkiem buta.

– Moi wrogowie?

– Nasi wrogowie.

Pomógł jej stworzyć legendę, którą nosiła jak zbroję, coś większego i bardziej przerażającego niż dziewczyna, którą była.

Westchnęła. Nie chciała już myśleć o Kazie.

– Mów – powiedziała do Niny.

– Powieki ci opadają. Powinnaś spać.

– Nie lubię statków. Złe wspomnienia.

– U mnie też.

– To zaśpiewaj mi coś.

Nina się roześmiała.

– Pamiętasz, jak powiedziałam, że pożałowałabyś, że nie umarłaś? Naprawdę nie chcesz, żebym śpiewała.

– Proszę.

– Znam tylko ludowe piosenki z Ravki i pijackie z Kerchu.

– Zaśpiewaj pijacką. Coś hałaśliwego.

Nina parsknęła.

– Tylko dla ciebie, Zjawo. – Odchrząknęła i zaczęła: – „Możny młody kapitan, odważny na morzu. Żołnierz i żeglarz, co nie złapał francy w łożu...”

Inej zaczęła chichotać i złapała się za bok.

– Masz rację. Potwornie fałszujesz.

– Uprzedzałam!

– Śpiewaj dalej.

Nina miała naprawdę okropny głos, ale w tej chwili pomagał

Inej pozostać na tym statku, w terażniejszości. Nie chciała myśleć o ostatnim razie, kiedy była na morzu. Trudno jednak walczyć ze wspomnieniami.

Nie powinno jej być w wozie tego ranka, kiedy zabrali ją handlarze niewolników. Miała czternaście lat i jej rodzina spędzała lato na wybrzeżu Zachodniej Ravki, rozkoszując się morzem i występując podczas karnawału na obrzeżach Os Kervo. Powinna była pomagać ojcu naprawiać siatki, ale była rozleniwiona i pozwoliła sobie na jeszcze kilka minut snu. Drzemała pod cienkimi bawełnianymi przykryciami, nasłuchując szumu fal.

Kiedy w drzwiach pojawiła się męska sylwetka, nie wiedziała nawet, że trzeba uciekać. Powiedziała tylko:

– Jeszcze pięć minut, tatku.

Wtedy złapali ją za nogi i wyciągnęli z wozu. Uderzyła mocno głową o ziemię. Było ich czterech, sami wielcy mężczyźni, żeglarze. Kiedy próbowała krzyczeć, zakneblowali ją. Związali jej ręce i jeden z nich przerzucił ją sobie przez ramię, kiedy wsiadali na łódź, którą zacumowali w zatoczce.

Później Inej dowiedziała się, że wybrzeże to ulubiona okolica łowców niewolników. Dostrzegli wóz Suli ze statku i przyплыnęli po świcie, kiedy obóz był praktycznie pusty.

Resztę podróży pamiętała jak przez mgłę. Wrzucono ją do ładowni razem z grupą innych dzieci – niektóre były starsze, inne młodsze, głównie dziewczynki, ale też paru chłopców. Była jedyną Sulijką, ale parę dzieciaków mówiło po ravkańsku, więc opowiedzieli swoje historie. Jednego chłopca zabrano ze stoczni jego ojca. Pewna dziewczynka bawiła się w basenach pływowych i za bardzo oddaliła się od przyjaciół. Inna została sprzedana przez starszego brata, który musiał spłacić długi karciane. Żeglarze mówili w języku, którego nie знаła, ale jedno z dzieci twierdziło, że popłyną na największą z zewnętrznych wysp Kerchu, gdzie zostaną sprzedani na aukcji prywatnym właścicielom domów rozkoszy w Ketterdamie i Nowoziemiu. Ściągali tam ludzie z całego świata. Inej myślała, że

niewolnictwo jest zakazane w Kerchu, ale najwyraźniej nadal handlowano tam ludźmi.

Nigdy nie zobaczyła budynku aukcyjnego. Kiedy w końcu rzucili kotwicę, Inej wyprowadzono na pokład i przekazano najpiękniejszej kobiecie, jaką kiedykolwiek widziała, wysokiej blondynce o piwnych oczach i złotych włosach.

Kobieta uniosła latarnię i obejrzała każdy cal Inej – jej zęby, piersi, nawet stopy. Pociągnęła za pozlepiane włosy na jej głowie.

– To trzeba będzie zgolić. – Potem się cofnęła. – Ładna – orzekła. – Wychudła i płaska jak patelnia, ale skórę ma nieskazitelną.

Odwróciła się, żeby potargować się z żeglarzami, a Inej stała z boku, przyciskając związane ręce do piersi, w nadal rozpiętej bluzce, spódnicy podwiniętej do pasa. Widziała blask księżyca na falach zatoczki. Skacz, pomyślała. Cokolwiek czeka cię na dnie morza, jest lepsze od miejsca, do którego zabiera cię ta kobieta. Nie miała jednak odwagi.

Dziewczyna, którą się stała, skoczyłaby bez chwili wahania i może zabrałaby ze sobą któregoś z handlarzy. A może tylko się oszukiwała. Zamarła, kiedy Tante Heleen zagadnęła ją przy Zachodniej Klepce. Nie była silniejsza, odważniejsza; była tą samą sulijską dziewczyną, która stała sparaliżowana i upokorzona na pokładzie statku.

Nina nadal śpiewała coś o żeglarzu, który porzucił swoją ukochaną.

– Naucz mnie refrenu – poprosiła Inej.

– Powinnaś odpocząć.

– Refren.

Nina nauczyła ją słów i śpiewały razem, myląc wersy, rozpaczliwie fałszując, aż światło w latarniach zaczęło dogasać.



Jesper czuł, że właściwie jest gotowy rzucić się za burtę dla samej chwili odmiany w codziennej rutynie. Jeszcze sześć dni. Jeszcze sześć dni na tym statku, o ile wiatr będzie im sprzyjał, i powinni dotrzeć do lądu. Zachodnie wybrzeże Fjerdy to same niebezpieczne skały i strome urwiska. Bezpiecznie dało się podpłynąć tylko do Djerholmu i Ellingu, a ponieważ obu portów bacznie strzeżono, zmuszeni byli płynąć dużo dalej, aż do północnych portów wielorybnych. W głębi duszy miał nadzieję, że zaatakują ich piraci, ale nieduży szkuner był za mały, żeby wieźć cenny ładunek. Nie byli godnym celem i przepłynęli spokojnie najruchliwszymi szlakami handlowymi przez Morze Prawdziwe pod neutralną banderą Kerchu. Wkrótce znaleźli się na zimnych wodach północy i skierowali się do Isenvee.

Jesper krążył po pokładzie, wspinał się na olinowanie, próbował namówić załogę do gry w karty, czyścił broń. Tęsknił za lądem, dobrym jedzeniem i lepszym piwem. Tęsknił za miastem. Gdyby marzył o rozległych przestrzeniach i ciszy, to zostałyby na pograniczu jako farmer, spełniając nadzieje ojca. Na statku nie było dużo do roboty poza studiowaniem rozkładu Lodowego Dworu, słuchaniem narzekań Matthiasa i droczeniem

się z Wylanem, którego zawsze można było zastać przy mozolnych próbach odtworzenia prawdopodobnego mechanizmu bram w pierścieniu murów.

Kaz był pod wrażeniem szkiców.

– Myślisz jak włamywacz – pochwalił Wylana.

– Nieprawda.

– Miałem na myśli to, że widzisz przestrzeń w trzech wymiarach.

– Nie jestem przestępcą – zaprotestował Wylan.

Kaz rzucił mu niemalże współczujące spojrzenie.

– Nie, jesteś flecistą, który wpadł w złe towarzystwo.

Jesper usiadł obok Wylana.

– Naucz się przyjmować komplementy. Kaz rzadko je mówi.

– To nie jest komplement. W niczym go nie przypominam. To nie miejsce dla mnie.

– W tej kwestii nie będę się z tobą spierał.

– I to nie jest też miejsce dla ciebie.

– Że co proszę?

– Nie potrzebujemy snajpera w planie Kaza, więc co będziesz robił, poza tym, że będziesz się kręcił i działał wszystkim na nerwy?

Wzruszył ramionami.

– Kaz mi ufa.

Wylan parsknął i sięgnął po pióro.

– Jesteś pewien?

Jesper przestąpił z nogi na nogę. Pewnie, że nie był tego pewien. Zdecydowanie za dużo czasu spędził, próbując odgadnąć myśli Kaza Brekkera. A jeśli zapracował na odrobinę jego zaufania, to czy naprawdę na nie zasługiwał?

Popukał kciukami o kolby rewolwerów i powiedział:

– Kiedy kule zaczną latać, możesz odkryć, że miło jest mieć mnie pod ręką. Te ładne obrazki nie uratują ci życia.

– Potrzebujemy tych planów. A na wypadek gdybyś zapomniał, jedna z moich bomb rozbłyskowych pomogła nam wypłynąć z portu w Ketterdamie.

Jesper wypuścił powietrze z płuc.

– Genialne posunięcie.

– Podziałało, nie?

– Oślepiłeś naszych ludzi razem z Czarnymi Palcami.

– To było wliczone ryzyko.

– To było trzymanie kciuków i liczenie na łut szczęścia.

Uwierz mi, znam różnicę.

– Tak słyszałem.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że wszyscy wiedzą, że nie potrafisz trzymać się z dala od walki i zakładów, niezależnie od szans.

Jesper zerknął spod zmrużonych powiek na żagle.

– Kiedy nie rodzisz się uprzywilejowany, uczysz się podejmować ryzyko.

– Ja wcale... – Wylan urwał i odłożył pióro. – Dlaczego myślisz, że wiesz coś na mój temat?

– Wiem mnóstwo rzeczy, kupczyku.

– Jak miło. A ja mam wrażenie, że ciągle wiem za mało.

– Na jaki temat?

– Każdy – wymamrotał Wylan.

Wbrew rozsądkowi Jespera to zaintrygowało.

– Na przykład? – naciskał.

– Na przykład o tej broni – odpowiedział Wylan, wskazując rewolwery Jespera. – Mają niezwykły mechanizm zapłonowy, prawda? Gdybym mógł je rozłożyć...

– Nawet o tym nie myśl.

Wylan wzruszył ramionami.

– Albo ta lodowa fosa – powiedział, pukając palcem w plan Lodowego Dworu.

Matthias powiedział, że lód nie jest mocny, to tylko śliska, cieniuteńka jak wafelek warstewka lodu na zimnej wodzie, całkowicie odsłonięta i niemożliwa do przejścia.

– Co z nią?

– Skąd się bierze ta woda? Dwór znajduje się na wzgórzu, więc gdzie jest warstwa wodonośna albo akwedukt, żeby

doprowadzić wodę na górę?

– A to ma znaczenie? Jest most. Nie musimy przechodzić po fosie.

– Ale to cię nie ciekawi?

– Na wszystkich świętych, skądże! Daj mi system zapewniający wygraną w trójkolca albo Kole Makkera. O, to dopiero by mnie zaciekało.

Wylan wrócił do pracy, nie kryjąc rozczarowania.

Z jakiegoś powodu Jesper też się czuł trochę rozczarowany.



Jesper sprawdzał stan Inej codziennie rano i wieczorem. Wstrząsnęła nim myśl, że zasadzka w porcie mogłaby zwyczajnie okazać się jej końcem. Mimo wysiłków Niny był przekonany, że Zjawa nie pociągnie długo na tym świecie.

A jednak pewnego ranka zastał Inej siedzącą, ubraną w spodnie, pikowaną kamizelkę i tunikę z kapturem.

Nina pochylała się, próbując wsunąć na nogi Sulijki jej dziwne pantofle z gumową podeszwą.

– Inej! – wykrzyknął Jesper. – Ty żyjesz!

Uśmiechnęła się słabo.

– O ile można to nazwać życiem.

– Tryskasz przygnębiającą sulijską mądrością, zatem musisz czuć się lepiej.

– Nie stój tak – psioczyła Nina. – Pomóż mi włożyć te cholerstwa na jej stopy.

– Gdybyś po prostu dała mi... – zaczęła Inej.

– Nie schylaj się – warknęła Nina. – Nie skacz. Nie wykonuj gwałtownych ruchów. Jeśli nie obiecasz mi, że będziesz uważać, spowolnię pracę twojego serca i będę cię trzymać w śpiączce, aż nabiorę pewności, że całkiem do siebie doszłaś.

– Nino Zenik, kiedy tylko zorientuję się, gdzie schowałaś moje noże, porozmawiamy sobie.

– Zaczynj od słów: „Dziękuję ci, o wspaniała Nino, za poświęcenie każdej minuty tego beznadziejnego rejsu na ratowanie mojej nędznej skóry”.

Jesper spodziewał się, że Inej się roześmieje, i zdumiał się, kiedy dziewczyna ujęła twarz Niny w dłonie i powiedziała:

– Dziękuję za utrzymanie mnie na tym świecie, kiedy los postanowił zawlec mnie do drugiego. Zawdzięczam ci życie i jestem twoją dłużniczką.

Nina spłasowała.

– Żartowałam tylko... Myślę, że obie mamy dość długów.

– Ten chętnie biorę na siebie.

– Już dobrze, dobrze. Kiedy wrócimy do Ketterdamu, zabierzesz mnie na gofry.

Teraz Inej się roześmiała. Zabrała ręce i się zamyśliła.

– Deser za życie? Nie jestem pewna, czy to uczciwe.

– Oczekuję naprawdę pysznych gofrów.

– Znam jedno miejsce – odezwał się Jesper. – Mają tam taki syrop jabłkowy...

– Ty nie jesteś zaproszony – powiedziała Nina. – A teraz pomóż mi postawić ją na nogi.

– Sama mogę stanąć – marudziła Inej, zsuwając się ze stołu.

– Zrób mi tę przyjemność.

Inej z westchnieniem złapała podaną dłoń Jespera i razem wyszli z kajuty na pokład. Nina szła za nimi.

– To głupota – narzekała Inej. – Nic mi nie jest.

– Tobie nic – odparł Jesper – ale ja w każdej chwili mogę zasłabnąć, więc uważaj.

Na pokładzie Inej ścisnęła go za rękę, żeby się zatrzymał. Odchyliła głowę i odetchnęła głęboko. Dzień był szary jak kamień, morze wyglądało jak szary łupek przerywany białymi grzywami fal, na niebie rysowały się plisy grubych zmarszczek chmur. Mocny wiatr wypełniał żagle, pchając stateczek po falach.

– Miło jest czuć tego rodzaju zimno – mruknęła.

– Tego rodzaju?

– Wiatr we włosach, mgiełka wodna na skórze. Zimno, jakie czują żywi.

– Dwie rundki wokół pokładu – ostrzegła Nina – a potem wracasz do łóżka.

Podeszła do Wylana na rufie. Uwagi Jespera nie umknęło, że wybrała najbardziej oddalone od Matthiasa miejsce na statku.

– Cały czas zachowywali się w ten sposób? – zapytała Inej, patrząc na Ninę i Fjerdanina.

Jesper skinął głową.

– Jakbym patrzył na rysie, które krążą wokół siebie.

Inej zamruczała po nosem.

– Ale co zrobią, kiedy już na siebie skoczą?

– Zagryzą się na śmierć?

Inej przewróciła oczami.

– Nic dziwnego, że tak kiepsko radzisz sobie przy kartach.

Jesper podprowadził ją do relingu, wzdłuż którego mogli zafundować sobie coś na kształt przechadzki, nie wchodząc nikomu w drogę.

– Zagroziłbym, że wrzucę cię do morza, ale Kaz patrzy.

Inej skinęła głową. Nie spojrzała w stronę Kaza, który stał obok Spechta przy sterze. Jesper za to pomachał do niego wesoło. Twarz Kaza nawet nie drgnęła.

– To by go zabiło, gdyby czasem się uśmiechnął? – spytał Jesper.

– Bardzo możliwe.

Wszyscy członkowie załogi witali ją i życzyli zdrowia, a Jesper wyczuwał, że Inej ożywia się z każdy okrzykiem „Zjawa wróciła!”. Nawet Matthias ukłonił się niezręcznie i powiedział:

– O ile dobrze rozumiem, dzięki tobie uszliśmy z życiem z portu.

– Podejrzewam, że nie tylko dzięki mnie.

– Dzięki mnie też – wtrącił usłużnie Jesper.

– To nieistotne – powiedział Matthias, nie zważając na Jespera.

– Dziękuję.

Ruszyli dalej i Jesper zobaczył zadowolony uśmiech na ustach

Inej.

– Zaskoczona?

– Trochę – przyznała. – Tyle czasu spędziłam z Kazem. Chyba...

– To nowość poczuć się docenianą.

Zaśmiała się i przycisnęła rękę do boku.

– Śmiech nadal boli.

– Cieszę się, że żyjesz. Ja też się cieszę.

– No ja myślę. Chyba nigdy tak naprawdę nie czułam, że pasuję do Szumowin.

– Bo nie pasujesz.

– Dzięki.

– Jesteśmy grupą o ograniczonych zainteresowaniach, a ty nie uprawiasz hazardu, nie przeklinasz i nie pijesz bez umiaru. Oto jednak sekret popularności: zaryzykuj życie, żeby ocalić towarzyszy, którym grozi rozerwanie na kawałki w zasadzce. Świetny sposób zdobywania przyjaciół.

– O ile teraz nie będę musiała bywać na popijawach.

Kiedy doszli do dziobówki, Inej pochyliła się nad relingiem i spojrzała na horyzont.

– Czy on w ogóle do mnie zaglądał?

Jesper wiedział, że pyta o Kaza.

– Codziennie.

Inej spojrzała na niego i pokręciła głową.

– Nie potrafisz czytać ludziom w myślach i nie potrafisz blefować.

Jesper westchnął. Nie cierpiał rozczarowywać innych.

– Nie – przyznał.

Skinęła głową i znowu spojrzała na morze.

– On chyba nie lubi odwiedzać chorych – dodał Jesper.

– A kto lubi?

– Chciałem powiedzieć, że to chyba było trudne dla niego widzieć cię w takim stanie. Pierwszego dnia, kiedy zostałam ranna... Trochę mu odwaliło. – To wyznanie wiele kosztowało Jespera.

Czy Kaz odstawiłby taką krwawą szopkę, gdyby to Jesperowi

wbito nóż w bok?

– No pewnie. To robota dla sześciu osób, a ja podobno mam wspiąć się kominem spalarni. Gdybym umarła, cały plan wzięłby w łeb.

Jesper się nie spierał. Nie mógł udawać, że rozumie Kaza i jego motywy.

– Powiedz mi coś. O co tak bardzo Wylan poprzątykał się z ojcem?

Inej zerknęła na Kaza, a potem obejrzała się przez ramię, czy nikt z załogi nie kręci się w pobliżu. Kaz jasno się wyraził, że wszelkie informacje, nawet luźno związane z robotą, muszą zostać między ich szóstką.

– Nie wiem dokładnie – powiedziała. – Trzy miesiące temu Wylan pojawił się w noclegowni w okolicy Listewki. Posługiwał się innym nazwiskiem, ale Kaz ma na oku wszystkich nowych w Baryłce, więc kazał mi powęszyć.

– No i?

Inej wzruszyła ramionami.

– Służbie w domu Van Ecka płacą dostatecznie dobrze, żeby trudno było kogoś przekupić. Informacje, które zdobyłam, nie składają się w całość. Krążyły plotki, że Wylana przyłapano na miłosnych igraszkach podczas prywatnych lekcji.

– Serio? – Jesper nie wierzył własnym uszom.

Chłopak jednak miał potencjał.

– To tylko plotka. I wiesz, w końcu to nie jest tak, że wyprowadził się do kochanki.

– To dlaczego papa Van Eck wykopał go z domu?

– Wątpię, żeby go wyrzucił. Van Eck co tydzień pisze do Wylana, który nawet nie otwiera listów.

– Co w nich pisze?

Inej oparła się ostrożnie o reling.

– Zakładasz, że je czytam.

– A nie?

– Pewnie, że tak. – Zmarszczyła czoło, przypominając sobie treść listów. – Właściwie we wszystkich powtarza się w kółko to

samo: „Jeśli czytasz te słowa, to wiesz, jak bardzo pragnę, żebyś wrócił”. Albo: „Modłę się, żebyś przeczytał te słowa i pomyślał o tym, co porzuciłeś”.

Jesper zerknął na Wylana, który gawędził z Niną.

– Tajemniczy kupczyk. Ciekawe, co takiego straszniego zrobił Van Eck, żeby Wylan wylądował razem z nami w slumsach.

– A teraz ty mi coś powiedz, Jesper. Co ty robisz w tej misji? Wiesz, jak ryzykowna jest ta robota i jakie są szanse, że wrócimy. Wiem, że kochasz wyzwania, ale to już przesada, nawet jak na ciebie.

Jesper spojrzął na szare fale maszerujące ku horyzontowi w niekończących się szeregach. Nigdy nie lubił morza, poczucia niewiadomej pod stopami, świadomości, że coś głodnego i z paszczą pełną zębisk może czekać, żeby wciągnąć go w toń. A tak teraz czuł się każdego dnia, nawet na lądzie.

– Mam długi, Inej.

– Zawsze masz długi.

– Nie. Tym razem jest źle. Pożyczyłem pieniądze od niewłaściwych ludzi. Wiesz, że mój ojciec ma farmę?

– W Nowoziemiu.

– Tak, na zachodzie. W tym roku wreszcie zaczęła przynosić zyski.

– Och, Jesper, nie mogłeś...

– Potrzebowałem pieniędzy... Powiedziałem mu, że potrzebuję ich, żeby zdobyć dyplom na uniwersytecie.

Spojrziała na niego.

– Myślisz, że studiujesz?

– Po to przyjechałem do Ketterdamu. W pierwszym tygodniu poszedłem nad Wschodnią Klepkę z paroma studentami. Położyłem kilka *krug* na stoliku. Taki kaprys. Nawet nie znałem zasad Koła Makkera. Kiedy jednak zakręcono kołem, zrozumiałem, że nigdy nie słyszałem piękniejszego dźwięku. Wygrałem wtedy i nie przestawałem wygrywać. To była najlepsza noc w moim życiu.

– I od tamtej pory gonisz za nią.

Skinął głową.

– Powinienem być zostać w bibliotece. Wygrałem. Przegrałem. Przegrałem jeszcze więcej. Potrzebowałem pieniędzy, więc zacząłem najmować się do pracy w gangach. Pewnej nocy dwóch gości napadło na mnie w zaułku. Kaz ich załatwił i zaczęliśmy współpracować.

– Pewnie zatrudnił tych oprychów, żeby cię zaatakowali, i dzięki temu czujesz, że jesteś mu coś winien.

– On by nigdy... – Jesper zamarł w pół słowa, a potem się roześmiał. – Pewnie, że mógłby. – Rozprostował palce, skupiając się na liniach dłoni. – Kaz... Sam nie wiem, nie przypomina nikogo, kogo znam. Zaskakuje mnie.

– Tak. Jak rój pszczoł w szufladzie komody.

Jesper parsknął śmiechem.

– Właśnie.

– Zatem co tu robisz?

Jesper odwrócił się do morza, czując rumieńce na policzkach.

– Mam nadzieję na miód. I modłę się, żeby nie oberwać żądłem.

Inej szturchnęła go łokciem w ramię.

– W takim razie przynajmniej oboje jesteśmy w podobny sposób głupi.

– Nie wiem, jakie ty masz wytłumaczenie, Zjawo, ale ja jestem z tych, co nie potrafią odejść od stolika, nawet gdy dostaną złą kartę.

Wzięła go pod ramię.

– Przez co jesteś fatalnym graczem, ale doskonałym przyjacielem.

– Jesteś dla niego za dobra.

– Wiem. Ty też.

– Przejdziemy się?

– Tak – powiedziała Inej, ruszając razem z Jesperem. – A potem musisz odwrócić uwagę Niny, żebym mogła poszukać noży.

– Nie ma sprawy. Przyprowadzę Helvara.

Jesper obejrzał się na koło sterowe, kiedy ruszyli przeciwległą stroną pokładu. Kaz nie poruszył się. Nadal na nich patrzył;

spojrzenie miał zimne, a twarz nieodgadnioną jak zawsze.



Minęły dwa dni, odkąd Inej wynurzyła się z lazaretu, zanim Kaz do niej podszedł. Siedziała sama ze skrzyżowanymi nogami, oparta o burzę, i popijała z kubka herbatę.

Kaz do niej pokuśtykał.

– Chcę ci coś pokazać.

– Czuję się dobrze, dzięki, że pytasz – odpowiedziała, unosząc głowę. – A jak ty się masz?

Poczuł, że usta mu drżą.

– Cudownie.

Niezręcznie usiadł obok niej i odłożył na bok laskę.

– Z twoją nogą jest źle?

– Wszystko w porządku. Spójrz.

Rozłożył między nimi rysunek sektora więziennego wykonany przez Wylana. Większość planów ukazywała Lodowy Dwór z góry, ale więzienie narysowano w przekroju, przedstawiając kolejne piętra jedno nad drugim.

– Widziałam to – powiedziała Inej. Przesunęła palcem od piwnicy do dachu. – Sześć kondygnacji kominem.

– Dasz radę?

Uniosła ciemne brwi.

- A mamy inne wyjście?
- Nie.
- Jeśli więc powiem, że nie dam rady się wspiąć, każesz Spechtowi zawrócić i zabrać nas do Ketterdamu?
- Znajdę inne rozwiązanie. Nie wiem jakie, ale nie odpuszczę sobie takiego łupu.
- Wiesz, że dam radę, i wiesz, że nie odmówię. To po co w ogóle pytasz?
- Bo od dwóch dni szukałem pretekstu, żeby cię zagadnąć.
- Chcę mieć pewność, że wiesz, co cię czeka, i studiujesz plany.
- Będzie potem klasówka?
- Tak. Jeśli nie zdasz, wszyscy skończymy w fjerdańskim więzieniu.
- Hmm – powiedziała, wypijając łyk herbaty. – A ja skończę martwa. – Zamknęła oczy i oparła głowę o burtę. – Martwię się drogą ucieczki do portu. Nie podoba mi się, że mamy tylko jedno wyjście.
- Kaz też oparł się o burtę.
- Tak jak mnie – przyznał, prostując chorą nogę – ale właśnie dlatego Fjerdanie w taki sposób zbudowali to miejsce.
- Ufasz Spechtowi?
- Kaz spojrzał na nią z ukosa.
- A mam powód nie ufać?
- Żadnego, ale jeśli *Ferolind* nie będzie czekać na nas w porcie...
- Ufam mu dostatecznie.
- Ma u ciebie dług?
- Kaz skinął głową. Rozejrzał się i powiedział:
- Flota wyrzuciła go z powodu niesubordynacji i odmówiła wypłaty emerytury. Ma siostrę na utrzymaniu w okolicy Belendt. Załatwiłem należne mu pieniądze.
- To miło z twojej strony.
- Kaz zmrużył oczy.
- Nie jestem postacią z bajki dla dzieci, która płata niewinne psikusy i okrada bogatych, żeby dawać biednym. Stały za tym pieniądze do wzięcia i informacje do zdobycia. Specht zna trasy

floty jak własną kieszeń.

– Nic za darmo – powiedziała, spoglądając na niego. – Wiem. Mimo to, jeśli *Ferolind* zostanie przechwycony, nie będziemy mogli uciec z Djerholmu.

– Wydostanę nas. Przecież wiesz.

Powiedz mi, że wiesz, prosił w myślach. Chciał, żeby to powiedziała. Ta robota nie przypominała niczego, o co do tej pory się pokusili. Wszelkie wątpliwości, jakie wyrażała, były uzasadnione i tylko odzwierciedlały jego własne obawy. Warknął na nią przed wyjazdem z Ketterdamu, powiedział, że znajdzie sobie nowego pająka do tej roboty, jeśli Inej uważa, że nie da rady. Musiał wiedzieć, że Inej wierzy, że on zdoła tego dokonać, że zdoła wprowadzić ich do Lodowego Dworu i wyprowadzić w jednym kawałku, jak to robił z innymi ekipami przy innych skokach. Musiał wiedzieć, że w niego wierzy.

Ona jednak powiedziała tylko:

– Słyszałam, że to Pekka Rollins zaatakował nas w porcie.

Kaza ogarnęło rozczarowanie.

– No i?

– Nie myśl, że nie zauważyłam, że jesteś na niego cięty.

– To tylko jeszcze jeden szef gangu, jeszcze jeden oprych z Baryłki.

– Nieprawda. Kiedy dobierasz się do innych gangów, chodzi o interesy. Z Pekką Rollinsem to sprawa osobista.

Później nie bardzo wiedział, czemu to powiedział. Nigdy nikomu nie mówił, nigdy nie wypowiedział tych słów na głos. Teraz jednak, patrząc w żagle nad ich głowami, wyznał:

– Pekka Rollins zabił mojego brata.

Nie musiał widzieć twarzy Inej, żeby wyczuć jej szok.

– Miałeś brata?

– Miałem wiele rzeczy – mruknął.

– Przykro mi.

Chciał jej współczucia? To dlatego jej powiedział?

– Kaz...

Zawahała się.

Co teraz zrobi? Spróbuje dotknąć go w geście pocieszenia? Powie, że go rozumie?

– Będę się za niego modlić – powiedziała. – Za jego spokój w następnym świecie, skoro nie zaznał go tutaj.

Odwrócił głowę. Siedzieli obok siebie, niemal dotykając się ramionami. Jej oczy były tak ciemne, że prawie czarne, i chociaż raz miała rozpuszczone włosy. Zawsze nosiła je związane na karku w bezwzględnie ciasny węzeł. Nawet na myśl o byciu tak blisko kogoś powinien czuć dreszcz. A zamiast tego pomyślał: Co będzie, jeśli przysunę się bliżej?

– Nie chcę twoich modlitw – powiedział.

– A czego chcesz?

Przyszły mu na myśl stare odzywki. Pieniędzy. Zemsty. Żeby głos Jordiego w jego głowie umilkł raz na zawsze. Jednak tym razem inna odpowiedź obudziła się z rykiem do życia, głośna, uporczywa i niemile widziana. Ciebie, Inej. Ciebie.

Wzruszył ramionami i się odwrócił.

– Umrzeć pogrzebany pod ciężarem własnego złota.

Inej westchnęła.

– Będę się więc modlić, żebyś dostał to, czego chcesz.

– Kolejne modlitwy. A czego ty chcesz? – zapytał.

– Odwrócić się plecami do Ketterdamu i nigdy więcej nie usłyszeć tej nazwy.

Dobrze, pomyślał. Będzie musiał znaleźć nowego pająka, ale pozbędzie się tego, który go rozprasza.

– Twoja część z trzydziestu milionów może spełnić to życzenie. – Odepchnął się, żeby wstać. – Zatem módl się o dobrą pogodę i głupich strażników. Mnie do tych modlitw nie mieszaj.



Kaz pokuśtykał na dziób zły na siebie i na Inej. Po co jej szukał? Po co powiedział jej o Jordiem? Od wielu dni chodził poirytowany i nie mógł się skupić. Przywykł, że ma pod ręką

Zjawę, karmiącą wrony za jego oknem, ostrzając swoje noże, kiedy on pracuje za biurkiem, ganiąc go za pomocą sulijskich przysłów. Nie chciał Inej. Chciał tylko powrotu do rutyny.

Oparł się o reling. Żałował, że wspomniał o bracie. Nawet te kilka słów obudziło wspomnienia, które teraz dopominały się o uwagę. Co powiedział Geelsowi na Giełdzie? „Ja należę do tego gatunku bękartów, jakich potrafi spłodzić tylko Baryłka”. Jeszcze jedno kłamstwo, jeszcze jeden fragment mitu, który stworzył dla siebie.

Po śmierci ojca – zmiądzzył go pług i jego wnętrzności zostały rozwleczone po polu jak trop z wilgotnego czerwonego kwiecica – Jordie sprzedał farmę. Za nieduże pieniądze. Wystarczyło jednak, żeby bezpiecznie dotarli do Ketterdamu i przez jakiś czas żyli tam skromnie, ale względnie wygodnie.

Kaz miał dziewięć lat, nadal tęsknił za tatą i przerażał go wyjazd z jedyne go domu, jaki znał. Trzymał się kurczowo ręki starszego brata, gdy podróżowali przez słodką, pofałdowaną prowincję, aż dotarli do jednego z głównych kanałów i wskoczyli na barękę, która przewoziła płody rolne do Ketterdamu.

– Co będzie, kiedy tam dopłyniemy? – zapytał Jordiego.

– Znajdę pracę jako goniec na Giełdzie, a potem jako urzędnik. Zostanę udziałowcem, a potem prawdziwym kupcem, i wtedy zbiję fortunę.

– A co ze mną?

– Ty pójdziesz do szkoły.

– Dlaczego ty nie pójdziesz do szkoły?

Jordie go wyśmiał.

– Jestem za duży. I za bystry.

Pierwsze dni w mieście były dokładnie takie, jak Jordie obiecał. Spacerowali wzdłuż wielkiego łuku portów, znanego jako Pokrywka, a potem nad Wschodnią Klepką, żeby zobaczyć pałace hazardu. Nie zapuszczali się daleko na południe, gdzie – jak ich ostrzeżono – ulice stawały się niebezpieczne. Wynajęli pokój w schludnym małym pensjonacie niedaleko Giełdy

i próbowali każdej nowej potrawy, jaką zobaczyli, objadając się słodyczami z pigwy. Kaz lubił małe stoiska z omletami, gdzie można było wybrać sobie nadzienie.

Każdego ranka Jordie szedł na Giełdę szukać pracy i nakazywał bratu zostać w pokoju. Ketterdam nie był bezpieczny dla puszczonych samopas dzieci. Grozili im złodzieje i kieszonkowcy, a nawet ludzie, którzy porywali małych chłopców i sprzedawali tym, którzy najwięcej zapłacą. Dlatego Kaz zostawał w domu. Przysuwał krzesło do umywalki, wchodził na nie, żeby widzieć się w lustrze, i próbował sprawić, że monety znikną, jak to podpatrzył u pewnego magika, który występował przed jednym z salonów gry. Kaz mógłby go obserwować godzinami, ale Jordie w końcu go odciągnął. Sztuczki z kartami były dobre, ale znikająca moneta nie dawała mu spać po nocach. Jak magik tego dokonał? W jednej chwili była, a w drugiej już nie.

Katastrofa nadeszła wraz z nakręcanym pieskiem.

Jordie wrócił do domu głodny i poirytowany, sfrustrowany kolejnym zmarnowanym dniem.

– Mówią, że nie ma pracy, ale mają na myśli to, że nie ma pracy dla chłopaka takiego jak ja. Każdy, kto tam pracuje, jest czyjś kuzynem, bratem albo najlepszym przyjacielem syna.

Kaz nie był w nastroju, żeby próbować go pocieszyć. Sam się nadał, bo przesiedział wiele godzin w domu w towarzystwie monet i kart. Chciał iść nad Wschodnią Klepkę i poszukać magika.

W późniejszych latach zawsze się zastanawiał, co mogłoby się wydarzyć, gdyby Jordie mu nie uległ, gdyby zamiast tego poszli do portu popatrzeć na statki albo zwyczajnie pospacerowali drugim brzegiem kanału. Chciał wierzyć, że może to by coś zmieniło, ale im był starszy, tym bardziej w to wątpił.

Minęli zielony przepych Szmaragdowego Pałacu. Zaraz po sąsiedzku, przed Żółtą Szansą, chłopak sprzedawał małe mechaniczne pieski. Zabawki nakręcało się kluczykiem z brązu, a one dreptały na sztywnych łapach, machając blaszanymi

uszkami. Kaz przykucnął i zaczął obracać kluczyki, żeby wszystkie psiaki zaczęły dreptać jednocześnie, a sprzedawca gawędził z Jordiem. Okazało się, że jest z Lij, mniej niż dwa miasteczka dalej od miejsca, gdzie wychowywali się Kaz i Jordie, i zna gościa, który szuka gońców, nie na samej Giełdzie, ale w biurze przy sąsiedniej ulicy. zaproponował, żeby Jordie zaszedł po niego nazajutrz rano, to razem pójda pogadać z jegomościem. Sam też miał nadzieję dostać pracę gońca.

Po drodze do domu Jordie kupił im po gorącej czekoladzie, każdy dostał swoją, zamiast pić jedną na spólkę.

– Nasz los się odmieni – powiedział, kiedy zacisnęli palce na parujących kubkach.

Spuścili nogi z mostku, a światła Klepki migotały na wodzie.

Kaz spojrzał w dół na ich odbicie na jasnej powierzchni kanału i pomyślał: Teraz czuję, że mam szczęście.

Chłopiec, który sprzedawał nakręcane psy, miał na imię Filip, a jego znajomym był Jakob Hertzoon, pomniejszy kupiec, właściciel małej kawiarni w pobliżu Giełdy, gdzie załatwiał drobnym inwestorom ułamki udziałów w rejsach handlowych przechodzących przez Kerch.

– Powinieneś zobaczyć to miejsce – piał z zachwyty Jordie, kiedy wrócił do domu późnym wieczorem. – O każdej godzinie pełno tam ludzi, gawędzących i wymieniających się wieściami, kupujących i sprzedających udziały, zwykłych ludzi: rzeźników, piekarzy i dokerów. Pan Hertzoon mówi, że każdy człowiek może się wzbogacić. Trzeba mieć tylko trochę szczęścia i właściwych przyjaciół.

Następny tydzień był jak szczęśliwy sen. Jordie i Filip pracowali dla pana Hertzooona jako gońcy, nosząc wiadomości z i do portu, czasem składając w jego imieniu zamówienia na Giełdzie albo w innych biurach handlowych. Podczas ich pracy Kaz mógł przesiadywać w kawiarni. Mężczyzna, który przygotowywał drinki, sadzał go na kontuarze, pozwalał ćwiczyć magiczne sztuczki i dawał mu tyle gorącej czekolady, ile Kaz mógł wypić.

Zostali zaproszeni do Hertzoona na kolację, do wspaniałego domu przy Zilverstraat o niebieskich frontowych drzwiach i zasłonach z białej koronki w oknach. Pan Hertzoon był dużym mężczyzną o rumianej przyjaznej twarzy i siwych nastroszonych bokobrodach. Jego żona, Margit, szczypała Kaza w policzki i karmiła go *hutspot* z wędzonej kiełbasy. Potem Kaz bawił się w kuchni z ich córką Saskią. Miała dziesięć lat i Kaz uznał, że w życiu nie widział piękniejszej dziewczynki. Zostali z Jordiemi do późna, śpiewając piosenki przy akompaniamencie Margit grającej na pianinie, a wielki srebrny pies Hertzoona uderzał smętnie ogonem do rytmu. Kaz nie czuł się tak dobrze od śmierci ojca. Pan Hertzoon pozwolił nawet Jordiemu wyłożyć kilka małych sumek na udziały w firmie. Jordie chciał zainwestować więcej, ale pan Hertzoon zawsze doradzał ostrożność.

– Krok po kroku, chłopcze. Krok po kroku.

Sprawy zaczęły wyglądać jeszcze lepiej, kiedy przyjaciel pana Hertzoona wrócił z Nowoziemia. Był kapitanem kercheńskiego statku handlowego i wyglądało na to, że natknął się na cukrowego farmera w nowoziemskim porcie. Farmer był wstawiony i narzekał, że pola jego i sąsiadów zostały zalane. W tej chwili ceny cukru były niskie, ale kiedy ludzie dowiedzą się, jakie kłopoty z cukrem czekają ich w następnych miesiącach, ceny pójdą w górę. Przyjaciel pana Hertzoona zamierzał wykupić cały cukier, jaki mu wpadnie w ręce, zanim wieść dotrze do Ketterdamu.

– To brzmi nieuczciwie – szepnął Kaz do brata.

– To nie jest nieuczciwie – prychnął Jordie. – To dobry interes. Jak zwykli ludzie mają się dorobić w tym świecie bez czyjejś pomocy?

Pan Hertzoon kazał Jordiemu i Filipowi złożyć zamówienia w trzech osobnych biurach, żeby tak duży zakup nie zwrócił niczyjej uwagi. Nadeszła wiadomość o nieudanych zbiorach, a chłopcy, siedząc w kawiarni, patrzyli, jak ceny na tablicy rosną, i nie posiadali się z radości.

Kiedy pan Hertzoon uznał, że ceny bardziej już nie wzrosną, wysłał Jordiego i Filipa, żeby sprzedali udziały i odebrali należność. Kiedy wrócili do kawiarni, pan Hertzoon wypłacił im ich zyski prosto z własnego sejfu.

– A nie mówiłem? – powiedział do Kaza Jordie, kiedy szli tego wieczoru przez Ketterdam. – Szczęście i dobrzy przyjaciele!

Kilka dni później pan Hertzoon powiedział im o kolejnej wskazówce od zaprzyjaźnionego kapitana, który usłyszał podobne wieści na temat następnych zbiorów *jurdy*.

– Deszcze uderzają we wszystkich, ale tym razem zniszczone zostały nie pola, tylko magazyny portowe w Eames. To będą duże pieniądze i zamierzam wejść w to na poważnie.

– W takim razie my też powinniśmy – orzekł Filip.

Pan Hertzoon zmarszczył czoło.

– Obawiam się, że to nie jest transakcja dla was. Minimalna inwestycja jest zdecydowanie za wysoka dla was obu. Ale będą jeszcze inne okazje!

Filip się wściekł. Nawrzeszczał na pana Hertzoona, powiedział mu, że to nieuczciwe. Oskarżył go, że jest taki jak inni kupcy na Giełdzie, że całe bogactwo zgarnia dla siebie, wyzwiał go od najgorszych, aż Kaz się wzdrygnął. Kiedy wypadł z kawiarni, wszyscy wpatrywali się w czerwoną, zakłopotaną twarz pana Hertzoona.

Wrócił do swojego biura i zgarbił się na krześle.

– Nic... Nic nie poradzę, że tak się robi interesy. Ludzie prowadzący transakcję chcą tylko dużych inwestorów, ludzi, którzy mogą ponieść ryzyko.

Jordie i Kaz stali tam, nie bardzo wiedząc, co zrobić.

– Wy też jesteście na mnie źli? – zapytał pan Hertzoon.

Oczywiście, że nie, zapewnili go. To Filip zachował się nie w porządku.

– Rozumiem, dlaczego jest zły – powiedział pan Hertzoon. – Takie okazje jak ta nie zdarzają się często, ale nic nie da się na to poradzić.

– Mam pieniądze – powiedział Jordie.

Pan Hertzoon uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Jordie, dobry z ciebie chłopak i pewnego dnia bez wątpienia będziesz królem Giełdy, ale nie masz funduszy, jakich wymagają ci inwestorzy.

Jordie uniósł podbródek.

– Mam. Ze sprzedaży farmy mojego ojca.

– I spodziewam się, że tylko z tego utrzymujesz się z Kazem. Nie możesz zaryzykować utraty tych pieniędzy w transakcji, bez względu na to, jak pewny jest zysk. Dziecko w twoim wieku nie powinno...

– Nie jestem dzieckiem. Jeśli to dobra okazja, chcę ją wykorzystać.

Kaz zawsze będzie pamiętał tę chwilę, kiedy zobaczył, jak chciwość pokonuje brata, jak niewidzialna dłoń popycha go do przodu, jak Jordie ulega subtelnemu naciskowi.

Pana Hertzoona długo trzeba było przekonywać. Wszyscy poszli do domu przy Zilverstraat i omawiali sprawę do później nocy. Pan Hertzoon poprosił, żeby jego wspólnik w interesach przyszedł i spisał umowę na pożyczkę od Jordiego. Z racji wieku Jordie pożyczylby pieniądze panu Hertzoonowi, który sam dokonałby dalszych transakcji. Margit dała im herbaty z mlekiem i ciepłe naleśniki z dżemem i śmietaną. A potem wszyscy poszli do banku, w którym leżały pieniądze ze sprzedaży farmy, i Jordie przekazał je panu Hertzoonowi.

Pan Hertzoon uparł się, że odprowadzi ich z powrotem do pensjonatu, wyściskał ich przy drzwiach. Wręczył potwierdzenie pożyczki Jordiemu i ostrzegł, żeby dobrze go pilnował.

– Posłuchaj, Jordie – powiedział. – Jest bardzo niewielkie ryzyko, że coś pójdzie nie tak, ale zawsze istnieje taka możliwość. Jeśli tak się stanie, ufam, że nie wykorzystasz tego dokumentu, żeby odzyskać pożyczkę. Obaj ponosimy ryzyko. Wierzę ci.

Jordie się rozpromienił.

– Umowa stoi – powiedział.

– Umowa stoi – odrzekł z dumą pan Hertzoon i obaj uścisnęli

sobie dłonie jak prawdziwi kupcy.

Pan Hertzoorn wręczył Jordiemu gruby zwitek *kruge*.

– Na dobrą kolację dla uczczenia transakcji. Wróć do kawiarni za tydzień i razem popatrzymy, jak rosną ceny.

W tym tygodniu grali w *ridderspel* i *spijker* w pasażach Pokrywki. Kupili Jordiemu piękny nowy płaszcz, a Kazowi parę nowych butów z miękkiej skóry. Jedli gofry i smażone ziemniaki, a Jordie kupił każdą powieść, o jakiej marzył, w księgarni przy Wijnstraat. Po tygodniu poszli ręką w rękę do kawiarni.

Była pusta. Frontowe drzwi zaryglowano i zamknięto na kłódkę. Kiedy przycisnęli twarze do ciemnych okien, zobaczyli, że wszystko zniknęło: stoliki, krzesła, wielkie miedziane urny, tablica, na której zapisywano aktualne ceny.

– Źle skręciliśmy? – zapytał Kaz.

Wiedzieli jednak, że nie pomylili drogi. W nerwowym milczeniu poszli do domu na Zilverstraat. Nikt nie odpowiedział, gdy zapukali do niebieskich drzwi.

– Wyjechali na chwilę – uznał Jordie.

Czekali godzinami na schodach, aż słońce zaczęło zachodzić. Nikt się nie zjawił. Żadne świece nie zapłonęły w oknach.

Wreszcie Jordie zebrał się na odwagę i zapukał do sąsiednich drzwi.

– Tak? – zapytała pokojówka, która wyjrzała w białym czepku.

– Wie pani, dokąd wyjechała rodzina z domu obok? Hertzoonowie?

Pokojówka zmarszczyła czoło.

– Oni chyba tylko przyjechali w odwiedziny z Zierfoortu.

– Nie – odparł Jordie – mieszkali tu od lat. Oni...

Pokojówka pokręciła głową.

– Ten dom stał pusty od prawie roku, po tym, jak wyprowadziła się ostatnia rodzina. Wynajęto go raptem kilka tygodni temu.

– Ale...

Zamknęła im drzwi przed nosem.

Kaz i Jordie nie odezwali się do siebie słowem, ani kiedy szli do domu, ani kiedy wspinali się schodami do swojego małego pokoiku w pensjonacie. Siedzieli w gęstniejącym mroku przez długi czas. Głosy nadlatywały znad kanału poniżej, kiedy ludzie zajmowali się swoimi wieczornymi sprawami.

– Coś im się przytrafiło – powiedział w końcu Jordie. – Jakiś wypadek albo inna nagła sytuacja. Pan Hertzoon niedługo napisze. Przyśle po nas.

Tej nocy Kaz wyjął czerwoną wstążkę Saskii spod poduszki. Zwinął ją schludnie w rulonik i ścisnął w dłoni. Leżał na łóżku i próbował się modlić, ale myślał tylko o monecie magika: w jednej chwili jest, a w drugiej już jej nie ma.



To go przerosło. Nie przewidział, jak trudno będzie pierwszy raz zobaczyć ojczyznę po tak długim czasie. Miał ponad tydzień na pokładzie *Ferolinda*, żeby się przygotować, ale jego myśli krążyły wokół ścieżek, jakie obrał, Niny, okrutnej magii, która wyrwała go z celi więziennej i umieściła na statku pędzącym na północ pod nieskończonym niebem, gdzie nadal był spętany nie tylko kajdanami, ale też brzemieniem tego, co zamierza zrobić.

Pierwszy raz północne wybrzeże mignęło mu późnym popołudniem, ale Specht postanowił poczekać do zmierzchu z podpłynięciem do lądu, w nadziei, że półmrok zapewni im osłonę. Wzdłuż wybrzeża były rozrzucone wioski wielorybnicze, a wszyscy woleli, żeby ich nie zauważono. Chociaż Szumowiny udawały traperów, jako grupa rzucały się w oczy.

Spędzili noc na statku. O świcie następnego ranka Nina zastała go przy kompletowaniu sprzętu zimowego, który rozdawali Jesper i Inej. Matthias był pod wrażeniem odporności Inej. Chociaż nadal miała sińce pod oczami, poruszała się bez cienia sztywności, a jeśli odczuwała ból, to dobrze to ukrywała.

Nina podała mu klucz.

– Kaz przysłał mnie, żebym zdjęła ci kajdany.

- Zamierzacie znowu skuć mnie nocą?
- To zależy od Kaza. I pewnie ciebie. Usiądź.
- Daj mi po prostu klucz.

Nina odchrząknęła.

- Chce także, żebym cię przeformowała.
- Co? Dlaczego?

Myśl o Ninie zmieniającej jego oblicze za pomocą czarów była nie do zniesienia.

– Jesteśmy teraz w Fjerdzie. Chce, żebyś mniej przypominał... siebie, na wszelki wypadek.

– Wiesz, jak wielki jest ten kraj? Szanse, że...

– Szanse, że zostaniesz rozpoznany, znacząco wzrosną w Lodowym Dworze, a nie mogę wprowadzić wszystkich zmian naraz.

– Dlaczego?

– Nie jestem dobrą formatorką. Teraz to część szkolenia każdego somatyka, ale nie mam do tego drygu.

Matthias prychnął.

– Co? – zapytała.

– Nigdy nie słyszałem, żebyś przyznała, że nie jesteś w czymś dobra.

– Cóż, to się zdarza tak rzadko.

Przeraził się, czując, że usta wyginają mu się w uśmiechu, ale łatwo go było stłumić, kiedy pomyślał, że jego twarz zostanie zmieniona.

– Co chce Brekker, żebyś ze mną zrobiła?

– Nic radykalnego. Zmienię ci kolor oczu, włosów... To znaczy tej odrobiny, która ci odrosła. To nie będą trwałe zmiany.

– Nie chcę.

Nie chcę, żebyś się do mnie zbliżała.

– To nie potrwa długo i będzie bezbolesne, ale jeśli chcesz się na ten temat pokłócić z Kazem...

– Dobrze – powiedział, szykując się na najgorsze.

Nie było sensu spierać się z Brekkerem, który mógł po prostu drażnić się z Matthiasem obietnicą ułaskawienia. Matthias wziął

wiadro, obrócił je do góry nogami i usiadł.

– Mogę teraz dostać klucz?

Podawała mu go, a Matthias uwolnił nadgarstki, podczas gdy ona grzebała w pudełku, które ze sobą przyniosła. Miało rączkę i kilka szufladek pełnych proszków i pigmentów w małych słoiczkach. Wyjęła z szufladki słoiczek z czymś czarnym.

– Co to jest?

– Czarny antymon. – Podeszła do niego, czubkiem palca odchylając mu głowę do tyłu. – Rozluźnij szczękę, Matthias. Jak będziesz tak zgrzytać zębami, to nic ci z nich nie zostanie.

Skrzyżował ręce.

Zaczęła wysypywać antymon na jego głowę, po czym westchnęła z żalem.

– Czemu dzielny *drüskelle* Matthias Helvar nie je mięsa? – zapytała teatralnym głosem, pracując nad jego głową. – To smutna historia, moje dziecko. Dokuczliwa grisza przerzedziła mu zęby i teraz może jeść tylko pudding.

– Przestań – wymamrotał.

– Co? Trzymaj głowę odchyloną.

– Co robisz?

– Przyciemniam ci brwi i rzęsy. No wiesz, tak jak to robią dziewczyny przed zabawą. – Musiał się skrzywić, bo wybuchnęła śmiechem. – Ależ ty masz minę!

Pochyliła się i fale jej brązowych włosów musnęły mu policzki, kiedy wcierała mu barwnik w brwi. Ujęła w dłoń jego policzek.

– Zamknij oczy – mruknęła.

Gdy kciuk poruszał się na jego rzęsach, Matthias zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech.

– Nie pachniesz już różami – powiedział i natychmiast zapragnął się skopać.

Nie powinien był nawet zauważyć jej zapachu.

– Pewnie cuchnę łodzią.

Nie, pachniała słodko, cudownie jak...

– Toffi?

Odwróciła z zakłopotaniem wzrok.

– Kaz powiedział, żebyśmy spakowali, co potrzebujemy na podróż. Dziewczyna musi jeść. – Sięgnęła do kieszeni i wyjęła torebkę toffi. – Chcesz jednego?

Tak.

– Nie.

Wzruszyła ramionami i wrzuciła cukierek do ust. Przewróciła oczami i westchnęła z zadowoleniem.

– Pychota.

To było upokarzające objawienie, ale wiedział, że mógłby całymi dniami patrzeć na nią, jak je. To była jedna z tych rzeczy, które najbardziej w niej lubił – wszystkim się delectowała, czy to było toffi, zimna woda ze strumienia czy suszone mięso renifera.

– Teraz oczy – powiedziała z cukierkiem w ustach, wyciągając maleńką buteleczkę ze skrzyneczki. – Będziesz musiał trzymać je otwarte.

– Co to jest? – zapytał nerwowo.

– Nalewka wynaleziona przez griszę imieniem Genya Safin. To najbezpieczniejszy sposób zmiany koloru oczu.

Znowu się pochyliła. Policzki miała zaróżowiono od mrozu, usta lekko rozchylone. Jej wargi znajdowały się raptem kilka cali od jego własnych. Gdyby siedział bardziej prosto, pocałowaliby się.

– Musisz patrzeć na mnie – poinstruowała go.

Patrzę. Spojrzał jej w oczy. „Pamiętasz ten brzeg, Nino?” – chciał zapytać, ale wiedział, że musi pamiętać.

– Jaki kolor nadasz moim oczom?

– Ciiii. To trudne.

Nałożyła po kropli płynu na palce i przytrzymała je nad jego oczami.

– A może je po prostu włożysz?

– A może tak przestaniesz gadać? Chcesz, żebym cię oślepiła? Zamilkł.

Wreszcie odchyliła się, obrzucając spojrzeniem jego twarz.

– Brązowawe – powiedziała. I mrugnęła. – Jak toffi.

– Co zamierzasz zrobić z Bo Yul-Bayurem?

Wyprostowała się i odsunęła o krok. Mina jej zrzedła.

– Co masz na myśli?

Z żalem patrzył, jak znika jej swoboda, ale to nie miało znaczenia. Zerknął przez ramię, upewniając się, że nikt nie słucha.

– Dobrze wiesz, co mam na myśli. Nie uwierzyłem ani na sekundę, że zamierzasz pozwolić tym ludziom oddać Bo Yul-Bayura Radzie Kupieckiej Kerchu.

Odstawiła buteleczkę do jednej z szufladek.

– Będziemy musieli to powtórzyć przynajmniej dwa razy, zanim dotrzemy do Lodowego Dworu, żeby pogłębić kolor. Zbierz rzeczy. Kaz chce, żebyśmy byli gotowi wyruszyć za godzinę.

Zamknęła z trzaskiem skrzynkę i wzięła kajdany. I odeszła.



Zanim pożegnali się z załogą szkunera, niebo z różowego zmieniło się w złote.

– Do zobaczenia w porcie w Djerholmie! – zawołał Specht. – Żadnych żałobników.

– Żadnych pogrzebów – odpowiedzieli pozostali.

Dziwni ludzie.

Brekker był denerwująco małowówny w kwestii tego, jak właściwie mają dotrzeć do Bo Yul-Bayura, a potem wydostać się z Lodowego Dworu z naukowcem, ale jasno dał do zrozumienia, że kiedy już wykonają zadanie, *Ferolind* będzie ich drogą ucieczki. Szkuner miał dokument z pieczęcią Kerchu, który oznajmiał, że wszelkie opłaty i wnioski wniesiono w imieniu przedstawicieli Kompanii Zatoki Haanraadt mających przetransportować skóry i inne towary z Fjerdy do Zierfoortu, portowego miasta w Kerchu.

Zaczęli marsz ze skalistego wybrzeża na szczyt klifu. Zbliżała się wiosna, ale lód leżał grubą warstwą na ziemi i wspinaczka była trudna. Kiedy dotarli na szczyt urwiska, przystanęli, żeby odetchnąć. *Ferolind* był nadal widoczny na horyzoncie, z żaglami wypełnionymi wiatrem, który bił ich po policzkach.

– Na wszystkich świętych – powiedziała Inej. – Naprawdę to robimy.

– Każdą minutę każdego żałosnego dnia marzyłem, żeby zejść z tego statku – przyznał Jesper. – Dlaczego więc nagle za nim zatęskniłem?

Wylan przytupywał.

– Może dlatego, że już mam wrażenie, że zaraz sobie odmrozę stopy.

– Kiedy już zdobędziemy pieniądze, będziesz mógł palić *kruge*, żeby się rozgrzać – powiedział Kaz. – Chodźmy.

Zostawił laskę z wronią główką na *Ferolindzie* i zastąpił ją inną, mniej rzucającą się w oczy. Jesper z żalem zostawił swoje cenne rewolwery z perłowymi rękojeściami, zabierając mniej ozdobną broń, a Inej to samo zrobiła ze swoim nadzwyczajnym kompletem noży i sztyletów, zostawiając sobie tylko te, z którymi mogła się rozstać przy wejściu do więzienia. Rozsądne decyzje, ale Matthias wiedział, że talizmany mają swoją moc.

Jesper zerknął na kompas i skreślił na południe, szukając ścieżki, która doprowadzi ich do głównego szlaku handlowego.

– Ja będę płacił komuś, żeby palił moje *kruge*.

Kaz zrównał się z nim.

– A czemu nie miałbyś płacić komuś, żeby płacił osobie, która będzie paliła za ciebie *kruge*? Tak robią poważni ludzie.

– Wiesz, co robią naprawdę grube ryby? Płacą komuś, kto płaci komuś...

Ich głosy ucichły, gdy powlekli się przodem. Matthias i pozostali szli za nimi. Matthias zauważył jednak, że każdy zerknął po raz ostatni na znikający szkuner. *Ferolind* był częścią Kerchu, dla nich kawałkiem domu i ostatnią znajomą rzeczą, która z każdą chwilą oddalała się od nich.

Matthias odrobinę im współczuł, ale podczas wędrówki o poranku musiał przyznać, że z pewną satysfakcją patrzy, jak szczury kanałowe dygocą i chociaż raz trochę się męczą. Myśleli, że wiedzą, co to zimno, ale biała północ potrafiła zmusić obcych do przewartościowania różnych pojęć. Potykali się i zataczali, niezręczni w nowych butach, starając się nauczyć chodzenia po zlodowaciałym śniegu, i wkrótce Matthias szedł pierwszy, ustalając tempo, chociaż Jesper cały czas zerkał na kompas.

– Załóżcie... – Matthias umilkł i musiał wskazać Wylana.

Nie znał kercheńskiego słowa określającego gogle ani nawet śnieg, skoro już o tym mowa. Nie używano tych słów w więzieniu.

– Zasłaniajcie oczy albo trwale je uszkodzicie.

Ludzie ślepli na północy. Tracili wargi, uszy, nosy, dłonie, stopy. Ta ziemia była jałowa i okrutna, i tak odbierała ją większość ludzi. Jednak dla Matthiasa była piękna. Lód miał w sobie ducha Djela. Miał kolor, kształt, a nawet zapach, jeśli wiedzieć, czego szukać.

Brnął naprzód, czując niemal spokój, jakby Djel mógł go usłyszeć i ukoić jego znękany umysł. Lód przywołał wspomnienia z dzieciństwa, z polowań z ojcem. Mieszkali bardziej na południe, w pobliżu Halmhendu, ale zimy w tamtej części Fjerdy nie różniły się tak bardzo od tutejszych, świat bieli i szarości przełamany przez zagajniki drzew o czarnych konarach i sterczące skupiska skał, które wyglądały, jakby wyrastały znikąd, niczym wraki na pustym dnie oceanu.

Pierwszy dzień wędrówki był jak oczyszczenie – mało rozmawiano, biała cisza północy powitała Matthiasa, nie osądzając go. Spodziewał się usłyszeć więcej narzekań, ale nawet Wylan po prostu pochylił głowę i szedł. To twardzi ludzie, zrozumiał Matthias. Potrafią się dostosować. Kiedy słońce zaczęło zachodzić, zjedli żelazne racje złożone z suszonej wołowiny i sucharów, a potem padli w namiotach bez słowa.

Następny ranek położył kres ciszy i kruchemu uczuciu spokoju u Matthiasa. Teraz, kiedy zeszli ze statku, Kaz był

gotowy przedstawić szczegóły planu.

– Jeśli dobrze to rozegramy, wejdziemy do Lodowego Dworu i z niego wyjdziemy, zanim Fjerdanie w ogóle się zorientują, że ich naukowiec zniknął – powiedział Kaz, kiedy zakładali plecaki, gotowi kontynuować wędrówkę na południe. – Gdy trafimy do więzienia, zostaniemy zabrani do aresztu pod celami dla mężczyzn i kobiet, gdzie będziemy czekać na przedstawienie zarzutów. Jeśli Matthias ma rację i procedury się nie zmieniły, patrole zaglądają do cel aresztu tylko trzy razy dziennie, żeby sprawdzić liczbę więźniów. Kiedy opuścimy cele, powinniśmy mieć co najmniej sześć godzin, żeby przejść do ambasady, odnaleźć Bo Yul-Bayura na Białej Wyspie i przeprowadzić go do portu, zanim ktokolwiek zorientuje się, że zniknął.

– A co z innymi więźniami w areszcie? – zapytał Matthias.

– To już załatwiliśmy.

Matthias się skrzywił, ale nie był szczególnie zaskoczony. Kiedy znajdą się w celach aresztu, Kaz i pozostali będą najbardziej odsłonięci. Wystarczyłoby jedno słowo Matthiasa rzucone do strażników, żeby położyć kres ich planom. Tak właśnie postąpiłby Brum, to wybrałby człowiek honoru. Pewna część Matthiasa wierzyła, że kiedy wróci do Fjerdy, odzyska rozsądek, znajdzie siłę, żeby porzucić tę szaleńczą misję. Zamiast tego jeszcze mocniej zatęsknił za domem, za życiem, jakie kiedyś wiódł wśród braci *drüskelle*.

– Kiedy już wydostaniemy się z cel – kontynuował Kaz – Matthias i Jesper załatwią linę ze stajni, a Wylan i ja wyciągniemy Ninę i Inej z aresztu dla kobiet. Spotkamy się w piwnicy. Tam znajduje się spalarnia. Nikogo nie powinno być w pralni, gdy więzienie zamyka się na noc. Kiedy Inej będzie się wspinać, poszukam z Wylanem w pralni czegoś, co da się wykorzystać do zaimprovizowania ładunku wybuchowego. I na wypadek gdyby Fjerdanie zamknęli Bo Yul-Bayura w więzieniu, żeby ułatwić nam życie, Nina, Matthias i Jesper przeszukają cele na najwyższym piętrze.

– Nina i Matthias? – zapytał Jesper. – W żadnym razie nie

zamierzam podważać niczyjego profesjonalizmu, ale czy to naprawdę najlepsza para?

Matthias zdławił gniew. Jesper miał rację, ale nie cierpiał, kiedy mówiono o nim w taki sposób.

– Matthias zna procedury więzienne, a Nina może zająć się każdym strażnikiem bez hałasu. Twoim zadaniem jest dopilnować, żeby się nie pozabijali.

– Bo jestem urodzonym dyplomata w tej grupie?

– Nie ma dyplomaty w tej grupie. A teraz słuchajcie – powiedział Kaz. – Reszta więzienia nie przypomina aresztu. Patrole zmieniają się tam co dwie godziny, a my nie chcemy ryzykować, że ktoś podniesie alarm, więc bądźcie sprytni. Koordynujemy wszystkie ruchy z dzwonami Starego Zegara. Wychodzimy z cel zaraz po wybiciu szóstej, wspinamy się kominem i lądujemy na dachu około ósmej. Wszyscy bez wyjątku.

– A potem co? – zapytał Wylan.

– Przejdziemy do sektora ambasady i stamtąd dotrzemy do szklanego mostu.

– Znajdziemy się za posterunkami – powiedział Matthias, nie mogąc ukryć podziwu w głosie. – Straże na moście uznają, że przeszliśmy przez bramę ambasady i już tam dokładnie sprawdzono nasze dokumenty.

Wylan zmarszczył czoło.

– W strojach więziennych?

– Faza druga – powiedział Jesper. – Przebieranka.

– W rzeczy samej – przytaknął Kaz. – Inej, Nina, Matthias i ja pożyczymy ubrania od jednej z delegacji. I zorganizujemy też coś dla naszego przyjaciela Bo Yul-Bayura, a potem przejdziemy szklanym mostem. Znajdziemy Yul-Bayura i zabierzemy go z powrotem do ambasady. Nino, jeśli będzie czas, przeformuj go, na ile się da, i jeśli tylko nie uruchomimy żadnego alarmu, to nikt nie zwróci uwagi na jednego więcej Shu wśród gości.

Chyba że Matthias pierwszy dopadnie uczonego. Jeśli Yul-Bayur okaże się martwy, kiedy pozostali go znajdą, Kaz nie

będzie mógł mieć do Matthiasa pretensji i mimo to da mu ułaskawienie. A jeżeli Matthiasowi nie uda się oddzielić od grupy? Bo Yul-Bayurowi nadal może się przydarzyć wypadek na statku podczas powrotnego rejsu.

– Z tego wynika – powiedział Jesper – że ja ugrzęznę z Wylanem.

– Chyba że nagle zdobyłeś encyklopedyczną wiedzę na temat Białej Wypsy, nauczyłeś się otwierać zamki wytrychem, wspinać się po pionowych ścianach albo flirtem wyciągać od wysoko postawionych urzędników tajne informacje. Poza tym chcę, żeby dwie osoby zajęły się robieniem bomb.

Jesper spojrzał z żalem na broń.

– Zmarnować taki potencjał.

Nina skrzyżowała ręce na piersi.

– Powiedzmy, że to się uda. Jak się wydostaniemy?

– Wyjdziemy – odrzekł Kaz. – Na tym polega piękno tego planu. Pamiętasz, jak mówiłem o odwracaniu uwagi frajera? Przy bramie ambasady wszyscy będą patrzeć na gości przybywających do Lodowego Dworu. Ludzie wychodzący nie stanowią zagrożenia dla bezpieczeństwa.

– To po co bomby? – zapytał Wylan.

– Na wszelki wypadek. Między Lodowym Dworem a portem ciągnie się siedmiomilowa droga. Jeśli ktoś zauważy zniknięcie Bo Yul-Bayura, trzeba będzie szybko pokonać tę odległość. – Kaz narysował laską linię na śniegu. – Główna droga przecina wąwóz. Wysadzimy most i nikt nie będzie mógł nas ścigać.

Matthias złapał się za głowę, wyobrażając sobie spustoszenie, jakiego dokonają te nędzne kreatury w stolicy jego ojczyzny.

– To tylko jeden więzień, Helvar – powiedział Kaz.

– I most – dodał pomocnie Wylan.

– I wszystko, co trzeba będzie wysadzić pomiędzy – dorzucił Jesper.

– Zamknijcie się – warknął Matthias.

Jesper wzruszył ramionami.

– Ci Fjerdanie.

- Nic z tego mi się nie podoba – orzekła Nina.
Kaz uniósł brew.
- To przynajmniej znaleźliście z Helvarem kwestię, w której możecie się zgodzić.



Im dalej na południe wędrowali, zostawiając wybrzeże daleko za sobą, tym częściej połacie lodu były przerywane przez lasy, łaty czarnej ziemi, ślady zwierząt – dowody istnienia świata żywych, serca Djela, które zawsze bije. Pozostali nieustannie zadawali pytania.

- Powiedz jeszcze raz, ile jest wież strażniczych na Białej Wyspie?

- Myślisz, że Yul-Bayur będzie w pałacu?

- Na Białej Wyspie są koszary gwardii królewskiej. A jeżeli tam go umieszczono?

Jesper i Wylan debatowali, jakiego rodzaju materiały wybuchowe da się wykombinować z rzeczy znalezionych w pralni więziennej i czy uda im się dorwać trochę prochu w ambasadzie. Nina próbowała pomóc Inej wyliczyć, w jakim tempie powinna się wspinać kominem spalarni, żeby mieć czas na przywiązanie liny i ściągnięcie wszystkich na dach.

Nieustannie przepytywali się wzajemnie z architektury i procedur Lodowego Dworu, z rozkładu wartowni wybudowanych wokół dziedzińca przy zewnętrznym pierścieniu murów.

- Pierwszy posterunek?

- Czterech strażników.

- Drugi posterunek?

- Ośmiu strażników.

- Bramy w pierścieniu murów?

- Czterech, kiedy brama nie działa.

Byli jak doprowadzający do szaleństwa chór wron kraczących

Matthiasowi do ucha: „Zdrajca, zdrajca, zdrajca”.

– Żółty Protokół? – zapytał Kaz.

– Naruszenie porządku w sektorze.

– Czerwony?

– Włamanie albo ucieczka z sektora.

– Czarny?

– Mamy przechlapane? – odpowiedział pytaniem Jesper.

– Do tego się to sprowadza – powiedział Matthias, ściągając ciaśniej kaptur i brnąc dalej przed siebie.

Kazali mu nawet odśpiewać różne sygnały wygrywane na dzwonach. Konieczność, ale czuł się jak głupek, śpiewając: „Bim-bom-bim-bom”. Nie, zaraz: „Bim-bim-bom-bim-bim”.

– Kiedy będę bogaty – powiedział idący za nim Jesper – wybiorę się gdzieś, gdzie nigdy więcej nie będę musiał oglądać śniegu. A ty, Wylan?

– Nie wiem właściwie.

– Myślę, że powinieneś kupić sobie złote pianino...

– Flet.

– ...i urządzać koncerty na barce wycieczkowej. Mógłbyś zacumować ją na kanale pod domem ojca.

– Nina mogłaby śpiewać – wtrąciła Inej.

– Śpiewałybyśmy w duecie – poprawiła ją Nina. – Twój ojciec musiałby się wyprowadzić.

Nina naprawdę okropnie fałszowała. Matthias nie mógł znieść tego, że to wie, ale też nie potrafił się powstrzymać i nie zerknąć przez ramię. Kaptur Niny opadł i wysypały się jej gęste fale włosów.

Dlaczego ciągle to robię? – zastanawiał się sfrustrowany. Na pokładzie też mu się to przydarzało. Rozkazywał sobie ją ignorować, a potem, zanim się obejrzał, szukał jej wzrokiem.

Głupie byłoby udawanie, że Nina nie zajmuje jego myśli. Razem już kiedyś przeszli przez te same ziemie. Jeśli jego rachunki były poprawne, wtedy morze wyrzuciło ich na brzeg raptem kilka mil dalej od miejsca, gdzie teraz zeszli z *Ferolinda* na ląd. Zaczęło się od sztormu i w pewnym sensie ten sztorm

nigdy się nie skończył. Nina wparowała do jego życia z wiatrem i deszczem, i wstrząsnęła jego światem. Od tamtej pory nie odzyskał równowagi.



Sztorm nadciągnął znikąd, rzucał statkiem na falach jak zabawką. Morze też podjęło igraszki, dopóki nie zmęczyło się zabawą, a wtedy wciągnęło statek, całą tę plątaninę lin, żagli i rozwrzeszczanych ludzi, pod wodę.

Matthias pamiętał ciemność wody, straszliwe zimno, ciszę głębin. A potem nagle pluł słońcą wodą i łapał gwałtownie powietrze. Ktoś obejmował go przez pierś i razem płynęli przez fale. Zimno było nieznośne, ale jakimś cudem je znosił.

– Obudź się, ty żałosna kupo mięśni.

Czysty fjerdański, dykcja arystokraty. Odwrócił głowę i zaszokowany ujrzał, że młoda czarownica, którą pojмали na południowym wybrzeżu Wyspy Tułaczej, trzyma go i mruczy do siebie po ravkańsku. Od początku wiedział, że nie jest naprawdę Kaelką! Jakimś cudem wyzwoliła się z więzów i klatki. Wszystko w nim panikowało i gdyby był mniej wstrząśnięty lub odrętwiały, mógłby zacząć się szarpać.

– Rusz się – wysapała do niego po fjerdańsku. – Na wszystkich świętych, czym oni cię karmią? Ważysz tyle co fura z sianem.

Potwornie się męczyła, płynąc za nich oboje. Uratowała mu życie. Dlaczego?

Poruszył się w jej ramionach i zaczął machać nogami, żeby dodać im rozpędu. Ku swojemu zaskoczeniu usłyszał, że z piersi wyrwał jej się słaby szloch.

– Dzięki niech będą świętym – powiedziała. – Płyn, ty wielka niezdaro.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedziała i usłyszał przerażenie w jej głosie. Zaczął od niej odpływać.

– Nie! – krzyknęła. – Nie puszczaj!

On jednak odepchnął się mocno, wyrywając się z uścisku. Kiedy tylko oderwał się od niej, załało go zimno. Ból był przenikliwy i nagły, nogi i ręce błyskawicznie mu zdrętwiały. Posługiwała się magią, żeby nie marznął. Wyciągnął do niej rękę w ciemności.

– *Drüsje?! –* zawołał, zawstydzony strachem w swoim głosie.

To było fjerdańskie słowo oznaczające czarownicę, ale nie wiedział, jak inaczej ją nazwać.

– *Drüskelle!* – krzyknęła, a potem poczuł, że otarł się palcami o jej dłoń w czarnej wodzie.

Złapał się jej i przyciągnął ją ku sobie. Jej ciało nie wydawało się ciepłe, ale kiedy tylko dotknęli się, ból w jego ciele osłabł. Ogarnęła go wdzięczność i zarazem odraza.

– Musimy znaleźć ląd – wydyszała. – Nie mogę równocześnie płynąć i zmuszać naszych serc do bicia.

– Ja popłynę – odpowiedział. – Ty... A ja popłynę.

Przycisnął ją do piersi, oplótł rękami, łapiąc pod pachy, jakby tonęła, tak jak ona trzymała go wcześniej. Bo tonęła, oboje tonęli albo niedługo zaczną tonąć, o ile wcześniej nie zamarzną na śmierć.

Machał rytmicznie nogami, starając się nie zużywać za dużo energii, ale oboje wiedzieli, że to daremny trud. Nie znajdowali się daleko od lądu, kiedy rozpętał się sztorm, lecz było całkiem ciemno. Równie dobrze mogli kierować się w stronę wybrzeża, jak i na otwarte morze.

Nie było słycać niczego poza ich oddechami, pluskiem wody i szumem fal. On płynął, chociaż mogli krążyć w kółko, a ona podtrzymywała ich oddechy. Nie wiedział, które z nich pierwsze się podda.

– Dlaczego mnie uratowałaś? – zapytał w końcu.

– Nie marnuj energii. Nie mów.

– Dlaczego?

– Bo jesteś istotą ludzką – odpowiedziała ze złością.

Kłamstwa. Jeśli dotrą na ląd, będzie potrzebowała Fjerdanina,

który pomoże jej przetrwać, kogoś, kto zna kraj, chociaż niewątpliwie sama dobrze opanowała język. Pewnie, że opanowała. Oni wszyscy byli kłamcami i szpiegami, wytrenowanymi w żerowaniu na takich ludziach jak on, ludziach pozbawionych nienaturalnych darów. Byli drapieżnikami.

Płynął dalej, pracując nogami, ale był już bardzo zmęczony i czuł, że robi mu się coraz zimniej.

– Poddajesz się, czarownico?

Poczuł, że otrząsnęła się z wyczerpania, krew napłynęła z powrotem do palców jego rąk i stóp.

– Dotrzymam ci kroku, *drüskelle*. Jeśli umrzemy, to ty będziesz musiał dźwigać ciężar winy w następnym żywocie.

Musiał się wtedy uśmiechnąć. Z pewnością nie brakowało jej siły woli. To było widoczne, nawet kiedy siedziała w klatce.

Tak przetrwali tamtą noc, szydząc z siebie wzajemnie, kiedy jedno z nich słabło. Wokół było morze, lód, czasem plusk, który mógł oznaczać falę albo coś głodnego, co zbliżało się do nich w wodzie.

– Patrz – szepnęła czarownica, kiedy nadszedł świt, różany i beztroski.

W oddali Matthias ledwie dostrzegł wystający lodowy cypel i błogosławione pasmo czarnego żwiru. Łąd.

Nie tracili czasu na ulgę czy świętowanie. Czarownica odchyliła głowę do tyłu, opierając ją na jego ramieniu, a on płynął do przodu, cał po żalonym calu, chociaż każda fala odpychała ich z powrotem, jakby morze nie chciało ich wypuścić. W końcu dotknęli stopami dna i na wpół dopłynęli, a na wpół wyczołgali się na brzeg. Oderwali się od siebie i fala zmęczenia ogarnęła ciało Matthiasa, kiedy wywlekł się na czarne skały martwego i zamrzniętego łądu.

Początkowo chodzenie było niemożliwe. Poruszali się oboje zrywami, próbując zmusić nogi do posłuszeństwa, trzęsąc się z zimna. Wreszcie Matthias wstał. Myślał, czy po prostu nie odejść i nie znaleźć sobie schronienia bez czarownicy. Stała na

czworakach, głowę miała pochyloną, plątanina mokrych włosów zasłaniała jej twarz. Miał silne poczucie, że wiedźma położy się i już nie wstanie.

Zrobił jeden krok, potem drugi. A potem się odwrócił. Niezależnie od jej motywacji tej nocy uratowała mu życie, i to nie raz, ale wielokrotnie. To był dług krwi.

Zataczając się, podszedł do niej i wyciągnął dłoń.

Kiedy podniosła twarz, jej oblicze było ponurą mapą nienawiści i zmęczenia. Dostrzegł w niej wstyd, który nadszedł z wdzięcznością, i w tej krótkiej chwili wiedział, że ona jest jego zwierciadłem. Też nie chciała mu niczego zawdzięczać.

Mógł podjąć decyzję za nią. Przynajmniej tyle był jej winien. Złapał ją i zmusił do wstania, a potem, kuśtykając, razem odeszli z plaży.

Ruszyli w kierunku zachodnim – taką Matthias miał nadzieję. Tak daleko na północy słońce potrafiło zwodzić zmysły, a nie mieli kompasu. Było już prawie ciemno i w Matthiasie zaczynała się budzić panika, kiedy wreszcie dostrzegł pierwszy z obozów wielorybnych. Był opustoszały – najdalsze placówki działały tylko wiosną – i był to raptem okrągły szałas z kości, darni i zwierzęcych skór. Jednak schronienie oznaczało, że przetrwają przynajmniej najbliższą noc.

Drzwi nie miały zamka. Praktycznie wpadli przez nie do środka.

– Dziękuję – jęknęła, padając obok okrągłego paleniska.

Nie odpowiedział. To był zwykły łut szczęścia, że znalazł obóz. Gdyby morze wyrzuciło ich na brzeg kilka mil dalej, byłoby po nich.

Wielorybnicy zostawili torf i suchą podpałkę w palenisku. Matthias mozolił się nad ogniem, próbując uzyskać coś więcej niż tylko dym. Był niezręczny, zmęczony i tak głodny, że z radością przeżułby skórę własnych butów. Kiedy usłyszał szelest za sobą, odwrócił się i omal nie wypuścił kawałka drewna, którym próbował rozniecić ogień.

– Co ty wyprawiasz? – warknął.

Zerknęła przez ramię – bardzo nagie ramię – i odpowiedziała:

– A powinnam zająć się czymś konkretnym?

– Ubierz się z powrotem!

Przewróciła oczami.

– Nie zamarznę na śmierć, żeby ocalić twoje poczucie przyzwoitości.

Szturchnął płomyk ostrym gestem. Zignorowała go i zdjęła resztę ubrań: tunikę, spodnie, nawet bieliznę, a potem owinęła się w jedną z brudnych reniferowych skór, które leżały na stosie obok drzwi.

– Na wszystkich świętych, ale to cuchnie – zrzędziła, kręcąc się i moszcząc gniazdo z innych skór i derek obok paleniska.

Przy każdym ruchu płaszcz z renifera rozchyłał się, odsłaniając krągłą łydkę, białą skórę, cień między piersiami. To było celowe. Dobrze to wiedział. Próbowwała zagrać mu na nerwach. Musiał skupić się na ogniu. Omal nie umarł i jeśli nie rozpali ognia, to nadal może umrzeć. Gdyby tylko przestała tak hałasować! Drewno pękło w jego dłoniach.

Nina parsknęła i ułożyła się na legowisku ze skór, podpierając się na łokciu.

– Na wszystkich świętych, *drüskelle*, co z tobą? Ja się tylko chcę rozgrzać. Obiecuję, że nie zniewolę cię we śnie.

– Nie boję się ciebie – odpowiedział poirytowany.

Jej szeroki uśmiech był złośliwy.

– Zatem jesteś tak głupi, jak na to wyglądasz.

Nadal kucał przy ogniu. Wiedział, że powinien położyć się obok niej. Słońce zaszło i temperatura spadała. Ledwie powstrzymywał zęby przed szczękaniem. Będą potrzebowali swojego ciepła nawzajem, żeby przetrwać noc. To nie powinno go martwić, ale nie chciał zbliżyć się do niej. Ponieważ jest morderczynią, powiedział sobie. Oto dlaczego. Ponieważ jest morderczynią i czarownicą.

Zmusił się do wstania i podszedł do sterty okryć, ale Nina wyciągnęła rękę, żeby go powstrzymać.

– Nawet nie myśl o zbliżeniu się do mnie w tym ubraniu.

Przemokłeś do suchej nitki.

– Możesz sprawić, że krew będzie nam żywo krążyć.

– Jestem wyczerpana – odpowiedziała ze złością. – A gdy zasnę, tylko ogień nas będzie rozgrzewał. Nawet stąd widzę, że się trzęsiesz. Wszyscy Fjerdanie są tacy pruderyjni?

Nie. Może. Nie wiedział tak naprawdę. *Drüskelle* to święty zakon. Mieli żyć w czystości do chwili ożenku. Ożenku z dobrymi fjerdańskimi żonami, które nie wrzeszczą na ludzi i nie każą im się rozbierać.

– Wszyscy griszowie są tacy nieskromni? – zapytał obronnym tonem.

– Chłopcy i dziewczęta trenują ramię w ramię w Pierwszej i Drugiej Armii. Nie ma tam wiele miejsca na dziewczęce rumieńce.

– To niezgodne z naturą, żeby kobiety walczyły.

– To niezgodne z naturą, żeby człowiek był równie głupi, jak wysoki, a jednak proszę, stoisz tutaj. Naprawdę przepłynąłeś tyle mil, żeby umrzeć w tej szopie?

– To szalas i nie wiesz, czy przepłynęliśmy wiele mil.

Nina westchnęła poirytowana i zwinęła się na boku, przysuwając się najbliżej ognia, jak się dało.

– Jestem za bardzo zmęczona, żeby się kłócić. – Zamknęła oczy.

– Nie mogę uwierzyć, że twoja twarz to ostatnia rzecz, jaką zobaczę przed śmiercią.

Miał wrażenie, że rzuca mu wyzwanie. Stał, czując się jak głupiec, i nienawidził jej za to, że przez nią tak się czuje. Odwrócił się do niej plecami i szybko zdjął z siebie przemoczone ubranie, rozkładając je przy ogniu. Zerknął na nią raz, upewniając się, że nie patrzy, i podszedł do legowiska. Wsunął się za nią, starając się za bardzo nie zbliżyć.

– Blżej, *drüskelle* – zamruczała szyderczo.

Objął ją ramieniem, przycisnął jej plecy do swojej piersi. Wyrwał jej się zaskoczony okrzyk i poprawiła się niespokojnie.

– Przestań się wiercić – mruknął.

Bywał już blisko z dziewczynami – chociaż niezbyt wieloma,

to prawda – ale żadna z nich nie była taka jak ona. Ta była nieprzyzwoicie krągła.

– Jesteś zimny i lepki – narzekała, wzdragając się. – Jakbym leżała obok krzepkiej kałamarnicy.

– Sama powiedziałaś, żebym się przysunął!

– Rozluźnij się trochę.

Kiedy to zrobił, obróciła się do niego.

– Co robisz? – spytał, odsuwając się w panice.

– Spokojnie, *drüskelle*. Nie zamierzam cię niecnie wykorzystać. Zmrużył niebieskie oczy.

– Nie cierpię sposobu, w jaki się wysławiasz.

Wydawało mu się czy to uraza rozbłysnęła przelotnie na jej twarzy? Jakby jego słowa mogły mieć wpływ na czarownicę.

Potwierdziła, że mu się wydawało, kiedy odparła:

– Myślisz, że przejmuję się tym, co ci się podoba, a co nie?

Położyła ręce na jego piersi, skupiając się na sercu. Nie powinien jej na to pozwalać, nie powinien okazywać słabości, ale kiedy krew zaczęła mu żywiej płynąć i jego ciało stało się cieplejsze, ulga i rozluźnienie, jakie poczuł, były zbyt miłe, żeby się im oprzeć.

Rozluźnił się nieco, chociaż niechętnie, pod jej dotykiem. Odwróciła się z powrotem od niego i przerzuciła przez siebie jego rękę.

– Nie ma za co, wielgachny idioto.

Skłamał. Podobał mu się jej sposób mówienia.



Nadal tak było. Słyszał, jak pytlowała do Inej gdzieś za jego plecami, próbując ją nauczyć fjerdańskich słów.

– Nie. Hringkaaalla. Musisz przeciągnąć trochę przedostatnią sylabę.

– Hringalah? – spróbowała Inej.

– Lepiej, ale... Słuchaj, to jakby język kercheński był gazelą.

Przeskakuje od słowa do słowa – tłumaczyła Nina, odgrywając gazelę. – Fjerdański jest jak mewa, pikuje i wlatuje. – Jej ręce zmieniły się w ptaki unoszące się na prądach powietrznych.

W tej samej chwili podniosła wzrok i zobaczyła, że Matthias się w nią wpatruje.

Odchrząknął.

– Nie jedz śniegu – poradził. – Tylko cię odwodni i obniży temperaturę ciała.

Powlókł się przed siebie, śpiesząc na następny pagórek, żeby oddalić się nieco od pozostałych. Kiedy jednak wszedł na wzniesienie, stanął jak wryty.

Odwrócił się, wyciągając ręce.

– Stójcie! Nie chcecie...

Niestety było już za późno. Nina zasłoniła usta dłońmi. Inej zakreśliła jakiś znak obronny w powietrzu. Jesper pokręcił głową, a Wylanowi zrobiło się niedobrze. Kaz stał jak skamieniały z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Stos ustawiono na skarpie. Ktokolwiek był za to odpowiedzialny, chciał rozpalić ogień pod osłoną skalnego występu, ale to nie wystarczyło, żeby wiatr nie przygaszał płomieni. Pale wbito w zlodowaciałą ziemię, a do nich były uwiązane trzy zwęglone ciała. Ich poczerniała spękana skóra nadal się tliła.

– Na Ghezena! – zaklął Wylan. – Co to jest?

– Oto co Fjerdanie robią z griszami – powiedziała Nina.

Twarz miała bez wyrazu, tylko patrzyła.

– Oto co robią przestępcy – sprostował Matthias, gdy wszystko przewracało mu się w żołądku. – Stosy są nielegalne od...

Nina odwróciła się do niego raptownie i pchnęła go w pierś.

– Nawet się nie waż! – ostrzegła go, gotując się ze złości. – Powiedz, kiedy ostatni raz ktoś został skazany za podpalenie griszy? Pewnie nawet nie uważacie tego za morderstwo, tylko za zabicie psa?

– Nino...

– Macie inną nazwę na zabijanie, kiedy nosicie przy tym

mundury?

Wtedy usłyszeli. Jęk jak skrzypienie na wietrze.

– Na wszystkich świętych – powiedział Jesper. – Jedno z nich żyje.

Dźwięk znowu się rozległ, słaby i żałosny, dobiegał z czarnej masy ciała przywiązanej najbardziej po prawej. Nie sposób było powiedzieć, czy kształt należy do mężczyzny, czy kobiety. Włosy spłonęły, ubranie sklepiło się z ciałem. Czarne płaty skóry odchodziły w wielu miejscach, odsłaniając czerwone ciało.

Ninie wyrwał się szloch. Uniosła rękę, ale za bardzo jej drżały, żeby była w stanie swoją mocą zakończyć cierpienia tej istoty. Odwróciła się do pozostałych z oczami pełnymi łez.

– Ja... Proszę, niech ktoś...

Jesper pierwszy zareagował. Rozległy się dwa strzały i ciało ucichło. Schował pistolety do kabur.

– Do licha, Jesper – warknął Kaz – właśnie poinformowałeś wszystkich w promieniu wielu mil o naszej obecności.

– To pomyślą, że polujemy.

– Trzeba było dać Inej to załatwić.

– Nie chciałam tego robić – odezwała się cicho Inej. – Dzięki, Jesper.

Kaz zacisnął zęby, ale nie powiedział nic więcej.

– Dziękuję – wykrztusiła Nina.

Powlokła się przodem po zamarznętej ziemi, trzymając się ścieżki prowadzącej przez śnieg. Płakała, potykała się. Matthias poszedł za nią. Niewiele było tu charakterystycznych punktów i łatwo było zabłądzić.

– Nino, nie możesz oddalać się od grupy...

– Oto do czego właśnie wracasz, Helvar! – rzuciła ostro. – Oto kraj, któremu pragniesz służyć. To budzi w tobie dumę?

– Nigdy nie widziałem griszy skazanego na stos. Każdego sądzi się...

Odwróciła się do niego z uniesionym goglami i łzami zamarznętymi na policzkach.

– To dlaczego żaden grisza nigdy nie został uznany za

niewinnego podczas tych waszych rzekomo sprawiedliwych procesów?

– Nie...

– Bo naszą zbrodnią jest fakt, że istniejemy. Naszą zbrodnią jest to, czym jesteśmy.

Matthias zamilkł, a kiedy odezwał się, walczył ze wstydem z powodu tego, co zamierza powiedzieć, i potrzebą, żeby to powiedzieć. Były to słowa, zgodnie z którymi się wychował, słowa, które nadal brzmiały dla niego prawdziwie:

– Nino, a nigdy nie przyszło ci na myśl, że może... nie powinniście istnieć?

Oczy Niny zapłonęły zielonym ogniem. Podeszła do niego i poczuł promieniujący z niej gniew.

– Może to wy nie powinniście istnieć, Helvar. Słabi i miękczy, ze swoim krótkim życiem i żalonymi przesądami. Czycie leśne duszki i duchy lodu, które nie raczą się nawet pokazać, ale gdy widzicie prawdziwą moc, to aż się rwiecie, żeby ją zdeptać.

– Nie drwij z tego, czego nie rozumiesz.

– Moja drwina cię obraża?! Moi ludzie z radością przyjęliby wasz śmiech w miejsce tego barbarzyństwa. – Wyraz najwyższej satysfakcji wypłynął jej na twarz. – Ravka się odradza. Tak samo jak Druga Armia, a kiedy to się zakończy, mam nadzieję, że zorganizują wam uczciwy proces, na który zasługujecie. Mam nadzieję, że zakują *drüskelle* w łańcuchy i każą im stanąć i słuchać, jak wyliczane są ich zbrodnie, aby cały świat poznał wasze zło.

– Skoro tak bardzo chcesz zobaczyć, jak Ravka się odradza, to czemu nie ma cię tam teraz?

– Chcę, żebyś otrzymał swoje ułaskawienie. Chcę, żebyś tu był, kiedy Druga Armia pomaszeruje na północ i opanuje każdy cal tego pustkowia. Mam nadzieję, że spalą wasze pola i posypią ziemię solą. Mam nadzieję, że skażą twoich przyjaciół i rodzinę na stos.

– Już to zrobili, Zenik. Moją matkę, ojca i młodszą siostrzyczkę. Piekielnicy, twoi kochani, prześladowani griszowie, spalili moją

wioskę na popiół. Nie mam już nic do stracenia.

Nina zaśmiała się gorzko.

– Może za krótko siedziałeś we Wrotach Piekieł. Zawsze ma się coś do stracenia.



Czuję ich smród.

Potrząsała włosami i otrzepywała ubranie, brnąc przez śnieg, starając się powstrzymać odruch wymiotny. Cały czas miała przed oczami ciała, wściekle czerwoną tkanekę wyzierającą spod spalonej, czarnej skorupy jak rozgarnięte węgielki. Miała wrażenie, że pokryły ją ich prochy, odór palonego mięsa. Nie mogła odetchnąć pełną piersią.

W towarzystwie Matthiasa tak łatwo można było zapomnieć, kim jest naprawdę, co naprawdę myśli na jej temat. Tego ranka znowu go formowała, znosząc jego wściekle spojrzenia i warczenie. Nie, rozkoszując się nimi, wdzięczna za pretekst pozwalający jej znaleźć się blisko niego, idiotycznie zadowolona z każdego razu, kiedy prawie udało jej się go rozśmieszyć.

Na wszystkich świętych, co mnie to obchodzi?

Dlaczego jeden uśmiech Matthiasa Helvara znaczył tyle, co pięćdziesiąt od kogoś innego? Czuła, jak jego serce pośpiesznie bije, gdy odchyłała mu głowę, żeby popracować nad oczami. Myślała o tym, żeby go pocałować. Chciała go pocałować i była prawie pewna, że on myślał o tym samym.

Chyba że znowu marzy, żeby mnie udusić, pomyślała.

Nie zapomniała, co powiedział na pokładzie *Ferolinda*, kiedy zapytał, co zamierza zrobić z Bo Yul-Bayurem; czy naprawdę chce przekazać naukowca Kerchowi. Gdyby sabotowała misję Kaza, czy Matthias straciłby szansę na ułaskawienie? Nie mogła tego zrobić. Bez względu na to, kim był, była mu dłużna wolność.

Po katastrofie statku podróżowała z Matthiasem przez trzy tygodnie. Nie mieli kompasu, nie wiedzieli, dokąd zmierzają. Nie orientowali się nawet, w którym miejscu na północnym wybrzeżu wyszli na brzeg. Długie dni brnęli przez śnieg, marzli nocami w prymitywnych schronieniach, jakie zdołali sobie przygotować, albo w opuszczonych szałasach obozów wielorybicznych, jeśli mieli dość szczęścia. Jedli pieczone wodorosty, wszelkie trawy i bulwy, na jakie natrafili. Kiedy znaleźli zapas suszonego mięsa renifera schowany na dnie plecaka w jednym z obozów, to było niemal jak cud. Żuli w niemym zachwycie bez mała upojeni smakiem.

Po pierwszej nocy spali we wszystkich suchych rzeczach i kocach, jakie zdołali znaleźć, ale po przeciwnych stronach ognia. Jeśli nie mieli drewna albo podpałki, zwijali się razem, prawie się nie dotykając, ale rankiem budzili się wtuleni w siebie, oddychając zgodnym rytmem, spowici w kokon snu, jak pojedynczy sierp księżycy.

Każdego ranka narzekał, że nie sposób jej dobudzić.

– Jakbym próbował wskrzesić trupa.

– Nieboszczyk prosi o jeszcze pięć minut – odpowiadała i chowała głowę w futrach.

Kręcił się, tupiąc, pakując ich rzeczy najgłośniej, jak się dało, i gderał pod nosem:

– Leniwa, idiotyczna, egoistyczna...

Aż wreszcie wstawała i zaczynała przygotowywać się do kolejnego dnia.

– Co zrobisz w pierwszej kolejności, kiedy wrócisz do domu? – zapytała go jednego z niekończących się dni wędrówki przez śnieg, kiedy mieli nadzieję natrafić na jakiś ślad cywilizacji.

– Wyśpię się – odpowiedział. – Wykąpię. Pomodłę za

straconych przyjaciół.

– A tak, za pozostałych oprychów i morderców. Jak to się właściwie stało, że zostałeś *drüskelle*?

– Twoi przyjaciele zabili moją rodzinę podczas ataku na wioskę – odparł chłodno. – Brum przygarnął mnie i dał mi coś, o co mogę walczyć.

Nina nie chciała w to wierzyć, ale wiedziała, że to możliwe. Dochodziło do walk, niewinni ginęli w krzyżowym ogniu. Równie niepokojąca była myśl, że ten potwór Brum może być dla kogoś ojcem.

Nie uznała za właściwe sprzeczać się lub przeproszać, więc powiedziała pierwszą rzecz, jaka wpadła jej do głowy:

– *Jer molle pe oonet. Enel mörd je nej afva trohem verretn.*

Zobowiązałam się cię chronić. Tylko śmierć powstrzyma mnie od wypełnienia tej przysięgi.

Matthias spojrzał na nią zaszokowany.

– Taką przysięgę składają *drüskelle* Fjerdzie. Skąd znasz te słowa?

– Próbowałam jak najwięcej nauczyć się o Fjerdzie.

– Dlaczego?

Zawahała się, a potem odpowiedziała:

– Żeby się was nie bać.

– Nie sprawiaś wrażenia, że się boisz.

– A ty boisz się mnie? – zapytała.

– Nie – odrzekł i powiedział to niemal ze zdziwieniem.

Już wcześniej mówił, że się jej nie boi, ale tym razem mu uwierzyła. Próbowała uprzytomnić sobie, że to niedobrze.

Szli przez jakiś czas, aż zapytał:

– A co ty zrobisz w pierwszej kolejności?

– Zjem.

– Co?

– Wszystko. Faszerowaną kapustę, pyzy ziemniaczane, ciastka z czarną porzeczką, bliny ze skórką cytrynową. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć minę Zoi, kiedy wejdę do Małego Pałacu.

– Zoi Nazyalensky?

Nina zamarła w pół kroku.

– Znasz ją?

– Wszyscy ją znamy. To potężna czarownica.

I wtedy to do niej dotarło: dla *drüskelle* Zoya była trochę podobna do Jarla Bruma – okrutna, nieludzka istota, która czai się w ciemności ze śmiercią w rękach. Zoya była potworem dla tego chłopca. Ta myśl wywołała w niej niepokój.

– Jak się wydostaliście z klatek?

Nina się zdumiała.

– Co?

– Na statku. Byliście związani i w klatkach.

– Kubek od wody. Uszko się odłamało i krawędź w tym miejscu była wyszczerbiona. Za jej pomocą rozcieliśmy więzy. A gdy już mieliśmy wolne ręce... – Nina urwała zakłopotana.

Matthias spojrzał chmurnie.

– Planowaliście atak.

– Zamierzaliśmy ruszyć w nocy.

– Ale wtedy rozpętał się sztorm.

– Tak.

Szkwalnik i fabrykator wyrwali dziurę w pokładzie i wypłynęli na wolność. Tylko czy przetrwali w lodowatych wodach? Czy zdołali dostać się na ląd? Zadrzała. Gdyby nie odkryli sekretu kubka, utonąłaby w klatce.

– Co jadają *drüskelle*? – zapytała, przyśpieszając. – Poza tym, że dzieci griszów.

– Nie jemy dzieci!

– Tłuszcz delfinów? Racice reniferów?

Zobaczyła, jak krzywi usta, i zastanawiała się, czy zrobiło mu się niedobrze, czy może – kto wie? – stara się nie roześmiać.

– Jemy mnóstwo ryb. Śledzie. Solone dorsze. I tak, renifery, ale nie racice.

– A słodycze?

– Co z nimi?

– Bardzo lubię słodycze. Ciekawa jestem, czy znajdziemy tu

płaszczynę porozumienia.

Wzruszył ramionami.

– Daj spokój, *drüskelle* – zachnęła się.

Nie wymienili się imionami, a ona nie była pewna, czy powinni. W końcu, jeśli przeżyją, dotrą do miasteczka albo wsi. Nie wiedziała, co wtedy się stanie, ale im mniej wiedział na jej temat, tym lepiej.

– Nie zdradzasz tajemnic rządu fjerdańskiego. Chcę tylko wiedzieć, dlaczego nie lubisz słodocy.

– Lubię słodocy, ale nie wolno nam ich jeść.

– Nikomu? Czy tylko *drüskelle*?

– *Drüskelle*. Uważa się to za pobłażanie sobie. Jak w przypadku alkoholu albo...

– Dziewczyn?

Zarumienił się i powlókł przed siebie. Tak łatwo można go było wprowadzić w zakłopotanie!

– Skoro zabraniają wam słodocy i alkoholu, to pewnie polubiłbyś *pomdrakon*.

Początkowo nie złapał przynęty, ale w końcu cisza za bardzo zaczęła mu ciążyć.

– Co to jest *pomdrakon*?

– Smocza misa – wyjaśniła ochoczo Nina. – Najpierw moczysz rodzynki w brandy, a potem gasisz światło i je podpalasz.

– Po co?

– Żeby trudniej się je łapało.

– A jak już je masz, to co?

– Zjadasz.

– Nie parzysz sobie języka?

– Pewnie, ale...

– To po co...

– Bo to zabawne, głuptasie. Wiesz, co to „zabawa”? Istnieje takie słowo w fjerdańskim, więc musiałeś się zetknąć z tym konceptem.

– Często się zabawiam.

– No dobra, a co robisz dla zabawy?

I tak to wyglądało: docinali sobie jak pierwszej nocy w wodzie, utrzymując się wzajemnie przy życiu, nie chcąc przyznać przed sobą, że słabną, że jeśli wkrótce nie znajdą prawdziwego miasteczka, to dłużej nie pociągną. Były dni, kiedy głód i oślepiające światło odbijające się od północnych lodów sprawiały, że chodzili w kółko, cofali się, potykali o własne ślady, ale nigdy o tym nie mówili, nigdy nie wypowiedzieli słowa „zagubieni”, jakby oboje wiedzieli, że wtedy przyznaliby się do porażki.

– Dlaczego Fjerdanie nie pozwalają dziewczynom walczyć? – zapytała pewnej nocy, kiedy leżeli zwinięci w szałasie. Wyraźnie czuli chłód przenikający przez skóry ułożone na ziemi.

– One nie chcą walczyć.

– Skąd wiesz? Pytałeś którąś?

– Fjerdańskie kobiety należy otaczać czcią i chronić.

– To pewnie mądre podejście.

Poznał ją na tyle, żeby te słowa go zaskoczyły.

– Tak?

– Pomyśl, jakie byłoby to żenujące, gdyby spuściła ci baty fjerdańska dziewczyna.

Parsknął.

– Chciałabym zobaczyć, jak bije cię dziewczyna – dodała radośnie.

– Nie w tym życiu.

– Cóż, pewnie i tak nie będzie mi dane tego zobaczyć. Osobiście doświadczę radości skopania ci tyłka.

Tym razem roześmiał się, i to szczerze, czuła to przez plecy.

– Na wszystkich świętych, Fjerdanie, nie wiedziałam, że potrafisz się śmiać. Uważaj, nie przeforsuj się.

– Lubię twoją arogancję, *drüsje*.

Teraz ona się roześmiała.

– To chyba najgorszy komplement, jaki usłyszałam.

– Nigdy w sobie nie wątpisz?

– Nieustannie – powiedziała, zapadając w sen. – Tylko tego nie okazuję.

Następnego ranka szli przez pole lodowe podzielone szczelinami, starając się trzymać pewnego gruntu pomiędzy śmiertcionośnymi rozpadlinami. Kłócili się na temat spania Niny.

– Jak możesz nazywać siebie żołnierzem? Spałabyś do południa, gdybym ci pozwolił.

– A co to ma do rzeczy?

– Chodzi o dyscyplinę. Rutynę. Coś ci to mówi? Na Djela, nie mogę się doczekać, kiedy znowu będę miał łóżko tylko dla siebie.

– Jasne – zakpiła Nina. – Dobrze czuję, jak bardzo nie cierpisz spania obok mnie. Czuję to każdego ranka.

Matthias poczerwieniał jak burak.

– Dlaczego musisz mówić takie rzeczy?

– Bo lubię, kiedy się czerwienisz.

– To obrzydliwe. Nie musisz zawsze być taka wulgarna.

– Gdybyś trochę sobie odpuścił...

– Nie chcę.

– Dlaczego? Czego tak bardzo się boisz? Że co się wtedy wydarzy? Że możesz mnie polubić?

Nie odpowiedział.

Mimo zmęczenia potruchtała przodem.

– O to ci chodzi, co? Nie chcesz polubić griszy. Boisz się, że jeśli zaczniesz się śmiać z moich żartów albo odpowiadać na moje pytania, to możesz zacząć traktować mnie jak człowieka. Czy to byłoby takie straszne?

– Lubię cię.

– Co proszę?

– Lubię cię – powtórzył ze złością.

Rozpromieniła się, czując, jak wytryska w niej źródło radości.

– No proszę! I co? Jest aż tak źle?

– Tak! – ryknął.

– Dlaczego?

– Bo jesteś okropna. Głośna, wulgarna i... podstępna. Brum ostrzegał nas, że grisze potrafią być czarujące.

– Och, rozumiem. Jestem występłą uwodzicielką. Zwiodłam

cię sztuczkami griszy!

Szturchnęła go w pierś.

– Przestań.

– Nie, właśnie cię mamie.

– Daruj sobie.

Tańczyła wokół niego w śniegu, szturchając go w pierś, w brzuch, w bok.

– Rety! Ależ ty jesteś twardy! Co za żmudna robota.

Matthias zaczął się śmiać.

– To działa! Omamianie się zaczęło! Fjerdanin padł. Nie masz siły, żeby mi się oprzeć. Nie... – Nina urwała i krzyknęła, kiedy lód pękł pod jej stopami.

Wyciągnęła ręce na oślep, sięgając po coś, cokolwiek, czego mogłaby się złapać, by nie spaść, drapała palcami o lód i skały.

Drüskelle złapał ją za rękę, a Nina krzyknęła, kiedy ramię omal nie wyskoczyło jej ze stawu.

Wisiała nad nicością i tylko jego zaciśnięte palce dzieliły ją od czarnej czeluści w lodzie. Przez chwilę patrząc w jego oczy, była pewna, że ją puści.

– Proszę – powiedziała i łzy popłynęły jej po policzkach.

Wyciągnął ją ze szczeliny i powoli odpełzli na pewniejszy grunt. Leżeli na plecach, dysząc.

– Bałam się... Bałam się, że mnie puścisz – wykrztusiła.

Minęła dłuższa chwila, zanim odpowiedział:

– Myślałem o tym. Przez sekundę.

Nina cicho parsknęła śmiechem.

– W porządku – odrzekła wreszcie. – Też bym się zastanowiła.

Wstał i podał jej rękę.

– Mam na imię Matthias.

– Nina – odpowiedziała, łapiąc go za rękę. – Miło cię poznać.



Katastrofa statku wydarzyła się ponad rok temu, ale Nina miała

wrażenie, że nie minęła nawet chwila. Jedna jej cząstka chciała powrócić do tamtego czasu, zanim wszystko się popsuło, do tych długich dni na lodzie, kiedy udawało im się być Niną i Matthiasem, a nie griszą i łowcą czarownic. Jednak im dłużej nad tym myślała, tym większego nabierała przekonania, że takie chwile nigdy nie zaistniały. Tamte trzy tygodnie były kłamstwem, które stworzyli z Matthiasem, żeby przetrwać. Prawda to stos.

– Nino – powiedział Matthias, biegnąc teraz za nią. – Nino, musisz się trzymać z pozostałymi.

– Zostaw mnie w spokoju.

Kiedy złapał ją za rękę, obróciła się, zaciskając pięść i blokując mu dopływ powietrza przez gardło. Zwykły człowiek wypuściłby ją, ale Matthias był wyszkolonym *drüskelle*. Złapał jej drugą rękę i przycisnął do ciała, przyciągając ją do siebie, żeby nie mogła posłużyć się mocą.

– Przestań – powiedział cicho.

Szarpała się w jego uścisku, piorunując go wzrokiem.

– Puść mnie.

– Nie mogę. Nie, póki stanowisz zagrożenie.

– Dla ciebie zawsze będę zagrożeniem.

Kącik ust uniósł mu się w pełnym żalu uśmiechu. Jego oczy były niemalże smutne.

– Wiem. – Powoli ją wypuścił.

Cofnęła się.

– Co zobaczę, kiedy dotrę do Lodowego Dworu? – zapytała ostro.

– Boisz się.

– Tak – przyznała, unosząc wyzywająco brodę. Zaprzeczanie nie miało sensu.

– Nino...

– Powiedz mi. Muszę wiedzieć. Sale tortur? Stosy płonące na dachach?

– Nie pali się już stosów w Lodowym Dworze.

– Zatem co? Rozpłatywanie brzuchów i ćwiartowanie?

Plutony egzekucyjne? Czy z Pałacu Królewskiego jest widok na szubienice?

– Nasłuchałem się już dość twoich osądów. To się musi skończyć.

– On ma rację. Nie możesz robić tego dłużej.

Jesper stał w śniegu razem z pozostałymi.

Jak długo tam stali? Widzieli, jak zaatakowała Matthiasa?

– Nie mieszaj się do tego – warknęła Nina.

– Jeśli wy dwoje będzie dalej się kłócić, to doprowadzicie do naszej śmierci, a mnie jeszcze czeka mnóstwo partyjek, które muszę przegrać.

– Musicie znaleźć sposób, żeby zawrzeć pokój – powiedziała Inej. – Przynajmniej rozejm na jakiś czas.

– To nie jest twoje zmartwienie – warknął Matthias.

Kaz wystąpił naprzód z niebezpiecznym wyrazem twarzy.

– To jest jak najbardziej nasze zmartwienie. I uważaj, jakim tonem się odzywasz.

Matthias uniósł rękę.

– Wszyscy daliście się jej zwieść. Ona jest w tym dobra. Pozwala wam uwierzyć, że jest waszą przyjaciółką, a potem...

Inej skrzyżowała ręce na piersi.

– A potem co?

– Odpuść sobie, Inej.

– Nie, Nino – sprzeciwił się Matthias – opowiedz im. Kiedyś powiedziałaś, że jesteś moją przyjaciółką. Pamiętasz? – Odwrócił się do pozostałych. – Podróżowaliśmy razem przez trzy tygodnie. Uratowałem jej życie. Ratowaliśmy się nawzajem. Kiedy dotarliśmy do Ellingu... Mogłem ją przekazać żołnierzom, których ciągle tam widywaliśmy. Jednak nie zrobiłem tego. – Matthias zaczął krążyć, podnosił głos, jakby dał się ponieść wspomnieniom. – Pożyczyłem pieniądze. Załatwiłem nam nocleg. Byłem gotowy zdradzić wszystko, w co wierzyłem, na rzecz jej bezpieczeństwa. Kiedy odprowadzałem ją do portu, żeby zarezerwować jej miejsce na statku, stał tam frachtowiec z Kerchu gotowy do odpłynięcia. – Matthias powrócił do tamtej

chwili, znowu stał z nią w porcie. Widziała to w jego oczach. – Zapytajcie, co wtedy zrobiła ta honorowa sojuszniczka, dziewczyna, która waży się osądzać mnie i moich ludzi.

Nikt nie odezwał się słowem, ale wszyscy patrzyli i czekali.

– Powiedz im! – domagał się Matthias. – Powinni wiedzieć, jak traktujesz przyjaciół.

Nina przełknęła ślinę, a potem zmusiła się, żeby spojrzeć im w oczy.

– Powiedziałam Kerchenom, że Matthias handluje niewolnikami i że wziął mnie do niewoli. Zdałam się na ich łaskę i błagałam o pomoc. Miałam pieczęć, którą zabrałam ze statku niewolniczego, na który napadliśmy w okolicy Wyspy Tułaczej. Wykorzystałam ją jako dowód.

Nie zdołała dłużej na nich patrzeć. Kaz oczywiście wiedział. Musiała mu powiedzieć o oskarżeniach, które zmyśliła i próbowała odwołać, kiedy błagała go o pomoc. Jednak Kaz nigdy nie dociekał, nigdy nie pytał dlaczego, nigdy jej nie skrytykował. Na swój sposób spowiedź przed nim przyniosła jej ulgę. Chłopak znany jako Brudnoręki nie mógł nikogo oceniać.

Teraz jednak wszyscy poznali prawdę. Chociaż Kerch zdawał sobie sprawę, że do portów Ketterdamu przybijają statki niewolnicze i stamtąd wypływają, a także że większość kontraktowców to w gruncie rzeczy niewolnicy, tyle że pod inną nazwą, to jednak oficjalnie piętnował handel niewolnikami i był zobowiązany do ścigania handlarzy. Nina doskonale wiedziała, co się stanie, gdy napiętnuje Matthiasa, oskarżając go o handel żywym towarem.

– Nie rozumiałem, co się dzieje – mówił Matthias. – Nie mówiłem po kercheńsku, w przeciwieństwie do Niny. Złapano mnie i skuto. Wrzucono mnie do aresztu i trzymano w ciemności przez wiele tygodni, kiedy płynęliśmy przez morze. Następnym razem zobaczyłem światło dzienne, kiedy wyładowywano mnie ze statku w Ketterdamie.

– Nie miałam wyjścia – powiedziała Nina mimo łez wzbierających w gardle. – Nie wiesz...

– Powiedz mi jedno – przerwał jej. W jego głosie brzmiał gniew, ale słyszała też coś jeszcze: błagalną nutę. – Gdybyś mogła cofnąć czas, gdybyś mogła cofnąć to, co mi zrobiłaś, cofnęłabyś?

Nina spojrzała na pozostałych. Miała swoje powody, ale czy miały jakieś znaczenie? I kim byli oni, żeby ją oceniać? Wprostowała się i uniosła dumnie głowę. Była członkinią Szumowin, pracowniczką Białej Róży, czasem bywała niemądrą dziewczyną, ale nade wszystko była griszą i żołnierzem.

– Nie – odparła wyraźnie, a jej głos odbił się echem od niekończącego się lodu. – Postąpiłabym dokładnie tak samo.

Nagły huk zatrzęsł ziemią. Nina omal się nie przewróciła i zobaczyła, że Kaz oparł się mocniej na lasce. Spojrzeli po sobie zdziwieni.

– Uskoki ciągną się tak daleko na północ? – zapytał Wylan.

Matthias zmarszczył czoło.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo, ale...

Kawał ziemi wystrzelił mu spod nóg i go przewrócił. Następny wybuchł na prawo od Niny, która też wyłożyła się jak długi. Wszędzie wokół nich pokrzywione monolity z ziemi i lodu wystrzeliwały w górę, jakby ziemia ożyła. Porywisty wiatr uderzył w ich twarze, podnosząc tumany śniegu.

– Co jest, u diabła?! – krzyknął Jesper.

– To jakieś trzęsienie ziemi! – zawołała Inej.

– Nie – powiedziała Nina, wskazując ciemną plamkę na niebie, która wydawała się kompletnie nieczuła na wicher. – Zaatakowano nas.

Ruszyła na czworakach, szukając jakieś osłony. Myślała, że może zwariowała. Ktoś unosił się w powietrzu, szybował po niebie wysoko nad nią. Widziała, jak ktoś lata.

Szkwalnicy potrafili kontrolować prądy powietrzne. Widziała nawet, jak bawili się, wyrzucając się wzajemnie w powietrze w Małym Pałacu, ale poziom finezji i mocy, jakiej wymagał kontrolowany lot, był nie do pomyślenia. A przynajmniej tak było do tej pory. *Jurda parem*. Nie do końca wierzyła Kazowi. Może nawet podejrzewała, że kłamie w żywe oczy na temat tego,

co widział, żeby ona zrobiła swoje. Jednakże albo oberwała po głowie i o tym nie pamiętała, albo to działa się naprawdę.

Szkwalnik obrócił się w powietrzu, wzmagając wichurę, podrywając kawałki lodu, które kłuły ją w policzki. Ledwie cokolwiek widziała. Padła na plecy, kiedy kolejny blok ziemi i lodu wystrzelił z ziemi. Otaczano ich, zmuszono do zebrania się w grupę, żeby stanowili łatwy cel.

– Niech ktoś odwróci jego uwagę! – krzyknął Jesper z zawiei.

Usłyszała cichutki brzęk.

– Padnij! – krzyknął Wylan.

Nina rozpląszczyła się na śniegu. W górze rozległ się huk, wybuch rozświetlił niebo na prawo od szkwalnika. Wiatr nieco osłabł, kiedy podmuch eksplozji zepchnął szkwalnika z kursu i zmusił do skupienia się na torze lotu. Szkwalik potrzebował na to ledwie sekundy, ale tyle wystarczyło, żeby Jesper wycelował z karabinu i strzelił.

Rozległ się wystrzał i szkwalik zaczął spadać. Kolejny blok lodu wyrósł spod ziemi. Więziono ich jak zwierzęta w zagrodzie gotowe do rzezi. Jesper wycelował między kawałkami lodu i ziemi w stronę odległej kępy drzew i Nina zdała sobie sprawę, że tam znajduje się drugi grisza, ciemnowłosy chłopiec. Zanim padł strzał, grisza uniósł pięść i kolejny słup ziemi zwałił Jespera z nóg. Rewolwerowiec przeturlał się i strzelił z ziemi.

Chłopiec w oddali krzyknął i padł na jedno kolano, lecz ciągle unosił ręce i ziemia nadal dudniła i kołysała się pod nimi. Jesper strzelił jeszcze raz – i spudłował. Nina uniosła ręce i spróbowała skupić się na sercu griszy, ale znajdował się sporo poza jej zasięgiem.

Zobaczyła, że Inej daje sygnał Kazowi. Bez słowa ustawił się pod najbliższym blokiem lodu i złożył ręce nad kolanem. Ziemia ugięła się pod nimi i zakołysała, ale on stał pewnie, kiedy Inej odbiła się od jego dłoni i wzbiła wdzięcznie w powietrze. Zniknęła bezszelestnie za blokiem. Chwilę później ziemia zamarła.

– Zaufaj Zjawie – powiedział Jesper.

Stali oszołomieni, a powietrze było dziwnie ciche po chaosie, który szalał przed chwilą.

– Wylan – wydyszał Jesper, wstając. – Uwolnij nas stąd.

Chłopak skinął głową i wyjął z plecaka grudkę w kolorze kitu, a potem ostrożnie umieścił ją na najbliższej skale.

– Wszyscy na ziemię – polecił.

Przykucnęli razem najdalej, jak pozwoliło im ogrodzenie z bloków. Wylan uderzył dłonią w materiał wybuchowy i odskoczył w stronę Matthiasa i Jespera. Wszyscy zatkali uszy.

Nic się nie stało.

– Jaja sobie robisz? – powiedział Jesper.

Bum! Skąła eksplodowała. Lód i kamienie posypały się gradem na ich głowy.

Wylan – cały w pyle – miał lekko oszołomiony i szaleńczo szczęśliwy wyraz twarzy. Nina zaczęła się śmiać.

– Staraj się sprawiać wrażenie, jakbyś wiedział, że się uda.

Wyszli chwiejnie z zagrody ze skalnych płyt.

Kaz wskazał Jespera.

– Sprawdź teren. Upewnij się, że więcej nie ma żadnych niespodzianek.

Wyruszyli w przeciwnych kierunkach.

Nina i pozostali znaleźli Inej stojącą nad ciałem dygoczącego griszy. Nosił ubranie w kolorze khaki i miał szkliste oczy. Krew wylewała się z rany postrzałowej w górnej części uda, nóż wystawał mu z prawej strony piersi. Inej musiała rzucić nożem, kiedy wydostała się z zagrody.

Nina przyklękła obok chłopca.

– Potrzebuję jeszcze trochę – wymamrotał. – Tylko odrobinę.

Złapał Ninę za rękę i dopiero wtedy go poznała.

– Nestor?

Drgnął na dźwięk swojego imienia, ale chyba jej nie poznał.

– Nestor, to ja, Nina.

Uczyła się razem z nim w Małym Pałacu. Wysłano ich do Keramzinu w czasie wojny. Podczas koronacji króla Nikolaia ukradli butelkę szampana i razem porzygali się nad jeziorem. Był

fabrykatorem, jednym z substancyków, którzy pracowali nad metalem, szkłem i włóknem. To nie miało sensu. Fabrykatorzy wytwarzali tkaniny, broń. Nie powinni być zdolni do tego, co przed chwilą widziała.

– Proszę – błagał, krzywiąc twarz. – Potrzebuję jeszcze trochę.

– *Parem?*

– Tak – zaszlochał. – Tak. Proszę.

– Mogę wyleczyć ci ranę, jeśli nie będziesz się ruszał.

Był w kiepskim stanie, ale gdyby zatrzymała krwawienie...

– Nie chcę twojej pomocy – odpowiedział z gniewem, próbując odsunąć się od niej.

Próbowała go uspokoić, spowalniając mu puls, ale bała się, że całkiem zatrzyma serce.

– Proszę, Nestorze. Nie ruszaj się, proszę.

Teraz już krzyczał, siłując się z nią.

– Przytrzymajcie go – poleciła.

Matthias podszedł, żeby pomóc, a Nestor wyprostował gwałtownie rękę.

Ziemia uniosła się jak marszczące się prześcieradło, odrzucając Ninę i pozostałych do tyłu.

– Nestorze, proszę! Daj sobie pomóc.

Wstał, słaniając się na rannej nodze, i wyciągnął nóż z piersi.

– Gdzie oni są?! – krzyknął. – Dokąd poszli?

– Kto?

– Shu! – zawył. – Dokąd poszli? Wracajcie! – Zrobił jeden chwiejny krok, potem drugi. – Wracajcie!

Padł twarzą w śnieg. Nie poruszył się więcej.

Nina podbiegła do niego i obróciła go na plecy. Miał śnieg w oczach i ustach. Położyła ręce na jego piersi, próbując pobudzić serce do bicia, ale na nic to się zdało. Gdyby narkotyk nie wyniszczył jego ciała, może przeżyłby mimo zadanych ran. Niestety jego ciało było słabe, skóra ciasno opinała się na kościach i była tak blada, że prawie przezroczysta.

To nie w porządku, pomyślała żałośnie Nina. Praktykowanie Małej Nauki sprawiało, że griszowie byli zdrowsi, mocniejsi. To

była jedna z tych rzeczy, które najbardziej uwielbiała w swojej mocy. Organizm miał jednak swoje ograniczenia. Zupełnie jakby narkotyk sprawił, że moc Nestora daleko wyprzedziła jego ciało. Zwyczajnie go zużyła.

Kaz i Jesper wrócili zdyszani.

– Coś jeszcze? – zapytał Matthias.

Jesper skinął głową.

– Grupa ludzi zmierzająca na południe.

– Wołał jakichś Shu – wtrąciła Nina.

– Wiedzieliśmy, że Shu wyślą swoją ekipę po Bo Yul-Bayura – powiedział Kaz.

Jesper spojrzał na nieruchome ciało Nestora.

– Nie wiedzieliśmy jednak, że wyślą griszów. Skąd pewność, że to nie są najemnicy?

Kaz podniósł monetę z koniem po jednej stronie i skrzyżowanymi kluczami po drugiej.

– To znalazłem w kieszeni szkwalnika – powiedział, rzucając monetę Jesperowi. – To *wen ye* z Shu Hanu. Moneta Swobodnego Przejazdu. To misja rządowa.

– Jak nas znaleźli? – zapytała Inej.

– Może strzały Jespera ich przyciągnęły.

Jesper najeżył się i wskazał na Ninę i Matthiasa.

– A może usłyszeli, jak tych dwoje wrzeszczy na siebie. Mogli od wielu mil iść za nami.

Nina próbowała pojąć to, co słyszy. Shu nie posługiwali się griszami jak żołnierzami i nie przypominali Fjerdan, nie uważali mocy griszów za nienaturalne czy odrażające. Byli nimi zafascynowani. Mimo to traktowali griszów jak coś gorszego od człowieka. Rząd Shu Hanu łapał griszów i eksperymentował na nich od wielu lat, pragnąc zlokalizować źródło ich mocy. Nigdy nie posłużyliby się griszami w charakterze najemników. A przynajmniej tak było do tej pory. Może *jurda parem* zmieniła reguły gry.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Skoro mają *parem*, to po co im Bo Yul-Bayur?

– Możliwe, że mają zapas narkotyku, ale nie potrafią odtworzyć receptury – wyjaśnił Kaz. – Tak najwyraźniej uważa Rada Kupiecka. A może po prostu chcą dopilnować, żeby Yul-Bayur nie przekazał receptury nikomu innemu.

– Myślisz, że posłużą się griszami pod wpływem narkotyku, żeby włamać się do Lodowego Dworu? – zapytała Inej.

– Tak, jeśli mają ich więcej – odparł Kaz. – Ja bym tak zrobił.

Matthias pokręcił głową.

– Gdyby mieli ciałowójcę, już byśmy nie żyli.

– I tak niewiele brakowało – rzuciła Inej.

Jesper zarzucił karabin na ramię.

– Wylan zarobił na swoje utrzymanie.

Wylan podskoczył nieco na dźwięk swojego imienia.

– Serio?

– W każdym razie wpłaciłeś zaliczkę.

– Ruszajmy – powiedział Kaz.

– Musimy ich pochować – odezwała się Nina.

– Ziemia jest zbyt zmarznięta, a my nie mamy czasu. Ekipa z Shu Hanu właśnie kieruje się do Djerholmu. Nie wiemy, ilu jeszcze griszów mają, a ekipa Pekki może już być na miejscu.

– Nie możemy ich tak po prostu zostawić wilkom na pożarcie – powiedziała z zaciśniętym gardłem.

– Chcesz ich spalić na stosie?

– Idź do diabła, Brekker.

– A ty rób swoje, Zenik – odgryzł się. – Nie zabrałem cię do Fjerdy, żebyś przeprowadzała rytuały pogrzebowe.

Uniosła rękę.

– To może zmiążdżę ci czaszkę jak jajko drozda?

– Nie chcesz zobaczyć, co kryje się w mojej głowie, moja kochana Nino.

Zrobiła krok do przodu, ale stanął przed nią Matthias.

– Przestań – powiedział. – Pomogę ci wykopać grób.

Nina spojrzała na niego. Wyjął kilof z plecaka ze sprzętem i podał go jej, a potem wziął drugi z plecaka Jespera.

– Idźcie na południe – powiedział do pozostałych. – Znam ten

teren i dopilnuję, żebyśmy dogonili was przed zmrokiem. Sami będziemy szli szybciej.

Kaz popatrzył na niego spokojnie.

– Pamiętaj o ułaskawieniu, Helvar.

– To na pewno dobry pomysł zostawiać ich samych? – zapytał Wylan, kiedy zaczęli schodzić stoki.

– Nie – odpowiedziała Inej.

– A jednak to robimy?

– Zaufamy im teraz albo później – odrzekł Kaz.

– Porozmawiamy o opowieści o wierności Niny, jaką zafundował nam Matthias? – spytał Jesper.

Nina zdążyła tylko usłyszeć odpowiedź Kaza:

– Jestem przekonany, że większość z nas nie zaznaczyłaby „oddany” i „uczciwy” w swoim życiorysie.

Chociaż miała ochotę pookładać Kaza pięściami, to wbrew sobie była mu też wdzięczna.

Matthias odszedł kilka kroków od ciała Nestora. Wbił kilof w zlodowaciałą ziemię, wyrwał i znowu uderzył.

– Tutaj? – spytała Nina.

– A chcesz go pochować w jakimś innym miejscu?

– Hmm... Sama nie wiem. – Rozejrzała się po połaciach bieli obsypanych tu i ówdzie brzezunami. – Wszędzie jest to samo.

– Znasz naszych bogów?

– Trochę.

– Ale wiesz o Djelu?

– Źródło.

Matthias skinął głową.

– Fjerdanie wierzą, że cały świat jest połączony poprzez wody: morza, lód, rzeki i strumienie, deszcze i burze. Wszystkie karmią Djela i są karmione przez niego. A kiedy umieramy, mówimy, że to *felöt-objer*, zakorzenie. Stajemy się jakby korzeniami jesionu, pijąc z Djela, gdziekolwiek spoczniemy.

– To dlatego palicie griszów, zamiast ich grzebać?

Zawahał się, a potem skinął krótko głową.

– Ale pomożesz mi pochować tutaj Nestora i szkwalnika?

Znowu skinął głową.

Wzięła od niego drugi kilof i spróbowała zamachnąć się równie mocno jak on. Ziemia nie ustępowała. Za każdym razem kiedy Nina uderzała w grunt, mrowienie przebiegało jej po rękach.

– Nestor nie powinien być do tego zdolny – powiedziała, nadal rozmyślając gorączkowo. – Żaden grisza nie potrafi posługiwać się mocą w taki sposób. To nienaturalne.

Przez chwilę milczał, a potem się odezwał:

– Rozumiesz teraz to trochę lepiej? Jak to jest zetknąć się z tak obcą mocą? Stawić czoło wrogowi o tak nienaturalnej sile?

Nina zacisnęła mocniej ręce na kilofie. Nestor pod wpływem *jurdy parem* był wypaczeniem wszystkiego, co kochała w mocy. Czy to właśnie Matthias i inni Fjerdanie widzieli w griszach? Niewytłumaczalną moc, rozpad naturalnego świata?

– Może.

Tylko tyle mogła mu zaoferować.

– Powiedziałaś, że nie miałaś wyboru w porcie w Ellingu – odezwał się, nie patrząc na nią. Jego kilof unosił się i opadał w nieprzerwanym rytmie. – Czy to dlatego, że byłem *drüskelle*? Od początku to planowałaś?

Nina przypomniała sobie ich ostatni naprawdę wspólny dzień, euforię, jaka ich ogarnęła, kiedy wspięli się na strome wzgórze i zobaczyli miasteczko portowe rozciągające się w dole. Była zaszokowana, słysząc słowa Matthiasa:

– Prawie mi żal, Nino.

– Prawie?

– Jestem zbyt głodny, żeby naprawdę żałować.

– Wreszcie uległeś mojemu wpływowi. Tylko, jak coś zjemy, nie mając pieniędzy? – zapytała, kiedy zaczęli schodzić ze wzgórza. – Może będę musiała sprzedać twoje śliczne włosy perukarzowi w zamian za gotówkę.

– Nie kombinuj – powiedział ze śmiechem.

W miarę wędrówki coraz częściej śmiał się swobodnie, jakby nabierał wprawy w nowym języku.

– Jeśli to Elling, to powinienem umieć znaleźć nam lokum.

Przystanąła wtedy, bo ze straszliwą wyrazistością powróciły do niej fakty, ich rzeczywista sytuacja. Znajdowała się głęboko na terytorium wroga, bez sojuszników, za to z *drüskelle*, który wrzucił ją do klatki raptem kilka tygodni temu. Zanim jednak zdążyła się odezwać, Matthias powiedział:

– Zawdzięczam ci życie, Nino Zenik. Zapewnię ci bezpieczny powrót do domu.

Zaskoczyło ją, jak łatwo przyszło jej zaufać Matthiasowi. I on też jej zaufał.

Teraz wzięła zamach kilofem i poczuła uderzenie o ziemię wibrujące jej w rękach i ramionach.

– W Ellingu byli griszowie.

Zamarł w połowie zamachu.

– Co?

– Szpiegdy przeprowadzający rekonesans w porcie. Zobaczyli mnie, gdy wchodziłam na główny rynek razem z tobą, i rozpoznali mnie z Małego Pałacu. Jeden z nich poznał także ciebie. Pamiętał cię z potyczki przygranicznej.

Matthias nie poruszył się.

– Zatrzymali mnie, kiedy poszedłeś porozmawiać z zarządcą pensjonatu – opowiadała Nina. – Przekonałam ich, że ja też się ukrywam. Chcieli cię wziąć jako więźnia, ale powiedziałam im, że nie jesteś sam i że próba pojmania cię byłaby zbyt ryzykowna. Obiecałam, że przyprowadzę cię do nich następnego dnia.

– Dlaczego po prostu mi nie powiedziałaś?

Nina odrzuciła kilof.

– Miałam ci powiedzieć, że w Ellingu szpiegują griszowie? Może i zawarłeś pokój ze mną, ale nie możesz oczekiwać, że uwierzyłabym, że nie spróbujesz ich ujawnić.

Odwrócił wzrok. Drgały mu mięśnie zuchwy i Nina wiedziała, że miała rację.

– Tamtego ranka – odezwał się – w porcie...

– Musiałam oboje nas zabrać jak najdalej od Ellingu. Pomyślałam, że gdybym znalazła statek, na który moglibyśmy

się przemycić... Jednak griszowie musieli obserwować pensjonat i widzieli, jak wychodzimy. Kiedy pojawili się w porcie, wiedziałam, że cię dopadną. Gdyby cię pojмали, zabraliby cię do Ravki, przesłuchali i może stracili. Dostrzegłam statek z Kerchu. Znasz ich prawa dotyczące handlu niewolnikami.

– Oczywiście, że znam – odparł z goryczą.

– Oskarżyłam cię. Błagałam, żeby mnie uratowali. Wiedziałam, że cię aresztują i dowiozą bezpiecznie do Kerchu. Nie wiedziałam jednak... Matthiasie, nie wiedziałam, że wrzucą cię do Wrót Piekieł.

Wzrok miał zimny, kiedy spojrzał jej w twarz; ręce zaciskał na kilofie tak, że pobielały mu kostki.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? Dlaczego nie wyznałaś prawdy, kiedy dotarliśmy do Ketterdamu?

– Próbowалам. Przysięgam. Próbowалам wycofać zarzuty. Nie dopuścili mnie do sędziego. Nie pozwolili mi zobaczyć się z tobą. Nie mogłam wyjaśnić, skąd mam pieczęć ze statku niewolniczego ani dlaczego zmyśliłam oskarżenia, nie zdradzając jednocześnie działań wywiadu Ravki. Naraziłabym griszów, którzy nadal działali w terenie. Skazałabym ich na śmierć.

– Zostawiłaś mnie więc we Wrotach Piekieł.

– Mogłam wrócić do domu, do Ravki. Na wszystkich świętych, chciałam to zrobić. Zostałam jednak w Ketterdamie. Oddawałam całe zarobki na łapówki, składałam petycje do sądu...

– Zrobiłaś wszystko oprócz wyznania prawdy.

Chciała być delikatna, przepraszająca, powiedzieć mu, że myślała o nim każdej nocy i każdego dnia. Jednak obraz stosu był zbyt świeży w jej myślach.

– Starалам się chronić moich ludzi. Ludzi, których eksterminacji poświęciłaś całe życie.

Zaśmiał się gorzko, obracając kilof w rękach.

– *Wanden olstrum end kendesorum.*

To była część fjerdańskiego powiedzenia: „Woda słyszy i rozumie”. Brzmiało to względnie łagodnie, ale wiedział, że Nina

zna ciąg dalszy.

– *Isen ne bejstrum* – dokończyła.

Woda słyszy i rozumie. Lód nie wybacza.

– I co teraz zrobisz, Nino? Znowu przez wzgląd na griszów zdradzisz ludzi, których nazywasz przyjaciółmi?

– Co?

– Nie wmówisz mi, że zamierzasz zachować Bo Yul-Bayura przy życiu.

Znała ją dobrze. Z każdym nowym faktem, który poznawała na temat *jurdy parem*, była coraz bardziej przekonana, że jedyny sposób, aby chronić griszów, to zakończyć życie naukowca. Myślała o Nestorze wydającym ostatnie tchnienie i błagającym swoich panów z Shu Hanu, żeby wrócili.

– Nie mogę znieść myśli, że moi ludzie staliby się niewolnikami – przyznała. – Mamy jednak dług do wyrównania, Matthiasie. Ułaskawienie to moja pokuta i nie będę osobą, która znowu odbierze ci wolność.

– Nie chcę ułaskawienia.

Spojrzała na niego.

– Ale...

– Może twoi ludzie zostaną niewolnikami. A może staną się niepowstrzymaną siłą. Jeśli Yul-Bayur przeżyje i sekret *jurdy parem* zostanie ujawniony, wszystko będzie możliwe.

Przez długi czas patrzyli sobie w oczy. Słońce zaczęło zachodzić, złote światło padało snopami na śnieg. Widziała jasne rzęsy Matthiasa pod czarnym antymonem, którym je barwiła. Niedługo znowu będzie musiała go przeformować.

Podczas tamtych dni po katastrofie morskiej ona i Matthias zawarli chwiejny rozjem. To, co powstało między nimi, było bardziej zaciekle niż sympatia – to było zrozumienie, że oboje są żołnierzami, że w innym życiu mogliby być sprzymierzeńcami, a nie wrogami. Poczwała to teraz.

– Zdradzilibyśmy wtedy pozostałych – powiedziała. – Nie otrzymaliby zapłaty od Rady Kupieckiej.

– To prawda.

– A Kaz zabiłby nas oboje.
– O ile pozna prawdę.
– Próbowaleś kiedyś okłamać Kaza Brekkera?
Matthias wzruszył ramionami.
– Więc umrzemy tak, jak żyliśmy.
Nina spojrzała na wyniszczoną postać Nestora.
– Za sprawę.
– Jesteśmy zgodni w tej kwestii – orzekł Matthias. – Bo Yul-Bayur nie opuści Lodowego Dworu żywy.
– Umowa stoi – powiedziała po kercheńsku, w języku handlu, w mowie, która nie była ojczystą mową żadnego z nich.
– Umowa stoi – odrzekł Matthias.
Zamachnął się kilofem i opuścił go z zacięciem, jakby to była swoista deklaracja. Ona zrobiła to samo. Bez dalszych słów wrócili do pracy nad grobem, wpadając w pełen determinacji rytm.
Kaz miał przynajmniej rację co do jednej rzeczy. Ona i Matthias w końcu znaleźli coś, w czym się zgadzali.



CZEŚĆ CZWARTA

SZTUKA SPADANIA



Inej miała wrażenie, że ona i Kaz stali się parą bliźniaczych żołnierzy, maszerujących, udających, że dobrze się czują, ukrywających rany i siniaki przed resztą zespołu.

Potrzebowali jeszcze dwóch dni, żeby dotrzeć do klifów nad Djerholmem, ale w miarę jak posuwali się na południe i zbliżali do wybrzeża, wędrówka była coraz łatwiejsza. Ociepliło się, ziemia odtajała, Inej zaczęła dostrzegać zwiastuny wiosny. Spodziewała się, że Djerholm będzie wyglądał jak Ketterdam – pejzaż miejski w czerni, szarości i brązie, płatanina ulic zasnutych mgłą i dymem węglowym, statki wszelkiego rodzaju w porcie, tętnienie ruchu i rechwach handlu. W porcie w Djerholmie rzeczywiście było tłoczno od statków, ale wąziutkie uliczki opadały nad wodę w uporządkowany sposób, a domy pomalowano barwnie – na czerwono, niebiesko, żółto, różowo – jakby w akcie sprzeciwu wobec dzikiej białej krainy i długich zim dalekiej północy. Nawet magazyny przy nabrzeżu pomalowano na wesołe kolory. Tak wyobrażała sobie miasta jako dziecko: wszystko w cukierkowych odcieniach i na właściwym miejscu.

Czy *Ferolind* już czeka w porcie, wygodnie zacumowany na

swoim miejscu, powiewając banderą Kerchu i charakterystycznymi pomarańczowymi i zielonymi barwami Kompanii Zatoki Haanraadt? Jeśli robota przebiegnie zgodnie z planem Kaza, to jutro wieczorem przejdą spacerkiem po nabrzeżu Djerholmu w towarzystwie Bo Yul-Bayura, wskoczą na statek i wypłyną daleko w morze, zanim ktokolwiek w Fjerdzie zorientuje się, że coś się stało. Wolą nie zastanawiać się, jak jutrzejsza noc może wyglądać, jeśli ich plan nie wypali.

Zerknęła na Lodowy Dwór, który wznosił się jak biały wartownik na potężnym klifie nad portem. Matthias powiedział o urwisku, że nie można się na nie wspiąć, i Inej musiała przyznać, że stanowiłoby wyzwanie nawet dla Zjawy. Wydawało się niemożliwie wysokie, a z oddali jego biała wapienna powierzchnia wyglądała na czystą i jasną jak lód.

– Armaty – powiedział Jesper.

Kaz spojrział spod zmrużonych powiek na wielkie działa wycelowane w zatokę.

– Włamywałem się do banków, magazynów, rezydencji, muzeów, skarbców, bibliotek z białymi krukami i raz do sypialni wizytującego Kerch kaelskiego dyplomaty, którego żona miała słabość do szmaragdów. Ale jeszcze nigdy nie strzelano do mnie z działa.

– Nowinki miewają swój urok – uznał Jesper.

Inej zacisnęła usta.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Te działa mają powstrzymać flotę najeźdźców – odrzekł z przekonaniem Jesper. – Życzę trafienia w mały, wąty szkuner, który mknie po falach ku fortunie i chwale.

– Zacytuję cię, kiedy kula armatnia wyładowuje mi na kolanach – powiedziała Nina.

Z łatwością wmieszali się w ruch podróźnych i handlowców w miejscu, gdzie droga z urwisk łączyła się z północną drogą prowadzącą do Górnego Djerholmu. Górna część miasta była rozproszonym przedłużeniem miasta w dole, rozległą zbieraniną sklepów, targowisk i zajazdów, z których korzystały zarówno

straże i służba pracująca w Lodowym Dworze, jak i przyjezdni. Na szczęście tłum był dostatecznie gęsty i barwny, żeby kolejna grupa cudzoziemców przeszła niezauważona, a Inej złapała się na tym, że źle jej się oddycha. Obawiała się, że ona i Jesper mogą się niebezpiecznie wyróżniać w morzu blond głów mieszkańców fjerdańskiej stolicy. Może ekipa z Shu Hanu też liczyła na to, że zniknie w tłumie.

Wszędzie rzucały się w oczy oznaki zbliżającego się święta Hringkälla. Sklepy przygotowały wymyślne wystawy z pieprzowych ciasteczek upieczonych w kształcie wilków (niektóre z nich zwieszały się jak ozdoby z wielkich, pokręconych drzew), a most spinający brzegi rzeki przybrano wstążkami w srebrnym kolorze Fjerdy. Jedyna droga wejścia do Lodowego Dworu i jedyna droga wyjścia. Czy jutro przekroczą ten most jako goście?

– Co to jest? – zapytał Wylan, zatrzymując się przed wózkiem ulicznego sprzedawcy załadowanym wieńcami z takich samych powykręcanych gałązek i srebrnych wstążek.

– Gałęzie jesionu – wyjaśnił Matthias. – Świętego drzewa Djela.

– Jeden jesion podobno rośnie pośrodku Białej Wyspy – powiedziała Nina, nie zważając na ostrzegawcze spojrzenie Fjerdanina. – To tam *drüskelle* zbierają się, żeby wysłuchać ceremonii.

Kaz popukał laską w ziemię.

– Dlaczego słyszę o tym po raz pierwszy?

– Jesion jest utrzymywany przy życiu przez ducha Djela – powiedział Matthias. – Tam możemy najlepiej usłyszeć jego głos.

Kazowi zabłyśły oczy.

– Nie o to pytałem. Dlaczego nie ma go na naszych planach?

– Bo to najświętsze miejsce w całej Fjerdzie i nieistotne dla naszej misji.

– Ja decyduję, co jest istotne. Jest coś jeszcze, co w swojej wielkiej mądrości postanowiłeś przemilczeć?

– Lodowy Dwór to rozległa budowla – odrzekł Matthias, odwracając się. – Nie mogę nazwać każdej szczeliny i kąta.

– Więc miejmy nadzieję, że nic się nie czai w tych kątach – odparował Kaz.

Górny Djerholm nie miał prawdziwego centrum, a większość tutejszych karczm, zajazdów i straganów skupiła się u stóp wzgórza prowadzącego do Lodowego Dworu. Kaz prowadził ich pozornie przypadkowymi uliczkami, aż natrafili na podupadłą gospodę o nazwie „Gestinge”.

– Tutaj? – zapytał z przekąsem Jesper, zerkając do zawilgoconej głównej sali.

Śmierdziało czosnkiem i rybą.

Kaz zerknął znacząco w górę i powiedział:

– Taras.

– Co to znaczy *gestinge*? – zaciekawiała się Inej.

– Raj – odpowiedział Matthias.

Nawet on był pełen wątpliwości.

Nina pomogła im załatwić stolik na tarasie na dachu karczmy. Było tam niemal pusto – jeszcze za zimno, żeby taras przyciągnął wielu klientów. A może przeraziło ich jedzenie: śledź w zjełczalym oleju, czerstwy ciemny chleb, masło, które wyglądało jak omszałe.

Jesper spojrzał na talerz i jęknął.

– Kaz, jeśli chcesz mnie zabić, to wolę kulkę niż truciznę.

Nina zmarszczyła nos.

– Kiedy ja nie chcę jeść, to wiadomo, że jest problem.

– Przyszliśmy tu dla widoków, nie jedzenia.

Ze stolika mieli doskonały, chociaż odległy widok na zewnętrzną bramę Lodowego Dworu i pierwszą wartownię. Wartownia miała kształt białego łuku wspartego na dwóch monumentalnych kamiennych wilkach wspiętych na tylne łapy i wznosiła się nad drogą wspinającą się na wzgórze z Dworem. Obserwowali ruch przy bramie, skubiąc posiłek i czekając na pojawienie się więźniarek. Inej wreszcie odzyskała apetyt i jadła jak najwięcej, żeby odzyskać siły, ale kożuch na zupie, którą zamówiła, nie pomagał.

Nie podawano kawy, więc zamówili herbatę i małe

kieliszeczki przezroczystej *brännvin*, która paliła w gardło, ale pomogła im się rozgrzać, kiedy wiatr przybrał na sile, poruszając srebrnymi wstążkami przywiązanymi do konarów jesionów rosnących wzdłuż ulicy w dole.

– Niedługo zaczniemy wyglądać podejrzanie – powiedziała Nina. – To nie jest miejsce, w którym ludzie długo przesiadują.

– Może nie ma nikogo, kogo transportowano by do więzienia – zasugerował Wylan.

– Zawsze jest ktoś, kogo trzeba zabrać do więzienia – odrzekł Kaz, a potem wskazał podbródkiem drogę. – Patrzcie.

Zabudowany wóz podjechał drogą i zatrzymał się przy wartowni. Dach i wysokie boki były zasłonięte czarnym płótnem. Wóz ciągnęła czwórka koni. Drzwi z tyłu były ciężkie i żelazne, zaryglowane i zamknięte na kłódkę.

Kaz sięgnął do kieszeni płaszcza.

– Proszę – powiedział i wręczył Jesperowi cienką książkę z ozdobną okładką.

– Będziemy sobie czytać na głos?

– Otwórz na końcu.

Jesper otworzył książkę i zerknął zdumiony na ostatnią stronę.

– No i?

– Podnieś ją, żebym nie musiał patrzeć na twój paskudny pysk.

– Moja twarz ma charakter. Poza tym... Ojej!

– Doskonała lektura, prawda?

– Kto by pomyślał, że zasmakuję w literaturze.

Jesper podał książkę Wylanowi, który wziął ją ostrożnie do ręki.

– Co tam napisano?

– Sam spójrz – powiedział Jesper.

Wylan zmarszczył brwi i podniósł książkę, a potem uśmiechnął się szeroko.

– Skąd to wytrzasnąłeś?

Teraz przyszła kolej Matthiasa, który aż mruknął z zaskoczenia.

– To się nazywa książka bez okładki – powiedział Kaz, kiedy Inej wzięła tomik od Niny i podniosła.

Stronice były wypełnione zwykłymi kazaniami, ale ozdobna tylna okładka skrywała dwie soczewki, które działały jak luneta. Kaz powiedział Inej, żeby miała oko na kobiety, które posługują się podobnie zrobionymi puderniczkami w Klubie Wron. Mogły odczytać karty gracza na drugim końcu sali, a potem dać sygnał partnerowi przy tamtym stoliku.

– Sprytne – przyznała Inej, zerkając przez soczewki.

Dla karczmarki i innych klientów na tarasie wyglądało to, jakby podawali sobie książkę z rąk do rąk, rozmawiając o jakimś ciekawym fragmencie, a w rzeczywistości Inej mogła dobrze przyjrzeć się wartowni i wozowi, który przed nią przystanął.

Brama między wilkami była zrobiona z kutego żelaza i nosiła symbol świętego jesionu, a po obu jej stronach wnosilo się wysokie ogrodzenie ze szpikulcami, które otaczało cały teren Lodowego Dworu.

– Czterech wartowników – zauważyła.

Tak jak mówił Matthias.

Dwóch stało po obu stronach wartowni, jeden rozmawiał z woźnicą więźniarki, który podał mu plik dokumentów.

– To pierwsza linia obrony – powiedział Matthias. – Sprawdzą dokumenty i potwierdzą tożsamość, zatrzymają każdego, kto ich zdaniem wymaga dokładniejszego skontrolowania. Jutro o tej porze kolejka przechodząca przez tę bramę wypełni się gośćmi z okazji Hringkälli i będzie się ciągnęła aż do wąwozu.

– My wtedy będziemy już w środku – powiedział Kaz.

– Jak często jeździ więźniarka? – zapytał Jesper.

– To zależy – odrzekł Matthias. – Zwykle rano. Czasem też po południu. Ale wątpię, żeby chcieli przewozić więźniów o tej samej porze, kiedy będą wpuszczają gości.

– W takim razie musimy się załapać na poranny kurs – powiedział Kaz.

Inej znowu uniosła książkę. Woźnica więźniarki nosił szary mundur podobny do tych, które mieli strażnicy przy bramie, ale

pozbawiony szarf i innych ozdób. Zsiadł z kozła i obszedł wóz, żeby otworzyć żelazne drzwi.

– Na wszystkich świętych... – mruknęła Inej, kiedy drzwi się otworzyły.

Dziesięciu więźniów siedziało na ławkach biegnących przez całą długość wozu, ze skutymi rękami i nogami i z czarnymi workami na głowach.

Inej oddała książkę Matthiasowi i kiedy tomik znowu przechodził z rąk do rąk, wyczuła, że obawy grupy rosą. Tylko Kaz robił wrażenie nieporuszonego.

– W kapturach, łańcuchach i w kajdanach? – zapytał Jesper. – Jesteś pewien, że nie chcemy wejść jako artyści? Słyszałem, że Wylan naprawdę zabójczo pomyka na flecie.

– Wejdziemy jako my – odrzekł Kaz – czyli przestępcy.

Nina zerknęła przez soczewki książki.

– Liczą wszystkich.

Matthias pokiwał głową.

– O ile procedura się nie zmieniła, szybko policzą wszystkich przy pierwszym posterunku, a potem drugi raz przy następnym, gdzie przeszukają wewnątrz i sprawdzą pod wozem, czy nic nie jest przemycane do środka.

Nina podała książkę Inej.

– Woźnica zauważy sześcioro dodatkowych więźniów, kiedy otworzy drzwi.

– Rety, szkoda że wcześniej na to nie wpadłem – rzucił oschle Kaz. – Od razu widać, że nigdy nie obrobiłaś nikomu kieszeni.

– A ja od razu widzę, że nigdy się nie zastanowiłeś nad doborem fryzury.

Kaz nachmurzył się i zawstydzony przesunął ręką po głowie.

– Z moją fryzurą nie jest aż tak źle, żeby nie naprawiły tego cztery miliony *kruge*.

Jesper przechylił głowę i zabłysły jego szare oczy.

– Zrobimy to na papatacza, co?

– Jak najbardziej.

– Nie wiem, co to jest ten „papatacz” – przyznał Matthias,

z trudem składając sylaby.

Nina posłała Kazowi kwaśne spojrzenie.

– Ja też nie. Nie jesteśmy takimi cwaniakami z ulicy jak ty, Brudnoreki.

– I nigdy nie będziecie – odrzekł swobodnie Kaz. – Pamiętacie naszego przyjaciela jelenia? – Wylan się skrzywił. – Powiedzmy, że nasz jeleni to turysta, który spaceruje po Baryłce. Słyszał, że to dobre miejsce, żeby dać się oskubać, więc cały czas poklepuje portfel, upewniając się, że jest na swoim miejscu, i wieszając sobie, jaki jest czujny i ostrożny. Żaden z niego głupiec. Oczywiście za każdym razem, kiedy klepie się po tylnej kieszeni spodni albo frontowej płaszcza, co robi? Informuje dokładnie wszystkich złodziei przy Klepce, gdzie trzyma kasę.

– Na wszystkich świętych... – mruknęła Nina. – Pewnie sama tak robiłam.

– Wszyscy tak robią – wtrąciła Inej.

Jesper uniósł brew.

– Nie wszyscy.

– Bo ty masz zawsze pusty portfel – odgryzła się Nina.

– To złośliwe.

– To fakty.

– Fakty są dla ludzi pozbawionych wyobraźni – odparł Jesper, machając lekceważąco ręką.

– Dobrze. Kiepski złodziej – wykladał dalej Kaz – taki, który nie wie, jak się wziąć do rzeczy, po prostu zabiera fant i próbuje z nim uciec. To dobry sposób, żeby dać się przyskrzynić *stadwachcie*. Jednakże prawdziwy złodziej, taki jak ja, buchnie portfel i podłoży coś na jego miejsce.

– Drożdżówkę?!

– Papatacz to tylko nazwa przewału. To może być kamień, kostka mydła, nawet stara bułka, jeśli jest odpowiedniego rozmiaru. Porządny złodziej orientuje się, ile portfel waży, widząc, jak jego ciężar obciąża jeleniowi płaszcza. Robi podmianę i biedny frajer idzie dalej, poklepując się po kieszeni, zadowolony z siebie. Dopiero kiedy próbuje zapłacić za omlet albo obstawić

zakład przy stoliku, orientuje się, że go wyrolowano. A złodziej już dawno siedzi gdzieś bezpiecznie i liczy kasę.

Wylan wiercił się niespokojnie na krześle.

– Oszukiwanie niewinnych ludzi to nie powód do dumy.

– Przeciwnie, o ile jest się w tym dobrym. – Kaz skinął głową na więźniarkę, która turkotała teraz w stronę Lodowego Dworu i drugiego posterunku. – My będziemy papataczem.

– Chwileczkę – powiedziała Nina. – Drzwi są zamknięte od zewnątrz. Jak wsiądziemy i zamkniemy je za sobą?

– To kłopot tylko wtedy, kiedy nie znasz prawdziwego złodzieja. Zamki zostaw mnie.

Jesper wyciągnął długie nogi.

– Czyli musimy otworzyć drzwi, zdjąć łańcuchy i obezwładnić szóstkę więźniów, zająć ich miejsce, a potem zamknąć wóz tak, żeby nie zorientował się żaden strażnik ani inny więzień?

– Właśnie.

– Przygotowałeś dla nas jeszcze jakieś niewykonalne zadania?

Usta Kaza musnął ledwie cień uśmiechu.

– Zrobię wam listę.



Odkładając na bok kwestię porządnego złodziejstwa, Inej nie miałaby nic przeciwko porządnie przespanej nocy w porządnym łóżku, ale nie czekał ich wygodny nocleg w zajeździe, jeśli mieli trafić do więźniarki i do Lodowego Dworu przed początkiem Hringkälli. Było tyle rzeczy do zrobienia!

Ninę wysłano, żeby pogawędziła z miejscowymi i spróbowała wy badać, gdzie najlepiej zasadzić się na więźniarkę. Po śledziowej makabrze w „Gestingie” zażądali od Kaza czegoś jadalnego i teraz czekali na Ninę w zatłoczonej cukierni, tuląc gorące kubki kawy z czekoladą, wśród szczątków bułeczek i ciastek rozrzuconych na stoliku w stosikach maślanych okruszków. Inej zauważyła, że kubek Matthiasa stoi przed nim

nietknięty, powoli stygnąc, a on sam wygląda przez okno.

– To musi być trudne dla ciebie – zagadnęła go cicho. – Znaleźć się tutaj, ale nie wrócić tak naprawdę do domu.

Spojrzał na kubek.

– Nawet nie masz pojęcia.

– Myślę, że mam. Nie widziałam domu od bardzo dawna.

Kaz odwrócił się i zaczął gawędzić z Jesperem. Wydawało się, że robi tak za każdym razem, gdy Inej wspominała o powrocie do Ravki. Oczywiście nie mogła mieć pewności, że znajdzie tam rodziców. Suli to podróżnicy. Dla nich „dom” to tak naprawdę rodzina.

– Martwisz się o Ninę? – zapytała.

– Nie.

– Ona jest w tym naprawdę dobra, wiesz? To urodzona aktorka.

– Mam tego świadomość – odparł ponuro. – Potrafi być dla każdego kimś innym.

– Najlepsza jest, kiedy jest Niną.

– To znaczy kim?

– Podejrzewam, że ty wiesz to lepiej niż ktokolwiek z nas.

Skrzyżował potężne ramiona na piersi.

– Jest odważna – przyznał niechętnie.

– I zabawna.

– Niemądra. Nie wszystko trzeba obracać w żart.

– Śmiała – powiedziała Inej.

– Głośna.

– To dlaczego wypatrujesz jej w tłumie?

– Nie wypatruję – zaprotestował Matthias.

Musiała się roześmiać na widok jego grymasu. Przesunął palcami przez stos okruszków.

– Nina jest wszystkim, co wymieniłaś. Za dużo tego.

– Hmm – mruknęła Inej, popijając z kubka – może ciebie nie jest dość.

Zanim zdążył odpowiedzieć, dzwonek na drzwiach cukierni zadzwieczał i do środka weszła Nina z zaróżowionymi

policzkami i cudnie spletanymi brązowymi włosami, po czym oznajmiła:

– Ktoś natychmiast powinien zacząć karmić mnie słodkimi bułeczkami.

Mimo gderania Matthiasa Inej wątpiła, czy tylko wyobraziła sobie ulgę na jego twarzy.



Nina potrzebowała niecałej godziny, żeby odkryć, że większość więźniarek mija zajazd znany jako „Przystanek Naczelnika” po drodze do Lodowego Dworu. Inej i pozostali musieli przejść prawie dwie mile przez Górny Djerholm, żeby znaleźć tę obojętą. Było tam zbyt tłoczno, za dużo wieśniaków i miejscowych robotników, żeby mogli wykorzystać zajazd do swoich celów, ruszyli więc dalej drogą i zanim znaleźli miejsce, które dawało im dość osłony, i wystarczająco sporą kępę drzew, żeby odpowiadała ich potrzebom, Inej miała wrażenie, że zaraz padnie ze zmęczenia. Podziękowała świętym za – wydawało się – niewyczerpaną energię Jespera. Radośnie zgłosił się na ochotnika, że pójdzie dalej i zostanie ich czujką. Kiedy nadjedzie więźniarka, da znać ekipie, wystrzeliwując flare, a potem popędzi do nich na złamanie karku.

Nina potrzebowała kilku minut, żeby przeformować przedramię Jespera i ukryć tatuaż Szumowin, zostawiając w jego miejsce poplamiony skrawek skóry. Tej nocy zajmie się także tatuażem Kaza i swoimi własnymi. Możliwe, że nikt w więzieniu nie rozpoznałby oznaczeń gangu czy burdelu z Ketterdamu, ale to nie powód, żeby ryzykować.

– Żadnych żałobników! – zawołał Jesper, kiedy odbiegł w zmierzch, błyskawicznie pokonując odległość na swoich długich nogach.

– Żadnych pogrzebów – odpowiedzieli.

Inej pomodliła się także za niego. Wiedziała, że Jesper jest

dobrze uzbrojony i potrafi o siebie zadbać, ale przez tykowatą posturę i nowoziemską karnację za bardzo rzucał się w oczy.

Obozowali w suchym rowie osłoniętym przez plataninę zarośli. Na zmianę drzemali na kamienistej ziemi i pełnili wartę. Mimo zmęczenia Inej wątpiła, czy zaśnie, ale zanim się obejrzała, słońce wznosiło się wysoko nad nimi, jasna strefa blasku na pochmurnym niebie. Musiało minąć południe. Nina siedziała obok niej z kawałkiem pieprzowego wilka – ciastka, które kupiła w Górnym Djerholmie. Inej zauważyła, że ktoś wcześniej rozpałił malutkie ognisko, a w popiołach widać było klejące się resztki boczku stopionej parafiny.

– Gdzie są pozostali? – zapytała, rozglądając się po pustym rowie.

– Na drodze. Kaz powiedział, że powinniśmy dać ci pospać.

Inej potarła oczy. Podejrzewała, że to ustępstwo z powodu jej rany. Może nie ukrywała aż tak dobrze wyczerpania. Trzask dobiegający z drogi sprawił, że poderwała się na nogi i błyskawicznie wyciągnęła noże.

– Spokojnie – powiedziała Nina. – To tylko Wylan.

Jesper musiał już dać sygnał. Inej wzięła ciasteczko od Niny i pośpiesznie dołączyła do Kaza i Matthiasa, którzy obserwowali, jak Wylan uwija się z czymś przy korzeniach roślej jodły. Rozległa się kolejna seria strzałów i maleńkie obłoczki białego dymu buchnęły z pnia drzewa tuż przy ziemi. Przez chwilę wydawało się, że nic się nie stanie, ale potem korzenie wyrwały się z ziemi, zwijając się i więdąc.

– Co to jest? – zapytała Inej.

– Koncentrat solny – powiedziała Nina.

Inej przechyliła głowę.

– Czy Matthias... się modli?

– Wypowiada błogosławieństwo. Fjerdanie robią to zawsze, gdy ścinają drzewo.

– Zawsze?

– Błogosławieństwo zależy od tego, jak zamierzasz wykorzystać drewno. Inne, gdy idzie na dom, inne, gdy na

mosty... – Nina zawiesiła głos. – Inne, gdy na opał.

Potrzebowali mniej niż minutę, żeby odciągnąć drzewo na tyle, by pień zablokował drogę. Ponieważ wyszło z ziemi z korzeniami, wyglądało, jakby zachorowało i samo runęło.

– Kiedy wóz się zatrzyma, drzewo da nam jakiś kwadrans i niewiele więcej – powiedział Kaz. – Działajcie szybko. Więźniowie powinni mieć kaptury, ale będą słyszeć, więc ani słowa. Nie możemy pozwolić sobie na żadne podejrzenia. Oni będą myśleć, że to rutynowy postój, i chcemy, żeby tak zostało.

Kiedy Inej czekała w rowie z pozostałymi, rozważyła wszystkie sprawy, które mogą się nie udać. Więźniowie mogą nie mieć kapturów. Straż mogła umieścić swojego człowieka w więźniarce. A jeśli im się uda? Cóż, zostaną aresztantami w drodze do Lodowego Dworu. To także nie brzmiało szczególnie zachęcająco.

Już zaczęła się zastanawiać, czy Jesper się nie pomylił i nie wystrzelił flary za wcześnie, kiedy więźniarka z łoskotem wjechała na widoczny odcinek drogi. Minęła ich, a potem stanęła przed drzewem. Inej słyszała, jak woźnica klnie do towarzysza.

Obaj ześlizgnęli się z kozła i podeszli do drzewa. Stali tak długą minutę i wpatrywali się w nie. Większy ze strażników zdjął kapelusz i podrapał się po głowie.

– Jak bardzo leniwi są ci ludzie? – mruknął Kaz.

Wreszcie strażnicy pogodzili się z faktem, że drzewo samo się nie przesunie. Podeszli do wozu po grubą linę i wyprzęgli jednego konia, żeby pomógł im ściągnąć jodłę z drogi.

– Bądźcie gotowi – powiedział Kaz.

Smyrgnął górą rowu na tyły wozu. Zostawił laskę w wykopie i jeśli czuł ból w nodze, dobrze to ukrywał. Wysunął wytrychy spod podszewki płaszcza i ujął kłódkę delikatnie, niemal z miłością. W ciągu kilku sekund otworzyła się, a on odsunął rygiel na bok. Zerknął w stronę mężczyzn wiążących linę wokół drzewa i otworzył drzwi.

Inej zamarła, czekając na sygnał. Nie nadszedł. Kaz po prostu stał i wpatrywał się w głąb wozu.

– Co się dzieje? – szepnął Wylan.

– Może nie mają kapturów? – odpowiedziała. Z boku niczego nie widziała. – Ja pójdę.

Nie mogli wszyscy zebrać się naraz za wozem.

Inej wygramoliła się z rowu i stanęła za Kazem. Nadal stał tam całkowicie nieruchomo. Dotknęła przelotnie jego ramienia, a on się wzdrygnął. Kaz Brekker się wzdrygnął. Co się działo? Nie mogła go zapytać i zaryzykować, że więźniowie coś usłyszą. Zerknęła do wozu.

Wszyscy więźniowie byli zakuci w kajdany i mieli worki na głowach, ale było ich znacznie więcej niż w więźniarce, którą widzieli przy posterunku. Zamiast siedzieć przykuci do ławek, stali przyciśnięci jeden do drugiego. Mieli skute ręce i nogi i nosili żelazne obroże, zaczepione o haki w dachu więźniarki. Kiedy któryś garbił się albo zbyt mocno opierał, zaczynał się dusić. Nie było to miłe, ale wszyscy stali tak ciasno upakowani, że raczej nie istniała szansa, że ktoś może paść i się udusić.

Inej raz jeszcze szturchnęła Kaza. Pobladł, twarz miał prawie jak z wosku, ale wreszcie się poruszył. Wcisnął się do wozu nerwowymi i niezgrabnymi ruchami, po czym zaczął odpinać obroże więźniów.

Inej dała znać Matthiasowi, który wyskoczył z rowu i do nich dołączył.

– Co się dzieje? – zapytał jeden z więźniów po ravkańsku z przerażeniem w głosie.

– *Tig!* – warknął ostro po fjerdańsku Matthias.

Wśród więźniów rozległ się szelest, jakby próbowali stanąć na baczność. Odruchowo Inej też się wyprostowała. Cała postawa Matthiasa się zmieniła, jakby z tą jedną ostrą komendą wszedł w mundur *drüskelle*. Inej zerknęła na niego nerwowo. Już zaczęła dobrze się czuć w jego towarzystwie. Łatwy nawyk do podłapania, ale niezbyt mądry.

Kaz odpiął sześć par kajdan na ręce i nogi. Inej i Matthias wyładowali jednego po drugim szóstkę więźniów stojących najbliżej drzwi. Nie było czasu zastanawiać się nad wzrostem

albo budową ciała, a nawet czy uwolnili mężczyzn, czy kobiety. Doprowadzili ich do krawędzi rowu, nie spuszczać z oczu strażników na drodze.

– Co się dzieje? – ośmielił się zapytać jeden z więźniów.

Uciszyło go jeszcze jedno szybkie „Tig!” Matthiasa.

Kiedy już więźniowie zeszli z widoku, Nina spowolniła ich puls i pozbawiła przytomności. Dopiero wtedy Wylan zdjął kaptury więźniom: czterech mężczyzn, jeden z nich dość stary, kobieta w średnim wieku i chłopiec z Shu Hanu. Daleko do ideału, ale mieli nadzieję, że strażnicy nie będą przejmować się szczegółami. W końcu jakich kłopotów może narobić grupa skazańców w łańcuchach i kajdanach?

Nina wstrzyknęła więźniom środek nasenny, żeby przedłużyć ich odpoczynek, a Wylan pomógł przetrulać ich do rowu za drzewami.

– Po prostu ich tu zostawimy? – szepnął do Inej, kiedy wracali pośpiesznie do wozu z kapturami więźniów w rękach.

Inej nie odrywała oczu od strażników przy drzewie, więc nie patrzyła na niego, kiedy odpowiedziała:

– Wkrótce się obudzą i uciekną. Może nawet dotrą na wybrzeże i odzyskają wolność. Wyświadczamy im przysługę.

– To mi nie wygląda na przysługę. To wygląda, jakbyśmy zostawili ich w rowie.

– Cisza – rozkazała.

Nie było czasu na moralne spory. Jeśli Wylan nie widział różnicy między byciem w łańcuchach a bez nich, to wkrótce ją odkryje.

Przyłożyła rękę do ust i wydała cichy ptasi okrzyk. Mieli cztery, może pięć minut, zanim strażnicy odblokują drogę. Na szczęście robili przy tym dużo hałasu, pokrzykując zachęcająco na konia i wrzeszcząc do siebie.

Matthias w pierwszej kolejności zakuł w łańcuchy Wylana, a potem Ninę. Inej zauważyła, że zamarł, gdy Nina uniosła włosy, żeby zapiął jej obrozę, odsłaniając białą linię szyi. Kiedy zapinał obręcz, Nina zerknęła mu w oczy i spojrzenie, które

wymienili, stopiłoby wiele mil północnego lodu. Matthias odszedł pośpiesznie. Inej omal się nie roześmiała. Zatem tyle tylko wystarczyło, żeby pogonić *drüskelle* i przywołać z powrotem chłopca.

Następny był Jesper, zadyszany po biegu ze skrzyżowania. Mrugnął do niej, kiedy zakładała mu kaptur. Słyszeli nawołujących się strażników.

Inej zamknęła obrożę Matthiasa i stanęła na palcach, żeby założyć mu kaptur na głowę. Kiedy jednak podeszła, by naciągnąć kaptur Ninie, grisa gwałtownie zamrugła, kiwnąwszy głową w stronę drzwi wozu. Nadal chciała zobaczyć, jak Kaz je zamknie.

Inej poruszyła bezgłośnie ustami:

– Patrz.

Kaz dał znać Inej, która zeskoczyła z wozu. Zamknęła drzwi więźniarki, przesunęła rygiel i zatrzasnęła kłódkę. A sekundę potem drzwi uchyliły się w przeciwną stronę. Kaz po prostu usunął zawiasy. To była sztuczka, którą posługiwali się wiele razy, kiedy zamek był zbyt skomplikowany, żeby go szybko otworzyć wytrychem, albo chcieli, żeby włamanie wyglądało na robotę kogoś z wewnątrz. Idealne rozwiązanie do fabrykowania samobójstw, powiedział jej kiedyś Kaz, a ona nigdy nie zorientowała się, czy mówił poważnie.

Ostatni raz zerknęła na drogę. Mężczyźni skończyli siłować się z drzewem. Większy otrzepywał ręce i poklepywał konia po grzbiecie. Drugi już podchodził do wozu. Inej złapała za brzeg drzwi i wskoczyła, żeby wcisnąć się do środka. Kaz natychmiast zaczął wkładać zawiasy na miejsce. Inej zsunęła kaptur na zaskoczoną twarz Niny, a potem zajęła miejsce obok Jespera.

Jednakże nawet w półmroku widziała, że Kaz porusza się za wolno; jego palce w rękawiczkach jeszcze nigdy nie były równie niezręczne. Co się z nim działo? Dlaczego zamarł przy drzwiach więźniarki? Coś sprawiło, że się zawahał, ale co?

Usłyszała brzęk metalu, kiedy Kaz upuścił jedną ze śrubek. Inej zerknęła na podłogę wozu i odkopnęła śrubkę z powrotem,

starając się nie zważać na łomotanie własnego serca.

Kaz przykucnął, żeby umieścić na miejscu drugi zawias. Dyszał ciężko. Wiedziała, że pracuje bez światła, kieruje się tylko dotykiem w tych przeklętych skórzanych rękawiczkach, przy których noszeniu zawsze się upierał. Wątpiła jednak, żeby z tego powodu był wzburzony. Usłyszała kroki na prawo od wozu i strażnika wołającego do towarzysza. Pośpiesz się, Kaz. Nie miała czasu, żeby zatrzeć ślady ich butów. A jeśli strażnik coś zauważy? A jeśli pociągnie za drzwi, a te zwyczajnie spadną z zawiasów, ukazując Kaza Brekera bez kaptura i łańcuchów?

Usłyszała kolejny brzęk. Kaz zaklął pod nosem. Nagle drzwi się zatrzęsły, kiedy strażnik szarpnął za kłódkę na łańcuchu. Kaz oparł rękę na zawiasie. Szczelina światła pod drzwiami rozszerzyła się. Inej wstrzymała oddech.

Zawias utrzymał drzwi.

Kolejny okrzyk po fjerdańsku i kroki. Potem woźnica strzelił lejcami i wóz ruszył z łoskotem. Inej odetchnęła. W gardle całkiem jej zaschło.

Kaz zajął miejsce obok niej. Naciągnął jej kaptur na głowę i smród stęchlizny wypełnił jej nozdrza. Potem Kaz założył kaptur sobie i zamknął łańcuchy. To względnie łatwe, tania magiczna sztuczka, a on znał je wszystkie. Docisnął rękę do jej ręki na wysokości od ramienia do łokcia, kiedy zapinał sobie obręcz na szyi. Ciała ocierały się o plecy Inej i jej boki, tłocząc się w wozie.

Na razie byli bezpieczni. Jednak mimo turkotu kół wozu Inej zorientowała się, że Kaz coraz gorzej oddycha: płytko, gwałtownie, dyszy jak zwierzę w pułapce. Nigdy w życiu nie słyszała, żeby tak oddychał.

I ponieważ tak uważnie nasłuchiwała, wiedziała dokładnie, w którym momencie Kaz Breker – Brudnoręki, kanalia z Baryłki i najbardziej niebezpieczny chłopak w Ketterdamie – zemdłał.



Pieniądze, które pan Hertzoon zostawił Kazowi i Jordiemu, skończyły się w następnym tygodniu. Jordie próbował zwrócić nowy płaszcz, ale sklep nie chciał go przyjąć, a po butach Kaza było widać, że już je noszono.

Kiedy przynieśli potwierdzenie pożyczki, jakie pan Hertzoon podpisał dla banku, odkryli, że mimo wszystkich pieczęci, które wyglądały bardzo poważnie, dokument jest nic niewart. Nikt nie znał pana Hertzoona ani jego współnika.

Dwa dni później wyeksmitowano ich z pensjonatu i musieli sobie znaleźć most, żeby się pod nim przespać, ale zaraz pogoniła ich *stadwachta*. Potem wędrowali bez celu aż do rana. Jordie upierał się, żeby wrócić do kawiarni. Długo siedzieli w parku po drugiej stronie ulicy. Kiedy nadeszła noc i straż zaczęła patrole, Kaz i Jordie poszli na południe, w uliczki Baryłki, gdzie *stadwachta* nigdy nie zaglądała.

Spali pod schodami w zaułku za karczmą, wciśnięci między porzuconą kuchenkę i worki z odpadami z kuchni. Nikt nie dokuczał im tej nocy, ale następnego zostali odkryci przez gang chłopców, którzy powiedzieli im, że znajdują się na terytorium Brzytwomew. Pobili Jordiego, a Kaza wrzucili do kanału, ale

najpierw zabrali mu buty.

Jordie wyłowił Kaza z wody i oddał mu swój suchy płaszcz.

– Jestem głodny – powiedział Kaz.

– A ja nie – odrzekł Jordie.

Z jakiegoś powodu Kaz uznał, że to zabawne, i obaj zaczęli się śmiać. Jordie objął brata i powiedział:

– Na razie miasto wygrywa, ale przekonasz się, kto wygra ostatecznie.

Następnego ranka Jordie obudził się z gorączką.

W późniejszych latach ludzie nazywali wybuch ognistej ospy w Ketterdamie Zarazą Dwórki, na pamiątkę statku, który ponoć przywłókł chorobę do miasta. Najmocniej uderzyła w przeludnione slumsy Baryłki. Ciała leżały stosami na ulicach, grabarskie barki krążyły po kanałach, za pomocą łopat i haków wciągano trupy na pokład, a potem wywożono do spalania na Krypę Kostuchy.

Kaz zachorował dwa dni po Jordiem. Nie mieli pieniędzy na leki czy medykusę, siedli więc skuleni pod stosem połamanych skrzynek, które nazwali Gniazdem.

Nikt ich nie przepędził. Zaraza osłabiła także gangi.

Podczas apogeum gorączki Kaz śnił, że wrócił na farmę, a kiedy zapukał do drzwi, zobaczył, że Jordie ze Snu i Kaz ze Snu już tam są i siedzą przy kuchennym stole. Zerknęli na niego przez okno, ale go nie wpuścili, wędrował więc przez łąkę, bojąc się położyć w wysokiej trawie.

Kiedy się obudził, nie czuł zapachu siana, koniczyny ani jabłek, a jedynie dym węglowy i wilgotny smród gnijących warzyw bijący od śmieci. Jordie leżał obok niego i wpatrywał się w gwiazdy.

„Nie zostawiaj mnie”, chciał powiedzieć Kaz, ale był zbyt zmęczony.

Położył więc głowę na piersi brata. Już była dziwna w dotyku, zimna i twarda.

Myślał, że śni, kiedy sprzątacze trupów przeturlali go na łódź. Poczuł, jak spada, a potem zsunął się między ciała. Chciał

krzyczeć, ale był za słaby. Trupy były wszędzie, nogi i ręce, twarde brzuchy, gnijące członki, twarze o sinych wargach pokryte ranami od ospy. Tracił przytomność i ją odzyskiwał, niepewny, co jest majakiem w gorączce, a co prawdą, kiedy barka wypłynęła na morze. Gdy wyrzucili go na płycizny Krypy Kostuchy, znalazł jakoś siłę, żeby krzyknąć.

– Ja żyję! – wrzasnął najgłośniej, jak zdołał.

Ale był za mały, a łódź już odpływała z powrotem do portu.

Próbował wyciągnąć Jordiego z wody. Jego całe ciało było pokryte wykwitami, od których ognista ospa wzięła swoją nazwę, a skórę miał białą i posiniaczoną. Kaz pomyślał o małym nakręcanym psiaku, o picciu gorącej czekolady na moście. Pomyślał, że niebo będzie wyglądało jak kuchnia domu przy Zilverstraat i pachniało *hutspot* piekącym się w piecu Hertzoonów. Nadal miał czerwoną wstążkę Saskii. Mógłby ją jej oddać. Zrobiliby cukierki z pasty z pigwy. Margit grałaby na pianinie, a on zasnąłby przy ogniu. Zamknął oczy i czekał, aż umrze.

Spodziewał się, że obudzi się w następnym świecie, gdzie będzie ciepło i bezpiecznie, z pełnym brzuchem i Jordiem u boku. Zamiast tego obudził się otoczony przez trupy. Leżał na płyciznach Krypy Kostuchy w przemoczonym ubraniu, ze skórą pomarszczoną od wilgoci. Ciało Jordiego znajdowało się obok, ledwie rozpoznawalne, białe i nabrzmiące zgnilizną. Unosiło się na wodzie jak jakaś makabryczna głębinowa ryba.

Kaz widział wyraźniej. Zniknęła mu wysypka. Gorączka minęła. Zapomniał o głodzie, ale był tak spragniony, że bliski szaleństwa.

Przez cały dzień i noc czekał wśród stosu ciał, wpatrując się w port, mając nadzieję, że barka wróci. Musieli wrócić, żeby rozpalić ogień i spalić ciała, ale kiedy? Czy uprzątno ciała codziennie? Co drugi dzień? Był słaby i odwodniony. Czuł, że długo nie pożyje. Wybrzeże wydawało się bardzo odległe i wiedział, że jest za słaby, żeby przepłynąć taki odcinek. Przetrwał gorączkę, ale mógł umrzeć na Krypie Kostuchy. Czy to

go martwiło? Nic na niego nie czekało w mieście poza głodem, ciemnymi zaułkami i wilgocią z kanałów. Kiedy o tym pomyślał, zrozumiał, że to nieprawda. Czekala na niego zemsta, zemsta za Jordiego i może za siebie samego też. Musiał jednak wrócić, żeby się zemścić.

Kiedy nadeszła noc i kierunek pływów się zmienił, Kaz zmusił się, żeby położyć ręce na ciele Jordiego. Był za słaby, żeby popłynąć samemu, ale z pomocą Jordiego mógł podryfować. Trzymał się mocno brata i machał nogami, kierując się w stronę światła Ketterdamu. Razem dryfowali, rozdęte ciało Jordiego pełniło rolę tratwy. Kaz nie przestawał machać nogami, starając się nie myśleć o bracie, o dotyku napiętego, rozdętego ciała pod dłońmi. Starał się nie myśleć o niczym poza miarowym poruszaniem nogami w morzu. Słyszał, że w tych wodach grasują rekiny, ale wiedział, że go nie tkną. On teraz też był potworem.

Płynął, a kiedy nadszedł świt, podniósł wzrok i zobaczył, że jest przy wschodnim krańcu Pokrywki. Port był niemal opustoszały. Zaraza sprawiła, że transport morski z i do Kerchu niemal zamarł.

Ostatnie kilkaset jardów było trudne. Nastął odpływ i Kaz musiał się z nim zmagać. Tyle że miał teraz nadzieję, nadzieję i gniew, bliźniacze płomyki, które w nim płonęły. Doprowadziły go do nabrzeża i pomogły wspiąć się po drabinie. Kiedy się wdrapał, padł plecami na deski, a potem zmusił się do przeturlania się na bok. Prąd porwał ciało Jordiego i uderzał nim teraz o słup nabrzeża. Chłopiec miał nadal otwarte oczy i przez chwilę Kaz myślał, że brat patrzy na niego. Jednak Jordie nie odezwał się słowem, nie zamrugał, nie przeniósł spojrzenia, kiedy prąd uwolnił go od słupa i zaczął znosić w morze.

Powinienem był zamknąć mu oczy, pomyślał Kaz, ale wiedział, że gdyby zszedł po drabinie i wszedł do morza, nigdy więcej nie wy dostałby się na brzeg. Po prostu poddałby się i utonął, a to nie wchodziło teraz w grę. Musiał żyć. Ktoś musiał zapłacić.



W więźniarce Kaz oprzytomniał, czując ostre dźgnięcie w udo. Zmarzł na kość i otaczała go ciemność. Wokół były ciała, napierały na jego plecy, boki. Tonął wśród trupów.

– Kaz.

Szept.

Zadrzał.

Kolejne dźgnięcie w udo.

– Kaz.

Głos Inej. Kaz zdołał odetchnąć głęboko przez nos. Poczuł, jak Inej odsuwa się od niego. Jakimś cudem w zatłoczonym wozie zdołała zapewnić mu trochę przestrzeni. Jego serce waliło jak oszalałe.

– Mów – wychrypiał.

– Co?

– Po prostu mów.

– Mijamy bramę więzienia. Przejechaliśmy przez pierwsze dwa posterunki.

To sprawiło, że całkiem oprzytomniał. Minęli dwa posterunki. To znaczy, że ich policzono. Ktoś otworzył drzwi, i to nie raz, lecz dwa razy, może nawet dotknął go, a on się nie obudził. Mogli go obrabować, zabić. Wyobrażał sobie swoją śmierć na tysiąc sposobów, ale nigdy nie pomyślał, że ją prześpi.

Zmusił się do głębokich oddechów mimo smrodu ciał. Zostawił rękawiczki na rękach – strażnicy mogli je łatwo zauważyć, frustrujące ustępstwo na rzecz własnej słabości, ale gdyby tego nie zrobił, był przekonany, że całkiem by zwariował.

Za sobą słyszał innych więźniów pomrukujących do siebie w różnych językach. Mimo lęków, jakie obudziła w nim ciemność, dziękował za nią. Mógł mieć tylko nadzieję, że reszta ekipy – w kapturach i zajęta własnymi niepokojami – nie zauważyła niczego dziwnego w jego zachowaniu. Był spowolniony, wolno reagował, kiedy zatrzymali w zasadzce więźniarkę, ale z łatwością mógł wymyślić jakąś wymówkę,

która wyjaśniałaby jego zachowanie.

Nie mógł znieść myśli, że Inej widziała go w tym stanie – że ktokolwiek go widział – ale zaraz przysłała mu do głowy druga myśl: „Lepiej, że to ona, niż ktoś inny”. Czuł w kościach, że ona nigdy o tym nikomu nie powie, że nigdy nie wykorzystałaby tej wiedzy przeciwko niemu. Polegała na jego reputacji. Nie chciałaby, żeby wyszedł na słabego. Chociaż tu chodziło coś więcej, prawda? Inej nigdy by go nie zdradziła. Wiedział to. Zrobiło mu się niedobrze. Chociaż mnóstwo razy powierzał jej swoje życie, o wiele bardziej przerażające było powierzenie jej swojego wstydu.

Wóz się zatrzymał. Rygiel odsunięto, drzwi otworzyły się gwałtownie.

Usłyszał, że ktoś mówi po fjerdańsku, potem rozległo się szuranie i łomot. Jego obręcz na szyi została rozpięta i wyprowadzono go z wozu po jakiejś rampie wraz z innymi więźniami. Usłyszał, że z jękiem otworzyło się coś, co brzmiało jak brama, a potem popędzono go naprzód. Powlókł się razem z innymi, szurając skutymi nogami.

Zmrużył oczy, kiedy nagle zerwano mu kaptur z głowy. Stali na ogromnym dziedzińcu. Potężna brama w pierścieniu murów już była spuszczana. Uderzyła w kamienie ze złowieszczą serią brzęków i jęków. Uniósłszy wzrok, Kaz zobaczył strażników rozmieszczonych wzdłuż dachu wokół dziedzińca. Celowali z karabinów w więźniów. Straże na dole kręciły się między rzędami zakutych przestępców, próbując dopasować ich nazwiska lub wygląd do dokumentów dostarczonych przez woźnicę.

Matthias szczegółowo opisał plan Lodowego Dworu, ale niewiele mówił o tym, jak to miejsce właściwie wygląda. Kaz spodziewał się czegoś starego i wilgotnego, ponurego, szarego kamienia, solidnego oparcia dla obrońców. A zamiast tego otaczał go marmur tak biały, że niemal skrzył się błękitem. Czuł się tak, jakby zawędrował do jakiejś baśniowej wersji surowej krainy, przez którą wędrowali na północy. Nie sposób było

powiedzieć, co może być tu szkłem, lodem, a co kamieniem.

– Jeśli to nie jest robota fabrykatorów, to ja jestem królową leśnych duszków – mruknęła po kercheńsku Nina.

– *Tig!* – rozkazał jeden ze strażników.

Zdzielił ją karabinem w brzuch, aż zgięła się wpół z bólu. Matthias nie odwrócił głowy, ale Kaz dostrzegł napięcie w jego sylwetce.

Fjerdańscy strażnicy gestykulowali nad dokumentami, próbując rozeznaczyć się w liczbie i tożsamości więźniów, dopasować to do grupy, która przed nimi stała. To był pierwszy naprawdę trudny moment, nad którym Kaz w żaden sposób nie panował. Zbyt niebezpieczne i czasochłonne byłoby dobieranie więźniów, których zastąpili. Świadomie podjął to ryzyko, a teraz mógł tylko czekać i mieć nadzieję, że lenistwo i biurokracja załatwią resztę.

Kiedy strażnicy odeszli, Inej pomogła Ninie wstać.

– Nic ci nie jest? – zapytała, a Kaz poczuł, że jej głos przyciąga go, jakby był wodą spływającą po stoku.

Nina powoli się wyprostowała.

– W porządku – szepnęła. – I myślę, że nie musimy się już martwić ekipą Pekki Rollinsa.

Kaz spojrział w tym samym kierunku, co Nina – na szczyt pierścienia murów, wysoko nad dziedzińcem, gdzie pięciu mężczyzn nabito na piki jak mięso na rożen. Plecy mieli zgięte, kończyny zwisały im luźno. Kaz musiał zmrużyć oczy, ale rozpoznał Erolla Aertsę, najlepszego włamywacza i kasiarza Rollinsa. Sińce i obrzęki po pobiciu przed śmiercią były ciemnofioletowe w świetle poranka. Z trudem wypatrzył czarny znak na jego ręce – tatuaż Lwów za Dychę.

Przyjrzał się innym twarzom. Niektóre były zbyt opuchnięte i zniekształcone po śmierci, żeby je rozpoznać. Czy jedna z nich mogła należeć do Pekki Rollinsa? Kaz wiedział, że powinien być zadowolony, że załatwiono konkurencyjny zespół, ale Rollins nie był głupcem i myśl, że jego ludzie nie przekroczyli wrót Lodowego Dworu, była więcej niż tylko odrobinę niepokojąca.

Poza tym, jeśli Rollins zginął na końcu fjerdańskiej piki... Nie, Kaz odrzucał taką możliwość. Pekka Rollins należał do niego.

Strażnicy sprzeczali się teraz z woźnicą i jeden z nich wskazywał na Inej.

– Co się dzieje? – szepnął do Niny.

– Twierdzą, że dokumenty się nie zgadzają, że mają Sulijkę zamiast chłopaka z Shu Hanu.

– A woźnica? – zapytała Inej.

– Powtarza, że to nie jego problem.

– Tak trzymać – mruknął zachęcająco Kaz.

Patrzył to na strażników, to na woźnicę. Oto piękno tych wszystkich zwielokrotnionych zabezpieczeń. Strażnicy zawsze myślą, że mogą założyć, że ktoś inny wychwyci błąd albo naprawi problem. Na lenistwie nie można było polegać tak pewnie jak na chciwości, ale i nim można się sprawnie posłużyć. A przecież mowa była o więźniach – skutych, otoczonych ze wszystkich stron, którzy ostatecznie wylądują w celach. Nieszkodliwych.

Wreszcie jeden ze strażników więziennych westchnął i dał znać swoim ludziom.

– *Diveskemen*.

– No dobra – tłumaczyła Nina, kiedy mówił dalej – zabierzcie ich do wschodniego bloku i niech następna zmiana to wyjaśni.

Kaz ledwie uchwytynie westchnął z ulgą.

Zgodnie z przewidywaniami strażnicy podzielili więźniów na mężczyzn i kobiety, a potem poprowadzili oba pobrękujące łańcuchami szeregi przez niemal okrągłe przejście naśladowane otwartą paszczą wilka.

Weszli do komnaty, gdzie stara kobieta ze skutymi rękami siedziała w towarzystwie strażników. Patrzyła nieobecny wzrokiem. Każdego więźnia, który podchodził, łapała za nadgarstek.

Ludzki amplifikator. Kaz wiedział, że Nina pracowała z amplifikatorami, kiedy przeczesywała Wyspę Tułaczą w poszukiwaniu griszów, którzy wstąpiłiby do Drugiej Armii.

Potrafili wyczuć moc griszów dotykiem; wynajmowano ich przy grach w karty o wysoką stawkę, żeby na pewno żaden z graczy nie okazał się griszą. Ktoś mógł pomajstrować przy pulsie innego gracza, a nawet podnieść temperaturę w pomieszczeniu, żeby wykorzystać to na swoją korzyść. Jednakże Fjerdanie używali ich do innych celów – żeby żaden grisz nie przekroczył niespostrzeżenie ich murów.

Kaz patrzył, jak Nina podchodzi do amplifikatorki. Widział, jak drży, kiedy wyciągnęła rękę. Kobieta zacisnęła palce na jej nadgarstku. Powieki amplifikatorki zatrzepotały przelotnie. A potem wypuściła rękę Niny i machnęła, żeby przechodziła.

Wiedziała, ale miała to w nosie? Czy też parafina, w której unurzali przedramiona Niny, podziałała?

Kiedy prowadzono ich łukowatym przejściem na lewo, Kaz dostrzegł Inej znikającą pod drugim łukiem wraz z pozostałymi kobietami. Poczul ukłucie w piersi i z niepokojem zrozumiał, że to panika. To Inej wyrwała go ze stuporu w wozie. To jej głos wydobył go z ciemności. To był postronek, którego się chwycił i z jego pomocą powrócił do względnej normalności.

Aresztowanych mężczyzn poprowadzono ciemnymi schodami na metalowy chodnik. Po lewej stronie wznosił się gładki biały ogrom pierścienia murów. Na prawo z chodnika rozciągał się widok na rozległe szklane ogrodzenie, długie na niemal ćwierć mili i tak wysokie, że spokojnie zmieściłby się tam statek handlowy. Zagrodę oświetlała ogromna żelazna latarnia zwieszająca się z sufitu niczym lśniący kokon. W dole Kaz zobaczył rzędy potężnie wzmocnionych wozów z kopulastymi wieżyczkami zaopatrzonymi w działka. Koła wozów były duże i połączone grubą taśmą. Na każdym wozie potężna lufa – coś pomiędzy karabinem a armatą – wystawała do przodu w miejscu, gdzie normalnie zaprzęgnięto by konie.

– Co to jest? – szepnął.

– *Torvegen* – odpowiedział cicho Matthias. – Nie potrzebują koni. Po moim wyjeździe nadal udoskonalano projekt.

– Bez koni?

– Czołgi – mruknął Jesper. – Widziałem prototypy, kiedy pracowałem u rusznikarza w Nowoziemiu. Wiele działek w wieżyczce i jedna wielka lufa z przodu. Potworna siła ognia.

W zagrodzie stały także działa artyleryjskie z grawitacyjnym mechanizmem ładowania, stojaki pełne karabinów, amunicji i małych czarnych bombek, które Ravkańczycy nazywali *grenaty*. Na ścianie za szkłem rozwieszono w ozdobny sposób starszą broń: topory, włócznie, łuki. Nad tym wszystkim wisiał biało-srebrny transparent z napisem STRYMAKT FJERDAN.

Kiedy Kaz zerknął na Matthiasa, tamten mruknął:

– Fjerdańska potęga.

Kaz zerknął przez grube szkło. Znał się na fortyfikacjach i Nina miała rację, to szkło także było dziełem fabrykatora – kuloodporne i nie do pokonania. Wchodząc do więzienia lub je opuszczając, skazańcy widzieli broń, uzbrojenie, całą machinę wojenną – brutalne przypomnienie o sile państwa Fjerdy.

Śmiało, pręcznie muskuły, pomyślał Kaz. Nieważne, jak dużą ktoś ma broń, skoro nie wie, gdzie ją wycelować.

Po drugiej stronie szklanej zagrody widział drugi chodnik, którym maszerowały aresztowane kobiety.

Inej nic nie będzie, pomyślał. Musiał się skupić. Znajdowali się teraz na terytorium wroga, w niezwykle niebezpiecznym miejscu, z którego człowiek nie wyjdzie cało, jeśli nie będzie miał głowy na karku. Czy zespół Pekki dotarł tak daleko, zanim go wykryto? Gdzie znajduje się sam Pekka Rollins? Został bezpiecznie w Kerchu czy też był więźniem Fjerdan?

To nie miało znaczenia. Na razie Kaz musiał się skupić na planie i odnalezieniu Yul-Bayura. Zerknął na pozostałych. Wylan wyglądał, jakby miał się zaraz zmoczyć. Helvar był ponury jak zawsze. Jesper tylko uśmiechnął się szeroko i szepnął:

– Właśnie udało nam się doprowadzić do tego, że zamknięto nas w najlepiej strzeżonym więzieniu na świecie. Albo jesteśmy geniuszami, albo najgłupszymi sukinsynami, jacy chodzili po ziemi.

– Wkrótce się przekonamy.

Zaprowadzono ich do kolejnego białego pomieszczenia wyposażonego w cynowe balie i węże.

Strażnik powiedział coś po fjerdańsku i Kaz zobaczył, że Matthias i paru innych zaczynają się rozbierać. Przełknął gulę, która rosła mu w gardle. Zapał się, że nie wymiotuje.

Da radę. Musi dać radę. Pomyślał o Jordiem. Co by powiedział, gdyby jego młodszy brat przegapił szansę wymierzenia należnej im sprawiedliwości, bo nie był w stanie przewyciężyć durnej choroby, która w nim narastała? To jednak tylko przypomniało mu o zimnym ciele Jordiego, jak wiotczało w słonej wodzie, o ciałach napierających na niego na barce. Obraz przed oczami zaczął mu się rozmazywać.

Weź się w garść, Brekker, zbeształ się ostro. To nie pomogło. Znowu zemdleje i tym razem to będzie koniec. Inej zaproponowała mu kiedyś, że nauczy go, jak upadać.

– Sztuka polega na tym, żeby nie upaść – odpowiedział jej wtedy ze śmiechem.

– Nie, Kaz. Sztuka polega na tym, żeby znowu się podnieść.

Kolejny sulijski frazes, ale jakimś cudem nawet wspomnienie jej głosu pomogło. Stać go na więcej. Nie ma wyjścia. Nie tylko ze względu na Jordiego, ale i ze względu na ekipę. Sprowadził tu tych ludzi. Sprowadził tu Inej. Jego zadaniem jest ich stąd wyprowadzić.

„Sztuka polega na tym, żeby się znowu podnieść”. Słuchał jej głosu w głowie, kazał jej powtarzać te słowa raz za razem, kiedy zdejmował buty, ubranie i wreszcie rękawiczki.

Zobaczył, że Jesper wpatruje się w jego dłonie.

– Czego się spodziewałeś? – warknął Kaz.

– Przynajmniej pazurów – odpowiedział Jesper, przenosząc wzrok na własne kościste boscie stopy. – Może kolczastego kciuka.

Strażnik wrócił po tym, jak wrzucił ich ubrania do kubła, który niewątpliwie powędruje do spalarni. Brutalnie odchylił głowę Kaza, zmusił go do otwarcia ust i zaczął w nich macać grubymi paluchami. Czarne plamki pływały Kazowi przed oczami, kiedy walczył o zachowanie przytomności. Palce

strażnika minęły miejsce, gdzie Kaz wsunął *baleen* między zęby, a potem zaczęły poszcypywać i szturchać wnętrze policzków.

– *Ondetjärn!* – krzyknął strażnik. – *Fellenjuret!* – wykrzyknął znowu i wyciągnął dwa smukłe kawałki metalu z ust Kaza.

Wytrychy z brzękiem uderzyły o kamienną podłogę. Strażnik wrzasnął coś na niego po fjerdańsku i uderzył go mocno w twarz. Kaz padł na kolana, ale zmusił się do wstania. Dostrzegł panikę na twarzy Wylana, ale stać go było tylko na to, żeby utrzymać się na nogach, kiedy strażnik wepchnął go do kolejki pod lodowaty prysznic.

Kiedy wynurzył się spod niego, przemoknięty i drżący, inny strażnik wręczył mu bezbarwne więzienne spodnie i tunikę z leżącego obok stosu. Kaz włożył ubranie, a potem pokuśtykał do aresztu z pozostałymi więźniami. W tym momencie oddałby połowę swojej działki z trzydziestu milionów *kruge* za znajomy ciężar laski w ręku.

Cele aresztu znacznie bardziej przypominały więzienie, jakiego się spodziewał: żadnego białego kamienia ani szklanych wystaw, tylko wilgotny i zimny szary kamień oraz żelazne pręty.

Zapędzono ich do już zatłoczonej celi. Helvar usiadł plecami do ściany, obserwując kręcących się mężczyzn spod zmrużonych powiek. Kaz oparł się o żelazne pręty i patrzył, jak strażnicy odchodzą. Wyczuwał ruch za sobą. Było tu dość przestrzeni, ale w jego odczuciu ludzie nadal znajdowali się za blisko. Jeszcze trochę, powiedział sobie. Jego dłonie były niewyobrażalnie nagie.

Czekał. Wiedział, co się kroi. Rozgryzł pozostałych, gdy tylko weszli do celi, i wiedział, że to krzepki Kaelczyk ze znamieniem go zaczepi. Był nerwowy, niespokojny i zauważył ewidentne kuśtykanie Kaza.

– Ej, kaleka – odezwał się Kaelczyk po fjerdańsku. Spróbował raz jeszcze po kercheńsku, mówiąc z wyraźnym zaśpiewem: – Ej, kaleka!

Nie musiał się wysilać. Kaz znał słowo „kaleka” w wielu

językach.

W następnej sekundzie Kaz wyczuł ruch powietrza, kiedy Kaelczyk sięgnął po niego. Zrobił krok w lewo, a Kaelczyk siłą rozpędu poleciał do przodu. Kaz mu pomógł, łapiąc go za rękę i wsuwając ją między pręty aż po bark. Kaelczyk stęknął głośno, kiedy przywalił twarzą w żelazne pręty.

Kaz oparł przedramię więźnia o pręty. Całym ciężarem uderzył w ciało przeciwnika i usłyszał satysfakcjonujący trzask, kiedy wyrwał rękę ze stawu. Gdy Kaelczyk otworzył usta do krzyku, Kaz zatkał je jedną dłonią, a drugą ścisnął mu nos. Poczuł dotyk nagiej skóry na palcach i zrobiło mu się niedobrze.

– Ciiii – powiedział i trzymając mężczyznę za nos, poprowadził go tyłem z powrotem do ławki pod ścianą.

Pozostali więźniowie pośpiesznie schodzili im z drogi.

Mężczyzna klapnął ciężko na ławkę. Oczy mu łzawiły, nie mógł oddychać. Kaz nadal zatykał mu usta i nos. Kaelczyk dygotał.

– Mam wsadzić ją na miejsce? – zapytał Kaz.

Mężczyzna jęknął.

– Tak?

Jęknął głośniej. Pozostali więźniowie patrzyli na niego.

– Tylko krzyknij, a dopilnuję, żeby już nigdy nie działała jak trzeba, jasne?

Puścił usta mężczyzny i wbił wywichniętą rękę na miejsce. Kaelczyk przeturlał się na bok, zwinął w kłębek na ławce i zaczął płakać.

Kaz otarł ręce o spodnie i wrócił na swoje miejsce przy prętach. Czuł, że inni patrzą, ale teraz wiedział, że zostawią go w spokoju.

Podszedł do niego Helvar.

– To było naprawdę konieczne?

– Nie.

Tyle że było. Musiał zyskać pewność, że więźniowie zostawią ich w spokoju i pozwolą im zrobić to, co trzeba. Musiał także przypomnieć sobie, że nie jest bezradny.



Jespera koczyło, żeby pokrażyć po celi, ale zajął sobie miejsce na ławce i zamierzał je utrzymać. Miał wrażenie, że drobne wstrząsy niepokoju i podniecenia wirują mu pod skórą, a Wylan, który siedział obok niego i bębnił nerwowo palcami w kolana, nie pomagał mu się uspokoić. Jesper wątpił, czy wytrzyma dłuższe czekanie. Najpierw statek, potem wędrówka, a teraz ugrzązł w celi do czasu, kiedy strażę przyjdą wieczorem policzyć obecnych.

Tylko ojciec rozumiał jego niespokojną energię. Próbował ją skanalizować, skierować na pracę w gospodarstwie, jednak obowiązki rolnika były zbyt monotonne dla Jespera. Uniwersytet miał być tym, co nada kierunek jego życiu, ale Jesper zbłądził na całkiem inną ścieżkę. Skrzywił się na myśl o tym, co ojciec powiedziałby, gdyby się dowiedział, że jego syn zmarł we fjerdańskim więzieniu. Ale skąd niby miałby się dowiedzieć? To było zbyt przygnębiające, żeby się nad tym zastanawiać.

Ile czasu minęło? A jeśli w ogóle nie będzie tu słycać Starego Zegara? Strażnicy powinni policzyć więźniów o szóstej. Wtedy Jesper i pozostali będą mieli czas do północy, żeby załatwić swoją

robotę. Taką mieli nadzieję. Matthias służył tylko trzy miesiące w więzieniu. Protokoły mogły się zmienić. Mógł coś źle pamiętać.

A może chciał wsadzić nas za kratki, zanim nas wsypie, pomyślał Jesper.

Jednakże Matthias siedział w milczeniu na drugim końcu celi, niedaleko Kaza. Jesper nie mógł nie zauważyć drobnej potyczki z Kaelczykiem. Kaz – zwykle niewzruszony w trakcie roboty – teraz był podenerwowany, a Jesper nie wiedział czemu. Pewna część jego osoby chciała zapytać, ale wiedział, że to głupia część – pełen nadziei chłopak ze wsi, który nie mógł sobie gorzej wybrać obiektu troski i szukał znaków w sytuacjach niemających żadnego znaczenia, jak sam w głębi duszy wiedział: kiedy Kaz wybrał go do zadania, kiedy śmiał się z jego żartów. Miał ochotę skopać sobie tyłek. Zobaczywszy wreszcie niesławnego Kaza Brekkera bez skrawka ubrania, za bardzo się martwił, że skończy na końcu piki, żeby uważać jak należy.

O ile Jesper był niespokojny, to Wylan wyglądał, jakby miał zwymiotować.

– Co teraz zrobimy? – szepnął. – Na co komu włamywacz bez wytrychów? – zapytał Jaspera.

– Siedź cicho.

– A do czego ty się przydasz? Snajper bez broni. Jesteś całkowicie zbędny w tej misji.

– To nie misja. To robota.

– Matthias nazywa to misją.

– On jest wojskowym, a ty nie. A ja już siedzę w więzieniu, więc nie kuś mnie, żebym popełnił morderstwo.

– Nie zabijesz mnie, a ja nie będę udawał, że wszystko jest w porządku. Ugrzęźliśmy tutaj.

– Ty zdecydowanie bardziej pasujesz do złotej klatki niż do prawdziwej.

– Opuściłem dom ojca.

– Pewnie, porzuciłeś życie w luksusach, żeby zadowolić się byle czym z nami łachmytami w Baryłce. To nie znaczy, że jesteś

interesujący, Wylan, tylko głupi.

– Nic o mnie nie wiesz.

– To mi powiedz – odparł Jesper, odwracając się do niego. – Mamy czas. Co sprawia, że porządny kupczyk opuszcza dom i zadaje się z kryminalistami?

– Zachowujesz się, jakbyś urodził się w Baryłce tak jak Kaz, ale nawet nie jesteś z Kerchu. Ty też wybrałeś takie życie.

– Lubię miasta.

– Nie mają miast w Nowoziemiu?

– Nie takie jak Ketterdam. Byłeś kiedyś gdzieś poza swoim domem, Baryłką i eleganckimi kolacjami w ambasadach?

Wylan odwrócił wzrok.

– Tak.

– Gdzie? Na przedmieściach w sezonie na brzoskwinię?

– Na wyścigach w Caryevie. Na polach naftowych Shu Hanu. Na farmach *jurdy* w okolicy Shriftportu. W Weddle. W Ellingu.

– Naprawdę?

– Kiedyś ojciec wszędzie zabierał mnie ze sobą.

– Dopóki?

– Co dopóki?

– No dopóki! Ojciec zabierał mnie wszędzie, dopóki nie zaraziłem się straszliwą chorobą morską, dopóki nie zwymiotowałem na królewskim ślubie, dopóki nie próbowałem wryćkać nogi ambasadora.

– Noga sama się o to prosiła.

Jesper parsknął śmiechem.

– Wreszcie odrobina charakteru.

– Mam mnóstwo charakteru – burknął Wylan. – I patrz, dokąd to mnie...

Przerwał mu głos strażnika krzyczącego po fjerdańsku, w tej samej chwili, kiedy Stary Zegar wybił szóstą. Fjerdanie przynajmniej byli punktualni.

Strażnik odezwał się w języku shu, a potem po kercheńsku:

– Wstawać. *Shimkopper* – dorzucił ostro. Spojrzeli na niego tępo. – Kubeł szczyn – spróbował po kercheńsku. – Gdzie jest...

żeby opróżnić? – Pokazał na migi.

Więźniowie wrzuszali ramionami i rozglądali się zdumieni.

Ponura mina strażnika jasno wyrażała, że ma to w głębokim poważaniu. Wepchnął wiadro czystej wody do celi i z hukiem zatrzasnął kraty.

Jesper przepchnął się naprzód i wypił spory łyk z kubka umocowanego do pałaka kubła. Większość wody wylał na koszulę. Kiedy podał kubek Wylanowi, dopilnował, żeby on też się ochlapał.

– Co ty wyprawiasz? – zaprotestował chłopak.

– Cierpliwości. I staraj się robić to co my.

Jesper podwinął spodnie i pomacał się po cienkiej skórze nad kostką.

– Powiedz mi, co się dzie...

– Siedź cicho. Muszę się skupić.

To była prawda. Naprawdę nie chciał, żeby pigułka ukryta pod skórą utworzyła się, póki znajdowała się w jego ciele.

Pomacał szwy, które założyła mu Nina. Bolało jak diabli, kiedy je rozerwał i wyjął pigułkę. Była wielkości rodzyńka i śliska od krwi. Nina w tej chwili otwierała sobie skórę, używając do tego mocy. Jesper zastanawiał się, czy to boli mniej niż zrywanie szwów.

– Naciągnij koszulę na usta – polecił Wylanowi.

– Co?

– Nie zachowuj się jak tępak. Masz więcej uroku jako bystrzak.

Wylan się zaczerwienił. Skrzywił się i naciągnął koszulę.

Jesper sięgnął pod ławkę, gdzie schował wiadro z nieczystościami, i je wyciągnął.

– Naciąga sztorm – powiedział głośno po kercheńsku.

Zobaczył, że Matthias i Kaz naciągają koszule na głowy. Odwrócił się, zasłonił materiałem twarz i wrzucił pigułkę do wiadra.

Rozległo się skwierczenie i obłok mgły buchnął z kubła. W ciągu sekundy wypełnił celę, w której powietrze stało się mlecznozielone.

Oczy Wylana ponad naciągniętym kołnierzem wyrażały panikę. Jespera kusiło, żeby udać, że mdleje, ale uznał, że wystarczy mu efekt, jaki wywarli mężczyźni padający wokół niego na ziemię.

Począł, odliczając do sześćdziesięciu, a potem opuścił koszulę i ostrożnie odetchnął. W powietrzu nadal pachniało mdląco słodko i trochę będzie im się od tego kręciło w głowie, ale najgorsze już się rozproszyło. Kiedy strażnicy znowu przyjdą policzyć aresztantów, ci będą mieli fatalny ból głowy i niewiele do powiedzenia. Jesper miał nadzieję, że do tego czasu oni sami znajdą się już daleko.

– To był chlorogaz?

– Zdecydowanie masz więcej uroku jako bystrzak. Tak, chloropigułka to osłonka zbudowana na bazie enzymu, zawierająca chloroproszek. Jest niegroźny, dopóki nie wejdzie w kontakt z dowolną ilością amoniaku. Do czego właśnie doszło.

– Uryna w wiadrze... Ale po co? I tak tu ugrzęźliśmy.

– Jesper – powiedział Kaz, przywołując go do prętów. – Czas ucieka.

Jesper rozluźnił ramiona i podszedł do krat. Tego typu zadanie zajmowało zwykle mnóstwo czasu, zwłaszcza że miał w tym niewiele wprawy. Położył dłonie po obu stronach jednego pręta i skupił się na zlokalizowaniu najczystszych cząstek żelaza.

– Co on robi? – zapytał Matthias.

– Wykonuje starożytny nowoziemski rytuał – odparł Kaz.

– Serio?

– Nie.

Mroczna mgiełka formowała się między dłońmi Jespera.

Wylan zdusił okrzyk.

– To żelazo?

Jesper skinął głową, czując, że pot perli mu się na czole.

– Potrafisz rozpuścić pręty?

– Nie bądź idiotą – warknął Jesper. – Widzisz, jakie są grube?

Właściwie pręt, nad którym pracował, wyglądał na nietknięty, chociaż wydobył z niego dość żelaza, żeby chmurka

między jego dłońmi była praktycznie czarna. Zagiął palce i cząsteczki obróciły się, wirując po coraz ciaśniejszej spirali, coraz węższej i coraz gęstszej.

Jesper opuścił dłonie i cieniutka igła spadła na podłogę z melodyjnym brzękiem.

Wylan natychmiast ją podniósł. Światło prześliznęło się po zmatowiałej powierzchni.

– Jesteś fabrykatorem – powiedział ponuro Matthias.

– Ledwie, ledwie.

– Albo nim jesteś, albo nie – wtrącił Wylan.

– Jestem. – Jesper szturchnął Wylana palcem. – A ty będziesz trzymał gębę na kłódkę na ten temat, kiedy wrócimy do Ketterdamu.

– Ale dlaczego miałbym kłamać...

– Lubię swobodnie chodzić po mieście – odpowiedział Jesper. – Lubię, kiedy nie muszę się martwić, że porwie mnie łowca niewolników albo że wykończy mnie jakiś drań w rodzaju tego tu naszego przyjaciela Helvara. Poza tym mam też inne umiejętności, które przynoszą mi więcej przyjemności i zysków niż to. Mnóstwo innych umiejętności.

Wylan zakaszłał. Flirtowanie z nim może i było zabawniejsze od denerwowania go, ale wydawało się ryzykowne.

– Nina wie, że jesteś griszą?

– Nie. I nie dowie się. Nie potrzebuję kazań na temat Drugiej Armii i chwalebnej sprawy Ravkańczyków.

– Zrób drugi – przerwał mu Kaz. – I pośpiesz się.

Jesper powtórzył swoje wysiłki na drugim pręcie.

– Skoro taki był plan, to po co próbowałeś przemycić wytrychy? – zapytał Wylan.

Kaz skrzyżował ręce na piersi.

– Słyszałeś kiedyś o umierającym człowieku, któremu medykus powiedział, że został w cudowny sposób wyleczony? Tańczył z radości na ulicy i został stratowany na śmierć przez konia. Musisz dać jeleniowi poczucie, że wygrał. Czy strażnicy przyglądali się Matthiasowi i zastanawiali, czy nie wygląda

znajomo? Czy narobili kłopotów, kiedy Jesper wszedł pod prysznic z parafiną schodzącą z rąk? Nie, bo byli zbyt zajęci gratulowaniem sobie tego, że mnie przyłapali. Uznali, że usunęli zagrożenie.

Kiedy Jesper skończył, Kaz wziął dwa cieniutkie wytrychy w palce. To był dziwny widok – on pracujący bez rękawiczek – ale chwilę potem zamek się otworzył i byli wolni. Kiedy wyszli, Kaz zamknął za sobą celę.

– Znacie swoje zadania – szepnął. – Ja idę z Wylanem po Ninę i Inej. Ty i Matthias...

– Wiem, mamy zwinąć tyle liny, ile się da.

– Macie być w piwnicy za dwa kwadransy.

Rozdzielili się. Machina poszła w ruch.

Zgodnie z planem Wylana stajnia przylegała do dziedzińca z wartownią, więc musieli cofnąć się tą samą drogą, którą wprowadzano więźniów. Teoretycznie w tej części więzienia nic się nie działo poza chwilami, kiedy więźniów przyprowadzano lub wyprowadzano, ale nadal musieli zachować ostrożność. Wystarczy jeden zabłąkany strażnik, żeby pokrzyżować im plany. Najstraszniejszym momentem było przejście chodnikiem przy szklanej zagrodzie – długi, jasny odcinek, na którym byli całkowicie odsłonięci. Nie mogli nic zrobić, tylko trzymać kciuki i popędzić na złamanie karku. Potem zbiegli schodami i skręcili w lewo do sali, gdzie Jespera sprawdzała biedna stara amplifikatorka. Powstrzymał dreszcz. Chociaż parafina na rękach zawsze sprawdzała się w domach gry, serce nadal biło mu jak szalone, kiedy przed nią stanął. Była krucha jak łąpina i równie pusta. Tak właśnie kończyli griszowie, którzy znaleźli się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze – czekało ich dożywotnie zniewolenie albo coś gorszego.

Kiedy pchnął drzwi do stajni, poczuł, że jakaś drobina w nim się uspokaja. Zapach siana, ruch zwierząt w boksach, ciche rżenie koni przywoływały wspomnienia z Nowoziemia. W Ketterdamie kanały sprawiały, że większość powozów i wozów była niepotrzebna. Konie stanowiły luksus, fanaberię

pokazującą, że ma się miejsce, żeby je trzymać, i pieniądze, by o nie zadbać. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo brakowało mu zwykłej obecności zwierząt.

Nie było jednak czasu na nostalgię ani zatrzymywanie się, żeby pogłaskać aksamitne chrapy. Minał boksy i wszedł do pomieszczenia z uprzężą. Matthias zarzucił po potężnym zwoju liny na każde ramię. Wyglądał na zdziwionego, kiedy Jesper też zdołał dźwignąć dwa zwoje.

– Dorastałem na farmie – wyjaśnił Jesper.

– Nie wyglądasz.

– Pewnie, jestem chudy – odparł, kiedy wracali pośpiesznie przez stajnię – ale dzięki temu mniej moknę na deszczu.

– Jak to?

– Mniej kropli we mnie trafia.

– Czy wszyscy współpracownicy Kaza są równie dziwni jak jego ekipa?

– Och, powinieneś poznać resztę Szumowin. Przy nich wyglądamy jak Fjerdanie.

Minęli prysznic i zamiast iść dalej znajomą drogą, skręcili na wąskie schody w dół i w długi ciemny korytarz, który prowadził do piwnicy. Znajdowali się teraz pod głównym więzieniem; wznosiło się nad nimi pięć kondygnacji cel, więźniów i strażników.

Jesper spodziewał się, że reszta zespołu już zbiera w pralni wszystko, co nada się na materiał wybuchowy. Zobaczył jednak tylko ogromne cynowe balie, długie stoły do składania rzeczy, i ubrania pozostawione na noc do wysuszenia na wieszakach wyższych od niego.

Zastali Wylana i Inej w spalarni. Pomieszczenie było mniejsze niż pralnia i cuchnęło śmieciami. Dwa wielkie kubły z ubraniami zepchnięto pod ścianę, gdzie czekały na spalenie. Jesper poczuł żar bijący od pieca, kiedy tylko wszedł do spalarni.

– Mamy problem – powiedział Wylan.

– Jak poważny? – zapytał Jesper, zrzucając zwoje lin na podłogę.

Inej wskazała parę wielkich metalowych drzwi w czymś, co wyglądało jak ogromny komin wystający ze ściany i sięgający sufitu.

- Chyba używali pieca po południu.
- Mówiłeś, że palą tylko rano – powiedział do Matthiasa.
- Tak było.

Kiedy Jesper chwycił za pokryte skórą rygle drzwi i je otworzył, buchnęło mu w twarz piekące powietrze. Niosło ze sobą smolisty, gryzący zapach węgla i czegoś jeszcze, czegoś chemicznego, co może dodawano do ognia, żeby osiągał wyższą temperaturę. To nie było nieprzyjemne. Pozbywano się tutaj wszelkich odpadów z więzienia: resztek kuchennych, wiader nieczystości, ubrań zdartych z więźniów – ale cokolwiek Fjerdanie dodawali do ognia, płonęło wystarczająco mocno, żeby wypalić wszelki smród. Zajrzał do środka i od razu zaczął się pocić. Daleko w dole widział węgielki zgarnięte na stos, ale nadal pulsujące wściekłym czerwonym blaskiem.

- Wylan, daj mi koszulę z kosza – poprosił.

Oderwał jeden rękaw i wrzucił do szybu. Rękaw spadł bezgłośnie i zapalił się w locie. Spłonął, nie zostawiając żadnych resztek, zanim dotarł do węgielków.

Jesper zamknął drzwi i wrzucił resztki koszuli do kubła.

– Materiały wybuchowe odpadają – orzekł. – Nie możemy wnieść tam niczego takiego. Dasz radę się wspiąć? – zapytał Inej.

– Może. Nie wiem.

– A co na to Kaz? Gdzie w ogóle jest Kaz? I gdzie jest Nina?

– Kaz nie wie jeszcze o piecu – odpowiedziała Inej. – Poszedł z Niną przeszukać cele na najwyższym piętrze.

Matthias jeszcze bardziej się nachmurzył, jak burzowe niebo gotowe lunąć deszczem.

– To my z Jesperem mieliśmy iść z Niną.

– Kaz nie chciał czekać.

– Przyszliśmy na czas – odparł z gniewem Matthias. – Co on kombinuje?

Jesper też zadawał sobie to pytanie.

– Zamierza kuśtykać po tych schodach w tę i z powrotem, kryjąc się przed patrolami?

– Możliwe, że wspomniałam mu o tym – powiedziała Inej. – Zawsze zaskakuje, zapomniałeś?

– Jak rój pszczoł. Naprawdę mam nadzieję, że nie zostaniemy zaraz pożądleni.

– Inej! – zawołał Wylan znad jednego z kubłów. – Tu są nasze ubrania.

Sięgnął do środka i wyciągnął po kolei oba jej drobne skórzane pantofle.

Na twarz Inej wypłynął olśniewający uśmiech. Wreszcie odrobina szczęścia! Kaz nie miał swojej laski. Jesper nie miał rewolwerów. A Inej nie miała noży. Ale przynajmniej odzyskała magiczne pantofelki.

– Co na to powiesz, Zjawo? Dasz radę się wspiąć?

– Dam.

Jesper wziął buty od Wylana.

– Gdybym się nie bał, że aż się roi na nich od choróbsk, to ucałowałbym i je, i ciebie.



Nina wspinała się za Kazem po stopniach. Jedne strome kamienne schody za drugimi, przy migoczącym świetle gazowym. Obserwowała go uważnie. Trzymał niezłe tempo, ale poruszał się sztywno. Dlaczego uparł się, żeby samemu iść po schodach? Nie mogło chodzić o czas, więc może od początku miał taki zamiar. Może zamierzał zataić część informacji przed Matthiasem. A może postanowił sobie, że będzie trzymał ich wszystkich w niepewności.

Zatrzymywali się na każdym podejściu i nasłuchiwali, czy nie nadchodzi patrol. Więzienie rozbrzmiewało różnymi dźwiękami i trudno było nie podskakiwać przy każdym – głosy nadlatywały klatką schodową, drzwi pobrzękiwały metalicznie przy otwieraniu i zamykaniu. Nina pomyślała o burzliwym chaosie Wrót Piekieł, łapówkach przechodzących z rąk do rąk, krwi plamiącej piasek – zupełnie inny świat niż to sterylne miejsce. Można było zaufać Fjerdanom, że utrzymają u siebie porządek.

Kiedy wchodzili czwartym biegiem schodów, nagle głosy i kroki rozbrzmiały w klatce schodowej. Nina i Kaz pośpiesznie cofnęli się na drugie piętro i wślizgnęli przez drzwi, które

prowadziły do cel. Więzień w celi najbliższej nich zaczął krzyczeć. Nina szybko uniosła rękę i zacisnęła mu tchawicę. Spojrzał na nią, wybałuszając oczy i drapiąc szyję. Spowolniła mu puls i pozbawiła go przytomności, jednocześnie zmniejszając nacisk na krtań, żeby mógł oddychać. Chcieli go uciszyć, nie zabić.

Hałasy narastały, kiedy strażnicy schodzili schodami, głośny fjerdański odbijał się echem od ścian. Nina wstrzymała oddech. Obserwowała drzwi z rękami w pogotowiu. Kaz nie miał żadnej broni, ale stanął w gotowości do walki i czekał, czy drzwi się otworzą. Strażnicy jednak minęli je i zeszli na następne piętro.

Kiedy hałasy ucichły, Kaz dał jej znać i wymknęli się za drzwi, zamykając je za sobą jak najciszej, i znowu zaczęli się wspinać.

Wybiła siódma, kiedy dotarli na ostatnie piętro. Minęła godzina, odkąd uspili więźniów w areszcie. Mieli czterdzieści pięć minut na przeszukanie najpilniej strzeżonych cel, spotkanie na schodach i zejście do piwnicy. Kaz dał Ninie znać, żeby poszła na lewo, a sam skręcił w prawo.

Drzwi głośno zaskrzypiały, gdy Nina weszła do środka. Latarnie rozmieszczono tu w sporych odległościach, a cienie między nimi wyglądały jak głębokie jamy. Powiedziała sobie, że powinna się cieszyć z osłony mroku, ale nie mogła zaprzeczyć, że wyglądało to upiornie. Cele też wyglądały tu inaczej, metalowe drzwi były lite, nie z prętów. W każdych na wysokości oczu znajdowała się kratka – to znaczy na poziomie oczu Fjerdan; Nina była wysoka, ale i tak musiała stawać na palcach, żeby zajrzeć do środka.

Większość więźniów spała albo odpoczywała zwinięta w kącie lub na plecach z rękami na oczach, żeby osłonić się przed słabym światłem latarni wpadającym przez kratkę. Inni siedzieli pod ścianami i wpatrywali się apatycznie w pustkę. Czasem natrafiała na kogoś, kto krążył po celi, a wtedy musiała się szybko cofać. Żaden z nich nie był Shu.

– *Ajor?! –* zawołał za nią jakiś więzień po fjerdańsku.

Zignorowała go i poszła dalej z bijącym sercem.

A jeśli Bo Yul-Bayur naprawdę znajduje się w jednej z tych cel?

Wiedziała, że to mało prawdopodobne, ale... Mogłaby go zabić w celi, pograżyć go w głębokim bezbolesnym śnie i zwyczajnie zatrzymać mu serce. Powiedziałyby Kazowi, że go nie znalazła. A jeśli to Kaz znajdzie Bo Yul-Bayura? Będzie musiała poczekać, aż opuszczą Lodowy Dwór, żeby znaleźć rozwiązanie, ale wtedy mogłaby przynajmniej liczyć na pomoc Matthiasa. Jakąż dziwną, ponurą umowę zawarli!

Kiedy jednak przemierzała korytarze, płomycek nadziei, że naukowiec może znajdować się tutaj, całkiem zgasł. Jeszcze jeden rząd cel, pomyślała, a potem wracamy do piwnicy z pustymi rękami. Ale wszedłszy do korytarza, zobaczyła, że jest krótszy od pozostałych. Tam, gdzie powinny znajdować się kolejne cele, widniały stalowe drzwi, a spod nich sączyło się jasne światło.

Ogarnął ją niepokój, zmusiła się jednak do ich otwarcia. Musiała zmrużyć oczy oślepią jasnością. Światło było jaskrawe, jasne jak dzień, ale pozbawione ciepła i nie mogła zlokalizować jego źródła. Usłyszała, jak drzwi zamykają się za nią, żeby odciąć ją od świata. Obróciła się i w ostatniej chwili złapała je. Coś jej mówiło, że z tej strony trzeba mieć klucz, żeby je otworzyć. Rozejrzała się, czym mogłaby je podeprzeć, ale w końcu musiała oderwać kawałek nogawki spodni więziennych i zablokować nim zamek.

To miejsce było upiorne. Ściany, podłogi i sufit były tak białe, że trudno było na nie patrzeć. Połowę jednej ściany wykonano z gładkiego, idealnego szkła. Robota fabrykatora. Tak jak szklana ściana wokół ohydnej wystawy broni. Żaden fjerdański rzemieślnik nie wykonałby tak nieskazitelnej powierzchni. Wykorzystano moc griszów, żeby stworzyć to szkło, była tego pewna. Istnieli niezależni griszowie, którzy nie służyli żadnemu krajowi i którzy mogliby rozważyć pracę dla fjerdańskiego rządu. Tylko czy przetrwaliby takie zlecenie? Niewolnicza praca była bardziej prawdopodobna.

Nina zrobiła jeden krok, potem drugi. Obejrzała się przez ramię. Jeśli strażnik wejdzie do korytarza za nią, nie będzie miała

gdzie się schować. Więc ruchy, Nino!

Zerknęła przez pierwsze okno. Cela była tak samo biała jak korytarz i oświetlona tym samym jaskrawym światłem. I pusta, pozbawiona wszelkiego umeblowania – żadnej ławki, umywalki, wiadra. Jedynym przerywnikiem w bieli był odpływ pośrodku podłogi, otoczony czerwonymi zaciekami.

Podeszła do następnej celi. Wyglądała identycznie jak pierwsza i też była pusta. Podobnie jak następna i kolejna. Jednak tutaj coś przyciągnęło jej wzrok, moneta leżąca obok odpływu... Nie, nie moneta, ale guzik. Małeńki srebrny guzik z wizerunkiem skrzydła, symbol szkwalnika. Dreszcz przeszedł jej po rękach. Czy te cele stworzyli zniewoleni griszowie dla więzionych griszów? Czy szkło, ściany i podłogi przygotowano tak, żeby oparły się manipulacjom fabrykatora? W celach nie było metalu. Nie było żadnych rur, instalacji wodnej, którą mógłby wykorzystać akwatyk. Nina podejrzewała też, że szkło, przez które patrzy, od środka wygląda jak lustro, więc uwięziony ciałobójca nie namierzyłby celu. Te pomieszczenia zaprojektowano z myślą o griszach. Z myślą o niej.

Obróciła się na pięcie. Bo Yul-Bayura tu nie było, a ona chciała natychmiast opuścić to miejsce. Wyrwała szmatkę z zamka i wypadła za drzwi. Nie sprawdzała nawet, czy zatrzasnęły się za nią. Korytarz z żelaznymi celami wydawał się jeszcze ciemniejszy po blasku poprzedniego. Potykała się, kiedy biegiem wracała tam, skąd przyszła. Wiedziała, że jest nieostrożna, ale nie mogła usunąć z głowy obrazu białych pokoi. Odpływ, pomyślała. Plamy wokół niego. Czy torturowano tam griszę? Zmuszano do wyznania zbrodni przeciwko ludziom?

Studiowała Fjerdan – ich przywódców, język. Marzyła nawet, że wkroczy do Lodowego Dworu jako szpieg, właśnie tak jak teraz, że uderzy w serce narodu, który tak bardzo jej nienawidził – a kiedy się tu znalazła, chciała stąd odejść. Przywykła do Ketterdamu, przygód, jakie wiązały się z pracą dla Szumowin, z łatwym życiem w Białej Róży. Ale czy czuła się tam bezpieczna? W mieście, gdzie nie mogła bez lęku chodzić po ulicach?

Chcę wracać do domu.

Tęsknota uderzyła w nią jak przenikliwy fizyczny ból.

Chcę wrócić do Ravki.

Stary Zegar zaczął cicho wygrywać trzeci kwadrans. Zamarudziła. Mimo to zmusiła się do zwolnienia kroku, zanim otworzyła drzwi na schody. Nikogo tam nie było, nawet Kaza. Zajrzała w korytarz prowadzący w drugim kierunku, żeby sprawdzić, czy nie nadchodzi. Nic, tylko żelazne drzwi, głębokie cienie, ani śladu Kaza.

Czekała, nie bardzo wiedząc, co robić. Mieli się spotkać na schodach kwadrans przed pełną godziną. Wpakował się w kłopoty? Zawahała się, a potem skoczyła w korytarz, który Kaz miał sprawdzić. Przebiegła wzdłuż cel, ale nigdzie nie było śladu Brekkera.

Dość tego, pomyślała, gdy dotarła do końca drugiego korytarza. Albo Kaz zostawił ją i już był na dole z pozostałymi, albo złapano go i zawleczono gdzie indziej. Tak czy inaczej, musiała dotrzeć do spalarni. Kiedy znajdzie pozostałych, postanowią co dalej.

Popędziła z powrotem korytarzami i otworzyła gwałtownie drzwi na schody. Dwóch strażników gawędziło sobie na podeście. Przez chwilę tylko patrzyli na nią z rozdziawionymi ustami.

– *Sten!* – krzyknął jeden po fjerdańsku, rozkazując jej, by się zatrzymała.

Strażnicy sięgali po omacku po broń. Nina wyprostowała rękę, zaciskając pięści, i patrzyła, jak obaj przewracają się na plecy. Jeden padł na podest, a drugi sturlał się po schodach. Karabin wystrzelił, kule zadzwoniły o kamienne ściany, hałas rozległ się echem w klatce schodowej. Kaz ją zabije. A ona Kaza.

Przebiegła obok ciał strażników jednym ciągiem schodów, potem następnym. Na drugim piętrze drzwi się otworzyły i strażnik wybiegł na schody. Nina wykręciła rękę w powietrzu i kark strażnika pękł z głośnym trzaskiem. Pokonała kolejny ciąg schodów, zanim ciało uderzyło o ziemię.

I wtedy Stary Zegar zaczął dzwonić. Jednakże nie wybił miarowo kolejnej godziny. Rozległ się przenikliwy hałas, wysoki i urywany – sygnał alarmu.



Inej spojrzała w ciemność w górze. Wysoko nad nią unosił się mały szary kawałek wieczornego nieba. Sześć kondygnacji do pokonania z rękami śliskimi od potu i piekielnymi ogniami płonącymi w dole, z ciężącą jej liną i bez nikogo, kto by ją złapał. Wspinaj się, Inej.

Nagie dłonie są najlepsze do wspinaczki, ale ściany komina były za gorące, żeby mogła sobie na to pozwolić. Dlatego Wylan i Jesper pomogli jej wygrzebać z kubłów na pranie rękawiczki Kaza. Zawahała się. Kaz powiedziałaby, żeby je włożyła, żeby robiła wszystko, co potrzebne do wykonania zadania. A jednak czuła dziwne wyrzuty sumienia, kiedy wsuwała miękką czarną skórę na dłonie, jakby bez pozwolenia zakradła się do jego pokoju, czytała jego listy, kładła się na jego łóżku. Rękawiczki nie miały podszewki, a na czubkach palców zrobiono cieniuteńkie rozcięcia. Dla sztuczek wymagających zręczności, zdała sobie sprawę, żeby miał kontakt z monetami, kartami czy skomplikowanym mechanizmem zamka. Dotyk bez dotyku.

Nie miała czasu, żeby przyzwycząić się do trochę za dużych rękawiczek. Poza tym mnóstwo razy wspiniała się w rękawiczkach, kiedy zimą w Ketterdamie ręce jej grabiały.

Poruszyła palcami w drobnych skórzanych pantofelkach, rozkoszując się znajomym dotykiem na stopach. Podskakiwała na szorstkich gumowych podszewkach, nieulekła i ochocza. Żar to nic takiego, drobna niewygoda. Waga siedemdziesięciu stóp liny na ciele? Jest Zjawą. Znosiła gorsze rzeczy. Zaczęła się wspinać kominem z niezachwianą pewnością siebie.

Kiedy dotknęła palcami kamienia, aż syknęła. Nawet przez rękawiczki czuła intensywny żar bijący od cegieł. Bez nich wyskoczyłyby już jej na dłoniach bąble. Nie miała jednak wyjścia, musiała się czegoś chwycić. Wspinała się, najpierw ręka, potem stopa, znowu ręka w poszukiwaniu kolejnej wąskiej szczeliny, zagłębienia w śliskich od sadzy ścianach.

Pot spływał jej po plecach. Oblali linę i jej ubrania wodą, ale to nie na wiele się zdało. Całe ciało miała zaczerwienione, napęczniałe od krwi, jakby powoli gotowała się we własnej skórze.

Stopy pulsowały jej od żaru. Wydawały się ciężkie, niezręczne, jakby należały do kogoś innego. Próbowwała się skupić. Ufała swojemu ciału. Znała swoje możliwości, wiedziała, na co ją dokładnie stać. Znów wyciągnęła rękę, zmusiła pozostałe członki do współpracy, szukała rytmu, ale znajdowała tylko niezgrabną synkopę, od której mięśnie jej drżały przy każdym podciągnięciu się w górę. Poszukała kolejnego chwytu, zagłębiając palce w ścianę. Wspinaj się, Inej.

Stopa jej się ześlizgnęła. Palce straciły kontakt ze ścianą i żołądek zacisnął się w supeł, gdy poczuła ciągnący ją w dół ciężar liny. Złapała się kamienia, wbiła palce w szczeliny, rękawiczki Kaza zmarszczyły się wokół wilgotnych palców. Znowu znalazła oparcie palcami stopy, ale zaraz ponownie ześlizgnęły się z cegieł. Wtedy zsunęła się także druga stopa. Inej wciągnęła haust palącego powietrza. Coś było nie tak. Odważyła się zerknąć w dół. Daleko w dole widziała czerwoną poświatę węgielków, ale dopiero to, co zobaczyła na stopach, zmusiło jej serce do panicznego galopu. Gumowata paćka. Podeszwy jej butów, jej idealnych, ukochanych butów, zaczęły się topić.

Nie szkodzi, powiedziała sobie. Zmień tylko chwyt. Przenieś ciężar na ramiona. Guma schłodzi się, kiedy wespiesz się wyżej. Pomoże ci znaleźć oparcie.

Niestety miała wrażenie, że stopy jej płoną. Widok tego, co się dzieje, jakoś pogorszył sytuację, jakby guma teraz stapała się z ciałem.

Inej zamrugwała, żeby pozbyć się potu spływającego do oczu, i podciągnęła się jeszcze kilka cali.

Z góry napłynął do niej dźwięk Starego Zegara. Dwa kwadransy? Trzy? Musiała przyśpieszyć. Powinna być już na dachu i mocować linę.

Podciągnęła się wyżej i stopa ześlizgnęła się po cegle. Opadła, uderzając całym ciałem o ścianę i rozpaczliwie szukając chwytu. Nikt jej nie ocali. Nie przybędzie jej na ratunek żaden Kaz, żadna siatka nie czeka, żeby powstrzymać jej upadek, tylko ogień gotowy ją pożreć.

Inej odchyliła głowę, szukając skrawka nieba. Nadal znajdował się niemożliwie wysoko. Ile jeszcze? Dwadzieścia stóp? Trzydzieści? Równie dobrze to mogło być kilka mil. Umrze tutaj powolną, straszliwą śmiercią na węglach. Wszyscy tu umrą – Kaz, Nina, Jesper, Matthias i Wylan. I to będzie jej wina.

Nie. Nie jej.

Podciągnęła się o kolejną stopę – to Kaz ich tu ściągnął – i jeszcze jedną. Zmusiła się do znalezienia chwytu. Kaz i jego chciwość. Nie czuła się winna. Nie było jej przykro. Była wściekła. Wściekła na Kaza, który pokusił się o niewykonalne zadanie, zła, bo zgodziła się wziąć w tym udział.

A dlaczego się zgodziła? Żeby spłacić dług? Czy dlatego, że wbrew rozsądkowi i najlepszym intencjom poczuła coś do łajdaka z Baryłki?



Kiedy Inej weszła do salonu Tante Heleen tamtego wieczoru,

dawno temu, Kaz Brekker już czekał, ubrany w najciemniejsze szarości i oparty na lasce z wronią główką. Cały salon urządzone w złocie i pawim błękicie, a jedna ściana była kompletnie pokryta pawimi piórami. Inej nienawidziła każdego cała Menażerii – bawialni, gdzie ona i inne dziewczęta były zmuszone gruchać i trzepotać rzęsami do klientów, swojej sypialni, którą urządzone jak nedorzeczną wersję sulijskiego wozu, przystrojono fioletowym jedwabiem i okadzono kadzidłem – ale salon Tante Heleen był najgorszy. To było miejsce bicia, miejsce wybuchów najgorszej wściekłości Heleen.

Inej próbowała uciec zaraz po przybyciu do Ketterdamu. Oddaliła się dwie przecznice od Menażerii, oszołomiona światłami i chaosem Zachodniej Klepki, biegnąc niemal na oślep, zanim Cobbet zacisnął mięsistą łapę na jej karku i zaciągnął ją z powrotem. Heleen zabrała ją do swojego salonu i zabiła tak, że Inej nie mogła pracować przez tydzień. Przez kolejny miesiąc Heleen trzymała ją w złotych łańcuchach i nawet nie pozwalała jej zejść do bawialni. Kiedy w końcu je rozpięła, powiedziała:

– Jesteś mi winna miesięczne zarobki. Spróbuj jeszcze raz ucieczki, a wrzucę cię do Wrót Piekieł za złamanie kontraktu.

Tamtej nocy weszła do salonu z lękiem, a kiedy zobaczyła Kaza Brekkera, jej strach tylko się zwiększył. Brudnoręki pewnie powiedział o niej. Doniósł Tante Heleen, że Inej odezwała się w sposób niestosowny, że próbowała narobić kłopotów.

Jednakże Heleen rozparła się w jedwabnym fotelu i powiedziała:

– Wygląda na to, że teraz będziesz cudzym kłopotem. Najwyraźniej Per Haskell zasmakował w sulijskich dziewczętach. Wykupił twój kontrakt za całkiem zgrabną sumkę.

Inej przełknęła ślinę.

– Przenoszę się do innego domu?

Heleen machnęła ręką.

– Haskell rzeczywiście ma dom rozkoszy, jeśli można tak to nazwać, gdzieś w dolnej części Baryłki, ale tam tylko

zmarnowałyby się pieniądze wydane na ciebie, chociaż z pewnością przekonałabyś się, jaka dobra była dla ciebie Tante Heleen. Nie, Haskell chce cię dla siebie.

Kto to jest Per Haskell?

„Czy to ważne?” – odezwał się cichy głosik w jej głowie. „To mężczyzna, który kupuje kobiety. Tylko tyle musisz wiedzieć”.

Niepokój Inej musiał być oczywisty, bo Tante Heleen zaśmiała się lekko.

– Nie martw się. Jest stary, obrzydliwie stary, ale robi wrażenie względnie niegroźnego. Oczywiście nigdy nic nie wiadomo. – Uniosła ramię. – Może podzieli się tobą ze swoim chłopcem na posyłki, panem Brekkerem.

Kaz przeniósł na Tante Heleen spojrzenie zimnych oczu.

– Skończyliśmy?

Inej pierwszy raz go usłyszała i była zaskoczona chropowatością jego głosu.

Heleen pociągnęła nosem, poprawiając dekolt lśniącej niebieskiej sukni.

– W rzeczy samej, pętaku.

Podgrzała słupek niebieskozielonego laku i przyłożyła pieczęć do dokumentu przed sobą. Potem wstała, obejrzała swoje odbicie w lustrze, które wisiało nad kominkiem. Inej patrzyła, jak Heleen poprawia brylantowy kanak. Klejnoty zabłyśły jasno. Mimo pomieszania w głowie Inej pomyślała, że wyglądają jak skradzione gwiazdy.

– Do widzenia, koteczko – powiedziała Tante Heleen. – Wątpię, żebyś przetrwała dłużej niż miesiąc w tamtej części Baryłki. – Zerknęła na Kaza. – Nie zdziw się, jeśli ucieknie. Jest szybsza niż na to wygląda. Może Perowi Haskellowi spodoba się i to. Sami traficie do drzwi.

Wyszła z salonu w obłoku jedwabiu i miodowych perfum, zostawiając za sobą oszołomioną Inej.

Powoli Kaz przeszedł przez pokój do drzwi. Inej zamarła, myśląc o tym, co teraz ją czeka, i zacisnęła palce na swoich jedwabiach.

– Per Haskell kieruje Szumowinami – powiedział Kaz. – Słyszałaś o nas?

– To twój gang.

– Tak, a Haskell to mój szef. Twój też, jeśli zechcesz.

Zebrała się na odwagę i powiedziała:

– A jeśli nie zechcę?

– To wycofam ofertę i wrócę do domu jako skończony głupiec, a ty zostaniesz tutaj z tym potworem, Heleen.

Inej zasłoniła usta ręką.

– Ona słucha – szepnęła przerażona.

– Niech słucha. W Baryłce żyją wszelkiej maści potwory, a niektóre są naprawdę bardzo piękne. Płacę Heleen za informacje. Właściwie to płacę jej za dużo za informacje. Jednak dobrze wiem, czym jest. Poprosiłem Pera Haskella, żeby zapłacił za twój kontrakt. Wiesz dlaczego?

– Bo lubisz Sulijki?

– Nie znam dość Sulijek, żeby tak powiedzieć. – Podeszedł do biurka, wziął dokument i schował do kieszeni płaszcza. – Wczoraj wieczorem, kiedy odezwałaś się do mnie...

– Nie chciałam cię obrazić, tylko...

– Chciałaś mi zaoferować informację. Może w zamian za pomoc? List do rodziców? Dodatkową zapłatę?

Inej się skrzywiła. Właśnie tego chciała. Podsłuchiwała plotkę na temat handlu jedwabiem i pomyślała, że wymieni ją na coś. To było głupie, bezczelne.

– Inej Ghafa to twoje prawdziwe nazwisko?

Dziwny dźwięk wyrwał się Inej z gardła, po części szloch, po części śmiech – słaby, żenujący odgłos, ale minęły miesiące, odkąd słyszała własne imię, własne nazwisko.

– Tak – wykrztusiła.

– Chcesz, żeby tak cię nazywano?

– Oczywiście – odpowiedziała, a potem dodała: – Kaz Brekker to twoje prawdziwe nazwisko?

– Dostatecznie. Wczoraj wieczorem, kiedy mnie zagadnęłaś, nie wiedziałem, że się do mnie zbliżyłaś, dopóki się nie

odezwałaś.

Inej zmarszczyła brwi. Chciała być dyskretna, więc była. To miało znaczenie?

– Masz dzwonki na kostkach – powiedział Kaz, wskazując jej kostium – a mimo to nie słyszałem cię. Fioletowe jedwabie i kropki wymalowane na ramionach, a ja cię nie zauważyłem. A ja widzę wszystko.

Wzruszyła ramionami i przechyliła głowę.

– Uczyłaś się na tancerkę?

– Akrobatkę. – Zamilkła. – Cała moja rodzina była akrobatami.

– Chodzenie po linie?

– I trapez. Żonglerka. Gimnastyka.

– Pracowałaś z siatką?

– Tylko kiedy byłam mała.

– Świetnie. W Ketterdamie nie ma żadnych siatek. Walczyłaś kiedyś?

Pokręciła głową.

– Zabiłaś kogoś?

Wytrzeszczyła oczy.

– Nie.

– A myślałaś o tym kiedyś?

Zamilkła i skrzyżowała ręce na piersi.

– Co noc.

– To już jakiś początek.

– Tak naprawdę to nie chcę zabijać ludzi.

– To dobre podejście, dopóki ktoś nie próbuje zabić ciebie.

A w naszym fachu to bardzo często się zdarza.

– W naszym fachu?

– Chcę, żebyś wstąpiła do Szumowin.

– I co robiła?

– Zdobywała informacje. Potrzebuję pająka, który będzie wspinał się na mury domów i biur w Ketterdamie, słuchał przy oknach i na okapach. Potrzebuję kogoś, kto potrafi być niewidzialny, kto stanie się duchem. Myślisz, że dasz radę?

Już jestem duchem, pomyślała. Umarłam w ładowni statku

niewolniczego.

– Myślę, że tak.

– To miasto jest pełne bogatych mężczyzn i kobiet. Poznasz ich nawyki, rozkład dnia, brzydkie rzeczy, które robią nocami, przestępstwa, które próbują ukryć za dnia, rozmiar ich butów, szyfry do sejfów, dowiesz się nawet, jaką zabawkę najbardziej lubili w dzieciństwie. Zamierzam wykorzystać te informacje, żeby odebrać im pieniądze.

– A co będzie, kiedy odbierzesz im pieniądze i staniesz się bogatym człowiekiem?

Usta Kaza drgnęły lekko.

– Wtedy będziesz mogła wykraść i moje sekrety.

– Po to mnie kupiłeś?

Humor zniknął z jego twarzy.

– Per Haskell nie kupił cię. Zapłacił za kontrakt. To znaczy, że jesteś mu winna pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. Ale to prawdziwy kontrakt. Proszę – powiedział, wyjmując zza pazuchy dokument od Heleen – chcę, żebyś coś zobaczyła.

– Nie czytam po kercheńsku.

– To nie ma znaczenia. Widzisz te liczby? To suma, jaką według Heleen pożyczyłaś od niej, żeby zapłacić za transport z Ravki. To pieniądze, jakie u niej zarobiłaś. A tyle nadal jesteś jej winna.

– Ale... To niemożliwe. To więcej, niż kiedy tu się zjawiłam.

– Zgadza się. Potrąca ci opłaty za pokój, wyżywienie, stroje.

– Ona mnie kupiła – odpowiedziała Inej, wbrew sobie unosząc się gniewem. – Nie potrafiłam nawet przeczytać tego, co podpisuję.

– Niewolnictwo jest nielegalne w Kerchu. Kontrakty nie. Wiem, że ten kontrakt to hańba, i rozumny sędzia też by tak uznał. Niestety Heleen ma wielu rozumnych sędziów w swojej kieszeni. Per Haskell proponuje ci pożyczkę, ni mniej, ni więcej. Twój kontrakt zostanie spisany po ravkańsku. Będziesz płacić odsetki, ale to cię nie zrujnuje. Dopóki będziesz spłacać mu określony procent miesięcznie, będziesz miała swobodę

poruszania się.

Inej pokręciła głową. To wszystko brzmiało niewiarygodnie.

– Inej, pozwól, że wyrażę się bardzo jasno. Jeśli zerwiesz kontrakt, Haskell wyśle za tobą ludzi, przy których Tante Heleen wyda się czuła jak babcia. A ja go nie powstrzymam. Nadstawiam karku dla tej umowy. A to nieszczególnie mnie cieszy.

– Jeśli to prawda – powiedziała powoli Inej – to mogę odmówić.

– Oczywiście. Ale jesteś w oczywisty sposób niebezpieczna, a ja wolałbym, żebyś nigdy nie była niebezpieczna dla mnie.

Niebezpieczna. Chciała to słowo przycisnąć do siebie. Była przekonana, że ten chłopak jest obłąkany albo całkowicie dał się zwieść pozorom, ale podobało jej się to słowo i, o ile się nie myliła, zaproponowano jej odejście z Menażerii jeszcze tego samego wieczoru.

– To nie jest... To nie jest żadna sztuczka, co?

Powiedziała to cieńszym głosem, niżby chciała.

Coś mrocznego przebiegło po twarzy Kaza.

– Gdyby to była sztuczka, obiecałbym ci bezpieczeństwo. Zaproponowałbym ci szczęście. Nie wiem, czy coś takiego istnieje w Baryłce, ale niczego takiego nie zaznasz przy mnie.

Z jakiegoś powodu te słowa ją pocieszyły. Lepsza straszna prawda niż miłe kłamstwa.

– W porządku – powiedziała. – Od czego zaczniemy?

– Zacznijmy od tego, że zabiorę cię stąd i znajdę ci jakieś porządne ubranie. Och, i jeszcze jedno, Inej – powiedział, wypuszczając ją z salonu – nigdy więcej nie podkradaj się do mnie.



Prawda była taka, że wiele razy próbowała podkraść się do Kaza. Nigdy jej się nie udało. Tak jakby, kiedy już raz ją zobaczył,

zrozumiał, co ma robić, żeby zawsze ją widzieć.

Tamtej nocy zaufała Kazowi Brekkerowi. Stała się niebezpieczną dziewczyną, którą w niej wyczuł. Jednak popełniła błąd, bo ufała mu nadal albo raczej uwierzyła w legendę, jaką zbudował wokół siebie. Mit doprowadził ją tutaj, do tej skwarnej ciemności, gdzie balansowała na granicy życia i śmierci jak ostatni liść czepiający się jesiennej gałęzi. Ostatecznie Kaz Brekker był tylko chłopcem, a ona pozwoliła mu zdecydować o jej losie.

Nie mogła go nawet o to winić. Sama się na to zgodziła, bo nie wiedziała, dokąd chce się udać. „Serce to strzała”. Cztery miliony *kruge*, wolność, szansa powrotu do domu. Powiedziała, że chce tego wszystkiego. Jednak w głębi serca nie mogła znieść myśli o powrocie do rodziców. Czy mogłaby wyznać prawdę matce i ojcu? Czy zrozumieliby, że zrobiła to wszystko, żeby przetrwać, nie tylko w Menażerii, ale i każdego dnia później? Czy mogłaby położyć głowę na kolanach matki i uzyskać wybaczenie? Co zobaczyliby, gdyby na nią spojrzeli?

Wspinaj się, Inej. Dokąd jednak miała się udać? Jakie życie czekało ją po tym wszystkim, co wycierpiała? Plecy ją bolały. Ręce jej krwawiły. Mięśnie nóg drżały, skóra chciała odejść od ciała. Każdy haust czarnego powietrza przypiekał jej płuca. Nie mogła głębiej odetchnąć. Nie mogła nawet skupić wzroku na szarym skrawku nieba. Pot spływał jej z czoła i szczypał w oczy. Jeśli się podda, podda się za nich wszystkich – za Jespera, Wylana, Ninę i jej Fjerdanina, za Kaza. Nie mogła tego zrobić.

„To już nie zależy od ciebie, koteczko”, zagruchał głos Tante Heleen w jej głowie. „Jak długo czepiałaś się pustki?”

Żar pieca spowił Inej jak żywe stworzenie, jak pustynny smok w norze, ukrywający się przed lodem i czekający na nią. Znała ograniczenia własnego ciała i wiedziała, że więcej z siebie już nie da. Źle obstawiła. Po prostu. Jesienny listek może się czepiać gałęzi, ale jest już martwy. Pytanie tylko, kiedy spadnie.

Puść, Inej. Ojciec nauczył ją wspinaczki, nauczył, jak zaufać linie, trapezowi, a w końcu własnym umiejętnościom, jak

uwierzyć, że jeśli skoczy, to dosięgnie drugiej strony. Czy będzie czekał tam na nią? Pomyślała o swoich nożach ukrytych na pokładzie *Ferolinda* – może trafią do innej dziewczyny, która marzy o byciu niebezpieczną. Wyszepiała ich imiona: Petyr, Marya, Anastasia, Vladimir, Lizabeta, Sankta Alina, która zginęła śmiercią męczeńską przed osiemnastym rokiem życia. Puść, Inej. Powinna skoczyć czy po prostu poczekać, aż jej ciało się podda?

Poczuła wilgoć na policzkach. Płakała? Teraz? Po tym wszystkim, co zrobiła i co jej zrobiono?

Wtedy usłyszała cichy stukot, delikatnie bębnienie, w którym nie było prawdziwego rytmu.

Poczuła go na policzkach i reszcie twarzy. Słyszała syk, kiedy uderzał w węgielki na dole. Deszcz. Chłodny i wybaczący. Inej odchyliła głowę. Usłyszała dzwony wygrywające trzeci kwadrans, ale nie dbała o to. Słuchała tylko muzyki deszczu, kiedy zmywał z niej pot i sadzę, dym węgielny Ketterdamu, makijaż z Menażerii, kiedy oblewał jutowe sploty liny, utwardzał gumę na jej obolałych stopach. Był jak błogosławieństwo, chociaż wiedziała, że Kaz powiedziałby, że to tylko opad atmosferyczny.

Musiała teraz ruszać, szybko, zanim kamienie zrobią się śliskie i deszcz stanie się wrogiem. Zmusiła mięśnie do napięcia, palce do szukania, podciągnęła jedną stopę, potem drugą, raz za razem, pomrukując dziękczynne modlitwy do świętych. Znalazła rytm, który wcześniej jej umykał, ukryty w szeptanej kadencji imion świętych.

Jednakże nawet kiedy dziękowała, wiedziała, że deszcz nie wystarczy. Chciała burzy, chciała grzmotów, wiatru i ulewy. Chciała, żeby nawałnica przewaliła się przez zamtuzy Ketterdamu, zrywając dachy i wyrywając drzwi z zawiasów. Chciała, żeby wzburzyły się morza, pochwyciły wszystkie statki handlarzy niewolników, strzaskały im maszty, zmiażdżyły kadłuby o nielitościwe brzegi. Chcę wywołać tę burzę, pomyślała. A cztery miliony *kruge* mogły do tego wystarczyć.

Dość, żeby kupić statek, coś małego, zawziętego i wyładowanego prochem. Coś podobnego do niej. Polowałyby na handlarzy niewolników i ich klientów. Nauczyliby się jej bać i znalazły ją z imienia.

Serce to strzała. Pragnie trafić w cel.

Przywarła do ściany, ale to celu chwyciła się wreszcie i to ją poniosło w górę.

Nie była kotką, pająkiem ani nawet Zjawą. Była Inej Ghafa, a na górze czekała na nią przyszłość.



Kaz pędził wzdłuż cel na górze, poświęcając ledwie po kilka sekund, żeby zerknąć przez kratkę w każdych drzwiach. Bo Yul-Bayura nie będzie tutaj. A on nie miał dużo czasu.

Po części czuł się wytracony z równowagi. Nie miał laski. Był boso. Nosił obce ubranie, dłonie miał blade i pozbawione rękawiczek. Nie czuł się sobą. Nie, to nie do końca była prawda. Czuł się jak Kaz, którym był przez wiele tygodni po śmierci Jordiego, jak dzikie zwierzę, które walczy o przetrwanie.

Dostrzegł więźnia z Shu Hanu czającego się w głębi jednej z cel.

– *Sesh-uyeh* – szepnął Kaz.

Mężczyzna spojrzał na niego tępo.

– Yul-Bayur?

Nic. Mężczyzna zaczął krzyczeć na niego w języku shu, więc Kaz odbiegł pośpiesznie, mijając pozostałe cele, a potem wymknął się na schody i popędził na następny poziom najszybciej, jak mógł. Wiedział, że zachowuje się lekkomyślnie, egoistycznie, ale czy nie dlatego nazywano go Brudnorękiem? Żadna robota nie była zbyt ryzykowna. Żaden uczynek zbyt podły. Brudnoręki dopilnuje, żeby czarna robota została

wykonana.

Nie był pewien, co nim kieruje. Możliwe, że Pekki Rollinsa tu nie było. Możliwe, że nie żył. Jednak Kaz w to nie wierzył.

Wiedziałbym. Jakimś sposobem wiedziałbym.

– Twoja śmierć należy do mnie – szepnął.



Powrót z Krypy Kostuchy stał się dla Kaza ponownymi narodzinami. Dziecko, którym był, zmarło na ognistą ospę. Gorączka wypaliła w nim wszystko, co delikatne.

Przetrwanie nie było nawet w połowie tak trudne, jak sobie wyobrażał, kiedy już porzucił wszelką przyzwoitość. Pierwsza zasada: znaleźć kogoś mniejszego i słabszego i zabrać mu to, co ma. Jednakże nie było to łatwe zadanie, bo Kaz był naprawdę mały i słaby. Podreptał z portu, trzymając się zaułków, kierując się w okolice, gdzie mieszkali Hertzoonowie. Kiedy dostrzegł cukiernię, poczekał na zewnątrz, a potem napadł na pyzatego uczniaka, który szedł w tyle za kolegami. Kaz go powalił, opróżnił kieszenie i zabrał torebkę z lukrecją.

– Oddaj mi spodnie – powiedział.

– Są za duże na ciebie! – krzyknął chłopiec.

Kaz go pobił. Chłopiec oddał spodnie. Kaz zwinął je w kłębek i wrzucił do kanału, a potem odbiegł tak szybko, jak pozwalały mu słabe nogi. Nie chciał tych spodni. Chciał tylko, żeby chłopak poczekał, nim zacznie wzywać pomoc. Wiedział, że ucniak będzie chował się w zaułku przez długi czas, ważąc wstyd przed wyjściem na ulicę pórnago z potrzebą powrotu do domu i opowiedzeniem, co się stało.

Kaz zatrzymał się, kiedy dotarł do najciemniejszego zaułka, jaki znalazł w Baryłce. Wsadził całą lukrecję naraz do ust, przełykając ją z bólem gardła, i natychmiast zwymiotował. Za ukradzione pieniądze kupił sobie gorącą pszenną bułeczkę. Był bosy i brudny. Piekarz dorzucił mu drugą bułkę, żeby tylko

trzymał się z daleka od piekarni.

Kiedy poczuł się trochę silniejszy, nieco mniej roztrzęsiony, poszedł nad Wschodnią Klepkę. Znalazł najbardziej obskurną szulernię, taką bez szyldu i tylko z jednym naganiaczem.

– Szukam pracy – powiedział przy drzwiach.

– Nie mamy, wyskrobku.

– Dobrze liczę.

Mężczyzna się roześmiał.

– A potrafisz czyścić nocniki?

– Tak.

– To szkoda. Już mamy chłopaka, który czyści nocniki.

Kaz czekał całą noc, aż zobaczył chłopaka w swoim wieku, który wychodził z budynku. Poszedł za nim dwie przecznice, a potem uderzył go kamieniem w głowę. Usiadł mu na nogach, zdjął buty i rozciął podeszwy stóp kawałkiem stłuczonej butelki. Chłopiec dojdzie do siebie, ale nie zacznie szybko pracować. Dotyk nagiej skóry jego kostki napęlił Kaza odrazą. Cały czas widział białe ciała na Krypie Kostuchy, czuł napęczniałą skórę Jordiego pod dłońmi.

Następnego wieczoru wrócił do szulerni.

– Szukam pracy – powiedział.

I dostał ją.

Od tamtej pory pracował, ciułał i oszczędzał. Śledził zawodowych złodziei w Baryłce i nauczył się, jak okradać kieszenie, rozcinać koronki damskich torebek. Odsiedział jeden raz w więzieniu, drugi. Szybko zdobył reputację osoby, która gotowa jest przyjąć każdą robotę, jaką trzeba wykonać, i dorobił się przydomku Brudnoręki. Był niewyszkolony w walce, ale i nieustępliwy.

– Brakuje ci finezji – powiedział mu raz szuler w Srebrnej Podwiązce. – Techniki.

– Pewnie – odparł Kaz. – Uprawiam sztukę naciągania przeciwnikowi koszuli na łeb i walenia, aż zobaczą krew.

Nadal używał imienia Kaz, ale ukradł nazwisko Brekker maszynerii, którą zobaczył w porcie. Rietveld – swoje prawdziwe

nazwisko – porzucił, odciął jak zgniłą kończynę. To było prowincjonalne nazwisko, jego ostatnie więzy z Jordi, ojcem i chłopcem, którym kiedyś był. Nie chciał, żeby Jakob Hertzoorn wiedział, że Kaz nadchodzi.

Dowiedział się, że numer, który wyciął im Hertzoorn, to pospolity przekręt. Kawiarnia i dom przy Zilverstraat były tylko dekoracją, którą wykorzystywano, żeby oskubać głupców z prowincji. Filip z nakręcanymi psiakami był werbownikiem, miał wciągnąć Jordiego, a Margit, Saskia i urzędnicy w biurze handlowym to wspólnicy w przekręcie. Nawet jeden z urzędników bankowych musiał brać w tym udział, przekazując Hertzoornowi informacje o klientach i powiadamiając o nowych przybyszach z prowincji, którzy otwierali konta w banku. Hertzoorn pewnie pracował nad wieloma jeleniami naraz. Mała fortuna Jordiego nie była wystarczająca, żeby usprawiedliwiać takie przedsięwzięcie.

Jednakże najokrutniejszym odkryciem był dar Kaza do kart. Dzięki niemu mogli być z Jordi bogaci. Kiedy uczył się nowej gry, w kilka godzin opanowywał ją po mistrzowsku, a potem nie dało się go pokonać. Pamiętał każde rozdanie, każdy rozkład. Potrafił spamiętać karty do pięciu rozdań wstecz. A jeśli czegoś nie potrafił sobie przypomnieć, to nadrabiał braki oszustwem. Nigdy nie przestał kochać sztuczek wymagających zręczności, a od chowania monet przeszedł do kart, kieliszków, portfeli i zegarków. Dobry magik nie różnił się tak bardzo od prawdziwego złodzieja. Niedługo zakazano mu grania we wszystkich kasynach przy Wschodniej Klepce.

Wszędzie, dokąd poszedł, w każdym barze i noclegowni, w każdym burdelu i norze, pytał o Jakoba Hertzoona, ale jeśli ktokolwiek znał to nazwisko, to nie chciał się do tego przyznać.

Aż pewnego dnia, przechodząc przez most nad Wschodnią Klepką, zobaczył mężczyznę o rumianych policzkach i siwych, nastroszonych bokobrodach, który wchodził do sklepu z alkoholami. Nie nosił już statecznej czerni kupca, ale krzykliwe pasiaste spodnie i wzorzystą bordową kamizelkę. Miał

aksamitny płaszcz w kolorze butelkowej zieleni.

Kaz przepchnął się przez tłum – rozgorączkowany, z bijącym sercem, nie bardzo wiedząc, co zamierza zrobić – ale w drzwiach do sklepu potężny osiłek w meloniku powstrzymał go umięśnioną łapą.

– Sklep jest zamknięty.

– Przecież widzę, że jest otwarty.

Kaz nie poznawał własnego głosu – brzmiał piskliwie, obco.

– Musisz poczekać.

– Muszę zobaczyć się z Jakobem Hertzoorem.

– Z kim?

Kaz miał wrażenie, że zaraz wyskoczy ze skóry. Wskazał przez okno wystawowe.

– Jakobem Hertzoorem, do kurwy nędzy. Chcę z nim pogadać.

Mięśniak spojrzał na Kaza jak na wariata.

– Masz coś z głową, chłopaku? To nie jest żaden Hertzoore. To Pekka Rollins. Jak chcesz się szwendać po Baryłce, to lepiej naucz się tego nazwiska.

Kaz znał to nazwisko. Wszyscy je znali. On po prostu nigdy nie widział Rollinsa.

W tej samej chwili Rollins obrócił się do okna. Kaz czekał na sygnał rozpoznania – uśmiezek, szyderstwo, błysk w oku. Jednak Rollins ominął go wzrokiem. Jeszcze jeden jeleń. Jeszcze jeden odstrzelony. Dlaczego miałby pamiętać?

O Kaza zabiegały wszystkie gangi, którym podobało się to, jak posługuje się pięściami i kartami. Zawsze odmawiał. Zjawił się w Baryłce, żeby znaleźć Hertzoora i go ukarać, a nie, żeby znaleźć prowizoryczną rodzinę. Kiedy jednak dowiedział się, że jego celem jest Pekka Rollins, sytuacja diametralnie się zmieniła. Tamtej nocy leżał na podłodze w norze, w której się zaszył, i myślał o tym, czego chce, co wreszcie pomściłoby Jordiego. Pekka Rollins odebrał mu wszystko. Jeśli Kaz zamierzał odpłacić się tym samym, to musiał stać się kimś mu równym lub nawet lepszym, a tego nie dokona w pojedynkę. Potrzebował gangu, ale nie pierwszego lepszego, lecz takiego, który potrzebuje jego.

Następnego dnia wszedł do Listewki i zapytał Pera Haskella, czy nie potrzebuje żołnierza. Już wtedy wiedział, że zacznie jako trep, ale wkrótce Szumowiny staną się jego armią.



Czy wszystkie te kroki doprowadziły go do tego wieczoru? Do tych ciemnych korytarzy? To nie była zemsta, o jakiej marzył.

Rzędy cel ciągnęły się w nieskończoność. Nie miał szansy znaleźć Rollinsa na czas. Jednak zadanie było niewykonalne tylko do chwili, w której zobaczył tę potężną sylwetkę, tę rumianą twarz przez kratkę w żelaznych drzwiach. Zadanie było niewykonalne, dopóki nie stanął przed celą Pekki Rollinsa.

Mężczyzna leżał na boku i spał. Ktoś spuścił mu solidne lanie. Kaz patrzył, jak jego pierś wznosi się i opada.

Ile razy widział Pekkę od tamtego pierwszego razu w sklepie? Tamten ani razu go nie poznał. Kaz nie był już chłopcem; nie było powodu, dla którego Pekka miałby dostrzec oskubane dziecko w twarzy Brekkera. Jednakże to doprowadzało Kaza do szału za każdym razem, gdy ich ścieżki się przecinały. To było nie w porządku. Twarz Pekki – twarz Hertzoona – pozostała niezatarta w umyśle Kaza, jak wycięta przez wyszczerbione ostrze.

Stanął z boku, odbierając drobny ciężar wytrychów tak, jakby trzymał na dłoni owada. Nie tego chciał? Zobaczyć Pekkę upokorzonego, upodłonego, w żalonym i beznadziejnym położeniu, kiedy najlepsi z jego ludzi wisieli martwi, nabici na piki? Może to mogło wystarczyć. Może wystarczy, żeby Pekka teraz dowiedział się, kim Kaz jest i co dokładnie zrobił. Mógł na własną rękę zainscenizować proces, wydać wyrok i go wykonać.

Stary Zegar zaczął wybijać trzeci kwadrans. Kaz powinien iść. Nie zostało wiele czasu na powrót do piwnicy. Nina będzie na niego czekać. Wszyscy będą czekać.

Jednak on tego potrzebował. Walczył o to. Nie tak to sobie

wyobrażał, ale może to nie miało znaczenia. Gdyby Pekka Rollins został zgładzony przez jakiegoś anonimowego fjerdańskiego kata, to wszystko straciłoby jakikolwiek sens. Kaz zyskałby cztery miliony *kruge*, ale Jordie nigdy nie zostałby pomszczony.

Zamek w drzwiach szybko ustąpił wytrychom.

Pekka otworzył oczy i się uśmiechnął. Wcale nie spał.

– Cześć, Brekker. Przyszedłeś ze mnie szydzić?

– Właściwie to nie – odpowiedział Kaz i drzwi zatrzasnęły się za nim.



CZEŚĆ PIĄTA

LÓD NIE WYBACZA



Godzina ósma

Gdzie się podział Kaz, u diabła?

Jesper przestępował z nogi na nogę przed piecem w spalarni. Stłumiony dźwięk dzwonów wypełniał mu głowę i uniemożliwiał klarowne myślenie. Żółty Protokół? Czerwony? Nie pamiętał, który jest który. Cały ich plan opierał się na założeniu, że alarm nie zostanie ogłoszony.

Inej przymocowała linę do dachu i zrzuciła im ją na dół, żeby mogli się wspiąć. Resztę liny Jesper dał Wylanowi i Matthiasowi wraz ze znalezionymi w pralni nożycami i toporną kotwiczką, zrobioną naprędce z metalowych płytek tary do prania. Wytarł resztki deszczówki i wilgoci z podłogi, sprawdził, czy nie zostawili zrynków sznura ani innych śladów, a potem nie pozostało mu już nic innego jak tylko czekać – oraz wpaść w panikę, gdy rozdzwonił się alarm.

Piętro wyżej rozlegały się jakieś pokrzykiwania i tupot buciorów. W każdej chwili jakiś wścibski strażnik mógł się zapuścić do piwnicy. Gdyby zastał Jespera w spalarni, droga na dach zostałaby odkryta, a wtedy nie tylko sam Jesper byłby

zgubiony, lecz także wszyscy pozostali.

Szybciej, Kaz. Czekał na ciebie.

Wszyscy czekali. Dosłownie przed chwilą do pomieszczenia wpadła zdyszana Nina.

– Idź! – ponagliła go. – Na co czekasz?

– Ty idź! – odparował.

Kiedy spytał ją, co z Kazem, grymas niepokoju wykrzywił jej twarz.

– Miałam nadzieję, że jest z tobą.

Wspięła się po linie, postępując z wysiłku, i Jesper został na dole sam, sparaliżowany niezdecydowaniem. Czy strażę pojmały Kaza? Czy w tej chwili gdzieś w więzieniu walczył o życie?

To Kaz Brekker, upomniał się w duchu. Nawet gdyby go zamknęli, ucieknie z każdej celi i uwolni się z każdych kajdan. Należało zostawić mu linę i modlić się, żeby nie przypaliła się w stygnącym piecu; na szczęście była mokra od wody deszczowej. Jeśli Jesper będzie tu sterczał jak kołek, zdradzi ich drogę ucieczki i będzie po nich. Nie pozostało mu nic innego, jak wspiąć się na górę.

W tej samej chwili, gdy chwycił linę, do spalarni wpadł Kaz. Włosy miał w nieładzie, koszulę ubrudzoną krwią.

– Szybko! – ponaglił Jespera bez zbędnych wstępów.

Tysiące pytań cisnęły się Jesperowi na usta, ale postanowił na razie ich nie zadawać. Przeskoczył nad paleniskiem i zaczął się wspinać. Wciąż padał lekki deszcz. Lina zadygotała, gdy Kaz chwycił jej koniec: kiedy Jesper spojrzał w dół, Kaz szykował się właśnie do zamknięcia drzwi pieca od wewnątrz.

Przekładał rękę nad ręką, chwycił się kolejnych węzłów i piął coraz wyżej. Ramiona zaczynały go boleć, sznur wrzynał mu się boleśnie w dłonie. Zdarzało mu się czasem zaprzeć stopami o wnętrze komina, ale zaraz musiał się odpychać i odsuwać od nagranych cegieł. Jakim cudem Inej weszła tędy bez liny?

Dzwony alarmowe Starego Zegara brzmiały tak, jakby ktoś wściekle potrząsał szufladą pełną garnków i patelni. Co poszło nie tak? Dlaczego Kaz i Nina się rozdzielili? I jak mają się teraz

z tego wszystkiego wykaraskać?

Pokręcił głową, zamrugał, żeby wycisnąć deszczówkę z oczu, i naprężył mięśnie grzbietu, pnąc się wyżej.

– Świętym niech będą dzięki – wysapał, gdy Matthias z Wylanem chwycili go pod pachy i pomogli mu pokonać ostatnie kilka stóp. Przetoczył się przez skraj komina i spadł na dach, przemoczony i roztrzęsiony jak podtopione kocię. – Kaz już się wspina.

Matthias i Wylan chwycili sznur, żeby wciągnąć Kaza na górę. Jesper nie był pewien, na ile Wylan pomaga Matthiasowi, ale z pewnością ciężko harował. Wyciągnęli z komina Kaza, który przewrócił się na wznak.

– Gdzie Inej? – wysapał, łapczywie chwytając powietrze. – I Nina?

– Obie są już na dachu ambasady – uspokoił go Matthias.

– Zostawcie tę linę, bierzemy to, co nam zostało. Szybko.

Matthias z Wylanem odrzucili brudną linę z komina i podnieśli dwa czyste zwoje. Jesper z wysiłkiem wstał i również sięgnął po zwój sznura. W ślad za Kazem zszedł na skraj dachu, skąd Inej przeciągnęła linę na dach ambasady. Na linie zainstalowano siodelko ze skórzanego pasa dla osób, które w przeciwieństwie do Zjawy wołały nie igrać z grawitacją.

– Dzięki niech będą wszystkim świętym, Djelowi i ciotce Evie – wyszeptał z wdzięcznością Jesper i pierwszy zjechał po linie. Reszta poszła w jego ślady.

Dach ambasady był lekko wypukły (zapewne po to, by nie zalegał na nim śnieg), przez co chodzenie po nim przypominało poruszanie się po grzbiecie olbrzymiego wieloryba. Był też znacznie bardziej... porowaty od dachu więzienia, bo podziurawiony rozlicznymi otworami wywietrzników, kominów i kopulasto przeszklonych świetlików. Nina i Inej przycupnęły przy największej z takich kopulek: zdobiony filigranem świetlik znajdował się dokładnie nad wejściem do ambasady. Nie zapewniał osłony przed deszczem, ale gdyby któryś ze strażników na murach stracił zainteresowanie drogą

dojazdową i zaczął się rozglądać po dachach Lodowego Dworu, ekipa byłaby zasłonięta przed jego wzrokiem.

Inej oparła stopy na kolanach Niny.

– Nie mogę zdrapać gumy z podeszew jej stóp – poskarżyła się Nina.

– Pomóż jej – polecił Jesperowi Kaz.

– Ja? Chyba nie sądzisz...

– Zrób to.

Jesper podczołgał się bliżej, żeby przyjrzeć się pokrytym pęcherzami stopom Inej, boleśnie świadomy, że Kaz śledzi każdy jego ruch. Kiedy Inej poprzednio została ranna, reakcja Kaza była bardziej niż tylko trochę niepokojąca. Na szczęście tym razem nie chodziło o pchnięcie nożem, a Kaz nie mógł mieć pretensji do Czarnych Palców. Jesper skupił się na drobinkach gumy, usiłując oddzielić je od ciała Inej w taki sam sposób, w jaki wcześniej wydobył żelazo z więziennych krat.

Inej już знаła jego sekret, ale Nina wybałuszyła oczy.

– Jesteś fabrykatorem?

– Uwierzyłabyś, gdybym powiedział, że nie?

– Czemu mi nie powiedziałeś?

– Bo nie pytałaś...? – odparł bez przekonania.

– Jesper...

– Odpuść, Nino.

Zacisnęła usta, ale Jesper wiedział, że jeszcze wróci do tego tematu. Skoncentrował się na stopach Inej.

– Na wszystkich świętych... – mruknął.

– Aż tak źle? – Inej się skrzywiła.

– Nie. Po prostu masz brzydkie stopy.

– To te brzydkie stopy wprowadziły was na dach.

– I co, już tu zostaniemy? – spytała Nina. Zamknęła z ulgą oczy, kiedy Stary Zegar ucichł i zapadła cisza. – No nareszcie...

– Co się stało w więzieniu? – spytał Wylan. Głos znów łamał mu się ze strachu. – Co uruchomiło alarm?

– Wpadłam na dwóch strażników – odparła Nina.

Jesper podniósł na nią wzrok.

- Nie załatwiłaś ich?
- Załatwiłam, ale jeden zdążył strzelić. Przybiegł następny. I wtedy rozdzwoniły się dzwony.
- Do licha... Więc to dlatego włączył się alarm?
- Być może. A ty gdzie byłeś, Kaz? Nie przyłapałiby mnie na tych schodach, gdybym nie musiała na ciebie czekać. Dlaczego cię nie było na podeście?
- Kaz zaglądał przez świetlik do ambasady.
- Postanowiłem jeszcze przeszukać cele na przedostatnim piętrze.
- Wszyscy spojrzeli na niego pytająco. Jesper zaczynał tracić cierpliwość.
- Co to niby ma znaczyć, do diabła? – wypalił. – Najpierw się zmywasz, nie czekając, aż ja i Matthias wrócimy, a potem, jak gdyby nigdy nic, postanawiasz rozszerzyć zakres poszukiwań i nie zastanawiasz się nad tym, że Nina pomyśli, że coś ci się stało?
- Musiałem coś załatwić.
- Słaba wymówka.
- Miałem przeczucie – odparł Kaz. – Postanowiłem je sprawdzić.
- Przeczucie?! – powtórzyła z niedowierzaniem Nina.
- Popełniłem błąd! – burknął Kaz. – W porządku?
- Nie – odparła Inej. – Nie w porządku. Jesteś nam winien wyjaśnienie.
- Szukałem Pekki Rollinsa – przyznał Kaz po chwili milczenia.
- Spojrzeli z Inej po sobie w sposób, którego Jesper nie rozumiał; wiedzieli coś, z czego on był wykluczony.
- Na wszystkich świętych, po co? – zdumiała się Nina.
- Chciałem się dowiedzieć, kto był jego kretem w Szumowinach.
- Jesper czekał na ciąg dalszy.
- I co? – spytał w końcu ponaglającym tonem.
- Nie znalazłem go.
- A skąd ta krew na koszuli? – zainteresował się Matthias.

– Scysja ze strażnikiem.

Jesper nie wierzył Kazowi.

– Zawaliłem. – Kaz przetarł oczy. – Podjąłem złą decyzję, za którą biorę na siebie odpowiedzialność, ale to w niczym nie zmienia naszej sytuacji.

– A jaka jest nasza sytuacja? – spytała Nina Matthiasa. – Co teraz zrobią?

– Ogłosili Żółty Protokół: naruszenie porządku w sektorze.

Jesper przytknął palce do skroni.

– Nie pamiętam, co to oznacza.

– Najprawdopodobniej myślą, że ktoś próbuje uciec z więzienia. Sektor został już odcięty od reszty Lodowego Dworu, teraz pewnie zarządzają przeszukanie i będą próbowali ustalić, kogo brakuje w celi.

– I znajdą ludzi, których ogłuszyliśmy w aresztach męskim i kobiecym – dodał Wylan. – Mniejsza o Bo Yul-Bayura, musimy wiać.

Matthias uciszył go stanowczym machnięciem ręki.

– Za późno. Jeżeli faktycznie podejrzewają ucieczkę z więzienia, postawią wszystkie posterunki w stan najwyższej gotowości. Nie da się przez nie przejść ot tak, bez problemu.

– Mimo to można by spróbować – nalegał Jesper. – Opatrzymy stopy Inej...

Inej rozprostowała palce i stanęła o własnych siłach na żwirze.

– Nie bolą – powiedziała. – Ale pozbyłam się odcisków.

– Dam ci adres, pod który będziesz mogła wysłać skargę – odparła Nina i mrugnęła do niej porozumiewawczo.

– W porządku – podsumował Jesper. – Zjawą może chodzić. – Otarł twarz rękawem. Deszcz zelżał i przeszedł w drobną mżawkę. – Znajdziemy jakiś zaciszny kącik, gdzie będzie można dać po głowie kilku gościom, przeberzemy się w ich ciuchy i wyjdziemy z imprezy, jak gdyby nigdy nic.

– Przez bramę ambasady i dwa posterunki? – spytał sceptycznie Matthias.

– Na razie nie wiedzą, że ktoś się wymknął z sektora

więziennego. Widzieli Ninę i Kaza, więc wiedzą, że więźniowie wydostali się z cel, ale wartownicy na posterunkach będą się spodziewali bandziorów w więziennych łańcach, a nie słodko pachnących dyplomatów w eleganckich wdziankach. Musimy to zrobić, zanim się zorientują, że w zewnętrznym kręgu grasuje sześcioro intruzów.

– Mowy nie ma – zaproponowała Nina. – Przyszłam tu po Bo Yul-Bayura i bez niego nigdzie się nie ruszę.

– Ale jakie to ma znaczenie? – spytał Wylan. – Nawet jeśli uda nam się dotrzeć na Białą Wyspę i znaleźć Yul-Bayura, to i tak nie będziemy mieli jak stąd wyjść. Jesper ma rację: powinniśmy uciekać, póki możemy.

Nina skrzyżowała ręce na piersi.

– Choćbym miała w pojedynkę udać się na Białą Wyspę, zrobię to.

– To akurat może być niemożliwe – zauważył Matthias. – Spójrzcie.

Zgromadzili się przy kopule świetlika. W widocznej na dole rotundzie kłębił się tłum: ludzie popijali, śmiali się, rozmawiali, witali – impreza zrobiła się dość hałaśliwa na długo przed rozpoczęciem obchodów święta na Białej Wyspie.

Nagle do sali wkroczył nowy oddział strażników i zaczął ustawiać gości w szeregach.

– Uruchamiają dodatkowy posterunek – skonstatował Matthias. – Chcą jeszcze raz sprawdzić tożsamość wszystkich gości, zanim wpuszczą ich na szklany most.

– Żółty Protokół? – domyślił się Jesper.

– Prawdopodobnie. Dodatkowe zabezpieczenie.

Jakby na ich oczach resztki ich fartu wyciekały z kieliszka.

– W takim razie postanowione – powiedział Jesper. – Ograniczamy straty i próbujemy wiać.

– Mam pewien pomysł – mruknęła półgłosem Inej.

Wszyscy popatrzyli w jej stronę. Sączące się spod szklanej kopuły żółte światło zalśniło w jej ciemnych oczach.

– Wiem, jak się przedostać przez posterunek i dotrzeć na Białą

Wyspę. – Wskazała w dół, gdzie zebrani w dwie grupy ludzie weszli do rotundy z dziedzińca po stronie wartowni i otrząsali wilgoć z płaszczy.

Dziewczęta z Domu Niebieskiego Irysa były łatwe do rozpoznania dzięki kolorowi sukni i kwiatów we włosach i na szyi. Mężczyzn z Kuźni również nie sposób było z kimkolwiek pomylić: mimo chłodu mieli odsłonięte ramiona i dumnie obnosili się z ogromnymi tatuażami.

– Przybywają pierwsze delegacje znad Zachodniej Klepki – mówiła dalej Inej. – Możemy tam wejść.

– Inej... – wtrącił Kaz.

– Nina i ja wejdziemy do środka – ucięła stanowczo Inej. Wyprostowała się dumnie; wyglądała teraz jak skazaniec przed plutonem egzekucyjnym, który mówi, że nie chce opaski na oczy. – Razem z Menażerią.



Godzina ósma i dwa kwadransy

Kaz patrzył na nią podejrzliwie. Światło spod kopuły połyskiwało mu w oczach koloru gorzkiej kawy.

– Przecież wiecie, jak wyglądają ich kostiumy – ciągnęła Inej. – Grube płaszcze, kaptury... Fjerdanie niczego więcej nie zobaczą. Nowoziemska łania. Kaelska klaczka. – Z wysiłkiem przełknęła ślinę. – Sulijska kotka.

Nie ludzie, nawet nie dziewczyny, po prostu śliczne przedmioty do kolekcji. „Zawsze chciałem wychrobotać nowoziemską dziewczynę”, mówił klient. „Rudą Kaelkę. Sulijkę o skórze jak palony karmel”.

– Ryzykowne – zauważył Kaz.

– Jak każda robota.

– A w jaki sposób wejdą Kaz z Matthiasem? – zainteresowała się Nina. – Mogą być potrzebni do otwierania zamków, a poza tym, gdyby na wyspie coś poszło nie tak, nie chciałabym zostać sama. A wątpię, żebyście wy dwaj mogli uchodzić za członków Menażerii.

– To nie powinien być wielki problem – odparł Kaz. – Helvar

nie był z nami całkiem szczery.

– Naprawdę? – zdumiała się Inej.

– Ja nie... – Matthias palcami przeczesał krótkie włosy. – Skąd wiedziałeś, *demjin*? – burknął pod adresem Kaza.

– Logika. Cały Lodowy Dwór to istne arcydzieło, jeśli idzie o zabezpieczenia. Wszystkie mechanizmy bezpieczeństwa są zdublowane. Szklany most jest imponujący, ale musi istnieć inna droga, żeby w sytuacji kryzysowej przerzucić posiłki na Białą Wyspę i wyprowadzić stamtąd rodzinę królewską.

– To prawda – przytaknął zirytowany Matthias. – Istnieje inne wejście na Białą Wyspę. Ale nieprzyjemne. – Spojrzał znacząco na Ninę. – I na pewno nie da się tamtędy przejść w sukni.

– Zaczekaj – wtrącił Jesper. – Co z tego, że wszyscy przedostaniecie się na wyspę? Powiedzmy, że Nina wydebi od jakiegoś fjerdańskiego ważniaka informację o miejscu pobytu Yul-Bayura, sprowadzicie go tutaj... I co? Nadal będziemy tkwili w potrzasku. A przez ten czas straż zakończy przeszukanie więzienia i stwierdzi, że sześcioro aresztantów w jakiś sposób wymknęło się z sektora. Szlag trafi okazję do wydostania się przez ambasadę i posterunki.

Kaz przeniósł wzrok na dziedziniec ambasady i znajdującą się przy nim wartownię.

– Wylan? Dałoby się zepsuć któreś z tych drzwi?

– Znaczy, otworzyć na stałe?

– Nie. Zamknąć.

– Czyli zablokować i uszkodzić... – Wylan wzruszył ramionami. – To nie powinno być trudne. Przy wejściu do więzienia nie zwróciłem uwagi, jak są zamykane, ale sądząc po tym, co widzę, to chyba standardowy mechanizm.

– Czyli co, jakieś wielokrążki, zębaki, wielgachne śruby?

– Mniej więcej. Plus solidny kołowrót: lina nawija się na bęben jak nić na szpulkę, a strażnicy obracają go za pomocą korby albo koła.

– Wiem, jak działa kołowrót. Umiąłbyś coś takiego unieszkodliwić?

– Tak myślę. Kłopot byłby z systemem alarmowym, do którego lina jest podpięta. Jest skomplikowany, mógłby się włączyć Czarny Protokół.

– Świetnie – powiedział Kaz. – Tak właśnie zrobimy.

– Przepraszam bardzo... – Jesper podniósł rękę. – A czy to nie Czarnego Protokołu staramy się za wszelką cenę uniknąć?

– Rzeczywiście, coś mi się kołacze po głowie – poparła go Nina. – Coś jakby... mamy przechłapanie?

– Nie, jeśli użyjemy go przeciwko nim. Dzisiaj ochrona koncentruje się tutaj, w ambasadzie, oraz na Białej Wyspie. Po ogłoszeniu Czarnego Protokołu szklany most zostanie zamknięty i strażnicy na wyspie będą razem z gośćmi odcięci od reszty Dworu.

– Matthias mówi, że jest jeszcze inna droga – przypomniała Nina.

– Ale nie przerzucą nią dużych sił – zauważył Matthias. – W każdym razie nie za szybko.

Przechyliwszy głowę, Kaz wpatrywał się przymglonym wzrokiem w Białą Wyspę.

– Mina kombinatora – mruknęła Inej.

Jesper pokiwał głową.

– Bez dwóch zdań.

Inej pomyślała, że będzie jej brakowało tej miny.

– Trzy bramy w pierścieniu murów – powiedział Kaz. – Ta prowadząca do więzienia została zamknięta na cztery spusty po ogłoszeniu Żółtego Protokołu. Brama ambasady to wąskie gardło, zwłaszcza kiedy tłoczą się przy niej goście; Fjerdanie nie dadzą rady przerzucić przez nią żołnierzy. Zostaje brama w rejonie koszar, którą zajmą się Jesper z Wylanem. Pomanipulujcie przy niej tak, żeby doprowadzić do ogłoszenia Czarnego Protokołu, a potem ją unieszkodliwcie. Musi zostać tak uszkodzona, żeby strażnicy nie mogli przez nią wyjść i nas gonić.

– Całkowicie popieram pomysł zamknięcia Fjerdan w ich własnej twierdzy – odparł Jesper. – Całym sercem. Ale jak my się

z niej wydostaniemy? Po ogłoszeniu Czarnego Protokołu wy zostaniecie uwięzieni na wyspie, a my w zewnętrznym kręgu, bez broni i materiałów wybuchowych.

Uśmiech Kaza był ostry jak brzytwa.

– Na szczęście jesteśmy prawdziwymi złodziejami. Idziemy na zakupy, na rachunek Fjerdy. Inej? Zaczniemy od błyskotek.



Kaz wyłuszczył im swój nowy pomysł. Już poprzedni plan mógł być śmiały, ale przynajmniej bazował na dyskrecji, za to ten nowy był bezczelny, żeby nie powiedzieć: szalony. Nie zamierzali po prostu zdradzić Fjerdanom swojej obecności, lecz obwieścić ją wszem wobec. Poza tym ponownie mieli się rozdzielić i synchronizować swoje działania z dzwonami Starego Zegara; zmieniło się tylko tyle, że margines błędu stał się jeszcze węższy.

Inej zjrzała w głąb swojej duszy w poszukiwaniu ostrożności lub strachu, lecz znalazła tam wyłącznie gotowość do działania. To nie była zwykła robota, która pozwoli jej spłacić dług zaciągnięty u Pera Haskella; nie robiła tego również dla Kaza ani dla Szumowin. Ona po prostu tego właśnie chciała, chciała dostać te pieniądze i dzięki nim zrealizować swoje marzenie.

Kiedy Kaz wykladał szczegóły planu, a Jesper zabranymi z pralni nożycami dzielił pozostałą linę na kawałki, Wylan pomógł dziewczynom się przygotować. Jeśli miały uchodzić za pracownice Menażerii, musiały mieć tatuaże. Na pierwszy ogień poszła Nina. Za pomocą jednego z wytrychów Kaza i chalkopirytu wyłuskanego przez Jespera z pokrywającej dach blachy. Wylan narysował na rękę Niny pióro Menażerii; starał się, jak mógł, słuchając wskazówek Inej i na bieżąco dokonując niezbędnych poprawek. Nina zatopiła rysunek w swoim ciele (somatyk nie potrzebuje igły do tatuażu), a potem najlepiej jak się dało wygładziła blizny na przedramieniu Inej; nie wyszło to idealnie – Nina nie była formatorką z powołania – ale czas naglił.

Wylan naszkicował pióro na skórze Inej.

– Na pewno tego chcesz? – spytała Nina.

Inej westchnęła głęboko.

– To barwy wojenne – odparła. – Muszę przyjąć to znamię.

– Tylko na jakiś czas – obiecała Nina. – Zdejmę ci je, gdy tylko znajdziemy się w porcie.

W porcie. Inej pomyślała o *Ferolindzie* z powiewającymi wesoło chorągiewkami i próbowała utrzymać ten obraz przed oczami, gdy pawie pióro wnikało w jej skórę.

Gotowe tatuaże nie wytrzymałyby poważnej inspekcji, ale można było mieć nadzieję, że przy pobieżnych oględzinach wystarczą.

Wstali. Inej przewidywała, że goście z Menażerii się spóźnią – Tante Heleen lubiła mieć efektowne wejście – ale należało się mieć na baczności, żeby we właściwym momencie zareagować błyskawicznie.

A mimo to się wahali. Ciążyła im świadomość, że mogą się już nigdy nie zobaczyć, że niektórzy z nich – może nawet wszyscy – mogą nie dożyć świtu. Hazardzista, skazaniec, krnąbrny syn, zagubiona grisza, Sulijka, która stała się zabójczynią, i chłopak z Baryłki, który stał się kimś jeszcze gorszym.

Inej patrzyła na swoich dziwnie dobranych kompanów, bosych i drżących z zimna w umazanych sadzą więziennych uniformach. Złoty blask ze świetlika wyostrzał ich rysy, mżawka je łagodziła. Co ich łączyło? Chciwość? Desperacja? A może świadomość, że jeżeli jedno z nich albo nawet wszyscy przepadną dziś bez śladu, nikt się o nich nie upomni? Nawet jeśli jej rodzice opłakali córkę, którą stracili, po dzisiejszej Inej nikt by nie zapłakał. Nie miała rodziny, ojca, matki, rodzeństwa – tylko ludzi, u których boku walczyła. Może to coś, za co powinna być wdzięczna.

Jesper odezwał się pierwszy:

– Żadnych żałobników.

– Żadnych pogrzebów – odpowiedzieli mu unisono. Nawet Matthias powtórzył te słowa pod nosem.

– Gdyby któreś z was przeżyło, dopilnujcie, żeby chowano mnie w otwartej trumnie – dodał Jesper. Zarzucił sobie na ramię dwa cienkie zwoje liny i skinął na Wylana, żeby szedł za nim. – Świat zasługuje na jak najdłuższe obcowanie z tą twarzą.

Inej była tylko lekko zaskoczona, gdy wychwyciła porozumiewawcze spojrzenia Matthiasa i Niny. Od czasu bitwy z ekipą z Shu Hanu coś się między nimi zmieniło, chociaż nie wiedziała co dokładnie.

Matthias odchrząknął i niezręcznie skłonił się Ninie.

– Na słówko? – zagadnął.

Nina odskłoniła mu się ze znacznie większym wdziękiem i razem odeszli na stronę. Inej bardzo to odpowiadało, chciała na chwilę zostać sama z Kazem.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała i z rękawa więziennego kaftana wyjęła skórzane rękawiczki Kaza.

Kaz wybałuszył oczy.

– Skąd...

– Zabrałam je z porzuconych ciuchów. Zanim wspięłam się na dach.

– Sześć pięter po ciemku.

Pokiwała głową. Nie oczekiwała podziękowań – ani za wspinaczkę, ani za rękawiczki, ani za nic innego w przyszłości.

Powoli naciągnął rękawiczki. Patrzyła, jak skóra okrywa jego jasne, delikatne dłonie. To były dłonie kuglarza – długie, smukłe palce wręcz stworzone do otwierania zamków, podkradania monet, ukrywania drobiazgów.

– Po powrocie do Ketterdamu odbieram swoją działkę i odchodzę z Szumowin – powiedziała.

Odwrócił wzrok.

– Słusznie – odparł. – Zasługujesz na coś lepszego niż Baryłka.

Czas uciekał nieubłaganie.

– Niech cię święci prowadzą.

Złapał ją za przegub dłoni.

– Inej... – Kciukiem w rękawicze musnął jej pulsujące żyłki, dotknął rąbka tatuażu. – Gdybyśmy nie wyszli z tego cało, chcę,

żebyś wiedziała...

Czekała. Poczwała, jak nadzieja rozpościera skrzydła w jej sercu, gotowa zerwać się do lotu, gdy tylko Kaz wypowie odpowiednie słowa. Zdławiła ją, zmusiła do bezruchu. Te słowa nie padną.

Serce to strzała.

Dotknęła jego policzka. Spodziewała się, że znów się wzdrygnie, uchyli, może nawet odtrąci jej dłoń. Od prawie dwóch lat wspólnie wojowali i knuli po nocach, razem przeprowadzali niewiarygodne skoki, realizowali tajne misje i w pośpiesznym pędzie z miejsca na miejsce pochłaniali posiłki złożone ze smażonych ziemniaków i *hutspot*, ale pierwszy raz dotknęła jego odsłoniętej skóry, nieoddzielona od niej rękawiczką ani rękawem koszuli. Stuliła dłoń. Skórę miał chłodną i wilgotną od mżawki. Nie poruszył się, ona jednak dostrzegła przebiegający go dreszcz, jakby toczył wewnętrzną wojnę.

– Jeżeli nie przeżyjemy dzisiejszej nocy, umrę bez lęku, Kaz. Czy możesz powiedzieć to samo o sobie?

Miał rozszerzone źrenice, przez co jego oczy wydawały się niemal całkiem czarne. Widziała, że tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymuje się od cofnięcia przed jej dotykiem. Nie odsunął się, a ona wiedziała, że na nic lepszego nie może liczyć.

Ale to nie wystarczy.

Opuściła rękę. Kaz odetchnął głęboko.

Powiedział, że nie chce jej modlitwy. Nie odezwała się więc na głos, lecz w duchu modliła się o jego bezpieczeństwo. Teraz miała już swój cel, znała kierunek, w którym podaży jej serce, i chociaż wiedziała, że ta droga oddali ją od Kaza, wiedziała również, że to wytrzyma.



Dołączyła do Niny przy skraju świetlika i razem czekały na

przybycie Menażerii. Pokrywająca świetlik kopuła ze szkła i srebrnego filigranu była szeroka i płytka. Rozległa mozaika na podłodze rotundy wyczierała spomiędzy stóp gości: przedstawiała dwa goniące się nawzajem wilki, które miały biegać w kółko tak długo, jak istnieje Lodowy Dwór.

Przy pięknym, łukowato sklepionym wejściu gości dzielono na mniejsze grupy, kierowano do przylegających do rotundy mniejszych komnat i tam rewidowano w poszukiwaniu broni. Strażnicy wynosili stamtąd naręcza broszek, kolce jeżozwierzy, a nawet ozdobne szarfy, najprawdopodobniej usztywniane drutem lub metalowymi paskami.

– Wiesz, że nie musisz tego robić – odezwała się Nina. – Nie musisz znów przywdziewać tych jedwabów.

– Robiłam gorsze rzeczy.

– Wiem. Dla nas wspięłaś się przez sześć kondygnacji piekła.

– Nie to miałam na myśli.

– To również wiem – przytaknęła Nina. – Czy obiecana forsa za tę robotę naprawdę aż tyle dla ciebie znaczy? – spytała po chwili milczenia.

Inej ze zdumieniem wychwyciła w jej głosie nutę wyrzutów sumienia.

Stary Zegar zaczął wybijać dziewiątą. Inej spojrzała na wilki goniące się po posadzce rotundy.

– Nie jestem pewna, dlaczego w to weszłam – przyznała – ale wiem, dlaczego chcę to doprowadzić do końca. Wiem, dlaczego przeznaczenie sprowadziło mnie tutaj i podsunęło mi tę nagrodę.

Odpowiedź brzmiała nieco mętnie, ale Inej nie była gotowa, żeby mówić otwarcie o marzeniu, które rozpałało jej serce: własna ekipa, własny statek i krucjata. Taki plan zasługiwał na to, by trzymać go w tajemnicy; nowe ziarno, z którego mogło wyrosnąć coś absolutnie niesamowitego, jeśli tylko nikt nie będzie go ponaglał. Przecież na razie nie miała nawet pojęcia o żeglowaniu.

A jednak jakaś jej część chciała o wszystkim powiedzieć

Ninie. Gdyby Nina postanowiła nie wracać do Ravki, w ekipie Inej na pewno znalazłoby się miejsce dla ciałobójczyni.

– Są – powiedziała Nina.

Dziewczyny z Menażerii weszły do rotundy w formacji klina. Ich suknie mieniły się w blasku świateł. Kaptury skrywające ich twarze zostały zaprojektowane w taki sposób, żeby przedstawiały zwierzęta: nowoziemską łanię o miękkich uszach z białymi cętkami na skórze, kaelską klacz z kasztanowym kokiem, żmiję z Shu Hanu o drobnych czerwonych łuskach, lisicę z Ravki, panterę z Południowych Kolonii, kruka, gronostaja oraz – oczywiście – sulijską kocicę. Rzucił się w oczy brak wysokiej blondynki przebranej za fjerdańskiego wilka.

Na spotkanie wyszły im umundurowane strażniczki Lodowego Dworu.

– Nie widzę jej – powiedziała Nina.

– Spokojnie. Paw zawsze wchodzi ostatni.

I rzeczywiście nie dała na siebie długo czekać: Heleen Van Houden, w mieniącej się turkusem satynie, z efektownym kołnierzem z pawich piór podkreślającym złotowłosą głowę.

– Jak subtelnie – mruknęła z przekąsem Nina.

– W Baryłce subtelność się nie sprzedaje.

Inej wydała z siebie wysoki, świergoczący gwizd; z oddali odpowiedział jej gwizd Jespera.

Teraz, pomyślała.

Głaz został popchnięty i toczył się po zboczach już bez jej udziału. Kto mógł przewidzieć, jakie wyrządzi szkody i co powstanie na zgliszczach.

Mrużąc oczy, Nina obserwowała wnętrze rotundy.

– Jakim cudem nie przewróci się pod ciężarem tych wszystkich brylantów? Niemożliwe, żeby były prawdziwe.

– Ależ są – odparła Inej. To były klejnoty okupione potem, krwią i smutkiem takich dziewczyn jak ona.

Strażniczki podzieliły Menażerię na trzy grupy, a Heleen odprowadziły osobno na bok. Nie można było oczekiwać od Pawia, żeby w obecności swoich dziewcząt zadzierał spódnicę

i wywracał ubranie na lewą stronę.

– Te – powiedziała Inej, wskazując grupę, w której znalazły się sulijska kotka i kaelska klacz. Dziewczyny kierowały się do jednej z komnat na lewo od rotundy.

Nina śledziła ich ruchy, Inej zaś przesuwiała się po dachu dokładnie nad ich głowami.

– Które drzwi?! – zawołała.

– Trzecie od prawej! – odparła Nina.

Znalazłszy się przy najbliższym wywietrzniku, Inej podniosła zasłaniającą go kratę. Wąsko, zwłaszcza dla Niny, ale dadzą radę. Zsunęła się w głąb szybu i przykucnięta zaczęła przemieszczać się poziomym przewodem wentylacyjnym między komnatami. Za plecami usłyszała najpierw stęknienie, a potem głośny głuchy łomot, gdy Nina jak wór z praniem spadła na dno szybu. Inej się wzdrygnęła. Miała nadzieję, że odgłosy przyjęcia zagłuszą czyniony przez nie hałas. Albo że w Lodowym Dworze żyją naprawdę ogromne szczury.

Czołgały się, zaglądając w kolejne wyloty wywietrzników, aż wreszcie natrafiły na zajęty przez straż dworską salonik, w którym przeszukiwano gości.

Dziewczęta z Menażerii pozdejmowały peleryny i złożyły je na długim owalnym stole. Jedna z jasnowłosych strażniczek rewidowała je, obmacywała szwy i rąbki strojów, a nawet wtykała im palce we włosy. Druga stała na straży, z ręką opartą na rękojeści karabinu. Było widać, że nieswojo czuje się z bronią. Inej wiedziała, że w Fjerdzie kobiety nie służą w oddziałach frontowych. Te dwie najprawdopodobniej zostały przeniesione do Dworu z jakiejś formacji pomocniczej.

Inej z Niną odczekały, aż dziewczyny z Menażerii zostaną zrewidowane, a ich peleryny i wyszywane koralikami torebki dokładnie sprawdzone.

– *Ven tidder* – powiedziała jedna ze strażniczek i obie wyszły, dając gościom czas na doprowadzenie się do porządku.

– Pięć minut – przetłumaczyła szeptem Nina.

– Do dzieła.

– Najpierw się przesun.

– Po co?

– Bo muszę widzieć, co robię, a na razie widzę tylko twój tyłek.

Inej przeczołgała się dalej do przodu, odsłaniając Ninie wywietrznik, a chwilę później usłyszała cztery głuchoe uderzenia: to dziewczyny z Menażerii osunęły się bezwładnie na granatowy dywan.

Szybko wyszarpnęła kratę wywietrznika i zeskoczyła na lśniący blat stołu. Nina spadła tuż za nią i znów zaliczyła twarde lądowanie.

– Przepraszam – jęknęła, gramoląc się na nogi.

Inej omal nie parsknęła śmiechem.

– W walce poruszasz się z gracją – zauważyła. – To tylko spadanie ci nie wychodzi.

– Wagarowałam, kiedy tego uczyli.

Rozebrały Kaelkę i Sulijkę do bielizny, po czym sznurami od zasłon związały wszystkim dziewczętom ręce w nadgarstkach i nogi w kostkach i zakneblowały je oddartymi kawałkami więziennych ubrań.

– Szybciej – mruknęła ponaglająco Inej.

– Przepraszam – szepnęła Nina do Kaelki.

Inej wiedziała, że w normalnych okolicznościach Nina po prostu przefarbowałaby im włosy, teraz jednak nie było na to czasu: Nina przelała rudy kolor bezpośrednio z włosów dziewczyny w swoją czuprynę. Efekt był taki, że Kaelce została kaskada białych loków z rdzawymi plamami, a włosy Niny przybrały nie całkiem rudą barwę. Nina miała też zielone oczy zamiast niebieskich, ale tego rodzaju modyfikacja wymagałaby więcej czasu, więc zielone musiały wystarczyć. Wyjęła z torebki dziewczyny biały puder i w miarę możliwości wybieliła sobie skórę.

Przez ten czas Inej zaciągnęła pozostałe dziewczyny do wysokiej srebrnodrzewnej szafy pod przeciwległą ścianą i ułożyła je w niej w taki sposób, żeby zostawić miejsce dla Kaelki. Sprawdzając knebel Sulijki, poczuła lekkie ukłucie

wyrzutów sumienia – Tante Heleen kupiła tę dziewczynę zapewne w miejsce Inej: miały taką samą brązową skórę i podobnie gęste ciemne włosy. Była jednak inaczej zbudowana, raczej miękka i krągła niż szczupła i kanciasta. Może zresztą zatrudniła się u Tante Heleen z własnej woli; może sama wybrała takie życie. Inej miała nadzieję, że tak właśnie było.

– Niech cię święci mają w opiece – wyszeptwała do nieprzytomnej dziewczyny.

Rozległo się pukanie do drzwi i ktoś powiedział coś po fjerdańsku.

– Pokój jest potrzebny dla następnych dziewczyn – przełożyła szeptem Nina.

Razem z Inej upchnęły Kaelkę w szafie, udało im się zatrzaskać drzwi i zamknąć je na klucz, a potem zdążyły jeszcze naciągnąć na siebie przebranie. Inej cieszyła się w duchu, że nie ma czasu na zastanawianie się nad niemiłą swojskością dotyku jedwabiu na skórze i wsłuchiwanie się w makabryczne dźwięczenie dzwoneczków przy kostkach. Narzuciły peleryny i pośpiesznie zerknęły w lustro.

Przebraniom daleko było do idealnych: obszerne fioletowe jedwabie luźno zwisały ze szczupłego ciała Inej, a Nina...

– Co to ma być, u diabła? – zdenerwowała się, spoglądając po sobie.

Głęboki dekolt ledwie okrywał jej pełny biust, a niżej materiał ciasno opinał pośladki. Zdobiona na podobieństwo niebieskozielonych łusek suknia rozszerzała się u dołu, przechodząc w skrzący się szyfonowy dzwon.

– Może syrena? – zasugerowała Inej. – Albo morska fala?

– Myślałam, że mam być koniem.

– Wiesz, nie mogli zrobić sukienki z kopytami.

Nina przyglądała niedorzeczny kostium.

– Za chwilę stanę się niezmiernie popularna.

– Ciekawa jestem, co by powiedział Matthias o tym stroju.

– Nie spodobałby mu się.

– Nie podoba mu się nic, co jest związane z tobą, ale kiedy się

śmiejesz, ożywia się jak tulipan wstawiony do świeżej wody.

– Matthias tulipan – prychnęła Nina.

– Wielki, posępny, żółty tulipan.

– Gotowa? – spytała Nina, zsuwając kaptur nisko na twarz.

– Tak. – Inej naprawdę była gotowa. – Trzeba tylko jakoś odwrócić ich uwagę, bo inaczej zauważą, że weszły cztery dziewczyny, a wychodzą dwie.

– Zdaj się na mnie. I uważaj na rąbek sukni.

Otworzyły drzwi na korytarz i strażniczki przywołały je niecierpliwym gestem. Nina mocno pstryknęła palcami i jedna ze strażniczek zabczała rozpaczliwie, gdy absurdalnie obfita fontanna krwi z nosa trysnęła jej na pierś munduru. Jej towarzyszka odsunęła się z odrazą, a chwilę później złapała się za brzuch. Nina poruszała dłonią, wzbudzając targające organizmem strażniczki fale mdłości.

– Uważaj na rąbek sukni – powtórzyła spokojnie.

Inej ledwie zdążyła zgarnąć i zakasać sukienkę, gdy strażniczka zgięła się wpół i chlusnęła kolacją na wykafelkowaną podłogę. Goście z krzykiem zaczęli się przepychać, żeby jak najszybciej oddalić się od źródła zamieszania. Inej i Nina przeszły tuż obok, wydając stosowne piski obrzydzenia.

– Krwotok z nosa chyba wystarczył – szepnęła Inej.

– Lepiej być skrupulatnym.

– Gdybym nie znała prawdy, pomyślałabym, że po prostu lubisz dręczyć Fjerdan.

Nie podnosząc głów, wtopiły się w wypełniający rotundę tłum. Udały, że nie widzą nowoziemskiej łani, która dawała im znaki, żeby do niej podeszły; nie powinny zanadto zbliżać się do prawdziwych dziewcząt z Menażerii. Inej żałowała, że ich peleryny tak bardzo rzucają się w oczy.

– Tutaj – powiedziała i pchnęła Ninę w stronę kolejki, która chyba poruszała się nieco szybciej od pozostałych. Znajdowała się też daleko od innych przedstawicielek Menażerii.

Kiedy jednak znalazły się na jej czele, Inej nabrała wątpliwości,

czy na pewno dobrze wybrała: kontrolujący gości strażnik wydawał się wyjątkowo surowy i ponury na tle pozostałych. Wziął do ręki dokumenty Niny i obrzucił je badawczym spojrzeniem zimnych niebieskich oczu.

– Podobno masz piegi – powiedział. – Tak stoi w rysopisie.

– Bo mam – przytaknęła bez zająknięcia Nina. – Po prostu teraz są zakryte. Chce pan zobaczyć?

– Nie – odparł lodowato Fjerdanie. – Jesteś wyższa, niż tu piszą.

– Obcasy. Lubię, kiedy mogę patrzeć mężczyźnie w oczy. A pan ma bardzo ładne oczy.

Strażnik jeszcze raz zajrzał do dokumentów i obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem.

– Załóżę się też, że ważysz więcej, niż napisali.

Nina umiejętnie wzruszyła ramionami i łuskowaty dekolt obsunął się jeszcze niżej.

– Lubię dobrze zjeść, kiedy mnie najdzie ochota. – Odeła bezwstydnie wargi. – A zawsze mnie nachodzi.

Inej z trudem zachowywała powagę; gdyby Nina jeszcze zaczęła trzepotać rzęsami, bitwa byłaby przegrana i Inej wybuchnęłaby niepohamowanym śmiechem – ale Fjerdanin chłonał jej występ jak gąbka wodę. Może kontakt z Niną wprawiał w osłupienie wszystkich niezłomnych mieszkańców Północy.

– Przechodzić – burknął strażnik. – Może... – Zawahał się. – Może będę później na przyjęciu.

Nina powiodła palcem po jego ramieniu.

– Zarezerwuję dla pana jeden taniec.

Strażnik uśmiechnął się jak bałwan, odchrząknął i znów przybrał surowy wyraz twarzy.

Na wszystkich świętych, pomyślała Inej, taka wieczna powściągliwość musi być okropnie męcząca!

Bardzo pobieżnie przejrzał jej dokumenty; najwidoczniej w myślach ciągle jeszcze wyplątywał Ninę z kolejnych warstw niebieskozielonego szyfonu. Machnął ręką, żeby szła dalej, ale kiedy zrobiła pierwszy krok, potknęła się.

– Stój.
Zatrzymała się. Nina obejrzała się przez ramię.
– Coś nie tak z butami?
– Są przyduże – przyznała Inej. – Rozciągnęły się bardziej, niż się spodziewałam.
– Pokaż ręce – zażądał strażnik.
– Po co?
– Nie gadaj. Pokaż.
Inej wyplątała ręce spod peleryny i podsunęła strażnikowi gruzłowaty tatuaż przedstawiający pawie pióro.
Podszedł do nich strażnik w mundurze kapitana.
– O co chodzi?
– Jest Sulijką, bez dwóch zdań, i ma tatuaż z Menażerii, ale coś mi tu nie gra...
Inej wzruszyłam ramionami.
– To blizny po oparzeniach z dzieciństwa.
Kapitan wskazał gromadkę rozdrażnionych gości zgromadzonych pod strażą przy wejściu.
– Jeśli ktoś wyda ci się podejrzany, odsyłaj go tam – powiedział. – Potem zabierzemy wszystkich na posterunek i jeszcze raz sprawdzimy ich papiery.
– Spóźnię się na przyjęcie – poskarżyła się Inej.
Strażnik udał, że jej nie słyszy, i złapawszy ją pod ramię, zaciągnął do wejścia. Ludzie w kolejce gapili się na nią i szeptali między sobą.
Serce waliło jej jak młotem. Widziała, jak przerażona Nina blednie pod warstwą pudru, ale nie mogła już dodać jej otuchy. Skinęła tylko dyskretnie głową.
Idź, pomyślała. Teraz wszystko w twoich rękach.



Godzina dziewiąta

– A jeśli odmówię, Brekker?

Było to zwykłe pozerstwo i Matthias zdawał sobie z tego sprawę. Czas na protesty minął dawno temu. W tej chwili truchtali po łagodnie pochyłym dachu ambasady w stronę sektora *drüskelle*; Wylan ciężko dyszał, Jesper biegł bez wyraźnego wysiłku, a Brekker – choć kulejący i bez laski – dotrzymywał im kroku. Matthiasowi wcale się nie podobało, że ten nędzny złodziejasek czyta w nim jak w otwartej księdze.

– Jeśli nie zgodzę się poświęcić resztek swojej godności?

– Zgodzisz się, Helvar. Nina zmierza w tej chwili na Białą Wyspę. Naprawdę chciałbyś ją zostawić na lodzie?

– Odważne domniemanie.

– Czy odważne? Rozsądne moim zdaniem.

– To sądy, prawda? – spytał Jesper, zerkając w dół na mijane dziedzińce z bulgoczącymi fontannami obsadzone szeleszczącymi lodowierzami. – Jeśliby kogoś mieli skazać na śmierć, to nie jest to chyba najgorsze miejsce.

– Wszędzie woda – odezwał się Wylan. – Czy te fontanny

symbolizują Djela?

– Źródło, w którym zmywasz z siebie wszystkie grzechy – mruknął Kaz.

– Albo w którym cię podtapiają i wymuszają zeznania – odparł Wylan.

– Wylan! – prychnął Jesper. – Ostatnio miewasz okropnie ponure myśli. Czyżby zły wpływ Szumowin?

Połączyli dwa kawałki liny w jeden i przywiązali na końcu kotwiczkę, żeby przedostać się na dach sektora *drüskelle*. Dla Wylana trzeba było zrobić sznurową pętlę, a Jesper i Kaz przeszli na rękach po linie z niepokojącą szybkością i łatwością. Matthias podszedł do sprawy ostrożniej; starał się tego nie okazywać, ale nie podobało mu się, jak sznur trzeszczy i rozciąga się pod jego ciężarem.

Pomogli mu się wczołgać na kamienny dach, a kiedy stanął na nogi, zakręciło mu się w głowie. W tym miejscu – bardziej niż gdziekolwiek indziej w Lodowym Dworze, bardziej niż gdziekolwiek na świecie – czuł się jak w domu, tyle że ten dom i całe jego życie zostały postawione na głowie. Mrużąc w półmroku oczy, widział rozrzucone po dachu masywne piramidy świetlików. Dręczyło go niepokojące wrażenie, że gdyby spojrzeć przez szkło w dół, ujrzałby samego siebie, jak ćwiczy w sali treningowej albo siedzi przy długim stole w jadalni.

Z oddali dobiegało ujadanie wilków trzymanyh w psiarni nieopodal wartowni; zwierzęta nie rozumiały, gdzie ich panowie przepadli na całą noc. Czy rozpoznałyby go, gdyby przyszedł do nich z wyciągniętą ręką? Wątpił, czy sam by siebie rozpoznał. Wśród lodów północy decyzje wydawały się oczywiste, ale potem namąciło mu w głowie obcowanie z bandytami i złodziejami, odwaga Inej, śmiałość Jespera... No i obecność Niny. Właśnie, Nina. Nie mógł zaprzeczyć, że z ulgą przyjął jej widok, gdy wynurzyła się z komina spalarni – rozczochrana, zdyszana, przerażona, ale cała i zdrowa. Po tym, jak wraz z Wylanem pomogli jej wyjść na dach, z najwyższym

trudem wypuścił ją z objęć.

Nie, nie zajrzy w głąb świetlików. Nie mógł sobie pozwolić na kolejną chwilę słabości, nie teraz, nie w taką noc. Trzeba iść naprzód.

Stanęli na skraju dachu. Powierzchnia lodowej fosy – widziana z góry w świetle padającym ze strażnic na Białej Wyspie – zdawała się lita i gładka jak lustro. W rzeczywistości woda w fosie była jednak w ciągłym ruchu, pokryta zaledwie cienką jak wafelek warstwą lodu.

Kaz przywiązał kolejną linę i przygotował się do zejścia na dół.

– Wiecie, co robić – szepnął do Jespera i Wylana. – Punkt jedenasta i ani chwili wcześniej.

– Czy ja kiedyś zrobiłem coś za wcześniej? – mruknął Jesper.

Kaz złapał linę i zniknął za krawędzią dachu. Matthias zszedł za nim: dłonie zaciśnięte na sznurze, bosa stopy zaparte o mur. Kiedy spojrzął do góry, napotkał wzrok gapiących się na niego Jespera i Wylana; kiedy spojrzął po raz drugi, zniknęli.

Brzeg fosy otaczał wąziutki śliski gzyms z białego kamienia. Kaz przystanął, przywarł plecami do muru i obrzucił fosę niechętnym spojrzeniem.

– Jak mamy przejść na drugą stronę? Niczego nie widzę.

– Bo nie jesteś godny.

– Nie jestem też krótkowidzem. Tu nic nie ma.

Matthias zaczął pomalutku przemieszczać się wzdłuż fosy, obmacując mur na wysokości bioder.

– W dniu Hringkälli wstępne szkolenie *drüskelle* dobiega końca i z kandydatów stają się nowicjuszami. Uroczystość inicjacji odbywa się pod świętym jesionem.

– Gdzie drzewo do was gada.

Matthias powstrzymał się od zepchnięcia Brekkera do wody.

– Gdzie mamy nadzieję usłyszeć głos Djela. Ale to na samym końcu, bo wcześniej musimy niepostrzeżenie pokonać lodową fosę. Sam Djel wskazuje drogę tym, których uzna za godnych awansu.

W rzeczywistości to starsi *drüskelle* zdradzali sekret przejścia

tym kandydatom, których chcieli wprowadzić do zakonu. Był to sposób na odsianie kandydatów zbyt słabych oraz takich, którzy po prostu nie pasowali do grupy. Jeżeli miałeś dobre wyniki i przyjaciół, jeden ze starszych braci brał cię na stronę i mówił, że w noc inicjacji powinieneś udać się na brzeg lodowej fosy i powieść dłonią po murze w sektorze *drüskelle*. Na samym jego środku znajdziesz płaskorzeźbę wilka oznaczającą położenie drugiego szklanego mostu, nie tak pięknego i wspaniałego jak ten przerzucony nad fosą przy ambasadzie, lecz poziomego, płaskiego, szerokiego zaledwie na kilka stóp... i położonego tuż pod zamrożoną warstwą wody. Most był całkowicie niewidoczny, dopóki ktoś nie wiedział, gdzie go szukać. Brum osobiście poinformował Matthiasa, jak znaleźć ukryty most; zdradził mu również, w jaki sposób niepostrzeżenie go przemierzyć.

Musiał dwa razy przejść wzdłuż muru, zanim jego palce natrafiły na wyrzeźbione w kamieniu kontury wilka. Zatrzymał się z dłonią przytkniętą do ściany, chłonąc starą jak Lodowy Dwór tradycję *drüskelle*.

– Tutaj – powiedział.

Kaz przysunął się ostrożnie i wyteżył wzrok. Kiedy wychylił się nad fosę, Matthias pośpiesznie złapał go i przyciągnął z powrotem. Wskazał mu baszty na murze okalającym Białą Wyspę.

– Zobaczają cię – ostrzegł. – Użyj tego.

Przesunął dłonią po murze i pokazał Kazowi białą dłoń. Wtedy, w noc inicjacji, wysmarował całe ubranie i włosy tym właśnie kredowym proszkiem. Zamaskowany w ten sposób, niewidoczny dla strażników na basztach, przemknął wąskim mostem na wyspę na spotkanie z braćmi.

Teraz zrobili z Kazem tak samo, przy czym Kaz najpierw zdjął rękawiczki i starannie zatknął je za pas. Inej musiała mu je oddać.

Matthias zszedł na ukryty most. Chwilę później usłyszał za plecami syk Kaza, gdy lodowata woda oblała mu stopy.

– Co jest, Brekker? Zimno ci?

– Żałuję, że nie mamy czasu popływać. Ruszaj się.

Matthias mógł sobie kpić z Kaza, ale zanim sam pokonał połowę drogi, stopy niemal zupełnie mu zdrętwiały. Baszty strażnicze coraz wyraźniej rzucały się w oczy. Kandydaci *drüskelle* musieli tędy przejść niewiele wcześniej. Nigdy nie słyszał, żeby jakiś kandydat został dostrzeżony lub zastrzelony na sekretnym moście, ale wszystko mogło się zdarzyć.

– I to wszystko po to, żeby zostać łowcą czarownic? – zapytał zza jego pleców Kaz. – Trzeba będzie urozmaicić inicjację w Szumowinach.

– To tylko jeden aspekt Hringkälli.

– Wiem, wiem. Potem drzewo wam zdradza wasze tajne pozdrowienie.

– Żal mi cię, Brekker. W twoim życiu nie ma żadnej świętości.

Milczenie się przedłużało. W końcu Kaz odparł:

– Mylisz się.

Przed nimi wyrósł zewnętrzny mur Białej Wyspy, pokryty mieniącym się deseniem łusek. Chwilę trwało, zanim wypatrzyli wśród nich skrywające bramę zagłębienie. Całkiem niedawno *drüskelle* witali w tym miejscu przybywających na wyspę nowych braci, w tej chwili jednak nisza była pusta, a krata zamknięta na łańcuch z kłódką. Kaz szybko rozprawił się z tym zamknięciem i zagłębili się w wąski tunel prowadzący do ogrodu na tyłach koszar gwardii królewskiej.

– Zawsze byłeś taki dobry w otwieraniu zamków?

– Nie.

– A jak się tego nauczyłeś?

– Tak jak człowiek się uczy wszystkiego. Rozbierałem zamki na części.

– A sztuczki magiczne?

Kaz prychnął.

– To co, już nie uważasz mnie za demona?

– Nie, ja nadal wiem, że jesteś demonem. Ale stosujesz ludzkie sztuczki.

– Niektórzy na widok magicznej sztuczki mówią „To niemożliwe!”, klaszczą, płacą magikowi i dziesięć minut później o wszystkim zapominają. Inni zadają sobie pytanie, jak to działa, wracają do domu, kładą się do łóżka, przewracają się z boku na bok, rozmyślają o tym, jak to możliwe, i dopiero po dobrze przespanej nocy są w stanie o tym zapomnieć. A jeszcze inni w ogóle nie śpią, tylko w kółko odtwarzają sztuczkę w głowie, raz za razem, wypatrując tego momentu, gdy zawiodła ich percepcja; szukają na złudzeniu rysy, skazy, która zdradzi im, w jaki sposób ich oczy dały się zwieść iluzji. Ci ludzie nie spoczną, dopóki nie przenikną tej tajemnicy i sami nie opanują sztuczki. Ja jestem takim właśnie człowiekiem.

– Uwielbiasz oszustwa.

– Uwielbiam zagadki. Oszustwa to po prostu mój język ojczysty.

– Ogród. – Matthias wskazał wyrastający przed nimi żywopłot.

– Wzdłuż żywopłotu można dojść do samej sali balowej.

Mieli właśnie wynurzyć się z tunelu, gdy zza rogu wyszli dwaj strażnicy w czarno-srebrnych mundurach *drüskelle* uzbrojeni w karabiny.

– *Perjenger!* – wykrzyknął jeden zaskoczony. „Więźniowie”. – *Sten!*

– *Desjenet, Djel comenden!* – odparł bez namysłu Matthias. „Z woli Djela, odstępście!”.

Tak mógł przemawiać dowódca *drüskelle*, a Matthias wypowiedział te słowa najbardziej władczym tonem, na jaki było go stać.

Zmieszani żołnierze spojrzeli po sobie – i ta chwila ich zawahania wystarczyła. Matthias złapał za lufę karabinu i wyrznął jego właściciela z byka. *Drüskelle* padł jak ścięty.

Kaz całym ciałem uderzył w drugiego strażnika i też powalił go na ziemię. *Drüskelle* nie wypuścił broni z rąk, ale Kaz wślizgnął się pod niego, przydusił od tyłu przedramieniem i tak długo trzymał, aż tamten zamknął oczy i głowa opadła mu na bok. Stracił przytomność.

Kaz zepchnął z siebie bezwładne ciało i wstał.

Nagle Matthias nadzwyczaj klarownie uświadomił sobie, w jakiej sytuacji się znaleźli: on miał karabin w rękach, a Kaz Brekker nie rozbroił swojego przeciwnika i był bezbronny. Stali nad ciałami dwóch nieprzytomnych *drüskelle*, którzy powinni mu być bliscy niczym bracia.

Mogę go zastrzelić, pomyślał Matthias. Jedną decyzją skazać Ninę i pozostałych na śmierć.

Znów odniósł to przedziwne wrażenie, że całe jego życie wywróciło się do góry nogami. Miał na sobie więzienne łańcuchy i był intruzem w miejscu, które niegdyś nazywał domem.

Kim teraz jestem?

Spojrzał na Kaza Brekkera, dla którego nie istniały sprawy ważniejsze niż on sam. A mimo to był na swój sposób żołnierzem i potrafił wiele znieść. Dotrzymał umowy, chociaż miał kilka okazji do stwierdzenia, że rola Matthiasa się skończyła – kiedy Matthias pomógł im narysować plany, kiedy wydostali się z aresztu albo kiedy zdradził mu istnienie tajemnego mostu. Zresztą Matthias mógł nisko upaść, ale nie aż tak, żeby zastrzelić bezbronnego człowieka.

Opuścił broń.

Kaz uśmiechnął się lekko.

– Nie byłem pewien, co zrobisz w takiej sytuacji – przyznał.

– Ja też nie.

Kaz uniósł brwi i Matthias doznał olśnienia.

– To była próba. – Prawda uderzyła go jak obuchem. – Rozmyślnie nie zabrałeś mu broni.

– Musiałem mieć pewność, że jesteś z nami. Z nami wszystkimi.

– Skąd wiedziałeś, że nie strzelę?

– Na odległość cuchniesz przyzwoitym człowiekiem.

– Jesteś nienormalny.

– Wiesz, jaki jest sekret powodzenia w hazardzie, Helvar?

Kaz zdrową stopą mocno przydepnął kolbę leżącego karabinu. Broń podskoczyła do pozycji pionowej, w okamgnieniu znalazła

się w jego rękach i została wycelowana w Matthiasa. Życie Kaza ani przez moment nie było zagrożone.

– Trzeba kantować. No, a teraz posprzątajmy tu i włożmy te mundury. Przyjęcie nie będzie czekać.

– Pewnego dnia wyczerpie ci się zapas sztuczek, *demjin*.

– Oby nie stało się to dzisiaj.

Zobaczmy, co przyniesie dzisiejszy wieczór, pomyślał Matthias, biorąc się do roboty. Dla mnie oszustwo nie jest językiem ojczystym, ale zawsze mogę się go nauczyć.



Godzina dziewiąta i kwadrans

Jesper wiedział, że powinien być wściekły na Kaza – za to, że kiedy poszedł szukać Pekki Rollinsa, szlag trafił ich pierwotny plan, i za to, że swoim nowym planem naraził ich na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Kiedy jednak skradali się po dachu sektora *drüskelle* w stronę wartowni, był tak diabelnie szczęśliwy, że nie w głowie mu było wściekanie się. Serce waliło mu jak młotem, adrenalina cudownie tętniła w żyłach. Podobnie czuł się kiedyś na przyjęciu przy Zachodniej Klepce: kiedy ktoś napenił miejską fontannę szampanem, Jesper potrzebował zaledwie dwóch sekund, żeby w niej zanurkować – bez butów, za to z szeroko rozdziawioną paszczą. A teraz kręciło mu się w głowie od wypełniającego mu nos i usta ryzyka. Czuł się niezwykły. Zachłystywał się tym uczuciem – i nienawidził się za to, że tak się nim rozkoszuje. Powinien myśleć o robocie, pieniądzu, spłacie długu i o tym, żeby ojciec nie cierpiał za jego wybryki, lecz gdy tylko jego umysł choćby zahaczał o te tematy, wszystko burzyło się w nim z odrazą. A zabawa w ciuciubabkę ze śmiercią idealnie zaprzętała jego uwagę.

Odkąd znaleźli się z dala od tłumów i chaosu panującego w ambasadzie, czyniony przez nich dwóch hałas docierał do niego z wyjątkową wyrazistością. Ta noc należała do *drüskelle*; Hringkälla była ich świętem i wszyscy zaszyli się na Białej Wyspie. Ich siedziba chwilowo była chyba najbezpieczniejszym miejscem dla niego i Wylana, tyle że zalegająca w niej cisza wydawała się przytłaczająca i dziwnie złowroga. Nie było tu fontann ani wierzb jak przy ambasadzie; ten rejon Lodowego Dworu, podobnie jak więzienie, również nie był wystawiony na widok publiczny. Jesper złapał się na tym, że nerwowo szturcha językiem wklinowany między zęby *baleen*, i zmusił się do zaprzestania tej zabawy, zanim go uruchomi. Wylan pewnie do końca życia nabijałby się z niego.

Pod dużym piramidalnym świetlikiem rozpościerało się pomieszczenie, które musiało być chyba salą treningową; podłogę zdobiła mozaika przedstawiająca łeb wilka, na stojakach pod ścianami spoczywało mnóstwo broni. Pod następną szklaną piramidą mignęła im ogromna jadalnia. Całą jedną ścianę zajmował potężny kominek, nad którym górował rzeźbiony w kamieniu wilczy łeb. Ścianę naprzeciwko przyozdobiono olbrzymią chorągwią pozbawioną jakiegoś konkretnego wzoru i pozszywaną z cienkich pasków materiału – głównie czerwonych i niebieskich, z niewielką domieszką fioletowych. Jesper dopiero po chwili zrozumiał, co właściwie widzi.

– Na wszystkich świętych... – mruknął. Zbierało mu się na wymioty. – Barwy griszów.

Wylan wytężył wzrok.

– Ten sztandar?

– Czerwony to somatycy, niebieski eterycy, fioletowy materialnicy. Skrawki *keft*, które griszowie zakładają do bitwy. To trofea wojenne.

– Dużo ich.

Setki. Tysiące.

Ja bym nosił fioletową, pomyślał Jesper, gdybym przystał do

Drugiej Armii.

Szukał w sobie rozpierającej go jeszcze przez chwilą euforii; przecież dopiero co był gotowy – ba, wręcz chętny – zaryzykować pojmanie i egzekucję jako złodziej i najemny rewolwerowiec. Dlaczego myśl o byciu tropionym griszą wcale mu się nie podobała?

– Chodźmy.

Podobnie jak więzienie i ambasada, także wartownia w sektorze *drüskelle* została zbudowana wokół dziedzińca, na którym każdy wchodzący był widoczny jak na dłoni i mógł zostać ostrzelany z góry. Ponieważ jednak brama nie była używana, na blankach panowały takie same pustki jak w całym gmachu. Płyty gładkiego czarnego kamienia, inkrustowane srebrem we wzór wilczego łba, skrzyły się w upiornym blasku błękitnych płomieni. Była to jedyna część Lodowego Dworu w kolorze innym niż biały lub szary. Nawet bramę – na pierwszy rzut oka niewiarygodnie wręcz masywną – wykonano z jakiegoś czarnego ciężkiego metalu.

W łukowatym przejściu pod wartownią stał strażnik z przerzuconym przez ramię karabinem.

– Tylko jeden? – zdziwił się Wylan.

– Matthias mówił, że przy każdej nieużywanej bramie powinno być czterech.

– Może Żółty Protokół działa na naszą korzyść i tych nadmiarowych skierowano do sektora więziennego albo...

– Albo tuzin wielgachnych Fjerdan siedzi w środku i grzeje się przy ogniu.

Strażnik otworzył puszkę *jurdy* i wepchnął sobie do ust zwitek pomarańczowych suszonych kwiatów. Sprawiał wrażenie znudzonego i poirytowanego; nie był pewnie zachwycony, że z powodu służby ominie go świąteczna zabawa.

Wcale ci się nie dziwię, pomyślał Jesper. Ale ręczę, że już za chwilę nie będziesz narzekał na nudę.

Tyle dobrego, że strażnik miał na sobie normalny mundur zamiast czarnego uniformu *drüskelle*. Jesper nie umiał

zapomnieć o chorągwi w jadalni. Jego matka była Nowoziemką, za to po ojcu, Kaelczyku, odziedziczył nie tylko szare oczy, lecz także typową dla mieszkańców Wyspy Tułaczej skłonność do przesądów. Kiedy zaczął przejawiać pierwsze oznaki magicznego talentu, ojciec był niepokieszony i doradzał mu utrzymanie go w tajemnicy.

– Boję się o ciebie – tłumaczył. – Świat potrafi być okrutny dla takich jak ty.

Jesper zawsze się zastanawiał, czy ojciec zamiast lęku o niego nie odczuwał raczej lęku przed nim.

A gdyby zamiast do Kerchu popłynął do Ravki? Gdyby wstąpił do Drugiej Armii?

Ale czy oni w ogóle pozwalali fabrykatorom walczyć, czy też zamykali ich w warsztatach? Sytuacja w Ravce ostatnio się ustabilizowała. Państwo się odbudowywało. Griszom nie groził już przymusowy pobór do wojska. Mógłby tam pojechać, rozejrzeć się, może nauczyć się lepiej wykorzystywać swoją moc. Zostawiłby za sobą ketterdamskie domy gry. Jeżeli uda im się oddać Bo Yul-Bayura w ręce Rady Kupieckiej, dla Jespera nie będzie rzeczy niemożliwych.

Złajał się w duchu. Co to za głupie pomysły? Potrzebował realnego zagrożenia, jeśli chciał trzeźwo myśleć.

Wstał.

– Wchodzę tam – oznajmił.

– Jaki masz plan? – spytał Wylan.

– Zobaczysz.

– Pomogę ci.

– Najbardziej mi pomożesz, jeśli będziesz siedział cicho i trzymał gębę na kłódkę. Czekaaj tu. – Jesper zahaczył linę na dachu i zrzucił ją na dół. Zawisała nad chodnikiem po zewnętrznej stronie dziedzińca. – Zaczekaaj, aż unieszkodliwię strażę, i wtedy zejdz.

– Jesper...

Jesper przeszedł na drugi skraj dachu, szerokim łukiem ominął miejsce, w którym strażnik mógłby go zobaczyć, i ulokował się

za jego plecami. Najciszej, jak umiał, umocował drugą linę i powoli zaczął po niej schodzić. Strażnik znajdował się niemal dokładnie pod nim. Jesperowi daleko było do Zjawy, ale gdyby udało mu się bezszelestnie zejść po linie, zeskoczyć i podkraść się do wartownika od tyłu, załatwiłby sprawę szybko i po cichu.

Napiął mięśnie, gotowy do skoku. W tej samej chwili z wartowni wyszedł drugi strażnik, zabijając ręce z zimna i mówiąc coś głośno, a tuż za nim trzeci. Jesper zamarł. Wisiał teraz na linie nad głowami aż trzech uzbrojonych wartowników, w połowie wysokości ściany, całkowicie odsłonięty i kompletnie bezbronny.

To dlatego Kaz zawsze wszystko starannie planował.

Pot wystąpił mu na czoło. Trzem naraz nie da rady. A jeśli w wartowni jest ich jeszcze więcej i uda im się wszcząć alarm?

– Cicho! – odezwał się jeden ze strażników. – Słyszeliście coś?

Nie patrzcie do góry. Na wszystkich świętych, nie patrzcie do góry.

Strażnicy zatoczyli małe kółeczko, trzymając karabiny gotowe do strzału. Jeden zadarł głowę, powiódł wzrokiem po skraju dachu, zaczął się odwracać...

Rozległy się dziwne, słodkie dźwięki:

– *Skerden Fjerda, kende hjertzeeeeeng, lendten isen de waaaanden!*

Fjerdańskie słowa, których Jesper nie rozumiał, płynęły nad dziedzińcem niesione dźwięcznym, doskonałym tenorem, który niósł się echem wśród czarnych murów.

Wylan.

Strażnicy okręcili się w miejscu i celując w głąb bramy prowadzącej na dziedziniec, wypatrywali źródła dźwięków.

– Olander?! – zawołał jeden z nich.

– Nilson? – zdziwił się drugi.

Broń nadal trzymali w gotowości, ale w ich głosach więcej było zdumienia i ciekawości niż agresji.

Co on wyrabia, do licha?

W głębi łukowato sklepionego wejścia pojawiła się sylwetka

człowieka, który, idąc, zataczał się gwałtownie na boki.

– *Skerden Fjerda, kende hjertzeeeeeng* – śpiewał Wylan, nadzwyczaj przekonująco udając pijanego, lecz niezwykle utalentowanego Fjerdanina.

Strażnicy wybuchnęli śmiechem i zawtórowali mu:

– *Lendten isen...*

Jesper zeskoczył na dziedziniec. Złapał najbliższego stojącego Fjerdanina, skręcił mu kark i zabrał karabin. Kiedy drugi strażnik odwrócił się do niego, Jesper wyrzucił go kolbą broni w twarz. Chrupnęło nieprzyjemnie. Trzeci zaczął unosić broń do strzału, ale w tej samej chwili Wylan nieporadnym chwytem od tyłu przyszpilił mu ramiona do tułowia. Strażnik upuścił karabin, który głośno zaklekotał o kamienie. Zanim zdążył krzyknąć, Jesper doskoczył do niego, wyrzucił go kolbą w brzuch i poprawił dwoma szybkimi prostymi w podbródek.

Schylił się i rzucił jeden karabin Wylanowi. Przez chwilę stali zdyszani nad ciałami unieszkodliwionych strażników, z bronią gotową do strzału, czekając na wybiegających z wartowni żołnierzy. Nikt więcej się nie pojawił; może czwarty wartownik został odwołany na skutek Żółtego Protokołu.

– Tak rozumiesz siedzenie cicho i trzymanie gęby na kłódkę? – wyszeptał Jesper, gdy uprzętnęli ciała z dziedzińca i zawlekli je pod osłonę kamiennych płyt.

– A ty tak rozumiesz podziękowania? – odparował Wylan.

– Co to za piosenka, do diabła?

– Ich hymn narodowy – odparł zadowolony z siebie Wylan. – Nie uczyłeś się fjerdańskiego w szkole?

– Ty i twoi nauczyciele... – Jesper pokręcił głową. – Imponujące.

Włożyli mundury zabrane dwóm strażnikom, swoje więzienne ubrania spakowali w schludne zawiniątko, po czym związali ręce i nogi tym wartownikom, którzy jeszcze żyli, i zakneblowali ich oddartymi kawałkami materiału. Na Wylana mundur był za duży, u Jespera rękawy i nogawki były niedorzecznie przykrótkie, ale na szczęście buty jako tako

pasowały.

– Uważasz, że to bezpieczne? – Wylan gestem wskazał nieprzytomnych strażników. – Żeby tak ich zostawić, no wiesz...

– Żywych? Nie przepadam za zabijaniem nieprzytomnych.

– Moglibyśmy wcześniej ich ocucić.

– Okrutne, kupczyku... Zabiłeś kiedyś kogoś?

– Zanim trafiłem do Baryłki, nigdy w życiu nie widziałem trupa – przyznał Wylan.

– To żaden wstyd. – Jesper sam się zdziwił, że tak mówi, ale naprawdę tak myślał. Owszem, Wylan powinien nauczyć się radzić sobie w życiu, ale byłoby lepiej, gdyby nie musiał przy tym zaprzyjaźniać się ze śmiercią. – Sprawdź, czy kneble mocno siedzą.

Na wszelki wypadek jeszcze przywiązali skrępowanych strażników do kamiennej płyty; nieszczęśni zostaną zapewne znalezieni wcześniej, niż sami zdołają się uwolnić.

– Chodźmy – ponaglił Jesper.

Przeszli przez dziedziniec i znaleźli się w wartowni, skąd wyjścia prowadziły na prawo i na lewo. Wybrali prawe drzwi i zaczęli ostrożnie wchodzić po schodach. Jesper nie spodziewał się wprawdzie zasadzki, ale mogło się okazać, że specjalnie oddelegowany strażnik ma za wszelką cenę bronić mechanizmu bramy. Tymczasem pomieszczenie nad łukowatym przejściem było puste. Na niskim stoliku stała latarnia, obok leżała otwarta książka, garść orzechów włoskich i kupka rozłupanych skorup. Wzdłuż ścian znajdowały się stojaki z karabinami – bardzo drogimi karabinami. Pudełka na półkach musiały być pełne amunicji. I ani odrobiny kurzu. Wszędzie schludnie, czysto, po fjerdańsku.

Większość przestrzeni zajmował podłużny kołowrót, owinięty zwojami grubego łańcucha i zaopatrzony w korby na obu końcach. Opadający z bębna napięty łańcuch znikał w otworach w ścianie.

– Hmm... – Wylan przekrzywił głowę.

– Nie podoba mi się to „hmm”. O co chodzi?

– Spodziewałem się raczej sznura albo stalowej liny, nie łańcucha. Jeżeli chcemy mieć pewność, że Fjerdanie nie otworzą bramy, będziemy musieli go przepiłować.

– Jak wtedy uruchomimy Czarny Protokół?

– Na tym właśnie polega problem.

Stary Zegar zaczął wygrywać dziesiątą.

– Osłabię łańcuch – zapowiedział Jesper. – Ty poszukaj pilnika albo innego ostrego narzędzia.

Wylan pokazał mu nożyce z pralni.

– To wystarczy – orzekł Jesper.

Musiało wystarczyć.

Zdążymy, powtarzał sobie w myślach, koncentrując się na łańcuchu. Zdążymy to załatwić.

Miał tylko nadzieję, że pozostałych nie spotkały żadne przykre niespodzianki. Matthias mógł się mylić co do Białej Wyspy. Nożyce mogły pęknąć w rękach Wylana. Inej mogła zawieść. Albo Nina. Albo Kaz.

Albo ja, dodał w duchu. Może to ja zawiodę.

Sześcioro ludzi – i tysiące możliwości, żeby ten poroniony plan się posypał.



Godzina dziesiąta i dwa kwadrans

Nina poważyła się na jeszcze jedno spojrzenie przez ramię. Strażnicy odprowadzili Inej na bok.

Jest bystra, powiedziała sobie w duchu Nina. I śmiertelnie niebezpieczna. Da sobie radę.

Ta refleksja dodała jej trochę otuchy, ale musiała się uwijać. Było oczywiste, że przyszła razem z Inej, dlatego teraz musiała zniknąć, zanim strażnik przeniesie na nią swoje podejrzenia. Poza tym teraz i tak nie mogła Inej pomóc, nie ryzykując, że zdradzi swoją tożsamość i wszystko zepsuje. Wtopiła się w tłum i zsunęła z ramion rzucającą się w oczy pelerynę z końskiego włosia; peleryna jeszcze przez moment wlokła się za nią, ale w końcu opadła na podłogę i zniknęła pod stopami gości. W niezwykłym kostiumie Nina nadal przyciągała zaciekawione spojrzenia, ale przynajmniej nie musiała się obawiać, że wielki kasztanowy kok z daleka zdradzi jej położenie.

Przed nią wznosił się łuk szklanego mostu, połyskujący w błękitnym blasku ogni płonących na zdobiących go iglicach. Wokół niej ludzie śmiali się i wczepieni w siebie

nawzajem wspinali po moście ponad lodową fosą, której powierzchnia w dole lśniła jak lustro. Niepokojący widok przyprawiał o zawroty głowy. Przyciasne wyszywane koralikami pantofelki Niny wyglądały na unoszące się w próżni. Obok niej ludzie szli po powietrzu.

Nie pierwszy raz doznała nieprzyjemnego olśnienia, że Lodowy Dwór musi być prastarym dziełem fabrykatorów. Fjerdanie utrzymywali, że stworzył go bóg albo Sënj Egmond – święty, w którego żyłach miała płynąć fjerdańska krew. W Ravce ludzie zaczęli powątpiewać w czynione przez świętych cuda: czy były prawdziwymi cudami, czy raczej dziełem utalentowanych griszów? Czy ten most był darem od Djela? Wytworem niewolniczej pracy? Czyżby Lodowy Dwór pochodził z czasów, gdy Fjerdanie jeszcze nie traktowali griszów jak potwory?

W najwyższym punkcie łuku jej oczom pierwszy raz ukazała się Biała Wyspa w pełnej krasie, wraz z chroniącym ją kręgiem murów. Z daleka było widać, że jest otoczona murem, ale dopiero teraz Nina mogła docenić, że mur ten uformowano w kształt lewiatana, olbrzymiego lodowego smoka, który, oplótnszy wyspę zwojami swojego cielska, pożerał własny ogon. Zadrżała. Wilki, smoki... Co będzie dalej? W opowieściach z Ravki potwory czekały, aż przebudzi je zew bohaterów.

No, pomyślała, my na pewno nie jesteśmy bohaterami. Oby ten potwór się nie obudził.

Podczas schodzenia na wyspę jeszcze bardziej kręciło jej się w głowie i z ulgą przyjęła chwilę, w której jej stopy znów stanęły na litym białym kamieniu. Wzdłuż wyłożonego marmurem chodnika rosły białe drzewka wiśniowe i srebrzysty żywopłot. Środki bezpieczeństwa po tej stronie mostu były wyraźnie złagodzone, stojący na baczność strażnicy mieli na sobie galowe białe mundury oblamowane srebrnym futrem i zupełnie niestraszna srebrzysta koronka, ale Nina pamiętała, co mówił Matthias: im bliżej środka koncentrycznych kręgów, tym ochrona staje się ściślejsza, choć zarazem mniej rzuca się w oczy.

Patrząc na gości, którzy wraz z nią szli po śliskich schodach prowadzących w szczelinę między ogonem i pyskiem smoka, zastanawiała się, ilu z nich faktycznie jest gośćmi, arystokratami lub artystami – a ilu fjerdańskimi żołnierzami albo *drüskelle* w przebraniu.

Przeszli przez dziedziniec oraz pałacowe drzwi i znaleźli się w wysokim na kilka pięter holu wejściowym. Pałac zbudowano z tego samego jednolitego, białego i pozbawionego ozdób kamienia co mury Lodowego Dworu, chociaż Nina nie mogła się oprzeć wrażeniu, że cała budowla została wydrążona w lodowcu. Nie miała pewności, czy winne są jej nerwy, wyobraźnia, czy może w pałacu naprawdę było zimno, ale dostała gęsiej skórki i musiała się bardzo starać, żeby nie szczekać zębami.

Weszła do przestronnej okrągłej sali balowej, w której stłoczeni ludzie tańczyli i sączyli drinki pod wykutą w lodzie sceną przedstawiającą wilczą sforę. Na rzeźbę składało się chyba ze trzydzieści posągów przedstawiających wilki uchwycone w biegu lub w pół skoku: lśniące oleście boki, rozwarte paszcze, woda skapująca z powoli topniejących pysków. Gwar rozmów niemal zagłuszał dźwięki wygrywanej przez niewidoczną orkiestrę muzyki.

Stary Zegar zaczął wybijać dziesiątą. Za dużo czasu straciła na przeprawę przez ten głupi szklany most. Potrzebowała teraz lepszego punktu obserwacyjnego.

Kierując się ku ogromnym schodom z białego kamienia, kątem oka dostrzegła dwie znajome postaci przyczajone w pobliskiej wnęce: Kaz i Matthias. Udało im się. I mieli na sobie mundury *drüskelle*. Wzdrygnęła się; na widok Matthiasa w takim stroju zupełnie nowy chłód przeszył ją do szpiku kości. O czym myślał, kiedy go wkładał? Spojrzeli sobie przelotnie w oczy, ale z jego wzroku niczego nie umiała wyczytać. Widok Kaza u jego boku dodawał jej otuchy: nie została sama i wszystko szło zgodnie z planem.

Nie ryzykując nawet najlżejszego skinienia głową, weszła po schodach na balkon, skąd roztaczał się doskonały widok na

przeplływający dołem tłum. W szkole Zoya Nazyalensky nauczyła ją pewnej rzeczy: ruch mas ludzkich podlega określonym prawom, nie jest przypadkowy; można dostrzec, jak władza przyciąga ludzi. Może im się wydawać, że krążą bez celu po sali, lecz w istocie skupiają się wokół postaci ważnych i znaczących, osób o wyższym statusie. Nie zdziwiła się więc teraz, widząc, jak tłum gęstnieje wokół fjerdańskiej królowej i jej orszaku. Zdziwiło ją co innego: białe suknie dwórek. W Ravce biel była kolorem służby.

Za to królewska korona prezentowała się naprawdę niezgorzej; wysadzone diamentami poskręcane łuki wyglądały jak gałązki drzewa pokryte świeżym szronem.

Starannie chroniona królowa była dla Niny bezużyteczna, lecz całkiem niedaleko od niej Nina dostrzegła inne zamieszanie: goście tłoczyli się wokół grupy umundurowanych żołnierzy. Wysocy rangą fjerdańscy oficerowie z pewnością należeli do osób, które mogły znać miejsce pobytu Bo Yul-Bayura.

– Ładny widok, nieprawdaż?

Mało nie wyskoczyła z butów, gdy nieznajomy do niej podszedł. Niezły z niej szpieg... Nawet go nie zauważyła.

Z uśmiechem położył dłoń na jej plecach na wysokości krzyża.

– Wiesz, są tu dyskretne komnatki, w których można się trochę zabawić... A jak tak na ciebie patrzę, to myślę, że może nawet więcej niż trochę.

Jego dłoń zsunęła się jeszcze niżej.

Nina spowolniła mu tętno i intruz runął jak ścięty, waląc przy okazji głową w poręcz balustrady. Ocknie się za dziesięć minut z potężnym bólem głowy i, być może, małym wstrząśnieniem mózgu.

– Co mu się stało? – zainteresowała się przechodząca obok para.

– Za dużo wypił – odparła nonszalancko Nina.

Zbiegła po schodach i znów wtopiła się w tłum, przeciskając się powoli do miejsca, w którym grupa żołnierzy w srebrno-białych mundurach otoczyła przysadzistego mężczyznę

z sumiastym wąsem. Sądząc po konstelacji medali na jego piersi, albo już był generałem, albo niewiele mu do generała brakowało. Czy powinna uderzyć do niego bezpośrednio? Potrzebowała kogoś znajdującego się dostatecznie wysoko w hierarchii, żeby miał dostęp do tajnych informacji; powinien być wystarczająco mocno wstawiony, żeby podjąć pochopną decyzję, a zarazem nie aż tak pijany, żeby nie mógł jej zaprowadzić tam, dokąd musiała się udać. Jednakże rumiane policzki i chwiejny krok generała sugerowały, że w tej chwili stać go co najwyżej na drzemkę z głową w jakiejś donicy.

Nina była boleśnie świadoma upływających minut. Najwyższy czas zaryzykować. Wzięła sobie kieliszek szampana i obeszła skupioną wokół generała grupkę. Gdy tylko jeden z żołnierzy odłączył się od kompanów, zrobiła krok w tył, stając mu na drodze. Zderzyli się. Żołnierz był drobnej postury, więc zderzenie nie było nazbyt bolesne, ale Nina krzyknęła głośno, pochyliła się i rozlała szampana. Kilka silnych rąk natychmiast wyciągnęło się pomocnie, by uratować ją przed upadkiem.

– Ty kłocu! – złajał żołnierza generał. – Omal jej nie przewróciłeś!

Udało się za pierwszym razem, pomyślała Nina. Jednak świetny ze mnie szpieg.

Nieszczęsny żołnierzyc poczerwieniał.

– Najmocniej panią przepraszam.

– Przepraszam – powiedziała po kercheńsku z udawaną dezorientacją, trzymając się oficjalnego języka Menażerii. – Nie znam fjerdańskiego.

– Głębokie przeprosiny – spróbował żołnierz po kercheńsku, po czym podjął kolejną odważną próbę, tym razem po kaelsku: – Bardzo przykro.

– Ależ skąd, to tylko i wyłącznie moja wina – wykrztusiła Nina bez tchu.

– Ahlgren? Przestań kaleczyć jej język i przynieś jej szampana.

Żołnierz uklonił się i pośpiesznie oddalił.

– Na pewno nic się pani nie stało? – spytał generał. Świetnie

mówił po kercheńsku. – Może zechce pani usiąść?

– Nie, dziękuję. – Z uśmiechem wsparła się na ramieniu generała. – Po prostu się przestraszyłam.

– Uważam, że jednak powinna pani spocząć.

Nina powstrzymała się od uniesienia brwi.

Nie wątpię, pomyślała. Najpierw jednak muszę się dowiedzieć, co wiesz.

– Miałabym przegapić przyjęcie?

– Zbladła pani. Odpoczynek w jednej z komnat na piętrze na pewno dobrze pani zrobi.

Na wszystkich świętych, nie traci facet czasu...

Zanim po raz kolejny zdążyła go zapewnić, że czuje się wyśmienicie, ale chętnie wyszłaby na taras, usłyszała ciepły, serdeczny głos:

– Ależ generale Ecklund, chcąc się wkraść w łaski kobiety, nie należy jej wypominać, że źle wygląda.

Generał zmarszczył brwi, nastroszył wąsy... i nagle wyprężył się na baczność.

– W rzeczy samej. – Zaśmiał się nerwowo. – W rzeczy samej...

Nina odwróciła się i poczuła, że ziemia usuwa jej się spod stóp. Serce na moment przestało jej bić.

Nie, pomyślała. To niemożliwe. On utonął. Powinien spoczywać na dnie oceanu.

Jak na trupa, Jarl Brum prezentował się nadzwyczaj żwawo.



Godzina dziesiąta i dwa kwadrans

Obsypany metalowymi opiłkami i wiórkami kradziony mundur przesiąkł potem. Jesper miał obolałe ramiona, a ból głowy, który wgryzł mu się w okolice lewej skroni, zamierzał się tam chyba ulokować na dobre. Od niemal pół godziny koncentrował się na wybranym ogniwie łańcucha opadającego z lewego krańca bębna i znikającego w otworze w ścianie, próbując je osłabić, podczas gdy Wylan piłował je ostrzem nożyc. Z początku zachowywali najwyższą ostrożność, bojąc się, że zbyt szybko uszkodzą łańcuch i unieruchomią bramę, ale stal okazała się znacznie trwalsza, niż się spodziewali, i praca szła im niesporo. Kiedy dzwony zegara obwieściły trzeci kwadrans, Jesper poddał się panice.

– Po prostu otwórzmy tę przeklętą bramę – mruknął sfrustrowany. – Uruchomi się Czarny Protokół, a potem będziemy tak długo ostrzeliwać kołowrót, aż coś pęknie.

Wylan odgarnął opadające na twarz loki i zerknął na Jespera. Miał krew na rękach: najpierw dorobił się pęcherzy od nożyc, a potem pęcherze popękały i zaczęły krwawić.

– Naprawdę aż tak bardzo lubisz strzelać?
Jesper wzruszył ramionami.
– Nie przepadam za zabijaniem ludzi.
– No to co cię w tym tak kręci?
– Nie wiem. – Jesper znów skupił się na osłabianiu łańcucha. – Ten dźwięk. Sposób, w jaki cały świat zawęza się do mnie i mojego celu. W Nowoziemiu pracowałem z rusznikarzem, który wiedział, że jestem fabrykatorem. Wymyślaliśmy naprawdę zwariowane zabawki.
– Do zabijania.
– Ty robisz bomby, kupczyku. Nie praw mi kazań.
– Mam na imię Wylan. Ale poza tym masz rację, nie powinienem cię krytykować.
– Nawet tego nie próbuj.
– Czego?
– Zgadzać się ze mną. To prosta droga do samozagłady.
– Mnie też się nie podoba zabijanie. Nawet nie lubię chemii.
– A co lubisz?
– Muzykę. Liczby. Równania. Nie są takie jak słowa, nie... nie płaczą się tak.
– Szkoda, że do dziewczyn nie da się mówić równaniami.
Milczenie się przeciągało, aż w końcu Wylan, ze wzrokiem utkwionym w łańcuch, zapytał:
– Tylko do dziewczyn?
– Nie – odparł Jesper, z trudem powstrzymując się od uśmiechu. – Nie tylko do dziewczyn.
Naprawdę szkoda, że najprawdopodobniej czeka ich śmierć.
Stary Zegar zaczął wybijać jedenastą.
Spojrzeli z Wylanem po sobie. Nie mieli więcej czasu.
Jesper zerwał się na równe nogi i z grubsza otrzepał twarz i koszulę z opiłków. Czy łańcuch wytrzyma dostatecznie długo? A może zbyt długo? Okaze się.
– Na pozycje – zakomenderował.
Wylan stanął przy prawej korbie, Jesper ujął w dłonie lewą.
– Gotowy na dźwięk nieuchronnej zagłady? – zapytał.

– Powinieneś usłyszeć, jak mój ojciec się wścieka.

– Twoje poczucie humoru coraz lepiej pasuje do Baryłki. Jeżeli przeżyjemy, nauczę cię przeklinać. A teraz: na mój znak. Niech Lodowy Dwór wie, że Szumowiny wpadły z wizytą.

Jesper odliczył od trzech wstecz i razem zaczęli kręcić kołowrotem. Nie spuszczać z oka osłabionego ogniwa łańcucha, starali się zachować zgodny rytm. Jesper spodziewał się ogłuszającego łoskotu i zgrzytu, tymczasem – nie licząc sporadycznych skrzypnięć i szczęknięć – maszyna działała bezgłośnie.

Brama w pierścieniu murów powoli zaczęła się podnosić. Pięć cali. Dziesięć.

Może nic się nie stanie, pomyślał Jesper. Może Matthias kłamał albo w ogóle całe to gadanie o Czarnym Protokole to jedna wielka bzdura, wymyślona tylko po to, żeby nikomu nie przyszło do głowy otworzyć bramy.

Nagle Stary Zegar rozdzwonił się panicznym jazgotem: zwielokrotnione echem bicie dzwonów narosło jak wezbrana fala i spiętrzone dźwięki poniosły się ponad Białą Wyspą, skutą lodem fosą i murem. Ogłoszono Czarny Protokół. Nie było już odwrotu.

Jesper i Wylan jednocześnie puścili korby kołowrotu, brama opadła z łoskotem, ale łańcuch nie pękł.

– No dalej... – zachęcał Jesper upartą stal.

Lepszy fabrykator pewnie szybciej by sobie z tym poradził, a fabrykator naszprycowany *jurda parem* mógłby przerobić ogniwa łańcucha na noże do steków i jeszcze by zdążył wypić kawę – ale Jesper nie był ani jednym, ani drugim, a na dodatek miał już dość subtelności. Chwycił łańcuch i uwiesił się na nim całym ciężarem. Wylan zrobił to samo i przez chwilę wisieli tak we dwóch na łańcuchu, niczym para szurniętych wiewiórek, które nie nauczyły się wspinać po drzewach. W każdej chwili na dziedzińcu mogło się zaroić od strażników i Jesper z Wylanem powinni móc zostawić to draństwo w diabły, żeby się bronić. Tymczasem brama działała w najlepsze. Plan się nie powiódł.

– Może powinniśmy coś zaśpiewać – burknął bezradnie Jesper.
I wtedy właśnie osłabione ogniwo jęknęło po raz ostatni i pękło.

Upadli na podłogę, łańcuch prześliznął im się między palcami i jedna jego końcówka zniknęła w otworze w ścianie. Kołowrót zawirował jak szalony.

– Udało się! – wykrzyknął Jesper, zagłuszając dzwony, zarazem podekscytowany i przerażony. – Zajmij się kołowrotem. Będę cię osłaniał.

Wziął do rąk karabin, zajął pozycję przy szczelinie strzelniczej wychodzącej na dziedziniec i czekał, aż rozpęta się piekło.



Godzina dziesiąta i dwa kwadrans

– Długo każecie nam tak czekać? – zapytał mężczyzna odziany w aksamit koloru wina.

Strażnik udał, że go nie słyszy, ale inni goście zgromadzeni wraz z Inej przy wejściu, zawtórowali mu gniewnymi pomrukami.

– Podróż do Lodowego Dworu wymagała znacznych nakładów finansowych – ciągnął urażony jegomość – i z całą pewnością nie przybyłem tu po to, żeby stać przy drzwiach!

– Obsada posterunku zajmuje się innymi gośćmi – odparł znużonym, monotonnym głosem najbliższy stojący strażnik. – Gdy tylko będzie wolna, zostaniecie wyprowadzeni poza mur i tam zatrzymani do czasu zweryfikowania waszej tożsamości.

– Zatrzymani! – powtórzył z irytacją mężczyzna w aksamitach. – Jak przestępcy!

Takie i podobne wymiany zdań Inej słyszała już od blisko godziny. Wyjrzała na dziedziniec. Jeśli mimo przeszkód chciała zrealizować swój plan, musiała zachować spokój i trzeźwość umysłu. Tyle że to już nie był jej plan i była bardzo daleka od

zachowania spokoju. Optymizm i pewność siebie, jakie jeszcze niedawno ją przepełniały, ulotniły się bez śladu. Czekwała, obserwując tłum, a czas płynął. Kiedy wybił trzeci kwadrans, wiedziała już, że dłużej czekać nie może. Musi działać.

– Mam tego dość – powiedziała głośno. – Albo zabierzcie nas na posterunek, albo wypuście.

– Obsada posterunku...

Inej przepchnęła się na czoło grupy.

– Mamy dość tej gadki. Wyprowadźcie nas za bramę i miejmy to z głowy.

– Milcz – uciszyła ją strażnik. – Jesteście tu gośćmi.

Dźgnęła go palcem w pierś.

– Więc traktujcie nas jak gości – warknęła, siląc się na imitację Niny. – Żądam, żebyście natychmiast odprowadzili nas do bramy, ty jasnowłosy dryblasie.

Strażnik złapał ją za rękę.

– Tak ci śpieszno do bramy? Proszę bardzo, chodźmy. Zaręczam jednak, że już tu nie wrócisz.

– Ja tylko...

– Stać! – poniósł się po rotundzie inny głos. – Ej, wy tam, powiedziałam: stać!

Inej poczuła znajomy aromat: perfumy o zapachu lilii, intensywna kremowa woń, gęsta i złocista.

Zrobiło jej się niedobrze.

Heleen Van Houden – właścicielka Menażerii, Egzotycznego Domu, gdzie za odpowiednią cenę można było mieć cały świat – przeciskała się przez ciżbę.

Czyż Inej nie wspomniała, że Tante Heleen uwielbia mieć efektowne wejście?

Zaskoczony strażnik znieruchomiał.

– Szanowna pani, zwrócimy pani dziewczynę, zanim noc dobiegnie końca – zapewnił Heleen, gdy ta stanęła przed nim. – Jej dokumenty...

– To nie jest moja dziewczyna. – Heleen zmrużyła ze złością oczy. Inej stała nieruchomo, ale nawet ona nie potrafiła zniknąć

bez śladu, gdy nie było gdzie się skryć. – To Zjawa, prawa ręka Kaza Brekkera i jedna z najbardziej niesławnych kryminalistek w całym Ketterdamie.

Wszyscy dookoła z niedowierzaniem spoglądali w ich stronę.

– Jak śmiesz przybywać tu pod auspicjami mojego Egzotycznego Domu? – wysyczała Heleen. – Domu, który cię przyodział i wykarmił? I gdzie jest Adjala?

Inej otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale ani jedno słowo nie chciało przejść przez jej zaciśnięte w przyływie paniki gardło. Język wydał się Inej odrętwiały i bezużyteczny. Oto po raz kolejny musiała spojrzeć w oczy kobiety, która ją biła i jej groziła; która kupiła ją jeden raz, by potem wielokrotnie sprzedawać.

Heleen złapała ją za ramiona i potrząsnęła.

– Gdzie moja dziewczyna?

Inej spojrzała na palce wbijające się w jej ciało i przez ułamek sekundy poczuła, jak wracają wspomnienia dawnych koszmarów; naprawdę stała się zjawą, duchem chcącym uciec od ciała, które przynosi tylko ból.

Właśnie, że nie. To ciało dało jej siłę. To ciało poniosło ją po dachach Ketterdamu, dobrze służyło jej w walce, pozwoliło się wspiać sześć kondygnacji w poczernionym sadzą kominie.

Złapała Heleen za nadgarstek i wykręciła go z całej siły. Heleen jęknęła, kolana się pod nią ugięły. Strażnicy rzucili się jej na pomoc.

– Wrzuciłam twoją dziewczynę do fosy – warknęła Inej. Ledwie poznawała swój głos. Drugą dłoń zacisnęła na gardle Heleen. – Będzie jej tam lepiej niż u ciebie.

Czyjeś silne ręce zaczęły ją szarpać, odciągać, odrywać od Heleen.

Dyszała ciężko, serce waliło jej jak szalone.

Mogłam ją zabić, myślała. Czułam pod palcami jej puls. Powinnam była ją zabić.

Heleen z wysiłkiem wstała, krztusząc się i pojękując. Teraz także goście pośpieszyli jej z pomocą.

– Jeżeli ona tu jest, to Brekker też! – wrzasnęła.

W tej samej chwili jakby na dany sygnał rozdzwoniły się dzwony obwieszczające Czarny Protokół, głośne i natarczywe. Oszołomiony tłum na sekundę zamarł.. a potem cała rotunda eksplodowała zgiełkiem i ruchem; dowódcy wykrzykiwali rozkazy, strażnicy pędzili na stanowiska.

Jeden z wartowników, wyglądający na kapitana, powiedział coś po fjerdańsku – Inej rozpoznała tylko słowo „więzienie” – po czym złapał ją za jedwabną pelerynę i przeszedł na kercheński:

– Kto jeszcze jest w twojej ekipie? Kto jest waszym celem?

– Nic nie powiem – odparła.

– Jeśli tylko zechcemy, będziesz nie tylko mówić, ale i śpiewać! Przyciszony śmiech Heleen aż pulsował złośliwą satysfakcją.

– Dopilnuję, żebyś zawisła. Ty i Brekker.

– Most zamknięty! – ogłosił ktoś. – Dzisiaj nikt już nie wejdzie na wyspę ani z niej nie zejdzie!

Rozzłoszczeni goście zaczęli domagać się wyjaśnień.

Strażnicy w asyście gapiów wywlekli Inej na dziedziniec i wyprowadzili za bramę w pierścieniu murów. Nikt już nie bawił się w uprzejmości i dyplomację. Dzwony hałasowały jak opętane.

– Zapowiedziałam ci, że jeszcze włożysz moje jedwabie, kocico! – dobiegł z dziedzińca głos Heleen.

Brama opadała, strażnicy szykowali się do jej zamknięcia w zgodzie z Czarnym Protokołem.

– A teraz trafisz w nich na szubienicę!

Nawet gdy brama zatrzasnęła się z hukiem, Inej mogłaby przysiąc, że wciąż słyszy śmiech Heleen.



Godzina dziesiąta i dwa kwadrans

Nina modliła się w duchu, żeby jej przerażenie nie zwróciło niczyjej uwagi. Czy Brum ją rozpoznał? Nic a nic się nie zmienił: długie złote włosy muśnięte na skroniach siwizną, szczupła szczęka, schludna broda, mundur *drüskelle* – czerń i srebro, na prawym rękawie wilczy łeb wyszyty srebrną nicią. Minał ponad rok, odkąd ostatnio go widziała, ale nie potrafiła zapomnieć ani tej twarzy, ani tych stanowczych niebieskich oczu. Kiedy poprzednio znalazła się w jego towarzystwie, w ładowni statku udzielał pochwał Matthiasowi i jego kompanom.

Matthias! Czy widział, jak Brum, jego dawny mentor, cały i zdrowy rozmawia z Niną? Czy obserwował ich w tej chwili? Z trudem powstrzymała się od rozglądania w poszukiwaniu jego i Kaza.

Wtedy, w ładowni, było ciemno, a ona stała w grupie brudnych i przerażonych więźniów. Teraz była czysta i pachnąca, zmieniła kolor włosów, upudrowała skórę. Nagle zaczęła się cieszyć, że ma na sobie ten absurdalny kostium. Brum był mężczyzną; jeśli Inej miała rację, zobaczy w Ninie po prostu

rudowłosą Kaelkę z bardzo głębokim dekoltem.

Dygnęła nisko i spod rzęs spojrzała na Bruma.

– Miło mi pana poznać.

Otaksował wzrokiem jej figurę.

– Jesteś z Egzotycznego Domu, prawda? *Kep ye nom?*

– *Nomme* Fianna – odparła po kaelsku. Czyżby ją sprawdzał? – Ale może mnie pan nazywać, jak się panu podoba.

– Zdaje się, że Kaelki z Menażerii noszą peleryny czerwonych klaczy?

Nina wygięła usta w podkówkę.

– Nasza Nowoziemka przydepnęła mi pelerynę i rąbek się oddał. Moim zdaniem zrobiła to celowo.

– Niegrzeczna... Może ją znajdziemy i ukarzymy?

Nina parsknęła wymuszonym śmiechem.

– Co pan proponuje?

– Mówi się, że kara powinna być stosowna do przestępstwa, ja jednak uważam, że przede wszystkim powinna być stosowna do przestępcy. Gdybyś była, pani, moim więźniem, chciałbym się dowiedzieć, co lubisz, czego nie lubisz, a także, rzecz jasna, czego się boisz.

– Ja? Jestem nieustraszona – odparła z porozumiewawczym mrugnięciem.

– Ach tak? To intrygujące. Fjerdanie wysoko cenią odwagę. Jak się pani podoba nasz kraj?

– Magiczne miejsce – rozplynęła się w zachwycie Nina.

O ile ktoś lubi lód, lód i lód.

Zebrała się na odwagę. Jeżeli ją rozpoznał, to równie dobrze mogła się o tym dowiedzieć teraz; a jeśli nie, to nadal musiała odszukać Bo Yul-Bayura – i z największą przyjemnością wyciągnie tę informację od legendarnego Jarla Bruma. Przynęła się do niego.

– Wie pan, jakie miejsce odwiedziłabym najchętniej?

– Chętnie poznam wszystkie pani sekrety – odparł Brum, dostosowując się do jej konspiracyjnego szeptu.

– Ravkę.

Drüskelle skrzywił się pogardliwie.

– Ravkę? To kraj bluźnierców i barbarzyńców.

– To prawda, ale zobaczyć griszę? Wyobraża pan sobie ten dreszczyk emocji?

– To żaden dreszczyk, zapewniam panią.

– Tak pan mówi, bo nosi pan znak wilka. To znaczy, że jest pan... *drüskelle*, zgadza się? – spytała, udając, że obce fjerdańskie słowo sprawia jej kłopot.

– Jestem ich dowódcą.

Nina wybałuszyła oczy.

– Musiał pan pokonać w walce niejednego griszę.

– Walka z tymi nikczemnikami nie przynosi honoru. Wolałbym stawić czoło tysiącowi porządnych ludzi uzbrojonych w miecze niż jednej z tych kłamliwych kreatur obdarzonych nadprzyrodzoną mocą.

Przybywacie do nas uzbrojeni w samopowtarzalne karabiny i czołgi, przypuszczacie atak na dzieci i bezbronne wioski, a potem dziwicie się, że używamy wszelkiej broni, jaką dysponujemy.

Nina przygryzła policzek.

– W Kerchu też są griszowie, prawda? – spytał Brum.

– Tak słyszałam, ale nigdy żadnego nie widziałam, ani w Menażerii, ani w ogóle w Baryłce. Przynajmniej nie świadomie.

Czy mogła zaryzykować wzmiankę o *jurdzie parem*? Skąd dziewczyna, za którą się podawała, mogłaby wiedzieć coś takiego? Pochyliła się, układając usta w kąśliwy, niegrzeczny uśmiezek; miała nadzieję, że dzięki temu wyda się żadna raczej emocji niż informacji.

– Wiem, że są potworni, ale... na myśl o nich przechodzi mnie dreszcz. Podobno ich moc nie zna granic.

– Cóż... – *Drüskelle* odchrząknął.

Było widać, że bije się z myślami. Czas na strategiczny odwrót.

Nina wzruszyła ramionami.

– Może to nie pańska specjalność.

Obejrzała się przez ramię. Wpadła w oko młodemu arystokracie w jasnoszarych jedwabkach.

– Chciałaby pani jeszcze dziś zobaczyć griszę?

Natychmiast odwróciła się z powrotem do Bruma.

Przydałoby mi się lustro, pomyślała.

Czy Brum osobiście odpowiadał za rozlokowanie przetrzymywanych griszów? Wprawdzie była zainteresowana tylko Bo Yul-Bayurem i *jurda parem*, ale może na początek wystarczy jej ogólniejsza wiedza. A gdyby została z Brumem sam na sam...

Oparła mu dłoń na piersi.

– Przekomarza się pan ze mną.

– Czy gdyby się pani stąd wymknęła, przełożona to zauważy?

– Po to tu jesteśmy, czyż nie? Żeby się wymykać.

Brum podsunął jej ramię.

– Chodźmy więc.

Uśmiechnęła się i oparła rękę na jego przedramieniu. Pogładził ją lekko.

– Grzeczna dziewczynka.

Zrobiło jej się niedobrze.

Może zrobić z niego impotentą? – rozmyślała ponuro, gdy wyszli z sali balowej i zagłębili się w spiętrzony las lodowych rzeźb: wilk trzymający w pysku krzyżującego orła, wąż opleciony wokół niedźwiedzia...

– Jakie to... pierwotne – mruknęła.

Brum zaśmiał się i znowu poklepał ją po ręce.

– Jesteśmy kulturą wojowników.

Czy zabicie go w tej chwili byłoby aż takie okropne? – rozmyślała Nina, gdy się tak przechadzali. Mogłabym upozorować atak serca i zostawić go tutaj, na zimnie.

Jeśli jednak, tolerując jego obleśne spojrzenia w głąb jej dekoltu, ocali świat przed *jurda parem*, to była gotowa to znieść. Jeszcze przez chwilę.

Poza tym, jeżeli Bo Yul-Bayur naprawdę znajduje się na tej zapomnianej przez świętych wyspie, to nie mogła znaleźć

lepszego przewodnika niż Brum. Strażnicy przy drzwiach przepuścili ich bez słowa, ograniczywszy się do uniesienia brwi i znaczących uśmiezków.

Na środku okrągłego dziedzińca rosło potężne srebrne drzewo, którego roziskrzona korona rozpościerała się daleko ponad kamiennymi płytami. Święty jesion, domyśliła się Nina. A zatem znaleźli się w samym sercu Białej Wyspy. Po obu bokach dziedzińca biegły półkoliste kolumnady; jeśli rysunki Matthiasa i Wylana nie kłamały, naprzeciwko musiał znajdować się skarbiec.

Zamiast jednak przejść przez dziedziniec, Brum skręcił w lewo na ścieżkę przy kolumnadzie. W tej samej chwili Ninie mignęła zmierzająca w stronę drzewa grupa zakapturzonych postaci.

– Kto to? – zainteresowała się, chociaż domyślała się, jaka będzie odpowiedź.

– *Drüskelle*.

– Nie powinien im pan towarzyszyć?

– W tej ceremonii młodzi bracia są witani przez starszych. To nie miejsce dla oficerów.

– Pan też ją przechodził?

– Wszystkich *drüskelle* w dziejach przyjmuje się do zakonu w taki właśnie sposób, odkąd Djel wyświęcił pierwszego z nas.

Nina powstrzymała się od przewrócenia oczami.

No tak, oczywiście: wielkie, obficie tryskające źródło samo z siebie wybrało jakiegoś gościa, żeby polował na niewinnych ludzi. Jakie to wiarygodne.

– Właśnie dla uczczenia tego faktu odbywa się Hringkälla – ciągnął Brum. – Co roku, jeśli tylko znajdą się godni tego kandydaci, *drüskelle* gromadzą się pod świętym jesionem, by jeszcze raz usłyszeć Głos Boga.

A Djel wam mówi, że jesteście fanatykami upajającymi się władzą. Wróćcie za rok.

– Ludzie zapominają, że to święta noc – mruknął Brum. – Przybywają do pałacu, żeby pić, tańczyć i spółkować.

Nina musiała się ugryźć w język. Biorąc pod uwagę jego

zainteresowanie jej dekoltem, nie spodziewała się po nim jakichś wybitnie świątobliwych myśli.

– A co w tym złego? – spytała przekornie.

Uśmiechnął się i ścisnął jej dłoń.

– Nic, jeśli tylko zachowa się umiar.

– Nie znam się na zachowywaniu umiaru.

– Widzę. Podobają mi się kobiety, które umieją się dobrze bawić.

Chętnie bym cię udusiła, pomyślała Nina, wodząc palcami po jego przedramieniu. Powoli.

Patrząc na Bruma, miała świadomość, że obwinia go nie tylko o krzywdy, jakie wyrządził jej pobratymcom, lecz także o to, co zrobił Matthiasowi. Wziął żalostnego, dzielnego chłopca i karmił go nienawiścią; uciszył jego sumienie uprzedzeniami i obietnicą boskiego powołania, które nie było zapewne niczym więcej jak wiatrem szeleszczącym w gałęziach wiekowego drzewa.

Dotarli do drugiego krańca kolumnady. Zdumiona Nina uświadomiła sobie, że Brum celowo poprowadził ją obrzeżem dziedzińca, jakby nie chciał kalać świętej przestrzeni obecnością dziwki.

Hipokryta.

– Dokąd idziemy? – zapytała.

– Do skarbcu.

– Zamierza mnie pan uwieść klejnotami?

– W wypadku takich dziewczyn uwodzenie jest chyba zbędne.

Nie mam racji?

Nina parsknęła śmiechem.

– Każda dziewczyna lubi, kiedy poświęca się jej uwagę.

– Tego pani nie zabraknie. Podobnie jak dreszczyku emocji, na którym tak pani zależało.

Czy Bo Yul-Bayur mógł być uwięziony w skarbcu? Kaz twierdził, że będą go trzymali w najbezpieczniejszym miejscu w całym Lodowym Dworze – mogło to oznaczać pałac, ale równie dobrze mogło oznaczać skarbiec. Czemu nie? Kolejna okrągła budowla z lśniącego białego kamienia, tyle że

pozbawiona okien, fikuśnych dekoracji i smoczych łusek. Wyglądała jak grobowiec. Przy masywnych drzwiach zamiast zwyczajnych wartowników straż pełnili dwaj *drüskelle*.

Nagle Nina z całą mocą odczuła brzemię tego, co zaplanowała. Została sam na sam z jednym z najgroźniejszych ludzi w Fjerdzie, który najchętniej poddałby ją torturom i zabił, gdyby tylko poznał jej prawdziwą tożsamość. Miała znaleźć kogoś, kto ujawni jej miejsce przetrzymywania Bo Yul-Bayura, a nie miziać się z najwyższym rangą *drüskelle* na całej Białej Wyspie. Powiodła wzrokiem po okolicznych ścieżkach, drzewach i żywopłocie sięgającym do skarbcza od wschodu; miała nadzieję wypatrzeć jakiś cień, ruch, stwierdzić, że ktoś jeszcze tam jest, że nie została całkiem sama. Kaz zaklinał się, że wyciągnie ją z wyspy, ale jego pierwotny plan diabli wzięli, więc także ten awaryjny mógł spalić na panewce.

Żołnierze nawet nie mrugnęli okiem na widok Bruma i Niny, ograniczywszy się do regulaminowego salut. Brum zdjął z szyi łańcuszek, na którym zawieszony był dziwny krążek. Wsunął krążek w ledwie widoczne zagłębienie w drzwiach i przekręcił. Nina podejrzliwie obserwowała zamek – coś takiego mogło przerastać nawet Kaza Brekkera.

Beczkowato sklepiony korytarz wejściowy był zimny, pozbawiony sprzętów i rozjaśniany takim samym ostrym światłem jak cele griszów w więzieniu. Żadnych lamp gazowych, żadnych świec; nic, czym szkwalnicy albo piekielnicy mogliby manipulować.

– Gdzie jesteśmy? – spytała Nina, mrużąc oczy.

– W starym skarbcu. Prawdziwy skarbiec został dawno przeniesiony, a tutaj urządziliśmy laboratorium.

Laboratorium. Na dźwięk tego słowa wnętrzości zapętleły się Ninie w lodowaty supeł.

– Po co? – zapytała.

– Jakaś ty dociekliwa, małeńka...

Jestem niewiele niższa od ciebie, pomyślała Nina.

– Skarbiec został ulokowany w dogodnym, dobrze

zabezpieczonym miejscu, więc taki wybór wydawał się logiczny – odparł Brum.

Słowa brzmiały niewinnie, lecz supeł zgrozy zacisnął się jeszcze mocniej, przypominał teraz zimną pięść napierającą od środka na pierś Niny. Zrównała się z Brumem, gdy mijali gładkie białe drzwi z wprawionymi małymi szybkami.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Brum, przystanawszy przed drzwiami, które na pozór niczym nie różniły się od pozostałych.

Nina zajrzała przez okienko. Wnętrze wyglądało tak samo jak wszystkie cele na najwyższej kondygnacji więzienia, z tą tylko różnicą, że pół ściany naprzeciw wejścia zajmowało ogromne lustro, zza którego można było obserwować więźnia. Młody chłopak w obszarpanej niebieskiej *kefcie* chodził niespokojnie po celi, mamrotał pod nosem i drapał się po rękach. Miał puste spojrzenie i proste włosy. Wyglądał jak Nestor tuż przed śmiercią.

Griszowie nie chorują, pomyślała Nina.

Ale to była choroba innego rodzaju.

– Nie wygląda zbyt groźnie – powiedziała.

Brum stanął za jej plecami. Poczowała na uchu jego gorący oddech, gdy odparł:

– Być może. Zapewniam jednak, że jest niebezpieczny.

Poczowała ciarki na plecach, ale delikatnie oparła się o Bruma.

– Co go tu czeka?

– Wieczność.

Odwróciła się i oparła mu rękę na piersi.

– Macie innych?

Brum parsknął z irytacją i zaprowadził ją do kolejnych drzwi. Dziewczyna leżała na ziemi na boku, zmierzwiłone włosy przesłaniały jej twarz. Była ubrana w brudną koszulę, całe ręce miała pokryte siniakami.

Brum zastukał głośno w szkło. Nina wzdrygnęła się przestraszona.

– No – mruknął – pokaż, że żyjesz.

Kiedy dziewczyna ani drgnęła, jego palec zawisł nad mosiężnym guzikiem wprawionym w drzwi obok okienka.

– Jeżeli naprawdę chce pani zobaczyć coś ciekawego, wystarczy, że nacisnę ten guzik.

– A co on robi?

– Piękne rzeczy. Wprost cudowne.

Nina domyślała się prawdy: przyciśnięcie guzika musiało powodować podanie więźniowi *jurdy parem*. Dla jej rozrywki.

Odciągnęła Bruma na bok.

– Nie trzeba – powiedziała.

– Myślałem, że chce pani zobaczyć, jak grisza używa swojej mocy.

– Ależ chcę, chcę. Tylko że ta dziewczyna wygląda tak niepozornie... Macie ich tu jeszcze więcej?

– Prawie trzydziestu.

Nina aż się wzdrygnęła. Druga Armia została wybita niemal do nogi podczas wojny domowej w Ravce. Trudno było jej znieść myśl, że blisko trzydziestka griszów tkwi tutaj, w fjerdańskim więzieniu.

– Wszyscy są w takim stanie?

Brum wzruszył ramionami i wy kierował ją w głąb korytarza.

– Jedni w lepszym, inni w gorszym... Jeśli znajdę jakiegoś bardziej ożywionego, co dostanę w nagrodę?

– Łatwiej mi będzie pokazać, niż powiedzieć – zamruczała w odpowiedzi Nina.

Miała dość oglądania głodzonych i przerażonych griszów. Szukała Yul-Bayurą, a Brum na pewno wiedział, gdzie go trzymają. Skarbiec był praktycznie pusty, w środku nie napotkali ani jednego strażnika. Gdyby udało jej się wylądować z Brumem w pustym korytarzu, na tyle daleko od wejścia, żeby wartownicy ich nie usłyszeli... Czy dałaby radę torturować zahartowanego w bojach *drüskelle*? Zmusić go do mówienia? Całkiem możliwe. Zatkąłaby mu nos, zgmiotła tchawicę... Parę minut walki o każdy oddech mogłoby go zmiękczyć.

– Może znajdziemy sobie jakiś zaciszny kącik? –

zapropowała.

Brum wypiął pierś.

– Tędy, *dirre* – powiedział, używając kaelskiego słowa oznaczającego „ukochaną”.

Przeszli pustym korytarzem, na którego końcu otworzył okrągłym kluczem kolejne drzwi.

– Tu powinno być w sam raz. – Ukłonił się lekko. – Odrobina prywatności i szczypta uroku.

Nina mrugnęła porozumiewawczo, wyminęła go i kołysząc biodrami, weszła do pomieszczenia. Spodziewała się znaleźć w kantorku albo świetlicy dla strażników, tymczasem w środku nie było ani biurka, ani łóżka – pokój był pusty, tylko na samym środku znajdował się odpływ w podłodze.

Okręciła się na pięcie w samą porę, żeby zobaczyć zatraskujące jej się przed nosem drzwi.

– Nie! – wykrzyknęła, drapiąc drzwi. Nie miały klamki.

W okienku pojawiła się twarz Bruma. Był bardzo zadowolony z siebie i mierzył ją lodowatym wzrokiem.

– Z tym urokiem trochę przesadziłem, ale prywatności z pewnością ci nie braknie, Nino.

Odskoczyła od drzwi.

– Bo tak się właśnie nazywasz, mam rację? Naprawdę myślałaś, że cię nie rozpoznam? Pamiętam twoją zawziętą buźkę ze statku. Poza tym każdy aktywny grisza w Ravce ma u nas swoją teczkę, a ja stawiam sobie za punkt honoru znajomość wszystkich akt, nawet jeśli odnoszą się do ludzi, co do których mam nadzieję, że morze ich pochłoneło.

Nina uniosła ręce.

– Śmiało. Rozsadź mi oczy. Zmiażdż mi serce w piersi. Drzwi i tak się nie otworzą, a przez czas, którego będziesz potrzebowała, żeby wpłynąć na moje tętno, ja zdążę wcisnąć ten guzik.

Nie widziała mosiężnego guzika, ale z powodzeniem mogła sobie wyobrazić, jak Brum trzyma nad nim palec.

– Wiesz, co on robi? Już widziałas efekty działania *jurdy*

parem. Chcesz je także odczuć? W postaci sproszkowanej jest niezwykle skuteczna, w gazowej jeszcze bardziej.

Nina zamarła w bezruchu.

– Bystra dziewczynka.

Jego uśmiech przyprawiał ją o gęsią skórkę. Nie będę błagać, obiecała sobie w duchu – ale wiedziała, że to nieprawda. Kiedy narkotyk znajdzie się w jej organizmie, nic nie będzie w stanie go powstrzymać. Nabrała haust świeżego powietrza. Próżny gest, wręcz dziecinny, ale zamierzała wstrzymać oddech, jak długo da radę.

– Ale nie – odezwał się wtedy Brum. – To nie moja zemsta. Jest tu ktoś jeszcze, kto jest ci winien znacznie więcej.

Zniknął, a po chwili w okienku pojawiła się twarz Matthiasa. Zmierzył Ninę zawziętym spojrzeniem.

– Jak to...? – wyszeptała. Nawet nie wiedziała, czy słyszą ją przez te drzwi.

– Naprawdę spodziewałaś się, że zwrócę się przeciwko swojemu ludowi? – Głos Matthiasa wprost ociekał wzdrganiem. – Że sprzeniewierzę się sprawie, której poświęciłem życie? Przy pierwszej okazji ostrzegłem Bruma.

– Ale powiedziałeś...

– Naród jest ważniejszy niż jednostka, Zenik. Nigdy nie potrafiłaś tego zrozumieć.

Nina przytknęła dłoń do ust.

– Może już nie będę *drüskelle*, może przyjdzie mi żyć z piętnem łowcy niewolników, ale znajdę inny sposób, żeby służyć Fjerdzie. I dopilnuję, żeby naszprycowano cię *jurda parem*. Na własne oczy zobaczę, jak mordujesz swoich i błagasz o kolejną działkę; jak zdradzasz tych, których kochasz, tak jak mnie kazałaś zdradzić tych, których kochałem.

– Matthias...

Uderzył pięścią w szkło.

– Nie waż się wypowiadać mojego imienia. – Uśmiechnął się, lecz był to uśmiech zimny i okrutny jak północne morze. – Witaj w Lodowym Dworze, Nino Zenik. Jesteśmy kwita.

Na zewnątrz rozdzwoniły się dzwony Czarnego Protokołu.



Godzina jedenasta

– Jest piękna – przyznał Brum. – W taki... przesadny sposób. Musisz być silny, skoro jej nie uległeś.

A jednak uległem, pomyślał Matthias. I to nie tylko przez jej urodę.

– Ten alarm... – powiedział.

– To zapewne sprawka jej pobratymców.

– Ale...

– Moi ludzie się tym zajmą, Matthiasie. Lodowy Dwór jest bezpieczny. – Brum obejrzał się na drzwi celi. – Moglibyśmy od razu wcisnąć ten guzik.

– Nie stanie się wtedy niebezpieczna?

– Połączyliśmy *jurdę parem* ze środkiem uspokajającym, dzięki temu robią się bardziej ulegli. Nie opracowaliśmy jeszcze optymalnego składu mieszanki, ale prace trwają. Poza tym już przy drugiej dawce samo uzależnienie wystarczy, żeby ich kontrolować.

– Przy drugiej? Nie przy pierwszej?

– Zależy od griszy.

– Ile razy robił pan coś takiego?

Brum parsknął śmiechem.

– Nie liczyłem. Ale możesz mi wierzyć: będzie tak rozpaczliwie pragnąć *jurdy parem*, że nie odważy się wystąpić przeciwko nam. To naprawdę niezwykła przemiana. Powinna ci się spodobać.

Żołądek zacisnął się Matthiasowi w supeł.

– Czy to znaczy, że zachowaliście tego uczzonego przy życiu?

– Stara się odtworzyć proces pozyskania narkotyku, ale sprawa jest skomplikowana: jedne partie działają jak trzeba, inne są bezużyteczne jak kurz. Dopóki może być dla nas użyteczny, będzie żył. – Brum położył Matthiasowi dłoń na ramieniu. Jego spojrzenie złagodniało. – Wprost nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś; że stoisz przede mną cały i zdrowy. Myślałem, że nie żyjesz.

– Ja tak samo myślałem o panu.

– Kiedy cię zobaczyłem w sali balowej, ledwie cię rozpoznałem. Mimo munduru. Tak się zmieniłeś...

– Czarownica musiała mnie przeformować. Nie miałem wyjścia.

Brum skrzywił się z obrzydzeniem.

– Pozwoliłeś, żeby cię...

Widząc tę reakcję u drugiego człowieka, Matthias nagle zawstydził się swojego zachowania na widok Niny.

– Musiałem. Inaczej by nie uwierzyła, że jestem oddany jej sprawie.

– To już skończone, Matthiasie. Jesteś teraz bezpieczny wśród swoich. – Brum zmarszczył brwi. – Widzę jednak, że coś cię trapi...

Idąc obok niego, Matthias zaglądał do kolejnych cel. Niektórzy griszowie przechadzali się z ożywieniem, inni tkwili z twarzami przyciśniętymi do okienek w drzwiach, jeszcze inni po prostu leżeli nieruchomo na podłodze.

– O *parem* wiadomo najwyżej od miesiąca... Kiedy powstała ta placówka?

– Kazałem ją zbudować prawie piętnaście lat temu. Król i rada udzielili mi błogosławieństwa.

– Piętnaście lat temu? – Matthias stanął jak wryty. – Ale po co?

– Potrzebowaliśmy miejsca, w którym można by przetrzymywać griszów po procesie.

– Jak to po procesie? Przecież winni są skazywani na śmierć.

Brum wzruszył ramionami.

– Pobyt tutaj to też wyrok śmierci, po prostu jego wykonanie trwa nieco dłużej. A nie od dziś wiadomo, że griszowie bywają użyteczni.

Użyteczni.

– Mówił mi pan, że należy ich wyplenić. Że są zarazą, skazą w świecie natury.

– Bo są, kiedy próbują udawać ludzi. Z natury są nieprawomyślni; nie wiedzą, co to ludzka moralność. Dlatego należy ich kontrolować.

– To dlatego chcieliście mieć *parem*? – spytał z niedowierzaniem Matthias.

– Od lat prowadziliśmy własne próby. Z różnym skutkiem.

– Ale widział pan przecież, co potrafi *jurda parem*; do czego jest zdolny grisza pod jej wpływem...

– Pistolet nie jest zły sam z siebie. Miecz również. A *jurda parem* jest gwarantem posłuszeństwa griszów. Dzięki niej stają się tym, czym zawsze mieli być.

– Drugą Armią? – spytał Matthias głosem ociekającym pogardą.

– Armia składa się z żołnierzy, a te istoty to broń. Ich przeznaczeniem jest służyć żołnierzom Djela. – Brum uścisnął jego ramię. – Ach, Matthiasie, bardzo mi cię brakowało. Twoja wiara była zawsze taka czysta... Cieszę się, że z taką niechęcią traktujesz te nasze poczynania, ale to dla nas szansa, by zadać śmiertelny cios. Wiesz, dlaczego tak trudno jest zabić griszów? Bo nie pochodzą z tego świata. Za to doskonale wychodzi im zabijanie siebie nawzajem. Jak to mówią: swój pozna swego. Poczekaj, aż odkryjesz wszystkie nasze osiągnięcia. Poczekaj, aż

zobaczysz broń skonstruowaną dla nas przez fabrykatorów.

Matthias spojrział w głąb korytarza.

– Nina Zenik przez rok negocjowała w Kerchu moje uwolnienie. Potwory się tak nie zachowują.

– Czy żmija może leżeć spokojnie, nim ukąsi? Czy zdziczały pies może lizać twoją dłoń, zanim rzuci ci się do gardła? Nawet jeśli grisza jest zdolny do aktów dobroci, nie zmienia to jego zasadniczej natury.

Matthias przetrawił jego słowa. Myślał o Ninie, która z przerażeniem patrzyła, jak zatraskują się za nią drzwi celi. Od dawna chciał zobaczyć, jak zostaje uwięziona i ukarana, tak jak on został ukarany – a zarazem po wszystkim, co razem przeszli, przejmujący ból, jaki towarzyszył spełnieniu tych marzeń, wcale go nie dziwił.

– Jaki jest ten uczonec z Shu Hanu? – spytał Bruma.

– Uparty. Wciąż opłakuje ojca.

Matthias nic nie wiedział o ojcu Yul-Bayura, ale cisnęło mu się na usta inne, ważniejsze pytanie.

– Czy jest bezpieczny?

– Skarbiec to najbezpieczniejsze miejsce na wyspie.

– Trzymacie go tutaj? Z griszami?

Brum pokiwał głową.

– Urządziliśmy mu pracownię w głównej komorze skarbcza.

– I jesteście pewni, że to bezpieczne miejsce?

– Ja mam jedyny klucz – Brum poklepał zawieszony na szyi krążek – a on jest strzeżony dniem i nocą. Dosłownie garstka ludzi wie, że go tu przetrzymujemy. Posłuchaj, zrobiło się późno, a ja muszę jeszcze dopilnować wypełnienia zaleceń Czarnego Protokołu, ale jeśli chcesz, jutro mogę cię do niego zabrać. – Objął Matthiasa ramieniem. – Jutro też zajmiemy się przywróceniem cię do służby.

– Nadal jestem oskarżony o handel niewolnikami.

– Zmusimy dziewczynę do wycofania zarzutów, to żaden problem. Zapewniam cię, że po tym, jak posmakuje *jurdy parem*, zrobi wszystko, o co poprosisz. A nawet więcej. Owszem, czeka

cię oficjalne przesłuchanie, ale zaręczam ci, Matthiasie, że znów będziesz nosił barwy *drüskelle*.

Barwy *drüskelle*. Kiedyś nosił je z wielką dumą, a to, co czuł do Niny, napawało go wielkim wstydem. Nie zapomniał o tym i może już nigdy nie zapomni; zbyt długo żył nienawiścią, żeby z dnia na dzień się jej wyzbyć – teraz jednak odczuwał zaledwie cień tamtego wstydu, nad którym górę brał żal. Smutkiem napawał go stracony czas, ból, którego przysporzył innym, a także to, co zamierzał zrobić teraz.

Odwrócił się do Bruma, swojego mistrza, który stał się dla niego jak ojciec. Kiedy stracił rodzinę, to Brum zwerbował go do *drüskelle* – młodego, gniewnego i zupełnie niewyszkolonego. I Matthias całym swoim złamanym sercem poświęcił się sprawie. Fałszywej sprawie. Kłamstwu. Kiedy przejrzał na oczy? Wtedy, gdy pomógł Ninie pogrzebać przyjaciela? Gdy walczyli ramię w ramię? A może dużo, dużo wcześniej, gdy w pierwszą noc na łodzi spała w jego ramionach? Albo gdy ocaliła go z katastrofy statku?

Owszem, oszukała go, ale zrobiła to po to, by chronić swoich pobratymców; zraniła go, lecz potem zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby mu to wynagrodzić. Na tysiąc sposobów dowiodła, że jest honorowa, silna, wielkoduszna i nadzwyczaj ludzka, jak chyba nikt inny w jego życiu. A skoro tak, to griszowie nie mogli być z natury źli. Byli tacy sami jak inni ludzie: mieli potencjał do czynienia zarówno wielkiego dobra, jak i wielkiego zła. Gdyby to zignorował, sam stałby się potworem.

– Wiele mnie pan nauczył – powiedział do Bruma. – Nauczyłem się cenić honor i siłę. Dał mi pan do ręki narzędzia zemsty, kiedy najbardziej ich potrzebowałem.

– I tymi narzędziami zbudujemy wspaniałą przyszłość, Matthiasie. Wreszcie nastał czas Fjerdy.

Matthias również objął Bruma.

– Nie wiem – powiedział półgłosem Matthias – czy myli się pan co do wszystkich griszów, ale wiem, że myli się pan co do niej.

Zmiażdżył Bruma w uścisku, którego nauczył się

w dźwięczących echem salach twierdzy *drüskelle* – salach, których już nigdy nie ujrzy. Brum szarpał się i wyrывał, ale po chwili jego ciało zwiotczało. Zanim Matthias rozluźnił uścisk, jego przełożony stracił przytomność. Zastygła na twarzy Bruma złość nie mogła być wytworem wyobraźni Matthiasa, który wyrzył ją sobie trwale w pamięci. O tak, powinien zapamiętać ten wyraz twarzy. Teraz stał się prawdziwym zdrajcą i powinien dźwigać brzemię zdrady.

Gdy tylko dotarli z Kazem do sali balowej, znaleźli sobie dyskretny kąt w pobliżu schodów. Obserwowali Ninę w tej jej absurdalnej sukni z mieniących się łusek – i właśnie wtedy Matthias dostrzegł i rozpoznał Bruma. Na widok dawnego mentora zdjęła go zgroza, która jeszcze się wzmogła, gdy sobie uświadomił, że Brum podąża krok w krok za Niną.

– Brum wie – powiedział do Kaza. – Musimy jej pomóc.

– Jeżeli sprytnie to rozegrasz, Helvar, możesz upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: ocalisz Ninę i przy okazji dasz nam Yul-Bayura.

Matthias skinął głową i przepadł w tłumie.

– Przyzwoitość... – usłyszał jeszcze za plecami mruknięcie Kaza. – Jak tania woda kolońska.

Dogonił Bruma przy schodach.

– Panie dowódco...

– Nie teraz.

Był zmuszony zastąpić mu drogę.

– Panie dowódco.

Tym razem Brum się zatrzymał. Na jego twarzy odmalowała się najpierw złość, że ktoś śmie mu przeszkadzać, potem dezorientacja, na koniec zdumienie przemieszanie z niedowierzaniem.

– Matthias? – wyszeptał.

– Wszystko wytłumaczę, proszę tylko o chwilę uwagi. Jest tu grisza, która zamierza zabić jednego z więźniów. Proszę mnie wysłuchać: znam szczegóły jej planu i wiem, jak ją powstrzymać.

Brum skinął na innego *drüskelle*, nakazując mu mieć baczenie

na Ninę, a sam zaprowadził Matthiasa do niszy pod schodami.

– Mów.

Matthias powiedział mu prawdę, a właściwie jej skrawek: jak uciekł z rozbitego statku i omal nie utonął, jak został przez Ninę fałszywie oskarżony o handel niewolnikami, uwięziony we Wrotach Piekieł, i jak obiecano mu ułaskawienie. Winą za wszystko obarczył Ninę, ani słowem nie wspomniawszy o Kazie i pozostałych; kiedy Brum zapytał, czy Nina przybyła sama, odparł, że nie wie.

– Spodziewa się, że ją przeprowadzę przez tajemny most. Przy pierwszej okazji zgubiłem ją i przyszedłem do pana.

Był trochę zniesmaczony, że kłamstwa przychodzą mu z taką łatwością, ale nie zamierzał zostawić Niny zdanej na łaskę Bruma.

Spojrzał teraz na niego, nieprzytomnego, z półotwartymi ustami. Jedną z rzeczy, którą bardzo wysoko cenił u swojego nauczyciela, była jego bezwzględność, gotowość do podejmowania trudnych decyzji w imię wyższego dobra. Jednakże Brum czerpał przyjemność z tego, co robił griszom – i co chętnie zrobiłby Ninie albo Jesperowi. Może te trudne decyzje wcale nie były dla niego aż tak trudne jak dla Matthiasa; może zamiast być świętym obowiązkiem, spełnianym niechętnie dla dobra Fjerdy, stanowiły dla Bruma źródło radości.

Zdjął Brumowi z szyi klucz i zaciągnął nieprzytomnego do pustej celi, gdzie posadził go pod ścianą. Nie podobało mu się, że musi go zostawić w takim stanie: z głową zwieszoną na piersi i rozrzuconymi nogami, bez cienia godności – tak jak nie podobała mu się myśl o tym, jakim wstydem napełni starego wojownika świadomość, że został zdradzony przez człowieka, którego obdarzył miłością i zaufaniem. Sam doskonale znał ten ból.

Na krótką chwilę przytknął czoło do czoła Bruma. Wiedział, że jego mentor go nie słyszy, lecz mimo to przemówił na głos:

– Życie, które wieszysz, nienawiść, którą czujesz... to trucizna, której nie mogę dłużej pić.

Zamknął drzwi na zamek i pośpieszył do Niny.
Do czegoś więcej.



Godzina jedenasta

Jesper zajął pozycję przy otworze strzelniczym w murze – w idealnym miejscu dla takiego chłopaka jak on.

Co myśmy właściwie zrobili? – zastanawiał się, ale mimo to krew żywo tętniła mu w żyłach, a odkąd przyłożył karabin do ramienia, świat znów nabrał sensu. Gdzie się podzieli strażnicy? Spodziewał się, że wypadną na dziedziniec, gdy tylko on z Wylanem spowodują ogłoszenie Czarnego Protokołu.

– Mam! – zawołał Wylan za jego plecami.

Jesper wcale nie miał ochoty rezygnować z dogodnego stanowiska, dopóki się nie dowie, z czym dokładnie mają do czynienia, ale czas naglił i musieli jak najszybciej wydostać się na dach.

– Dobra, idziemy.

Zbiegli po schodach i już, już mieli wybiec z tunelu bramy, gdy na dziedzińcu pojawiło się sześciu strażników. Jesper wyhamował i gestem powstrzymał Wylana.

– Zawracamy.

Wylan wyciągnął rękę i wskazał coś po drugiej stronie

dziedzińca.

– Patrz.

Strażnicy wcale nie biegli do wartowni: ich uwagę przykuł mężczyzna w oliwkowych szatach stojący przy jednej z kamiennych płyt.

Ten strój...

Przez ścianę przeszła kobieta – sylwetka utkana z migotliwej mgły, która zmaterializowała się tuż obok pierwszego intruza. Miała na sobie taką samą szatę.

– Akwatycy – powiedział Wylan.

– Z Shu Hanu.

Strażnicy otworzyli ogień. Akwatycy zniknęli, a potem pojawili się za plecami żołnierzy i szeroko rozpostarli ramiona.

Strażnicy wypuścili z wrzaskiem broń z rąk. Otoczyła ich rdzawa mgiełka. W miarę jak mgła gęstniała, ciała strażników zaczęły się obkurczać na kościach.

– To ich krew – powiedział Jesper. Żołądek podszedł mu do gardła. – Na wszystkich świętych, akwatycy wyciskają z nich krew!

Jakby wyciskali sok z owoców.

Krew skupiła się w człekokształtne sylwetki, unoszące się w powietrzu niczym lśniące cienie koloru mokrych rubinów – a potem rozlała się po dziedzińcu w tej samej chwili, gdy strażnicy runęli na ziemię. Luźna skóra zwisała w groteskowych fałdach z ich wysuszonych ciał.

– Cofamy się na schody – wyszeptał Jesper. – Musimy uciekać.

Było już jednak za późno. Akwatyczka zniknęła im z oczu, by w następnej chwili zmaterializować się na schodach: zaparłszy się rękami o poręcz, obiema obutymi stopami grzmotnęła Wylana w pierś, zepchnęła go na Jespera i obaj potoczyli się po dziedzińcu.

Coś wyszarpnęło Jesperowi karabin z ręki i broń zaklekotała na czarnym kamieniu. Kiedy próbował wstać, oberwał w potylicę i upadł. Leżąc obok Wylana, patrzył na stojących nad nimi akwatyków: unieśli ręce i nad głową Jespera zamajaczyła

ledwie widoczna czerwona mgiełka. A więc z niego też wycisną krew. Poczuł, jak opuszczają go siły. Zerknął w lewo, ale karabin znalazł się poza jego zasięgiem.

– Jesper... – stęknął Wylan. – Metal. Jesteś fabrykatorem.

I zaczął krzyczeć.

W przebłysku geniuszu Jesper zrozumiał, o co mu chodziło. Tej walki nie mógł wygrać za pomocą karabinu. Nie było czasu na myślenie, nie było czasu na wątpliwości.

Nie bacząc na rozdzierający skórę ból, skoncentrował się na wczepionych w ubranie metalowych drobinkach – opiłkach i wiórach z pękniętego ogniwa łańcucha w wartowni. Nie był najlepszym fabrykatorem, ale oni w ogóle nie spodziewali się fabrykatora. Gwałtownym gestem wyciągnął ręce przed siebie i skrawki metalu opadły z jego ubrania, na ułamek sekundy zawisły w powietrzu, tworząc lśniącą chmurę, a potem wystrzeliły na spotkanie akwatyków.

Kobieta krzyknęła przeraźliwie, gdy metal wżarł się w jej ciało, i spróbowała zmienić się w mgłę. Jej wspólnik zrobił to samo: jego twarz nagle zaczęła się rozpływać, lecz po chwili stężała, cała szara, naszpikowana cząstkami metalu. A Jesper nie ustępował: drążył, wbijał metal coraz głębiej, szukał, dosiegał żywotnych organów... i czuł, jak akwatycy próbują tym metalem manipulować. I gdyby to były pociski albo ostrza, to może by im się udało – drobinki były jednak zbyt małe i zbyt liczne. Kobieta złapała się za brzuch i osunęła na kolana. Mężczyzna wył z bólu, plując zgęstniałą od opiłków krwią.

– Pomocy... – zaszlochała akwatyczka. Kontury jej sylwetki rozmywały się, całe ciało zawibrowało, gdy usiłowała przeobrazić się w mgłę.

Jesper opuścił ręce i razem z Wylanem odskoczyli od wijących się w mękach griszów.

Czy oni umierali? Czy właśnie zabił dwoje swoich? Chciał tylko żyć. Przed oczami znów stanęła mu tamta chorągiew na ścianie, skrawki czerwieni, błękitu i fioletu.

Wylan pociągnął go za rękę. Jego twarz wydawała się lekko

przezroczysta, jakby żyły znalazły się zbyt blisko powierzchni skóry.

– Jesper, musimy uciekać.

Wolno pokiwał głową.

– Rusz się! – ponaglił go Wylan.

Jesper zmusił się do przestawienia stóp, poszedł za Wylanem i w ślad za nim wspiął się po linie na dach. Był osłabiony, kręciło mu się w głowie. Wiedział, że pozostali na niego liczą, nie mógł się poddać, ale czuł, że tam, na dole, na tym dziedzińcu, zostawił jakąś ważną część siebie, której nie przypisywał większego znaczenia. Zwiewną jak mgła.



Godzina jedenasta i kwadrans

Kiedy Matthias otworzył drzwi celi, Nina się zawahała. Nic nie mogła na to poradzić. Do końca życia miała pamiętać jego twarz w okienku w drzwiach; wydał jej się taki okrutny i nappełnił jej serce zwątpieniem – i teraz, widząc go stojącego w progu, poczuła dokładnie to samo, co wtedy. Dopiero gdy wyciągnął do niej rękę, zorientowała się, że nie ma się czego bać.

Podbiegła do niego, a on porwał ją w ramiona.

Wtulił twarz w jej włosy. Poczuła przy uchu ruch jego warg, gdy wyszeptał:

– Nigdy więcej nie chcę cię takiej oglądać.

– Masz na myśli sukienkę czy więzienną celę?

Cały zatrzęsł się od śmiechu.

– Celę – odparł. – Zdecydowanie celę. – Ujął jej twarz w dłonie. – *Jer molle pe oonet. Enel mörd je nej afva trohem verret.*

Z trudem przełknęła ślinę. Pamiętała te słowa, wiedziała, co naprawdę znaczą.

„Zobowiązałem się cię chronić. Tylko śmierć powstrzyma mnie od wypełnienia tej przysięgi”.

Taką przysięgę *drüskelle* składali Fjerdzie. A teraz Matthias obiecał jej to samo.

Zdawała sobie sprawę, że powinna odpowiedzieć w jakiś piękny, głęboki sposób, ale zamiast tego powiedziała prawdę:

– Jeżeli ujdziemy stąd z życiem, wyciągnę cię do nieprzytomności.

Piękna twarz Matthiasa rozpromieniła się w uśmiechu. Nina nie mogła się doczekać, kiedy znów zobaczy prawdziwy błękit jego oczu.

– Yul-Bayur jest w głównej komorze skarbcza – powiedział. – Chodźmy.

Kiedy razem biegli korytarzem, w uszach dźwięczały im dzwony Czarnego Protokołu. Skoro Brum o niej wiedział, to mogli wiedzieć także inni *drüskelle*. Na pewno niedługo zaczną szukać swojego dowódcy.

– Proszę cię, powiedz mi, że Kaz się znowu nie zgubił – odezwała się.

– Zostawiłem go w sali balowej. Mamy się spotkać przy jesionie.

– Kiedy ostatni raz widziałam to drzewo, otaczali je *drüskelle*.

– Może Czarny Protokół załatwi to za nas.

– Jeśli nawet przeżyjemy spotkanie z *drüskelle*, na pewno nie przeżyjemy spotkania z Kazem. Nie po tym, jak zabijemy Yul-Bayura...

Matthias powstrzymał ją gestem uniesionej ręki. Przystanęli, powoli zbliżyli się do skrzyżowania korytarzy i ostrożnie wyszli zza rogu – a wtedy Nina błyskawicznie rozprawiła się ze strażnikiem przy drzwiach głównej komory. Matthias zabrał mu karabin, wsunął do zamka zabrany Brumowi klucz i okrągłe drzwi zaczęły się otwierać.

Nina wyciągnęła przed siebie rękę, gotowa do ataku, i oboje czekali z bijącym sercem, aż drzwi otworzą się do końca.

Znajdujące się za nimi pomieszczenie było białe (podobnie jak wszystkie komnaty w skarbcu), ale bynajmniej nie zabrakło w nim sprzętów: długie stoły były zastawione zlewkami,

podgrzewającymi je palnikami, chłodnicami, nagrzewnicami i fiolkami pełnymi proszków w różnych odcieniach pomarańczowej barwy. Całą jedną ścianę zajmowała łupkowa tablica pokryta wypisanymi kredą równaniami. Naprzeciwko stały szklane pojemniki (najprawdopodobniej podgrzewane, jak domyślała się Nina), zaopatrzone w metalowe drzwiczki i zawierające kwitnące *jurdy*. Pod trzecią ze ścian stało rozbebeszone łóżko, wokół którego walały się notatniki i luźne kartki papieru. Na łóżku siedział chłopak z Shu Hanu; na kolanach trzymał otwarty notes, ciemne włosy opadały mu na czoło. Mógł mieć najwyżej piętnaście lat.

– Nie chcemy zrobić ci krzywdy – zapewniła go Nina w języku shu. – Gdzie jest Bo Yul-Bayur?

Chłopiec odgarnął włosy przesłaniające złote oczy.

– Nie żyje – odparł.

Nina podejrzliwie zmarszczyła brwi. Czyżby Van Eck miał mylne informacje?

– To po co tu cały ten sprzęt?

– Przyszliście mnie zabić?

Nina nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

– *Sesh-uyeh?* – zaryzykowała.

Chłopak się rozluźnił.

– Jesteście z Kerchu – powiedział z wyraźną ulgą.

Nina pokiwała głową.

– Przyszliśmy uratować Bo Yul-Bayura.

Chłopak podciągnął kolana pod brodę i objął nogi ramionami.

– Mojego ojca nie da się uratować. Został zastrzelony, kiedy Fjerdanie próbowali uniemożliwić Kerchenom zabranie nas z Ahmrat Jen. – Głos mu się załamał. – Dostał się w krzyżowy ogień i zginął.

Mojego ojca.

Nina przełożyła słowa chłopca na użytek Matthiasa, próbując ogarnąć pełnię ich znaczenia.

– Nie żyje? – upewnił się Matthias i zgarbił się.

Nina wiedziała, co czuje: tyle przeszli, tyle wycierpieli, a Yul-

Bayur od początku nie żył.

Fjerdanie jednak nie bez powodu oszczędzili jego syna.

– Chcą, żebyś odtworzył recepturę – domyśliła się.

– Pomagałem mu w pracowni, ale nie wszystko pamiętam. – Chłopiec przygryzł wargę. – Poza tym celowo się nie śpieszę.

A zatem *jurda parem*, którą Fjerdanie podawali griszom, musiała pochodzić z pierwotnych zapasów wiezionych przez Yul-Bayura do Kerchu.

– Potrafisz to zrobić? – spytała Nina. – Potrafisz zrekonstruować recepturę?

– Tak mi się wydaje... – przyznał z wahaniem chłopak.

Nina z Matthiasem spojrzeli po sobie.

Przełknęła ślinę. Zabijała już wcześniej. Zabijała nawet dzisiaj, tego wieczoru, ale to było co innego. Ten chłopiec nie celował do niej z pistoletu ani nie próbował jej skrzywdzić. Zamordowanie go – bo to byłoby morderstwo – równałoby się także zdradzeniu Inej, Kaza, Jespera i Wylana, którzy w dalszym ciągu ryzykowali życie dla nagrody, której mieliby nie zobaczyć. Przypomniał jej się Nestor upadający bez życia w śnieg, a także cele zamieszkane przez griszów, których narkotyk skazywał na wieczną niedolę.

Podniosła rękę.

– Przykro mi. Jeżeli ci się powiedzie, spowodowanym przez ciebie cierpieniem nie będzie końca.

Chłopak nie spuścił wzroku. Dumnie uniósł podbródek, jakby od dawna wiedział, że taka chwila nadejdzie. Było oczywiste, co należy zrobić: zabić go szybko i bezboleśnie, a następnie zniszczyć pracownię i wszystko, co się w niej znajduje. Zetrzeć w proch tajemnicę *jurdy parem*. Kiedy chcesz zabić bluszcz, nie wystarczy regularnie przycinać mu pnączy: trzeba go wykorzenić.

A mimo to ręce jej się trzęsły. Czy nie tak właśnie rozumowali *drüskelle*? Zniszczyć zagrożenie, unicestwić je bez względu na fakt, że stojący przed nimi człowiek był niewinny?

– Nino – przemówił Matthias półgłosem – to jeszcze dziecko. Jeden z nas.

Jeden z nas.

Chłopak – niewiele młodszy od niej – niechętny dostał się w tryby wojny, w której wcale nie chciał brać udziału. I przetrwał.

– Jak ci na imię? – spytała.

– Kuwei.

– Kuweiu Yul-Bo... – zaczęła Nina. Co chciała zrobić: ogłosić wyrok? Przeprosić? Błagać o wybaczenie? Nigdy się tego nie dowie, bo kiedy odzyskała głos, zapytała: – Jak szybko mógłbyś zniszczyć to laboratorium?

– Szybko – odparł Kuwei.

Skinął ręką i płomień pod jedną ze zlewek strzelił błękitnym łukiem.

– Jesteś griszą. – Spojrzała na niego z niedowierzaniem. – Piekielnikiem.

Skinął głową.

– *Jurda parem* była błędem. Ojciec szukał sposobu, żeby pomóc mi ukryć moc. Był fabrykatorem, griszą, tak jak ja.

Ninie kręciło się w głowie: Bo Yul-Bayur ukrywający się na widoku w Shu Hanie... Nie miała teraz czasu, żeby należycie to przetrwać.

– Musimy zniszczyć jak najwięcej twojej pracy – powiedziała.

– Są tu łatwopalne materiały. – Kuwei zaczął zbierać papiery i próbki *jurdy*. – Mogę zorganizować małą eksplozję.

– Ale tylko tutaj, w głównej komorze. Bo poza tym w skarbcu są jeszcze inni griszowie.

I strażnicy. I przełożony Matthiasa. Nina chętnie by uśmierciła Bruma, wątpiła jednak, by Matthias – mimo że go zdradził – chciał zobaczyć, jak człowiek, który zastąpił mu ojca, zostaje rozszarpany na kawałki. Serce się w niej burzyło na myśl o griszach, których będzie musiała tu zostawić, ale nie miała jak przetransportować ich do portu.

– Resztę zostawcie – poleciła Matthiasowi i Kuweiewi. – Musimy iść.

Kuwei ustawił fiolki w rzędzie ponad palnikami.

– Jestem gotowy.

Wyrzeli na korytarz i śpiesznie ruszyli do wyjścia ze skarbcza. Na każdym skrzyżowaniu Nina spodziewała się zobaczyć *drüskelle* albo strażników pędzących im na spotkanie, ale nikt nie zastąpił im drogi. Zatrzymali się przy wyjściu.

– Po lewej jest labirynt ogrodowy – powiedziała Nina.

Matthias pokiwał głową.

– Osłoni nas – odparł – kiedy będziemy biegli do jesionu.

Gdy otworzyli drzwi, jazgot dzwonów stał się niemal nie do zniesienia. Ninie mignął Stary Zegar, lśniący niczym sam księżyc na najwyższej srebrzystej iglicy pałacu. Plamy światła padającego z wież strażniczych ślizgały się po Białej Wyspie, zewsząd dobiegały okrzyki zbliżających się do pałacu żołnierzy.

Przywarła do ściany i starając się nie wychylać z cienia, ruszyła za Matthiasem.

– Pośpieszmy się. – Kuwei obejrzał się nerwowo przez ramię w stronę pracowni.

– Tędy – powiedział Matthias. – Żywopłot...

– Stać! – krzyknął ktoś.

Od strony labiryntu biegli strażnicy.

Nie pozostało nic innego, jak rzucić się do ucieczki. Minęli początek kolumnady i wypadli na okrągły dziedziniec. *Drüskelle* byli wszędzie – zarówno przed nimi, jak i za ich plecami. Za chwilę podziurawia ich kulami.

I wtedy nastąpił wybuch. Nina wcześniej go poczuła, niż usłyszała: gorąca fala przewróciła ją, porwała w powietrze i grzmotnęła nią o marmurowy chodnik. Huk eksplozji był ogłuszający. Zapanował chaos.

Próbowała się pozbierać. Dzwoniło jej w uszach. Z połowy skarbcza zostały gruzy i zgliszcza, na tle nocnego nieba wznosiły się kłęby zmieszanego z dymem pyłu.

Matthias z Kuweiem szli w jej stronę. Wstała.

– *Sten!* – zawołali dwaj strażnicy, odłączywszy się od grupy biegnącej do skarbcza. – Co wy tu robicie?

– Byliśmy na przyjęciu! – odkrzyknęła Nina. W jej głosie

zabrzmiały autentyczne zmęczenie i zgroza. – I wtedy... wtedy...

Łzy popłynęły jej z oczu z zawstydzającą łatwością.

Strażnik wymierzył do niej z karabinu.

– Pokażcie dokumenty.

– Nie mamy dokumentów, Lars.

Zaskoczony łowca czarownic spojrział na Matthiasa, który zrobił krok do przodu.

– My się znamy?

– Kiedyś się znaliśmy, chociaż wyglądałem wówczas nieco inaczej. *Hje marden*, Lars?

– Helvar? Mówili... że nie żyjesz.

– Bo tak było.

Lars przeniósł wzrok na Ninę.

– To jest ta ciałobójczyni, którą Brum sprowadził do skarbcza...

– Zauważył Kuweia, rozpoznał go... i zrozumiał. – Ty zdrajco! – warknął do Matthiasa.

Nina podniosła rękę, żeby spowolnić bicie jego serca, ale w tym samym momencie kątem oka dostrzegła jakiś ruch w półmroku, z prawej strony. Zdażyła jeszcze krzyknąć, gdy coś ją uderzyło. Spojrzawszy w dół, zobaczyła oplatające ją zwoje sznura, które przyszpiliły jej ramiona do tułowia. Nie mogła podnieść rąk. Nie mogła użyć mocy. Matthias stęknął, a Kuwei wrzasnął przeraźliwie, gdy kolejne sznury wystrzeliły z ciemności, oplotły ich ciała i unieruchomiły ręce.

– To nasza specjalność, rzeźniczko. – Lars uśmiechnął się szyderczo. – Polujemy na takie ścierwa jak ty. Znamy wszystkie wasze sztuczki. – Podciął Matthiasa, który runął na kolana. – Mówili nam, że nie żyjesz. Opłakaliśmy cię. Spaliliśmy dla ciebie jesionowe gałęzie. Teraz jednak widzę, że chronili nas przed czymś o wiele gorszym. Matthias Helvar: zdrajca, który pomaga naszym wrogom i sprzymierza się z istotami, których istnienie jest sprzeczne z naturą. – Splunął Matthiasowi w twarz. – Jak mogłeś zdradzić swój kraj i boga?

– Djel jest bogiem życia, nie śmierci.

– Czy oprócz ciebie i tej kreatury są tu jeszcze inni, którzy

przyszli po Yul-Bayura?

– Nie – skłamała Nina.

– Nie ciebie pytałem, wiédźmo. Zresztą to bez znaczenia, mamy swoje sposoby, żeby wyciągnąć z was informacje. – Lars spojrział na Kuweia. – A ty nie myśl, że ujdzie ci to płazem.

Skinął ręką i z cienia pod kolumnadą wynurzył się szereg mężczyzn i chłopców: *drüskelle* w czarno-srebrnych mundurach z kapturami, spod których wymykały się długie, lśniące, złote włosy, wyglądali jak istoty zrodzone w ciemnych szczelinach północnych lodów. Rozproszyli się, otaczając kręgiem Ninę, Matthiasa i Kuweia.

Ninie przypomniały się białe więzienne cele z odpływami w podłodze. Czy cała *jurda parem* uległa zniszczeniu w wybuchu laboratorium? Ile czasu będzie potrzebował Kuwei, żeby wyprodukować nowy zapas? I co zrobią z nią, Niną, zanim to nastąpi? Rozpaczliwie wyteęzała wzrok, modląc się w duchu o jakiś znak obecności Kaza. Czyżby jego też złapali? A może ich tu porzucił? Jeżeli naprawdę chciała być wojowniczką, musi się przygotować na to, co ją czeka.

Jeden z *drüskelle* wystąpił naprzód i podał Larsowi coś, co wyglądało jak zaopatrzonej w długą rękojeść bicz połączony z krępującymi ich sznurami.

– Wygląda znajomo, Helvar? – spytał Lars. – Powinien. Pomagałeś go zaprojektować: zwijany bicz do krępowania kilku więźniów jednocześnie. Z zadziornymi, ma się rozumieć.

Przesunął palcem po jednym ze sznurów i Nina stęknęła z bólu, gdy drobne kolce powbijały jej się boleśnie w ręce i tułów. *Drüskelle* wybuchnęły śmiechem.

– Zostawcie ją – warknął po fjerdańsku wściekły Matthias.

Przez mgnienie oka Nina dostrzegła u jego dawnych towarzyszy broni przebłysk strachu. Matthias przerastał ich wszystkich i był niegdyś jednym z ich przełożonych – jednym z najlepszych wśród tych chłopców-morderców.

Lars szarpnął inny sznur. Matthias stęknął z bólu i zgiął się wpół. Znowu był tylko człowiekiem.

Szydercze śmiechy były dyskretne, ale okrutne.

Lars mocno strzepnął biczem, więzy się zacisnęły i zmusiły Ninę, Matthiasa i Kuweia, żeby ruszyli za nim, nieporadnie drobiąc kroki.

– Nadal modlisz się do naszego boga, Helvar? – spytał Lars, gdy mijali święte drzewo. – Myślisz, że Djel słucha skamlenia tych, którzy pozwalają się splugawić griszom? Myślisz, że...

Zabrzmiał urywany zwierzęcy jęk, ale Nina i pozostali więźniowie nie od razu się zorientowali, że to Lars go z siebie wydał. Otworzył usta i krew popłynęła z nich obficie, najpierw na jego brodę, a potem na pierś i lśniąca srebrne guziki munduru. Wypuścił bicz z ręki. Towarzyszący mu zakapturzony *drüskelle* doskoczył, żeby podnieść porzucony bicz.

Od strony świętego drzewa dobiegła seria ostrych trzasków. Nina je rozpoznała – takie same dźwięki słyszała, kiedy zwaliwszy drzewo na drogę, zatrzymali więźniarkę.

Jesion trzeszczał i pojękiwał, jego prastare korzenie kurczyły się i wykręcały.

– *Nej!* – wykrzyknął jeden z *drüskelle*. Wszyscy stali z rozdziawionymi ustami, gapiąc się na święte drzewo. – *Nej!*

Jesion zaczął się przechylać. Był za duży, żeby dało się go powalić samym solnym koncentratem, ale w miarę jak coraz bardziej odchyłał się od pionu, dobywający się z ziejącej pod nim czarnej dziury stłumiony grzmot przybierał na sile.

Tak oto *drüskelle* usłyszeli głos swojego boga. Właśnie do nich przemówił.

– To trochę zaboli – powiedział *drüskelle* trzymający bicz. Jego głos brzmiał chrapliwie i dziwnie znajomo. Na dłoniach miał rękawiczki. – Ale jeśli przeżyjemy, później będziecie mi dziękować.

Kaz Brekker zsunął kaptur i odwrócił się do więźniów. Oszołomieni *drüskelle* unieśli broń do strzału.

– Zgryźcie *baleen* dopiero, gdy opadniecie na dno, nie wcześniej! – zawołał jeszcze, po czym złapał Kuweia i razem z nim wskoczył w czarną otchłań u stóp jesionu.

Nina wrzasnęła, gdy sznury szarpnęły ją w przód. Drapała paznokciami nawierzchnię dziedzińca, szukając punktu zaczepienia. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, był Matthias wpadający w dziurę tuż obok niej. Usłyszała jeszcze strzały – a potem spadała już w ciemność, w chłód, w gardziel Djela. W nicość.



Godzina jedenasta i trzy kwadransy

Kaz zastanawiał się, czy nie powinien spróbować podsłuchać Matthiasa i Bruma w sali balowej, ale wolał nie tracić z oczu Niny, kiedy w pobliżu kręciło się tyłu *drüskelle*. Postawił wszystko na jedną kartę, wierząc w uczucie łączące Matthiasa z Niną – w tym wypadku wiedział, że szanse powodzenia są całkiem spore. Prawdziwe ryzyko kryło się gdzie indziej: czy ktoś tak uczciwy jak Matthias będzie umiał przekonująco kłamać, stanąwszy oko w oko ze swoim dawnym mentorem?

Cóż, najwyraźniej Matthias miał ukryty talent aktorski.

Kaz śledził Ninę i Bruma, aż doszli do skarbcza, a następnie ukrył się za lodową rzeźbą i skoncentrował na niewdzięcznym zadaniu, jakim było zwymiotowanie paczuszek z bombami korzeniowymi Wylana, które połknął przed atakiem na więźniarkę. Musiał je zwracać (wraz z torebką chloropigulek i zapasowym zestawem wytrychów, które też na wszelki wypadek wmusił w przełyk) co dwie godziny, żeby nie zostały strawione w żołądku. Nie było to miłe. Nauczył się tego od magika znad Wschodniej Klepki, który przez lata zabawiał

publikę sztuczką z zianiem ogniem – dopóki pewnego razu się nie otruł, przypadkiem nałykawszy się nafty.

Kiedy skończył, obszedł skarbiec dookoła, rozejrzał się po dachu, sprawdził okolice wejścia – i ostatecznie stwierdził, że nie pozostaje mu nic innego, jak ukryć się, czuwać i zamartwiać wszystkim, co może się nie udać. Przypomniała mu się Inej stojąca na dachu ambasady, przepełniona nowym, nieznanym zapachem, którego nie rozumiał, ale który mimo to umiał rozpoznać: Inej znalazła w życiu cel, i to on napełnił ją wewnętrznym blaskiem. „Odbieram swoją działkę i odchodzę z Szumowin”, powiedziała. Kiedy wcześniej mówiła o opuszczeniu Ketterdamu, nie do końca jej wierzył, ale tym razem było inaczej.

Ukrywał się w mroku zachodniej kolumnady, kiedy ogłoszono Czarny Protokół: zgiełk dzwonów Starego Zegara wprowadził powietrze w vibracje i niósł się daleko nad Lodowym Dworem. Wyspę zalała powódź światła z wież strażniczych. Zebrani wokół świętego jesionu *drüskelle* przerwali uroczystość i zaczęli wydawać rozkazy; mrowie strażników wysypało się z wież i rozbiegło po całej wyspie. Kaz czekał, odliczając w duchu minuty, lecz Niny i Matthiasa nie było nigdzie widać.

Mają kłopoty, pomyślał. Albo kompletnie pomyliłem się w ocenie Matthiasa i teraz zapłacę za te wszystkie żarty o gadającym drzewie.

Musiał przedostać się do wnętrza skarbcza, ale w tym celu potrzebował chwili spokoju, kiedy będzie zajęty tym skomplikowanym zamkiem, tymczasem wszędzie wprost roило się od *drüskelle*.

Nagle zobaczył wybiegających ze skarbcza Ninę, Matthiasa i – jak się domyślał – Bo Yul-Bayura. Już miał ich zawołać, gdy nastąpił wybuch i wszystko diabli wzięli.

Wysadzili laboratorium w powietrze, domyślił się, gdy z nieba spadł deszcz odłamków. Jestem pewien, że nie kazałem im wysadzać laboratorium.

Reszta to już była czysta improwizacja, w której zabrakło

czasu na wyjaśnienia. Matthiasowi powiedział tylko tyle, że spotkają się przy jesionie, gdy dzwony obwieszczą Czarny Protokół; wtedy myślał, że zdąży im wszystko wytłumaczyć, zanim zanurkują w ciemność – teraz mógł tylko mieć nadzieję, że nie spanikują i że gdzieś tam, w dole, dopisze im szczęście.

Upadek trwał niewiarygodnie długo. Kaz miał nadzieję, że chłopak z Shu Hanu, którego pociągnął za sobą, to zdumiewająco młody Bo Yul-Bayur, a nie jakiś przypadkowy więzień, którego Nina z Matthiasem postanowili wyzwolić. Zanim zaczęli spadać, włożył chłopcu w usta krążek *baleen* i od razu przełamał go w palcach. Smagnął biczem, rozluźniając sploty sznurów, i usłyszał okrzyki pozostałych, gdy więzy opadły; przynajmniej nie będą skrępowani, kiedy wpadną do wody. Ze zgryzieniem własnego *baleen* zwlekał najdłużej, jak się dało. Kiedy uderzył w lodowatą wodę, zdjął go strach, że serce przestanie mu bić.

Nie był pewien, czego właściwie się spodziewał. Zderzenie z rzeką – rwącą i twardą jak lawina – przyprawiało o zgrozę, zwłaszcza że jej łoskot ogłuszał nawet pod powierzchnią, lecz temu strachowi towarzyszyła przyprawiająca o zawrót głowy satysfakcja. Jednak miał rację.

Głos boga. W każdej legendzie tkwi ziarnko prawdy; Kaz wystarczająco dużo poświęcił na budowanie swojej legendy, żeby o tym wiedzieć.

Zastanawiał się wcześniej, skąd się bierze woda zasilająca fosę i fontanny Lodowego Dworu i dlaczego wąwóz rzeki jest taki głęboki i szeroki. Gdy tylko Nina opisała mu rytuał inicjacyjny *drüskelle*, wszystko stało się jasne: fjerdańska twierdza nie została zbudowana wokół olbrzymiego drzewa, lecz wokół źródła. Djel był źródłem, z którego początek brały morza, deszcze i woda omywająca korzenie świętego jesionu.

Woda miała głos – wiedział o tym każdy szczur z kanałów Baryłki, któremu zdarzyło się nocować pod mostem albo przeczekać zimową burzę pod osłoną odwróconej do góry dnem łodzi. Mogła przemawiać głosem kochanki, dawno zaginionego

brata, nawet boga. To był klucz do tajemnicy – i gdy tylko Kaz to zrozumiał, doznał olśnienia, jakby ktoś rozpostarł przed nim szczegółowe plany Lodowego Dworu i wszystkich jego instalacji. Jeżeli się nie mylił, sam Djel wypluje ich do wąwozu.

Pod warunkiem, że wcześniej nie utoną.

A było to nadzwyczaj prawdopodobne. Powietrza z *baleen* mogło wystarczyć na dziesięć minut, góra dwanaście, gdyby zachowali spokój (co wydawało się wątpliwe). Serce waliło mu jak młotem, płuca już zaczynały boleć. Ciało miał odrętwiałe i obolałe od zimna, otaczały go nieprzeniknione ciemności, zewsząd dobiegał głuchy łoskot rzeki, a koziołkowanie w wodzie przyprawiało o mdłości.

Nie był pewien, jaką dokładnie prędkość ma nurt podziemnej rzeki, miał jednak rozeznanie w liczbach i wiedział, że będzie ciężko. Liczby zawsze były jego sprzymierzeńcem: szanse powodzenia, margines błędu, sztuka zakładów. Teraz jednak musiał liczyć na coś więcej.

„Jakemu bogu służysz?” – zapytała go Inej.

„Każdemu, który zapewni mi dobry los”, odparł wtedy.

Ludzie, którym los sprzyja, zwykle nie nurkują w lodowatych podziemnych rzekach na terytorium wroga.

Co ich czekało w wąwozie? I drugie, ważniejsze pytanie: kto tam na nich czekał? Jesper i Wylan zdołali uruchomić Czarny Protokół, ale czy udało im się załatwić także inne sprawy? Czy tam, na drugim końcu tunelu, zobaczy Inej?

Przetrwać. Przetrwać. Przetrwać. Tak wyglądało całe jego życie, liczyła się zawsze tylko następna chwila, kolejny oddech – i tak to szło od tamtego straszego poranka, kiedy obudził się i stwierdził, że Jordie wciąż jest martwy, a on sam jak najbardziej żyje.

Nigdy przedtem nie marzył tak jak w tej chwili, niesiony wodą poprzez mrok. Przypomniawszy sobie dotyk dłoni Inej na policzku; jakby umysł rozpadał mu się na kawałki, taki miał wtedy mętlik w głowie: niesmak mieszał się ze zgrozą, a z tego chaosu wynurzało się dodatkowo pożądanie, pragnienie, które nie

chciało zniknąć, nadzieja, że Inej znów będzie go tak dotykać.

W wieku czternastu lat zmontował ekipę i zaplanował napad na bank, który pomógł Hertzoonowi wykorzystać jego i Jordiego. Zwali z pięćdziesięcioma tysiącami *kruge* w garści, ale przy skoku z dachu złamał sobie nogę. Złamanie źle się zrosło, od tamtej pory już zawsze kulał. Znalazł więc fabrykatora i zamówił u niego laskę, która stała się odzwierciedleniem jego samego: nie było w nim takiej części, która nie zostałaby złamana, nie zrosła się krzywo i nie stała się przez to mocniejsza. Laska stała się częścią mitu, który stworzył. Nikt nie wiedział, kim naprawdę jest. Nikt nie wiedział, skąd pochodzi. Stał się Kazem Brekkerem, kaleką i oszustem, bękartem z Baryłki.

Rękawiczki były jego jedynym ustępstwem na rzecz słabości. Od tamtej nocy wśród zwłok i ucieczki wpływ z Kropy Kostuchy nie był w stanie znieść dotyku drugiego człowieka. Było to dla niego coś obrzydliwego, coś wprost nie do zniesienia. Jedyna część jego przeszłości, której nie umiał przekuć w niebezpieczny oręż.

Baleen perlił mu się na wargach, woda wciskała się do ust. Jak daleko wyniosła ich rzeka? Ile jeszcze zostało? Cały czas zaciskał dłoń na kołnierzu Bo Yul-Bayura; chłopak był od niego drobniejszy, oby wystarczyło mu powietrza.

Przelotne obrazy z przeszłości rozbłyskiwały mu pod czaszką. Filiżanka gorącej czekolady trzymana w odzianych w grube rękawice dłoniach i Jordie, który przestrzega go, żeby poczekał, aż czekolada wystygnie, nim zacznie pić. Wysychający atrament na papierze, na którym złożył podpis potwierdzający nabycie Klubu Wron. Pierwsze spotkanie z Inej w Menażerii: jej fioletowe jedwabie, oczy podkreślone czarną kredką. Nóż z kościaną rękojeścią, który jej dał. Szloch dobiegający z za drzwi jej pokoju w Listewce w tamtą noc, gdy zabiła po raz pierwszy – udał, że go nie słyszy.

Pamiętał, jak przysiadła na parapecie okna w jego pokoju na poddaszu; to było w pierwszym roku po tym, jak wprowadził ją do Szumowin. Karmiła zlatujące się na dach wrony.

- Nie powinnaś się zaprzyjaźniać z wronami – przestrzegł ją.
- Dlaczego?

Podniósł wzrok znad biurka, ale na jej widok zapomniał, co chciał powiedzieć. Chociaż raz słońce wyszło zza chmur i Inej zwróciła ku niemu twarz. Oczy miała zamknięte, smoliście czarne rzęsy kładły jej się na policzkach, wiatr od portu rozwiewał jej ciemne włosy... i na chwilę Kaz znów stał się małym chłopcem, przeświadczonym, że magia naprawdę istnieje.

- Dlaczego? – powtórzyła, nie otwierając oczu.

Powiedział pierwsze, co przyszło mu do głowy:

- Bo nie wiedzą, co to dobre maniery.
- To tak jak ty, Kaz – odparła i parsknęła śmiechem.

Gdyby mógł przelać ten śmiech w butelkę, żeby co wieczór się nim upijać, chętnie by tak właśnie zrobił. I to go przerażało.

Po raz ostatni wciągnął powietrze do płuc, gdy *baleen* rozpuścił się do końca. Mrużąc oczy, wyteżał wzrok i wypatrywał choćby najmniejszego światełka. Rzeka cisnęła nim o ścianę tunelu. Ciśnienie w piersi narastało.

Jestem od tego silniejszy, powtarzał sobie w myślach. Moja wola przeważa.

Słyszał jednak w głowie śmiech i słowa Jordiego: „Nie, braciszku, od tego nikt nie jest silniejszy. Zbyt wiele razy oszukałeś śmierć. Może chciwość kłania się przed tobą, ale śmierć nie zna pana”.

Tamtej nocy w porcie niewiele brakowało, żeby utonął, gdy wczepiony w unoszące się na wodzie zwłoki Jordiego rozpaczliwie wierzgał nogami. Teraz nie miał nikogo i niczego, na czym mógłby się wesprzeć. Próbował myśleć o bracie, o zemście, o Rollinsie przywiązany do krzesła w domu przy Zilverstraat i o tym, jak zmusza go do przypomnienia sobie imienia Jordiego, wpychając mu do gardła dokumenty handlowe – ale chcąc nie chcąc, co rusz wracał myślami do Inej. Musiała przeżyć. Musiała się wydostać z Lodowego Dworu. A gdyby sama nie zdołała tego zrobić, on musi przeżyć, żeby jej

pomóc.

Rozsadzający płuca ból był nie do zniesienia. Musiał jej powiedzieć... Co właściwie? Że jest piękna, dzielna i lepsza od wszystkiego, na co zasłużył. Że on sam jest zdeprawowany, nieuczciwy i zły, ale nie aż tak, żeby nie móc dla niej wziąć się w garść i znów upodobnić się do człowieka. Że mimo woli zaczął na niej polegać, rozglądać się za nią, potrzebować jej. Chciał jej podziękować za nowy kapelusz.

Woda ścisnęła mu pierś, zmuszała go do otwarcia ust. Nie zrobię tego, obiecał sobie.

Ale w końcu otworzył usta i woda wlała się do środka.



CZEŚĆ SZÓSTA

PRAWDZIWI ZŁODZIEJE



Serce tłukło jej się o żebra. Podczas napowietrznych ćwiczeń przychodził taki moment, kiedy musiała puścić jeden trapez i wyciągnąwszy rękę, próbowała złapać następny; jeżeli w takiej chwili okazywało się, że popełniła błąd, nagle przestawała czuć się nieważka i po prostu zaczynała spadać.

Zaciągnęli ją do więzienia. Zobaczyła znacznie więcej strażników i znacznie więcej wycelowanej w nią broni, niż kiedy pierwszy raz przemierzała ten dziedziniec – po tym, jak z resztą ekipy wysiadła z więźniarki. Weszli w paszczę wilka, po schodach na górę i powlekli Inej na metalowy chodnik ponad olbrzymią oszkloną zagrodą. Nina przetłumaczyła jej treść transparentu: „Fjerdańska potęga”. Przechodząc obok zagrody pierwszy raz, uśmiechała się ze wzdargą; jednym okiem zerknęła na czołgi i inną broń, a drugim na Kaza i chłopaków podążających drugim metalowym chodnikiem. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby chełpić się swoją potęgą przed bezbronnymi więźniami w kajdanach?

Strażnicy szli zbyt szybko. Inej udała, że znów się potyka.

– Ruszaj się! – warknął po kercheńsku jeden z żołnierzy. Szarpnął ją.

– Nie nadażam.
Potrzęsnał nią.
– To się pośpiesz!
– Co to, nie chcesz poznać naszych inkwizytorów? – zapytał drugi strażnik. – Już oni cię zmuszą do mówienia.
– Chociaż kiedy z tobą skończą, nie będziesz już taka śliczniutka.

Roześmiali się, a Inej żołądek fiknął koziółka. Wiedziała, że specjalnie mówią po kercheńsku; chcieli, żeby rozumiała.

Mogłaby się chyba z nimi rozprawić – nawet mimo że oni mieli karabiny, a ona nie miała swoich noży. Nie zwiążali jej rąk, nadal wydawało im się, że przyskrzynili po prostu skompromitowaną prostytutkę. Heleen nazwała ją kryminalistką, ale dla tych ludzi Inej była drobną złodziejką przebraną w fioletowe jedwabie.

Zastanawiała się, kiedy przejść do ataku, gdy usłyszała kroki i zobaczyła dwie przybliżające się postaci w mundurach. Czy z czterema strażnikami też da sobie radę w pojedynkę? Tego nie była pewna – za to wiedziała, że kiedy dotrą do końca korytarza, będzie po niej.

Zerknęła na transparent za szkłem. Teraz albo nigdy.

Podcięła strażnika idącego z lewej strony, a kiedy potknął się i poleciał w przód, wyrznęła go w twarz i złamała mu nos.

Drugi strażnik uniósł broń.

– Zapłacisz za to.

– Nie zastrzelisz mnie. Potrzebujecie informacji.

– Mogę ci strzelić w nogę. – Z szyderczym uśmiechem wycelował niżej.

I nagle osunął się na ziemię: z pleców sterczały mu sfatygowane nożyce, a strażnik stojący za jego plecami machał wesoło do Inej.

– Jesper! – Odetchnęła z ulgą. – Nareszcie.

– Ja też tu jestem, wiesz? – wtrącił Wylan.

Strażnik ze złamanym nosem leżał na chodniku, pojękiwał i usiłował wycelować do nich z karabinu. Inej wymierzyła mu

solidnego kopniaka w głowę. Przestał się ruszać.

– Udało ci się zdobyć odpowiednio duży brylant? – spytał Jesper.

Skinęła głową i wytrząsnęła z rękawa ciężki od szlachetnych kamieni kanak.

– Tylko szybko – ponagliła Jespera. – Jeśli nawet Heleen jeszcze nie zauważyła, że go zgubiła, to niedługo się zorientuje.

Chociaż, biorąc pod uwagę obostrzenia Czarnego Protokołu, niewiele będzie mogła na to poradzić.

Jesper wyrwał jej naszyjnik z ręki i rozdziawił usta.

– Kiedy Kaz mówił, że będzie nam potrzebny duży diament, nie kazał ci kraść brylantów Heleen Van Houden!

– Bierz się do roboty.

Kaz wyznaczył Inej dwa zadania: zdobyć odpowiednio duży diament dla Jespera oraz z wybiciem jedenastej znaleźć się w tym korytarzu. Mogła ukraść inne brylanty i w inny sposób zwrócić na siebie uwagę strażników, ale chciała wykiwać właśnie Heleen. Poznawała tajemnice, wykradała dokumenty i zabijała, ale to Heleen Van Houden najbardziej chciała pokonać.

A Heleen ułatwiła jej życie. Podczas szamotaniny w rotundzie bardziej martwiła się perspektywą uduszenia niż tym, że jest okradana, potem zaś dała się bez reszty ponieść uczuciu triumfu. Inej żałowała tylko tego, że nie będzie jej przy Heleen, gdy ta stwierdzi brak bezcennego klejnotu.

Jesper zapalił lampę i razem z Wylanem wzięli się do pracy. Inej dopiero teraz spostrzegła, że obaj są od stóp do głów umazani sadzą po niedawnej wspinaczce kominem. Przynieśli też ze sobą dwa usmolone zwoje liny.

Zamknęła i zablokowała drzwi na obu końcach korytarza; mieli niewiele czasu, zanim jakiś przechodzący patrol zainteresuje się drzwiami, które nie powinny być zamknięte na klucz.

Z długiej metalowej śruby i czegoś, co wyglądało jak korba potężnej wyciągarki, Wylan próbował zmaistrować – jak domyślała się Inej – toporny, ale całkiem użyteczny świder.

Coś załomotało w jedne z drzwi.

– Pośpieszcie się – ponagliła Inej.

– Takim gadaniem nam nie pomagasz – odparł Jesper, w skupieniu wpatrując się w klejnoty. – Mógłbym je po prostu rozłupać, ale wtedy utraciłyby swoją strukturę molekularną. Dlatego trzeba je starannie pociąć i z ostrych odłamków stworzyć idealne wiertło. Nie znam się na...

– A czyja to wina? – przerwał mu Wylan, nie podnosząc wzroku znad swojej roboty.

– Ty też nie pomagasz.

Strażnicy dobijali się do drzwi. Na drugim chodniku, po przeciwnej stronie szklanej przegrody również przybywało żołnierzy – wymachiwali rękami, pokrzykiwali, ale wiedzieli, że nie ma sensu strzelanie, kiedy od intruzów dzielą ich dwie tafle kuloodpornego szkła.

To szkło było dziełem griszów – Nina natychmiast się w tym zorientowała, gdy tędy przechodzili: fjerdańska potęga chroniona umiejętnościami griszów. A jedynym materiałem twardszym niż fabrykatorskie szkło był diament.

Teraz już jedne i drugie drzwi dygotały we framugach.

– Nadchodzą! – krzyknęła ostrzegawczo Inej.

Wylan przymocował diamentowe wiertło do prowizorycznego świdra i ze zgrzytem przytknął je do szkła. Jesper zaczął obracać korbą.

Wiercenie szło rozpaczliwie powoli.

– To w ogóle działa?! – zawołała Inej.

– Szkło jest grube!

Coś grzmotnęło potężnie w drzwi z prawej strony.

– Mają taran – jęknął Wylan.

– Pracujcie – uspokoiła go Inej. Zzula buty.

Jesper szybciej zakręcił korbą, a kiedy wiertło głośniejszy zgrzytnęło, zaczął prowadzić je po łuku, kreśląc zarys okręgu.

Szybciej.

Drzwi zaczęły pękać.

– Zmień mnie! – krzyknął Jesper.

Wylan przejął od niego świder, obracając korbą najszybciej jak umiał. Jesper zgarnął broń unieszkodliwionych strażników i wycelował w drzwi.

– Zaraz tu będą! – zawołał.

Dwie wyrysowane na szkle linie spotkały się, okrąg został domknięty i szklane koło wpadło do środka.

Nie zdążyło nawet spaść na ziemię, gdy Inej już brała rozbieg.

– Odsuńcie się – rzuciła krótko.

I puściła się biegiem. Stopy niosły ją lekko, jedwabie ważyły tyle co nic, zresztą w tej chwili zupełnie na nie nie zważała. Wykiwała Heleen Van Houden. Coś jej zabrała – drobiazg, głupi symbol, ale dla niej nadzwyczaj cenny. To nie wystarczy, nic nigdy nie wystarczy, ale pierwszy krok został postawiony. Będą inne rajfurki do oszukania, inni handlarze niewolników do okpienia. Jedwabie były jak piórka, a ona była wolna.

Skoncentrowała się na wyciętym w szkle kręgu – był księżycem, brakiem księżycą, drzwiami do przyszłości – i skoczyła. Ledwie zmieściła się w otworze; wyraźnie usłyszała cichy szelest, gdy ostra krawędź szkła cięła wlokącą się za nią sukienkę. Wygięła ciało w łuk i wyciągnęła się jak struna. Miała tylko jedną szansę, żeby złapać zawieszoną pod sufitem żelazną latarnię. To był skok szalony, niewykonalny, lecz ona znów była nieodrodną córką swojego ojca i prawo ciężenia jej nie obowiązywało. Na długą, przerażającą chwilę zawisła w powietrzu... a potem obiema rękami chwyciła się podstawy lampy.

Za plecami słyszała trzask wyłamywanych drzwi i strzały.

Zatrzymaj ich, Jesper. Daj mi więcej czasu.

Rozhuśtała się, gromadząc energię. Jakiś pocisk świsnął obok niej w powietrzu. Zbłąkana kula? Czy też ktoś pozbył się Jespera i Wylana i teraz strzelał do niej przez otwór w szkle?

Kiedy uznała, że wystarczająco się rozbijała, puściła lampę. Z impetem zderzyła się ze ścianą – tego nie dało się zrobić zwinnie, zręcznie, z gracją, ale przynajmniej zdołała się wczepić palcami w kamienną półkę, na której wystawiono zabytkowe

topory. Dalej już poszło łatwo: z półki na belkę, z belki na niższą półkę i w końcu na dół, gdzie jej bosa stopy z metalicznym dźwiękiem zderzyły się z pancerzem masywnego czołgu. Wśliznęła się przez otwór do znajdującej się pośrodku pancerza wieżyczki.

Przekręciła jedną gałkę, potem drugą, na oślep szukając właściwych przyrządów. W końcu udało jej się podnieść jedno z działek. Wcisnęła spust i gwałtowne dygotanie wstrząsnęło całym jej ciałem, gdy seria pocisków jak grad zadudniła o szkło. Kule z wizgiem rykoszetowały na wszystkie strony. Nie mogła udzielić lepszego ostrzeżenia Jesperowi i Wylanowi.

Modląc się w duchu, żeby uruchomić główną armatę, wśliznęła się w głąb kabiny czołgu i tam przekręciła jedyny widoczny uchwyt. Lufa armaty ustawiła się we właściwym położeniu. Obok – zgodnie z zapowiedzią Jespera – znajdowała się dźwignia. Szarpnęła ją z całej siły. Rozległ się zaskakująco cichy szcęk, a potem przez chwilę – bardzo długą i bardzo straszną chwilę – nic się nie działo.

A jeśli armata nie była naładowana? Jeżeli Jesper mówił prawdę o tej broni, Fjerdanie musieliby być głupi, żeby trzymać ją w stałej gotowości.

Gdzieś z głębi czołgu dobiegł głuchy metaliczny odgłos i coś zaczęło się toczyć w stronę Inej, która ze zgrozą stwierdziła, że zrobiła coś nie tak; za chwilę pocisk sturla się w głąb podniesionej lufy, spadnie jej na kolana i eksploduje. Zamiast tego rozległ się syk i zgrzyt jakby metalu trącego o metal. Armata zadrżała, buchnął ciemnoszary dym i powietrze rozdarł huk, który przeszył na wylot czaszkę Inej.

Pocisk trafił w szkło i roztrzaskał je na tysiące skrzących się odłamków. Ładniejsze od diamentów, pomyślała. Miała nadzieję, że Wylan i Jesper znaleźli czas i miejsce, żeby się ukryć.

Odczekała, aż kurz opadnie. W uszach tak jej dzwoniło, że nic nie słyszała. Szklana ściana zniknęła i dookoła nic się nie poruszało. Nagle z metalowego chodnika opadły dwie liny, po których chwilę później zaczęli schodzić Jesper i Wylan: Jesper

zwinnie jak insekt, Wylan nieporadnie, w nierównym, szarpanym rytmie, wijąc się jak wyłaząca z kokonu gąsienica.

– *Ajor!* – zawołała po fjerdańsku Inej. Nina byłaby z niej dumna.

Obróciła armatę. Na chodniku za ocalałą taflą szkła strażnicy nadal coś pokrzykiwali, ale gdy wieża czołgu zwróciła się w ich stronę, poszli w rozsypkę.

Rozległ się metaliczny tupot, gdy Jesper z Wylanem wspięli się na czołg, a chwilę później w otworze wieży pojawiła się głowa tego pierwszego.

– Dasz mi poprowadzić?

– Skoro nalegasz...

Odsunęła się, żeby zrobić mu miejsce przy przyrządach.

– Witaj, najdroższa – powiedział wesoło.

Pociągnął inną dźwignię i pancerny pojazd ożył, prychając czarnym dymem.

Cóż to za potwór? – zdumiała się Inej.

– Co za hałas! – zawołała.

– Co za silnik! – zawołał Jesper i zarechotał.

Ruszyli z miejsca – chociaż nigdzie było widać koni.

Z góry dobiegł odgłos strzałów – najwyraźniej Wylan też znalazł odpowiednie przyrządy.

– Na wszystkich świętych... – zaklął Jesper. – Pomóż mu celować!

Wcisnęła się obok Wylana do kopulastej wieży i wycelowała z drugiego działka mniejszego kalibru, ostrzeliwując strażników, od których nagle zaroilo się w szklanej zagrodzie.

Jesper cofał i próbował jednocześnie wykręcić w bok. Pocisk z głównej armaty zdruzgotał szkło, czołg wyjechał z zagrody i uderzył w mur. Posypały się kamienne odłamki, wzbily tumany białego pyłu. Jesper ponownie strzelił: z miejsca, w którym drugi pocisk uderzył w ścianę, rozbiegła się pajęczyna rys. Udało się więc zarysować mur, ale do przebicia się na wylot sporo zabrakło.

– Gotowi? – spytał.

– Gotowi – odparli jednocześnie Inej z Wylanem.

Zsunęli się w głąb czołgu, poniżej wieży. Wylan – mimo że poharatany na twarzy i karku odłamkami szkła – promieniał ze szczęścia. Inej złapała go za ręce i mocno ścisnęła. Przybyli do Lodowego Dworu ukradkiem, jak szczury, a teraz zamierzali z niego wyjść jak prawdziwa armia, choćby miało ich to kosztować życie.

Przekładnia szczęknęła głośno, metalicznie. Czołg zaryczał – przypominało to grzmot uwieczony w metalowej beczce, dopominający się, by wypuścić go na wolność. Pojazd cofnął się jeszcze kawałek... i nagle ostro ruszył naprzód. Rozpędzał się. W pewnym momencie podskoczył lekko: musieli wyjechać z zagrody.

– Trzymajcie się! – zawołał Jesper.

Z impetem, od którego zgrzytnęły im zęby, uderzyli w legendarny niezłomny mur Lodowego Dworu. Inej i Wylan przelecieli przez pół kabiny, nim wpadli na ścianę.

Czołg się przebił. Gąsienice zadudniły na drodze. Huk karabinowych wystrzałów stopniowo cichł za ich plecami.

Słyszając jakieś dziwne dźwięki, Inej wyprostowała się i podniosła wzrok. Wylan śmiał się w głos.

Wystawiwszy głowę przez właz, patrzył wstecz, w stronę Lodowego Dworu. Dołączyła do niego i ujrzała wybity w pierścieniu murów otwór: czarny kleks na bezmiarze białego kamienia. Ludzie wybiegali przez dziurę i na próżno ostrzeliwali niknący w kłębach pyłu czołg.

Trzymając się za brzuch i krztusząc ze śmiechu, Wylan wskazał w dół: za czołgiem włókł się zaplątany w gąsienice transparent. Mimo szpecących go plam błota i sadzy Inej wyraźnie widziała wymalowane na nim słowa: STRYMAKT FJERDAN.

Fjerdańska potęga.



Wynurzyli się z mroku – przemoczeni, posiniaczeni i łapczywie chwytający powietrze – i załało ich jasne światło księżyca. Całe ciało miała obolałe, jak obite pięściami. Resztki *baleen* posklejały się w lepkie grudki w kąciakach jej ust. Z postrzępionej sukni niewiele zostało – gdyby nie była tak wariacko, bezgranicznie szczęśliwa, że żyje i oddycha, pewnie zaniepokoiłby ją fakt, że bosa i praktycznie naga wylądowała w głębokim wąwozie rzeki na dalekiej północy, wciąż dobre półtorej mili od przystani i bezpiecznego schronienia. Z oddali dobiegał dźwięk dzwonów Lodowego Dworu.

Kuwei kaszłał, krztusząc się wodą. Matthias wyciągnął z płytkiej wody nieprzytomne, bezwładne ciało Kaza.

– Na wszystkich świętych! – zaniepokoiła się Nina. – Oddycha?

Matthias niezbyt delikatnie rzucił Kaza na wznak na brzeg i zaczął mu rytmicznie uciskać pierś, wkładając w to więcej siły, niż było trzeba.

– Powinienem. Dać. Ci. Umrzeć. – Cedził słowa w rytm uciśnień.

Przeczołgała się po kamieniach i uknęła obok niego.

– Czekał, pomogę ci, zanim mu złamiesz mostek. Wyczuwasz

puls? – Przytknęła palce do szyi Kaza. – Jest. Chociaż słaby. Rozepnij mu koszulę.

Matthias pomógł jej ściągnąć z Kaza mundur. Nina przyłożyła dłoń do piersi Kaza, skupiła się na jego sercu i kazała mu się zacisnąć. Drugą ręką zacisnęła jego nos i rozwarła usta, po czym spróbowała tchnąć mu powietrze w płuca. Lepiej wyszkolony somatyk potrafiłby zwyczajnie wyciągnąć wodę z płuc, teraz jednak nie miała czasu na robienie sobie wyrzutów, że brakuje jej kwalifikacji.

– Będzie żył? – zainteresował się Kuwei.

Nie wiem, odparła w myślach.

Znowu przytknęła usta do warg Kaza, usiłując zgrać rytm oddechu z rytmem, który wymuszała na jego sercu.

No, dalej, ty przebrzydły bandziorze z Baryłki! Wychodziłeś już z gorszych opresji.

Coś się zmieniło. Serce Kaza podjęło narzucony mu rytm, spazm kaszlu targnął jego piersią, woda popłynęła z ust.

Odepchnął ją i gwałtownie nabrał tchu.

– Odsuń się! – wysapał, ocierając usta dłonią. Nie mógł zogniskować wzroku; Nina miała wrażenie, że patrzy przez nią na wylot. – Nie dotykaj mnie.

– Jesteś w szoku, *demjin* – wtrącił Matthias. – Niewiele brakowało, żebyś utonął. Powinieneś być utonąć.

Kolejny atak kaszlu wstrząsnął ciałem Kaza.

– Utonąć – powtórzył.

Nina powoli skinęła głową.

– Lodowy Dwór, pamiętasz? Niewykonalny skok? Otarcie się o śmierć? Trzy miliony *kruge* czekające na ciebie w Ketterdamie?

Kaz zamrugał i spojrzał na nią przytomnie.

– Cztery miliony – poprawił z naciskiem.

– Tak myślałam, że to cię otrzeźwi.

Przetarł dłonią twarz. Jeszcze raz zakaszłał.

– Udało nam się – powiedział z niedowierzaniem. – Djel naprawdę czyni cuda.

– Nie zasługujesz na cuda – mruknął posepnie Matthias. –

Zbecześciłeś święty jesion.

Kaz wstał, zachwiał się na nogach i, wciąż roztrzęsiony, nabrał kolejny głęboki haust powietrza.

– To tylko symbol, Helvar. Skoro wasz bóg jest taki wydelikacowany, to może powinniście sobie znaleźć nowego? Zmiatajmy stąd.

Nina rozłożyła ręce w dramatycznym geście.

– Nie ma za co, ty niewdzięczna gadzino!

– Podziękuję ci, gdy znajdziemy się na pokładzie *Ferolinda*. A teraz ruszać się. – Kaz zaczął się wspinać po głazach na brzegu wąwozu. – A po drodze wytłumaczycie mi, dlaczego nasz znamienity uczonek z Shu Hanu wygląda jak kumpel Wylana ze szkoły.

Nina pokręciła głową, rozdarta pomiędzy irytacją i podziwem. Może takim właśnie trzeba być, jeśli chce się przetrwać w Baryłce. Może to zostaje w człowieku na zawsze.

– Czy on jest przyjacielem? – spytał sceptycznie Kuwei.

– Bywa.

Matthias pomógł Ninie wstać i wszyscy troje ruszyli za Kazem. Powoli pięli się po skalnej ścianie wąwozu, by w ten sposób znaleźć się na jego przeciwległym brzegu, nieco bliżej Djerholmu. Nina nigdy w życiu nie była tak wyczerpana, ale nie mogli sobie pozwolić na odpoczynek. Dopięli swego. Zaszli dalej niż jakakolwiek inna ekipa, wysadzili w powietrze budynek znajdujący się w samym sercu Lodowego Dworu, ale bez Inej i pozostałych nie wrócą do portu.

Gdyby przestała się wspinać, pozostałoby jej tylko sięść na którymś z głazów i czekać na swój koniec.

Od strony Lodowego Dworu dobiegł basowy hurgot.

– Na wszystkich świętych, niech to będzie Jesper – błagała półgłosem, gdy wgramoliwszy się na krawędź wąwozu, spojrzeli wstecz, na most, z okazji Hringkälli przybrany srebrnymi wstążkami i gałązkami jesionu.

– Cokolwiek się zbliża, musi być duże – zauważył Matthias.

– Kaz? Co robimy?

– Czekamy – odparł Kaz.

Grzmot narastał z każdą chwilą.

– A co powiesz na „Schowajmy się”? – spytała Nina, przestępując nerwowo z nogi na nogę. – Albo „Spokojnie, bez obaw”? A może „Ukryłem tu w krzakach dwadzieścia karabinów”? Daj nam coś, Kaz. Cokolwiek.

– Co powiesz na kilka milionów *kruge*?

Na szczycie wzgórza pojawił się czołg, sypiąc spod gąsienic pyłem i żwirem. Z wieżyczki ktoś do nich machał... i to nie jeden, ale nawet dwóch ktosiów: Inej i Wylan wymachiwali rękami i wrzeszczeli jak opętani.

Matthias gapił się na nich z niedowierzaniem, Nina wydała triumfalny okrzyk, a kiedy spojrzała na Kaza, nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Na wszystkich świętych, Kaz! Masz autentycznie szczęśliwą minę!

– Nie bądź śmieszna – warknął, ale faktów nie dało się ukryć: Kaz Brekker szczyrzył zęby jak skończony wariat.

– Domyślam się, że to jacyś nasi znajomi? – odezwał się Kuwei.

Uniesienie Niny szybko przygasło, gdy na horyzoncie zamajaczyła fjerdańska odpowiedź na problem z Szumowinami: cała kolumna czołgów przewaliła się przez grzbiet wzgórza i w tumanach kurzu napierała oświetloną księżycem drogą. Może Jesperowi nie udało się zablokować bramy przed *drüskelle*? A może czołgi czekały gdzieś na terenie Lodowego Dworu? Biorąc pod uwagę, jak wielką siłą ognia dysponował Dwór, i tak powinni uważać się za szczęściarzy – ale Nina jakoś nie mogła się do tego przekonać.

Dopiero kiedy czołg Inej i Wylana zaturkotał na wiadukcie za mostem, dało się zrozumieć, co krzyczą:

– Z drogi!

Odskoczyli. Czołg z rykiem przejechał obok i ze zgrzytem wyhamował.

– Mamy czołg! – Nina nie posiadała się z zachwytem. – Kaz, ty obrzydliwy geniuszu: twój plan wypalił. Zdobyłeś czołg!

– To oni go zdobyli.

– My mamy jeden czołg – podkreślił Matthias, wskazując nadciągającą w kłębach dymu stalową horde. – Oni mają dużo więcej.

– To prawda – przytaknął Kaz; Jesper zaczął obracać wieżę czołgu. – A wiesz, czego nie mają? Mostu.

Z pancernych trzewi pojazdu najpierw dobiegł metaliczny zgrzyt, a po chwili rozległ się ogłuszający grzmot wprawiający kości w wibracje. Coś z wizgiem śmignęło w powietrzu i uderzyło w most. Pierwsze dwie podpory stanęły w ogniu, trysnęły skry, odłamki drewna poleciały w głąb wąwozu. Armata znów plunęła ogniem. Rozległ się jęk zmasakrowanego drewna i cała estakada runęła.

Jeżeli Fjerdanie nadal zamierzali przedostać się na drugą stronę, będą musieli fruwać.

– Teraz mamy czołg i fosę – zauważyła Nina.

– Wskakujcie! – zapiał Wylan.

Porozsiadali się na pancerzu, złapali kurczowo wszelkich możliwych rantów i zagłębień i z pełną prędkością ruszyli do portu.

Kiedy mijali w pędzie kolejne uliczne latarnie, ludzie wychodzili z domów, żeby popatrzeć, co się dzieje, a Nina próbowała sobie wyobrazić, jak Fjerdanie postrzegają ich niezwykłą ekipę. Co widzieli, gdy tak wyglądali przez drzwi i okna? Gromadę rozkrzyczanych dzieciaków, uczepionych czołgu z namalowaną fjerdańską flagą i pędzących na złamanie karku niczym obłąkana karnawałowa platforma, która odłączyła się od procesji: przy działkach dziewczyna w fioletowych jedwabiach i chłopiec o rudozłotych lokach, a na wierzchu czworo ludzi przemoczonych do suchej nitki i wczepionych kurczowo w pancierz – chłopak z Shu Hanu w więziennych łańkach, dwóch rozchełstanych *drüskelle* i ona, Nina, półnaga dziewczyna w strzępach tiulów i szyfonów, wykrzykująca „Mamy fosę!”.

– Wylan? – zawołał Matthias, gdy wjechali do miasta. –

Powiedz Jesperowi, żeby trzymał się ulic po zachodniej stronie.

Wylan zanurkował w głąb kabiny i czołg skręcił ku zachodowi.

– To dzielnica magazynowa – wyjaśnił Matthias. – W nocy jest tam pusto.

Czołg turkotał na bruku, to wskakując na krawężniki, to z nich spadając, kiedy wymijali nielicznych przechodniów, aż w końcu znalazł się w okolicy portu, w dzielnicy tawern, sklepów i biur spedycyjnych.

Kuwei odchylił głowę do tyłu i odetchnął głęboko. Promieniał ze szczęścia.

– Czuję zapach morza.

Nina też go czuła. Całkiem niedaleko błyskała latarnia morska: jeszcze dwie przecznice i będą na nabrzeżu. Będą wolni. Trzydzieści milionów *kruge*. Gdy odbiorą z Matthiasem swoje udziały, będą mogli przeprowadzić się, gdzie zechcą, i żyć, jak zechcą.

– Prawie jesteśmy! – zawołał Wylan.

Skręcili na skrzyżowaniu... i Nina się załamała.

– Stać – krzyknęła. – Stać!

Niepotrzebnie się wysilała: czołg i tak zatrzymał się gwałtownie, a ona omal nie spadła ze swojej grzędy. Przed nimi rozciągał się port, a dalej zatoka, w której bandery tysiąca statków trzepotały na wietrze. O tak później porze port powinien świecić pustkami, tymczasem na nabrzeżu zgromadziło się co najmniej dwustu żołnierzy – stali w szyku, szereg za szeregiem, odziani w szare mundury, i mierzyli z karabinów w nowo przybyłych.

Wciąż było słyhać dzwony Starego Zegara. Nina obejrzała się przez ramię. Lodowy Dwór górował nad portem, przycupnięty na urwisku jak smętna mewa ze wzburzonymi piórami; podświetlone od spodu białe mury kontrastowały z nocnym niebem.

– Co to ma być? – spytał Wylan Matthiasa. – Nie mówiłeś...

– Musieli zmienić procedury rozlokowania wojsk.

– Ale niczego innego nie zmienili!

– Nigdy nie widziałem, jak działa Czarny Protokół – burknął Matthias. – Może wojsko zawsze stacjonowało w porcie, nie wiem.

– Cicho – ucięła Inej. – Zamknijcie się obaj.

Nina aż podskoczyła, gdy głos poniósł się nad tłumem. Przemówił najpierw po fjerdańsku, potem po ravkańsku, kercheńsku, na koniec w języku shu:

– Uwolnijcie więźnia, Kuweia Yul-Bo. Złóżcie broń i odsuńcie się od czołgu.

– Nie zaczną strzelać – zauważył Matthias. – Nie chcą zranić Kuweia.

– Nie muszą strzelać – odparła Nina. – Patrzcie.

Wśród szeregów wojska prowadzono wymizerowanego więźnia w obszarpanej czerwonej *kefcie*. Zmierzwił włosy kleiły mu się do czoła. Idąc, co rusz łapał za rękaw najbliższego strażnika, mamrocząc coś natarczywie, jakby dzielił się z nim jakąś rozpaczliwie istotną wiedzą. Nina wiedziała, że błaga o *jurdę parem*.

– Ciałobójca – mruknął ponuro Matthias.

– Jest bardzo daleko od nas! – zauważył Wylan.

Nina pokręciła głową.

– To bez znaczenia.

Czyżby trzymali go tutaj, w centrum Djerholmu, razem z wojskiem? Właściwie – czemu nie? Był przecież bronią lepszą niż wszelkie karabiny i czołgi.

– Widzę *Ferolinda* – odezwała się Inej półgłosem, wskazując nieco w bok.

Nina po chwili również rozpoznała kercheńską banderę i wesoły trzepoczący proporzec Kompanii Zatoki Haanraadt. Znaleźli się tak blisko...

Jesper mógłby zastrzelić ciałobójcę, może nawet przebiliby się czołgiem przez szyki wroga – ale do statku by nie dotarli. Fjerdanie woleliby zabić Kuweia niż ryzykować, że wpadnie w cudze ręce.

– Kaz?! – zawołał z czołgu Jesper. – To bardzo dobry moment, żeby powiedzieć, że to też przewidziałeś.

Kaz powiódł wzrokiem po mrowiu żołnierzy.

– Nie przewidziałem tego. – Pokręcił głową. – Powiedziałeś mi, że pewnego dnia wyczerpie mi się zapas sztuczek, Helvar. Wygląda na to, że miałeś rację.

Mówił do Matthiasa, lecz patrzył na Inej.

– Ja już dość wycierpiałam w niewoli – powiedziała. – Żywcem mnie nie wezmą.

– Mnie też nie – zawtórował jej Wylan.

Z głębi czołgu dobiegło prychnięcie Jespera.

– Naprawdę powinniśmy mu znaleźć lepszych kumpli.

– Wolę zginąć w walce niż czekać, aż jakiś Fjerdanin zatknie moją głowę na włócznie – przyznał Kaz.

– W takim razie jesteśmy zgodni. – Matthias pokiwał głową. – Wszystko skończy się tu i teraz.

– Nie – wyszeptała Nina.

Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę.

Sponad fjerdańskich szeregów znów popłynął ten sam głos:

– Będę odliczał od dziesięciu wstecz. Powtarzam nasze warunki: uwolnijcie więzionego Kuweia Yul-Bo i poddajcie się. Dziesięć...

Nina powiedziała coś do Kuweia w języku shu.

– Ty nie rozumiesz – odparł. – Wystarczy jedna dawka...

– Rozumiem – ucięła Nina.

Za to pozostali nic nie rozumieli, dopóki Kuwei nie wyjął z kieszeni małej skórzanej sakiewki przyprószonej rdzawym proszkiem.

– Nie! – krzyknął Matthias. Wyciągnął rękę, że by przechwycić sakiewkę z *parem*, ale Nina go uprzedziła.

– Siedem... – brzęczał miarowy głos Fjerdanina.

– Nino, nie bądź głupia! – wtrąciła Inej. – Widziałeś, co...

– Nie wszyscy uzależniają się po pierwszej dawce.

– Nie warto ryzykować.

– Sześć...

– Kazowi skończyły się pomysły. – Nina otworzyła sakiewkę. – Mnie nie.

– Nino, proszę cię... – błagał Matthias.

Na jego twarzy malował się taki sam lęk jak wtedy w Ellingu, gdy myślał, że go zdradziła. W pewnym sensie robiła teraz to samo, co wtedy: znów zostawiała go samego.

– Pięć...

Pierwsza dawka działa najmocniej, nie tak mówili? Euforia i poczucie mocy, których nic nie zastąpi. Do końca życia będzie ich pożądać.

Chyba że okaże się silniejsza od narkotyku.

– Cztery...

Musnęła palcami policzek Matthiasa.

– Jeżeli będzie naprawdę źle, znajdź sposób, żeby to zakończyć, Helvar. Wierzę, że zrobisz to, co będzie trzeba. – Uśmiechnęła się.

– Ponownie.

– Trzy...

Odchyliwszy głowę w tył, wsypała sobie *parem* do ust i z wysiłkiem przełknęła całą porcję za jednym zamachem. Rozpoznała znajomy, jakby przypalony smak kwiatów *jurdy*, podszyty innym aromatem, który nie do końca potrafiła rozpoznać.

Przestała myśleć.

Krew zaczęła jej dźwięcznie pulsować, serce waliło jak młotem. Świat rozpadał się na maleńkie rozbłyski światła. Widziała prawdziwy kolor oczu Matthiasa – czysty błękit ukryty pod plamkami szarości i brązu, które sama tam umieściła. Na jego głowie księżyc srebrzył każdy włos z osobna. Widziała pot perlący się na czole Kaza i ledwie widoczne punkciki składające się na tatuaż na jego przedramieniu.

Przeniosła wzrok na fjerdańskich żołnierzy. Słyszała bicie ich serc. Widziała, jak pracują ich neurony, czuła, jak rodzą się w nich impulsy. Wszystko miało sens. Ich ciała były mapą komórek, tysiącem równań, które rozwiązywała w sekundę, w milisekundę... aż poznała wszystkie odpowiedzi.

– Nino? – szepnął Matthias.
– Odsuń się – odparła i zobaczyła swój głos w powietrzu.
Zlokalizowała w tłumie ciałowójcę. Dostrzegła ruch jego
grdyki, gdy połykał swoją działkę *parem*.
On będzie pierwszy.



– Dwa... jeden...

Matthias patrzył, jak źrenice Niny się rozszerzają. Z rozchyłonymi ustami odepchnęła go na bok i zeskoczyła z czołgu na ziemię. Powietrze wokół niej skwierczało, jej skóra lśniła jak rozświetlona od wewnątrz cudownym światłem – jakby przepeniła ją boska moc zaczerpnięta wprost z żył Djela.

Zaczęła od ciałobójcy: strzepnęła nadgarstkiem i oczy mu eksplodowały. Osunął się na ziemię, nie zdążywszy choćby jęknąć.

– Bądź wolny – powiedziała.

Wyszła żołnierzom na spotkanie. Matthias próbował ją zasłonić, widząc, jak zgodnie biorą ją na cel, ale ona tylko rozłożyła ręce i powiedziała:

– Przestańcie.

Żołnierze znieruchomieli.

– Złóżcie broń.

Posłuchali jej wszyscy jak jeden mąż.

– Zaśnijcie – rozkazała i przesunęła rękami po łuku.

Żołnierze bez słowa skargi upadli na ziemię, rząd za rządem, jak zboże ścięte niewidzialną kosą.

Powietrze było dziwnie nieruchome. Wylan i Inej powoli zeszli z czołgu. Jesper i pozostali poszli w ich ślady i wszyscy oszołomieni stali nieruchomo, w milczeniu patrząc na pole pełne leżących ciał. To się tak szybko wydarzyło.

Chcąc dostać się do portu, musieli przejść przez szeregi śpiących żołnierzy. Bez słowa poczuli kluczyć wśród ciał. Ciszę mąciło tylko odległe brzmienie dzwonów. Kiedy Matthias położył dłoń na ramieniu Niny, westchnęła lekko i dała mu się poprowadzić.

Dalej przystań świeciła pustkami. Skierowali się w stronę *Ferolinda*; Matthias z Niną szli na końcu. Matthias dostrzegł Rotty'ego, który wspiął się na maszt i tkwił tam teraz z ustami rozdziawionymi w grymasie zgrozy. Specht – wcale nie mniej przerażony – czekał przy cumach gotowy w każdej chwili je rzucić.

– Matthias!

Odwrócił się. Na nabrzeżu stał oddział *drüskelle* w mokrych mundurach. Na głowy narzucili kaptury, twarze mieli przesłonięte maskami z matowoszarej kolczugi, ale Matthias rozpoznał Jarla Bruma po głosie.

– Zdrajco! – zawołał Brum spod maski. – Zdradziłeś swój kraj i boga. Nie odpłyniesz stąd żywy. Nikt z was stąd nie odpłynie.

Podwładni musieli go po eksplozji wyciągnąć ze skarbca. Czy potem podążył za Matthiasem i Niną do podziemnej rzeki pod korzeniami jesionu? Czy w mieście stacjonowały konie albo czołgi?

Nina uniosła rękę.

– Przez wzgląd na Matthiasa – przemówiła – dam wam ostatnią szansę: zostawcie nas w spokoju.

– Nas nie zdołasz kontrolować, czarownico – odparował Brum.
– Nasze kaptury, nasze maski, każdy szew w naszych mundurach został wzmocniony stałą griszów. To materiał zamówiony przez nas specjalnie w tym celu u fabrykatorów, utkany ściśle wedle naszych zaleceń. Nie nagniesz nas do swojej woli. Nie zranisz nas. Gra skończona.

Nina wyciągnęła rękę przed siebie. Nic się nie stało. Matthias wiedział, że Brum mówi prawdę.

– Odejdźcie! – zawołał. – Proszę, ode...

Brum wycelował i strzelił. Pocisk trafił Matthiasa w pierś. Ból był okrutny, przeraźliwy, nagły... i równie nagle ustąpił. Matthias patrzył, jak kula wynurza się z jego piersi i z głuchym metalicznym „brzędk!” spada na ziemię. Rozchylił koszulę. Nie było rany.

Nina go wyminęła.

– Nie!

Drüskelle otworzyli ogień. Pociski wstrząsały jej ciałem, na piersi i odsłoniętych udach wykwitwały krwawe kwiaty, ale ona nic sobie z nich nie robiła. Po prostu szła dalej. Uzdrawiała się równie szybko, jak kule szarpały jej ciało; wyrzucała je z siebie, a one nieszkodliwie brzęczały na bruku.

Drüskelle gapili się na nią z niedowierzaniem. Wybuchnęła śmiechem.

– Zanadto przywykliście do oswojonych griszów. Trzymani w klatkach jesteście spokojni.

– Są inne sposoby. – Brum wyciągnął zza pasa długi bicz, taki sam, jakiego wcześniej używał Lars. – Niestraszna nam twoja moc, więdźmo. Nasza sprawa jest słuszna.

– Was nie mogę tknąć, to prawda – zgodziła się Nina, unosząc wyżej rękę. – Ale ich?

Za plecami *drüskelle* uspieni przez nią żołnierze zaczęli się budzić i wstawać. Mieli puste, obojętne twarze. Jeden z nich wyrwał Brumowi bicz, pozostali odarli zaskoczonych *drüskelle* z kapturów i masek, wystawiając ich na działanie mocy Niny.

Pstryknęła palcami. *Drüskelle* upuścili broń i z wrzaskiem złapali się za głowy.

– Za moją ojczyznę – wycedziła. – Za mój lud. Za wszystkie dzieci, które spaliliście na stosie. Kto sieje wiatr, zbiera burzę, Jarlu Brumie.

Matthias patrzył, jak wstrząsani konwulsjami *drüskelle* miotają się bezradnie po nabrzeżu. Krew płynęła im z oczu

i uszu, a żołnierze przyglądali się im beznamiętnie. Ich krzyki tworzyły upiorny chór. Claas, z którym Matthias schlał się w Avfalle. Giert, który tak wytresował swojego wilka, że ten jadł mu z ręki. Byli potworami, bez dwóch zdań, ale byli także chłopcami takimi jak on, chłopcami, których nauczono bać się i nienawidzić.

– Nino... – odezwał się, wciąż przyciskając dłoń do piersi w miejscu, gdzie powinna ziać rana po kuli. – Nino, proszę...

– Przecież wiesz, Matthiasie, że oni nie mieliby dla ciebie litości.

– Wiem o tym, wiem, ale pozwól im żyć z tym wstydem.

Zawahała się.

– Nauczyłaś mnie, jak stać się lepszym człowiekiem, Nino. Ich też można tego nauczyć.

Spojrzała na niego. Jej oczy miały intensywny, głęboki odcień leśnej zieleni. W środku ziały przepastne czarne studnie źrenic. Powietrze wokół niej mieniło się od nadmiaru mocy, jakby trawiła ją jakiś wewnętrzny ogień.

– Boją się ciebie tak samo, jak ja się kiedyś bałem – mówił dalej Matthias. – I jak ty bałaś się mnie. Każdy z nas jest dla kogoś potworem, Nino.

Długo mu się przyglądała, zanim w końcu opuściła ręce i cały oddział *drüskelle* osunął się na ziemię, skamłając cicho. Uwolniła spod swojej władzy także zwykłych żołnierzy, którzy padli jak ścięci i wrócili do przerwanej drzemki: marionetki, którym ktoś poprzecinał sznurki. Jej dłoń jeszcze raz wystrzeliła w przód i Brum zawył z bólu. Złapał się za głowę, krew pociekła mu spomiędzy palców.

– Będzie żył? – spytał Matthias.

– Tak – odparła Nina, wchodząc na pokład szkunera. – Będzie tylko bardzo, bardzo łysy.

Specht wydał rozkazy i *Ferolind* najpierw zdryfował na środek portu, a potem, gdy wiatr wydał żagle, zaczął nabierać szybkości. Nikt nie wybiegł na przystań, żeby ich powstrzymać. Nikt nie strzelał z armat. Nikt nie ogłaszał alarmu. Nikt nie dawał

sygnałów nadbrzeżnym bateriom dział. Stary Zegar dzwonił w najlepsze, obojętny na wszystko, a szkuner powoli rozpływał się na czarnym tle morza, zostawiając za sobą bezmiar cierpienia.



Wiał silny sprzyjający wiatr; czując go we włosach, Inej odruchowo myślała o nadciągającej burzy.

Ledwie znaleźli się na pokładzie, Matthias zwrócił się do Kuweia:

– Ile czasu jej zostało?

Kuwei mówił jako tako po kercheńsku, ale w trudniejszych momentach Nina i tak musiała pełnić rolę tłumaczki. Robiła to z roztargnieniem, machinalnie, błędząc wzrokiem po wszystkim i wszystkich w okolicy.

– Obecny stan utrzyma się godzinę, może dwie. To zależy od tego, ile czasu jej organizm potrzebuje na przetworzenie takiej dawki.

– Dlaczego nie możesz po prostu wyrzucić *parem* z ciała, tak jak pozbyłaś się kul? – spytał zrozpaczony Matthias.

– To tak nie działa – odparł Kuwei. – Nawet gdyby udało jej się zapanować nad głodem na czas niezbędny do rozpoczęcia procesu oczyszczania, straciłaby zdolność do pozbywania się *jurdy parem*, zanim usunęłaby ją całą. Potrzebny byłby drugi somatyk poddany działaniu narkotyku, żeby to dokończyć.

– Co jej grozi? – zainteresował się Wylan.

– Przecież widziałeś – odparł rozgoryczony Matthias. –
Wszyscy wiemy, co się stanie.

Kaz skrzyżował ramiona na piersi.

– Jak to się zacznie?

– Ból w całym ciele, dreszcze... Początki jak przy lekkim przeziębieniu – mówił Kuwei. – Potem nadwrażliwość na bodźce, drgawki i głód nie do przewyciężenia.

– Masz jeszcze *parem*? – zapytał Matthias.

– Mam.

– Wystarczy Ninie do Ketterdamu?

– Nie będę więcej brała – zaprotestowała Nina.

– Mam dość, żebyś nie musiała się martwić – zapewnił ją Kuwei – ale jeżeli przyjmiesz drugą dawkę, pozbawisz się wszelkiej nadziei. – Przeniósł wzrok na Matthiasa. – To jej jedyna szansa: istnieje możliwość, że organizm oczyści się w sposób naturalny, zanim dojdzie do uzależnienia.

– A jeśli jednak do niego dojdzie?

Kuwei rozłożył ręce w przepraszająco-bezradnym geście.

– Jeżeli nie będzie regularnie przyjmować narkotyku, oszaleje; jeśli zaś będzie, *parem* błyskawicznie wyniszczy jej organizm. Wiesz, co oznacza ta nazwa? To mój ojciec ją wymyślił. Oznacza „bezlitosny”.

Kiedy Nina przełożyła jego słowa, zapadła długa cisza.

– Nie chcę więcej o tym słyszeć – orzekła Nina. – To niczego nie zmieni.

Przeszła na dziób statku. Matthias odprowadził ją wzrokiem.

– Woda słyszy i rozumie – mruknął pod nosem.

Inej znalazła Rotty’ego i kazała mu wygrzebać ze schowka wełniane płaszcze, które razem z Niną porzuciły na rzecz cieplejszych ubrań, gdy przybijali do brzegów północnej krainy. Potem poszła na dziób.

– Godzina – powiedziała Nina, nie odwracając się do niej. –
Może dwie.

Inej stanęła jak wryta.

– Usłyszałaś mnie?

Nikt nie słyszał Zjawy, zwłaszcza przy takim wietrze i wśród morskich fal.

– Nie martw się, to nie twój bezszelestny krok cię zdradził. Słyszę twój puls. Twój oddech.

– I po nich mnie rozpoznałaś?

– Każde serce brzmi inaczej. Wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Inej stanęła obok Niny przy relingu i podała jej płaszcz. Nina go narzuciła, chociaż zimno chyba jej nie dokuczało. Nad ich głowami świecące jasno gwiazdy wyzierały spomiędzy srebrzystych pasemek chmur. Inej była gotowa na świt, na kres długiej nocy – i długiej podróży. Sama się sobie dziwiła, że tak jej tęskno do Ketterdamu. Miała ochotę na omlet i kubek przesłodzonej kawy. Chciała znów usłyszeć bębnienie deszczu o dachy, siedząc w swoim ciepłym i przytulnym pokoiku w Listewce. W przyszłości czekają ją nowe przygody – ale niech poczekają, aż weźmie gorącą kąpiel. Najlepiej nie jedną.

– Żałuj, że nie słyszysz tego, co ja – powiedziała Nina, wtuliwszy twarz w wełniany kołnierz płaszcza. – Słyszę wszystkich ludzi na pokładzie. Słyszę, jak krew szumi im w żyłach. Słyszę zmianę w rytmie oddechu Kaza, gdy na ciebie spogląda.

– Ale... naprawdę?

– Za każdym razem zapiera mu dech w piersi, jakby widział cię po raz pierwszy.

– A Matthias? Co z Matthiasem? – Inej pośpiesznie zmieniła temat.

Nina uniosła brwi. Nie dała się łatwo zwieść.

– Matthias się mnie boi, ale jego serce trzyma równy rytm, nie zważając na uczucia. Jest taki poukładany. Taki fjerdański.

– Nie sądziłam, że oszczędzisz tych ludzi w porcie.

– Nie jestem bynajmniej przekonana, że dobrze zrobiłam. Dla nich i ich dzieci będzie to tylko kolejny horror z griszą w roli głównej.

– Jak nie będziecie grzeczne, to przyjdzie po was Nina Zenik?

Nina przetrawiła słowa Inej.

– A wiesz, że to wcale nie brzmi tak źle...

Inej oparła się plecami o reling i otaksowała Ninę wzrokiem.

– Cała promieniejesz.

– To już nie potrwa długo.

– To nigdy nie trwa długo. – Inej spoważniała. – Boisz się?

– Jestem przerażona.

– Będziemy przy tobie. Wszyscy.

Nina odetchnęła głęboko i drżąc na całym ciele, skinęła głową.

W Ketterdamie Inej zawarła niezliczoną liczbę sojuszy, ale niewielu miała prawdziwych przyjaciół. Położyła głowę na ramieniu Niny.

– Gdybym była sulijską wróżbitką, mogłabym zajrzeć w przyszłość i powiedzieć ci, że wszystko będzie dobrze.

– Albo że umrę w męczarniach. – Nina oparła policzek o czubek głowy Inej. – Powiedz mi coś miłego.

– Będzie dobrze. Wyjdiesz z tego cało, a potem będziesz bardzo, bardzo bogata. Co wieczór będziesz śpiewać szanty i pijackie przyśpiewki w kabarecie przy Wschodniej Klepce i będziesz płaciła ludziom za to, żeby po każdej przyśpiewce oklaskiwali cię na stojąco.

Nina parsknęła cichym śmiechem.

– A może wykupimy Menażerię?

Inej wyszczerzyła zęby w uśmiechu na myśl o przyszłości i swoim własnym statku.

– Wykupimy i spalimy – zgodziła się.

Zapatrzyły się na morskie fale.

– Gotowa? – spytała Nina.

Inej – wdzięczna, że nie musiała się o to dopraszać – podwinęła rękaw, odsłaniając pawie pióro na plamiastej skórze.

Mgnienie oka, ledwie wyczuwalne muśnięcie palców Niny, swędzenie intensywne, ale szybko ustępujące, a kiedy mrowienie ustało, przedramię Inej wyglądało idealnie – bez skazy, niemal nazbyt gładkie, jak zupełnie nowa część jej ciała.

Dotknęła miękkiej skóry. Sprawa załatwiona, ot tak, po

prostu. Gdyby każdą ranę dało się równie łatwo wyleczyć...

Nina cmoknęła ją w policzek.

– Pójdę, poszukam Matthiasa, nim zacznie się najgorsze.

Kiedy zaczęła się oddalać, Inej zorientowała się, że Nina miała jeszcze inny powód, żeby odejść. W cieniu przy maszcie stał Kaz: w narzuconym na ramiona grubym płaszczu, podparłszy się laską, wyglądał prawie tak jak zawsze. Pod pokładem czekały na nią osobiste drobiazgi – i noże. Stęskniła się za swoimi pazurkami.

Kaz mruknął coś do Niny i ta stanęła jak wryta. Inej nie rozumiała, co mówią, ale było widać, że rozmowa nie należy do przyjemnych. W końcu Nina sapnęła z irytacją i zeszła pod pokład.

– Co jej powiedziałaś? – spytała, gdy Kaz stanął obok niej przy relingu.

– Że mam dla niej zadanie.

– Czeka ją ciężka próba...

– Robota sama się nie robi.

Pragmatyczny jak zawsze. Po co zawracać sobie głowę empatią? Zresztą może Nina ucieszy się z czegoś, co zajmie jej myśli.

Stali tak, patrząc na morze. Milczenie się przeciągało.

– Żyjemy – powiedział w końcu Kaz.

– Najwyraźniej pomodliłeś się do właściwego boga.

– Albo dobrałem sobie właściwych kompanów.

Wzruszyła ramionami.

– Kto wybiera ścieżki, którymi podążamy? – spytała, a kiedy nie odpowiedział, nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. – Cóż to, nie będzie ciętej riposty? Drwin z mojego sulijskiego powiedzonka?

Przesunął po relingu dłonią w rękawicze.

– Nie.

– Jak ma wyglądać spotkanie z Radą Kupiecką?

– Rzucimy kotwicę kilka mil od miasta, wezmę z Rottym szalupę, popłyniemy do portu i zejdziemy na ląd. Znajdziemy

gońca, który przekaze wiadomość Van Eckowi. Wymiany dokonamy na Vellgeluku.

Inej się wzdrygnęła. To była wyspa popularna wśród przemysłowców i handlarzy niewolników.

– To pomysł Rady czy twój?

– Propozycja wyszła od Van Ecka.

Inej zmarszczyła podejrzliwie brwi.

– Skąd kupiec wie o Vellgeluku?

– Handel ma swoje prawa. Może Van Eck nie jest aż tak prawym kupcem, na jakiego wygląda.

Znow zapadła cisza, którą po długiej chwili przerwała Inej:

– Chcę się nauczyć żeglować.

– Naprawdę? – Kaz spojrzał na nią zdziwiony. – Po co?

– Za pieniądze ze swojego udziału chcę kupić i wyposażyć statek i nająć załogę. – Z nerwów słowa płątały jej się jak sznurek odwijany ze szpulki. Jej sen wciąż zdawał się taki kruchy. Chciałaby pozostać obojętna na to, co pomyśli Kaz, ale nie potrafiła się na to zdobyć. – Zamierzam polować na łowców niewolników.

– Znalazłaś cel w życiu – mruknął w zadumie. – Wiesz, że wszystkich nie powstrzymasz.

– Jeżeli nie spróbuję, nie powstrzymam ani jednego.

– W takim razie prawie mi ich żal. Nie mają pojęcia, co ich czeka.

Poczuła przyjemny rumieniec na policzkach. Kaz zawsze uważał, że jest niebezpieczna, prawda?

Oparłszy łokcie na relingu, podparła brodę dłońmi.

– Ale najpierw wrócę do domu.

– Do Ravki?

Skinęła głową.

– Chcesz odnaleźć rodzinę.

– Właśnie. – Jeszcze dwa dni temu zamknęłaby w ten sposób temat, szanując niepisaną umowę, w myśl której nie interesowali się nawzajem swoją przeszłością. – A ty, Kaz? Miałeś tylko brata? Gdzie są wasi rodzice?

– Chłopcy z Baryłki nie mają rodziców. Rodzimy się w portowych wodach i wypływamy z kanałów na ląd.

Pokręciła głową. Patrzyła, jak morze burzy się i wzdycha, jakby każda fala była tchnieniem. Z trudem wypatrzyła linię widnokręgu, ledwo dostrzegalną granicę między czarnym niebem i czarniejszym od niego morzem. Pomyślała o swoich rodzicach. Nie widziała ich prawie trzy lata. Jak się zmienili? Czy będzie jeszcze mogła być ich córką? Może nie od razu. Chciała jednak usiąść z ojcem na schodach wozu i pojadać zerwane z drzew owoce. Chciała zobaczyć, jak matka otrzepuje ręce z kredy, zanim zacznie przygotowywać kolację. Chciała zobaczyć wysokie południowe trawy i rozległe niebo nad Górami Sikurzoi. Czekają tam na nią coś, czego potrzebowała.

A czego potrzebował Kaz?

– Niedługo będziesz bogaty, Kaz. Co zrobisz, kiedy nie będzie się już na kim mścić? Kiedy cała krew zostanie przelana?

– Krwi nigdy nie zabraknie.

– Więcej pieniędzy, więcej rzezi, więcej rachunków do wyrównania... Nigdy nie miałeś innych marzeń?

Nie odpowiedział. Co takiego się stało, co wydarło wszelką nadzieję z jego serca? Być może nigdy się tego nie dowie.

Odwróciła się gotowa odejść. Kaz złapał jej dłoń i przytrzymał ją na relingu. Nie patrzył na nią.

– Zostań – poprosił głosem szorstkim jak surowy kamień. – Zostań w Ketterdamie. Zostań ze mną.

Spuściła wzrok na jego dłoń – w rękawiczce – zaciśniętą na jej dłoni. Wszystko w niej chciało powiedzieć „tak”, ale nie zamierzała poprzestać na czymś tak niewielkim i nieznaczącym. Nie po tym wszystkim, przez co przeszła.

– Po co miałabym to zrobić?

Wziął głęboki wdech.

– Chcę, żebyś została. Chcę, żebyś... Chcę ciebie.

– Chcesz mnie. – Obróciła te słowa na języku. Delikatnie ścisnęła jego palce. – Jak chcesz mnie mieć, Kaz?

Teraz na nią spojrział. Usta miał zaciśnięte, oczy pałające

żarem. Tak wyglądał, kiedy walczył.

– Jak chcesz mnie mieć? – powtórzyła. – Ubrany od stóp do głów, w rękawiczkach, z odwróconą głową, żeby nasze usta się nie zetknęły?

Puścił jej rękę, przygarbił się, po czym ze złością i wstydem zapatrzył się na morze.

Może dzięki temu, że się od niej odwrócił, słowa w końcu przeszły jej przez usta:

– Ja chcę cię mieć bez twojego pancerza, Kazie Brekker. Albo tak, albo wcale.

Powiedz coś, poprosiła bezgłośnie. Daj mi powód do pozostania.

Mógł być samolubny i okrutny, ale nie przestał być tym chłopakiem, który ją ocalił. Chciała wierzyć, że on również jest wart ocalenia.

Załopotały żagle. Chmury się rozstały, na moment odsłaniając księżyc, po czym znów go zakryły.

Kiedy Inej zostawiła Kaza samego na pokładzie, wiatr zawodził potępieńczo, a do świtu wciąż było bardzo, bardzo daleko.



Ból przyszedł o wschodzie słońca. Godzinę później czuła się tak, jakby kości we wszystkich stawach próbowały jej przebić skórę. Leżała na tym samym stole, na którym wcześniej leczyła zadaną nożem ranę Inej. Wciąż wyostrzonym wędchem wyczuwała metaliczną woń krwi, niezatartą zapachem środka czyszczącego, którego Rotty użył do wywabienia krwi z drewna. Stół pachniał Inej.

Matthias siedział obok niej. Próbował ją wziąć za rękę, lecz ból był zbyt wielki i odbierała ten kontakt tak, jakby Matthias dotykał jej żywego ciała, odartego ze skóry. Wszystko wyglądało inaczej. Wszystko było inne w dotyku. Myślała wyłącznie o słodkim, przypalonym smaku *parem*. Drapało ją w gardle. Własna skóra zdawała się jej wrogiem.

Kiedy zaczęły się drgawki, błagała Matthiasa, żeby wyszedł.

– Nie chcę, żebyś mnie taką oglądał – powiedziała, próbując przetoczyć się na bok.

Odgarnął jej z twarzy wilgotne od potu włosy.

– Jest bardzo źle?

– Bardzo – odparła. Wiedziała jednak, że będzie jeszcze gorzej.

– Chcesz spróbować *jurdy*? – Kuwei sugerował wcześniej, że

podawana w małych dawkach zwyczajna *jurda* mogłaby jej pomóc wytrzymać do wieczora.

Pokręciła głową.

– Chcę... chcę... Na wszystkich świętych, dlaczego tu jest tak gorąco? – Mimo dręczącego ją bólu spróbowała usiąść. – Nie dawajcie mi więcej. Cokolwiek powiem, Matthiasie, obojętne, jak bardzo będę cię błagać, nie ustępuj. Nie chcę się stać taka jak Nestor, jak tamci griszowie w celach.

– Kuwei mówi, że odstawienie może cię zabić. Nie dam ci umrzeć.

Kuwei. Kiedy byli w skarbcu, Matthias nazwał go „jednym z nas”. To jej się podobało. „My”. Słowo bez podziałów, bez granic. Słowo przepelnione nadzieją.

Opadła do pozycji leżącej i całe jej ciało się zbuntowało. Ubranie było jak tłuczone szkło.

– Prawie zabiłam tamtych *drüskelle*.

– Każdy z nas dźwiga brzemie swoich grzechów, Nino. Potrzebuję cię, żeby żyć; tylko wtedy będę mógł odpokutować.

– Dobrze wiesz, że możesz to zrobić beze mnie.

Ukrył twarz w dłoniach.

– Ale nie chcę.

– Matthias... – Przeczesła palcami jego krótko przystrzyżone włosy. Zbolało. Cały świat bolał i dotykание Matthiasa też bolało, ale to jej nie powstrzymało. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedyś będzie mogła to zrobić. – Nie żałuję.

Ujął jej dłoń i delikatnie ucałował knykcie. Skrzywiła się, ale kiedy próbował cofnąć rękę, ścisnęła ją mocniej.

– Zostań – wysapała. Łzy popłynęły jej z oczu. – Zostań do końca.

– I później też – odparł. – Na zawsze.

– Chcę się znowu poczuć bezpieczna. Chcę wrócić do domu, do Ravki.

– W takim razie zabiorę cię tam. Będziemy palić rodzinę, czy co tam u was, pogan, uchodzi za rozrywkę.

– Fanatyk – powiedziała łamiącym się głosem.

- Wiedźma.
- Barbarzyńca.
- Nino - wyszeptał Matthias. - Czerwona ptaszyno. Nie odchodź.



Szkuner gnał na południe, a załoga zachowywała się jak na nocnym czuwaniu: mówili przyciszonymi głosami i chodzili na paluszkach. Jesper też martwił się o Ninę, tak jak wszyscy (no, może Matthias martwił się bardziej niż inni), ale trudno było mu znieść tę nabożną ciszę. Chętnie by sobie do czegoś postrzelał.

Ferolind przypominał statek-widmo. Matthias zamknął się z Niną i poprosił Wylana o pomoc w opiece nad nią; nawet jeśli Wylan nie przepadał za chemią, to na przeróżnych miksturach i tynkturach znał się chyba najlepiej ze wszystkich – z wyjątkiem Kuweia, ale z rozmów z Kuweiem Matthias rozumiał najwyżej co drugie słowo. Odkąd wymknęli się z portu w Djerholmie, Jesper nie widział Wylana i musiał przyznać, że brakuje mu kupczyka, z którego mógłby się nabijać. Kuwei zachowywał się całkiem przyjaźnie, nie był jednak przesadnie rozmowny, a jego kercheński pozostawiał wiele do życzenia. Czasem wychodził w nocy na pokład, bezszelestnie stawał za plecami Jespera i wpatrywał się w fale. Było to trochę niepokojące. Tylko z Inej dawało się pogadać – głównie dlatego, że nagle zaczęła wykazywać ogromny głód żeglarskiej wiedzy. Najchętniej spędzała czas w towarzystwie Spechta i Rotty’ego, ucząc się

węzłów i taklowania.

Od początku wiedział, że mogą nie wrócić do domu; liczył się z tym, że wylądują w celach w Lodowym Dworze albo po prostu skończą zadżgani włóczyniami. Spodziewał się jednak, że gdy już dokonają niemożliwego – czyli wyciągną Bo Yul-Bayura z więzienia i wrócą na *Ferolinda* – rejs powrotny będzie jedną wielką hulanką. Pozbawiliby Spechta zachomikowanych na pokładzie trunków i wyjedli toffi Niny, wspominając wszystkie swoje małe triumfy i chwile, w których otarli się o śmierć. Nie wyobrażał sobie jednak, że w porcie znajdą się w sytuacji bez wyjścia, i nie mógł przewidzieć, co zrobi Nina, żeby ich z niej wyciągnąć.

Martwił się o nią, lecz myślenie o niej przyprawiało go o wyrzuty sumienia. Kiedy znaleźli się na pokładzie i Kuwei objaśnił im działanie *parem*, cichutki głosik w głowie Jespera podszeptował mu, że powinien zgłosić się na ochotnika i też przyjąć działkę; był wprawdzie niewyszkolonym fabrykatorem, ale może zdołałby pomóc Ninie oczyścić organizm i uwolnić ją od narkotyku. Był to jednak głosik heroiczny, a Jesper dawno już przestał sobie wmawiać, że ma zadatki na bohatera. Do diabła, prawdziwy bohater łyknąłby *parem* od razu, gdy w porcie stanęli twarzą w twarz z fjerdańskim wojskiem.

Kiedy w końcu Kerch zamajaczył na horyzoncie, Jesper odczuł niezwykłą mieszankę ulgi i trwogi. Oto ich życie miało się zmienić w sposób, który wciąż wydawał mu się nierzeczywisty.

Rzucili kotwicę, a o zmierzchu Jesper zapytał Kaza, czy mógłby razem z nim i Rottym popłynąć szalupą do Piątej Przystani. Nie był im niezbędny, ale rozpaczliwie potrzebował jakiegoś zajęcia.

W Ketterdamie panował taki sam chaos jak zawsze: przy nabrzeżu rozładowywano statki, a z szalup wylewał się strumień turystów i żołnierzy na przepustkach, którzy, pokrzykując rażno i śmiejąc się w głos, zmierzali do Baryłki.

– Wygląda tak samo jak przedtem – zauważył Jesper.

Kaz uniósł brwi. Znów miał na sobie swój elegancki szaro-

czarny garnitur z idealnie zawiązanym krawatem.

– A czego się spodziewałeś?

– Tak dokładnie... to nie wiem – przyznał Jesper.

Czuł się jednak jakoś inaczej, i to mimo znajomego ciężaru rewolwerów na biodrach i przewieszonego przez plecy karabinu. Co rusz wracał myślami do krzyczącej akwaticzki na dziedzińcu koszar *drüskelle*, z czarnymi plamami na twarzy. Spojrzał w dół, na swoje dłonie. Czy na pewno chciał być fabrykatorem? Wieść takie życie? Nie mógł nic poradzić na to, jakim się urodził, ale czy powinien rozwijać swoją moc? Czy lepiej będzie dalej ją ukrywać?

Kaz zostawił go z Rottym przy szalupie, a sam poszedł szukać gońca, który zaniósłby wiadomość do Van Ecka. Jesper chciał mu towarzyszyć, ale Kaz kazał mu się nie wychylać i rozdrażnionemu Jesperowi nie pozostało nic innego, jak tylko rozprostować nogi, chodząc w kółko. Miał świadomość, że Rotty bacznie go obserwuje. Czyżby Kaz kazał mu nie spuszczać Jespera z oka? Bał się, że przy pierwszej okazji pobiegnie do najbliższego kasyna?

Spojrzał w górę, na zachmurzone niebo. Dlaczego się do tego nie przyznać? Tak, odczuwał taką pokusę. Na myśl o kartach świerbiły go palce. Może naprawdę powinien opuścić Ketterdam? Kiedy już odbierze pieniądze i pospłaca długi, będzie mógł wyjechać dokądkolwiek zechce. Nawet do Ravki. Oby tylko Nina wydobrzała. Mógłby wtedy usiąść z nią, porozmawiać, wymyślić, co dalej – bez żadnych zobowiązań, nic z tych rzeczy. Ale chyba mógłby ją przynajmniej odwiedzić?

Pół godziny później Kaz wrócił z informacją, że przedstawiciele Rady Kupieckiej spotkają się z nimi na Vellgeluku następnego dnia o świcie.

– Zobacz – powiedział i podsunął Jesperowi do przeczytania list, który oprócz szczegółów spotkania zawierał dopisek: „Gratulacje. Wasz kraj jest Wam wdzięczny”.

Dziwnie brzmiały te słowa, ale Jesper parsknął śmiechem i odparł:

– Dopóki mój kraj mi płaci, nie widzę przeszkód. Czy Rada wie, że uczony z Shu Hanu nie żyje?

– Opisałem wszystko w liście do Van Ecka. Napisałem, że Bo Yul-Bayur nie żyje, ale mamy jego syna, który na zlecenie Fjerdan pracował nad *jurda parem*.

– Próbował się targować?

– Nie w liście. Wyraził „najgłębszy niepokój”, ale ani słowem nie wspomniał o cenie. My zrobiliśmy, co do nas należało; zobaczymy, czy na Vellgeluku będzie chciał się targować.

– Wylan popłynie z nami na spotkanie z Van Eckiem? – spytał Jesper, gdy wiosłowali już z powrotem na *Ferolinda*.

– Nie. – Kaz zabębnił palcami we wronią główkę swojej laski. – Zabierzemy ze sobą Matthiasa, a ktoś musi zostać z Niną. Poza tym, gdybyśmy musieli użyć Wylana jako argumentu przetargowego w rokowaniach z jego ojcem, lepiej nie odsłaniać pochopnie kart.

To brzmiało sensownie. Zresztą cokolwiek poróżniło Wylana z ojcem, kupczyk na pewno nie chciałby załatwiać rodzinnych porachunków na oczach Matthiasa i Szumowin.

W nocy Jesper nie spał, przewracał się w hamaku z boku na bok, a raniem powitał go szary, duszny świt. Nie było wiatru. Morze było gładkie i szkliste jak staw przy młynie.

– Uparte niebo – mruknęła Inej, mrużąc oczy i spoglądając w stronę Vellgeluku.

I rzeczywiście: na horyzoncie nie było ani jednej chmurki, a mimo to powietrze zgęstniało od wilgoci, jakby tylko przez zwykłą przekorę natury nie zbierało się na burzę.

Jesper powiódł wzrokiem po pustym pokładzie. Spodziewał się, że Wylan przyjdzie ich pożegnać, ale Nina nie mogła zostać sama.

– Co z nią? – spytał Matthiasa.

– Jest osłabiona, nie spała... Ale wmusiliśmy w nią trochę rosołu i chyba go nie zwymiotuje.

Jesper zdawał sobie sprawę, że zachowuje się samolubnie i głupio, ale jakaś jego małostkowa cząstka zastanawiała się, czy

Wylan celowo unikał go podczas całej podróży powrotnej. Może teraz, kiedy robota została zakończona i pozostało już tylko odebrać swoją działkę łupu, kupczyk postanowił nie popolitować się więcej z przestępcami.

– Gdzie druga szalupa? – zainteresował się, gdy z Kazem, Matthiasem, Inej, Kuweiem i Rottym odbili od burty *Ferolinda*.

– W naprawie – odparł Kaz.

Płaska jak naleśnik wyspa Vellgeluk była prawie niewidoczna z poziomu wody. Na mierzącej niespełna milę szerokości jałowej łąsce piasku i skał jedynym punktem charakterystycznym były zrujnowane fundamenty starej wieży Rady Pływów. Przemysłowcy nazwali wysepkę „Vellgeluk”, czyli „powodzenie”, ze względu na malunki, które zachowały się u podnóża zburzonej wieży: złote kręgi miały przedstawiać monety – symbol łaski Ghezena, boga handlu i pracowitości. Jesper i Kaz spotykali się tu już wcześniej z przemysłowcami – wyspa leżała na uboczu, z dala od ketterdamskich przystani i szlaków wodnych patrolowanych przez straż portową, a na dodatek była pozbawiona zabudowań i ukrytych zatoczek, w których można by zastawiać pułapki na przybyszów. Idealne miejsce spotkania dla ludzi ostrożnych.

Przy przeciwległym brzegu Vellgeluk cumowała brygantyna ze smętnie obwisłymi żaglami. Jesper od świtu śledził jej ruch: wyszła z portu, a potem rosła w oczach, od małego punkciku do całkiem sporej plamy na horyzoncie. Teraz słyszał także pokrzykiwania marynarzy przy wiosłach. Chwilę później z brygantyny opuszczono wyładowaną pasażerami szalupę.

Dotarwszy do lądu, Jesper i pozostali wyskoczyli do wody i wyciągnęli łódź na brzeg. Jesper odruchowo sprawdził, czy rewolwery są na swoim miejscu. Inej musnęła palcami każdy nóż po kolei, bezgłośnie poruszając wargami. Matthias rozluźnił ramiona i poprawił pasek przytrzymujący przewieszony przez plecy karabin. Kuwei patrzył na nich w milczeniu.

– W porządku – odezwał się Kaz. – Czas się wzbogacić.

– Żadnych żałobników – powiedział Rotty, rozsiadając się

wygodnie w szalupie.

– Żadnych pogrzebów – odpowiedzieli chórem.

Ruszyli w stronę środka wysepki: Kaz na przedzie, za nim Kuwei eskortowany przez Inej i Jespera. Z naprzeciwka szedł im na spotkanie człowiek w czarnym stroju kupca, któremu towarzyszył wysoki mężczyzna z Shu Hanu, z ciemnymi włosami związanymi w kucyk. Za nimi podążali strażnicy ze *stadwacht* w fioletowych pelerynach, uzbrojeni w pałki i karabiny. Dwaj z nich taszczyli sporą skrzynię, zataczając się lekko pod jej ciężarem.

– Więc tak wygląda trzydzieści milionów *kruge*... – mruknął Kaz.

Jesper zagwizdał przez zęby.

– Oby tylko nie zatopiły nam szalupy.

– Przyszedeś sam, Van Eck? – spytał Kaz człowieka w czerni. – Reszta Rady nie miała czasu?

A zatem tak wyglądał Jan Van Eck. Był szczuplejszy od Wylana i zaczynał łysieć na czole, ale podobieństwo było ewidentne.

– Rada uznała, że ja najlepiej nadaję się do tego zadania, ponieważ już wcześniej miałem z panem do czynienia.

– Ładna szpilka – skomentował Kaz rubinową szpilkę do krawata Van Ecka. – Chociaż nie tak ładna jak tamta.

Van Eck odął lekko wargi.

– Tamta to była pamiątka rodzinna – odparł i zwrócił się do stojącego obok przybysza z Shu Hanu: – I co?

– To Kuwei Yul-Bo – odparł tamten. – Minał rok, odkąd go widziałem, trochę przez ten czas wyrósł, ale poza tym... Skóra zdjęta z ojca.

Powiedział coś do Kuweia w języku shu i ukłonił mu się lekko.

Kuwei zerknął na Kaza, po czym ukłonił się w odpowiedzi. Jesper wyraźnie widział pot roszący mu czoło.

– Nie ukrywam, że jestem zaskoczony, panie Brekker – przyznał z uśmiechem Van Eck. – Zaskoczony i zarazem zachwycony.

– Nie spodziewałeś się, że się nam uda.

– Powiedzmy, że moim zdaniem mieliście niewielkie szanse.
– Czy to dlatego postanowiłeś się dodatkowo zabezpieczyć?
– Ach tak... Czyli rozmawiał pan z Pekką Rollinsem.
– Gość lubi sobie pogadać, kiedy jest w humorze – odparł Kaz, a Jesper przypomniał sobie krew na jego koszuli, kiedy spotkali się w więziennej spalarni. – Podobno zapłaciłeś Lwom za Dychę, żeby również spróbowali odbić Bo Yul-Bayura.

Jesper poczuł ukłucie niepokoju na myśl o tym, co jeszcze Rollins mógł powiedzieć Kazowi.

Van Eck wzruszył ramionami.

– Przewrotny zawsze ubezpieczony.
– A poza tym, co cię to obchodzi, że dwie bandy szczurów kanałowych powystrzelają się nawzajem w wyścigu po nagrodę. Mam rację?

– Zdawaliśmy sobie sprawę, że obie ekipy mają niewielkie szanse na sukces. Mam nadzieję, że jako hazardzista dobrze to pan rozumie.

Jesper nigdy nie myślał o Kazie jak o hazardziście. U hazardzisty jest miejsce na przypadek.

– Trzydzieści milionów *kruge* ukoj moje zranione uczucia – zapewnił Kaz.

Na dany przez Van Ecka znak stojący za nim strażnicy wystąpili naprzód i postawili skrzynię przed Kazem, który przykucnął obok niej i podniósł wieko. Nawet z tej odległości Jesper dobrze widział piętrzące się w skrzyni pliki jasnioletowych kercheńskich banknotów ozdobionych symbolem trzech latających ryb, wszystkie owinięte zalakowanymi banderolami.

Inej zaparło dech w piersi.

– Nawet wasze pieniądze mają dziwny kolor – zauważył Matthias.

Jesper chętnie by pogłaskał te cudowne paczuszki. A jeszcze chętniej by się w nich wykąpał.

– Chyba się zaśliniłem – mruknął.

Kaz wyjął jeden plik banknotów, przesunął po nim kciukiem

w rękawiczce, a potem sięgnął w głąb innej warstwy, żeby się upewnić, że Van Eck nie próbuje ich wykiwać.

– Wszystko się zgadza – orzekł.

Odwrócił się i skinął na Kuweia. Chłopak pokonał dzielący ich krótki dystans, a wtedy Van Eck przywołał go gestem do siebie i poklepał po plecach.

Kaz wstał.

– No, Van Eck, chciałoby się powiedzieć, że przyjemnie robi się z tobą interesy, ale aż tak dobrym kłamcą to ja nie jestem. Pójdziemy już sobie.

Van Eck zrobił krok w przód, zasłonił Kuweia i odparł:

– Przykro mi, panie Brekker, ale nie mogę do tego dopuścić.

Kaz oparł się na lasce i zmierzył go czujnym spojrzeniem.

– Jakiś problem?

– Nawet kilka. Stoją tu, przede mną. Nie ma mowy, żebyście odpłynęli z tej wyspy.

Van Eck wyjął z kieszeni gwizdek i wydobył z niego piskliwy, przenikliwy dźwięk. Jednocześnie strażnicy dobyli broni i zerwał się wiatr – zawodzący nienaturalny huragan smagnał wysepkę. Poziom morza zaczął się podnosić.

Żeglarze czekający przy spuszczonej z brygantyny szalupie unieśli ręce i fale spiętrzyły się za ich plecami.

– Akwatycy – burknął Matthias, zdejmując karabin z pleców.

Kolejne dwie postaci wzbily się w powietrze z pokładu brygantyny.

– Szkwalnicy! – krzyknął Jesper. – Naszprycowani *parem!*

Szkwalnicy zatoczyli krąg w powietrzu. Wiatr wokół nich jeszcze się wzmógł.

– Zatrzymałeś dla siebie część zapasów, które Yul-Bayur przekazał Radzie – domyślił się Kaz, mrużąc oczy.

Szkwalnicy podnieśli ręce. Wycie wiatru przybrało wyższą, płaczącą nutę.

Jesper dobył rewolwerów. Przecież chciał sobie do czegoś postrzelać, czyż nie?

Wygląda na to, że to naprawdę jest wyspa powodzenia,

pomyślał, czując dreszczyk podniecenia. Oto spełnia się moje
życzenie.



– Zawarliśmy umowę, Van Eck. – Kaz podniósł głos, żeby przekrzyczeć wzbierający sztorm. – Jeżeli Rada Kupiecka nie dotrzyma słowa, w przyszłości nikt z Baryłki nie będzie chciał robić z wami interesów. Wasze słowo stanie się bezwartościowe.

– Rzeczywiście, byłby to pewien problem, panie Brekker, gdyby Rada wiedziała o naszej umowie.

Kaz doznał olśnienia.

– Rada od początku nie miała z tym nic wspólnego – powiedział.

Dlaczego wcześniej uwierzył, że Van Eck działa z błogosławieństwem Rady Kupieckiej? Dlatego że był bogatym i szanowanym kupcem? Dlatego że przebrał swoich służących i żołnierzy w fioletowe mundury *stadwachty*? Spotkali się w objętym kwarantanną kupieckim domu, nie w budynku rządowym, a on dał się zwieść małą przebieranką. Poczuli się tak, jakby znów znalazł się w kawiarni Hertzoona – tyle że teraz był starszy i znał prawdę.

– Chciałeś mieć Yul-Bayura dla siebie. Chciałeś zdobyć recepturę *parem*.

Van Eck przytaknął swobodnym skinieniem głowy.

– Neutralność to luksus, którym Kerch cieszy się już nazbyt długo. Członkom Rady wydaje się, że ich majątek ich ochroni; że mogą się wygodnie rozsiąść i liczyć pieniądze, gdy wszędzie na świecie wybuchają spory.

– A ty znasz prawdę?

– Owszem. *Jurda parem* nie jest sekretem, który można przemilczeć, stłamsić albo ukryć w chałupie na odludziu na nowoziemskim pograniczu.

– Czyli całe to twoje gadanie o szlakach handlowych i upadających rynkach zbytu...

– Nie, nie, panie Brekker: sytuacja rozwinie się zgodnie z moimi przewidywaniami. Bardzo na to liczę. Gdy tylko Rada otrzymała wiadomość od Bo Yul-Bayura, zacząłem skupować plantacje *jurdy* w Nowoziemiu. Kiedy tajemnica *jurdy parem* wyjdzie na jaw, wszystkie kraje i rządy będą się o nią dopominać, żeby podać ją swoim griszom.

– Chaos – powiedział Matthias.

– Otóż to. Nastanie chaos, a ja będę jego panem. Bardzo bogatym panem.

– Przez ciebie griszów czeka niewola i śmierć – wtrąciła Inej. Van Eck uniósł brew.

– A ileż ty masz lat, dziecko? Szesnaście? Siedemnaście? Państwa pojawiają się i znikają, rynki powstają i upadają... Kiedy władza przechodzi z rąk do rąk, zawsze ktoś cierpi.

– Kiedy profity przechodzą z rąk do rąk – poprawił go Jesper.

– A to nie to samo? – zdumiał się Van Eck.

– Kiedy Rada się dowie... – zaczęła Inej.

– Rada się nie dowie – wszedł jej w słowo kupiec. – Jak wam się wydaje, dlaczego zleciłem tę robotę ścierwu z Baryłki? No dobrze, trzeba wam oddać sprawiedliwość: jesteście zaradniejsi i o wiele bardziej cwani od wszelkich najemników. Ale najważniejsze jest to, że nikt po was nie zapłaci.

Podniósł ręce. Akwatycy zakręcili młynka ramionami. Słyszając krzyk, Kaz odwrócił się i zobaczył spiętrzoną nad głową Rotty'ego wysoką falę. Żeglarz rzucił się do ucieczki, a fala runęła

z góry na plażę i zdruzgotała szalupę.

– Żadne z was nie opuści tej wyspy, panie Brekker. Wszyscy znikniecie i nikt się tym nie przejmie.

Ponownie uniósł rękę i akwatycy znów zareagowali na jego gest: tym razem potężna fala runęła w stronę *Ferolinda*.

– Nie! – wrzasnął Jesper.

– Van Eck! – zawołał Kaz. – Na tym statku jest twój syn!

Van Eck odwrócił się do niego gwałtownie i zadał w gwizdek. Akwatycy znieruchomieli w oczekiwaniu na nowe rozkazy. Kupiec niechętnie opuścił rękę i fala opadła, nie czyniąc nikomu krzywdy. Woda chlupnęła nieszkodliwie o burtę *Ferolinda*.

– Mój syn? – powiedział Van Eck.

– Wylan Van Eck.

– Panie Brekker, z pewnością wie pan o tym, że dawno już wyгнаłem syna z domu.

– Wiem, że odkąd wyjechał, piszesz do niego co tydzień i błagasz, żeby wrócił. Człowiek, którego nie obchodzą losy jedyne go syna i dziedzica, tak się nie zachowuje.

Van Eck wybuchnął śmiechem – serdecznym i jowialnym, lecz zaprawionym odrobiną goryczy.

– Pozwoli pan, że opowiem mu o moim synu. – Ostatnie słowo wypluł w taki sposób, jakby zalegało mu trucizną na języku. – Miał odziedziczyć jedną z największych kercheńskich fortun, prawdziwe handlowe mocarstwo, którego szlaki kupieckie sięgają wszystkich zakątków globu. Przede mną budował je mój ojciec, a przed nim jego ojciec. Tymczasem mój syn, chłopak, który miał władać tym wspaniałym imperium, nie jest w stanie nauczyć się czegoś, co potrafią siedmioletnie dzieci. Umie rozwiązywać równania, maluje, ślicznie gra na flecie, za to nie umie, panie Brekker, czytać. Nie umie pisać. Zatrudniałem najlepszych prywatnych nauczycieli z całego świata; sprowadzałem specjalistów, próbowałem leków wzmacniających, hipnozy, bicia. Na próżno. W końcu musiałem pogodzić się z tym, że Ghezen postanowił mnie przekląć dzieckiem-idiotą. Wylan jest chłopcem i nigdy nie stanie się

mężczyzną. Pohańbił mój dom.

– Te listy... – odezwał się Jesper. Kaz widział gniew malujący się na jego twarzy. – Wcale go nie błagałeś, żeby wrócił. Ty z niego drwiłeś.

I rzeczywiście. „Jeśli czytasz te słowa, to wiesz, jak bardzo pragnę, żebyś wrócił”. Każdy taki list był jak policzek wymierzony Wylanowi. Jak okrutny żart.

– To twój syn – dodał Jesper.

– Nie. To pomyłka. Pomyłka, która wkrótce zostanie naprawiona. Moja śliczna młoda żona jest w ciąży. Nie obchodzi mnie, czy to będzie chłopiec, dziewczynka, czy potwór z rogami: właśnie to dziecko zostanie moim dziedzicem, a nie przygłup, który nie potrafi przeczytać choćby zbioru hymnów, nie mówiąc już o księdze rachunkowej. Nie pozwolę, żeby jakiś półgłówek wystawiał nazwisko Van Ecków na pośmiewisko.

– Jesteś głupcem! – zachnął się Jesper. – A Wylan jest mądrzejszy niż większość z nas razem wzięta. Zasługuje na lepszego ojca.

– Zasługiwał – poprawił go Van Eck i dwukrotnie zadał w gwizdek.

Akwatycy nie wahali się ani chwili: zanim ktokolwiek zdążył choćby nabrać tchu w płuca, żeby zaprotestować, dwie olbrzymie ściany wody wypiętrzyły się z morza i runęły na *Ferolinda*. Rozległ się ogłuszający łoskot i ze statku zostały drzazgi.

Jesper zawył z wściekłości i wycelował z rewolwerów w Van Ecka.

– Jesper! – ryknął Kaz. – Opuść broń!

– On ich zabił! – odparował Jesper z wykrzywioną gniewem twarzą. – Zabił Wylana i Ninę!

Matthias położył mu rękę na ramieniu.

– Jesper – powiedział półgłosem – spokojnie.

Jesper obejrzał się na wzburzone fale, unoszące się na nich kawałki masztu i skrawki żagli w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się statek.

– Ale ja... nie rozumiem...

– Ja również muszę przyznać, że jestem nieco poruszony, panie Brekker – odezwał się Van Eck. – Żadnych łez? Żadnego słusznego oburzenia po śmierci załogi? Widzę, że wy w tej Baryłce naprawdę wiecie, co to zimny chów.

– Zimny i ostrożny – powiedział Kaz.

– Najwyraźniej nie dość ostrożny. No, ale przynajmniej nie pożyje pan dość długo, żeby rozpamiętywać swoje błędy.

– Powiedz mi, Van Eck, liczysz się z możliwością pokuty? Ghezen nie lubi ludzi, którzy nie dotrzymują umów.

– Co pan dał światu, panie Brekker? – wybuchnął Van Eck, rozdymając nozdrza. – Ha? Zbił pan majątek? Dał komuś dostatek? Nie. Potrafi pan tylko zabierać uczciwym mężczyznom i kobietom ich własność i zagarniać wszystko dla siebie. Ghezen obdarza łaską tych, którzy na to zasługują; ludzi, którzy budują miasta, nie szczury, które podgryzają ich fundamenty. Błogosławi mnie i moim przedsięwzięciom, dlatego pan przepadnie bez śladu, a mnie się będzie wiodło doskonale. Taka właśnie jest wola Ghezena.

– Jest tylko jeden problem, Van Eck. Potrzebujesz do tego Kuweia Yul-Bo.

– A jak zamierza mi go pan odebrać? Jesteście bezbronni i otoczeni.

– Nie muszę ci go odbierać, bo w ogóle go nie masz. To nie jest Kuwei Yul-Bo.

– Żałosny blef, nic więcej.

– Nie przepadam za blefowaniem, prawda, Inej?

– Prawda, Kaz.

Van Eck uśmiechnął się pogardliwie.

– Niby dlaczego?

– Bo woli oszukiwać – odparł w płynnym kercheńskim chłopiec, który nie był Kuweiem Yul-Bo.

Van Eck podskoczył na dźwięk jego głosu.

Jesper się wzdrygnął.

Chłopiec z Shu Hanu wyciągnął rękę.

– Płacisz, Kaz.

Kaz westchnął.

– Jak ja nie cierpię przegrywać zakładów... Widzisz, Van Eck, Wylan założył się ze mną, że będziesz gotowy bez skrupułów go zamordować. Możesz mnie nazwać sentymentalnym, ale jednak nie spodziewałem się, że ojciec może być aż tak bezduszny.

Van Eck szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w Kuweia – a właściwie w chłopaka, którego uważał za Kuweia. Nie potrafił pogodzić widoku tej twarzy z dobywającym się z jej ust głosem Wylana.

Jesper obserwował ich z niedowierzaniem.

Doczeka się wyjaśnień, gdy tylko Kaz doczeka się pieniędzy.

– To niemożliwe – wykrztusił Van Eck.

I rzeczywiście, to nie powinno być możliwe, bo Nina była naprawdę przeciętną formatorką – ale pod wpływem *jurdy parem*... Stają się dla nich realne czyny, które zwyczajnie nie powinny być możliwe, jak powiedział kiedyś sam Van Eck. Stała przed nimi niemal doskonała kopia Kuweia Yul-Bo – tyle że przemawiająca głosem Wylana i wykazująca jego maniery, a także (choć Kaz dostrzegął w tych złotych oczach strach i ból) zdumiewającą odwagę.

Po bitwie w porcie w Djerholmie Wylan przyszedł do Kaza i uprzedził go, że nie nadaje się do wykorzystania jako środek nacisku na ojca. Czerwony jak burak z najwyższym trudem wyznał naturę trapiącej go „przypadłości”, co Kaz skwitował wzruszeniem ramion. Niektórzy byli poetami, inni uprawiali ziemię, jeszcze inni bogacili się jako kupcy; Wylan potrafił świetnie rysować plany budowli, a w razie potrzeby zmontować świder, który przewierca szkło griszów, mając do dyspozycji kawałki mechanizmu bramy i kradzioną biżuterię. Co z tego, że nie umie czytać?

Kaz spodziewał się, że chłopak zaprotestuje przeciw upodobnieniu go do Kuweia; tak daleko posunięta transformacja była możliwa wyłącznie dla griszy wzmocnionego *jurdą parem*.

– Zmiana może być trwała – ostrzegł go Kaz.
Wylanowi to nie przeszkadzało.
– Muszę wiedzieć. Raz na zawsze muszę rozstrzygnąć, co mój ojciec naprawdę o mnie myśli.
Teraz już wiedział.
Van Eck gapił się na niego z niedowierzaniem, bezskutecznie wypatrując choćby śladu znajomych rysów syna.
– To niemożliwe...
Wylan stanął obok Kaza.
– Pomódl się do Ghezena, ojczy, niech ci ześle zrozumienie.
Był nieco wyższy od Kuweia, miał odrobinę pełniejszą twarz, ale Kaz widział ich obu, gdy stali obok siebie, i podobieństwo było uderzające. Dzieło Niny – wykonane na pokładzie statku zanim jeszcze wywołane *parem* uniesienie zaczęło słabnąć – było niemal doskonałe.
Wściekłość wykrzywiła twarz Van Ecka.
– Jesteś nic niewart – wysyczał pod adresem Wylana. – Zawsze miałem cię za głupca, teraz okazałeś się także zdrajcą.
– Głupiec czekałby na tamtym statku, aż rozniesiesz go w pył. Co zaś się tyczy „zdrajcy”... Przed chwilą nazywałeś mnie gorszymi słowami.
– Zastanów się – zwrócił się Kaz do Van Ecka. – Co by było, gdyby prawdziwy Kuwei Yul-Bo znajdował się na statku, który za twoją sprawą stał się właśnie górą wykałaczek?
– Gdzie jest Kuwei Yul-Bo? – wycedził Van Eck. Mówił całkiem spokojnie, tylko pełną w górę szyi rumieniec gniewu zdradzał jego prawdziwy nastrój.
– Pozwól nam odpłynąć z wyspy razem z naszymi pieniędzmi, a z przyjemnością ci to wyjawię.
– Nie macie szans, Brekker. Twoja marna ekipa nie może się równać z moimi griszami.
Kaz wzruszył ramionami.
– Zabij nas, a już nigdy nie znajdziesz Kuweia.
Van Eck przetrawił jego słowa. Cofnął się o krok.
– Straż! Do mnie! Zabić wszystkich oprócz Brekkera!

Kaz natychmiast się zorientował, że popełnił błąd. Spodziewali się, że może dojść do takiej sytuacji. Powinien był zaufać swojej ekipie; nie powinien był spuszczać Van Ecka z oka. Jednakże w tej jednej chwili, gdy padła groźba, w momencie, kiedy powinien bez reszty skoncentrować się na czekającej go walce, uciekł wzrokiem w bok. Spojrzał na Inej.

A Van Eck to zauważył. Zagwizdał.

– Zostawić ich! Brać pieniądze i dziewczynę!

Nie ustępuj, podpowiadał Kazowi instynkt. To Van Eck ma pieniądze. To on jest tu kluczowy. Inej da sobie radę; w tej grze jest pionkiem, nie nagrodą za zwycięstwo.

Ale mimo woli już odwracał się w jej stronę, już biegł, żeby doskoczyć do niej, zanim dopadną ją griszowie.

Akwatycy byli szybsi: rozwiali się w mgłę, a potem zmaterializowali tuż przy Inej. Tylko głupiec próbowałby ją pokonać w walce wręcz, dlatego griszowie na przemian znikali i pojawiali się, próbując jej dosięgnąć – ale to ona była Zjawą i jej noże bezbłędnie znalazły serce, gardło, śledzionę. Polała się krew i akwatycy spoczęli na piasku w dwóch bezwładnych, najzupełniej materialnych kopczykach.

Kątem oka Kaz dostrzegł jakiś ruch: to jeden ze szkwalników pędził na spotkanie Inej.

– Jesper! – zawołał.

Jesper strzelił. Szkwalnik spadł.

Drugi był sprytniejszy: nadlatywał nisko, szybując tuż ponad ruinami. Jesper z Matthiasem otworzyli ogień, ale musieli celować pod słońce, a nawet Jesper nie potrafił strzelać na oślep. Szkwalnik zderzył się z Inej, porwał ją w ramiona i uniósł pod niebo.

Nie ruszaj się, upomniał ją w myślach Kaz i również dobył broni. Inej go nie posłuchała: wykręciła się w objęciach szkwalnika i cięła nożem. Grisza wrzasnął – jego krzyk dobiegł z wielkiej wysokości – i ją wypuścił. Inej zaczęła spadać na piasek. Kaz bez namysłu wybiegł jej na spotkanie. Nie miał żadnego planu.

Mignęła mu rozmazana plama: trzeci szkwalnik zanurkował spod nieba, przechwycił spadającą Inej w locie i wymierzył jej okrutny cios w głowę. Ciało dziewczyny zwiotczało.

– Zestrzelcie go! – wykrzyknął Matthias.

– Nie! – zaoponował Kaz. – Wtedy Inej też spadnie!

Grisza z Inej w ramionach zrobił unik i wzniósł się poza zasięg strzału.

Byli bezradni, mogli tylko stać jak idioci i patrzeć, jak jej sylwetka maleje w oddali – odległy księżyc, gasnąca gwiazda, zupełnie nic.

Żołnierze i griszowie zacieśnili krąg, porwali skrzynię z pieniędzmi i samego Van Ecka i przetransportowali ich na pokład czekającej brygantyny. Wizja zemsty za Jordiego, stanowiąca dotąd cel życia Kaza, wymykała mu się z rąk.

Było mu to obojętne.

– Ma pan tydzień na przyprowadzenie mi prawdziwego Kuweia! – zawołał Van Eck. – W przeciwnym razie krzyki dziewczyny będzie słychać aż w Fjerdzie. Jeśli i to pana nie wzruszy, rozpowiem wszem wobec, że przetrzymujecie najcenniejszego zakładnika na świecie, a wtedy pan i pańskie Szumowiny będziecie mieli na karku wszystkie gangi, rządy, przemytników i szpiegów. Nie będziecie mieli gdzie się schować.

– Mogę strzelić, Kaz – odezwał się Jesper, celując z karabinu. – Van Eck jest w zasięgu.

Wtedy wszystko przepadnie: Inej, pieniądze... Wszystko.

– Nie. Niech odpłyną.

Morze było gładkie jak stół, a powietrze zupełnie nieruchome, lecz pozostali szkwalnicy Van Ecka wypełnili żagle brygantyny silnym wiatrem.

Kaz odprowadził wzrokiem statek zmierzający do Ketterdamu, do bezpiecznej przystani, której fundamentem była nieskalana kupiecka reputacja Van Ecka. Czuł się tak jak przed laty, gdy zaglądał w ciemne okna domów przy Zilverstraat. Znów był bezradny.

Modlił się do niewłaściwego boga.

Jesper powoli opuścił broń.

– Van Eck wysłał żołnierzy i griszów, żeby szukali Kuweia – mruknął Matthias.

– Nie znajdą ani jego, ani Niny – odparł Kaz.

Nie znajdą ich ani w Listewce, ani nigdzie indziej w Baryłce. Nie znajdą ich w całym Ketterdamie. Poprzedniego dnia wieczorem Kaz polecił Spechtowi wziąć z *Ferolinda* drugą szalupę (tę, o której później powiedział Jesperowi, że trafiła do naprawy), zabrać Kuweia i Ninę, i umieścić ich w bezpiecznym miejscu: w pustych klatkach w lochach starej więziennej wieży we Wrotach Piekieł. Kiedy Kaz udał się do portu, żeby nawiązać kontakt z Van Eckiem, rozpytał się wśród ludzi o różne rzeczy i ustalił, że po tragedii, do jakiej doszło przy okazji Piekielnego Widowiska, klatki zostały zalane wodą, żeby wypłukać z nich zwłoki ludzi i zwierząt, i od tamtej pory nikt z nich nie korzystał. Matthias stanowczo sprzeciwiał się rozstaniu z Niną, zwłaszcza biorąc pod uwagę jej obecny stan, ale dał się przekonać, że na *Ferolindzie* będą z Kuweiem całkiem bezbronni.

Kaz nie mógł się nadziwić swojej naiwności. Był głupszy niż frajer, któremu zaraz po zejściu z pokładu łajby marzy się zabicie fortuny przy Wschodniej Klepce. Jego największa słabość znajdowała się tuż obok. A teraz już jej nie było.

Jesper gapił się na Wylana, błędząc wzrokiem po jego czarnych włosach i złotych oczach.

– Dlaczego? – zapytał w końcu. – Dlaczego to zrobiłeś?

Wylan wzruszył ramionami.

– Musieliśmy go jakoś przycisnąć.

– Jakbym słyszał Kaza.

– Nie mogłem pozwolić na to, żebyście wdali się w wymianę zakładników, w której będę zabezpieczeniem.

– Nina cię przeformowała?

– Od razu po wypłynięciu z Djerholmu, jeszcze tego samego wieczoru.

– To dlatego przez cały rejs nigdzie cię nie było – domyślił się Jesper. – Wcale nie pomagałeś Matthiasowi opiekować się Niną.

Po prostu się ukrywałeś.

– Nie ukrywałem się.

– Ale... kiedy nocą na pokładzie myślałem, że to Kuwei stoi obok mnie... Ile razy to byłeś ty?

– Zawsze.

– Wiesz, że Nina może nie zdołać ci przywrócić dawnej postaci. Nie bez świeżej dawki *parem*. Może się okazać, że już zawsze będziesz tak wyglądał.

– A jakie to ma znaczenie?

– Nie wiem! – odparował Jesper ze złością. – Może po prostu polubiłem twoją durną gębę. – Odwrócił się do Matthiasa. – Wiedziałeś. Wylan wiedział, Inej też... Wszyscy wiedzieli, oprócz mnie!

– Zapytaj mnie dlaczego, Jesper – warknął Kaz, tracąc cierpliwość.

Jesper przestąpił niepewnie z nogi na nogę.

– Dlaczego?

– To ty sprzedałeś nas Rollinsowi. – Kaz oskarżycielskim gestem wycelował palec w Jespera. – To przez ciebie wpadliśmy w pułapkę przy próbie opuszczenia Ketterdamu. Przez ciebie omal nie zginęliśmy.

– Niczego Rollinsowi nie powiedziałem. Nawet...

– Powiedziałeś jednemu z Lwów za Dychę, że wyjeżdżasz z Kerchu i że spodziewasz się niezłego zarobku. Mam rację?

– Musiałem. – Jesper z wysiłkiem przełknął ślinę. – Mocno mnie przycisnęli. Farma ojca...

– Zakazałem ci wspominać komukolwiek, że wyjeżdżasz z kraju. Ostrzegałem cię, żebyś trzymał język za zębami.

– Nie miałem wyjścia! Przed wyjazdem zamknąłeś mnie w Klubie Wron. Gdybyś mi pozwolił...

Kaz spiorunował go wzrokiem.

– Gdybym co ci pozwolił? Zagrać kilka partyjek trójkolca? Pograć się jeszcze głębiej u wszystkich szefów gangów w Baryłce na tyle głupich, żeby udzielili ci kredytu? Członkowi gangu Pekki powiedziałeś, że niedługo się dorobisz.

– Nie wiedziałem, że pójdzie z tym do Pekki! Ani że Pekka wie o *parem*! Chciałem tylko zyskać na czasie.

– Na wszystkich świętych, Jesper, ty się naprawdę niczego nie nauczyłeś w Szumowinach. Wciąż jesteś tym durnym chłopskim synem, który pewnego dnia zszedł w Ketterdamie na ląd.

Jesper rzucił się na Kaza, któremu na myśl o bitce zakreśliło się w głowie. Nareszcie walka, którą wygra.

Matthias wszedł między nich i powstrzymał każdego z osobna wyprostowaną ręką.

– Przestańcie. Natychmiast przestańcie.

Ale Kaz wcale nie miał ochoty przestać – chciał sprać ich wszystkich, przerobić ich na krwawą miazgę, a potem bić się z kim popadnie przez całą drogę do Baryłki.

– Matthias ma rację – wtrącił Wylan. – Musimy się zastanowić, co dalej.

– Nie ma żadnego „dalej” – odwarknął Kaz.

Już Van Eck tego dopilnuje.

Nie mogą wrócić do Listewki ani liczyć na pomoc Pera Haskella i reszty Szumowin. Za sprawą Van Ecka Baryłka – ojczyzna Kaza – stanie się dla nich wrogim terytorium.

– Jesper popełnił błąd – ciągnął Wylan – głupi błąd, ale nie zamierzał nikogo zdradzić.

Kaz się cofnął, próbując ochłonać. Wiedział, że Jesper nie zdawał sobie sprawy, jaką machinę puszcza w ruch – ale wiedział również, że już nigdy nie będzie mu mógł w pełni zaufać. Zresztą może dlatego nie powiedział mu prawdy o Wylanie, żeby go trochę ukarać.

Jeżeli w ciągu najbliższych paru godzin się nie odezwą, Specht wsiądzie w szalupę i po nich przyplynie. Na razie zostali sam na sam z płaskim szarym niebem wśród martwych skał tworzących tę żalostną namiastkę wyspy. I z nieobecnością Inej. Miał ochotę komuś przywalić. I miał ochotę, żeby ktoś przywalił jemu.

Oszacował, co zostało z jego ekipy. Rotty kręcił się przy szczątkach szalupy. Jesper siedział na piasku, opierał łokcie na

kolanach i trzymał się za głowę. Obok przykucnął Wylan z twarzą niemal obcego człowieka. Matthias – niewzruszenie patrzący ponad wodą w stronę Wrót Piekieł – przywodził na myśl kamiennego wartownika. Jeżeli Kaz był ich przywódcą, to Inej można by nazwać ich spoiwem: to ona scaliła ekipę, gdy zagrażał jej rozpad.

Zanim przybyli do Lodowego Dworu, Nina zamaskowała tatuaż Kaza przedstawiający wronę nad kielichem; nie dał jej jednak tknąć wytatuowanej na bicepsie litery R. Teraz przytknął palce w rękawiczce do miejsca, w którym rękaw płaszcza skrywał ten symbol. Niechcący dopuścił do powrotu Kaza Rietvelda. Nie wiedział, czy zaczęło się od zranienia Inej, czy od tej makabrycznej przejażdżki więźniarką, ale stało się – i drogo za to zapłacił.

Ale to jeszcze nie oznacza, że da się pokonać złodziejowi w przebraniu kupca.

Spojrzał na południe, w stronę portu w Ketterdamie. Załazek nowego pomysłu skrobał go delikatnie po wnętrzu potylicy, cień zaledwie, prawie niezauważalne swędzenie, na pewno nie gotowy plan, ale – być może – zaczątek planu. Widział już, jaki kształt ostatecznie przybierze. Zapowiadał się nedorzeczenie, wyglądał na niewykonalny i wymagał sporych nakładów finansowych.

– Mina kombinatora – zauważył Jesper.

– Bez dwóch zdań – przytaknął Wylan.

Matthias skrzyżował ramiona na piersi.

– Co tam, *demjin*? Grzebiesz w swoim worku ze sztuczkami?

Kaz rozprostował palce. Jak można było przetrwać w Baryłce? Kiedy odebrali ci wszystko, nauczyłeś się, jak zrobić coś z niczego.

– Wymyślę nową sztuczkę – odparł. – Taką, której Van Eck nigdy nie zapomni. – Odwrócił się do swoich ludzi. Gdyby mógł sam odbić Inej, zrobiłby to, ale to, co planował, przerastało jego możliwości. – Będzie mi potrzebna odpowiednia ekipa.

Wylan wstał.

– Za Zjawę.

Jesper również się podniósł.

– Za Inej – powiedział, wciąż nie patrząc Kazowi w oczy.

Matthias ograniczył się do krótkiego, stanowczego skinienia głową.

Inej chciała, żeby Kaz stał się kimś innym, lepszym człowiekiem i porządniejszym złodziejem, ale dla takiego chłopaka nie było tu miejsca. Taki chłopak umarłby z głodu w ciemnym zaułku. Taki chłopak nie zdołałby jej odbić.

Odzyskam moje pieniądze, poprzysiągł sobie w duchu. I odzyskam moją dziewczynę.

Inej nigdy nie mogła do niego należeć, nie tak naprawdę, ale znajdzie sposób, żeby dać jej dawno obiecaną wolność.

Brudnoręki przybył wykonać czarną robotę.



Pekka Rollins wcisnął grudkę *jurdy* w głąb policzka i wygodnie rozparty na krześle taksował wzrokiem przyprowadzoną przez Dzielnego bandę obszarpańców. Mieszkał na piętrze nad Szmaragdowym Pałacem w zbytkownym apartamencie, w pokojach wyłożonych zielonym aksamitem i wprost kapiących od złota. Uwielbiał przepych – najlepsze ubrania, najlepszych przyjaciół, najlepsze kobiety.

Stojące przed nim dzieciaki były zaprzeczeniem wszystkiego, co zbytkowne. Poprzebierały się w kostiumy z Dzikiej Komedii, ale ponieważ do jego gabinetu nie miał wstępu nikt, kto zasłania twarz, musieli zdjąć maski. Niektórych znał. Miał kiedyś nadzieję zwerbować tę ciałobójczynię, Ninę Zenik, która w tej chwili wyglądała, jakby miała nie dożyć następnego miesiąca: skóra i kości, zapadnięte oczy, trzęsące się ręce. Najwyraźniej udało mu się uniknąć chybionej inwestycji. Wspierała się na ramieniu fjerdańskiego olbrzyma o ogolonej głowie i posepnych niebieskich oczach. Kawał chłopca, prawdopodobnie były żołnierz. Mięśniak, warto mieć takiego pod ręką. Skąd Kaz Brekker wytrzasnął tych ludzi?

Obok stał chłopak z Shu Hanu, który jednak wyglądał

stanowczo za młodo jak na uczonego, którego wszyscy chcieli dorwać w swoje ręce. Poza tym Brekker nie sprowadzałby takiego skarbu do Szmaragdowego Pałacu.

Oczywiście Jespera Faheya Rollins również znał: snajper narobił sobie niewiarygodnych długów prawie we wszystkich domach gry przy Wschodniej Klepce, a ponieważ lubił kłapać jadaczką, Rollins dowiedział się o ekipie, którą Brekker zamierza wysłać do Fjerdy. Trochę dociekliwości i mnóstwo łapówek pozwoliło ustalić czas i miejsce ich wyruszenia w drogę – te akurat informacje okazały się nieprawdziwe; szczurek z kanałów o krok wyprzedził Rollinsa i Lwy za Dychę i zdołał dotrzeć do Lodowego Dworu.

I bardzo dobrze się stało – gdyby nie Kaz Brekker, Rollins wciąż siedziałby w celi tego przekłętego fjerdańskiego więzienia i czekał na kolejną sesję tortur. Albo oglądałby świat ze szczytu zatkniętej na murach włóczni.

Kiedy Brekker włamał się do jego celi, Rollins nie wiedział, czy za chwilę zostanie ocalony, czy zamordowany. Wiele słyszał o Brekkerze, od czasu gdy ten zyskał na znaczeniu w Szumowinach (żałosnej zbieraninie, którą Per Haskell nazywał gangiem); czasem widywał go nawet osobiście w Baryłce. Chłopak pojawił się znikąd i wiecznie sprawiał kłopoty, ale wciąż był tylko przybocznym w gangu, terierkiem podgryzającym kostki Rollinsa.

– Cześć, Brekker – odezwał się Rollins. – Przyszedłeś ze mnie sztych?

– Właściwie to nie. Ty mnie znasz?

– Pewnie. – Rollins wzruszył ramionami. – To ty jesteś tym smarkaczem, który podkrada mi klientów.

Na widok miny Brekkera Rollinsa zamurowało: w oczach Kaza malowała się nienawiść – czysta, czarna, głęboko zakorzeniona. Co ja takiego zrobiłem tej małej łajzie? – zdążył pomyśleć, lecz dziwny wyraz twarzy zniknął błyskawicznie i Rollins doszedł do wniosku, że wyobraźnia spletała mu figla.

– Czego chcesz, Brekker?

– Chcę ci wyświadczyć przysługę – odparł Brekker. Jego wzrok był zarazem dziki i beznamiętny.

Przyszedł boso i w więziennych łańchmanach, nawet bez swoich legendarnych czarnych rękawiczek (które Rollins uważał za beznadziejnie pretensjonalne).

– Nie wyglądasz mi na kogoś, kto może wyświadczać przysługi, młody.

– Kiedy stąd wyjdę, zostawię otwarte drzwi. Nie jesteś aż tak głupi, żeby szukać Bo Yul-Bayura na własną rękę, bez wsparcia ekipy, więc po prostu poczekaj na dogodny moment i spadaj stąd.

– Dlaczego mi pomagasz, do diabła?

– Nie jest ci przeznaczone umrzeć tutaj.

O dziwo, zabrzmiało to jak przekleństwo.

– Jestem twoim dłużnikiem, Brekker – powiedział Rollins. Nie wierzył własnemu szczęściu.

– Bez obaw, Rollins – odparł chłopak, wymykając się z celi. – Policzymy się.

A teraz wyglądało na to, że przyszedł upomnieć się o spłatę długu. Stojąc pośrodku luksusowo urządzonego gabinetu – z zawziętą miną i dłońmi wspartymi na wroniej główce laski – pasował tu jak kleks z atramentu. Chociaż Rollins bynajmniej nie był zaskoczony jego wizytą: ponoć wymiana pomiędzy Brekkerem i Van Eckiem nie wyszła najlepiej i Van Eck kazał obserwować Listewkę i inne kryjówki Brekkera. Nie pilnował jednak Szmaragdowego Pałacu. Nie miał powodu. Mógł nawet nie wiedzieć, że Pekka Rollins cały i zdrowy wrócił z Fjerdy.

Kiedy Brekker w oszczędnych słowach przedstawił mu zarys sytuacji, Rollins wzruszył ramionami.

– Dałeś się wykiwać – powiedział. – Dam ci dobrą radę: oddaj Van Eckowi Kuweia i miej sprawę z głowy.

– Nie przyszedłem po radę.

– Kupcy kochają nasze podatki. Od czasu do czasu mogą przymknąć oko na jakiś włam albo skok na bank, ale w zamian oczekują, że nie będziemy wyściubiać nosa z Baryłki

i przeszkadzać im w interesach. Jeżeli wypowiedz wojnę Van Eckowi, to się zmieni.

– Van Eck działa na własną rękę. Gdyby Rada Kupiecka się dowiedziała...

– A kto im powie? Szczur kanałowy z najgorszych slumsów? Nie oszukuj się, Brekker: ogranicz straty i czekaj na lepszy dzień do walki.

– Ja walczę codziennie. Chcesz mi powiedzieć, że ty byś odpuścił? Tak po prostu?

– Posłuchaj: jeżeli chcesz sobie strzelić w stopę, tę zdrową, chętnie popatrzę. Ale na pewno się z tobą nie sprzymierzę. Nie przeciwko kupcowi. Nikt nie stanie po twojej stronie. To nie byłaby zwykła wojenka gangów, Brekker, miałbyś przeciwko sobie *stadwachtę*, kercheńską armię i flotę wojenną; spaliliby Listewkę razem z waszym szefem, a przy okazji odbiliby Piątą Przyszań.

– Nie oczekuję, że będziesz walczyć ze mną ramię w ramię, Rollins.

– No to czego chcesz? Powiedz, a to dostaniesz. W granicach rozsądku.

– Muszę przekazać wiadomość do stolicy Ravki. Pilnie.

– Łatwizna. – Rollins wzruszył ramionami.

– I potrzebuję pieniędzy.

– To ci zaskoczenie... Ile?

– Dwieście tysięcy *kruge*.

Rollins o mało nie zakrztusił się ze śmiechu.

– Coś jeszcze, Brekker? Chcesz Szmaragd Lantsova? A może smoka srającego tęczą?

– Masz forsy jak lodu, Rollins. A ja ocaliłem ci życie.

– Trzeba było negocjować wtedy, w celi. Nie jestem bankiem, Brekker. Zresztą nawet gdybym nim był, to w obecnej sytuacji nie jesteś przesadnie wiarygodnym pożyczkobiorcą.

– Nie chcę pożyczki.

– Czyli mam ci podarować dwieście tysięcy *kruge*? Co dostanę w zamian za moją hojność?

Brekker zacisnął zęby.

– Moje udziały w Klubie Wron i Piątej Przystani – odparł.

Rollins wyprostował się na krześle.

– Sprzedałbyś swoje udziały?

– Tak. A za dodatkowe sto tysięcy dorzucę oryginalnego DeKappela.

Rollins opadł na oparcie i zetknął dłonie czubkami palców.

– Wiesz, że to za mało. Nie wystarczy na wojnę z Radą Kupiecką.

– Tej ekipie wystarczy.

– Tej ekipie? – Rollins prychnął z lekceważeniem. – Wciąż nie pojmuję, jak takie tłumoki zrobiły skuteczny wjazd do Lodowego Dworu.

– Pogódź się z tym.

– Van Eck cię zmiżdzy.

– Inni też próbowali. A mimo to wciąż wracam z za grobu.

– Szanuję twój upór, młody. Szanuję i rozumiem cię. Chcesz dostać pieniądze, które ci się należą. Chcesz odzyskać Zjawę. I chcesz podgryźć Van Ecka...

– O nie – przerwał Rollinsowi Brekker chrapliwym, na wpół zwierzęcym głosem. – Kiedy dopadnę Van Ecka, nie zadowolę się odebraniem tego, co moje. Zniszczę mu życie. Wypalę jego nazwisko z ksiąg. Nic po nim nie zostanie.

Pekka Rollins nie potrafiłby zliczyć gróźb, których wysłuchał, ludzi, których zabił, a także ludzi, których śmierci był świadkiem – a mimo to w tej chwili na widok Brekkera przeszedł go zimny dreszcz. Zamknięta w tym chłopaku wściekła bestia błagała, żeby spuścić ją z łańcucha. Nie chciałby przy tym być.

– Dzielnym? Otwórz sejf.

Rollins wypłacił Brekkerowi pieniądze, a następnie kazał mu spisać akt sprzedaży udziałów w Klubie Wron i istnej kopalni złota, jaką była Piąta Przystań. Kiedy podali sobie ręce dla przypieczętowania umowy, uścisk dłoni Kaza omal nie pogruchotał mu kości.

– Ty mnie w ogóle nie pamiętasz, prawda? – spytał Brekker.

– A powinienem?

W głębi oczu Brekkera przemknął ten sam czarny cień co wcześniej.

– Jeszcze nie.

– Umowa stoi – powiedział Rollins. Śpieszno mu było pozbyć się tych dziwaków z domu.

– Umowa stoi.

Po wyjściu gości wyjrzał przez ogromne przeszklone okno wychodzące na kasyno w Szmaragdowym Pałacu.

– Nieoczekiwanie rentowny koniec dnia, Dzielny.

Dzielny mruknął potakująco, obserwując grę: kości, karty, Koło Makkera; jedni tracili fortuny, inni je wygrywali, a wspaniały kawał tych dochodów trafiał wprost do kieszeni Rollinsa.

– O co chodzi z tymi jego rękawiczkami? – zainteresował się osiłek.

– Pewnie taki teatrzyk... Zresztą, kto go wie? I kogo to obchodzi?

Rollins patrzył, jak Brekker z ekipą przeciskają się przez tłum w kasynie. Kiedy otworzyli drzwi wyjściowe, przez moment na progu zarysowały się ich sylwetki, podświetlone światłem ulicznych latarni: kuternoga z gromadą przebierańców. To miał być gang? Brekker mógł być przebiegłym, pomysłowym i twardym złodziejaskiem, ale w odróżnieniu od tamtych nieszczęsnych błaznów z Lodowego Dworu ludzie Van Ecka będą przygotowani na jego przybycie. Chłopak wyruszał na prawdziwą wojnę.

Wojnę, w której nie miał szans.

Rollins sięgnął po zegarek; zbliżała się pora zmiany krupierów, a lubił osobiście nadzorować ten proces.

– Sukinsyn! – wykrzyknął nagle.

– Co się stało, szefie?

Rollins pokazał Dzielnemu dewizkę, na której zamiast wysadzanego brylantami chronometru dyndała mała rzepka.

– Ten mały łajdak...

Coś przyszło mu do głowy. Sięgnął po portfel. Nie znalazł go. Zniknęła również spinka do krawata, wisiołek z kaelską monetą, który nosił na szczęście, i złote sprzączki z butów. Zaczął się zastanawiać, czy nie powinien obejrzeć sobie plomb w zębach.

– Oskubał pana? – spytał z niedowierzaniem Dzielny.

Nikt nie kantował Pekki Rollinsa. Nikt się nie ośmielił. Tymczasem Kaz Brekker właśnie to zrobił, a Rollins zastanawiał się, czy to przypadkiem nie jest dopiero początek.

– Dzielny, chyba powinniśmy się pomodlić za Jana Van Ecka.

– Myśli pan, że Brekker go wyrokuje?

– Szanse ma marne, ale coś mi się widzi, że jeśli Van Eck nie będzie się miał na baczności, to pomaszeruje prosto na szubienicę i pozwoli Brekkerowi zacisnąć pętlę. – Rollins westchnął. – Módlmy się, żeby Van Eck go zabił.

– Dlaczego?

– W przeciwnym razie sam będę musiał to zrobić.

Pekka Rollins poprawił węzeł pozbawionego spinki krawata i zszedł do kasyna. Sprawa Kaza Brekkera mogła poczekać na inny dzień. Teraz trzeba zarabiać pieniądze.

Podziękowania

Cierpię na chorobę zwyrodnieniową zwaną po łacinie *osteonecrosis*. Nazwa ta oznacza „martwicę kości” i brzmi poniekąd gotycko i romantycznie, lecz w praktyce wygląda to tak, że przy każdym kroku odczuwam ból i czasem muszę podeprzeć się laską. Bohater mojej książki nieprzypadkowo zmaga się z podobnymi objawami; często odnosiłam wrażenie, że wraz z Kazem kuśtykamy tą samą drogą. Nie dotarlibyśmy do jej końca, gdyby nie pomoc mnóstwa wspaniałych ludzi.

Wyrazy najszczerzej miłości składam swojej ekipie wyrzutków i awanturników, którą tworzą Michi, Rachael, Sarah, Robyn, Josh i – szczególnie – Morgan, bo to ona nadała książce tytuł i pomogła mi ją zakończyć. Dziękuję także Jimmy’emu, który zaciągnął mnie do Santa Barbara i swym cudownym sposobem bycia po prostu unicestwił moją niemoc twórczą.

Dzięki niech będą Noa Wheelerowi, który pomógł mi rozwikłać tę konkretną zagadkę, nie stracił cierpliwości, gdy zrobiłam się drażliwa, i przyniósł mi tablicę. Wyrazy wdzięczności kieruję do Jean Feiwel, Laury Godwin, Jona Pageda, Molly Brouillette, Elizabeth Fithian, Richa Deasa, April Ward i mnóstwa ludzi od Henry’ego Holta i z Macmillan Children’s, którzy pomogli mi ożywić świat griszów i w dalszym ciągu pozwalają mi go badać – teraz już wspólnie z czytelnikami. Joanno Volpe z New Leaf: „oddana i uczciwa” to z pewnością określenia, które powinny znaleźć się w Twoim życiorysie; wiedząc, że jesteś ze mną, podejmę każde wyzwanie. Dziękuję również Poui „młody był” Shahbazian, Kathleen Ortiz, Danielle Bartel, Jaidzie Temperly i Jess Dallow. Wielkie dzięki należą się także angielskiemu Teamowi Grisha: Fionie Kennedy i całej cudownej ekipie z Oriona, a zwłaszcza Ninie Douglas:

znakomitej specjalistce od reklamy, świetnej towarzysze podróży i urodzonej Ravenclaw. Dziękuję czytelnikom, bibliotekarzom, księgarzom, BookTuberom i blogerom z całego świata, którzy wysławiają nowe opowieści.

Żaden dobry przekręt nie może się obejść bez utalentowanych specjalistów. Mnie pomagali najlepsi.

Steven Klein podzielił się ze mną bezcennym doświadczeniem w kwestii nauki magii dla początkujących i wskazał mi dzieła Erica Meada i Apollo Robinsa, złodzieja-dżentelmena. Angela DePace zrobiła, co w jej mocy, żeby znaleźć wiarygodny sposób unieszkodliwienia tłumy więźniów w celi, ale ostatecznie chloropigułka jest stuprocentowo zmyślona (nie próbujcie tego w domu). Richard Wheeler wytłumaczył mi, w jaki sposób gmachy rządowe i inne pilnie strzeżone instytucje bronią wstępu intruzom. Emily Stein wprowadziła mnie w świat ran kłutych i podsunęła mi cudowną frazę „koniuszek serca”. David Peterson, król języków sztucznych, próbował pchnąć mnie we właściwym kierunku i pozwolił mi uprzeć się przy *straatach*. Mój drogi przyjaciel Hedwig Aers pomógł mi zmasakrować język niderlandzki w bardziej przemyślany sposób.

Marie Lu, Amie Kaufman, Robin LaFevers, Jessica Brody i Gretchen McNeil rozśmieszają mnie i cierpliwie znoszą moje marudzenie. Dziękuję także Robin Wassermann, Holly Black, Sarze Rees Brennan, Kelly Link i Cassandrze Clare za porady fabularne, margarity i podsuniecie mi *Nastoletniego wilkołaka*; już nigdy nie będę taka jak przedtem. Pretensje o krwotok z nosa fjerdańskiego strażnika proszę kierować do Anny Carey.

Christine, Samie, Emily i Rynie – jestem przeszczęśliwa, mogąc nazywać Was rodziną. A ty, najdroższa Lulu, „zawiodłaś swoje miasto”. Dziękuję za cierpliwie znoszenie moich humorów i opiekę nad moją małą bandą zakapiorów.

Wiele książek przyczyniło się do ukształtowania Ketterdamu, Baryłki i ekipy wron, lecz kluczowe w tym zbiorze były *The Blackest Streets: The Life and Death of a Victorian Slum* Sary Wise; *Handlarz kawą* Davida Lissa; *Amsterdam: Historia najbardziej*

liberalnego miasta na świecie Russella Shorto; *Criminal Slang: The Vernacular of the Underworld* Lingo Vincenta J. Monteleone; *The Big Con: The Story of the Confidence Man* Davida Maurera; oraz *Stealing Rembrandts: The Untold Stories of Notorious Art Heists* Anthony'ego M. Amore i Toma Mashberga.

I jeszcze jedno: ta książka lubiła być redagowana przy muzyce The Black Keys, The Clash i The Pixies, ale narodziła się w gmachu starej szkoły, w którym hulał wiatr, przy dźwiękach odtwarzanego bez przerwy albumu *In a Time Lapse* i trzepotania nietoperzowych skrzydeł. Wielkie dzięki kompozytorowi Ludovico Einaudiemu. Tudzież nietoperzowi.